

Agnieszka
LIS

Karuzela

*Wzruszająca!
Książka, którą długo
będę pamiętać.*

**Magdalena
Witkiewicz**



Karuzela

|

Agnieszka
LIS

Karuzela

Copyright © Agnieszka Lis, 2017

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2017

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Agnieszka Czapczyk / panbook.pl

Korekta: Maria Moczko / panbook.pl

Projekt okładki: Izabella Marcinowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka /
panbook.pl

Fotografia na okładce: http://www.istockphoto.com/NKS_Imagery

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2017

eISBN 978-83-7976-596-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Styczeń

Renata biegła.

Rano biegła, bo umówiła się z sąsiadką. Dawno nie miała luksusu spotkania z przyjaciółką. Nie było kiedy tak zwyczajnie pogadać. Zakończyły spotkanie optymistycznym „musimy to częściej powtarzać”, a potem znów był tylko pośpiech. W domu zdążyła jedynie rozpakować zakupy, gdy zupa zaczynała bulgotać.

Krysia, jedyna córka, okropnie nie lubiła świąt. Dlatego Renata biegła – żeby stanąć w rzędzie wraz z innymi matkami, w oczekiwaniu na otwarcie drzwi. Chwilę po dzwonku wylewała się z nich z dzikim wrzaskiem chmara dzieci, jak wulkaniczna lawa. Wszyscy, i matki, i dzieci, włączali się w hałas powitań. Renata zwyczajowo też.

Wbiegając po schodach, zaczepiła obcasem o rant spodni. Przewróciła się. Była na szczęście zaledwie na drugim stopniu, nie spadła daleko, niemniej biodro bolało bardzo. Krzycząc na powitanie Krysi, starała się utrzymać równowagę na prawej nodze. Rano, idąc na spotkanie, założyła buty na obcasie. Wyjeżdżając po dzieci, wsunęła przez nieuwagę te same czółenka. Teraz chwiała się lekko na niewygodnej szpilce. Krysia nie zwróciła na to uwagi.

Dobrze, że nie przed Sylwestrem. Posiniaczone nogi nigdy nie wyglądają dobrze, szczególnie gdy wystają spod krótkiej sukienki.

Słuchając paplaniny córki, Renata ostrożnie schodziła po schodach,

choć ciągle się śpieszyła. Grupa Krzysia przyjechała już z wycieczki. Obiecała młodszemu synowi, że szybko go odbierze. Poganiała więc Krysę w szatni. Dziewczynka wybiegła w niezapiętej kurtce i krzywo nasuniętej czapce.

– Mamo, szalik!

– Słucham? – Renata stała już w wyjściu.

– Nie wzięłam szalika!

– To wróć.

Matka zagryzła wargi, policzyła w myślach wolno do dwunastu. Krysia nadbiegła i biegła dalej, matka starała się za nią nadążyć, nierówno stawiając stopy na obcasach.

Prawie już nie boli – pomyślała z zadowoleniem.

Krzyś na widok matki zerwał się z dywanu, na którym układał klocki. Przyłgnął do Renaty.

– Krzysiu, układamy po sobie zabawki! – zwróciła uwagę wychowawczynie.

Krzyś odwrócił się, ale nie puścił ubrania matki.

– Ja ułożę – powiedziała Renata, wchodząc na dywan. Syknęła, kucając, i odruchowo dotknęła lewego biodra. Krzyś przykleknął razem z nią, kilka klocków wrzucił do wielkiego pudła, potem chwycił samochód i odstawił go na półkę. Krysia rzuciła tornister na podłogę; też pomagała. Wychowawczynie kiwnęła głową.

– Ma pani grzeczne dzieci.

– Pomagamy sobie wzajemnie – odpowiedziała za matkę Krysia.

Renata uśmiechnęła się. Wstając, podparła się ręką o podłogę.

– Coś się stało? – zapytała przedszkolanka.

– Potknęłam się. – Renata machnęła ręką. – Jutro będzie dobrze.

Kobieta podała jej ramię.

– Dziękuję. – Uśmiechnęły się do siebie.

– Idziemy po Eryka – komenderowała Renata w przedszkolnej szatni. Krzyś wskazał na jeden z rysunków na ścianie.

– Ten jest mój. Mój, mój, mamo!

– Piękny! – Uśmiechnęła się. Przestała się śpieszyć, najstarszy syn pewnie i tak na boisku grał w piłkę.

Nawet zima mu w tym nie przeszkadza – pomyślała.

Krzyś powoli zakładał buty, matka i siostra dopingowały go, ale nie poganiały.

– Mamo, pomożesz mi w matematyce?

– Przecież jesteś dobra w matematyce.

– Mam klasówkę w przyszłym tygodniu.

– Pomogę. Chociaż pewnie tata potrafiłby bardziej. – Renata przysiadła na niskiej szafce, pomagając jednak Krzysiovi w ubieraniu się.

– Tata zawsze się denerwuje. On wszystko wie i nie rozumie, że ja nie wiem.

– No tak... Mamy są od pomagania. I w ubieraniu, i w matematyce, i w innych sprawach, prawda? – Renata cmoknęła Krzysia i odwróciła się w stronę córki. Zasuważąc zamek w jej wciąż rozpiętej kurtce, ułożyła usta do buziaka. – Idziemy!

Wielofunkcyjna mama – pomyślała o sobie.

Nawet w pośpiechu pamiętała, aby samochód zostawić na dalszym parkingu, tuż przy wielkiej bieżni. Po drodze na boisko wrzuciła tornister córki na tylne siedzenie. Dzieci pobiegły przodem.

– Renata?

– Daria! Co za spotkanie. Dawno się nie widziałyśmy! – Przyjaciółki przywitały się drobnymi machnięciami dłońmi. – Pamiętaj, trzeba to powtarzać!

Od porannego spotkania minęły tylko dwie godziny, a Renata czuła się zmęczona.

Taki zwyczajny dzień, nic szczególnego, a chciałabym tylko leżeć. Leń ze mnie – pomyślała.

Przyśpieszyła kroku, młodsze dzieci dołączyły już do grupy nastolatków. Stała z boku. Sięgnęła do torby, zawsze miała tam coś do czytania. Pomyślała kiedyś, że dzieci ofiarowują całe światy, niewyobrażalne przestrzenie uczuć, ciepła, wrażeń. Jednak zabierają równie wiele. Całe obszary, niegdyś istotne, dzięki dzieciom stają się niedostępne. Na przykład – książki. Renata uwielbiała czytać. Kiedyś, w epoce przedlodowcowej, przeddziecięcej, czytała kilka książek tygodniowo. Głównie wieczorami. Teraz, gdy zapadała nocna cisza, Renata zasypiała od razu po przyłożeniu głowy do poduszki.

Nie otworzyła jednak książki. Trzymała ją w opuszczonej ręce i przyglądała się kilku łątom śniegu, szarym resztkom, jakby porzuconym na obrzeżach stadionu. Starsi chłopcy grali bez szalików, niektórzy zdjęli kurtki, w tym i Eryk. Został w samej czapce, ale Renata nie martwiła się – wiedziała, że jest mu gorąco i że zaraz po zakończeniu gry po prostu założy kurtkę, bez żadnego przypominania. Dwoje młodszych próbowało gonić za piłką, co starsi przyjmowali niechętnie. Renata wiedziała, że kiedy Krzyś zacznie rozpinać kurtkę, to będzie sygnał do zakończenia zabawy. Krzyś potrafił chorować z byle przewiania. Stała tak kilka minut, zanim podeszła na skraj boiska. Eryk zauważył matkę i niemal natychmiast pomachał kolegom na pożegnanie. Krysia i Krzyś niechętnie ruszyli za bratem.

W samochodzie panował rejewach.

– Co na obiad? – dopytywał się Krzyś.

– Nie jadłeś w przedszkolu? – Renata zdziwiła się zwyczajowo, a Krzyś tylko się skrzywił. – Rosół i mielone – odpowiedziała niby obojętnie.

– Hura! – wykrzyknął Eryk, a pozostała dwójka wtórowała. – Mielone!

– Ale muszą zostać dla taty, pamiętajcie.

– To zależy, ile ich przygotowałeś, mamó – wtrącił Eryk. Renata się uśmiechnęła. Akurat on nigdy by nie zapomniał o ojcu.

Zamyśliła się. Byli małżeństwem od siedemnastu lat. Nigdy się nie kłócili, żyli zgodnie, a jednak... ostatnio nie czuła się szczęśliwa. Była ciągle zmęczona, a Mateusz dwa lata temu awansował i teraz w tygodniu praktycznie nie bywał w domu. Albo jeździł po Polsce, albo do późna przesiadywał w biurze.

Rzadko się widzimy, to i rzadko się kłócimy – myślała Renata. Od czasu do czasu przychodziło jej na myśl słowo „wypalenie”, ale z ogniskiem, rozpaleniem i wypaleniem trzeba być ostrożnym, gdy ma się trójkę dzieci. Dlatego Renata nigdy nie rozmyślała o tym zbyt długo.

– Krysia, zanieś plecaki, Eryk, pomóż Krzysiowi poukładać kurtki – komenderowała, jednocześnie odgrzewając obiad i wyjmując talerze. Gdy dzieciaki siedziały już przy stole, chwyciła za telefon.

– Helo!, mamy niespodziewankę! – powiedziała.

– Jestem w pracy. – Usłyszała chłodny komunikat.

– Daj, mammo, ja powiem tacie. – Eryk wyciągnął rękę. Renata oddała synowi telefon z poczuciem, że coś jednak nie jest hełoł.

– Ile ci zostawić kotletów, tato?

Młody posłuchał przez chwilę, uśmiechnął się. – Jasne! – odpowiedział ojcu i oddał matce telefon.

– Wybacz, naprawdę jestem zajęty.

– Wiem, ja tylko sobie odpoczywam – odpowiedziała odruchowo.

– Mam huk roboty, a jutro przed szóstą rano wyjeżdżam. Wybacz – powiedział Mateusz. W głosie wcale nie było słyhać przeprosin.

To nieprawda, że nigdy się nie kłócimy – pomyślała Renata po rozłączeniu się. – *Kłócimy, tylko wolę o tym nie pamiętać.*

Popołudnie minęło niepostrzeżenie. *To już wieczór?* – zdziwiła się Renata, gdy dostrzegła Mateusza w drzwiach.

Wszedł do kuchni, w rękach trzymał bukiet tulipanów.

– Szklarniowe, ale zobacz jakie ładne – powiedział do Renaty.

Uśmiechnęła się i przytuliła. *Dobrze, że jest* – pomyślała.

– Dzieci jeszcze nie śpią – szepnęła. – Ale potem kontynuuj.

Mateusz mruknął coś niewyraźnie.

– Mammo, no daj spokój! Żeby się tak lizać przy dzieciach! – Krysia pierwsza zbiegła ze schodów.

Zbyt rezolutna ta nasza córka – pomyślała Renata.

– Mammo, ja też chcę, ja też! – wołał Krzyś biegnący za siostrą.

– Dokończymy wieczorem – mruknęła do męża Renata. – Kochani, jak tam lekcje, wszystko odrobione?

– A pomożesz mi wydrukować, mammo? Coś o pingwinach potrzebuję.

– Masz jakąś lekturę? Dlaczego pingwiny?

– Nie wiem, pani kazała. Na jutro.

– Mammo, a ja mam szlaczki, zobacz jakie ja mam szlaczki do pomalowania.

– Eryk, a ty już wszystko zrobiłeś?

Z góry dochodziły odgłosy krzątania, Mateusz stał oparty o lodówkę. Zniechęcał go bałagan w kuchni i okruchy na stole. Do nowego domu wprowadzili się niecały rok temu.

Rok wcześniej

Wprowadzają się do nowego domu. Miejsce – ucieleśnienie wolności, spełnienie marzeń. Nowe życie. Jednym słowem – wszystko, czego można obiecywać sobie w nowym miejscu. Wykończenie domu jest kosztowne. Zbyt kosztowne. Stosują rozwiązania tymczasowe. Rezygnują z niektórych, wcześniej ważnych elementów. Wszystko w imię wolności.

Dojazd do miasta, chociaż niedaleki, zajmuje w porannych korkach ponad godzinę. Renaty to nie dotyczy, lub dotyczy rzadko. Mateusza bardzo. Klepisko wokół niewykończonego tarasu powoduje, że Mateusz nawet w dzień zaciąga rolety. Ogród ma być miejscem spotkań, grillowania z przyjaciółmi, skakania na trampolinie z dziećmi. Na razie jest, i jeszcze długo będzie, jedną z dalszych pozycji na długiej liście pilnych potrzeb rodziny.

– Piękne te iglaki. – Renata się zachwyca. – I piwonie, chciałabym mieć piwonie w ogrodzie. I róże.

Renata ogląda rośliny w szkółkach, wpisuje je na kolejną, wydłużającą się listę. Rysuje kształty rabat, projektuje nasadzenia. Czyta książki. Nie kupuje roślin, nie mają na to pieniędzy.

Renata... Zmęczona, z odrostami na głowie. Często mówi o tym, jak bardzo chciałaby mieć długie włosy. Rude loki, ale nawet o krótkie nie dba. I ma brzydkie, nierówne paznokcie. W domu ciągle bałagan, zamieszanie.

W pracy u Mateusza też zamieszanie. Ale inne. I... Joanna. Wprawdzie sekretarka szefa, ale jaka sekretarka. Na szpilkach, a jej mieszkanie wypieszczone, czyściutkie.

Teraz

Mateusz zreflektował się i odruchowo sprzątał kuchnię. Zerknął w okno na swoje odbicie, stał tam smutny facet z bladą twarzą. Zasłonił roletę.

– Do dupy z takim życiem – powiedział do siebie.

– Mateusz! – zawołała z góry Renata.

Wszedł na górę niechętnie, z przyklejonym sztucznym uśmiechem.

– Czas kąpać dzieciaki. – Renata za to uśmiechała się szczerze i dwuznacznie.

– Dzisiaj tata mnie kąpie! – Krzyś podskakiwał.

– Nieprawda, mnie! – sprzeczała się Krysia.

– Obydwoje, rozbierać się, marsz! – zakomenderował Mateusz.

Renata wyszła do drugiej łazienki. Szybki prysznic, miękki ręcznik. Zanim wykąpane dzieci trafiły do łóżek, czekała już na nie z książką na kolanach.

– Dwa rozdziały, mamó, dwa!

– Trzy, dzisiaj trzy! – przekrzykiwały się dzieci.

– Zobaczmy – tajemniczo odpowiedziała Renata. Zanim doczytała pierwszy, dzieciaki spały. Weszła jeszcze do Eryka, leżał w łóżku ze słuchawkami na uszach. Udawał, że śpi. Matka zgasła światło.

W sypialni Mateusz czekał na żonę.

– Co się stało? – zapytał, gdy zdjęła szlafrok.

– Gdzie? A, nic. Potknęłam się na schodach. To tylko stłuczenie.

– Biodro masz spuchnięte.

– Trochę boli. Szczęście, że nie spadłam z tych schodów, połamałabym się. A tak, cała i zdrowa, mogę się z tobą kochać.

Następnego dnia Renata miała dużego siniaka na ramieniu. Zupełnie nie pamiętała, aby się o cokolwiek uderzyła.



– Jestem zmęczona – skarżyła się Renata matce przez telefon.

– Pewnie, że jesteś. Każdy by był zmęczony przy trójce dzieci

i takim wielkim domu do ogarnięcia. A Mateusz to ci w ogóle nie pomaga. Przyjedź do nas, odpoczniesz trochę.

– Mamo, Mateusz pracuje, utrzymuje dom i nas wszystkich.

– Przyjedź ty do Lipna, córuś.

– A co zrobię z dziećmi?

– A teściowa? Niech przyjedzie, raz chociaż.

– Mamo, to nie takie proste. Spróbuję. Może się uda, zadzwonię za parę dni.

Renata oglądała w lustrze swoje ciało. Siniak od potknięcia na schodach nie zszedł, na razie rozlał się na prawie całe udo i świecił tęczowo. Właściwie nie było części ciała, na której Renata nie miałaby siniaka. Posmarowała się grubą warstwą kremu.

Sine, nie sine, niech chociaż nie będzie wysuszone – pomyślała.

Znowu się śpieszyła. Musiała wcześniej odebrać Krysę i pojechać do lekarza. Większość dzieci w szkole i przedszkolu była chora, Krysia też zaczęła kaszleć. Renata ubierała się, gdy zadzwoniła wychowawczyni Krzysia. Teraz już musiała odebrać dwójkę dzieci i z obojgiem pojechać do lekarza. Spojrzała na zegarek.

Może zdążę jeszcze wrócić po Eryka – pomyślała.

Wsiadając do samochodu, zaczepiła obcasem o brzeg spódnicy, ale utrzymała równowagę.

No nie, dosyć siniaków – pomyślała i dokładnie wtedy zakaszła po raz pierwszy.



– Lekarz stwierdził wirusówkę u obydwójga – powiedziała Mateuszowi przez telefon. – Byłam już w aptece, jadę jeszcze po Eryka, jak już ich położę, to nie wyjdę z domu.

– ...

– Tak, niestety. Całą trójkę dzisiaj wcześniej zabieram ze szkoły. Żeby tylko jeszcze Eryk nie był chory, wtedy już chyba zwariuję.

– ...

– Tak trochę tylko, śpieszę się, złapałam trochę zimnego powietrza, to i kaszlę.



– Mamo, dzieci chore, nie przyjadę teraz.

– Dziecko, jak ty dasz radę? Sama?

– Mamo, muszę dać radę.

– Ty kaszlesz!

– Dzieciaki tak sieją, że i ja muszę sobie pokaszleć. Nic mi nie jest, nie martw się, mamo.

– Żebyś ty się jeszcze nie rozłożyła.

– Ja nie mogę, muszę cały dom trzymać w ryzach. Ale teściowa obiecała, że jak tylko dzieciaki wyzdrowieją, to przyjedzie. Będę mogła na kilka dni wyrwać się do ciebie.

– Całe szczęście. Bo już z obrazy chyba bym do ciebie przyjechała.

– Też byś mogła, mamuś.

– A mogła, mogła. Przyjadę, niech no się tylko cieplej zrobi, wiesz jak ja zimy nie lubię.

– Wiem, mamo. Tylko co za różnica, zima w Lipnie czy tutaj?

– W Lipnie ładniejsza.

– Jasne. Mamo, muszę lecieć, dzieciaki wołają.

– Tylko dbaj o siebie, dziecko.

– Będę, mamo.



– Mamo, kaszlesz tak, poszłabyś może do lekarza?

– Eryk, nie zagaduj, tylko rób zadania. Jak wrócisz do szkoły, od razu każą ci pisać klasówkę, wiesz o tym.

– Wiem, mamo, ale to proste.

– Och, ty mój! – Renata cmoknęła syna w czoło. Miała bardzo suche, spierzchnięte wargi. Kaszląc, wyszła z pokoju syna.

– Krysia, Krzyś, do łóżek!

– Mamo, w łóżku nudno!

– Jak nudno, to wstajemy! Ubierać się. Pomagacie mi zrobić obiad.

– Tak, pomagamy! Hura!

Pomaganie polegało na chlapaniu mikserem na blat, ścianę i podłogę. Maluchy kroily też gotowane warzywa.

– Oddaj nóż! – kłóciły się co chwila.

Stojąc nad garnkami, Renata jednocześnie zerknęła na dziecięce wybryki. Po obiedzie zadzwoniła do Mateusza.

– Mam gorączkę, wezwałbyś lekarza?

– Złapałaś od dzieciaków, fatalnie. A ja teraz nie zostanę z dziećmi, muszę wyjechać.

– Znowu wyjeżdżasz?

– Renatko, wiesz, że walczę o awans...

– Wiem, jasne. Oczywiście. Zadzwonię po doktora.

– To zadzwoń. Będę wieczorem.

– Pa.



– Bardzo dużo mam wezwań, droga pani.

– Że też pan doktor takie tempo wytrzyma. Już po dziesiątej. Od której jest pan na nogach?

– Oj długo, droga pani, długo. A teraz proszę nie mówić nic przez chwilę... Od dawna ma pani te siniaki?

– Już schodzą. Ten to od ponad dwóch tygodni. Ale faktycznie, dużo ostatnio ich mam, nie wiem dlaczego. Niezgrabna jestem.

– Coś jeszcze pani dolega?

Renata zastanowiła się.

– Łamie mnie w kościach. Właściwie ciągle bolą mnie kości.

– Kiedy ostatnio robiła pani badania?

- Jakie badania, doktorze?
- Podstawowe badania krwi.
- Nie pamiętam.
- Ale o samochód dba pani?
- Słucham?
- Przegląd techniczny robi pani w samochodzie?
- Mąż robi.

– A o swoją własną maszynę pani się nie troszczy? Siebie też trzeba oddawać do przeglądu. Zalecenie na najbliższe dni – pod żadnym pozorem nie wolno pani wychodzić z łóżka. Gorączka, taka jak dzisiaj, może się utrzymywać przez trzy dni. Proszę ją zbijać według wskazań. – Lekarz wręczył Renacie zapisaną kartkę. – I proszę bardzo dużo pić, jak najwięcej. A jeśli czwartego dnia gorączka będzie się utrzymywała, proszę do mnie zadzwonić. Przyjadę choćby i o jedenastej. – Uśmiechnął się.

Renata też próbowała się uśmiechnąć.

Doktor poprosił Mateusza o rozmowę.

– Oto recepty dla całej czwórki. Pan też za chwilę może być chory, więc profilaktycznie proszę wziąć to. Tutaj są dawki i stosowanie. – Doktor wręczył Mateuszowi stos kartek. – Koniecznie proszę zadbać, żeby żona się dobrze odżywiała. Żadnych ciężkostrawnych rzeczy. Jest bardzo osłabiona.

– Jest chora.

– Tak... Gdy tylko poczuje się lepiej, mniej więcej tydzień po ustąpieniu gorączki, musi zrobić badania. Tu ma pan zapisane, jakie. I proszę koniecznie do mnie zadzwonić, jak już będą wyniki.

– Doktorze Affentowicz, co dolega mojej żonie?

– Teraz? Wirus. A poza tym – nie wiem.

– Ale...

– Nic więcej nie wiem. Proszę do mnie zadzwonić.

Trzydzieści pięć lat wcześniej

– Szybciutko, posprzątaj pokój – mówi matka do Mateusza piskliwym tonem.

Siedmiolatek uważa, że ułożył już wszystko. Matka pokazuje palcem.

– Ten miś jeszcze.

– Ale on mi będzie potrzebny. On tu mieszka.

– Na środku dywanu? Wykluczone.

– Ma tu swój domek.

– Właśnie, te poduszki też sprzątnij.

– Mamo, ale ja się tu bawię!

– To później się pobawisz. Teraz czekamy na doktora.

Chłopiec doprowadza pokój do idealnego porządku. Patrzy ze smutkiem na pusty dywan i równo ustawione zabawki na półkach. Gdy słyszy dzwonek do drzwi, podskakuje nerwowo, ale nie wychodzi z pokoju. Stoi cały czas na środku. Czeka.

– Marysiu – słyszy szept – musimy wytrzymać.

– Nie mogę się doczekać – odpowiada matka chłopca.

– Z takimi chorobami różnie bywa.

– Serce? Z sercem bywa krótko i jednoznacznie.

– Albo długo i nieprzewidywalnie.

– Ale ja już nie wytrzymam, rozumiesz? Już z nim nie mogę!

– Ciii... pójdę do Mateusza. Niech dzieciak nie czeka. Nie obchodzą go nasze dorosłe sprawy.

– On jest tylko przeziębiony.

– Pozwól, że zobaczę.

Doktor wchodzi, uśmiecha się do chłopca. Mateusz nie odpowiada. Stoi sztywno wyprostowany i wykonuje polecenia. Siadaj, rozbierz się. Oddychaj, głęboko, nie oddychaj. Stetoskop jest zimny, ale chłopiec nawet nie drgnie.

– To nie jest tylko przeziębienie. Wcześniej powinien być już leczony. Ma zapalenie oskrzeli. Musi zostać w domu.

– W domu? Kto ma z nim zostać? Ja zwariuję, nie mogę siedzieć w domu z dzieciakami, muszę wyjść do ludzi!

– Uspokój się, Marysiu. Kto ma zostać z dziećmi, jeśli nie matka?

– Kto? Niechby i Grzegorz!

– Przecież twój mąż jest w szpitalu. Uspokój się, uspokój...

Mateusz w swoim pokoju siedzi na tapczanie. Tam, gdzie zostawił go doktor. Wszystko słyszy przez cienkie ścianki gierkowskiego budownictwa.

Teraz

Doktor Affentowicz odwiedzał ich dom, od kiedy tu zamieszkali. Był poleconym przez znajomego znajomego, doświadczonym lekarzem rodzinnym. Sama jego aparycja wzbudzała zaufanie – siwe włosy, lekko kręjące się, krótko przyszczyżone na karku. Ubrany zawsze na szaro, w garniturowe spodnie i miękki blezer lub marynarkę na koszuli bez krawata. Towarzyszyła mu zawsze tradycyjna, poprzecierana lekarska torba i wypastowane na błysk buty. Renata od razu go polubiła i nie chciała już żadnego innego lekarza. Zresztą Mateusz też szybko obdarzył go zaufaniem, a i dzieciaki połykały lekarstwa bez mrugnięcia okiem tylko dlatego, że przepisał je „nasz doktor”. Był w średnim wieku, ale roztaczał wokół siebie aurę takiego doświadczenia, że wszyscy mówili na niego „stary doktor”. W domu Renaty i Mateusza stał się swoistym mężem opatrznościowym.

I teraz doktor wyraził coś dziwnego, niejasnego. Mateusz stał w przedsionku domu jeszcze długo po wyjściu lekarza. *Co to miało oznaczać?* – Zastanawiał się, aż dotkliwie zmarzł. Noc była zimna, nadchodziły znów ciężkie mrozy. Mateusz wszedł do kotłowni, sprawdził ustawienia pieca, pozamykał starannie wszystkie drzwi.



– Mamo, nie przyjadę teraz, trochę kaszlę.

– No słyszę, słyszę. To może ja przyjadę, pomogę przy dzieciach?

– Co się będziesz zarażać. Posiedzę z dziećmi kilka dni

w domu. Potem zobaczymy.

- Miłosz tęskni za tobą.
- Ukochaj go. A co u Anny?
- Radzimy sobie. Tylko ty wyzdrowiej.
- Tak zrobię, mamó.



- Krysia, Krzyś, dajcie nam się pouczyć!
 - Mamó, to może ja pójdę do siebie. Zamknę drzwi, nie będą mi przeszkadzali. Jeszcze tylko herbaty ci przyniosę.
 - A dasz radę sam?
 - Mamó, mnie to chyba łatwiej idzie niż tobie...
- Renata zaśmiała się, Eryk do niej dołączył. Westchnęła.
- Masz rację. Wyrosłam już ze szkolnych równań. Te wszystkie całki i różniczki, nie wiem, do czego to służy.
 - To służy do dręczenia – odpowiedział chłopak. – Wszystkich uczniów. Zresztą, jeszcze historii muszę się trochę poduczyć, też ma być jakiś sprawdzian.

Do sypialni Renaty znów wpadły młodsze dzieci. Kłóciły się o zabawkę.

- Wam to już chyba lepiej, co? Czas wracać do szkoły i przedszkola.
- Tak, mamó, tak! – wykrzyknęła Krysia.
- Niiieeee! – Krzyś zawtórował.
- Ubiorę się, pomożecie mi zrobić obiad.
- Może ja pomogę? – zaproponował Eryk, ale Renata machnęła ręką i nastolatek schował się w swoim pokoju.

Po kilku dniach leżenia Renata czuła się znacznie lepiej. Dzieciaki rozrabiały, a zimowe słońce akurat tego dnia uzupełniało braki witaminy D w ludzkich organizmach. Renata wstała, zachwiała się lekko, ale zawroty głowy szybko minęły. Ostrożnie zeszła po schodach i przez całe popołudnie razem z dziećmi gotowała, a potem bawiła się z nimi na

dywanie w salonie.

Wieczorem jednak była tak zmęczona, że zasnęła przed powrotem Mateusza. Eryk podał ojcu kolację, a Mateuszowi przemknęło: *To po co mam tu wracać? Do braku żony?*

Rano Renata obudziła Mateusza.

– Dzieciaki powinny iść już do szkoły. Przynajmniej maluchy.

– A kto je przywiezie? – w półśnie zapytał Mateusz. – Dasz radę?

– Jeszcze nie. Ale poproszę Darię. Krysia i Krzyś strasznie rozrabiają, nie mam już pomysłu, jak im zaplanować dzień, potrzebują jakiegoś zajęcia.

– To ich ubierz, zawiozę ancymony do szkoły.



– Jak sobie radzisz?

– Jakoś muszę. – Renata wzruszyła ramionami.

– Spoko, razem damy radę. – Daria była urodzoną optymistką. – Dziś i jutro odbiorę dzieciaki. A potem weekend, dojdiesz do siebie.

– Ciągłe kiepsko się czuję. Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy. A może bliźniaczki pobawiłyby się trochę z Krzysiem i Krysią? Wzięłabym ich do siebie?

Przyjaciółki pożegnały się uściskiem. Renata patrzyła przez okno, jak Daria wyjeżdża z bramy, zawraca, odjeżdża. I zakreśliło jej się w głowie.

Wyjeżdżanie tyłem z bramy jest zbyt skomplikowane, aby na nie patrzeć – pomyślała. – *Daria jest intensywna. Pewnie po prostu zmęczyła mnie rozmowa.* Powtórzyła zdanie głośno, ale nawet to jej nie przekonało.

To niemożliwe – mówiła dalej do siebie. – *Spotykam się z Darią od ponad roku, nazywam swoją przyjaciółką. Nie, ja po prostu muszę wyzdrowieć.* – Pociągnęła nosem. – *Paskudne to przedwiośnie. Dobrze, że chociaż Mateusz się trzyma.*

Usiadła przy stole, kładąc ręce równo przed sobą na drewnianym

blacie. Skupiła się na ciszy, a raczej na spokoju tego domu, który ciszą wcale nie był. Dyskretnie skrzypiała lodówka, konspiracyjnie włączało się ogrzewanie, piec płonął chyłkiem, trochę groźnie. „Zawsze mogę wybuchnąć” – Renata wyobraziła sobie, że to właśnie słyszy. Dziwny głos, mówiący o tym, że otoczenie nie jest przyjazne i dobre. Że jest tylko z grubsza okiełznane, pozornie udomowione. Przesunęła ręce po blacie, zapiszczała skóra na gładkiej powierzchni.

Nie ma ciszy – myślała. – I nawet ja sama nie potrafię być w ciszy.

Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie siadała w salonie. Lubiła odrabiać tam lekcje, na niskiej ławie, którą rodzice przed świętami rozkładali w wysoki i długi stół. Czasami mruczał telewizor, czasem grało radio, często nie. Renata słuchała dochodzącego z kuchni skwierczenia mięsa na patelni, odgłosów szatkowania, tłuczenia, gotowania.

– Co tak siedzisz po omacku? – pytała trochę bez składu jej młodsza siostra.

– Wcale nie – odpowiadała Renata. – Ani po omacku, ani po ciemku, ani po cichu. Słucham, jak mama gotuje.

– Mamo, a Renata podsłuchuje, jak gotujesz! – Anna wpadała do kuchni, oskarżycielsko wyciągając palec w stronę starszej siostry.

– To dobrze – odpowiadała matka, wzbudzając niezadowolenie młodszej córki. – Już dobrze – dopowiadała po chwili.

Renata lubiła to wspomnienie. I lubiła słuchać ciszy.

Teraz myśli skakały jej po głowie. Wyobrażała sobie przeskakujące w jej mózgu impulsy nerwowe, bezładną krzątaninę rozbłysków i refleksów. Prawa półkula, lewa półkula. Płat czołowy, mózdzek. Pień mózgu.

Nawet nie wiem, gdzie jest która część – pomyślała.

Skupiła się na ciszy. *Całkowity spokój – myślała. –*

Uporządkowane myśli, wygaste w odpoczynku, bezdźwięk, bezruch.

Tylko trwanie, najlepiej na tropikalnym placu, zalanym ostrym słońcem, które wypala, gasi odruchy życia. Gdzieś w cieniu wielkiego drzewa, którego nazwy nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. Na metalowym, odrapanym krzeselku. Gdzie wszystko czuwa w półśnie, półżywe, w oczekiwaniu na bryzę w zachodzącym słońcu, na wieczorny cień chęci

do życia. Widziała, czuła w tym obrazie czas przeczekania, budowania wewnątrz, zawieszenia gonitwy.

Tak rozmyślając, Renata weszła po schodach, zasapana stanęła na półpiętrze. W łóżku zapadła w półletarg, w stan pomiędzy marzeniem, snem i realnością. Czekwała, aż przyjaciółka przywiezie dzieci ze szkoły. I chociaż pamiętała, że wspólna zabawa dzieci w domu Darii zajmie co najmniej dwie godziny, to jednak co rusz zerkała nerwowo na zegarek. W końcu sięgnęła po telefon.

- Jestem zmęczona – poskarżyła się matce.
- Przyjedź. To tylko sto sześćdziesiąt kilometrów.
- Mamo, ja nawet nie mam siły wejść po schodach.
- Córeczko, to poleż jeszcze kilka dni, a potem przyjedź.
- Może w przyszłym tygodniu.
- Pojedziemy do Karnkowa.
- Świetny pomysł. Do tego kościoła na wzgórzu, pośród drzew. – Renata się ożywiła. – I na hot doga, na Statoil.
- Na ile tylko chcesz hot dogów, córuś.



Rozmowa z Mateuszem nie zakończyła się przyjemnie.

Przecież my się nigdy nie kłócimy – pomyślała Renata.

Mateusz był wściekły. Wyjazd Renaty oznaczał dla niego punktualne wracanie do domu, a plany na następny tydzień miał romantyczne. Wprawdzie mógł liczyć na pomoc Darii, ale to z założenia była pomoc, nie wyręka. Zdenerwowany wyjechał z domu pod pretekstem kupienia świeżych bułek na kolację. Do koszyka włożył parówki, kiełbasę i wędlinę. W odruchu dorzucił też twaróg, chociaż w ich domu jadła go głównie Renata.

O co mi chodzi? – zapatrzył się w niespodziewany dla siebie zakup. – Twaróg jest zdrowy, jej teraz jest potrzebny. Wcale nie chodzi mi o to, że zostanę sam z dziećmi. Martwię się. Zwyczajnie martwię się o Renatę.

Ruszył dalej sklepowymi alejkami. *Tylko czy kawałek sera może cokolwiek zmienić?* – pomyślał już przy kasie. Zapomniał o bułkach.

Po powrocie do domu wszedł do sypialni. Na pościelonym z grubsza łóżku Renata we frotowym szlafroku odrabiała z Krysią lekcje. Mateusz usiadł z drugiej strony łóżka. Dziewczynka stawiała litery, wystawiając język i zagryzając wargi.

– Twoja babcia tak zawsze robi – powiedział.

Renata podniosła pytająco brwi.

– Moja mama zawsze wystawia język, kiedy pisze.

Renata uśmiechnęła się do męża.

– Matematykę zrobiłam w świetlicy – pochwaliła się Krysia.

– Potwierdzam. Ani jednego błędu.

– Ani jednego? – Teatralnie zdziwił się Mateusz. – To musimy chyba tutaj kogoś mocno wyściskać!

Odprowadził córkę do dziecięcego pokoju.

– Jeśli chcesz, to po prostu pojedź – powiedział po powrocie od sypialni. – Tylko wracaj do mnie szybko. Ciężko mi będzie bez ciebie i będę tęsknił.



– Jak ty schudłaś!

– Fajnie, prawda?

– Aż za bardzo! – Matka Renaty pokręciła głową z dezaprobatą.

– Nie mów mama, świetnie wygląda – wtrąciła siostra Renaty.

– Jak patyk – upierała się seniorka.

– Co zrobiłaś? – dopytywała się Anna.

– Nic szczególnego. Chorowałam trochę, no i myślałam o schudnięciu. Myślenie daje świetne efekty.

– Też bym chciała chudnąć od myślenia.

– Nie gadaj, dobrze wyglądasz – znów wtrąciła matka.

– No właśnie, dobrze, dobrze, aż za dobrze.

– Ciociaaa! – Rozmowę przerwał siostrzeniec Renaty. Wbiegł do

kuchni w butach, dopiero co przywieziony z przedszkola przez dziadka.
– Ciocia! Nareszcie przyjechałaś! Kiedy mnie zabierzesz do siebie? Na dłużej. Na długo! Do Krzysia. Kiedy?

– Miłosz, udusisz mnie! Ale urosłeś! – Wyciąłowała malca. – A jak w przedszkolu? Jesteś grzeczny?

Miłosz tulił się do dawno niewidzianej ciotki. Pachniała tak ładnie. Nie tak jak mama. Ładnie się ubierała, inaczej niż mama. Ciocia była daleka i zawsze przywoziła piękne rzeczy. Ważniejsza jednak od rzeczy była obietnica zawarta w samym przyjeździe. Z jej wizytą zawsze wiązało się coś niespodziewanego, ekscytującego i niecodziennego.

Chłopiec już od dawna chciał pojechać do nowego domu cioci. Do tego miejsca, w którym Krzyś i Krysia mieli wielkie, jasne i suche pokoje. Marzył o tej podróży wieczorami, przed zaśnięciem, ale potem miał smutne sny, z których budził się nad ranem z lękiem. Śniło mu się wtedy najczęściej, że jechał do cioci, ale nie mógł do niej dojechać, a Krzyś i Krysia tylko z daleka machali mu, jakby z okna szybko oddalającego się pociągu. Budził się wtedy nagle, bez krzyku, i nie mógł już zasnąć. Nigdy nie opowiedział nikomu o tych snach, nawet mamie, bo sam szybko o nich zapominał. Tylko następnego dnia był niegrzeczny w przedszkolu, krzyczał na inne dzieci, wychowawczynie się skarżyła. Miłosz nie kojarzył tych zdarzeń ze swoimi snami.

– Ciocia, a kiedy pojedziemy na Statoil?

– To trudne pytanie... może zaraz?

Miłosz ze szczęścia nie mógł wykrztusić słowa. Na hot doga. Zaraz. Z ciotką. Na Statoil.

– Rozpieszczasz go. – Anna się skrzywiła.

– Za rzadko – odparła Renata.

– Kocham cię, ciociu – wtrącił Miłosz.

Renata przytrzymała siostrę gestem. – Nie jedź z nami – powiedziała.

Anna prychnęła. – Przekarmisz go.

– Tak. – Renata się uśmiechnęła. – Pozwól mi na to.

Anna wzruszyła ramionami.

– A ja mogę z wami jechać? – zapytała Krystyna.

– Babcia tak, babcia tak! – Miłosz podskakiwał.

W samochodzie gadał jak najęty. Z paplaniny dziecka Renata wyłowila niepokojącą nieobecność ojca.

– A co na to tata? – zapytała w pewnej chwili.

– A nic – odpowiedział Miłosz. – Tata się wyprowadził.

Dziecko paplało dalej, a na przednich siedzeniach zapadła cisza. Renata pomyślała ze smutkiem, że wcale jej to nie dziwi. Od dawna przeczuwała, że w małżeństwie jej siostry nie dzieje się najlepiej. Obiecała sobie teraz, że kiedy tylko zostaną same, porozmawia z Anną.

Na stacji Renata zaczęła mieć skrupuły przy czwartym hot dogu, którego domagał się mały. – Ale nie powiesz mamie?

Zdecydowanie pokręcił głową.

– Jest mi niedobrze już od samego patrzenia – skomentowała Renata. Mały jednak był szczęśliwy, a w drodze powrotnej dopytywał się, kiedy wreszcie pojedzie do cioci, do Krzysia i do Krysi.

– Może na Wielkanoc? – Renata spojrzała pytająco na matkę. – Wy też byście przyjechali?

– Właściwie... – zawahała się Krystyna.

– Postanowione. Przyjedziesz do nas na Wielkanoc!

– Super.

Po powrocie malec od razu pobiegł do matki.

– Jadę do cioci na długą noc!

– Na długą noc? – Anna uniosła brwi.

– Na Wielkanoc. – Renata się uśmiechnęła. – Jeśli się zgodzisz.

– I ciocia kupiła mi cztery hot dogi!

Anna wyszła z kuchni.

Dwadzieścia lat wcześniej

– Nie, nie mam.

– No weź...

Grupa nastolatków stoi na wietrze. Jesień tego roku przyszła wcześniej. Trzeszczące sterty liści zalegają we wszystkich kątach. Nawet tutaj, chociaż stacja jest często sprządana.

– Dopiero wrzesień, a już zimę czuć – odzywa się jeden z chłopaków.

– Co ty, ramol jaki? Dawaj.

Młodzi ludzie przekazują sobie z ust do ust – butelkę i szluga.

– Mi też daj. – Domaga się dziewczyna o długich blond włosach.

– Renata, ty nie – odpowiada chłopak.

– A co, ja gorsza? – Ślicznotka się buntuje.

– Nie, lepsza. Masz być najlepsza. Jutro masz zawody.

– Ale ja chcę! – Młoda się upiera.

– A ja idę w stronę twojego domu. Odprowadzę cię.

– Przestań! Nie bądź taki tatusiek.

– No właśnie, tatusiek! – Pozostali rechoczą.

– Ty, odprowadzić ją chcesz? Że niby sam na sam? Nocną porą? – Towarzystwo jest już podchmielone.

Chłopak wrusza ramionami. Wyciąga rękę w stronę dziewczyny.

Renata podaje mu swoją, odwraca się od rozbawionej młodzieży.

Dziewczyny są już pijane, chętnie przytulają się do kolegów. Pomimo zimna ich spódnice są krótkie, a ręce chłopaków nie napotykają sprzeciwu, gdy pod te spódnice się wślizgują.

Dlaczego właściwie z nim idę? Bo nie dał mi się upić? Bo pamięta, że jutro jeżdżę? I nie pozwolił zapalić? Idę z nim nocą, dobrze robię? – myśli dziewczyna.

– Nie daj się – mówi chłopak. – Oni piją, bo nic innego nie mają.

– A ty jesteś taki mądry. Pozjadałeś wszystkie rozumy. A potem wrócisz do siebie i zapomnisz. A oni będą pamiętać, że poszłam z tobą w noc.

– Ja wrócę. Do siebie. A najpierw do nich. Szybko, bardzo szybko. Będą wiedzieli, że nic się nie wydarzyło. A ty się nie dawaj.

Idą w milczeniu skrajem drogi. Nie ma latarni, oświetlają ich tylko od czasu do czasu przejeżdżające samochody. Omiatają ruchomymi snopami ich sylwetki i nagie gałęzie drzew.

– No super! – Dziewczyna się wzdryga. – Jeszcze zaczęło padać.

– Jesteś z cukru? – Chłopak wyraźnie z niej kpi.

Renata nie odpowiada, wrusza tylko ramionami, chociaż jej towarzysz nie może tego widzieć. Zatrzymuje się, chwytając ją za ramiona.

Dziewczyna jest przestraszona.

– Posłuchaj. Nie daj się. Nie pozwól im na to. Jesteś inna. Masz w sobie coś, jeździsz na łyżwach, czytasz. Masz pasję.

– O co ci chodzi? – Dziewczyna rusza dalej, nie podnosząc głowy.

– Mój przyjaciel. Był świetny. Mądry. Miał plany. Dużo chciał.

Ale trochę się nudził. Więc chodził do naszego klubu na osiedlu. Takie tam. Wiesz, nic szczególnego. Trochę muzyki, wielka świecąca kulka na środku sufitu. Niewielki barek, nic w nim nie było złego. Złe przyszło w kieszeniach kilku chłopaków. Małe butelki, potem większe. Kilka fajek, potem skręcik. Dwa tygodnie temu pożegnałem kolegę. Leży na skraju cmentarza, w nowej części. Ważył trzydzieści osiem kilo, kiedy umarł. Chociaż on bardziej... zdechł... Nudził się. Ty się nie nudź. Rób coś.

Idą w milczeniu.

Już pod domem dziewczyna podnosi głowę. – Dlaczego ja? – pyta.

Chłopak wzrusza ramionami. – Nie wiem. Co za różnica. Bo jesteś inna. Bo mi się tak wydaje. Bez powodu.

– Bez?

Stoją przed furką. Mokną.

– Bo patrzyłem, jak jeździsz. Widziałem kiedyś. Nie zmarnuj tego. Bądź kimś. Kimkolwiek, tylko bądź.

Chłopak odchodzi, unosząc tylko rękę w geście pożegnania.

– Gdzie chodziłaś? – interesuje się siostra Renaty.

– Co miałam chodzić. Deszcz pada – odpowiada Renata.



– Ten chłopak wczoraj, to jak on miał na imię? – pyta Renata koleżankę.

– Wczoraj? A co ja pamiętam z wczoraj? Deszcz padał. Tyle wiem.

Teraz

– Dziecko, pojechałybyśmy do Karnkowa – powiedziała Krystyna po obiedzie.

– Pewnie, mamó. Może jutro z rana, dzisiaj już trochę ciemno.

– Anna, pojedziesz z nami? – zapytała Krystyna młodszą córkę.

– Ja... – Zająknęła się, ale gdy matka spojrzała na nią surowo, odkładając łyżeczkę od herbaty zirytowanym gestem, dopowiedziała szybko: – Tak, mamó. Oczywiście.

– Podjedź po nas, jak tylko odwieziesz Miłosza do przedszkola.

– Mamó, litości, to będzie ósma rano – jęknęła Renata. – Daj się wyspać!

Krystyna nie odpowiedziała. Była przyzwyczajona do wczesnego wstawania. Od dawna wprawdzie nie prowadziła dużego gospodarstwa, do jakiego przywykła w młodości. Zostało kilka kur i mały warzywniak. Czasem czuła pokusę usłyszenia z obórki odgłosów cieląt. Lubiła ich chrapliwy oddech, a nawet gorący, kwaśny zapach świeżych krowich placków, którymi potem nawoziła ogród. Klepała krowy i cielęta, głaskała ich chrapy, z przyjemnością szczotkowała. Rzadko doiła mechanicznie, lubiła miękkość wymion i dźwięk sikającego do cebrzyka mleka.

Teraz obórka stała się graciarnią. Kilka starych krzeseł, które szkoda wyrzucić, chociaż nie były używane już nawet w ogrodzie. Łuszcząca się farba na starym kuchennym kredensie pokazywała tęczę zmieniających się upodobań Krystyny. Ostatnio uspokoiła kolory wokół siebie, meble były jasne, a ubrania – szare. Kiedyś ściany jej kuchni miały kilka kolorów jednocześnie, a meble były jaskrawopomarańczowe. Kilka lat później nastąpiła znowu era ciemnej zieleni, która niespodziewanie zmieniła się w rozbielony błękit.

Kolory się zmieniały, niezmiennie pozostało przekonanie, że wstawać trzeba rano. *Szkoda dnia* – myślała Krystyna. Czasem przychodziło jej do głowy, że jednak nie bardzo jest co robić w ciągu tego dnia, ale wołała posiedzieć w ciszy i udawać, że coś haftuje, niż wylegiwać się w łóżku. *A nuż któraś sąsiadka przyjdzie i zobaczy, że ja o ósmej jeszcze w betach?* – myślała.

Renata знаła obyczaje matki i nie zamierzała się spierać, chociaż czuła się zmęczona. Przyjemna skądinąd wyprawa na stację wyczerpała ją bardziej, niż chciała się przyznać. Z niemałym trudem pomogła matce posprzątać po posiłku. A potem pod pretekstem obejrzenia telewizji z ulgą usiadła na kanapie. Chciała się wyspać, ale nie miała wątpliwości, że nim matka otworzy skrzypiące drzwi jej panińskiej sypialni, obudzi ją wewnętrzny budzik, nastawiony na codzienny obowiązek odwiezienia dzieci do szkoły. Potem już nie będzie mogła zasnąć.

Pomyliła się. Znacznie wcześniej, długo przed świtem, obudził ją jakiś ptak łomoczący skrzydłami pod dachem. Potem dyskutowali z ojcem, który wrócił późno w nocy od swojego brata, i którego ten sam ptak obudził nad ranem, że coś dużego musiało wlecieć na strych, może pod podbitkę. Nikomu jednak nie chciało się wchodzić po stromej drabinie. Na strych, na którym nikogo nie było od co najmniej dwunastu lat – od kiedy to obórka stała pusta i przejęła funkcję przechowalni dla niepotrzebnych, na wpół już umarłych przedmiotów.

Po śniadaniu wyruszyły na wycieczkę.

– Pamiętacie, jak chodziłyśmy tam na piechotę? – zapytała matka. Ojciec pozostał w domu z nadzieją, że nieobecność żony pozwoli mu na wylegiwanie się w łóżku w dzień.

– Mamo, jak mam pamiętać. Wozilaś mnie wtedy w wózku! – Renata się uśmiechnęła.

– A mnie to już wozilaś samochodem... – dodała Anna.

– Maluchem, nie samochodem! – Siostry zaczęły chichotać.

– Tak, nie pamiętacie. A dla mnie to były zawsze święte wyprawy, pielgrzymki niemal.

– Mamo, jedziemy tam dla przyjemności dzisiaj...

– Jedziemy do kościoła, dziecko. – Krystyna zmitygowała córkę.

Renata spojrzała w lusterko. Zrobiła kilka min, Anna odpowiedziała tym samym. Ot, wygłupy. Krystyna udawała, że nie widzi. Ale nie była zła na córki. I tak po przyjeździe na miejsce – dokładnie jak przewidziała – w odpowiednim do miejsca nabożnym skupieniu wchodziły na kamienne schody.

Zaparkowały wzdłuż utwardzonej drogi, tuż pod murkiem wspierającym kościelną skarzę. Poręcz schodków była lodowata

i przerdzewiała. Nie dawała oparcia, tylko ułudę bezpieczeństwa. A jednak Renata wspierała się na niej lekko, szukając jakiegokolwiek podpory przy wejściu na sześć schodków. Anna szła za siostrą zamyślona, spoglądała na wierzchołki drzew, ogołoconych teraz, a dających tak potrzebny cień latem. Ileż to razy bawiły się ukryte za tymi drzewami, znudzone monotonnym głosem księdza i powtarzalną melodią zaśpiewów wiernych. Raz nawet zakopały przy pniu drzewa sekret pod szkiełkiem, kolorowe zdjęcie jakiegoś tropikalnego raj, równie dla nich abstrakcyjnego jak Bóg na kościelnych malowidłach. Renata usiadła na ławce pod drzewem.

– Zimna ławka, nie siadaj tam, córuś – strofowała ją Krystyna.

Renata uśmiechnęła się i wstała. Kręciło jej się w głowie, sześć schodków bardzo ją zmęczyło. Posłusznie jednak weszła do kościoła i przykucnęła w ławce. Przysiadła pod białą amboną, od lat nieużywaną, zsunęła się na klęcznik i trwała tak oparta długą chwilę. Nie modliła się, nie myślała o niczym szczególnym. Czuła tylko spokój. Odpoczynek. Kręgosłup na chwilę przestał boleć, chłód kamiennego wnętrza uspokajał wzbierający ból głowy. Na ołtarzu królowała święta Jadwiga, jak zawsze smutno uśmiechnięta.

Dlaczego święci nie mogą być szczęśliwi? – zadawała sobie pytanie Renata jako nastolatka. Przez lata nie znalazła odpowiedzi i pytanie pojawiało się w jej głowie podczas każdej wizyty w świątyni.

Barokowe bogactwo kościoła nigdy jej się nie podobało. Lubiła wyobrażać sobie jego pierwotny, wyważony wystrój. Gotycki kamień, strzeliste formy. Chciała, by były strzeliste. Taki powinien być gotyk. Taki powinien być kościół.

– Mamo, tu jest ogrzewanie? – Renata się zdziwiła.

– A pewnie – z dumą odrzekła Krystyna. – Cywilizacja.

– To se księżulo dogodził – mruknęła Renata, a Krystyna się oburzyła.

– Nie „se dogodził”, tylko wiernym, parafianom. W krypcie porządek zrobił, wywalił umarłaków, co powinni być na cmentarzu, a nie wiernym powietrze zatruwać, i piec wstawił. Teraz mamy luksus.

– Wywalił umarłaków? Co ty mówisz, mamuś? Opróżnił kryptę? Przecież to zbezczeszczenie...

– Milcz córko, jak nie wiesz, o czym mówisz.
– Mamo, ta rodzina od lat utrzymywała ten kościół, jak można było...
– Milcz! – zdenerwowała się Krystyna.
– Milczę już, milczę. Tylko powiedz, co z nimi zrobił? No, z tymi umarlakami znaczy się. Ze szczątkami.
Krystyna wzruszyła ramionami. – A kto to wie.
Anna przysłuchiwała się rozmowie z daleka. Z rozbawieniem.
Pomogła siostrze wyjść z kościoła, bo Renata potknęła się na progu. – Nie pamiętasz, że przy mamie na kościół i księdza słowa nie można powiedzieć?
– Ale tak ze zmarłymi?
Anna wywróciła oczami. – To pod tym drzewem zakopywałyśmy nasze sekrety?
– Pewnie! Może jeszcze któryś został?
– Możemy sprawdzić. – Anna otworzyła torebkę i wyciągnęła pilnik do paznokci. – Nic innego nie mam.
– Ja też mam tylko pilnik.
Krystyna usiadła na ławce, a siostry, chichocząc jak nastolatki, rozgrzebywały twardą ziemię.
– Tutaj!
– Nie, coś ty, tutaj zakopywałyśmy.
– Tutaj, do dziś pamiętam, obrazek z Backstreet Boys.
– To co innego pamiętamy. Ja zakopywałam obrazek z różą, a pod nim było zdjęcie Tomka.
– Tomka? Tego z szóstej D?
– To ty nie wiesz, jaka byłam w nim zakochana?
– Ty? W Tomku? W tym łobuziaku? Moja starsza siostra?
– Za dużo pytań zadajesz, smarkulo. Pewnie, że ja, twoja starsza siostra, w tym łobuziaku. Kochałam go miłością dogonną, chyba ze dwa tygodnie.
– A skąd miałaś jego zdjęcie?
– Jak to skąd. Ukradłam z tablicy sprzed ich klasy.
– Co? Ukradłaś?
– Chodź, usiądziemy, bo naprawdę poupadamy. Ze śmiechu.

Chyba nic nie zostało z naszych sekretów.

– Wspomnienia nam zostały.

– Mhm. Bezcenne.

Krystyna czekała na córki w milczeniu. Dołączyły do niej, lekko zdyszane, bardziej śmiechem niż ze zmęczenia.

– Mamo, ale ksiądz żadnych więcej zmian w kościele nie będzie robił, jak myślisz? Co prawda mur się kruszy gdzieś tam, ale tu wszędzie coś ładnego jest. Herby głównie. Żeby nie zniszczyli przy naprawianiu.

– A co ja tam wiem. Ksiądz niech decyduje.

– Anka, a pamiętasz, tam robiłyśmy zdjęcia. Pod tamtym herbem.

– Tam? Nie, to było z drugiej strony.

– Z drugiej też, ale tam przede wszystkim.

Anna zmarszczyła brwi.

– Przypomnij sobie, pół klasy wtedy było.

– Pamiętam! Zdjęcia robił tata Wojtka, a potem nasz tata.

– I potem zostałyśmy jeszcze z tatą, i robił zdjęcia tylko nam.

– Nie tylko nam. Zostały jeszcze jakieś dwie koleżanki. Z mamą.

– Faktycznie. Nawet nie pamiętam, jak miały na imię.

– Miałam wtedy sukienkę z falbankami. Okropną.

– Pamiętam, różowa. – Renata się wykrzywiła.

– Była śliczna! – wtrąciła Krystyna.

– Mamo! – wykrzyknęły obydwie siostry.

– Chciałam wam powiedzieć, dziewczynki, że ja mam tamto zdjęcie. Właściwie zdjęcia. Są w albumie. Takim w szarym płótnie.

Siedziały jeszcze długo pod drzewem, właściwie nie rozmawiając. Renata odpoczywała, Anna rozmyślała, Krystyna też. O niczym szczególnym. Po prostu – w ciszy kościelnej parceli siedziały trzy kochające się kobiety. Krystyna wyciągnęła termos z gorącą herbatą, siostry uśmiechnęły się na tę zapobiegliwość matki, ale z przyjemnością ogrzewały dłonie o parujący kubek.

– Zjecie coś może?

– Mamo, zabrałaś ze sobą wałówkę?

– Masz jajka na twardo? – Renata się zainteresowała.

– Na obiad was zapraszam, dziewczynki, do domu.

– Pamiętasz, mama zawsze zabierała ze sobą wielką torbę z jedzeniem. – Renata zwróciła się do Anny.

– Do dziś mam na jednej z bluzek plamę po pomidorze.

Niespieralną.

– I kiedyś jajko trafiło się niedogotowane. Chlapnęło tacie na koszulę.

Aż do samego domu wspominały. Kraciastą torbę z pieczonymi kurczakami i owocową herbatę z domowych malin. Mapę na kolanach mamy, często odwróconą do góry nogami, oszczędność rodziców (napijecie się w domu, nie będziemy się zatrzymywać w barze). Pamiętały także kościoły, zamki, ruiny, muzea i wyprawy do lasu.

Obiad czekał na stole. Ojciec własnoręcznie obrał ziemniaki, rzecz niesłychana, i odgrzał zostawione przez Krystynę przysmaki.

– Muszę się położyć – powiedziała po obiedzie Renata.

– Migasz się od zmywania! – warknęła Anna.

– Cicho dziewczynki, ja pozmywam. – Krystyna ucięła szybko.

Renata położyła się w swoim dziewczęcym pokoju na wąskim łóżku. Pościel pachniała domem – niepowtarzalnym zapachem domowego kurzu, od lat tego samego płynu do płukania, rzadko wietrzonych szaf. Pościel pachniała matką. Zapadał wczesny zmierzch, zza bawelnianych zasłonek przeświecały jeszcze resztki dnia. To było otulające, bezpieczne światło. Renata zasnęła w ciągu kilku minut.

Anna pojechała po Miłosza, czekał na nią w świetlicy spragniony ciotki i jej obcego, ciekawego świata. Pojechali jednak do swojego domu, Anna umówiła się u matki dopiero na kolację. Krystyna i ojciec także drzemali. Zapadła cisza.

Ta cisza obudziła Renatę. Pulsowało jej w skroniach, było gorąco. Odrzuciła kołdrę i poczuła, że jest bardzo spocona. *Przeziębnię się* – pomyślała, i znów nakryła się kołdrą. Usiadła, cały czas przykryta. Pokój zawirował.

Przecież nie piłam – zdziwiła się w duchu.

Położyła się znów i leżała tak długo, aż Krystyna postanowiła obudzić córkę. Przysiadła na łóżku, dotknęła rozpalonego czoła Renaty, zmierzyła jej gorączkę, a potem zadzwoniła po lekarza. Renata leżała jakby obok siebie, widziała i słyszała, reagowała, rozmawiała, a jednak

patrzyła na siebie spod sufitu. Na postać leżącą w za wąskim łóżku, pod spraną pościelą, z pozlepianymi jasnymi włosami, które układały się na przepoczonej poduszce jak strąki kukurydzy.

– Ale doktorze, ona chorowała niedawno.

– Może wstała z łóżka za wcześnie. Na razie nic tu nie ma więcej, nic nie słyhać w płucach, tylko gorączkę proszę zbijać.

Znów cisza, pusta samotność, która się Renacie wcale nie dłużyła.

– Ciocia, dlaczego ty tak leżysz?

– Ciocia się chyba przeziębiła. Przewiało ją pewnie w Karnkowie.

Musi teraz odpoczywać.

– Ja się chciałem z ciocią pobawić!

– Jutro, Miłoszku, jutro.

Renata akceptowała każdą odpowiedź, każda była równie dobra, jak obojętna. Potrzebna jej była aksamitna cisza i taki sen, który by leczył. Sen jednak nadchodził falami, męczący, przynosił zabałaganione obrazy, przeszłe, przyszłe, wymyślone. Kalejdoskop wrażeń budził Renatę co kilkanaście minut. Dopiero druga porcja leków uspiła jej wyobraźnię na tyle, że mogła przespać spokojnie kilka godzin – aż do czwartej rano, kiedy znów obudziła ją cisza domu.

Przed szóstą zajrzała do niej matka. Ciemne oczy Renaty na jasnej poduszce wydawały się jeszcze większe.

– Nie śpisz?

Renata pokręciła głową.

– Przyniosę ci coś do jedzenia.

Znów przeczący ruch. – Tylko pić.

Posiedziały razem, Krystyna głąskała córkę, tak jak dawno temu, gdy wieczory spędzały jeszcze razem, na wspólnym czytaniu i oczekiwaniu na powrót ojca.

Po siódmej Renata się podniosła. – Lepiej mi już. Leki pomogły, pospałam w nocy. Mamo, nie martw się.

W łazience musiała jednak podeprzeć się dłonią. Uniesiona noga przeważała zmęczone ciało, Renata w ostatniej chwili uchroniła się przed upadkiem. Usiadła na brzegu wanny, zanim odkręciła wodę. Stała pod prysznicem, oparta o wykafelkowaną ścianę, w obawie, by znów się nie poślizgnąć. Ciągle kręciło jej się w głowie.

Za ścianą w kuchni głośno grało radio, dlatego Krystyna nie słyszała szumu lejącej się wody. Weszła, by wrzucić do pralki brudne ścierki.

– Renata! Co ty taka posiniaczona? – wykrzyknęła.

– Niezdara jestem, mamó. Ale mogłabyś mnie zostawić, trochę tak głupio.

– Co tam, nie tak gołą cię widziałam. I w środku u mnie byłaś. Ty dbaj o siebie, dziecko. – Krystyna podeszła do wanny.

– A to czemu takie dziwne? Cała jesteś w czerwonych kropkach.

– Uczulenia pewnie jakiegoś dostałam. Dzisiaj to nie wiadomo, co i kiedy zaszkodzi.

– Ja tam się nie znam, ale to to nie wygląda mi na uczulenie. Cała w tym jesteś. Plecy, uda, ramiona.

– Mamó, daj mi się wytrzeć.

– Idę, idę. Jak się starej matki wstydzisz, to idę.

Renata nie zauważyła u siebie dotychczas tych plamek. Ot, przyszło, to i przejdzie.

Na śniadanie Anna przyjechała późno. Starsza siostra zjadła już coś wcześniej, bo Krystyna uznała, że chora nie może czekać. Sama jednak czekała na młodszą córkę. Ojciec zjadł z Renatą i udał się do tajemniczej pracy, nazywanej inaczej drzemką nad gazetą.

– Niepotrzebnie czekałaś, mamó. Musiałam w przedszkolu porozmawiać z wychowawczynią. Przy okazji obiecałam, że pomogę przygotowywać dekoracje do przedstawienia. Pamiętasz?

– Dzień babci. Jak bym mogła nie pamiętać. – Krystyna wzruszyła ramionami.

– U nas dzień babci będzie chyba w lutym. Nie wiem czemu tak w przedszkolu zdecydowali – wtrąciła Renata.

– A jak zjemy, to pokażesz ten album? – zapytała zniecierpliwiona Anna.

– Od razu po niego pójdę. – Krystyna wstała od stołu.

– Mamó, zostaw, ja pójdę. Zjedz spokojnie. – Renata próbowała zatrzymać matkę, ale ta tylko machnęła ręką, jakby opędzała się od muchy.

Renata zaczęła znosić ze stołu. – Jedz szybciej – poganiała siostrę.

– Co ci tak śpieszno?

– W sumie... nie wiem. Zdjęcia pewnie chcę zobaczyć.

Krystyna wróciła z albumami. – Gdzieś tutaj. Ale najpierw skończymy śniadanie.

– Renata mnie pogania. – Anna się poskarżyła.

Krystyna zmierzyła starszą córkę wzrokiem, jakim mierzy się przykrótki materiał na długą suknię.

– Wiem, wiem, mamó, przy jedzeniu nie należy się śpieszyć. – Renata posłusznie usiadła za stołem. A za chwilę Krystyna wstała, by pozbierać naczynia.

– Pomogę...

– Siedź! – przykazała Krystyna. – U siebie jestem, dam radę.

Krzętanina trwała kilka minut. Zmywanie, układanie, wycieranie stołu. Jeszcze świeża herbata i kawa zalewana w szklankach w plecionych koszykach. Domowe ciasto i talerzyki w kwiatki. Wszystko stanęło na komodzie, bo albumy zajęły prawie cały stół.

Kobiety wykrzykiwały co chwilę: – A pamiętacie? A tutaj! – aż w końcu Anna znalazła fotografie spod herbu na kościele w Karnkowie. Wszystkie pochyliły się nad zdjęciami. Czarno-białe, na grubym papierze wycinanym w koronkowy wzorek, przedstawiały roześmiane postacie zupełnie nieprzejmujące się fotografem. Dwie siostry, siostry z mamą, dziewczynki z koleżanką, z dwiema koleżankami i ich mamą.

– Tylko taty nie ma na tych zdjęciach – powiedziała Anna.

– Tata fotografował – odpowiedziała matka.

– Mamó, mogę wziąć jedno? Albo dwa?

Krystyna przechyliła głowę, mówiąc: – Właściwie dlaczego nie?

Obydwie siostry wybrały po dwa zdjęcia. Renata następnego dnia po powrocie do domu kupiła do nich ramki – jedno postawiła na komodzie w sypialni, drugie zawisło na ścianie w pokoju dzieci.

Oglądały jeszcze albumy, gdy zadzwonił telefon.

– Mamó! Dostałam piątkę! Muszę nauczyć się robić szydełkiem, muszę zrobić szalik! Zrobię dla ciebie szalik! Mamó, kiedy będziesz? – Krzyś wyszarpnął słuchawkę Krysi. – Ja też chcę zrobić dla ciebie szalik! Czerwony! – Renata próbowała odpowiadać na wszystkie pytania, ale padały zbyt szybko. W końcu słuchawkę przejął Mateusz.

– Wracaj już, nie daję z nimi rady. Ja chcę do pracy! – jęknął.

– Jutro może, dzisiaj trochę słabo się czuję.
– Co to znaczy słabo? Co ci jest?
– Znowu wczoraj dostałam gorączki, odpocznę dziś trochę, jutro pojedę.

– Dbaj o siebie, nie przezięb się. Ubierz się ciepło.
– Mateusz, kochanie. Może za dużo wrażeń. Wczoraj byliśmy w Karnkowie. Dziś zwolnię trochę, pobawię się z Miłozsem. Jutro wrócę. Przygotuj dzieciaki, że wszystkie prace domowe mają być odrobione, a pokoje posprzątane.

Zaniepokojony Mateusz zadzwonił do doktora Affentowicza.

– A badania zrobione? Niech pan koniecznie przekona żonę, żeby zrobiła badania, z wynikami proszę do mnie zadzwonić.



– Odbiorę dzisiaj wcześniej Miłozzka. Ucieszy się.
– Może do kina go zabierzemy?
– Na spacer nie pójdę, ale do kina, czemu nie. – Renata uśmiechnęła się do siostry.

Siostry uzgodniły, że zabiorą małego z przedszkola zaraz po obiedzie. W przedszkolu dzieci jadły go przed dwunastą.

– Na lody też pójdziemy. – Renata obiecywała małemu, trzymając go za rękę przy wyjściu z przedszkola.

– Ciociu, a daleko to jest?

– Pół godzinki. Wybierzemy film, a potem będziemy odpoczywać przy lodach.

– I kawie – wtrąciła Anna.

– I wybierzemy prezenty dla twoich kuzynów – dodała Renata.

– A dla mnie?

– No jakżeby inaczej, dla ciebie też, koniecznie! – przekomarzała się Renata, przypinając małego w foteliku.

Anna pomyślała, że w centrum handlowym nie była już... nie pamiętała. Codzienność nie pozwalała jej na jeżdżenie do Włocławka.

W Lipnie można było kupić wszystko, co potrzebne, i to musiało wystarczyć. Kino? Zbytek. Podróż – marnowanie paliwa. Kawa i ciastko – luksus.

A niech mały ma – pomyślała. – Niech pamięta ciotkę.

Renata czuła się słabo, więc popołudnie spędzili, powoli spacerując pomiędzy sklepami, dużo odpoczywając na lodach i dwóch kolejnych ciastkach. W międzyczasie zaliczyli głupią kreskówkę. Miłoszowi się podobała. Wrócili do domu wieczorem. Krystyna czekała z kolacją, po słodkościach nie bardzo chcieli jeść. Kiedy jednak Krystyna postawiła na stole czosnkową swojską kielbasę, wczoraj wędzoną przez sąsiada, Renata nie mogła się oprzeć.

– Na pewno chcesz jutro wracać? – zagadnęła starszą córkę po kolacji.

– Nie wiem, czy chcę, ale dzieci czekają. Mateusz musi iść do pracy... Muszę wracać, chociaż dobrze mi tu u ciebie, mamo.

– Mam dla ciebie kilka rzeczy. – Krystyna z westchnieniem wskazała na dwie wielkie torby stojące przy drzwiach kuchni.

– Mamo?

– To tylko jajka, trochę kielbasy, ciasto dla was upiekłam. Nic tam takiego, ale co będziecie te miastowe śmieci jeść.

Renata uścisnęła matkę. Pomyślała, obydwie pomyślały, że trzeba wykorzystać okazję i po prostu poczuć swoje ciało, bliskość, dotyk i zapach. Na co dzień głupio tak, obściskiwać się bez powodu, a tu okazja sama się trafiła. Podziękowania, pożegnania, dobry moment. Szczególnie gdy nikt nie patrzy.

Przed nocą Renata wzięła leki, spała więc spokojnie. Krystyna trzy razy wchodziła do pokoju córki, przyglądała się rozsypanym na poduszce jasnym włosom, słuchała lekko chrapliwego oddechu. Renata się nie obudziła.

Rankiem Krystyna zamierzała znów wejść do łazienki podczas kąpieli córki, trzymała nawet na tę okazję pobrudzoną wczorajszą ścierkę. Renata jednak zasunęła zasuwkę. Sama oglądała swoje ciało w sinym świetle poranka. Ilość wybroczyn powiększyła się, pojawił się nowy siniak. Poprzedniego dnia w kawiarni uderzyła się w biodro. Ledwo dotknęła krzesła, a siniak był granatowy, chociaż malutki.

Chyba nie służą mi wiejskie jajka. Coś mnie musi w nich uczulać – westchnęła, wycierając się. Lekko podmalowała oczy, ułożyła starannie włosy. – *Prawie jak człowiek* – mruknęła jeszcze pod nosem, spoglądając w niewielkie lustro, z którego na brzegach schodziła odbijająca powłoka. Czarne krople nie układały się w żaden wzór.

– Śniadanie! – krzyknęła Krystyna.

Zaraz za drzwiami dopadł Renatę Miłosz. – Ciocia, nie wyjeżdżaj, pojedźmy jeszcze gdzieś!

– Ty nie w przedszkolu?

– Mama pozwoliła mi się z tobą pożegnać. Przyjedź znowu, szybko! – Dzieciak był smutny.

Przytuliła go i spojrzała z wyrzutem na siostrę. – Będzie teraz jeszcze bardziej tęsknił. Wyjazdy, atrakcje, prezenty, i jeszcze może nie iść do przedszkola.

– On akurat lubi przedszkole. Zrezygnował z niego, żeby z tobą chwilę pobyc.

Miłosz śniadanie przesiedział na kolanach Renaty, domagając się karmienia.

– Regres – mruknęła Anna.

– Daj mu spokój, niech się potuli. – Krystyna broniła wnuka.

– Ja już się pożegnam – wtrącił ojciec. – Muszę jechać do Jurka.

Wszyscy wiedzieli, że ojciec ucieka do sąsiada z obawy przed łzami, głównie własnymi.

Renata wsiadała do samochodu żegnana łzami Miłosza i błogosławieństwem matki.

Cóż za sentymentalny gest – myślała, wyjeżdżając na główną drogę.

Jechała powoli, często odpoczywając. Nie przyznała się matce, że rano miała jeszcze niewielką gorączkę. Stan podgorączkowy raczej, ale jednak. Nie czuła się dobrze i co pięćdziesiąt kilometrów robiła przerwę. W domu była więc późno, dopiero wieczorem. Dzieci obsiadły ją jak muchy lep, prezenty oglądały na kolanach matki. Tylko Eryk siedział z boku, ale też nie wychodził z pokoju, ucieszony kompletnością rodziny. Z ojcem było fajnie, ale mama dawała większe poczucie przewidywalności. Kanapki może były bardziej jednostajne, jednak

zawsze były, a ojcu zdarzyło się zapomnieć o włożeniu śniadaniówek do plecaków dzieci. Poza tym zupy z proszku po trzech dniach odbijały się czkawką, czwartego nie był w stanie takiej zjeść. Na pomoc ojca w odrabianiu prac domowych też mógł liczyć średnio, bo Mateusz siedział z nosem w komputerze i odpowiadał na służbowe maile. Mama przynajmniej mówiła uczciwie – nie wiem, ale nie udawała. Pomagała, jak umiała, i zawsze miała dla niego czas.

– Pomóż mi rozpakować auto. – Renata poprosiła Mateusza.

Z garażu przytaszczył cztery torby.

– Coś ty nawiozła?

– Jajka. Ciasto. Mięso. Kielbasa. Cuda wianki, a wszystko do jedzenia. To do kuchni, a te dwie torby do sypialni.

– Dwie torby? Po co kobiecie tyle rzeczy na cztery dni?

Renata spojrzała z wyrzutem na męża. Mateusz się uśmiechał. Był stęskniony żony tak jak dzieci matki. Gotował zupki, których nie chciał jeść ani on sam, ani dzieciaki. Makaron na obiad też Renacie wychodził smaczniejszy. I w ogóle – trudno byłoby mu się do tego głośno przyznać, ale nie bardzo sobie radził z całą gromadką, gotowaniem, lekcjami, byciem wszędzie na czas. W pracy lepiej potrafił poukładać sprawy do załatwienia.

Wieczorem Mateusz liczył na seks. Po kilkudniowej przerwie wyobrażał sobie wyuzdane sceny. Renata zasnęła, zanim wrócił z łazienki.

Rankiem Mateusz przygotował dzieci, odwiózł je do szkoły i pojechał do pracy. Gdy Renata wstała i zeszła do kuchni, pośród porozkładanych talerzy, pokruszonego chleba i przyschniętych resztek kanapek zastała kartkę: „Wyśpij się. Dzieci w szkole. Jadę w delegację, będę jutro. Liczę na...”. Dolny brzeg kartki zapełniały uśmiechnięte buźki.

– Liczę na... – powtórzyła półgłosem Renata. – Właściwie, czemu nie? Ja też na to liczę.

Ogarnęła kuchnię, poczuła się zmęczona. Odpoczęła, umyła się. Rozpakowała torby. Przygotowała obiad. Zajęło jej to, z przerwami na odpoczynek, sporo czasu. W poczuciu, że jest spóźniona – pojechała po dzieci.

W drzwiach szkoły spotkała sąsiada. Zagadany z innym ojcem, nieuważnie puścił ciężkie drzwi. Uderzyły Renatę, aż syknęła. Gabriel w ukłonach przeproszał.

– Ależ to moja wina. – Nieznany Renacie ojciec nagle się wtrącił.

– Ależ skąd, to ja...

– Ale to ja pana zagadałem. Nic pani nie jest?

– Nie... chyba nie. – Renata była blada, zachwiała się. – Dobrze, że nie w głowę – dodała, siedząc już na ławce w szkolnej szatni.

– Ja... bardzo przepraszam, ale będę musiał... – Nieznajomy ojciec wyraźnie się śpieszył. – Chyba, że coś jeszcze...

– Nie, nie, proszę się nie kłopotać, zostanę z panią. – Gabriel go wyręczył.

Nieznajomy pożegnał się.

– Kto to?

– Pracowałem z nim kiedyś. Jego syn chyba się tutaj uczy.

– Co ty w ogóle robisz w szkole?

– Moja firma złożyła ofertę w przetargu.

– Twoja firma? – Renata zmarszczyła brwi.

– Ktoś musi kosić trawę wokół boiska. – Gabriel się zaśmiał.

No jasne, przecież on zajmuje się ogrodnictwem! – uświadomiła sobie Renata.

– Myślałam, że bardziej projektujesz ogrody – powiedziała po chwili zastanowienia.

– Projektuję, jak mam klientów na projekt. A na co dzień dbam o zieleń. Co mi wpadnie. Szkolny teren też mogę okiełznać.

– Ale nie będziesz latał z kosiarką...?

Gabriel roześmiał się tak serdecznie, że Renacie zrobiło się głupio.

– Oj, chyba mnie nie znasz. Zapraszam na kawę. – Renata zaczęła się podnosić, więc podał jej rękę i mrugnął nieznacznie w jej stronę.

Zrobił to na tyle taktownie, że Renata nie była tego mrugnięcia pewna.

– Eeee... – zająknęła się – ja... dzisiaj nie, śpieszę się po dzieci.

– Jutro rano? – Sąsiad nie ustępował.

– Jutro? Tak, może być jutro – z roztargnieniem odpowiedziała Renata, widząc zbliżającego się Eryka.

– O dziesiątej na rogu, w Różanym Kąciku. Wiesz, gdzie to jest?

Renata kiwnęła głową i już biegła w stronę Eryka.

– Kto to był? – Eryk zmarszczył brwi.

– Sąsiad. – Renata wzruszyła ramionami.

– I ja go nie znam? – dopytywał się Eryk.

– Nie musisz wszystkich znać. Lecę po maluchy. Gdzie będziesz?

– Poczekam na ławce przy boisku.

Renata weszła na piętro. Krysia skończyła lekcje kwadrans temu.

Lekko nadąsana siedziała w świetlicy na podłodze, obok plecaka.

– Nie chciała nawet wyciągnąć kanapki – powiedziała świetliczanka.

– Miałaś od razu po mnie przyjść! – Dziewczynka przytuliła się do matki.

Renata zgarnęła córkę miękkim ruchem do siebie, sięgnęła po plecak. Na pustym korytarzu ucałowała małą. Przytulone, uśmiechnięte, powoli poszły w stronę szatni. Z pokoju nauczycielskiego wyszedł wychowawca Eryka.

Dość młody mężczyzna miał lekko siwiejące, niewielkie wąsy i już przerzedzone włosy w mysim kolorze. Pełnił także funkcję wicedyrektora, więc miał niewiele godzin dydaktycznych i często można go było spotkać na korytarzu. Na widok Renaty zatrzymał się. Mrużąc oczy, popatrzył na małą.

– Czy mógłbym...? – zawiesił głos. Przyzwyczajony do posłuchu, patrzył w milczeniu, jak Renata kucnęła przy Krysi i całując ją w nos, powiedziała: – Idź do szatni, ubierz się. Zaraz przyjdę.

Krysia odeszła niechętnie, odwracając się jeszcze kilka razy. Dyrektor spokojnie czekał.

– Chciałbym porozmawiać o Eryku.

A o kim by innym – pomyślała Renata.

– Czy coś nie tak z jego nauką? – zapytała.

– Z nauką nie, bez zmian, jest dobrym uczniem. Czasem nawet bardzo dobrym. Jednak niepokoi mnie ostatnio jego zachowanie.

Renata nic nie odpowiedziała, zastanawiając się, o co może chodzić.

– Eryk... stroni od kolegów. Często siada sam, chętnie na końcu klasy.

– Czy zachowuje się niewłaściwie? Rozrabia? Pyskuje? – dopytywała się Renata.

– Nie... Ale to był towarzyski chłopak, a teraz się zamyka. Nie macie państwo jakichś problemów?

– Nie... – Renata pokręciła głową. – Ale dziękuję za sygnał. Zastanowię się, co mogło się wydarzyć.

Krysia w szatni czekała ubrana, lewy bucik na prawej nodze. Czapka zasunięta aż po oczy. Renata spojrzała na córkę rozbawiona, pochwaliła ją za samodzielność. Krysia rozplątała rączki i powiedziała: – Mamo, tęskniłam za tobą.

– Krysuniu, to było tylko kilka dni...

– Nie mogłaś mnie wziąć ze sobą?

– Miałaś szkołę. Może następnym razem? Już niedługo będą ferie, wszyscy razem wyjedziemy.

Przeszły do drugiego budynku, woźna akurat myła podłogę.

– Przepraszamy, nabrudzimy tu pani. – Renata zrobiła skruszoną minę. Woźna tylko machnęła ręką.

– Pani, żeby tu tylko takie brudzenie było. – I dalej w skupieniu machała mopem.

Krzyś porzucił kredki, gdy tylko zobaczył Renatę w drzwiach.

– Krzysiu, układamy po sobie zabawki. – Wychowawczyni zatrzymała chłopca. W pośpiechu, nieskładnie wkładał kredki do pudełka. Wysypał je, kiedy podawał pojemnik wychowawczyni. Machnęła ręką: – Idź już do mamy.

Przytulił się równie mocno jak Krysia, za to bez dąsów. Renata kucnęła, pomagając mu zapiąć guziki kurtki. Musiała się podeprzeć, znów zakreśliło jej się w głowie.

Eryk siedział na ławce przed szkołą, wpatrzony w parking.

– Myślałam, że poczytasz – zagadnęła Renata.

– Zdążę jeszcze. – Eryk wzruszył ramionami.

Rzeczywiście, coś nie w sosie jest – pomyślała Renata.

Dzieciaki rozrabiały w samochodzie. – Mamo, on mnie uderzył! – poskarżyła się Krysia, a Krzyś nie pozostał dłużny: – Ty byłaś pierwsza, ty zaczęłaś!

Renatę na dobre rozboleła głowa.

– Mamo, a co porobimy po południu? – zapytał Eryk.

– Właśnie, co porobimy? – przekrzykiwały się maluchy.

Położymy się do łóżek, nakryjemy kocem i będziemy milczeć – pomyślała Renata. Głośno zapytała: – A co byście chcieli?

– Będziemy robili szydełkiem! – Krzyś się zapalił.

– Nieprawda! Będziemy bawili się lalkami! – skontrowała Krysia.

– Chciałbym pójść na łyżwy – powiedział cicho Eryk. Propozycja chłopaka została przyjęta milczeniem. Dzieci przekrzywiły głowy, kalkulując, czy to naprawdę jest dobry pomysł. Szybko odzyskały wigor. – łyżwy! – krzyknęły równocześnie. – Tak, mamo, tak, łyżwy!

Renata spojrzała w lusterku na roześmiane dzieci.

łyżwy. Czemu nie? – pomyślała.

– W takim razie szybkie odrabianie lekcji i obiad zjedzony do ostatniego okruszka.

Dzieci wypadły z samochodu, porzucając w biegu kurtki i czapki. Z plecaka Krysi, rzuconego niedbale obok stołu, wysypały się zeszyty i książki, niedomknięta śniadaniówka się otworzyła, wypadł z niej ogryzek i nadgryziona kanapka. Krysia, oblizując wargi, kaligrafowała coś w książce. Zanim Renata weszła do pokoju, Krysia robiła już drugie zadanie.

Jeszcze w przedpokoju Eryk powiedział:

– Mało mam dzisiaj zadane, odrobię wieczorem. Tylko fizyka. Tatę poproszę, bo nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Tata jest w delegacji, ale zadzwonimy do niego. Może od razu zadzwoń? Niech ma czas się zastanowić nad rozwiązaniem.

– Dobrze, mamo.

Renata podniosła głowę znad układanych butów. – Ufam ci, synku, wiesz o tym?

– Wiem – odpowiedział i szybkim krokiem poszedł do swojego pokoju. Renata ułożyła rozrzucone ubrania i weszła do kuchni.

Z przyjemnością patrzyła, jak Krysia odrabia z zapalem lekcje. Krzyś rozsiadł się obok siostry i rysował.

– Mamo, namalowałem dla ciebie serce!

– Piękne. – Renata się uśmiechnęła.

– Nie przeszkadzaj! – warknęła Krysia, która postanowiła, że gdy

tylko skończy odrabiać lekcje, namaluje dla mamy ładniejsze serce.

– Obiad za pięć minut! – krzyknęła Renata.

I już po kwadransie układała naczynia w zmywarce.

Zanim skończyła, Krzyś i Krysia mieli założone buty i czapki, Eryk pomagał bratu założyć kurtkę.

– Moje dzielne dzieci! – Renata ubrała się szybko. *Zawsze się śpieszę* – pomyślała.

– Mamo, opowiedz, jak jeździłaś na łyżwach – poprosiła Krysia w samochodzie.

– Po raz setny?

– Tak, tak, mamo, tak! – wtórował Krzyś.

– Kiedy miałam tyle lat, co wy...

– To znaczy ile, mamo, tyle co ja czy tyle co Krzyś?

– Najpierw tyle co Krzyś, a potem tyle co ty. Wtedy bardzo lubiłam jeździć na łyżwach. Tak bardzo, że jeździłam codziennie, każdej zimy. A moje łyżwy nie były tak wygodne jak wasze. To były takie kawałki metalu, wyglądały prawie jak noże z szeroką nasadką, i przypinało się je skórzanymi paskami do butów. W czasie jazdy potrafiły się przesunąć i nie raz zdarzyło mi się wywrócić. Poza tym lód na stawie nie był gładki, było tam dużo różnych zgrubień, nierówności... No, w każdym razie często spory kawałek jechałam na pupie.

– I nie bolało cię?

– Pewnie, że bolało. Ale i tak jeździłam.

– Mamo, a ktoś ci tak kazał jeździć?

– Ależ skąd, córeczko! Sama chciałam.

– I co było dalej, i co? – dopytywał się Krzyś, chociaż słyszał tę historię wiele razy.

– Kiedy byłam w trzeciej klasie, nasza szkoła zorganizowała wyjazd na lodowisko. To było nie byle co. Jechaliśmy czterdzieści kilometrów! Nigdy wcześniej nie jeździłam po tak gładkim lodzie... I byłam bardzo szczęśliwa, bo tylko ja spośród wszystkich dzieci jeździłam tak dobrze. Każde jeździło, ale ja najlepiej! Na tym lodowisku był pan trener, taki prawdziwy. I on zaproponował, żebym uczyła się jeździć na łyżwach tak naprawdę. Przyjechał potem do mojej szkoły, rozmawiał z dyrektorem, odwiedził też moich rodziców... I później

przez długi, długi czas codziennie jeździłam na treningi. Wyobrażacie sobie? Czterdzieści kilometrów w jedną stronę! Wiele dzieci w mojej nowej szkole mieszkało w internacie, ale ja byłam jeszcze za mała. Tata dowoził mnie codziennie do szkoły. To były czasy... – Renata się rozmarzyła.

– Mamo, a internat to coś jak sierociniec?

– Co? Skąd ci to przyszło do głowy, Krzysiu? Dzieci mieszkały w internacie tylko wtedy, kiedy chodziły do szkoły. Na weekendy, święta i w wakacje jeździły do domów.

– Mamo, ale będziemy dzisiaj długo jeździć, co? – zapytała prosząco Krysia.

– Chyba nie bardzo. Już prawie ciemno.

– Przecież są światła na lodowisku!

– Ale jutro trzeba wstąpić wcześnie. Zobaczymy.

Eryk wyciągnął z bagażnika łyżwy i pomógł dzieciakom je założyć. Renata usiadła na ławce i zdała sobie sprawę, że jej łyżwy zrobiły się za małe. *Kiedy ja ostatnio jeździłam?* – Nie mogła sobie przypomnieć. – *Muszę pożyczyć łyżwy!*

– Rozmiar uprzejmej pani?

– Wydawało mi się, że trzydzieści sześć, ale to raczej przeszłość. Mam grube skarpetki, niech będzie trzydzieści osiem.

– Dla takiej pięknej pani to jakieś specjalne muszą być. Kolorek pani sobie życzy?

– Dziękuję panu, ale to bez znaczenia. Tylko żeby były naostrzone.

– A naostrzę szanownej pani.

– To trochę za długo potrwa. Proszę o najostrzejsze, jakie ma pan w tym rozmiarze.

– Pani spojrzy. Te ładne, ale jasne takie. Nie pasują do ubioru szanownej pani. Może takie granatowe. Z paseczkiem?

Renata oglądała łyżwy, obie pary były zjeżdżone i tępe.

– A inne jakieś?

– Takie jeszcze tylko, ale spojrzy pani, wytarte takie...

– Ale one są ostre. To ja te poproszę.

– Co też pani. Te brzydkie. – Mężczyzna wykonał ruch, jakby zamierzał je odłożyć na półkę.

Renata chwyciła za jedną łyżwę. – Ale ja właśnie te chcę.

– To wie pani, musi pani obiecać, że kawę ze mną wypije.

– Słucham?

– Kawkę zaparzę szanownej pani.

– A... tak, dziękuję. Może później?

– To będę czekał szanownej pani.

Renata weszła na lód kręcąc głową. *Jakbym miała dwadzieścia lat*
– pomyślała.

Raptem poczuła uderzenie i pacnęła na ziemię. Coś przygniotło ją od góry i ponownie uderzyło z boku.

– Mamo, jedziemy! – krzyczała Krysia, otrzepując się z drobin lodu.

– Mamo, pomóż wstać, jedziemy! – wtórował jej Krzyś.

Eryk podjechał w pośpiechu. – Nic wam nie jest?

– Nie, tylko będę miała kolejnego siniaka – stęknęła Renata. Już za chwilę dwójka dzieciaków trzymała ją za ręce i razem kręcili się po lodowisku jak szaleni.

– Jesteście jak pijane zające. – Matka śmiała się do dzieci. Nawet Eryk do nich dołączył. Ścigali się w kółko, mama była berkiem. Lodowisko pustoszało, zapadł zmrok. Mogli szaleć bez specjalnego ryzyka zderzenia.

– Mamo, zakręć piruet! – poprosiła Krysia.

– Nie wiem, czy pamiętam. – Renata się zawahała.

– Mamo! – Eryk spojrział z wyrzutem.

Renata ruszyła wkoło lodowiska, ustawiając się i nabierając rozpędu. Piruet wyszedł trochę krótki, ale drugi był znacznie dłuższy i szybszy. – Jakbym poćwiczyła, to pewnie bym sobie przypomniała.

– Mamo, a skoczysz tak ładnie? Tak jak te panie w telewizji?

– Nie, kochanie, skakać nie mogę. Nie jestem rozgrzana, dawno nie skakałam. Musiałabym trochę poćwiczyć. Ale mogę pouczyć cię piruetu.

– Ja też chcę, mamo, ja też!

Przez blisko godzinę jeszcze kręcili się po tafli. Próbowali wszyscy, Eryk, Krysia i Krzyś. Pan z wypożyczalni oparł się o barierkę i paląc papierosa, w milczeniu patrzył na rozbawioną czwórkę. Do zamknięcia lodowiska pozostało dziesięć minut, ale nie miał do kogo się

śpieszyć. Żona umarła na marskość wątroby, syn siedział w więzieniu, niby za jakąś drobną kradzież, ale recydywa, córka wyjechała do Nowej Zelandii i nie dawała znaku życia od ponad czterech lat. Druga nie chciała mieć z ojcem nic wspólnego. Liczył, że taka miła pani, co to przyszła na lodowisko, potowarzyszy mu przez kilka godzin, ale nie widział wcześniej dzieciaków. Dzieci były przeszkodą. A jednak nie poganiał ich – ta miła pani kręciła się tak ładnie. I – wbrew samemu sobie – miło było mu patrzeć i słuchać, jak głośno się śmieją.

– Słuchajcie, już po czasie! – krzyknął w pewnym momencie Eryk.

– Zapinać kurtki! – zakomenderowała Renata. Podczas jazdy dzieci porozpinały się, szaliki leżały skłębione na lodzie przy bramce wyjściowej. – Krzysiu, podjedź, zawiążę ci szalik. Eryk, pomóż Krysi. – Dzieciaki zeszły z tafli. Teraz dopiero Renata zobaczyła opartego o barierkę mężczyznę. Poczula się niezręcznie.

– Pan na mnie czeka, przepraszam.

– Nic to, pani piękna. Pani da łyżwy.

Renata zdjęła łyżwy i podała je mężczyźnie. Odszedł, schował łyżwy i zaczął zamykać budkę. Renata zasznurowała buty i podeszła do budki.

– Ile jestem winna?

Facet machnął ręką. – E tam, pani.

– Proszę nie żartować, chciałabym zapłacić.

Mężczyzna nawet na nią nie spojrział. Pogasił światła i powoli odszedł.

Renata objęła dzieciaki i wolnym krokiem poszli do auta.

– Mamo, dlaczego przestałaś jeździć? – zapytał Eryk.

– Miałam kontuzję. Złamałam nogę.

– Na lodowisku?

– Nie, właśnie nie. Graliśmy w piłkę na szkolnym boisku.

Przewróciłam się, a potem kolega wpadł na mnie. Bardzo niefortunnie, złamanie było skomplikowane, długo musiałam leżeć, potem chodziłam o kulach... Na rok przerwałam treningi. Nie wróciłam już na lodowisko. Po kontuzji długo nie byłam w pełni sprawna, miałam kompleksy, rówieśnicy poszli dalej, cały czas ćwiczyli, a ja... Ale została mi miłość do łyżew.

– To może częściej byśmy jeździli?

– Dlaczego nie? – Renata uśmiechnęła się do Eryka. Chłopiec siedział obok i obgryzał paznokcie.

Od kiedy on obgryza paznokcie? – pomyślała. – *Nie zauważyłam.* – Nie zwróciła mu jednak uwagi. – *Nie będę go zawstydząć przy rodzeństwie.*

– Proszę o pomoc przy kolacji! – zakomenderowała jeszcze w samochodzie.

– Ja pomagam! – odparła Krysia.

– I ja! – krzyknął Krzyś.

– Ja też – powiedział cicho Eryk.

Kanapki i twaróg pojawiły się na stole w ciągu kilku minut. Dzieciaki przekrzykiwały się między sobą. Które lepiej jeździło, kręciło, było grzeczniejsze. Renata nie była głodna. Usiadła przy stole na odsuniętym krześle i wzięła do ręki robótkę dla Krysi. Czerwony szalik. Zostawiła nierówne oczka córki, pierwsze próby układania nitki nieporadną rączką.

Niech będą na pamiątkę – pomyślała. – *Jak znak wodny.*

Dalej robiła równe, gładkie słupki, które zlewały się w lekko puchatej włóczce.

– Może zadzwonimy do taty? – zaproponowała.

Mateusz skończył już spotkania. W hotelowym pokoju przygotowywał się do kolacji.

– Jeździłaś? Super! Szkoda, że beze mnie... – stwierdził, gdy Renata opowiedziała mu o popołudniu.

– Z tobą jak wrócisz. – Renata się zaśmiała. – Ale pod prysznicem.

– Co będziesz robiła pod prysznicem, mamó? – zapytała Krysia, wchodząc do pokoju.

– Krysia chce z tobą rozmawiać. – Renata podsunęła córce słuchawkę. Potem krzątała się chwilę po kuchni i salonie.

– Drodzy państwo, kończymy te przyjemności, sprawdzamy, czy wszystko odrobione i pakujemy plecaki na jutro. Eryk, ty masz jeszcze coś odrobienia?

– Tata mi wytłumaczył – odpowiedział chłopak.

Matka ułożyła dzieci do snu, głaszcząc potargane głowy

i śpiewając kołysankę. Weszła pod prysznic bardzo zmęczona. Gorąca woda działała odprężająco. Jednak ze zmęczenia nie mogła zasnąć. Rozmyślała.

Cudownie było poczuć wiatr na twarzy. Kojąco przepływające powietrze, chłodzące rozgrzane policzki. Pęd, rotacja ciała przy piruetach, jak przy skokach. Pokonywanie grawitacji. Lekkość. Pot opływający całe ciało. Nie krople, nie strużki, tylko kąpiel w pocie. Bywały noce, w które śniła jazdę na lodzie. Bardzo realistycznie. Odzywała się w niej – tęsknota? Niespełnienie? Po takim śnie zawsze gwałtownie kochała się z Mateuszem. Bez względu na godzinę – budziła się wcześniej, budziła męża, dosiadała go lub pozwalała dosiąść siebie. Taki seks był wyjątkowy. Bez słów. Potem czuła się mokra jak po treningu, i ten pot miał szczególny zapach. Czuła go od siebie i od Mateusza. Zapach zmęczenia, rozkoszy. Zwierzęcy. Tego czasami potrzebowała – po prostu odrobiny zwierzęcego zmęczenia.

Leżąc spokojnie w łóżku, Renata pokasływała.

Rano, zamiast dzień dobry, Krysia rzuciła pytanie:

– Mamo, dzisiaj też pojedziemy na łyżwy?

– Dzisiaj wraca tata, będziemy na niego czekać w domu –

odpowiedziała Renata.

Dziewczynka stała skonsternowana. Nie mogła zdecydować, czy smucić się z powodu łyżew, czy cieszyć z powrotu taty.

Szkolny korytarz i szatnię zalewało zimne światło jarzeniówki. Styczniowy poranek był pochmurny, ponury wręcz, a dzieciaki okropnie marudziły.

Nie wytrzymam! – pomyślała Renata. – *Mateusz znowu zostawił mnie samą, nie dają już rady z całą tą trójką.* – Odepchnęła złe myśli, pomogła Krysi i Krzysiówi, wycalowała i uśmiechnęła się.

Co to, ciotki mam dostać? – zastanawiała się w samochodzie. Odruchowo skierowała auto w stronę domu, zawróciła po chwili. – *Spotkanie z sąsiadem. Ładnie. Co ja wyprawiam?*

Podjechali pod kawiarnię praktycznie równocześnie. Zamówili taką samą kawę, Renata odmówiła ciastka.

– Ostatnio pobolewa mnie żołądek – powiedziała usprawiedliwiająco, chociaż tak naprawdę żołądek miała po prostu

ściśnięty.

Jestem stremowana! – pomyślała rozbawiona.

Rozmawiali o niczym, ot plotki. Nie bardzo potrafili znaleźć temat. Zeszło na gminę, wójta, lokalne inwestycje. I oczywiście na ludzi, także na sąsiadów. Renata wybuchła serdecznym śmiechem, gdy zorientowała się, dlaczego Gabriel ją zaprosił.

– W końcu rozumiem – powiedziała. – Zaprosiłeś mnie, bo chciałeś poznać Darię.

Gabriel zamilkł, złapał powietrze. I też się roześmiał.

– Wybacz. Tak.

– Ale musiałeś tak drzwiami mnie zaczepiać? Plecy mnie bołą. – Renata skrzywiła się przesadnie.

– Przepraszam. Bardzo mi głupio. Wyślizgnęły się... – Gabriel wiercił się na krześle.

– Daj spokój. Żartuję. Tak naprawdę zastanawiałam się, czy to dobrze, że się z tobą spotkam. Czy wypada.

– Tośmy się dobrali. – Zaśmiali się razem.

– Poczekaj... – Renata chwyciła za telefon.

– Daria? Co robisz? – Renata wstała od stolika i odeszła w głąb kawiarni. Gabriel spoglądał za nią jak pies.

Co ja wyprawiam? – pomyślał. – *Czy ja potrzebuję swatki?*

Renata wróciła do stolika. – Daria będzie za kwadrans.

Powiedziałam jej, że niefortunnie umówiłam się na kawę, a teraz mi niezręcznie, i potrzebuję wsparcia. Więc Daria przyjedzie mnie ratować. Reszta w twoich rękach.

Od tej chwili rozmowa stała się naturalna i swobodna.

Nawet słońce na chwilę wyjrzało – pomyślała Renata.

Kiedy Daria weszła sprężystym krokiem do kawiarni, niechętnym wzrokiem obrzuciła Gabriela. Zamierzała jechać do sklepu i przeciwdziałać ogarniającej ją ostatnio wszechwładnej chandrze, ale kiedy podeszła do stolika po odwieszeniu płaszcza, myślała już co innego.

Przystojny. Widziałam go już? Miły głos...

Renata szybko się wyłączyła. *Nie jestem już im potrzebna.* Tylko przez chwilę przysłuchiwała się rozmowie, która płynęła wartko, szybko

jak strumień, i jak rzeka rozlewała się na coraz szersze tematy.

Po chwili Renata poklepała się po głowie i teatralnie jęknęła:

– Gdzie ja mam głowę! Muszę pojechać szybko coś załatwić!

Pożegnała się w pośpiechu, ale nie przeszkadzało to ani Gabrielowi, ani Darii.

Wróciła do domu i od razu się położyła.

Jestem ciągle zmęczona, jakbym miała sto lat. – Zasnęła szybko, wcześniej nastawiwszy budzik. – *Nie chcę się spóźnić po dzieci* – pomyślała tuż przed zaśnięciem.

Obudziła się jednak sama, przed natarczym brzęczeniem budzika w telefonie. Przeciągnęła się, wyspana, ale dalej z poczuciem zmęczenia.

– Pojadę dzisiaj wcześniej po dzieci. Nie chcę biec. Nie chcę kolejnego siniaka – powiedziała półgłosem.

Wszystko robiła powoli. Wstała z łóżka i ubrała się. Wstawiła wodę na herbatę i ostrożnie nalała wrzątku do kubka. Założyła buty z wysokimi cholewami – siedząc, starannie zapięła guziki kurtki. Zwykle jedną ręką chwyciła torebkę, drugą kluczyki, a kurtkę zapinała, wsiadając do auta. Tym razem wszystko robiła powoli i z uwagą. Auto też prowadziła ostrożnie. Dojechała do szkoły przed czasem. Karnie stanęła w powiększającym się tłumie mamus i czekała na dzwonek. Przysłuchiwała się rozmowom: – Dyktando... praca domowa... dostał dwóję... nie jest sprawiedliwa... wygrała konkurs... wiadomości przepływały przez Renatę i było jej po prostu dobrze. Ciepło w puchowej kurtce i wysokich butach. – Muszę ubierać się ciepło, bo znowu kaszlę.

Dzieci wybiegły z klasy z krzykiem. Krysia rzuciła się Renacie na szyję.

– Było dzisiaj super w szkole! Dostałam piątkę. I wiesz co, mamó? W przyszłym tygodniu będę miała referat.

– Referat – poprawiła odruchowo Renata. – A z czego?

– Z Niemiec.

– Z czego?

– No... – zająknęła się dziewczynka. – Co graniczą z Polską.

– Rozumiem. – Renata uśmiechnęła się do córki. – Omawialiście

granice Polski. Sama się zgłosiłaś?

– Tak! Pani pozwoliła robić ten... rerefat... refarat... każdemu, kto chce!

– Idziemy jeszcze po Krzysia.

– Dobrze, mamó. A ja będę go robić sama!

– Może ci pomogę?

– Tak, ale nie rozumiesz. Chodzi o to, że sama, bez koleżanki.

– A chciałabyś z koleżanką?

– Wszyscy robią z kimś... tylko ja robię sama.

– Tak chciałaś? – Renata przyjrzała się córce. Dziewczynka była smutna.

– Nie. Ale dziewczyny już wcześniej się podzieliły... a ja zrobię sama, i będzie najlepszy! – Dziewczynka zagryzła wargę.

– Pomogę ci. Zrobimy najlepszy z możliwych. Pójdiesz po Krzysia? Poczekam przy szatni.

Krysia podskakiwała po korytarzu. Renata przyglądała się córce. *Jest taka jak ja* – pomyślała. – *Samotnik z nadmiernym poczuciem dumy.*

Wychowawczynie odprowadziła Krzysia i pomachała z daleka Renacie. Dzieci dyskutowały na korytarzu, a Renata czekała, siedząc na niskiej półce w szatni. Zrobiło jej się ciepło i sennie. Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu. Odebrała, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, zasypały ją słowa.

– Dopiero? – odezwała się po kilkunastu zdaniach rozmówcy. – Dopiero skończyliście?

– ...

– Daria, ale pamiętasz, że ciągle jesteś mężatką?

– ...

– Rozumiem, jednak...

– ...

– Słuchaj, nie bardzo mogę dłużej rozmawiać, dzieci...

Krysia ubierała Krzysia. Dzieci świetnie sobie radziły, przysłuchując się rozmowie matki.

– No tak, ale jednak Klemens ciągle jest twoim mężem. Poza tym Gabriela ledwie co poznałaś.

– ...

– Oczywiście, jednak to dopiero pierwsza kawa.

– ...

– Daria, spotkajmy się. Muszę zabierać dzieciaki do domu.

Przyjaciółki się rozłączyły. Renata kręciła głową, uśmiechając się. Kłopoty Darii i Klemensa nie były dla niej tajemnicą. Ich małżeństwo nie było konfliktowe, raczej po prostu było w zaniku. Nie rozmawiali ze sobą, Klemens praktycznie nie bywał w domu. Ciągle w delegacjach, a nawet gdy nie wyjeżdżał – nie spieszył się do domu. Wolał posiedzieć w knajpie z kumplami, pójść na „event” lub po prostu siedzieć w biurze. Sprawy domowe, ciekący dach i kłopoty bliźniaczek w przedszkolu nie bardzo go interesowały. Renata zastanawiała się, czy Daria jest aż tak spragniona czyjejs uwagi, żeby dosłownie rzucić się na faceta, którego ledwo poznała? Nawet jeśli widywali się wcześniej w okolicy, co Daria skrzętnie odnotowała.

– Mamo, na jutro muszę przynieść dużą marchewkę. Ugotowaną. – Krzyś przerwał jej rozmyślenia.

– To się świetnie składa. Dzisiaj gotujemy marchewkę na obiad, więc ugotujemy o jedną więcej.

– A tata kiedy będzie?

– Dzisiaj wieczorem.

– A czemu tata tak wyjeżdża? Tak często? Ja bym chciała, żeby tata był w domu zawsze – powiedziała Krysia.

– I ja też. I mam, żebyś ty w domu zawsze była – dodał Krzyś.

– I prawie zawsze jestem. Siadajcie do auta, zapnijcie pasy.

W domu Renata krzątała się wokół obiadu, jednocześnie doglądając odrabiania lekcji. Krysia przy stole z wyciągniętym językiem pisała coś w zeszycie, Krzyś stał obok matki i pilnował obierania „jego” marchewki.

– Zanieś sztucce. – Renata poprosiła, kiedy obiad był już prawie gotowy. – Zaraz będzie Eryk, czas przygotować stół.

– I talerze też zaniosę, dobrze? – Widząc minę Renaty, Krzyś od razu dodał: – Ja już potrafię, naprawdę.

– Mój dzielny chłopczyk. Pewnie. Ale zanoś po jednym... dobrze, synku, świetnie, tak.

Krzyś zadowolony krążył pomiędzy kuchnią a stołem, układał

talerze i sztuce według znanej jedynie sobie, skomplikowanej zasady. Sztuce w poprzek talerza lub z jednej strony, zależało to chyba od strony świata. Starał się jednak.

Eryk wszedł do domu punktualnie, milczący jak zwykle. Zdawkowo przywitał się, bez słowa umył ręce.

– Co dzisiaj na obiad? – zapytał, zaglądając w garnki. Zanim Renata zdążyła odpowiedzieć, mruknął: – Aha.

Usiedli do stołu, wszyscy głodni, jedli z apetytem. Wszyscy młodszy, bo Renata nie była głodna. Czuła jeszcze poranną kawę na żołądku, zresztą ostatnio rzadko kiedy miała ochotę na jedzenie. Nawet była z tego zadowolona, wraz z niejedzeniem ubywało jej kilogramów, a przecież każda kobieta, nawet szczupła, chce być jeszcze szczuplejsza. Renacie zaczęły wystawać żebra, zarysowały się także kości miednicy, i cieszyło ją to.

Po obiedzie dzieci pomogły sprzątnąć ze stołu, Renata zmywała, Eryk wycierał, Krysia układała naczynia na miejsce.

– Jakiś deser? – zapytał Eryk.

Renata z tajemniczą miną poszła do garażu. Podczas spotkania z Gabrielem kupiła ciasto, właśnie z myślą o dzisiejszym deserze. Wyjęła je teraz z bagażnika.

Na widok pudełka z cukierni najstarszy syn aż gwizdnął:

– Jakaś okazja?

– Tata dziś wraca, żadna inna.

– To nie zjemy teraz? – Krzyś się zasmucił.

– Dlaczego? Zjemy – odparła Renata ze zdziwieniem.

– No bo skoro jest dla taty...

– Tata nie będzie miał nic przeciwko temu, że napoczniemy ciasto. Sam zje przecież tylko jeden kawałek, a będzie mu miło, że jedliśmy z myślą o nim.

– Ja chcę z tej strony – powiedziała Krysia rezolutnie, wkładając palec we wskazany kawałek.

– Krysiu, tak się nie robi – skarciła ją Renata, przygotowując talerzyki. – Zanoście od razu na stół, Eryk po dwa talerzyki, Krysia po jednym, a Krzyś zanosz łyżeczki.

– Pycha – mruknął Eryk.

– To powiedzcie mi, ile kto ma zadane.

– Ja niestety dużo. – Eryk się skrzywił. – Ukochana fizyka.

W każdym razie na mnie nie liczcie. Żadne łyżwy ani inne atrakcje dzisiaj nie wchodzi w grę.

– A ja już prawie skończyłam. – Krysia dumnie się wyprostowała.

– A ja muszę zapakować marchewkę – rzucił Krzyś.

– To mam taką propozycję. Eryk idzie do swojego pokoju i się uczy. Ja sprawdzam pracę domową Krysi i z Krzysiem pakuję ugotowaną marchewkę. Pogoda jest paskudna, więc potem włączymy sobie jakiś film, a ja porobię z Krysią czerwony szalik. Co wy na to?

Propozycja została przyjęta jednogłośnie. Ucząc się, czytając i szydełkując przed telewizorem, doczekali powrotu Mateusza.

– Tata! – Krzyś wyrwał się pierwszy. Do niego natychmiast dołączyła Krysia. Dzieci zawisły na ojcu jak jemoła na topoli. Wieczór upłynął na wspólnym nicnierobieniu, chociaż był to wieczór krótki, bo Mateusz wrócił bardzo zmęczony.

Dopiero po położeniu dzieci spać mieli chwilę dla siebie. Pod prysznicem Mateusz podszedł do Renaty od tyłu. Objął ją. Wtuliła się w męża, rozluźniając mięśnie. Dopiero teraz opowiedziała o wczorajszym popołudniu, o wietrze we włosach i wolności, którą poczuła.

– Całe szczęście, że z braku kondycji nie wywaliłam się jak długa. Nogi mi już nie pracują jak należy.

– Nie wywróciłaś się? A to skąd? – Mateusz wskazał siniaka na lewym biodrze Renaty.

– Ja się nie wywróciłam – odpowiedziała ze śmiechem. – Ale dzieciaki mnie wywróciły. Na mnie leżała Krysia, a na niej Krzyś. Im było wygodnie, mnie trochę twardo.

– To nieźle musiały po tobie skakać. Ogromny ten siniak.

– Przejdzie. – Renata wzruszyła ramionami.

– Jesteś piękna. – Mateusz z uśmiechem przyglądał się żonie. – Chociaż trochę za chuda. – Zmarszczył czoło w żartobliwej dezaprobacie.

– Kobieta nigdy nie jest za chuda – odpowiedziała Renata.

– U kobiety nigdy dość kochanego ciała – zripostował Mateusz,

wycierając się. Wyszedł z łazienki. Renata zatrzymała się przed lustrem.
– Dzieci wywróciły mnie na drugie biodro. A przecież te drzwi nie uderzyły mnie aż tak mocno. Chyba naprawdę muszę pójść zrobić badania.

Dziewięć lat wcześniej

Mateusz głaszcze Renatę po udzie.

– Jesteś piękna – mówi.

– Muszę schudnąć – odpowiada kobieta.

– Nie żartuj. Jesteś piękna, najpiękniejsza. U kobiety nigdy dość kochanego ciała.

Renata śmieje się. – Nie udało mi się odzyskać figury po Eryku.

– Nie masz potrzeby niczego odzyskiwać.

*Kwiat zrywając, kwiat wachając, ja zarazem
Świat mijalem będąc przy tym w swoim prawie*

*Ciebie biorąc, z Ciebie pijąc, ja o niebo
Już nie dbałem widząc przecież, że to jedno[1]*

– Wojaczek? – Kobieta podnosi głowę, patrząc mężowi w oczy.

On kiwa głową.

– Uwielbiam – mówi ona.

– Wiem – odpowiada Mateusz, wtulając się w jej łono.

Teraz

Przez całe popołudnie Renata nie kaszłała. Ale po wieczornym seksie rozkaszała się bardzo.

– To z emocji – tłumaczyła ze śmiechem Mateuszowi. Wcale

jednak nie było im do śmiechu.

Rano Mateusz przyglądał się śpiącej żonie, leżąc bez ruchu na łóżku. Obudził się wcześniej, przed budzikiem. Chciał pogłaskać Renatę, ale powstrzymał odruch.

Niech pośpi – pomyślał.

Obudził dzieci, Erykowi i Krysi dał po kilka złotych na drugie śniadanie.

– Bądźcie cicho, nie budźcie mamy.

Renata zadzwoniła do Mateusza dopiero przed dziewiątą.

– Obudziłam się przestraszona – powiedziała. – Było za cicho i za pusto. Dziękuję.

– Odespałaś trochę? Wyglądałaś na zmęczoną.

– Dzieciaki dały mi trochę w kość podczas twojej nieobecności – odpowiedziała Renata.

– Zmierz temperaturę – powiedział Mateusz. – Zmierz i do mnie zadzwoń.

– Dobrze, kochanie, nie denerwuj się. To przesilenie zimowe.

Pojedziemy na narty, już w przyszłym tygodniu ferie. Wszystkim nam się przyda trochę ruchu na świeżym powietrzu.

Renata zmierzyła temperaturę, ale to Mateusz zadzwonił do niej po czterdziestu minutach.

– I jak? – zapytał właściwie bez wstępu.

– W porządku – odpowiedziała, chociaż wiedziała, o co Mateusz pyta.

– Renata.

– Trzydzieści siedem i pół. Nic takiego.

– Zadzwoń do doktora Affentowicza.

– Nie rób paniki. Nie będę doktorowi takimi duperelami głowy zawracała. Do końca tygodnia się oszczędzam, w przyszłym tygodniu jedziemy na narty, a po powrocie zrobię wszystkie badania.

– Renata...

– Przestań, Mateusz, nie dramatyzuj.

– ... martwię się o ciebie.

– A ja ciebie kocham. Miłego dnia.

– Trzymaj się.

Renata zajęła się domem, obiadem. Robiła wszystko powoli, jakby poruszała się w gęstym kisielu. – Jestem okropnie słaba – myślała. – Muszę się wykurować.

Z przyjemnością odebrała telefon od Darii.

– Pewnie, wpadnij. Siedzę w domu i robię porządki. To do kitu robota, chętnie się oderwę.

Od razu włączyła ekspres, wstawiła wodę na herbatę i wyjęła puszkę z ciastkami. Kiedy Daria przyszła, stół był przygotowany, herbata parowała w dzbanku.

– A gdzie kawa? – Daria lekko wykrzywiła twarz na widok herbaty.

– Spoko, ekspres tylko czeka na wciśnięcie guzika. Herbata dla mnie.

– Co ja mam z tymi moimi księżniczkami. Masakra jakaś.

– Chcesz posłuchać o Krysi?

– Ty masz jedną, ja dwie naraz.

– Chyba zapomniałaś o moich dwóch pozostałych.

– Ale to chłopcy. Eryk zresztą już nie wymaga ubierania.

– Musisz je ubierać?

– Nie, ja je muszę stroić. Nie ten odcień różowego. Za długie. Za krótkie. Nie dość strojne. Za mało złote. Srebrne ładniejsze. Głowa mi już pęka. W przedszkolu też z nich niezłe gagatki. Wyobraź sobie, nie chcą się same ubierać. Pani musi im pomagać. Wszystko potrafią, księżniczki dwie, tylko chcą się pieścić.

– Za mało je pieścisz?

– Żartujesz chyba. Na mróz upierają się przy krótkich spódniczkach. Getrów nie chcą. Niedługo będą kaszleć tak jak ty.

– Dokucza mi to. Strasznie jestem słaba. Nic to, może na nartach trochę odżyję.

– Gdzie jedziecie?

– Mateusz załatwił jakiś pensjonat w Zakopanem. Chce nauczyć Krysię i Krzysia jeździć na nartach. Eryk jeździ, to pewnie sama będę chodzić na długie spacerzy.

– Nie będziesz jeździć?

– Raczej nie dam rady. Przejdę parę kroków i ledwo dyszę. Ty mi

się lepiej przyznaj, co tam z tym Gabrielem. Kręcisz coś, moja droga. – Renata pogroziła palcem przyjaciółce.

– Przecież wiesz. – Daria wzruszyła ramionami. – Z Klemensem nam się od dawna nie układa. Więcej go nie ma, niż jest. Nie nadążam za nim. Niby oczekuje bliskości, a potem... ja jak napalona kotka, a on wraca z roboty zmęczony. Nawet się nie pobawi z bliźniaczkami, tylko... jest ciągle nieobecny.

– Może ma jakieś kłopoty. Może coś w pracy?

– Możliwe. Nie chce nic mówić, ale on nigdy specjalnie nie opowiadał o pracy. Czasem więcej jestem w stanie się o nim dowiedzieć na jakichś towarzyskich spotkaniach, na których się chociaż czymś pochwali. W domu nigdy.

– Ale wiesz... Klemens jest ojcem bliźniaczek. Uważaj na to. I na Gabriela.

– Daj spokój. Miło się gada i tyle. On też ma przejścia z byłą żoną.

– Rozwodnik?

– W trakcie.

– No to on jest wolny, a ty nie.

– Renata, nie bądź świętoszka. Zresztą, do łóżka nie planuję z nim iść.

– Nie? – Renata podniosła brwi.

– A nie. I nie denerwuj mnie.

– Zmiana tematu. Gdzie zamierzasz bliźniaczki posłać do szkoły?

– Chyba do tej samej co ty. Byłyby pewnie razem z Krzysiem w klasie.

– Dzieci by się ucieszyły.

– Słuchaj, a jak u was z Mateuszem?

– A jak ma być?

– Bo...

– No, mów.

– Wydaje mi się, że jesteście dość daleko od siebie. Ostatnio. Często go nie ma, i tyle.

– Sporo wyjeżdża. Ma dużo pracy. Chyba szykuje mu się awans. Też nie wiem o pracy swojego męża za dużo. Nie jesteś wyjątkiem. Kumplom się pochwali, sąsiadom opowie, a mnie przez przypadek.

- Chłopy widocznie tak mają.
- Widocznie. – Renata się uśmiechnęła. – Pojutrze mamy rocznicę ślubu. Jutro idziemy na kolację.
- Pamiętam, przecież u mnie zostawiacie dzieciaki.
- Liczę w każdym razie na bardzo romantyczny wieczór.

Baaaardzo drukowanymi literami.

- Tak... – Daria się zamyśliła. – Renata, nie wyglądasz najlepiej.
- Że powinnam zadbać o siebie? Tylko przyjaciółka może powiedzieć coś takiego.
- Na kolacji będzie świetnie. Nie o tym mówię.
- Wiem, źle się czuję ostatnio. Pójdę zrobić badania, jak wrócimy z nart. Trochę się niepokoję...
- To znaczy?
- Gorączkuję. Cały czas. Niby nie jakoś bardzo, ale nie mogę tego zbić. Takie trzydzieści siedem, czasem trochę więcej. I ciągle czuję taki smak... jakby super glue.
- Co?
- Taki zalepiający, zapychający, dziwny. Jakbym jadła słodkie grzyby. Niby flegma, ale nie do przełknięcia. Nie chcę nic mówić Mateuszowi, po co ma się denerwować niepotrzebnie.
- To może pójść do lekarza przed wyjazdem na narty? – Daria się wykrzywiła na tak dokładny opis.
- Nie żartuj, nie mam kiedy. Jedziemy za cztery dni. Jeszcze by mnie w łóżku zatrzymał.

Daria milczała, przyglądając się łyżeczce. – Pyszne te ciastka – powiedziała w końcu. – Jeszcze jedno i spadam. Jakiś obiad muszę zakręcić i w ogóle.

Pożegnały się całusem obok policzka. Renata czuła się wypoczęta, sprawnie dokończyła gotowanie obiadu i pojechała po dzieci. Wyruszyła wcześniej, nie śpiesząc się i nie biegnąc. Odebrała też Eryka, tego dnia kończył zajęcia wcześniej. Nic szczególnego nie wydarzyło się w ciągu dnia, a jednak wieczorem była bardzo zmęczona. Wcześniej położyła się spać.

Mateusz był rozczarowany.

- Baby to są dziwne – mówił wieczorem do kolegi przez telefon. –

Niby taka chętna, a jak co do czego, idzie spać.

– Stary, nie przejmuj się. Mi to się zaczęło z moją układać dopiero wtedy, jak wziąłem sobie kochankę – odpowiedział kolega.



Dźwięk budzika następnego ranka przypominał Renacie odgłosy piły tarczowej. Zwlokła się raczej z łóżka, niż wstała. Mateusza już nie było. Zostawił na kuchennym blacie wiadomość: „Pojechałem dziś wcześniej do pracy. Zamierzam szybciej wrócić. A wieczorem...”

A wieczorem będę się ślaniać na nogach ze zmęczenia – pomyślała Renata, szykując dzieciom kanapki. Kręciło jej się w głowie.

Zbieraj się, słabeuszu – mitygowała się. – Kanapki do szkoły, dzieciaki do szkoły. Potem obiad, i przywieźć ze szkoły, i odrobić lekcje. Wydawało mi się, że ja już nie chodzę do szkoły.

Wszystko było na czas. I kanapki, i obiad, i transport. Zanim jednak pojechała po dzieci – położyła się.

Dziś wieczorem muszę być w formie – pomyślała. – *Nasz wieczór, nasza rocznica* – tańczyła po kuchni, podśpiewując. Kiedy skończyła gotowanie, położyła się. Potem czuła w sobie tyle energii, że podbiegła do szkolnego wejścia.

Muszę chyba zaliczyć popołudniową drzemkę – pomyślała.

– Dzisiaj musicie być bardzo grzeczne i słuchać mnie od razu – instruowała dzieci w samochodzie.

– Dlaczego? Nie lubię być grzeczny! – oznajmił Krzyś.

– Bo idziemy dzisiaj z tatą do restauracji. I my, a raczej wy, musicie lekcje odrobić tak sprawnie, żeby zdążyć ze wszystkim.

– Super! Lubię chodzić do restauracji – oznajmiła Krysia.

– Idziemy z tatą sami. Zostajecie u cioci Darii. To nasza wyjątkowa romantyczna kolacja z okazji rocznicy ślubu.

– I nie jesteśmy wam tam potrzebni? – Krzyś posmutniał.

– To nie w porządku, mamó! – zaprotestowała Krysia. – Do cioci Darii mogę iść kiedy indziej! My też jesteśmy częścią rodziny!

Romantyczną.

– Tak, kochanie, i to bardzo ważną częścią. Ale czasami dorośli muszą побыć trochę sami.

– Mamo, czy wy nas już nie kochacie? – zapytał dramatycznym tonem Krzyś.

– Co wy opowiadacie. – Renata westchnęła. – Kochamy was bardzo, bardziej niż kogokolwiek na świecie. Jesteście dla nas najważniejsi – i Eryk, i Krysia, i Krzyś. I dla mnie tata, a ja dla taty. Ale nie chcielibyście, żebym cały czas siedziała z wami w szkole, prawda? To jest czas dla waszych kolegów, zgadza się?

– No tak – niechętnie przyznała Krysia.

– I my też mamy taki czas. Rzadko go mamy, ale bardzo potrzebujemy.

– I dlatego, że nas zostawiacie, to mamy być grzeczni? – mruknęła Krysia, ale usiadła do lekcji i sprawnie odrobiła wszystkie zadania.

Renata przygotowała sukienkę, zmierzyła naszyjnik. Odłożyła go. Z biżuterii wybrała tylko zaręczynowy pierścionek i złotą bransoletkę. Wyciągnęła z szafki butelkę ulubionych perfum, używała ich tylko na wielkie okazje.

– Rzeczy dobrych trzeba używać stale. – Daria czasami ją pouczała. – Szkoda życia na mierność.

Renata jednak uważała, że szkoda trywializować luksus przyzwyczajeniem. Straci blask. Więc skrapiała się perfumami okazjonalnie, za każdym razem odczuwając przyjemny dreszcz. Mgiełka tego zapachu miała symboliczne znaczenie.

Dzieciaki, zajęte bajką w telewizorze, dały jej chwilę wytchnienia. Renata położyła się, już po chwili śniła wyraziste sceny erotyczne z udziałem swoim, Mateusza, Darii i Gabriela.

Obudził ją telefon. Odebrała zachrypnięta, rozgrzana emocjonującym snem o kotłujących się ciałach.

– Renata?

– Hm... Mhm... – próbowała odpowiedzieć.

– Spóźnię się – wysapał Mateusz.

– Co? – Renata się otrząsnęła. – Jak to spóźnisz? Dziś kolacja!

– Wiem, kochanie. Ale muszę być na spotkaniu.

– Na jakim spotkaniu? Co może być ważniejsze od naszego spotkania?

– Renatko, nie denerwuj się. Przecież nie odwołujemy, tylko pojedziemy godzinkę później. – Tak naprawdę Mateusz zapomniał i obiecał koleżance, że pomoże jej przy transporcie nowych mebli. Koleżanka miała plany sprecyzowane na długi wieczór, ale Mateusz o tym nie wiedział i nie od razu zrozumiał, dlaczego się na niego obrażała, chociaż pomógł we wniesieniu mebli.

– Mamo, dlaczego jesteś smutna? – zapytała Krysia pół godziny później, gdy Renata szykowała kolację.

– Wydaje ci się.

– Aha – odpowiedziało dziecko, ściągając talerz z blatu.

– Poczekaj, jeszcze ogórek!

Krysia grzecznie stanęła z talerzykiem w rękach. – Smacznego! – życzyła jej matka.

Jestem smutna, ale co z tego – pomyślała. – Życie musi toczyć się dalej.

Kiedy Mateusz przyjechał, dzieciaki z Darią i bliźniaczkami bawiły się w poduszkową wojnę. Renata czekała elegancka, w obłoku perfum i sukience na ramiączkach, z jedwabnym szalem zarzuconym na ramiona.

– Wyglądasz pięknie – rzucił w przejściu Mateusz i ruszył do łazienki. Wyszedł stamtąd po dwudziestu minutach, elegancki jak wcześniej jego żona, czekająca na kanapie w zmiętej już teraz sukience.

– Jedziemy? – zapytał.

Renata wstała i podeszła do niego. Pogłaskała po twarzy i zdecydowała:

– Jedziemy.

Rezerwacja dawno przepadła, musieli czekać na stolik przy barze. Renata była zmęczona, Mateusz też. Nie chciało im się rozmawiać.

– Nie wyszedł nam ten romantyczny wieczór – powiedziała, kiedy wzięli karty do rąk. – W ogóle nie jestem głodna. Chciałabym się tylko napić białego wina.

– To przeze mnie, wiem. – Mateusz zaczął, ale nie zdobył się na powiedzenie prawdy. – Tyle lat jesteśmy ze sobą... – przerwał. Nie

wiedział, co powiedzieć.

– Szesnaście – sprecyzowała Renata. – I wolałabym, żebyś nigdy mi nie powiedział, zamiast „poproszę sól”...

– Skąd ci to przyszło do głowy – parsknął Mateusz. – Nie zmarnowałaś mi życia.

– Mam nadzieję – odpowiedziała dość chłodno Renata. Sama nie wiedziała, dlaczego. *Mateusz się spóźnił* – rozmyślała – *ale przecież to się może zdarzyć*. Jednak odczuwała niepokój.

– Jest za późno na jedzenie. Poproszę tylko sok pomarańczowy – zdecydował Mateusz. – Mam nadzieję, że w górach będzie nam się lepiej składało. I w jedzeniu, i w rozmawianiu.

– Też mam taką nadzieję. Dzisiaj mam ochotę wyłącznie na spanie.

– Spanie? – Mateusz uniósł brew.

– A tak, spanie. Z wirowaniem. – Uśmiechnęła się.

– Nareszcie widzę moją Renatę.

– Mam nadzieję na wielkie wirowanie w Zakopanem.

– Po to dzieciaki mają tam osobny pokój.

– Dawno nie mieliśmy czasu dla siebie – powiedziała sentencjonalnie Renata.

– Nadrobimy – odpowiedział Mateusz.

– Straconego czasu nie da się nadrobić – stwierdziła poważnie Renata.

– No coś ty, nie bądź taka ponura.

– Tak tylko gadam. Idziemy?

– Chcesz już wracać?

– Jest prawie dziesiąta. Nie będziemy jeść. Daria na nas czeka.

– Swoją drogą, bliźniaczki zostają u nas na noc?

– Nie, Klemens miał je odebrać.

Milczeli, spoglądając w opróżnione szklanki. Gdy wychodzili, Renata usłyszała z kąta sali teatralny szept. – Widziałeś? Kto jeszcze nosi takie szale? Niby niestara kobieta, a taka zaniedbana. Nosi się jak sześćdziesiątka.

Mateusz sprawiał wrażenie, że nie słyszał.

Następny poranek był zwyczajniejszy niż zwyczajny. Ulotnił się zapach perfum, sukienka zwisała z oparcia krzesła, szal leżał na ziemi,

przyciśnięty obcasem szpilki. Mateusz krzątał się jeszcze w kuchni, Renata obudziła dzieci i zeszła do niego. Właśnie wychodził. W kuchni panował bajzel.

– Jezu – jęknęła na ten widok.

– Nie gniewaj się, muszę lecieć, bo spóźnię się do roboty.

Nadrobimy wszystko w górach.

– Porządki też nadrobimy w górach? – mruknęła Renata już po zamknięciu drzwi.

Nakarmiła dzieciaki i odwiozła je do szkoły, ogarnęła odrobinę dom, po czym się położyła. Po przebudzeniu natychmiast pognęła do szkoły. Dzieci były głodne, a nie było obiadu.

– Kto lubi grzanki? – zapytała. Cała trójka rzuciła się do pomagania.

[1] Rafał Wojaczek, *Kwiat zrywając, ciebie biorąc*, z tomu: *Dydaktyczne*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996, s. 154.

Luty

W przygotowaniach do wyjazdu Mateusz praktycznie nie uczestniczył. Małżeństwo nie miało też czasu ze sobą porozmawiać. Renata usprawiedliwiała męża. *Walczy o awans* – myślała. Mateusz walczył o awans, jednocześnie jednak spędzał czas także na innych zajęciach. Koleżanka od przeprowadzki dała się udobruchać i chociaż w dzień przewozu nowych mebli jej plany nie zostały zrealizowane, to jednak ziściły się wkrótce potem. Ku zadowoleniu obojga.

Renata uznała, że nie będzie niepokoiła otoczenia. Nie zadzwoniła do doktora Affentowicza i nie powiedziała nikomu o tym, że cały czas zażywa przeciwgorączkowe tabletki. Ani o tym, jak pewnego dnia, kiedy odrobinę podbiegła do sklepu, dostała zadyszki, która uniemożliwiała jej oddychanie. A kiedy już ten oddech złapała, nagle dopadł ją katar. Po przyłożeniu chusteczki do nosa okazało się, że to krew.

Badania zrobię po powrocie z Zakopanego – powtarzała sobie jak mantrę.

Zdołała już zapakować wszystkie niezbędne rzeczy własne, Krzysia i Krysi. Eryk dorzucił też swój bagaż. Renata zastanawiała się, czy pakować Mateusza, po namyśle jednak postanowiła tego nie robić.

Jeszcze czegoś zapomnę i będzie miał pretensje – pomyślała.

A pretensje Mateusz miewał coraz częściej. W ostatnim tygodniu wracał do domu zmęczony i potrafił czepiać się o byle błahostki.

W przeddzień wyjazdu wziął wolny dzień. Wstał w świetnym humorze, zaraz po śniadaniu spakował swoją torbę.

– Pomożesz w zmywaniu? – zapytała Renata. Miała przy tym tajemniczą minę, która zamiast zaintrygować, zirytowała Mateusza.

Piętnaście lat wcześniej

– Pomożesz w zmywaniu? – pyta Renata.

– Jasne – odpowiada Mateusz, oblizując wargi.

– Ja jestem całkiem czysta – piszczy Renata.

– Nieprawda, tutaj widzę skrawek trochę ubrudzony – odpowiada Mateusz, odsuwając dekolt koszulki. – Właściwie to całkiem jesteś ubrudzona – dopowiada, ściągając bluzkę przez głowę Renaty. Ta posłusznie unosi ręce.

– Woda się leje – mówi Renata nieuważnie.

– To dobrze. Zakręcimy później – mruczy Mateusz.

– Tak, zakręcimy.

Mateusz całuje każdy skrawek skóry Renaty.

– Łaskoczesz – szepcze ona.

– Mhm – odpowiada Mateusz spomiędzy jej ud.

– Oj, wiruje, świat wiruje – szepcze znów Renata.

– Mhm – odpowiada Mateusz.

Teraz

– Pomożesz w zmywaniu? – zapytała Renata. Miała przy tym tajemniczą minę, która zamiast zaintrygować, zirytowała Mateusza.

– Dzieciaki są w domu – odpowiedział.

– Są na górze.

– Pomogę – niechętnie odpowiedział Mateusz, zakładając fartuch.

Renata przysunęła się do męża, opierając biodro o jego bok.

Mateusz nie odsunął się tylko dlatego, że właśnie plukał coś w zlewie. Renata objęła Mateusza za tors, przytuliła się do pleców. Dlatego nie widziała wyrazu jego twarzy.

Skończył zmywanie i powiedział od niechcenia:

– Muszę jeszcze dzisiaj popracować.

– Miałeś wziąć wolne. – Renata się zdziwiła.

– Mam wolne, przecież jestem w domu. Muszę tylko wysłać kilka maili. Skończę do obiadu.

– Do obiadu? – powiedziała Renata, kiedy Mateusz już zamknął się w gabinecie. Wzruszyła ramionami. – *Widocznie faceci tak mają* – pomyślała.

– Krysia, Krzysiu, Eryk! – zawołała dzieci, układając umyte warzywa na blacie. Tupot nóg na schodach rozjaśnił jej twarz.

– Potrzebuję pomocy przy obiedzie.

– Ja będę obierać! I ja! – przekrzykiwały się maluchy. Renata wręczyła im obieraczki, Erykowi dała do ręki ostry nóż i wskazała gestem deskę z rozłożonym mięsem.

– W plastry? – zapytał najstarszy syn.

– Tak, na kotlety.

– A ja będę obtaczać! – zażądała Krysia.

– A ja będę obierać – pozostał przy swoim Krzyś.

– Fajne są ferie – powiedział Eryk. – Można razem coś porobić.

Tylko taty tu brak.

– Tata musi zrobić coś do pracy. Do obiadu skończy. Otwórz – powiedziała do syna, zwracając twarz w stronę okna. – Daria przyszła.

Zanim Daria wyplątała się z płaszcza, szalika i butów, Renata zdążyła wstawić zupę i ziemniaki.

– Cześć, pomogę. – Daria od razu przeszła do rzeczy.

– Ja pomagam! – Krzyś się oburzył.

– Idziemy bajkę obejrzyć. – Krysia pociągnęła brata za rękaw. Eryk zmył się niepostrzeżenie. Renata przygotowała panierkę do kotletów, Daria kończyła sałatkę.

– Co jest? – zapytała Renata.

– Co ma być? Tak wpadłam.

– Mhm... – odparła Renata. Zaległa cisza, przerywana tylko

odgłosami kreskówki z salonu.

– Nie mogę sobie miejsca znaleźć. Klemens... właściwie nie wiem, o co mi chodzi. Nie ma go jeszcze bardziej, niż nie było do tej pory. Właściwie nic szczególnego.

– Ale cię uwiera – dokończyła za przyjaciółkę Renata.

– No właśnie. Klemensa nie ma w tygodniu przeciętnie przez trzy, czasem cztery dni. Do tej pory przynajmniej weekendy spędzał w domu, a teraz to już był czwarty weekend z rzędu... wyjeżdża w piątek wieczorem, wraca w niedzielę wieczorem. Wypoczęty. Kiedyś, gdy wyjeżdżał na jakieś weekendowe imprezy czy prezentacje, wracał złączany. Pocięty, niewyspany, w ogóle taki... nic, tylko go wrzucić do prania. A teraz...

Daria nie dokończyła. Renata nie chciała jej dołować. Po prostu przytuliła.

– Może to wcale nie tak... Czasami tak głupio wyglądają różne rzeczy... Popatrz, skoro tu jesteś, to znaczy, że Klemens jest z bliźniaczkami w domu, opiekuje się nimi.

– Tak... Kochana jesteś. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. – Daria ruszyła w stronę przedsionka, ubrała się. Na pożegnanie wyściskała Renatę. – Bliźniaczki są u sąsiadki – dodała już na odchodnym.

Przy stole rozmowa toczyła się wokół smaczności obiadu i wkładu pracy dzieci w ową smaczność. Mateusz nie mógł się nachwalić. Potem dyskutowali o jutrzejszym wyjeździe, Eryk proponował ojcu inną trasę, Mateusz nie bardzo chciał się zgodzić.

– Przecież możecie razem chociaż obejrzeć mapę – wtrąciła Renata.

– Google, mam, nikt nie będzie rozkładał papierowej mapy.

Renata wywróciła oczami. – Co ty z matki takie próchno robisz, w Googlach też jest mapa.

– No dobra, możemy zobaczyć. – Mateusz w końcu się zgodził.

Cała czwórka poszła do komputera. Renata została sama ze stołem pełnym brudnych talerzy i reszek na półmiskach. Uśmiechnęła się. *Chyba im smakowało* – pomyślała.

Stała przy zlewie, podśpiewując. *A co* – myślała – *śpiewanie wprawia w dobry humor.*

Jednak zmęczyło ją sprzątanie. Usiadła przed telewizorem i wzięła na kolana czerwony szalik Krysi. Program telewizyjny obfitował w powtórki powtórek, jak to zwykle w wakacje i ferie zimowe bywa. Oparła głowę na zagłówku kanapy, przypomniał jej się wyraz twarzy Darii, gdy opowiadała o Klemensie. *Że też tak często musi wyjeżdżać* – pomyślała.

Miesiąc wcześniej

– Muszę wyjechać. – Mateusz patrzy w okno, jakby omijał wzrokiem postać żony. Renata stoi w drzwiach garderoby z naręczem świeżo wyprasowanej bielizny.

– Znowu? – Renata układa prasowanie na łóżku, segreguje je, wygładzając brzegi.

– Znowu. Taka praca. – Mateusz wzrusza ramionami.

– Kiedyś wyjeżdżałeś znacznie mniej. – Renata wciąż jest skupiona na pościeli.

– Kiedyś, kiedyś. – Mateusz prychnął z irytacją. – Kiedyś nie byłem na stanowisku i nie starałem się o kolejne. Co się czepiasz.

Ja się czepiam? – myśli Renata. Mateusz wychodzi do łazienki, więc głośno Renata nic nie mówi.

Teraz

Przysnęła na kanapie. *Nie będę się czepiać* – pomyślała przed obudzeniem.

– Mamo, a oni nam nie pozwalają! – Kilkulatki zbiegały ze schodów, tupocząc jak stado słońi.

– Czego wam nie pozwalają? – zainteresowała się mama.

– Nic nam nie pozwalają! – odpowiedziała Krysia.

– I nawet w gogola nie pozwalają zagrać – poskarżył się Krzys.

- Rozumiem... w gogola... nie pozwolili wam oglądać mapy?
- Mhm. – Chłopiec przytaknął rozżalony.
- No to popatrzcie, jak robię szalik. Oni wam tego nie pokażą. Jest go coraz więcej. Niedługo będzie można nosić.
- Ja już dostałam szóstkę – powiedziała Krysia.
- A ja bym taki chciał – odpowiedział Krzyś.
- Krysiu, zgodzisz się? Oddać szalik Krzysiovi?
- Tak – odpowiedziała dziewczynka nieuważnie. – A możemy coś obejrzeć?

Renata kiwnęła głową, chwyciła szydełko i dalej wyrabiała równe słupki. – Możecie. *Wszyscy wszystko mogą* – pomyślała.

– Mamo, a tata powiedział, że nas dzisiaj wykąpie – odezwała się Krysia w przerwie na reklamy.

– No ładnie! Cała łazienka będzie znów zachlapana! – zaśmiała się Renata. *To dobrze* – pomyślała. – *Umyję się wcześniej i wcześniej położę do łóżka.*

Dzieci oglądały już czwartą bajkę, gdy z góry dobiegł głos Mateusza: – Za dziesięć minut kąpiel!

Renata podniosła się, odłożyła robótkę na stolik obok kanapy.

– Pamiętajcie, za dziesięć minut – powiedziała jeszcze do dzieci, nim poszła na górę.

Kremowała twarz, gdy do łazienki wparował Mateusz z dziećmi.

– Spokojnie! – Próbował je uciszyć. Małżeństwo uśmiechnęło się, dzieciaki robiły nieprawdopodobny rumor.

– Dzisiaj najpierw... – Mateusz wystawił palec, udając, że gra w dziecięcą wyliczankę – ... właśnie ty! – Wskazał na Krzysia.

Krysia zrobiła smutną minę. Trochę na pokaz, bo zaraz pobiegła do telewizora.

Renata odebrała ubrania od synka, segregując je, część włożyła od razu do pralki. Pomachała chłopakom i wyszła z łazienki. Czytała książkę, gdy z łazienki dobiegł hałas – brzęk i krzyk. Zerwała się z łóżka.

– Ja nie chciałem – chlpał Krzyś.

– Machałeś szalikiem – powiedział surowo Mateusz.

– Chciałem ci pokazać... mama dla mnie robi...

Na podłodze leżał stłuczony flakon, którego Renata nie schowała jeszcze do szafki. Stał obok umywalki, lubiła na niego patrzeć i czasami zostawiała przez kilka dni na wierzchu. Teraz łazienka oszałamiająco śmierdziała. Zapach, piękny i głęboki na skórze, był nie do zniesienia w skali makro.

– Krzysiu, nic nie poradzisz. Nie płacz. – Przytuliła malca. – Po prostu uważaj następnym razem.

– Teraz będziemy długo wdychać ten zapach – powiedział Mateusz. Renata spojrzała pytająco. – Prawie cały wylał się na szalik. Nie do sprania.

– Będzie nam długo pachnieć. I dobrze, bo nieprędko kupię sobie takie drogie perfumy – odpowiedziała Mateuszowi. – Nie kupię ich, bo mi się znudziły. Sam wiesz, jak rzadko ich używałam – dodała, widząc stropioną minę synka. Małemu buzia się rozjaśniła i wtulił się w matkę. – A teraz do łóżka, jutro wczesna pobudka!

– Wszystko spakowałaś? – zapytał Mateusz pół godziny później, już po prysznicu. Energicznie wycierał plecy.

– Taką mam nadzieję. – Renata lekko wzruszyła ramionami. – Tylko ciebie nie pakowałam.

– A zmieściłbym się do walizki?

Renata się skrzywiła, za to Krzyś był zachwycony odpowiedzią Mateusza.

– Tata w walizce! Tata w walizce! – Zaśmiewał się.

– Dobra, dobra. Teraz do łóżka! – odpowiedziała Renata, popychając małego do wyjścia z łazienki.

Mateusz wołał Krysie, Renata czytała Krzysiovi na dobranoc, wieczór dobiegał końca.

– Mamo, a długo będziemy jutro jechać?

– Długo, Krzysiu.

– A po co tak długo?

– Żeby dojechać.

– A nie moglibyśmy dojechać gdzieś wcześniej?

– Następnym razem, kochanie – odpowiedziała Renata, gasząc światło.



Poranek był zamglony. Skłaniał do pozostania w łóżku, szósta rano nie była przychylną godziną. Dzieci ziewały, Renata też. Tylko Mateusz z ożywieniem fukał, pakując torby do bagażnika.

– Ile tego, do licha! Jedziemy na niewiele ponad tydzień, nie na rok!

– Mateusz, tam jest niedużo rzeczy, tylko wszystko grube, zimowe...

– Niedużo? To jest niedużo? Nie ma jak tego upchnąć!

– Miałam nie zabierać dzieciakom kombinezonów i swetrów? I tak na miejscu trzeba będzie prać niektóre ciuchy.

– Tobie zawsze jest za mało – mruknął Mateusz.

– A tobie nie sposób dogodzić. – Renata się obraziła.

W podróż ruszyli w kiepskich nastrojach. Dzieciaki szalały z tyłu, Mateusz prowadził w milczeniu, Renata przysypiała na przednim siedzeniu.

Dziesięć lat wcześniej

– Nie, nie mam.

– Musisz mieć. – Mateusz się śmieje.

– No dobra, mam. Wszystko mam, ale w bagażniku.

– Wodę włożyłaś do bagażnika? – Cały czas się śmieje.

– No wiem, gapa jestem. Za to na wierzchu bagażnika.

Mateusz zatrzymuje się na pierwszym parkingu.

– I gdzie ta woda?

– Była na wierzchu... – Renata robi minę spaniela. – Chyba jednak jest gdzieś indziej.

– Całe szczęście, że stacja niedaleko. – Mateusz idzie do sklepu, wraca z dwiema wielkimi butlami picia, cały czas się śmieje.

– Moja pani gapka. – Przytula Renatę, razem piją z jednej butelki, drugą Mateusz wkłada do bagażnika.

– Tak na wszelki wypadek, gdyby tamta się nie znalazła – mówi, a Renata udaje, że okłada go pięściami. Całują się.

Teraz

Renata obudziła się z drzemki. Zamrugła. Czowała podniecenie. Po tamtym pocałunku podjechali na leśny parking i kochali się w samochodzie, trochę nieśmiało, w obawie przed przypadkowymi grzybiarzami, ale zachłannie, łąpczywie. Uśmiechnęła się na to wspomnienie, aż szturchnęła Mateusza.

– Pamiętasz, jak kiedyś zabierałam w podróż wodę? W bagażniku?

– W bagażniku? O co ci... – Mateusz odwrócił głowę, uśmiechnął się po chwili. – Czemu ci się to przypomniało?

– Przysniło mi się. Gdzie my wtedy jechaliśmy?

– Nie pamiętam. Na jakieś wakacje.

– Ale też była zima.

– Nie mogła być zima, bo staliśmy przy tym bagażniku bez kurtek.

– Ale ja pamiętam, że było mi zimno.

– Może było chłodne lato.

– Musiała być zima, bo pamiętam, że na szybie osiadał śnieg, kiedy już staliśmy w lesie.

– Nie śnieg, tylko para, i od środka. Było późne lato. Obawialiśmy się grzybiarzy.

– Nie mogło być lato, bo...

– Było lato, lato, lato! Rozumiesz? Lato! Podważasz moje zdanie, ciągle i nieustannie! – Mateusz uderzał miarowo dłońmi w kierownicę. – Lato!

– Tak, było lato. Prowadź ostrożnie.

– Prowadzę ostrożnie!

– Tak.

– Tato, co się stało? – zapytała Krycia. Dorośli nie zauważyli, że

dzieciaki nie tłukły się już od dłuższej chwili, tylko przysłuchiwały rozmowie.

– Nic, muszę pójść do toalety – odpowiedział Mateusz, zjeżdżając na stację.

– Mamo, tacie coś zaszkodziło?

– Chyba tak. Nie wyspał się i wyraźnie coś stanęło mu na żołądku.

– Możemy pobiegać? – zapytał Krzyś, otwierając drzwi.

– Tylko musicie założyć kurtki.

– Tylko chwilę, mamo. Nie potrzeba kurtek.

– A potem będziecie leżeć w łóżkach przez całe ferie? Nie ma mowy. Poza tym tata już wraca.

– Przepraszam – mruknął Mateusz, wsiadając do auta. Nie skomentował wyziębionego auta i śniegu, który Krzyś zdążył wnieść na butach. Renata kiwnęła głową, odwracając twarz w stronę okna.



– Ładnie tu – ocenił Eryk, wyglądając przez okno pensjonatu.

– Tylko trochę mało miejsca – dodała Krysia.

– Nie będziemy przecież siedzieć w pokoju – skomentowała Renata, rozpakowując bagaże. – Myć ręce, schodzimy zaraz na kolację.

– Mamo, a dlaczego wasz pokój jest większy? Przecież nas jest trójka, a was tylko dwa? – zapytał Krzyś.

– Dwoje. – Odruchowo poprawiła synka. – Ale u nas są tylko dwa łóżka, więc to nie może być wasz pokój.

– Mamo, nie ma sprawy, przesuniemy jedno do tamtego pokoju i wtedy on będzie nasz – powiedziała rezolutnie Krysia.

– Myślę, że nie będziemy robić gaździnie przemeblowania.

– Gaździnie? A ona jeździ na gaźniku? – Krzyś się zaciekawił.

– Słucham? – Renata podniosła się, zamykając szafę.

– Idziecie już? – Mateusz z impetem otworzył drzwi.

– Tak, ręce umyte? – Renata poganiała dzieci.

– Jutro idziemy na stok, od razu z samego rana. – Mateusz

planował przy posiłku. – Eryk i ja jeździmy, Krysia i Krzyś będą jeździć z instruktorem.

– Tato, ja chcę z tobą! Albo z mamą! – Krzyś się skrzywił.

– Ale jeszcze nie umiesz. Instruktor cię nauczy, i wtedy będziemy jeździć razem. Mama będzie z wami.

– Ja... – Renata się zająknęła. – Raczej nie. Odprowadzę was, a potem trochę odpocznę. Poczytam, pooddycham. Nie dam rady jeździć.

– Nikt ci nie każe jeździć. Masz pilnować dzieci.

– Nie dam rady siedzieć cały dzień na dworze. Odprowadzę was, a potem wracam do pensjonatu.

Mateusz przyjął wypowiedź Renaty w obrażonym milczeniu. Dzieci dyskutowały na temat mistrza narciarstwa. Stało na tym, że każde z nich jeździ na nartach najlepiej.

Renata wciąż nie przyznawała się Mateuszowi do gorączki. Brała leki przeciwzapalne, funkcjonowała więc jako tako, ale wciąż była zmęczona. Podczas pobytu w górach zamierzała dużo spać i regularnie jeść. Zaplanowała sobie poranny spacer z rodziną na stok, potem powrót do pensjonatu, drzemkę przy otwartym oknie, a jeszcze lepiej na tarasie, i czytanie książki aż do obiadu. Potem wspólny posiłek i powtórka – spacer, książka, drzemka. I tak codziennie. Obiecała sobie także, że zaraz po powrocie zrobi badania.

W planach musiała nastąpić modyfikacja. Od nadmiaru świeżego powietrza Renata mocno kaszlała, drzemki więc odbywały się przy zamkniętych oknach, w dusznym, mocno nagrzanym pokoju.

– Co czytasz? – zapytała Renata pewnego wieczora Mateusza.

– Kinga – odpowiedział, odwracając książkę okładką w stronę żony.

– Dasz przeczytać?

– Jak tylko skończę. – Wzruszył ramionami. – A ty?

– Franzena.

– Kto to?! – Mateusz nie zapytał, raczej prychnął.

– Amerykanin. Znany.

– Ja nie znam.

Renata nie odpowiedziała.

- A co to za książka? – ponownie odezwał się Mateusz.
- *Wolność*. Chcesz?
- Może potem.
- Kiedyś często czytałeś to, co ci podrzucałam.
- Kiedyś miałem więcej czasu – odparł Mateusz.

Ferie minęły błyskawicznie. Renata ledwo je zauważyła pomiędzy drzemkami. Ostatniego dnia wybrała się na stok, na którym po raz pierwszy Krzys i Krysia jeździli z ojcem. Instruktor był zadowolony z ich postępów, Mateusz również. Renata oczywiście też, chociaż sama na nartach nie jeździła i nie bardzo potrafiła docenić umiejętności dzieciaków.

– Ten pana starszy syn to nieźle jeździ. – Instruktor stanął z boku i skomentował szusującego Eryka.

- Sam go uczyłem. – Mateusz pokraśniał z zadowolenia.
- Przydałoby się, żeby pojeździł więcej, byłby może z niego narciarz – dodał instruktor, odchodząc.

W drodze powrotnej nastroje rodziny nie uległy zmianie. Renata przysypiała, dzieci wariowały z nudów, Mateusz warczał. Kiedy późnym wieczorem dojechali do domu, Renata poprosiła Mateusza o wniesienie śpiącego Krzysia na piętro, zarządziła dzieciom szybki prysznic i sama też niemal od razu poszła spać. Mateusz zamierzał rozpakować bagaże, ale stanął tylko w drzwiach i nasłuchiwał krzątaniny rodziny. Potem wystawił z kredensu butelkę i kieliszek, usiadł przy stole w jadalni i pił w milczeniu. Następnego dnia mówił, że „rozmyślał”. Po tych medytacjach dopiero około południa był w stanie wyjąć torby z bagażnika.

Renata przed snem wzięła leki przeciwgorączkowe.

Kurczę, dostałam jeszcze kataru i zaczęłam kichać, jakby kaszel mi nie wystarczył. Obowiązkowo badania, jak tylko wyleczę infekcję – myślała.

Nie leczyła się jednak, leżąc w łóżku. Ferie mijały, Mateusz chodził do pracy, musiała dopilnować dzieci, zadbać o dom, posiłki. Wykonywała tylko niezbędne, podstawowe prace. Poza tym spała.

Sen to zdrowie i regeneracja organizmu – tłumaczyła sobie.

Któregoś dnia, wkrótce po feriach, bez zapowiedzi wpadła Daria.

Nie było to niby nic szczególnego, kiedyś odwiedzały się bardzo często, ale ostatnio Renata zaniedbała kontakty towarzyskie. Niegdyś popołudniami robiła zakupy, umawiała się ze znajomymi, potrafiła po prostu wyjść z domu i zapukać do drzwi Darii ot tak, z talerzem świeżo upieczonego ciasta lub paczką kupnych ciastek. Albo bez niczego.

– Coś tak znikła? – zapytała Daria, otrzepując włosy ze śniegu. Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej. – Padać zaczęło, żeby nas tylko nie zasypało. Zapowiadali śnieżyce.

– Zakopałam się w domu, w obawie przed śnieżycami – odpowiedziała Renata, podając przyjaciółce wieszak na kurtkę.

– Ha, ha. – Daria popatrzyła na Renatę. – Jesteś jeszcze bledsza niż ostatnio.

– Wydaje ci się, to w tym świetle.

– Akurat. Mów, co u was.

Renata wzruszyła ramionami. – Nie wiem, nic nowego. Ciągle pokaszuję, coraz bardziej też się nie zgadzamy z Mateuszem.

– Nie zgadzacie się? Wy? – Przyjaciółki przeszły już do jadalni. Renata wstawiła wodę.

– My.

– Na smutki najlepsze zakupki. Zabieram cię.

– Daj spokój, nie mam ani kasy, ani siły. I niby gdzie miałybyśmy jechać.

– Gdzieś. Ubieraj się.

Dyskutowały jeszcze chwilę, Renacie nie chciało się wychodzić. Małymi łykami piła gorącą herbatę.

– Po dzieci muszę jechać – tłumaczyła się.

– Ja też. Zdążymy – odpowiedziała Daria. – Oczywiście, jeśli się pośpieszysz.

Renata poczuła przyjemność dopiero w samochodzie. *W sumie, co mi szkodzi? Od tygodni nie kupowałam nic poza pietruszką i mięsem – pomyślała.*

– To pewnie wiosenne przesilenie. A na tego rodzaju chorobę najlepsza jest czerwona bluzka – powiedziała.

– Czerwona będzie rewelacyjna. Ożywia cerę i umysł – skomentowała Daria.

– No super. Skoro uważasz, że mój umysł wymaga podniet w burdelowym kolorze...

– Ty to powiedziałaś. Ja myślałam raczej o delikatnej czerwieni wiosennego maku. – Daria popatrzyła niewinnie.

– Lepiej prowadź uważniej. – Renata się uśmiechnęła. – Swoją drogą, coś w tej czerwieni jest – dodała po chwili. – Ożywiam się nawet na myśl o krwistej bluzce.

– Mhm – potwierdziła Daria.

Dyskutowały o sklepach, które odwiedzą. Na parkingu było tłoczno, kierowca w białym audi obtrąbił Darię. Trzy razy próbowała wjechać tyłem na ciasne miejsce parkingowe, raczej nieuważna z zagadania niż braku doświadczenia. Wkurzyła się, wysiadła i zaczęła pyskówkę z kierowcą. Był przystojnym ciemnym blondynem, pachniał dobrą wodą kolońską i niegramatycznie odmieniał końcówki. Renata, śmiejąc się, słuchała przez wpółotwartą szybę.

– A pani czego tak wesoło?

– Bo pan tak śmiesznie mówi. Jak troglodyta. Wie pan, taki typowy użytkownik audi.

Gość odwrócił się na pięcie.

– Daria, wsiadaj i odjeżdżaj, bo facet cię zaraz rozjedzie.

Daria była wściekła. – Co za palant! Dupek! – wyrzekała.

– Pogadaj se, ulży ci. Ale odjeżdżaj.

– Dobra, dobra – mamrotała Daria.

Przyjaciółki odwiedziły kilka butików, Renata mierzyła czerwone bluzki, ale w żadnej nie wyglądała dobrze. Jej szara twarz w zestawieniu z czerwienią wyglądała na fioletową. W końcu zdecydowała się na prostą sukienkę z krótkimi rękawami i podwójnymi mankietami. Bordowy kolor łagodziły łososiowe paski, całość miała szlachetny połysk i znakomicie układała się na figurze Renaty.

– Ależ piękne to zapięcie. – Daria westchnęła. – Wykończone tak, jakby ktoś ręcznie to szył.

– Bo to jest ręcznie wykończone – wtrąciła sprzedawczyni, pakując zakupy do torby. – To końcówka serii, mocno przeceniona. Czasami dostajemy takie rzeczy z markowych sklepów, już bez metek.

Przyjaciółki popatrzyły na siebie.

- Ma pani jeszcze coś podobnego? – Daria się zainteresowała.
- Tutaj. – Sprzedawczyni wskazała w stronę jednego z wieszaków. Towar był przebrany, Daria nie znalazła nic dla siebie. – Kiedy następna dostawa?
- A tego to nigdy nie wiemy. Kierownik przywozi, to mamy towar. A jak nie przywozi, to nie mamy.
- Filozoficzne – mruknęła Renata.



W hallu galerii handlowej spotkały gościa z białego audi. Prowadził za rękę paroletnią dziewczynkę. Śliczną, ubraną w czerwoną sukienkę od Armaniego. W drugiej ręce taszczył kilka dużych papierowych toreb.

- Takie torby noszą troglodyci, córeczko. – Usłyszały.
- Troglodyci, i to z wadą wymowy – głośno odpowiedziała Daria.
- Torby są im potrzebne, żeby mieć zapasowy mózg pod ręką, z braku własnego.
- Przynajmniej nie chodzą z plastikowymi reklamówkami – odparował, spoglądając na torbę w ręku Renaty.
- Czego właściwie chciałaś od tego gościa? Sepleni i jeździ strasznie drogim autem. Ale poza tym...
- Poza tym nawrzeszczał na mnie.
- A ta dziewczuszka miała śliczną sukienkę. Układała się jak płynne złoto. Cudna czerwona dzianina. I ten kołnierzyk... Cacko!
- A dlaczego koniecznie musi mieć markowy znaczek?
- Bo go na to stać? I wcale bym się nie zdziwiła, gdyby twoje auto było po naszym powrocie mocno porysowane – odparła Renata.
- Kichać! – Daria wzruszyła ramionami.
- Akurat.
- No dobra, nie kichać. Zamordowałabym jaskiniowca, gdyby naruszył moje śliczne, malutkie, zgrabniutkie ośmioletnie autko. A teraz siadamy, bo mi zaraz nogi odpadną.

– Tobie odpadną, mnie już chyba odpadły – powiedziała Renata, moszcząc się w niewygodnym kawiarnianym foteliku. – Wolałabym zwyczajne krzesło niż takie dziwne coś.

– Na krześle siedziałabyś za długo. A w takim niby-foteliku kawkę wypijesz i pójdziesz sobie. Przyjdzie następny klient. Co chcesz?

– Kawę, mocno mleczną.

Renata próbowała ułożyć ramiona na zbyt wysokim oparciu, bo wewnątrz fotela ręce się nie mieściły. *Co za cholerstwo* – pomyślała.

Daria wróciła, niosąc tacę z napojami i ciastkami. Ustawiając filiżanki na stoliku, spojrzała na Renatę i rozlała kawę. Trzęsącymi rękami sięgnęła po serwetkę i nerwowo powiedziała do przyjaciółki:

– Przyłóż do nosa.

Renata spojrzała bokiem. – Pomalowałam się krzywo, czy jak?

– Nie. Po prostu przyłóż serwetkę do nosa, a ja zaraz znajdę chusteczkę.

Renata dotknęła opuszkami palców górnej wargi. Zamrugła. Na palcach zostało trochę ciemnej, błyszczącej krwi. Daria przeprowadziła Renatę na niewielką kanapę w rogu.

– I tak planowałam się wynieść z tego okropnego fotela – powiedziała Renata.

– Dużo wygodniej to ci tu nie będzie.

Daria wyciągnęła już chusteczki, Renata przykładła je do odchylonej głowy.

– To było dziwne uczucie – powiedziała po kilku minutach, kiedy już usiadła, cały czas oddychając głęboko. – W ogóle nie czułam, że leci krew. Czułam tylko ciepło, a to nic przerażającego, więc nawet nie reagowałam.

– Znowu. – Daria przerwała przyjaciółce.

– Co znowu?

– Znowu leci ci krew.

Renata położyła się i długo, ponad kwadrans, leżała z wciąż zmienianą chusteczką przy twarzy.

– Mam okropnie przesuszone śluzówki – powiedziała. – Dlatego krwawią.

– Tak – odpowiedziała Daria. A po długim milczeniu dodała: – Co

ci jest?

– Osłabiona jestem. – Renata wzruszyła ramionami.

Daria pokiwała głową. – Jak wszyscy wiosną. A poza tym?

– Poza tym nie wiem. – Renata ściszyła głos, chociaż nikogo w pobliżu nie było. – Ciągłe śpię, kaszlę i gorączkuję. Nigdy jeszcze tak nie krwawiłam, ale... Sama nie wiem.

– A ja chyba wiem. Lekarz? – Daria uniosła brwi.

– Lekarz to mnie ściga w snach. Kazał mi zrobić badania już kilka tygodni temu.

– To czemu ich po prostu nie zrobisz?

– Bo się boję? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Renata. – Tak zwyczajnie. Nie chcę wiedzieć, że coś mi jest.

Samochód na parkingu nie był porysowany, a sam parking – trochę opustoszał. Przyjaciółki spokojnie szły do auta, Daria zerkała co chwilę na Renatę.

– Nie patrz tak, pewnie nie puszczę już juchy. Nie zdarzyło się wcześniej, mówiłam ci. I teraz już się długo nie zdarzy.

– Jasne, jasne. – Daria uniosła ręce w obronnym geście.



Renata odbierała dzieci bez pośpiechu. Eryk kończył późno, Krzyś miał opiekę w przedszkolu do piątej, a Krysia musiała zaakceptować dodatkową godzinę w świetlicy.

Ciągły pośpiech w niczym mi nie pomaga – pomyślała Renata i dała sobie w domu czas na odpoczynek.

Dzieci tak się ucieszyły na widok mamy, że nawet nie skomentowały jej późniejszego niż zwykle przyjścia. Renata pozwoliła im iść zygzakiem, od placu zabaw aż prawie pod boisko. Zajęło to dużo czasu, ale ona nieśpiesznie szła za nimi. Potem w domu nie poganiała ich w zamieszaniu wyciągania tornistrów, układania kurtek, mycia rąk.

– Co na obiad? – zapytał Eryk.

– Zgłodnieliście? – Renata udała zdziwioną. – To dobrze. Zjecie,

co dam.

– Mama... – Eryk spojrział z wyrzutem.

– Dobrze będzie, nie martw się. – Renata się uśmiechnęła, nalewając pomidorówkę.

– Pycha! – wykrzyknęła Krysia, podbiegając do matki. – Dla mnie dużą porcję!

– I dla mnie też, dla mnie też! – dołączył Krzyś.

Dzieciaki zjadły, Renata połknęła tylko kilka łyżek zupy i odrobinę mięsa z drugiego dania. Nie miała apetytu. Popołudnie było bardzo spokojne – odrabianie lekcji, zabawa klockami, telewizja, komputer. Renata przed telewizorem robiła szalik, gdy do domu wrócił Mateusz.

– Tak wcześnie? Super! – Renata przywitała męża.

– Tata tatatata! – krzyczały dzieci.

– Jest co jeść? – zapytał Mateusz.

– Pewnie. – Renata podniosła się i ruszyła w stronę kuchni.

Mateusz chwycił ją za rękę. – Zostań. Odgrzeję sobie.

– Co się stało? – zdziwiła się. W ich domu Mateusz dostawał ciepłe jedzenie na stół. Tradycyjnie.

– Nic. Odpocznij.

Renata popatrzyła, nie kryjąc zdziwienia.

– Dzwoniła do mnie Daria. Teraz idziesz spać. Jutro śpisz do oporu, po południu przyjedzie lekarz.

– Fajnie. – Renata nie kryła sarkazmu. – A kto niby odwiezie dzieci? Ty wyjeżdżasz, o ile dobrze pamiętam, jutro przed piątą rano.

– Daria.

– Wszystko uzgodniliście? – Renata była zła. – Poza mną?

– Wszystko. A teraz idź po prostu spać. – Mateusz przytulił żonę.

W jego objęciach Renata poczuła ulgę. Przyjechał, zajmie się, ona idzie spać. Tak.

Zasnęła, zanim dzieci poszły do łazienki. Spała dobrze, chociaż trzy razy budził ją atak kaszlu. *Może to i dobrze, że przyjedzie lekarz – pomyślała. – Tylko znowu będzie mnie strofował.*

Rano rodzina zachowywała się bardzo cicho. Na tyle, że Renata obudziła się dopiero o dziewiątej, kiedy dzieci były w trakcie drugiej lekcji, a Mateusz rozpoczynał spotkanie na drugim końcu Polski.

Przeciągnęła się i od razu rozkaszała.

Co za franca – westchnęła. Zadzwoiła do Mateusza, ale oddzwonił dopiero po półtorej godziny.

– Miałem spotkanie – powiedział.

– Tak myślałam.

– Martwię się o ciebie.

– Odpoczęłam. Już zdecydowanie lepiej – zdążyła powiedzieć, zanim znów zaczęła kaszeć.

– Właśnie słyszę.

– Nie ironizuj. Kaszel nie przejdzie ot tak. To musi trochę potrwać.

– Pewnie. Dlatego dziś o czternastej będzie lekarz. Daria o szesnastej przywiezie dzieci.

– Muszę się podnieść, obiad jakiś zrobić. Z wczoraj prawie nic nie zostało.

– Dzieci będą po obiedzie, dla ciebie Daria też przywiezie.

Renata milczała zaskoczona.

– Będę dziś bardzo późno, nie czekaj na mnie. Po prostu idź spać.

– A dzieciaki? Ktoś się musi nimi zająć.

– Renata, Eryk jest duży. Potrafi zadbać o siebie i pomóc rodzeństwu. Możesz liczyć na Darię. Ale przede wszystkim musisz zadbać o siebie. Ciągłe tylko dzieciaki i dzieciaki. A ty? Gdzie jesteś ty? Gdzie jest moja żona?

Zamilkł, trochę zawstydzony. Krzyczał, niepotrzebnie i wbrew własnej woli.

– Nie przypominam siebie? – zapytała cicho Renata.

– Przepraszam. Nie chciałem. Muszę kończyć. Mam jeszcze dzisiaj dwa spotkania. Ostatnie może się przedłużyć.

– Powodzenia.

– Dzięki. – Mateusz szybko się rozłączył.

Muszę skupić się na pracy – pomyślał.

Renata długo jeszcze siedziała ze słuchawką przy uchu. Regularny sygnał w końcu przekształcił się w ciszę. Słuchała jej.

Potem weszła do łazienki, stanęła naga przed lustrem.

Wcale mu się nie dziwię – pomyślała. – *Jestem po prostu brzydka.*

Kaszląc, weszła pod prysznic, potem założyła miękki dres i zeszła

na śniadanie. W kuchni panował rozgardiasz. W wyobraźni widziała Mateusza pakującego dzieciom kanapki na skrawku blatu.

Sam pewnie zjadł w biegu, nawet nie usiadł – pomyślała. – I pewnie Darii nawet nie wpuścił za próg przedsionka, żeby tylko nie zobaczyła tego tutaj.

Z westchnieniem zabrała się za porządki. Potem, zmęczona, usiadła. Zamierzała podziergać szydełkiem, ale tylko trzymała robótkę na kolanach i rozmyślała.

Ależ ten szalik śmierdzi – myślała. – Takie piękne perfumy, a mogą doprowadzić do szału, gdy są zbyt intensywne. To bez sensu, ale będę musiała sprać ten zapach.

Tak dotrwała do drugiej. Punktualnie zadzwonił domofon, przyszedł doktor, jak zawsze roztaczając wokół siebie aurę mądrości.

Badał Renatę na kanapie w salonie, popijając odrobinę wody z kryształowej szklanki, którą specjalnie na jego wizytę Renata wyciągnęła z kredensu.

– Droga pani, jest pani bardzo osłabiona – zaczął lekarz. – Ma pani zapalenie płuc, mocno już przechodzone. Dwa tygodnie w domu co najmniej – mówił doktor, jednocześnie wypisując recepty, z pochyloną głową. Sprawiał wrażenie, jakby mówił do siebie. – Antybiotyk oczywiście. Po dwóch dniach powinna ustąpić gorączka i zmniejszyć się kaszel. Proszę do mnie zadzwonić... dziś jest środa... proszę do mnie zadzwonić w sobotę. Nie, w sobotę nie mogę. Proszę do mnie zadzwonić w poniedziałek, ale koniecznie przed dziewiątą. Później nie będę mógł rozmawiać. Do tego czasu powinna pani czuć się dobrze.

Lekarz pakował swoją wielką, podniszczoną torbę.

– I proszę dużo pić. Może pani nie mieć apetytu, do jedzenia proszę się nie zmuszać. Ale koniecznie proszę dużo pić.

– Panie doktorze?

– Droga pani, nie odpowiadam na żadne pytania. Nie wiem. Będę coś wiedział, jak zrobi pani wreszcie badania, które tak dawno już zleciłem.

Lekarz sprawiał wrażenie urażonego.

To nieprofesjonalne – pomyślała Renata. W głębi duszy jednak czuła, że doktor ma rację. – Próbuje wywołać we mnie poczucie winy.

I słusznie. Powinnam zrobić te badania od razu, gdy mi je zlecił.

Po wizycie lekarza znów usiadła na kanapie, zaczęła przysypiać.

Idę do łóżka, co będę się tutaj kiwać – pomyślała.

Około szesnastej do domu wpadły dzieci. Obudziły matkę.

– Mamo, a dzisiaj dostałam szóstkę! – oznajmiła dumnie Krysia.

– Gratuluję. A z czego? – Renata uśmiechnęła się do córki. Krysia odpowiadała równocześnie z chwalącym się dniem Krzysiem. Renata nic z tego nie rozumiała, ale przytulała dzieci i głaskała je po głowach. Na koniec powiedziała do obydwójga: – Super! I zagadnęła starszego syna, który stał w drzwiach: – A jak u ciebie, Eryk?

– W porzo – odparł nastolatek.

– Tak... wyczerpująca odpowiedź – skwitowała Renata. Młody uśmiechnął się do matki.

– Jesteście pewnie głodni. Już się zbieram i robimy jedzenie.

Daria weszła po chwili na górę. – Mateusz dał mi klucze – powiedziała. – Nie są głodni i nie musisz wstawać. Są nakarmieni aż po czubki uszu.

Renata spojrzała podejrzliwie na towarzystwo.

– Tak? – zapytała.

– Tak – odparł zgodny chór.

Renata rozglądała się, patrząc każdemu z dzieci w oczy, i robiła grymasy. W końcu Krysia nie wytrzymała:

– Bo byliśmy z ciocią w McDonalddie!

– Pięknie! – wykrzyknęła Renata. – Wiedziałam, że coś tu nie gra. Matka na jeden dzień do łóżka, a tutaj takie brewerie!

– Nie złość się, nie miałam czasu dzisiaj im gotować. Jutro będzie normalny obiad.

– Dlaczego jutro?

– Bo chyba poleżysz trochę? Co powiedział lekarz?

– Daj spokój, zaraz wstaję.

– Nie chojrakuj. Co powiedział lekarz?

– A właśnie, wykupiłabyś mi receptę?

– Pewnie. Co powiedział?

Renata skrzywiła się. – Zapalenie płuc.

– No ładnie. Daj receptę, zaraz skoczę do apteki.

– Pieniądze są w mojej torebce.

– Dzieciaki, na dół! Dajcie mamie trochę odpocząć. – Daria zagoniła całą trójkę do salonu i nakazała odrabianie lekcji. Wróciła po czterdziestu minutach z reklamówką lekarstw i swoimi bliźniaczkami.

Opanowała sytuację. Krysia, Krzyś i bliźniaczki bawili się na dywanie klockami, Eryk odrabiał matkę. Zrobiła Renacie herbatę i poszła na górę z parującym kubkiem.

– Musiałam przywieźć bliźniaczki. Nie mam ich z kim zostawić, Klemensa ciągle nie ma. – Wzruszyła ramionami. – U ciebie przynajmniej mam się do kogo odezwać. Bo w domu mogę sobie pogadać z rozpieszczonymi pięciolatkami lub do telewizora. Gdzie masz instrukcję od lekarza?

– Instrukcję? – Renata w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– No wiesz, rozpiszę, ile czego brać i jak często.

– Jasne! – Renata uderzyła się rozłożoną dłonią w czoło. – Leży na komodzie.

Daria czytała bazgroły lekarza. Przygotowała lekarstwa, Renata połknęła, co jej podano.

– Coś cisza tam – powiedziała po chwili.

– Bawią się klockami – odpowiedziała Daria. – Dopóki nie leci krew, wszystko jest w porządku.

Uśmiechnęły się.

– Wracaj prędko do zdrowia, nie mam nawet z kim do kina iść.

– A Gabriel?

– Świetny, tylko nie mam dla niego czasu. Muszę się zająć chorą przyjaciółką.

– Nie obarczaj mnie tak!

– A czuj się winna.

Rozmawiały chwilę, o niczym szczególnym.

– Chciałabym znów pojechać do tego butiku. Może trafimy na dostawę, wiesz, tych pyszności ręcznie wykańczanych.

– I na kawę, tym razem bez krwotoku – odpowiedziała Renata.

– Sama nie jadę. Sukienki nie będą smakowały. – Daria się uśmiechnęła. Chora odwzajemniła uśmiech. – Prześpij się.

– Przyda mi się. – Renata przytaknęła.

- Teraz będziesz dużo spać i szybko zdrowieć – powiedziała Daria.
- Farmaceuta powiedział, że ten antybiotyk to jeden z najsilniejszych na rynku. Da ci pewnie kopa.
- Przyda mi się – powtórzyła Renata.



- Dzięki, Daria. – Mateusz starał się wrócić do domu najwcześniej jak to możliwe, ale i tak był już wieczór.
- Prawie cały czas śpi, ale to pewnie normalne.
- Ostatnio w ogóle dużo śpi.
- Od czasu do czasu budzi ją atak kaszlu. Ależ się załatwiła.
- A ja głupi na to pozwoliłem.
- Obwinianie się nic nie pomoże. Lepiej zastanowić się nad logistyką najbliższych dni.
- Jutro będę w domu wcześniej, to znaczy... cóż, chyba koło piątej.
- To jest wcześniej? – Daria uniosła swoim zwyczajem brwi.
- Mateusz nie skomentował. – Zadzwoiłem już do teściowej. Rodzice Renaty przyjadą pewnie po obiedzie. Dasz radę jeszcze raz odebrać dzieciaki?
- Jeszcze nie raz, jak sądzę.
- Oni będą potrzebowali trochę pomocy, muszą się zorientować w szkole et cetera. No wiesz, które o której, z której sali, gdzie szukać w razie czego i takie tam.
- Jasne. Mateusz, a czy ty wiedziałbyś, skąd odebrać dzieci? I gdzie ich szukać w razie czego? I takie tam?
- Mateusz popatrzył w okno.
- Wiesz, jestem ojcem...
- Trochę nieobecny.
- Raczej zapracowany, powiedziałbym.
- Jasne. Zabieram bliźniaczki i idziemy do domu.
- A Klemens?

- Co Klemens?
- Też go nie ma. – Mateusz miał na twarzy wredny uśmieszek.
- Nie ma. Czy dla ciebie to jest usprawiedliwienie?



– Córeczko, ja powinnam cię zatrzymać wtedy w domu. A ty pojechałaś podziębiona i takie skutki. Przeziębiałaś przeziębienie i teraz kłopot. Jutro zrobimy rosółek, zaczniesz nabierać sił, muszę o ciebie zadbać, skoro nikt inny tego nie robi. Nawet ty sama – perorowała Krystyna, rozpakowując w kuchni wałówkę. Mówiła bardziej w głąb wielkiej kraciastej torby niż do córki. Wyciągała pieczone mięsa, swojskie wędliny pachnące czosnkiem, jajka od kury, warzywa z ogródka. – Jesteś taka mizerna. – Obejrzała się w stronę stojącej u wejścia do kuchni Renaty. – Ty jeszcze schudłaś! – Dramatycznie uniosła głos.

– Eee... nie chyba – odpowiedziała Renata, ale matka nie oczekiwała odpowiedzi.

– Dam dzieciom mleka od krowy, dawno już nie piły. Bo i skąd by miały takie pić?

– Każde jest od krowy, mamó – powiedziała cicho Renata, ale Krystyna jej nie słuchała.

– Hrychowa dla was specjalnie dała, chociaż sera to już nie miała, ale śmietany też dla ciebie specjalnie nazbierała dziś rano. Cały słoik! – Z dumą podniosła niewielkiego twista.

Renata uśmiechała się do matki, oparta o ścianę przy wejściu. Rozchylony szlafrok frotte był wygnieciony i trochę nieświeży. W nocy było jej zimno i po prostu nałożyła go na piżamę. Nie myślała o stroju, i tak zaraz musiała wracać na górę, do łóżka. Już odczuwała lekki zawrót głowy, chociaż ze schodów schodziła ostrożnie, bardzo powoli, żeby się nie zmęczyć.

– A dzieci to gdzie? – zapytała Krystyna.

– W szkole – odruchowo odpowiedziała Renata. – Sąsiadka je

przywiezie.

– Dobra taka sąsiadka. Sąsiedzi to w ogóle dobra rzecz, pomocni czasem. Dobrze jest mieć ludzi wokół siebie. A wy tutaj to mało ich macie? – Raczej stwierdziła, chociaż uniosła lekko głos na końcu zdania. Mówiła cały czas bardziej do siebie, Renata nawet nie próbowała odpowiadać. Słuchała matki z uśmiechem.

– Jesteś, mamó, jak promyk słońca – powiedziała w końcu. Krystyna przerwała wywód.

- Jak każda mama dla swoich dzieci. Idź się teraz położyć.
 - Pójdę, pójdę, skoro mnie tak wyganasz.
 - Ja wyganiem? Własne dziecko? A może zjesz coś?
 - Mamó, dla ciebie jedzenie to synonim miłości.
 - Aj, nie gadaj tak. – Starsza kobieta się obruszyła.
 - Ale to piękne, mamó. Jeść mi się nie chce, tylko pić.
 - No to siadaj, mleka zaraz dam.
 - Za mleko dziękuję, ale może cieplej herbaty. Ziołowej najlepiej.
- Renata weszła do kuchni, otworzyła szufladę i wyjęła puszkę.
- A wiesz, takiej to i ja bym się napiła.

Renata przy stole wysłuchiwała opowieści o sąsiadach, ich dzieciach, wnukach, samochodach i ostatnim kazaniu. Nie odpowiadała, matka po prostu mówiła.

Jak dobrze tak po prostu słuchać – myślała.

Ojciec siedział razem z nimi.

- Muszę jechać niedługo – powiedział w pewnej chwili.
- Jechać? – Renata się zdziwiła.
- Wracam do domu.
- Dlaczego? Miejsca u nas dość.
- Mam sprawy do załatwienia. Dom sam nie może stać.
- Tato, nic się nie stanie przez kilka dni, zostań.
- Stanie, nie stanie. Ja dzisiaj wracam. Mama z dziećmi pomoże, w razie potrzeby samochód u was stoi w garażu, dacie radę. Mama przecież prowadzi.
- Ale tato...

Ojciec przerwał Renacie. – Jadę dzisiaj. Z dziećmi się tylko pożegnaj i jadę.

Trzydzieści lat wcześniej

Renata ma pięć lat i cienkie warkocze. Kokardy przy nich nosi wielkie, najczęściej białe. Dużo biega po podwórku i lubi się bawić z kotami. Uwielbia swoje białe buciki z paskami zapinanymi w poprzek stopy, ale mama nie pozwala jej nosić ich na co dzień. Tylko do kościoła.

Renata nie zastanawia się nad kolorami. Lubi białe, a gdy pewnego dnia wplatają jej we włosy czarną kokardę i zakładają czarne lakierki, nie cieszy się. Kokardy są w porządku, ale buty nie mają paska. Nie chce ich założyć.

Dom jest pełen ludzi. Renata cieszy się, uważa że jest dobrze, gdy jest dużo ludzi. Wtedy wszyscy przytulają i przywożą słodczyce. Galaretki i czasami twarde cukierki. To jest fajne.

Ale tym razem goście nie zajmują się Renatą. Chodzi pomiędzy ich nogami, próbuje czasami złapać za jakąś połę marynarki, każdy jednak mówi:

– Tak, tak, idź się pobawić.

– Biedna ta mała. – Renata pamięta głos którejś z ciotek. – Żeby jej teraz nie odepchnęli.

– Łatwo zapomnieć o dziecku, jak się starsze straciło. – Tego już Renata nie pamięta.

Podobnie jak nie pamięta konduktu i pogrzebu. Jednak ciągle ma przekonanie, że mama zawsze z nią porozmawia.

Gdy przy stole żałobnicy szepczą nad herbatą, u mamy na kolanach jest ciepło. Mama głaszcze i cały czas mówi do córki.

Nieważne, co się wydarzy, mama i tak będzie do mnie mówić – myśli Renata.

Teraz

– Mamo, mamo, jest już babcia? – Dzieciaki wpadły do domu, trzaskając drzwiami.

– Babcia! – darł się od wejścia Krzyś.

Krystyna po kolei ścisnęła dzieci, nawet Eryka, który uważał to już za zbyt dziecinne.

– Kochane moje, mleka się napijcie! – Od razu przejęła domowe stery kulinarne.

– Dziadek! – Seria uścisków się powtórzyła.

Starszy pan spoczął na fotelu w salonie, dzieciaki go obsiadły. – Gramy w domino! Nie, w chińczyka! A nie, bo w Piotrusia! – Harmider nie ustawał. Dziadek nauczył wnuki kilku gier, tych, które sam pamiętał. A one wykorzystywały każdą okazję, aby z nim pograć. Nie miał wyjścia – musiał posiedzieć, pograć, poukładać klocki.

– Jak się czujesz? – Daria zajęła się przyjaciółką.

– Trochę zmęczona. – Renata się uśmiechnęła, patrząc na matkę krzątającą się w kuchni. – Wzięłam kolejny antybiotyk, powinno być lepiej.

– Powinno czy jest? – Daria miała wątpliwości, ale dzieciaki nie dały im kontynuować rozmowy.

– Mamo! A Mati powiedziała, że...

– Nie, to Nonna powiedziała!

– Jezu, nie mogłaś dać im innych imion? – powiedziała Renata do Darii, zadowolona, że nie musi odpowiadać na dalsze pytania przyjaciółki.

– Pogadaj z Klemensem. On je tak zdrobnił.

– Nie mogę gadać z nieobecnym.

– Właśnie. – Daria wykrzywiła się w parodii uśmiechu. – A swoją drogą, jak ty dajesz radę z trójką? Każde potrzebuje czegoś innego. Ja przynajmniej jak mam wycieczkę w przedszkolu, to jedną dla dwóch sztuk. Myślę pojedynczo. Nie wiem, jak ty ogarniasz wszystkiego po trzy.

– Ja ci powiem jak. Kartka papieru. Wszystko zapisuję. W kalendarzu, a czasami dodatkowo na kartce. Chociaż Eryk to już sam o wielu rzeczach pamięta.

Przyjaciółki milczały chwilę, przyglądając się dzieciakom. Co chwilę któreś z nich podbiegało do babci. Krystyna je podkarmiła – jabłuszko, pomarańczka, kanapka z miodem.

– Utuczy je – stwierdziła Daria.

– Pewnie tak – potwierdziła Renata. – Może nie zdąży. Aż tak długo nie zamierzam chorować.

– Mam nadzieję. Założyłaś już tę kieckę?

– Niby kiedy?

– Racja. Założysz, jak pójdziemy kupować coś dla mnie.

Potrzebuję czegoś fajnego.

– Kobieta zawsze potrzebuje czegoś fajnego.

– Ale ja... muszę się podbudować.

Renata milczała, czekała na ciąg dalszy.

– Klemens chyba kogoś ma... sama wiesz.

– Nie bardzo wiem, ale potrzeba czegoś ładnego jest zrozumiała.

Pójdziemy, gdy tylko będzie mi wolno wychodzić.

– A wy tu czego tak? – Krystyna stanęła nad nimi. – Spiskujecie czy co?

Zaśmiały się wszystkie trzy.

– Do łóżka! – Od razu zaczęła strofować córkę. – Zaraz ci przyniosę jedzenie.

– Mamo, nie chcę jeść. Za to ciągle chce mi się pić. Lekarz kazał mi dużo pić.

– A zakazał jeść?

– Nie, ale powiedział, że nie mam się zmuszać do jedzenia. Tylko pić dużo.

– Dobrze, miodowy cud zaraz będzie.

– Miodowe co? – Daria była zaciekawiona.

– Herbata z miodem – wyjaśniła Renata. – Ale nie taka zwykła. To było zawsze antidotum na wszystkie smutki. Na otarte kolano i na pierwszą dwójkę. Czyli w piątej klasie jeszcze magia działała.

– W piątej klasie dostałaś pierwszą dwójkę? – Daria pochyliła głowę w stronę przyjaciółki.

– Tak. Kiedyś musiałam – odparła Renata.

– Byłaś kujonem, prawda?

- Coś ty, mieliśmy bardzo tolerancyjnych nauczycieli.
- To ja miałam nefajnych. Pierwsza dwójka na początku trzeciej klasy. Za gadanie na lekcji.
- Bardzo merytoryczna ocena.
- Rozpacz za to była jak najbardziej realna, nie ironiczna.
- I nie miałaś herbaty z miodem? – współczująco zapytała Renata.
- Właśnie. – Daria westchnęła.
- Mamo, zrobisz Darii miodowy cud?
- Dobrze, dobrze, wszystko zrobię, tylko ty już idź na górę.
- Idę, mamo.
- To ja się pożegnám. – Ojciec wstał z fotela. – Późno już, przede mną daleka droga.
- Tato, naprawdę musisz?
- Tak, córeczko – powiedział, przytulając Renatę. Ucałował wnuki, pożegnał żonę, z daleka ukłonił się Darii. Dzieciaki ułożyły się na blacie pod parapetem, z zapalem machając dziadkowi. Światła samochodu były rozmyte na zaparowanej szybie, ale nic im to nie przeszkadzało. One widziały dziadka, dziadek nie musiał widzieć ich.
- Krystyna wróciła do kuchni, a Renata pochyliła się nad Darią:
 - Macie dwójkę cudnych dzieci. Nie zostawi cię. Cokolwiek by mu się wydawało.
 - Pytanie, czy ja nie będę chciała, żeby nas zostawił. W spokoju. Renata westchnęła i uścisnęła dłoń koleżanki.
 - Idę do łóżka – powiedziała na odchodnym.
- Już leżąc, słyszała jeszcze trochę szumu, śmiechu i zamieszania. Kiedy Krystyna przyniosła miodowy cud, wypila duszkiem, po czym zasnęła niemal natychmiast. Obudził ją dopiero muśnięciem dłoni Mateusz.
 - Nie udało mi się wrócić wcześniej, chociaż planowałem – powiedział do żony.
 - Na mnie i tak nie ma co liczyć. Spałam całe popołudnie – odpowiedziała, patrząc czule na męża. – Nawet nie wiem, co się w domu działo.
 - Mama ogarnia. Jest chyba spoko. Tylko do szkoły muszę pomóc odwieźć. Wiesz, pokazać, co i jak...

– Dasz radę. – Renata mrugnęła do męża.
– Co, zmówiłyście się? – Mateusz się zirytował.
– Zmówiłyście?
– Daria mówiła to samo. Że nie ogarniam szkoły, świetlic, gdzie, kiedy, które odprowadzić, gdzie ich szukać...
– A ogarniasz?
– Przecież wiesz, że nie – mruknął Mateusz. – Będę musiał się jutro zorientować.
– Kolacjaaaa! – Z dołu dobiegł krzyk Krystyny.
– Muszę iść, lepiej się nie narażać teściowej. Zejdziesz też?
– Nie chce mi się jeść.
– Schudłaś znowu ostatnio, może jednak coś przekąsisz?
– Herbaty łyknę.
– Przyniosę ci – powiedział Mateusz, wychodząc z pokoju.
Jednak herbatę przyniosła Renacie matka. – Mateusz ciągle rozmawia przez telefon – doniosła Renacie. – Jakby w pracy był.
– Bo on jest w pracy, mamó. Jemu się tylko wydaje, że przyjechał do domu.
– Napij się.
– Gorąca jeszcze.
– Przystudziłam trochę, napij się.
Renata posłusznie siorbnęła. – Jednak gorąca.
– To poleż jeszcze, wypijesz potem.
Cały czas leżę – pomyślała Renata po wyjściu matki. Patrzyła na okienną szybkę, w której odbijał się rozmazany obraz jej sypialni. Ciemna komoda, mroczna dziura otwartych drzwi. Lampka nad łóżkiem, kinkiet nad wejściem. *Jak obraz z jakiejś galerii* – pomyślała. – *Mój zupełnie prywatny obraz.*
Ciekawe, czy zasnę w nocy – rozmyślała dalej. – *Spałam dzisiaj tak długo, że pewnie noc przeleżę bezsennie.*
Rzeczywiście, pomimo wieczoru w ogóle nie odczuwała senności. Tym bardziej ucieszyła się, kiedy znów przyszedł Mateusz.
– Ale się nazarłem. Teściowa gotuje fenomenalnie.
Renata się uśmiechnęła. – Co było?
– No jak to. Barszczyk, uszka, mielone. Raj.

– Może i ja się zrobię głodna?

– Zaraz ci przyniosę. – Mateusz od razu zszedł na dół. Po chwili przyniósł tacę z jedzeniem.

– Bez przesady. Trochę, może troszkę zjem! – jęknęła Renata.

– Ile zjesz, to zjesz – odpowiedział Mateusz. – Potowarzyszę ci.

– Opowiedz o swoim dniu – poprosiła Renata, moszcząc się na uniesionych poduszkach. – Właściwie nie powinnam jeść w łóżku – dodała nie na temat.

– Nie powinnaś, ale mamy stan wyjątkowy. A zjeść musisz, bo zaraz kolejna porcja leków.

– To jak z tym dniem?

– Jak co dzień. Trzy spotkania, pierwsze bardzo ciężkie. Punkt dziewiąta prezes pewnej firmy oczekiwał renegocjacji kontraktu.

Drugi...

– I jak ci poszło? – Przerwała mu.

– Chyba dobrze. Oddałem pola, ale w granicach rozsądku. Chyba. Drugie i trzecie były przyjemniejsze. Udało mi się załatwić najważniejsze sprawy. Właściwie trzecie było nawet bardzo przyjemne, połączone z obiadem. Mili ludzie, chociaż bardzo konkretni. Potem spieszyłem się do domu. Miałem nadzieję, że pójdzie szybciej...

– ... ale się nie udało – dokończyła Renata. – Mateusz, czy ty mnie zdradzasz? Zdradziłeś kiedyś?

– Co? Dlaczego pytasz o coś takiego? – Mężczyzna nie krył zaskoczenia.

– Bo Daria... Zresztą, nieważne, co Daria. Nie odpowiedziałeś.

– Bo odpowiedź nie jest prosta.

Renata odłożyła widelec.

– To znaczy nie, źle się wyraziłem. Nie zdradziłem cię nigdy.

Tylko czasami... mam pokusy. – Mateusz wzruszył ramionami. – No wiesz. Odezwała się do mnie na przykład Baśka.

– Ale to historia z liceum? To ta Baśka?

– Mhm.

– Odezwała się i co?

– I właściwie nic. Zacząłem się tylko zastanawiać, co by było, gdyby... gdybym uległ, albo gdybyś nie pojawiła się ty, albo gdyby...

Nic się nie wydarzyło. To tylko głupie myśli.

– Nic się nie wydarzyło... Daria sądzi, że Klemens ją zdradza.

– Klemens? – Mateusz zawiesił głos. – Też tak sądzę.

– Słucham? I nic nie mówisz?

– Co mam mówić. Nie wiem. Coś tam mi się obilo. Jego to chyba nie ma prawie w domu, co? Daj talerz, wyniosę. Przyniosę antybiotyki.

– Dziękuję, mam tu wszystko. I herbatę, i leki.

Mateusz zabrał tacę i wyszedł z pokoju.

A ty jesteś w domu? – zadała sobie pytanie Renata.

Przed wieczorną kąpielą dzieci przybiegły do matki.

– Nie przeszkadzać, mama śpi! – Krystyna krzyczała tak głośno, że na pewno w pobliżu nikt nie spał.

– Nie śpię, nie śpię, chodźcie na przytulasy – powiedziała Renata do Krysi i Krzysia.

Córeczka przyniosła ze sobą książkę. – Poczytaj mi – zażądała.

Razem z Krzysiem ułożyli się na kołdrze obok Renaty. Dopiero po czterdziestu minutach Mateusz zabrał dzieci z okrzykiem: – Jest już strasznie późno!

A Renata poczuła się okropnie zmęczona. Wbrew obawom zasnęła szybko i głęboko.



– Pani Daria? Proszę mi pomóc. Nie wiem, skąd odebrać dzieci. W jakiej one są sali? Zięc mi pokazał rano, ale mnie się to myli.

Prowadził mnie po tej szkole, w tę i z powrotem. Boję się, że ich nie znajdę. – Krystyna zadzwoniła do Darii niemal w samo południe.

– A wie pani, o której dzieci odebrać? Plan wisi na lodówce, z boku, przyklejony taśmą.

– Pani poczeka, pani Dario. – Krystyna odłożyła na chwilę słuchawkę. – Chyba mam. Eryk dopiero o szesnastej, Krystia przed trzynastą. O Krzysiu nic tu nie ma.

– Krzysia można odebrać o którejkolwiek. Jest w części

przedszkolnej, wejść tam trzeba z boku budynku. Eryk może przyjechać sam, szkolnym autobusem. A Kryśka będzie w sali 13. W razie gdyby była pani trochę później, dzieci będą w świetlicy albo na placu zabaw. Chyba że Eryka też pani chce zabrać samochodem, to trzeba go szukać w sali numer pięć albo gdzieś w części szkoły dla starszych dzieci.

A upoważnienie pani ma?

– Upoważnienie? – zapytała oszołomiona Krystyna.

– To nie odbierze pani wnuków. Mateusz powinien tego dopilnować. Albo Renata musi wpisać do dziennika elektronicznego. Z pani numerem dowodu i peselem.

– Jezusie Maryja... – jęknęła Krystyna.

– Proszę się nie martwić. Wychodzę teraz, ale za jakieś dwie godziny podjadę po panią. Pojedziemy razem po dzieci. Ja już je odbierałam, nie będzie problemu. Wszystko pani pokażę.

– Ale pani Dario, po co to tak? – przerwała jej starsza pani.

– Nie rozumiem?

– No po co to? Upoważnienia, pesele...

– A wie pani, tyle się słyszy...

– Co się słyszy? – dopytywała się Krystyna.

– Dzieci porywają, wie pani. Szkoła się zabezpiecza.

– Dzieci porywają, co pani mówi? Co to za świat się zrobił.

Krystyna usiadła ciężko z telefonem w dłoni. *Myślałam, że jak wsiądę za kierownicę, to już będzie dość mojej odwagi. A tu masz. Jak ja sobie poradzę?* – myślała.



– Dziękuję pani Dario.

– Nie ma sprawy. Trochę mi zeszło w mieście, dzieciaki już powinny być w świetlicy. Tylko niech pani uważa na parkingu, pani Krystyno. Teraz to będzie już spokojnie, ale gdy kończą się lekcje, straszny tu korek. Wszyscy się śpieszą, a najbardziej to kierowcy terenówek. Parkują czasem na jezdni, i nawet uwagi im nie można

zwrócić. Bo oni tylko na chwilę. Jakby wszyscy inni przyjechali na długo. Każdy chce tylko odebrać dzieci...

Krystyna słuchała nieuważnie. *Od jutra będę musiała sama tu jeździć. Czy podolał temu wszystkiemu? O Jezusie, pomóż mi* – myślała. Znana droga do szkoły wydawała jej się teraz kręta. A liczba samochodów na parkingu rzeczywiście ogromna.

– Nigdy nie odbierałam dzieci, czasami je tylko odwoziłam z Renatą – powiedziała, gdy Daria na chwilę umilkła.

– Postaram się pomóc.

W szkole świetlica świeciła pustkami. – Może dzieciaki są na placu zabaw – powiedziała Daria.

– To nie powinno być jakiejś informacji? – Krystyna się zdziwiła.

– Teoretycznie powinna. Zejdźmy tędy. – Poprowadziła starszą panią najbliższą drogą.

– Ale weszłyśmy tu innymi schodami? – zapytała Krystyna.

– Tak. Tędy będzie bliżej na plac zabaw.

Krystyna była bardzo zaniepokojona. Stresowała ją perspektywa samodzielnej jazdy, parkowania w tłoku i błędzenia po ogromnej szkole w poszukiwaniu zagubionych wnuków.

– Tu nikogo nie ma – powiedziała z paniką w głosie, gdy stanęły przed ogrodzonym placem zabaw.

– Może są na innym placu.

– Na innym. – Krystyna westchnęła.

– To nie jest takie straszne. – Daria objęła starszą panią. – Place zabaw są z każdej strony szkoły. Jak ich nie ma tu, to są na innym. A jak nie, to trzeba poprosić woźne. Mogłyśmy minąć dzieci w szatni... bez nerwów.

Przeszły na drugą stronę, tam wraz ze swoją przedszkolną grupą bawił się Krzyś.

– To jednego dzieciaka mamy – powiedziała Krystyna.

– Niezupełnie. Trzeba wrócić do szatni, zabrać jego rysunki.

Zawsze o to prosi.

Krzyś uściskał babcię i dał buziaka Darii.

– Pójdzie pani z nim do przedszkola? – zapytała Daria.

Krystyna pokręciła głową. – A jak ja potem panią znajdę?

– To poszukajmy jeszcze Krysi i pójdziemy razem. I nawet Eryk się od razu znalazł. – Gestem wskazała na szkolne boisko. Chłopak pokazał z daleka rozczapierzoną dłoń.

– Co on robi? – Krystyna się zdziwiła.

– Za pięć minut będzie na parkingu – wyjaśniła Daria.

Krysię znalazły dopiero na najdalej położonym placu zabaw. Dzieci właśnie zbierały się do wyjścia. Daria podeszła do wychowawczynie i, podobnie jak chwilę wcześniej przedszkolance, przedstawiła jej Krystynę.

– Od jutra babcia będzie odbierać wnuki.

– A upoważnienie? – Nauczycielka zareagowała od razu.

– Będzie dzisiaj – uspokajająco odpowiedziała Daria.

Wrócili do przedszkola, Krzyś zabrał rysunki, w tym czasie Krysia wraz z grupą poszła do szatni i zanim Krystyna z Darią przeszły przez szkołę, czekała z plecakiem na plecach. Obok niej stała zniecierpliwiona nauczycielka.

– Dobrze, że panie jesteście. Już chciałam ją zabierać do klasy, muszę wracać do pozostałych dzieci.

– Jasne, dziękujemy.

– Czemu była niemiła? – Krystyna się zdziwiła.

– Niektóre tak mają. Szkoda gadać.

– Kto był niemiły? – Krysia zainteresowała się rozmową.

– Niemiły? Pani w sklepie – odpowiedziała Daria.

– W jakim sklepie? – dopytywała dziewczynka.

– Tam, gdzie kupowałyśmy dzisiaj chlebek.

Dziewczynka kiwnęła głową.

– Trochę jestem zdenerwowana – powiedziała Krystyna. – Szkoła jest duża, dzieci w różnych miejscach...

– To tylko kilka dni, będzie dobrze. W razie potrzeby proszę dzwonić, pomogę. Często tu bywam, odbieram też moje ancymony.

– Właśnie, a co z nimi?

– Odwiozę was i zaraz po nie przyjadę.

– Spory kłopot pani robię – mitygowała się Krystyna.

– Pomagamy sobie, kiedy jest taka potrzeba – odpowiedziała Daria.

W przedpokoju było jak w wirówce. Korowód szalików, butów,

plecaków, kurtek. Sporą chwilę zajęło Krystynie zapanowanie nad rozgardiaszem. Każde z dzieci czegoś chciało, Krzyś i Krysia się kłócili, Eryk przepychał się w stronę szafy. Krystyna stała w wejściu, przyglądając się wnukowi. Najstarszy był cichy, skupiony. *Jakby się zamknął* – pomyślała Krystyna. Potem wysłała dzieci do łazienki, wstawiła zupę i poszła do Renaty.

– Dałaś radę? – zapytała córka.

– Co miałam nie dać? – zdziwiła się Krystyna. A potem parsknęła.

– Dzisiaj dałam, bo była Daria, ale jutro przywiozę tylko połowę dzieci. Straszna ta wasza szkoła.

– Pamiętaj, że są telefony. W razie czego Eryk wróci szkolnym autobusem, trzeba mu tylko powiedzieć wcześniej. Albo esemesa wysłać. W razie kłopotów pytaj woźne. Są uczynne, sympatyczne. Pomogą.

– To chyba w przeciwieństwie do nauczycielek.

Renata roześmiała się. – Szybko się nacięłaś.

– Babciu, gdzie ten chlebek?

– Zaraz ci dam. – Krystyna od razu wstała z łóżka córki. – Jesteś głodna?

– Jestem głodna na ten świeży chlebek – odpowiedziała dziewczynka. – Co go dzisiaj kupowałyście.

– Na świeży...? Jasne, pani Daria go zabrała.

– To zadzwońmy do cioci, żeby nam oddała.

– Jaki chlebek? – zainteresowała się Renata.

– Świeży – odpowiedziały zgodnie babcia i wnuczka. – Ten od niemiłej pani – dodała Krysia.

Krystyna zaraz zadzwoniła do Darii.

– Czy mogłaby pani po drodze podrzucić nam ten świeży chlebek? – powiedziała z naciskiem.

– Słucham? – Daria szybko się zreflektowała. – Tak, oczywiście.

Wracając, podrzucę.

– Dziękuję – odpowiedziała Krystyna, myśląc jednocześnie: *Kłamstwo zawsze ma krótkie nogi.*



- Mamo, dokończ mi szalik – marudził Krzyś.
– A nie dostałeś już za niego oceny? Już chyba skończyliśmy? –
Renata odłożyła książkę. Czuła się zdecydowanie lepiej.
– Ale ja bym chciał dłuższy. Taki długi długi. Do noszenia.
– Długi długi powiadasz... A jaką ocenę dostałeś? Pochwal się.
– Dostałem pochwałę. Pani powiedziała, że trochę krótki, więc
chciałbym dłuższy. I jeszcze pani pytała, dlaczego on tak pachnie,
i żebym już go zabrał, bo tak pachnie. Nie rozumiem, czy ona nie lubi
zapachów, mamo? Dlaczego pani nie lubi zapachów?
– No to dostałeś pochwałę za stłuczenie moich perfum, rewelacja.
– Renata się uśmiechnęła. – Synku, jak jest czegoś za dużo, to nie jest
dobrze. Nasz szalik chyba trochę za mocno pachnie...
– On ślicznie pachnie! On pachnie tobą, mamo!
– Nie denerwuj się. – Matka przytuliła malca. – Pachnie ślicznie,
zgadza się. Przynieś go, to trochę porobię. Żebyś mógł nosić taki długi
długi.



W sobotę po południu Krystyna przygotowała drożdżowe ciasto. Dom pachniał tak smakowicie, że dzieciaki chciały jeść prosto z blachy.
– Przestańcie! – Krystyna się denerwowała. – To na jutrzejszy deser. – Odganiała dzieci ścierką, udając bardzo złą. Ale ciasta rzeczywiście nie pozwoliła odkroić, niedzielny obiad był świętem.
Dla Renaty i Mateusza ważniejsze niż obiady były niedzielne śniadania. Dlatego Renata pomiędzy jajecznicą a kanapką zagadnęła matkę:
– A może jednak pokroimy to ciasto? Na taki pośniadaniowy deserek?
W pierwszej chwili Krystyna się zachnęła. A potem popatrzyła na

dzieci i przytaknęła z uśmiechem.

– A co tam, niech będzie. Tylko pomagacie sprzątać po śniadaniu.

– Pogroziła palcem.

– To ja się teraz położę na chwilę, potem zejdę na ciasto. – Renata powoli weszła po schodach. Leżąc na łóżku, wsłuchiwała się w głosy dzieci.

– Zawołajcie mamę. – Usłyszała w pewnej chwili rozkaz Krystyny. Wiedząc, że minie kilka minut, zanim dzieciaki oderwą się od zabawy i przybiegną, wstała. Zachwiała się, poczuła ciepło pod nosem. Sięgnęła po chusteczkę, przytknęła pod nos. Krew była ciemnoczerwona i było jej dużo.

– Mateusz! – zawołała. – Mateusz! – próbowała głośniej.

– Ciszej! – krzyknął Mateusz do dzieci. – Renata mnie woła? – Bardziej zapytał niż stwierdził.

– Ja pobiegnę – odkrzyknął Krzyś już w połowie drogi do schodów.

Mateusz kiwnął głową i wrócił do rozmowy z Krystyną. Krzyś zbiegł na dół, sprawiał wrażenie zdziwionego.

– Mama leży i ma chusteczkę na twarzy.

– Chusteczkę – bezmyślnie odpowiedział Mateusz, mrugając.

– Białą taką – doprecyzował Krzyś.

Mateusz patrzył na syna, po czym gwałtownie podniósł się i wielkimi krokami pobiegł na górę. Wpadł do pokoju, mocno potrącając drzwi, które odbiły się głośno od ściany.

– Nic mi nie jest, nie denerwuj się – powiedziała Renata, zanim Mateusz zdążył się odezwać. – Mam po prostu okropnie wysuszone śluzówki. I dlatego czasami krwawią. Zaraz przejdzie.

– Jak to czasami krwawią? Zdarzyło się już?

– Tylko raz.

– Ostatnio? – Mateusz podawał żonie świeżą chusteczkę.

– Kiedy kupowałam z Darią tę bordową sukienkę.

– Tylko wtedy?

– Nie czepiaj się. – Uśmiechnęła się blado do męża.

– Coś długo leci.

– Zaraz przestanie...

Mateusz trzymał Renatę za rękę, siedząc obok niej na łóżku. – Długo... – mruknął.

– Już przestaje. Daj jeszcze jedną chusteczkę... zobacz, już nie leci. Zaraz się ubiorę i schodzę na dół. Nie mogę się doczekać ciasta. Postawcie już talerzyki.

– Kuchnię rządzi mama. Talerzyki bez wątpienia są już na stole – odpowiedział sarkastycznie.



Krystyna pokręciła głową, miała zacięte usta.

– Mamo, to nic takiego. – Renata podeszła do matki i przytuliła ją. – W domu jest gorąco. Mateusz mocno grzeje, bo ja jestem chora. Powietrze jest tak suche, że popękały mi śluzówki. Nic się nie dzieje.

– Martwię się o ciebie.

– Wiem, mamo. – Renata się uśmiechnęła. – Zjedzmy teraz ciasto.

– Powinnaś w końcu zadbać o siebie. – Krystyna ciągle miała ściągnięte usta.

– Przecież się leczę, prawda?

– Coś ten antybiotyk nie bardzo pomaga. Ciągłe kaszlesz.

– Mamo, jest znacznie lepiej! Mam siłę, żeby zejść po schodach!

– Zejść po schodach? Było aż tak źle?

– Źle się wyraziłam, mamo, nie dramatyzuj. Zrobię komplet badań, jak tylko się trochę podleczę.

– Mamo, porysuj ze mną! – przerwała im Krysia. – Porysujesz ze mną? – Szarpała matkę za rękaw.

– Farbami ja chcę, mamo, farbami! – Krzyś wtórował siostrze. – Nie tymi, to flamastry są, farbami chcę!

Dom wariatów – pomyślał Mateusz. – *Jak ja bym chciał chwili spokoju. I ciszy.* Głośno zaś powiedział:

– Jutro zadzwonię do doktora. Niech przyjdzie jeszcze raz. Sprawdzi, co jest Renacie.

– To ja pójdę szykować do obiadu.

– Mamo, dopiero co śniadanie skończyliśmy! – zaprotestował Mateusz.

– A ty myślisz, że co, że obiad zrobić to pięć minut? – Krystyna wzięła się pod boki i stanęła w rozkroku. – Mężczyźni to nie mają pojęcia o życiu, nic a nic!

– To ja już nic nie mówię. – Mateusz skulił się w udawanym przestraszu.

– To ja się pójde położyć – odpowiedziała Renata.

– Tata, a ja to bym chciał z mamą na łyżwy! – Krzyś przybiegł do ojca, gdy Renata weszła już na górę.

– Tak, na łyżwy, trzeba korzystać, bo już niedługo zamkną lodowisko – odezwał się milczący dotychczas Eryk.

– Ale mama jest chora, sami widzicie. Nie pojedzie z wami teraz na łyżwy – powiedział Mateusz bardziej do maluchów niż do Eryka.

– To ty pojedź – odpowiedział Eryk.

– Przecież ja nie umiem jeździć. – Mateusz wzruszył ramionami.

– To się nauczysz – odparował nastolatek.

– Nauczymy cię, tak, tak! – krzyczały młodsze dzieci.

– Bekę se tu z ojca robicie. – Mateusz udał obrażonego.

– No dobra, w ostateczności po prostu posiedzisz z nami.

– No... – zająknął się Mateusz.

– Po obiedzie, co, tato? Babciu, z tym obiadem to da radę jak najszybciej? – Eryk zwrócił się w stronę kuchni.

– Z obiadem to da radę, ale kiedy wy do kościoła pójdziecie?

– Do kościoła? – zainteresował się Krzyś.

– Nie chodzicie do kościoła?

– A po co tam się chodzi? – zapytał Krzyś, a Krysia z uwagą przysłuchiwała się rozmowie.

– No że bym ja musiała dzieci wam wychowywać! Jak ja pójde do Renaty! – Starsza pani huknęła ścierką o kuchenny blat.

– Mamo, spokojnie. – Mateusz starał się załagodzić sytuację. – Do kościoła pójdziemy wieczorem, zaraz po łyżwach. Na osiemnastą.

– Nie pójdziecie na osiemnastą! – Krystyna się zdenerwowała.

– Pójdziemy, mamo, dlaczego nie?

– Bo u was nie ma mszy o osiemnastej! Wy macie mszę na

dziewiętnastą!

Tuż przed ślubem

Mateusz stoi oparty o balustradę. Słyszy chrzęst rozgniatanego lodu. Na niewielkiej tafli panuje tłok. Z trudem zauważa pomarańczową kurtkę narzeczonej, ledwo dostrzega jej skupioną twarz, gdy rozpędzona przejeżdża niemal pod jego nosem.

W końcu, zgrzana, podjeżdża do bandy. – Nie poskaczę dzisiaj – mówi. – Straszny tu tłum. Na lód to trzeba wchodzić w tygodniu. Warszawka jest wtedy w pracy, a dzisiaj chyba wszyscy tutaj się zleźli. – Renata jest niezadowolona.

– To może zechcesz jakieś rozpustne co nieco? – pyta Mateusz.

– Rozpustne, powiadasz?

– No wiesz, gorąca czekolada, i takie tam...

Renata się śmieje. – To ja poproszę i takie tam. Tylko jeszcze pojeżdżę. Nie poskaczę, ale trochę się zmęczę. Będziesz mnie musiał reanimować. Czekoladą – dodaje figlarnie.

Mateusz znów patrzy na smukłą dziewczynę, która jeździ najszybciej i najefektowniej. W zestawieniu z nią cała tafla wydaje się tkwić w jakimś bezmyślnym marazmie. *Jakby ich kto w kleju upaćkał* – myśli Mateusz. Renata czuje na sobie wzrok zakochanego chłopaka, dla niego kręci wymyślne piruety, drobi kroczyki i robi niebezpieczne zwroty. Czuje się kochana i podziwiana. Jest adorowana.

Jest kochana.

Teraz

– Pośpiesz się, tata! – Krysia poganiała ojca.

– Daj ojcu przełknąć! – Krystyna mitygowała wnuczkę.

– Dzieciaki, zdążycie. – Renata starała się uspokoić towarzystwo.

– Jecie, jakbyście się na pociąg śpieszyli! – Starsza pani wyraźnie się denerwowała. – Dzisiaj niedziela, trzeba obiad celebrować!

– Babciu, jak tu celebrować, kiedy ojciec nas na łyżwy zabiera! – odpowiedział Eryk z pełnymi ustami.

– Nie ojciec, tylko tata – stanowczo powiedziała babcia. – I nie mówi się z pełnymi ustami. A jak nie zjecie wszystkiego do końca, to nigdzie nie pojedziecie!

– Wszystko zjem! – odpowiedział Krzyś, po czym się zakrztusił. Renata błyskawicznie poklepała go po plecach, po chwili Mateusz zrobił to znacznie mocniej.

– Jak tak będziecie jedli, to na pewno nie pojedziecie na łyżwy, tylko do szpitala! – Krystyna była wyraźnie niezadowolona.

– Mamo, pozwól im. To ich sposób na uczczenie niedzieli. – Renata łagodziała.

– Już ja ci dam uczczenie niedzieli! – Krystyna pogroziła córce. – Kiedy to ostatnio w kościele byliście?

– Ja? Przedwczoraj. W radiu mszy słuchałam – odpowiedziała niewinnie Renata. – A teraz chodź, mamo, pomóż wyekspediować całe to towarzystwo.



– Jak się nie uspokoiacie, to nigdzie nie jedziemy! – krzyknął zdenerwowany Mateusz. – Cisza!

Dzieciaki ani myślały być cicho. Cieszyły się ze wspólnej wyprawy z ojcem. Na parkingu Krzyś otworzył drzwi auta, zanim Mateusz ostatecznie zaparkował. Nakrzyczał na dzieciaka.

– Tato, nie złość się – powiedział Eryk. – On się tylko cieszy.

Mateusz zamilkł. Powlókł się za dziećmi do wejścia na lodowisko. Stał przy bandzie.

– To pana dzieci, co? – Pan z wypożyczalni łyżew podszedł do niego.

– Moje – warknął Mateusz. – A co?

– A nic. Fajnie jeżdżą. Matka je pewnie nauczyła.
– Skąd pan wie? – Mateusz się zachnął.
– Bo pan nie jeździsz. Byli tu ostatnio, te pańskie dzieci, i pięknie ta pani jeździła. Pięknie. Aż się patrzeć chciało, i żyć się chciało. A jaka dobra ta pani była, i miła. – Facet odszedł, kręcąc głową. Wrócił do swojej budki, pełnej przepoconych łyżew i zapachu wilgotnej stęchlizny, którego nie mógł wygonić niewielki piecyk.
Mateusz spoglądał za nim w zamyśleniu.



– No i wiesz, mama strasznie się wkurzyła. – Późnym wieczorem małżonkowie rozmawiali w sypialni. Dom był cichy, dzieci spały, Krystyna zamknęła się w swoim pokoju.
– Mateusz, ja z nią nie rozmawiam na te tematy.
– Te tematy? – Mateusz uniósł brwi.
– Kochany, kościół jest święty, ksiądz jest święty. Jak skrytykowałam proboszcza, że wywalił z kruchty groby fundatorów kościoła, bo potrzebował miejsca na piec, to mama mnie prawie pobiła.
– Ty żartujesz? Gdzie takie bezeceństwa?
– A u nas, gdzieżby. W Warszawie by konserwator pewnie nie pozwolił. Albo ktoś inny. Nie wiem.
– Źle się czujesz? – Mateusz zmienił temat.
– Lepiej. – Renata machnęła ręką.
– Słuchaj, co to za gość, ten od łyżew?
– Od łyżew? – Renata zmarszczyła brwi i uniosła ramiona.
Pokręciła też głową z niezrozumieniem.
– Podszedł do mnie, taki niewysoki i niedogolony. Pytał o ciebie.
– O mnie? Ach! – Klepnęła się dłonią w czoło. – Ten z wypożyczalni!
Mateusz kiwnął głową.
– Miły gość, chociaż trochę się przestraszyłam. Nigdy wcześniej go tam nie widziałam. Kiedyś był inny, znacznie młodszy i zapatrzony

w swoją komórkę. Miał chyba tylko jedną, bo myślowych to u niego było brak. W każdym razie, facet mnie podrywał, zapraszał na kawę i co tam jeszcze.

– Co tam jeszcze? – Mateusz się zainteresował.

– Wybierał dla mnie łyżwy pod kolor kurtki. Nie mógł zrozumieć, że wolę brzydsze, ale ostrzejsze. A potem stał przy bandzie i patrzył ślimaczym wzrokiem na lód. Nie było ludzi, więc trochę przyszaleliśmy.

– To wtedy, co dzieciaki na ciebie wpadły? Takiego siniaka miałaś?

– Mhm – potwierdziła Renata. – Znów zmęczona jestem.

– Musimy kupić nowe łyżwy Krzysiovi i Krysi – powiedziała sennie, gdy Mateusz już prawie wychodził z sypialni.

– Dlaczego?

– Mają za małe. W przyszłym roku Krzyś może używać tych po Krysi, ale dla niej trzeba kupić. Nie mogę znaleźć tych po Eryku.

– Wypożyczyłem im. Jeszcze w samochodzie mi powiedzieli, że ich są za małe. Nie wiem, po co je w takim razie brali. Słuchaj, a ten gość to cię podrywał na tę lurę z automatu?

– Gość? – Renata już prawie spała. – A nie, skądże. Zapraszał mnie na kawę w bliżej nieokreślone miejsce. Romantyczny taki. A piłeś ją?

– Co?

– No tę kawę.

– Próbowałem. Szkoda, że mi nie powiedziałaś.

– Co miałam powiedzieć?

– Żeby wziął termos z herbatą. Tak z innej beczki – Mateusz stał z dłonią na kłamce – mogłabyś wpisać do dziennika elektronicznego upoważnienie dla Krystyny?

Renata usiadła na łóżku. – Rany! Zapomniałam! Co ze mnie za matka!

– Najlepsza, tylko w chwilowej niedyspozycji.

– Jak ja mogłam? Jak mama sobie poradziła?

– Poradziła, nie martw się. Ja jej dałem pisemne upoważnienie, Daria pomogła, ale lepiej, żeby było na stałe. Prześpij się teraz – odpowiedział Mateusz.

Podrywał moją żonę. Taki łachudra – pomyślał Mateusz, schodząc

do salonu. – *Chociaż właściwie, to czemu nie? Skoro...* – Mateusz nie dokończył myśli. Usiadł przed telewizorem.



Następnego dnia Renata obudziła się w świetnym nastroju.
– Chciałabym zapuścić włosy – powiedziała do Mateusza, który leżał obok i przyglądał się żonie.
– Kocham cię taką, jaką jesteś.
– Ale dłuższe mogłabym spinać, jest praktyczniej. Takie jak teraz przeszkadzają mi, kiedy się śpieszę. Muszę je czesać, układać, nie mam czasu.
– One są idealne. – Mateusz przekrzywił głowę. – Nie za krótkie, nie za długie. Tylko nigdy ich nie farbuj!
– Do pierwszej siwizny. Latem w takich mi będzie za gorąco. Zobacz, spadają na szyję. Długie po prostu podepnę i już.
– Zrobisz, jak będziesz chciała. Dla mnie jesteś perfekt, kochanie. I te twoje zielone oczy, magiczne. Do utopienia wciągające. I co tutaj jest jeszcze idealnego? – Mateusz odchylił kóldrę. – Blady coś ten cycuszek, zaróżowimy go, pomasujemy...
Renata się uśmiechała. – A tutaj co mamy? Co tu wystaje? Słuchaj, tutaj coś sterczy!
To chyba znaczy, że ciągle się kochamy – pomyślała, gdy Mateusz już pojechał do pracy.



– Witam panie doktorze, nie mogłem się wczoraj dodzwonić...
– Mówiłem przecież, proszę dzwonić przed dziewiątą!
– Mówił pan?
– Mówiłem pana żonie. Czekam na informację o jej stanie.

– Nic mi nie przekazała. Ja dzwonię, żeby powiedzieć, że właśnie martwi mnie jej stan zdrowia.

Doktor milczał.

– Twierdzi, że jest lepiej. Niby kaszle mniej, właściwie rzadziej, ale jak zacznie się zanosić, to jakby płuca wypluwała. Twierdzi, że nie ma gorączki, ale ciągle jest zaróżowiona. Taka... z wypiekami. I całymi dniami śpi. Nie ma siły nawet bawić się z dziećmi. Sam nie wiem, panie doktorze, czy ten antybiotyk wystarczająco dobrze działa?

– Myślę, że pani Renata powinna trafić na oddział – powiedział lekarz po chwili, która wydawała się Mateuszowi bardzo długa. – Na badania – dodał uspokajająco.

– Do szpitala?

– Muszę tylko sprawdzić, kiedy będzie można ją przyjąć.

Oddzwonię. – Lekarz się rozłączył, nie czekając na odpowiedź Mateusza.

Zadzwoił ponownie dokładnie po siedemnastu minutach. – Jutro około dziesiątej trzydzieści bądźcie państwo w klinice.

– Panie doktorze, ale dlaczego tak? Co się dzieje, panie doktorze?

– Mam nadzieję, że nic takiego.

Mateusz stał chwilę z telefonem w opuszczonej ręce, potem wybrał numer do swojego biura. Kończąc rozmowę, wchodził już do pokoju żony.

– Nie idę jutro do pracy.

– Masz wolne? Super! – Renata się ucieszyła. Leżała z książką w rękach, ale nie czytała. Wpatrywała się w obraz wiszący naprzeciw ich łóżka.

– Jadę z tobą do szpitala.

– Słucham? Co ty opowiadasz? Do jakiego szpitala?

– Doktor zaordynował. Z doktorem Affentowiczem nie bardzo można dyskutować.

– To po co do niego dzwoniłeś? Wyzdrowieję, zrobię badania, przestanie się czepiać.

– To nie ja dzwoniłem.

– Nie ty? – Renata zmarszczyła brwi.

– Prawie nie ja. Doktor twierdzi, że ty miałeś wczoraj do niego

zadzwoń.

– Zapomniałam. – Renata machnęła ręką. – I nie chcę żadnego szpitala!

– Tylko badania. Przywiozę cię potem do domu.

– Nie denerwuj mnie. Nie pojedę do żadnego szpitala. Zaraz wstaję i idę do dzieci. Nie będziecie mnie na żaden oddział wysyłać.

– Renata, mama obsługuje dzieci, ja zaraz odwiozę je do szkoły. Wstajesz po południu, zrobisz z nimi prace domowe i co tam trzeba. Będę dziś późno, muszę przygotować jutrzejszy dzień, skoro mnie nie będzie. Będziesz musiała sobie poradzić po południu i wieczorem.

– Zawsze sobie radzę...

– Ale nie zawsze masz ciężkie zapalenie płuc. – Mateusz jej przerwał. – A teraz prześpij się i zbierz siły. – Machnął ręką na pożegnanie i już go nie było.

Renata była zła. – *Jaki szpital?* – myślała. – *Co doktor sobie myśli? Jak tak można, nie jestem rybochłonem, czy co tam! Powinien zapytać!* – Nie tylko nie mogła spać, ale wręcz wstała i chodząc po pokoju, mamrotała. *Zadzwońię do doktora* – pomyślała, ale zrezygnowała z pomysłu. – *Jeszcze mnie ochrzani.*

Położyła się i zasnęła po kilkunastu minutach.

Po południu rzeczywiście zajęła się dziećmi. Od dawna nie była w tak dobrym humorze.

– Cip, cip, kurczaczki moje? Kto przychodzi na prace domowe? – zawołała do dzieci, które po powrocie ze szkoły rozpierzchły się po domu. Krystyna prasowała na strychu.

Pierwszy przybiegł Krzyś, dla którego „prace domowe” oznaczały wspólne pieczenie ciasta albo wycinanie świątecznych ozdób. Czekala już na niego plastelina, z której bez słowa zaczął lepić jakieś figurki. Zaraz potem dołączyła Krysia.

– Nic nie mam zadane! – oznajmiła beztrasko.

– Naprawdę? Nic zupełnie?

– No, może troszeczkę. – Dziewczynka się skrzywiła. – Muszę tylko zrobić jedną stronę w ćwiczeniach. Ale prostą.

– To jednak coś jest. – Renata pogroziła jej palcem. – Od razu zrobimy, będzie z głowy.

– Muszę znaleźć i przykleić napisy. O tu! – Wskazała palcem. –
A potem pokolorować i tu napisać.

– To szukamy – odruchowo odpowiedziała Renata. – Eryk, a ty? –
krzyknęła w stronę schodów.

– Idę, idę!

– Jak tam prace domowe? – ponowiła pytanie Renata, gdy syn
zszedł do salonu.

– Prawie zrobiłem.

– Prawie czyni różnicę.

– I ta różnica strasznie mnie wkurza. Zrobiłem jeszcze w szkole
wszystko, co trudne. A teraz muszę napisać wypracowanie! – Chłopak
popatrzył na plecak ze wstrętem.

– I to jest takie straszne?

– Najbardziej. – Eryk był naburmuszony.

Renata się uśmiechnęła. – Przecież uwielbiasz pisać. O czym to
wypracowanie, opowiedz.

Przez dwadzieścia minut rozmawiali. Nastolatek opowiadał
o temacie ze wstrętem. Mówił głównie on, a na zakończenie spojrzał na
matkę i powiedział zdziwiony:

– Ja już je prawie napisałem... w myślach.

– To teraz je tylko przepisz – powiedziała. – Przyniosę herbaty –
powiedziała, kierując się do kuchni.

– I mi też! Mi też! – krzyczeli Krysia i Krzyś.

Renata zalała wodą saszetki, podniosła tacę, zachwiała się.
Odrobina herbaty wylała się na podłogę. Renata krzyknęła krótko, od
razu przybiegł Eryk.

– Daj, mamó, zaniosę.

– Dziękuję, synku – odpowiedziała, przytrzymując się kuchennego
blatu. – Pójdę się położyć.



– Tato, a dlaczego mamusia tak dziwnie pachnie? – zapytał Krzyś

wieczorem, gdy już po kąpieli Mateusz układał dzieci do snu.

– Dziwnie? – odruchowo odpowiedział Mateusz.

– Nigdy tak nie pachniała. Tak... – mały się zastanowił – tak gryząco.

– Może użyła kiepskich perfum – zażartował ojciec.

Krzyś stanął w obronie matki. – Mama używa tylko dobrych. Sam jej kupujesz.

– Zdradzę ci sekret. Mama jest chora i tak czasami bywa, że gdy człowiek zdrowieje, to przez skórę wyrzuca chorobę. Wtedy dziwnie pachnie. A potem to przechodzi, razem z chorobą.

– Aha – odpowiedział malec, nakrywając się kołdrą.

Dziwnie pachnie... coś w tym jest – pomyślał Mateusz, gasząc światło w pokoju dziecięcym.



– Spokojnie, kochanie, poczekam – powiedział Mateusz. – Spakowałaś przecież wczoraj torbę, czemu się denerwujesz?

– Nie wiem, czy wszystko zabrałam.

– Jedziesz tylko na jeden dzień, niewiele potrzeba. – Uspokajał ją.

– Szlafrok i piżama. W takich prywatnych klinikach nigdy długo nie zatrzymują. Nie potrzeba wielu rzeczy.

– Tak, tak – odpowiedziała Renata, sięgając do torebki po tusz do rzęs. – Zaraz wracam.

– Skarbie, nie maluj się.

– Dlaczego?

– Oj, Renata. Na izbie przyjęć każą ci zmyć makijaż. Przecież wiesz.

Renata opuściła ramiona i westchnęła. Na porodówce w pierwszej ciąży wylądowała w pełnym makijażu.

– Mój syn nie może mnie zobaczyć nieumalowanej. Może mnie nie poznać. – Uśmiechała się do Mateusza. Pierwsze, co usłyszała w szpitalu, to to, że musi zmyć makijaż.

– To daj mi jeszcze chwilę – powiedziała teraz.

– Mamo, dzieci dzisiaj o czternastej, pamiętaj – zwróciła się Renata do Krystyny. – Nie spóźnij się, bo Krysia po południu idzie do koleżanki, a wcześniej musi odrobić wszystkie lekcje. A Eryk...

– Przestań – przerwała jej matka. – Dam radę. Jedź już, niech ci wyleczą tę twoją anemię, i wracaj do domu.

– Mama już postawiła diagnozę. – Mateusz pokręcił głową, kiedy ruszyli spod domu.

Rozmowa się nie kleiła. Renata w zdenerwowaniu przygryzała wargę. Wysuszony nabłonek pękł i poczuła metaliczny smak krwi. Z braku chusteczki otarła usta wskazującym palcem.

– Zaraz będziemy na miejscu, nie denerwuj się. Przecież to tylko badania.

– Tylko badania, tak – powtórzyła mechanicznie.

Mateusz odprowadził żonę do recepcji. Zerknął na telefon. Esemes od jednego z pracowników zaniepokoił go. – Mogę cię na chwilę zostawić? – powiedział do żony. – Muszę zadzwonić.

Kiwnęła głową.

Jednodniowa nieobecność w firmie była dla niego niewygodna. Bieżące sprawy pojawiały się nieustannie, korporacyjny młyn miał bez przerw. Mateusz wysłuchał komentarza, wydał polecenia, sprawy mogły iść swoim torem.

Miał jednak jeszcze jedno do załatwienia. Wybrał inny numer.

– Nie dam rady wieczorem.

– ...

– A może jednak któregoś dnia po południu? Dzisiaj odpada, ale...

– ...

– Dobrze. Też tęsknię. Tylko... musimy porozmawiać.

– ...

– No... – zająknął się – wiesz, że lubię z tobą rozmawiać.

– ...

– Pa.

– Papapapa – powiedział na głos, gdy już się rozłączył. – Trzeba z tym zrobić pa pa.



– Czas na pobranie krwi. – Pielęgniarka zadysponowała, gdy Renata leżała już na szpitalnym łóżku. – Pan może zostać, ale proszę usiąść pod oknem. Spokojnie – cały czas gadała pielęgniarka – ma pani dzisiaj zaordynowany pełen przegląd, zupełnie jak w serwisie samochodowym.

– Zawsze porównujecie pacjentów do samochodów? – Mateusz był zdenerwowany bardziej, niż chciał to przyznać.

– Często – odpowiedziała pielęgniarka bez mrugnięcia okiem. – Bo o samochody pacjenci dbają i przeglądy robią im co roku. A własne ciało traktują jak niezniszczalne *perpetuum mobile*. Karmią się byle czym, w biegu i pośpiechu, nie regenerują sił, nie robią badań. A ciało wymaga troski, nie wszystko da się w nim wymienić. – Na chwilę zamilkła. – Jeszcze jedna próbówka i będzie koniec. Zaraz przyjedzie kolega i zabierze panią na prześwietlenie. Teraz proszę chwilę odpocząć. Pan może zostać z żoną albo pozwolić jej przysnąć. Na korytarzu jest automat z ciepłymi napojami, a na parterze barek. Mają pyszne ciastka. – Uśmiechnęła się.

– Zostanę z żoną – odpowiedział Mateusz, po czym zwrócił się do Renaty. – A może coś ci przynieść? Zjesz coś?

– Coś ty, mam pełny żołądek.

– Pełny? Przecież ty dzisiaj nic nie zjadłaś!

Renata machnęła ręką, ale uświadomiła sobie, że nie jadła śniadania, bo przecież na badania musiała stawić się na czczo.

– Renata, nie za długo leci ci ta krew?

– Szarpnęłam wargę, otworzyło się pęknięcie.

– Ale tak długo?

Renata znów machnęła ręką, Mateusz jednak wyszedł na korytarz. Gdy przechodziła pielęgniarka, która wcześniej pobierała Renacie krew, zaczepił ją.

– Proszę pani, żonie cały czas leci krew z wargi.

– Cały czas? Widziałam wcześniej kilka kropli... – Pielęgniarka

weszła do sali. – Jak tam samopoczucie? – zagadnęła Renatę.

– Jakże ma być? – Pacjentka uśmiechnęła się blado.

Pielęgniarka przyjrzała się wardze. – Nic się tutaj nie dzieje. To drobiazg, pewnie znów pani przygryzła wargę. Ale tutaj... – Siostra oglądała rękę Renaty. Plaster był nasiąknięty jasną czerwienią. – Poproszę doktora.

– Co się dzieje? Co się dzieje z moją żoną? – Mateusz wyskoczył za wychodzącą pielęgniarką.

– Pewnie nic. Ale lepiej sprawdzić. – Pielęgniarka uśmiechnęła się uspokajająco. – Proszę poczekać na doktora.

Mateusz wszedł z powrotem do Renaty. Leżała na białej poduszce z zamkniętymi oczami, wyglądała jak blondwłosy anioł.

Przecież ona jest jak anioł – pomyślał Mateusz. – *Czego ja szukam? Już nie szukam* – odpowiedział sam sobie.

Wejście lekarza poprzedziło zdecydowane otwarcie drzwi. Renata gwałtownie otworzyła oczy.

– Ale pan doktor szybki, przestraszyłam się – powiedziała.

– Nie ma się co przestraszać, zaraz wszystko ustalimy i załatwimy.

Sympatyczny lekarz, ten sam, który przyjmował ją na oddział, przysiadł obok Renaty. Jak dawno temu pękła pani warga? I często pani tak krwawi? – Zadawał pytania z uśmiechem. Mateusz stanął pod oknem. Zaczął padać śnieg.

– Długo nie poleży – powiedział lekarz. Wstając, popatrzył za okno.

– Słucham? – Mateusz drgnął.

– Śnieg. W mieście nigdy nie leży długo.

– I jest brudny – dodała Renata.

Lekarz sięgnął po słuchawkę wewnętrznego telefonu. Wybrał numer, po chwili powiedział:

– Dąbrowski. Z trójki. Dla tej pacjentki poproszę o wyniki na cito.

– Posłuchał chwilę. – Będę u siebie.

– Zaraz pielęgniarka założy pani nowy opatrunek – zwrócił się do Renaty.

Z tymi słowy lekarz wyszedł. Mateusz wybiegł za nim.

– Proszę pana, co jest mojej żonie? – Chwycił lekarza za poły

fartucha.

– Nie wiem. – Lekarz uśmiechnął się znacząco, spoglądając na dłoń zaciśniętą na swoim kitlu.

Co ja wyprawiam? – pomyślał Mateusz. – Przepraszam – powiedział głośno. – Denerwuję się.

– To zrozumiałe. Ale niepotrzebne. Nie pomoże. Wrócę do państwa, gdy będą już wyniki.

Lekarz odszedł, a Mateusz długo spoglądał w stronę lekarskiego gabinetu. Myśli nie dawały mu spokoju. Bardziej czuł, niż rozumiał bałagan w swoim życiu. Pielęgniarka weszła i wyszła, mijając go opartego o ścianę. Nawet tego nie zauważył. Był wciąż daleki i zamyślony. Wrócił do pokoju Renaty. Siedział przy jej łóżku, gdy obudziła się z płytkiego snu.

– Coś ważnego? – zapytała cicho.

– Słucham? – Drgnął.

– Jesteś taki daleki. Pewnie myślisz o czymś ważnym.

– A skąd, tylko praca. – Machnął ręką. – Podać ci coś?

– Pić mi się chce.

– Tylko ostrożnie, żeby znów ci warga nie krwawiła – powiedział, podsuwając żonie szklankę. Uśmiechali się do siebie, gdy wszedł lekarz. Przysunął krzesło.

Czemu nie siada na łóżku, jak poprzednio? – Renacie przemknęło przez głowę.

– Nie wypuścimy pani dzisiaj – powiedział radośnie.

– Słucham? – odpowiedziała Renata, mrugając.

– Dzisiaj nie pojedzie pani do domu – powtórzył lekarz.

– Słucham? – Tym razem zapytał Mateusz.

Że też muszę uśmiechać się do zdań, których nienawidzę wypowiadać – pomyślał lekarz.

– Mamy pewne wątpliwości...

– Ja muszę wracać do dzieci! – przerwała lekarzowi Renata.

– Dzieci są z dziadkami – odruchowo odpowiedział Mateusz, a Renata spiorunowała go wzrokiem.

– Doktorze, dlaczego? – zapytał lekarza, nie zwracając uwagi na żonę.

– Jak już powiedziałem, mamy pewne wątpliwości. Przydałby się rezonans, a nie mamy go tutaj. Musimy przewieźć panią do innego szpitala, bardziej specjalistycznego.

– Co wykazały badania? – Renacie drżała szczęka.

– Właśnie nie do końca jesteśmy w stanie postawić diagnozę.

Musimy jeszcze sprawdzić pani wyniki. Nie są oczywiste.

– Oczywiste?

– Jednoznaczne... – zająknął się lekarz. – Nie wiemy po prostu.

– Mogę zostać z żoną? – Mateusz przerwał ciszę.

– Nawet możemy wstawić tu panu leżankę. Za jakąś tam opłatą, ale...

– Tak, poproszę. – Wszedł lekarzowi w słowo. – A czy żona może chodzić?

– Może poruszać się po terenie kliniki bez specjalnych ograniczeń. Zejść do barku et cetera. Czynny jest chyba do czwartej, więc trzeba się pośpieszyć. Może pan przywiezie żonie rzeczy z domu – nie wiemy dokładnie, ile to potrwa. Dzień, może dłużej? W państwowych szpitalach planowe badania nie zawsze mają priorytet. Tam zawsze najważniejsze są zabiegi ratujące życie. Zdarza się, że badania się odwołują o dzień lub dwa. Ale mają świetny sprzęt. I doświadczenie.

– Dłużej? Ja nie mogę dłużej. Muszę wracać do domu. – Renata poczuła, że musi mu przerwać.

– Na pewno nie dłużej, niż to będzie konieczne – odpowiedział lekarz.

Mateusz chwycił za komórkę zaraz po wyjściu doktora z pokoju.

– Mamo, przywieźcie książki, bieliznę i kosmetyki.

– Daj mi telefon – powiedziała zirytowanym tonem Renata. – Mamo, i rzeczy dla Mateusza.

– To może ja powiem, czego potrzebuję. – Teraz Mateusz wyjął telefon z rąk Renaty. Kiedy już wymienił niezbędne dla siebie rzeczy, znów podał komórkę Renacie. – Powiedz mamie, jakie ma książki przywieźć.

– Na stoliku obok mojego łóżka leży Munro... tak, Alice Munro. I Grochola. A z szafki w łazience... z szuflady... – Cierpliwie wydawała Krystynie instrukcje. Matka chodziła po domu i zbierała rzeczy. –

Z szafy to, co na wieszaku. I jeszcze ten sprany sweter, wiesz, ten z dżinsowymi wstawkami. I...

– Mamo, mamo, gdzie jesteś, mamo? Przyjeżdżaj szybko! Krystyna znowu zabrała mi flamastry!

– Ja teraz będę malowała! – Krzysiek już oddał babci telefon, ale Krystyna jeszcze nie przyłożyła go do ucha. Wrzask dobiegał gdzieś z daleka.

– Jeszcze Eryk – powiedziała z westchnieniem Krystyna.

– Mamo, mogę wejść do twojego komputera? Muszę wydrukować mapę Afryki, a w mojej drukarce tusz się skończył. I gdzie w ogóle jesteś?

– Tak, możesz. Jestem na badaniach.

– Tak długo?

– Wiesz, to szpital, nie wszystko tu idzie jak z płatka. Wrócę za parę dni.

– Czemu nie dziś? Przecież to tylko badania?

– Ale gruntowne. Wszystko mi przebadają, dadzą lekarstwa na wszystko i wrócę do domu jak nowa.

– To wracaj szybko.

Zanim Renata odpowiedziała, znów usłyszała głos Krzysia. – I mamo, musisz wieczorem przyjść mnie pogłaskać.

Renata nawet nie próbowała odpowiadać. Słyszała, jak Krzysiek mówi coś do babci, wcale nie czekał na jej odpowiedź. Głos Krystyny znów rozbrzmiał w słuchawce.

– Nie do wytrzymania z nimi. Co właściwie mam im powiedzieć?

– Prawdę. Wrócę najszybciej, jak to będzie możliwe. Badania.

I tyle.

– To naprawdę tak wróc. Ledwo daję radę. Na szczęście jest pani Daria, bo inaczej... – Renata widziała niemal, jak matka macha ręką. – A ojciec to się znowu wymiksował. On zawsze wie, kiedy się ulotnić.

– Mamo, daj spokój. Ojciec zawsze siedział cicho, słuchał, co mówisz, i niewiele ponadto. A jednak bardzo nas wszystkich kocha. – Renata знаła napady zrzędzenia matki. Najczęściej na ojca, był najbliżej. Krystyna miała potrzebę wygadać się w trudnych chwilach, za to zły nastrój szybko jej mijał. Na szczęście ojciec jednym uchem wpuszczał,

drugim wypuszczał. Renata już teraz też, chociaż jako nastolatka ciężko przeżywała każde takie gderanie.

Mateusz odebrał żonie telefon, pogłaskał ją po ręce i wyszedł na korytarz. Skierował się do dyżurki, ale lekarza spotkał już po kilku krokach. Wyszedł właśnie z sąsiedniej sali.

– Panie doktorze, co jest mojej żonie?

– Niewiele więcej mogę powiedzieć. Naprawdę nie wiemy. Wyniki badań są niepokojące, ale nie możemy postawić diagnozy. Musimy dokładnie sprawdzić, co się dzieje. Dzisiaj nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć. – Lekarz popatrzył Mateuszowi w oczy, chociaż okropnie tego nie lubił. Nie lubił patrzeć w oczy ludziom, którym bał się powiedzieć całą prawdę. A prawda była taka, że chociaż nie wiedział na pewno, to miał uzasadnione podejrzenia.

– Do jakiego szpitala jutro pojedzie Renata?

– Na Roentgena.

– To znaczy?

– Na onkologię. Karetka przyjedzie o jedenastej. – Lekarz kiwnął głową na pożegnanie.

– Czy... czy ja mógłbym wyjść z żoną? Pojedziemy gdzieś na kawę, do kawiarni, do ludzi.

– Odradzam, proszę pana. Nie jesteście tu więźniami, ale odradzam – odpowiedział lekarz, z daleka kiwając głową wołającej go pielęgniarki.



Mateusz odbył wiele rozmów przez telefon, służbowych i nie tylko. Stał na korytarzu i starał się mówić cicho. Renata zasnęła, nie chciał jej przeszkadzać, dlatego wyszedł. Nie było to miejsce komfortowe do rozmawiania, zresztą nie wszystkie tematy mógł głośno podejmować.

– Jutro raczej nie będzie mnie w firmie... Mam rodzinną sytuację, żona w szpitalu... nie, nic poważnego... jestem pod mailem i telefonem w razie potrzeby. Najwyżej oddzwonię, jak nie będę mógł rozmawiać.

Druga rozmowa była bardziej krępująca.

– Oczywiście, ale nie dam rady dzisiaj. Żona w szpitalu... Słuchaj, nie przyjadę... No, nie gniewaj się...

Ulżyło mu, że rozmówca się rozłączył. *Dlaczego ja jestem taki uległy? Kurczę, jak ja nienawidzę podejmowania decyzji! Taaaak... pewnie dlatego zostałem menedżerem. Ćwiczę swoje słabości.*

Mężczyzna zacisnął wargi.

– Mamo? – Trzecia rozmowa była najbardziej wkurzająca.

– Mateusz! Synu! To ty jeszcze pamiętasz o matce?

– Wiem, wiem, długo nie dzwoniłem. Ale przecież też byś mogła zadzwonić.

– Nie śmiem przeszkadzać.

– Mamo, chcesz się kłócić?

– Ależ skąd, synku. Tylko tęsknię za wami.

– Mamo...

– Widzisz, synku, stara jestem, sama zostałam. Taki to już los niepotrzebnych emerytów.

– Mamo, nie mów tak, proszę. Wiadomo, Tomek ma swoje sprawy, ja też je mam. Powiedz, co u ciebie.

– Żyję, synku, jakoś żyję. Tylko mnie oczy ostatnio bardzo bołą. Ale co tam, starość nie radość. Poczekaj, woda na herbatę się zagotowała.

Mateusz pokręcił głową. Matka go nieustająco zadziwiała. *Jakim cudem zdołała nas wychować? Jest tak zapatrzona w siebie, że cudem chyba nie przegapiła naszego urodzenia. Pałętaliśmy się jej pod nogami całkiem niepotrzebnie.*

Trzydzieści lat wcześniej

– Grzegorz, to niedopuszczalne. Wiesz, że wychodzę, a ty znowu później wracasz do domu.

– Marysiu kochana, nie gniewaj się. Musiałem.

– Co musiałeś? Znowu jakieś gadanie o niczym? Sprawy ważne,

nawet mi nie mów.

– Związki...

– Związki, przestań, tylko do kłopotów rodzinę doprowadzisz. Nie stawiaj się w robocie, bo nie będzie co do gara włożyć.

– Marysiu, słońce moje. Źle się dzieje...

– Ja wiem, że źle się dzieje! Zawsze źle się dzieje, jak w pracy zamiast pracować, ludzie strajkują. Zgadują się, protestują. I co wy z tymi protestami? Tylko do więzienia pójdziesz siedzieć. Nawet nic nie mów. – Mateusz pamięta błagalny wzrok ojca i władczy ton matki. – Nawet nie próbuj – dopowiada matka, pokrywając usta perłową szminką.

– Marysiu, nie mogę tak sam przeciw wszystkim.

– Ty nie przeciw wszystkim, tylko z władzą. A władzy lepiej nie podskakiwać.

Maria wychodzi, zamykając za sobą delikatnie drzwi.

– Mama się chyba zdenerwowała – mówi Mateusz.

– Chyba trochę – odpowiada ojciec. – A my musimy nakarmić Tomka.

Niemowlę właśnie zaczęło kwilić w łóżeczku.

– Tato, a co to jest strajk?

– A skąd ty znasz takie słowa?

– Mama przed chwilą mówiła.

– Tak..., synku, nie używaj tego słowa. I nie mów nikomu, że mama o tym mówiła. W ogóle lepiej o tym nie myśl.

– A na trzepak pójdziemy? – pyta dzieciak.

– Fikołki już umiesz? – Ojciec się uśmiecha. – Idziemy. Tylko Tomka trzeba nakarmić.

Teraz

Ile jeszcze było takich rozmów? Chyba wiele. I awantur chyba. Całe szczęście, że ojciec matki nie słuchał. W sumie mądry był – rozmyślał Mateusz, czekając, aż matka ponownie weźmie słuchawkę do ręki. – Robił swoje, tylko jej nie opowiadał. Przytakiwał i miał spokój.

Nie miała pojęcia, co się dzieje w prawdziwym świecie. Dla niej zawsze była istotna szminka i czas na spotkania z koleżankami.

– Synku! – Matka przerwała mu rozmyślania. – Wybacz, musiałam herbatę sobie zaparzyć. A że stara jestem, ciężko mi tu wszystko samej robić. Ale mów, synku, co tam u was? Jak już dzwonisz raz na jakiś czas.

– Wiesz, mammo... Renata jest w szpitalu.

– Właśnie, ja też myślę, że chyba będę musiała pójść do szpitala.

Tak mnie to oko boli.

– Mammo, ona ma trafić...

– A jak załatwiliście szpital? Skierowanie od rejonowego lekarza to wystarczy?

– Mammo...

– Bo mi tu nikt w niczym nie pomoże. Sama muszę wszystko załatwiać. A dzieci jak?

– W sumie chyba dobrze. Eryk ma dużo nauki.

– A Krysiunia moja to jak? Ślicznotka moja?

– Dobrze, mammo, ale ja chciałem powiedzieć...

– Bo ona jak aniołek, taka śliczna. W babcię się chyba wdała. – Maria zaśmiała się cicho. – A Krzyś? Jak tam Krzysiunio?

– Dobrze, mammo, tylko ja chciałem...

– To dobrze, to dobrze. Wspaniałe są te moje wnuki. Wspaniałe.

– Mammo, Renata jest w szpitalu.

– To niech zdrowieje jak najszybciej. Wiesz, musisz o nią zadbać, nie tak jak ojciec o mnie, kiedy jeszcze żył.

– Tak, mammo, tak zrobię.

– No to pa, synku, pa. Muszę kończyć. Serial się zaczyna.

– Pa, mammo.

Są przypadki nieskalanie czyste. Tutaj mamy egoizm bez najmniejszej skazy.

Zreflektował się, gdy zobaczył nadchodzącą Krystynę.

– Mammo, ile tego? – Wziął od teściowej dwie wielkie siaty.

– Ile, ile. Tyle, ile chcieliście. Coś do jedzenia jeszcze przyniosłam, bo tutaj to pewnie nic nie ma. Rosolek w słoiku, ciepły jeszcze.

Weszli do sali, budząc Renatę.

– No, blada jesteś nieprzytomnie – powiedziała Krystyna na powitanie. – Zjeść coś musisz.

– Mamo, nie jestem głodna – jęknęła Renata.

– A jadłaś coś dzisiaj? – Krystyna nie czekała na odpowiedź, tylko wyciągnęła łyżkę i podała Renacie słoik.

– Ale...

– Żadnych ale. Zjadaj. Dla ciebie też mam. – Starsza pani zwróciła się w stronę stojącego przy drzwiach Mateusza.

Renata przełknęła kilka łyżek.

– Mamo, nie mogę. – Wystawiła rękę z łyżką w stronę Krystyny.

– Zjadaj! – Zabrzmiało jak rozkaz.

– Niedobrze mi. – Renata zakaszła.

– Nie smakuje? Że niedobry?

– Pyszny, mamo. – Mateusz się wtrącił. – Chętnie zjem po Renacie, ale jej nie zmuszaj.

– To teraz mi powiedzcie, kiedy Renata wróci do domu. Bo nic nie rozumiem. Przyjechała tu karetką, chociaż podobno ma tylko zapalenie płuc. I chociaż to żaden szpital. Sale jak w hotelu, całość nie większa od naszego domu kultury. Badania? Jakie badania? Nakłuwa się rękę, sika do słoika i wszystko oddaje do laboratorium.

– To trochę bardziej skomplikowane badania. Jutro Renata jedzie do dużego szpitala.

– No to co jej jest?

– Czemu rozmawiacie o mnie, jakby mnie tu nie było? – Renata postanowiła się wtrącić.

– Bo ty mi nigdy nic nie mówisz – odparowała matka. – No więc? – Znow zwróciła się do Mateusza.

– Renata jutro będzie miała badania w centrum onkologii.

Krystyna pokiwała głową. – Kiedy...? – Nie dokończyła pytania, znow pokiwała głową. – To do jutra. Ty wracasz dzisiaj do domu?

Mateusz pokręcił głową. – Zostanę z Renatą.

– To ja wracam do dzieci – powiedziała na to Krystyna, pakując resztki po posiłku.

– Odprowadzę cię, mamo.

Na zewnątrz Krystyna zatrzymała się na środku chodnika. – Ona

jest bardzo chora, prawda?

– Nie, mamó. Nie może być bardzo chora. Za bardzo ją kochamy. Coś jej dolega i muszą szybko dowiedzieć się, co to jest. Żeby ją wyleczyć.

Krystyna trzy razy z zastanowieniem kiwnęła głową i odeszła bez słowa. Mateusz patrzył, jak odjeżdża swoim niebieskim cinquecento. Aż poczuł, że cieknie mu z nosa.

Co za pogoda. Nie cierpię zimy – pomyślał.



– Gdzie teraz? Gdzie wieziecie moją żonę?

Ten szpital nie był już taki przyjazny. Lekarze biegali, nie mieli czasu na udzielanie informacji pacjentom. Kilka razy Mateusz próbował zagadnąć o coś którąś z pielęgniarek. Odganiały się od niego jak od muchy. Spieszyły się, rzucały w przelocie „nie wiem” lub odsyłały do lekarza, który „gdzieś jest na oddziale, ale tam wchodzić nie można”. I odchodziły.

Gdy podszedł salowy, pchając przed sobą wózek, Mateusz pomógł Renacie usiąść wygodnie. I zaczął zadawać pytania. Młody chłopak pchający wózek spojrzał na niego bladoniebieskimi oczami:

– Ja nie wiem, proszę pana. Pani jest umówiona do doktora. Doktor zadecyduje. Ja nic więcej, proszę pana, nie wiem.

Mateusz ruszył za nimi, aż ktoś powiedział: – Dalej nie można. – I po prostu zamknął przed nim drzwi.

Czuł się jak dzieciak, którego nie wpuszczili do pokoju zabaw. Koniecznie chciał tam wejść i zobaczyć, co robią uczniowie starszej klasy. Chciał tam wejść, żeby upewnić się, że nic specjalnego nie robią.

Dwadzieścia pięć lat wcześniej

– Młody, co to?
– Dostałem od taty. – Chłopiec pręży się w zadowoleniu.
– Toooo? – Starsi chłopcy się śmieją. – Takie barchany?
– Tata mi kupił. Z zachodu. – Młody się kurczy.
– Ta. Z zachodu. – Ironizują.
– No. Z zachodniej ściany bazaru – dorzuca któryś.
– Weźcie przestańcie. To przecież syn robola. Co wy chcecie. Co on ma mieć? Ładne coś ma mieć? Przecież nie będzie marmurów nosił.
– To z zachodu. – Mateusz się upiera.
– Ta. Weź, młody, z drogi zejdziesz, bo ci przetrzepię to twoje dziwaczne wdzianko.
– Ja wiem! – Jeden się odwraca. Starsi chłopcy już niemal minęli Mateusza, który przykleił się do siatki boiska.
– Ja wiem. To twoje... coś – ostatnie słowo chłopak wymawia ze wstrętem – jest z pieluchy. I to właściwie nic złego, każdy ma ubranie, na jakie zasłużył, tylko wiesz, ta twoja pielucha coś niewyprana... mocno zużyta... i śmierdzi troszkę... weź to wypierz, co? Bo inaczej my cię wypierzemy.
– W kałuży? – Drugi głośno się zastanawia.
– Gdzie tam w kałuży. Nie zejdziesz. Trzeba będzie w stawie. Powinno pomóc na ten smród – dodaje trzeci.
Mateusz czeka bez ruchu. Łobuzy w końcu odchodzą, on stoi jeszcze długo.

Teraz

Mateusz spojrział na swoje paznokcie.
Wtedy to się zaczęło. W czym im przeszkadzałem? A teraz Eryk robi to samo. Też obgryza. Ma takie same kłopoty jak ja wtedy?
Ruszył na poszukiwanie lekarza. Obszedł oddział, odsyłany z miejsca na miejsce. Nie znalazł nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Gdy wrócił pod czteroosobową salę, Renata już leżała w łóżku.
– Gdzie byłeś? – Uśmiechnęła się blado.

– Próbowałem znaleźć kogoś, z kim mógłbym porozmawiać.
– Tu chyba wszyscy cierpią na gębościsk – odpowiedziała. – Mnie znów zrobili badania i też nic nie powiedzieli. Lekarz był tylko sympatyczny.

– A co powiedział?

– Raczej pytał niż powiedział. O to samo, co poprzedni.

Dziesięć minut później wszedł do sali lekarz w rozpiętym kitlu.

Stał koło łóżka Renaty.

– Proszę nie siadać na łóżku. – Pouczył. – To szpital, nie kawiarnia.

Mateusza zatkało. Zanim zebrał myśli, lekarz już zwrócił się do Renaty.

Miał być sympatyczny – pomyślał Mateusz.

– Potrzebujemy jeszcze jednego wyniku do pełnego obrazu diagnostycznego, musimy zrobić pani punkcję. Dlatego zostanie tu pani do jutra.

– Słucham? Do jutra? Jak to do jutra?

– Po prostu. Noc, dzień, jutro jest kolejny. Badanie będzie jutro, więc zostaje pani tu do jutra.

– Co znaleźliście do tej pory?

– Jakbyśmy wiedzieli, to już bym pani powiedział.

– Czemu pan jest taki niemiły, panie doktorze?

– To jest szpital, proszę pana. – Lekarz odwrócił się w stronę Mateusza. – Tu się ratuje życie, nie mamy czasu na bycie miłym.

– Czy mogę zostać z żoną?

– Wykluczone. Nie mamy takich warunków.

– A czy... moglibyśmy dzisiaj z żoną wyjść na chwilę?

– Ale na noc pani musi wrócić na oddział. Teraz mogę wypisać przepustkę. Na parę godzin. O siedemnastej kolacja.

– Nie muszę jeść... – powiedziała cicho Renata.

– Ale musi tu pani być.

Lekarz kiwnął głową i wyszedł.

– Pojedźmy gdzieś – powiedział Mateusz. – Gdziekolwiek.

– Gdzieś, gdzie nie będzie zapachu szpitala – odpowiedziała Renata.

Mateusz przyniósł z szatni ubranie i pomógł jej się ubrać. Renata miała wrażenie, że powietrze w ciągu ostatnich godzin zgęstniało. Trudniej było jej się poruszać, jak gdyby była robotem, a ktoś usunął smar ze wszystkich metalowych stawów. Włożenie ręki w rękaw – wysiłek. Wsuniecie nogi w nogawkę – utrata równowagi. Suwaki w cholewkach butów zapinał Mateusz.

– Poczekaj, umaluję się – powiedziała, sięgając po kosmetyczkę.

– Po co, daj spokój. Idziemy tylko na kawę.

Wzruszyła ramionami. *Kiedyś malowałam się, wychodząc po bułki* – pomyślała, ale cofnęła rękę. Zawiązała szalik, nasunęła czapkę i chwyciła rękawiczki. Wyszli z sali.

– A co pani tu! – usłyszeli za sobą wrzask. – Na oddział nie wolno w wierzchnim ubraniu!

– Ale my właśnie wychodzimy... – powiedziała Renata.

– Jak wychodzicie, to i wejść musieliście! Nie wolno, zakazane! – Pielęgniarka się piekliła.

– My tylko na chwilę... – powiedział Mateusz.

– Nieważne, na ile! – przerwała.

– Proszę pani, my zaraz wracamy...

– Ani mi się ważcie! Nie wolno w takich ubraniach!

– Ale żona na oddział wraca.

Pielęgniarka popatrzyła na nich. – Pani spod trzynastki? To co pani tu robi w kozuchu? Takich ubrań tu nie wolno!

– Nie będziemy więcej – powiedziała Renata.

Pielęgniarka parowała złością. Na tych głupców, co roznoszą zarazki na drogich paltach, na samochód, który rano ochlapał jej jedyne ciepłe buty, i na podwyżkę, której znowu nie dostała. I na pacjentów, śmierdzących chorobą, którzy wyglądali dokładnie tak, jak jej matka przed śmiercią. Matka, której nie opłakała, bo nie chciała zaakceptować faktu, że już jej nie zobaczy.

– Poczekaj tu, podjadę pod wejście – powiedział Mateusz do Renaty.

Kiwnęła głową. Samochód stał w trzecim rzędzie, niedaleko, ale Renacie ciężko było postawić każdy krok.

– Zadzwoń do mamy – powiedziała Renata już w samochodzie.

Mateusz słyszał głos teściowej pomimo pracy silnika.

– Mamo, nie krzycz tak, nic się nie stało. Po prostu jeszcze jedno badanie... Nie, kompletnie nic. Cały czas mówią, że nie wiedzą... Mamo, ale co ja na to poradzę?... Tak, Mateusz wróci dzisiaj do domu. Jutro rano przyjedzie do mnie do szpitala. – Spojrzała pytająco na męża. Mateusz z miną „jak możesz w to wątpić” kiwnął głową. – Mamo, połów dzisiaj dzieci normalnie. Jeśli Mat wróci do domu wcześniej, to przy dzieciach pomoże, ale musi też zająć się pracą. Wiesz, miało go nie być w pracy jeden dzień, a jutro już będzie trzeci, musi trochę nadgonić. Pewnie, jeśli tylko możesz. Sądzę, że jutro wyjdę. Na pewno twoje śniadanie będzie pysniejsze... Tak, mamo. Buziaki.

– Oczywiście chce cię karmić? – zapytał Mateusz z uśmiechem.

– Jak zawsze. Ciekawe, swoją drogą, jak będzie dziś wyglądała szpitalna kolacja. Obiadu nawet nie widziałam.

– Słyszałem, że obiad przysługuje tylko tym pacjentom, którzy zostali przyjęci na oddział przed dziesiątą. A ty przyjechałaś po jedenastej, nie było opcji na obiad. Ale pocieszę cię – ja go widziałem. Na pewno nie chciałabyś tego jeść.

– Tak myślę. Teraz pewnie się najem. Gdzie jedziemy?

– Do galerii. Tam jest jedna miła knajpka – powiedział Mateusz, a Renata przytaknęła kiwnięciem.

– Pewnie znam ją z ostatniej wizyty z Darią.

To jednak nie była ta sama knajpka. Mateusz wybrał miejsce w centrum galerii. Przechodziło tam mnóstwo ludzi, panował gwar, a kelnerzy uwijali się w wąskich przejściach między stolikami.

– Sałatkę? Kanapkę na ciepło? Albo jakiś deser. Robią tu własne lody.

– Może kanapkę z serem. – Renata się zawahała.

Mateusz kiwnął na przechodzącą kelnerkę.

– Zaraz poproszę koleżankę – odparła.

Usiedli prawie przy samej ladzie chłodniczej, lody pyszniły się wielkimi stertami. Każda osoba, która wchodziła do lokalu, przechodziła obok ich stolika. Kelnerka w kusej spódnicy i narzuconym na nią symbolicznym fartuszką przyniosła kartę, Renata wybrała kanapkę z mozzarellą.

– To chwilę potrwa – powiedział Mateusz do żony. – Kuchnię mają z drugiej strony, a poza tym ruch tu dziś jak w ulu. Pójdę do toalety.

Renata kiwnęła głową i oparła się o stół. Przyglądała się przechodzącym ludziom. *A ja jestem bez makijażu* – pomyślała ze złością, kiedy uświadomiła sobie, że przeciętna przechodząca tutaj kobieta ma na sobie kilka średnich krajowych. Zamyślona, nie zauważyła szczupłej szatynki, która zawahała się, a potem zdecydowanym krokiem ruszyła w jej stronę.

– Renata?

– Tak. – Ocknęła się. – Joanna? Aśka? – Renata zerwała się, straciła torebkę na podłogę. – Aśka, tyle lat! Co ty tu robisz? Też wylądowałaś w Warszawie?

– U nas nie ma co robić, przyjechałam do pracy.

– Nieźle ci się chyba powodzi. – Renata obdarzyła koleżankę z podstawówki taksującym spojrzeniem.

– Oj, i tak, i nie. Mam niezłą pracę, ale wiesz, jak to jest. Dziś jest, jutro nie ma. A co u ciebie?

– Ja nie mam dobrej pracy, za to mam trójkę dzieci, co mi z naddatkiem wystarcza.

– To i pewnie męża masz?

– Mam. – Renata się uśmiechnęła.

– A ja nie. Nie udało się. – Joanna westchnęła. – Ale jest szansa. Wyrwałam fajnego faceta. Wprawdzie póki co jest żonaty, ale ta jego żona nieużyta. Facet się rozwodzi, a ja nie pozwolę takiemu fajnemu gościowi spędzać samotnie wieczorów. – Zaśmiała się głośno.

– Wiesz, jak żonaty... – zająknęła się Renata.

– Wiem, zawsze byłaś tradycjonalistką. Co gorsza, ja myślę tak samo. Ale nie wyobrażasz sobie, jak kiepsko się wraca do pustego mieszkania. A skoro mu z tamtą źle... – Joanna się zamyśliła.

Dwadzieścia lat wcześniej

– Mamo, pozwól! – prosi Renata błagalnie.

Krystyna stoi w drzwiach sypialni. Waha się. Renata podbiega do niej, przytula się. Wyczuwa niepewność matki.

Dołącza Joanna. – Niech nam pani pozwoli, prosimy...

Krystyna macha ręką. – Dobrze, drogie panny. Ale tylko pół godziny. Potem gasimy światło i spać.

– Tak, tak! – piszczą nastolatki.

– Nareszcie! – Joanna wzdycha z zadowoleniem, siadając na łóżku.

– Już myślałam, że nigdy nam nie pozwolą. Chociaż chwilę pogadamy na osobności.

– Jak to robią inne dziewczyny, że tak często chodzą na nocowanki? – pyta retorycznie Renata.

– Moi to mnie z domu w ogóle nie chcą puszczać.

– To tak, jak matka mnie. Zawsze zaczyna od: „Porządna dziewczyna”. – Renata się wykrzywia. – A potem wygłasza monolog, którego nigdy nie słucham. Matka tak mówi, że aż nie chcę być porządna.

Chichoczą.

– U mnie w domu będzie inaczej. Będę słuchać moich dzieci.

I z nimi o wszystkim rozmawiać, bez tajemnic – uzupełnia Renata.

– A z mężem to się będę przytulać. Ciągłe i ciągle.

– Pewnie! Ja to nie rozumiem. Po co niektórzy żyją ze sobą, skoro stale się kłócą? Przecież lepiej się rozejść.

– Ja to się nie będę kłócić. Tak się dobierzemy, że nie będziemy się kłócić – stwierdza Joanna.

– To tak jak i u mnie. I będziemy mieć dużo dzieci.

– Dzieci to podstawa. – Joanna przytakuje z powagą.

– U mnie trójka – mówi Renata.

– U mnie może być i więcej. Czwórka. Albo piątka.

– Ty, a ty wiesz już, jak to jest z tą ciążą? – Renata ścisza głos.

– No nie do końca. Tak jakby. Słyszałam...

Teraz

– No, skoro mu z tamtą źle, to oczywiście. – Renata powtórzyła za przyjaciółką z dzieciństwa.

Szybko poczuła zawroty głowy. Joanna mówiła szybko, wyrzucała z siebie informacje, zadawała pytania, na które Renata musiała odpowiadać natychmiast, zanim padnie następne. Gdzie mieszkasz?! Opowiedz o dzieciach! Też bym chciała mieć dzieci! Joanna mówiła, Renata słuchała, aż poczuła szturchnięcie.

– Nie uwierzysz!

– Co? – Renata się ocknęła.

– Facet! Mój facet! – Joanna przygryzła wargę z radości. – Idzie w naszą stronę. Przedstawię cię. Jest sam, to chyba mogę, nie? Podskoczyła na krześle jak nastolatka, potrąciła filiżankę, którą chwilę wcześniej przyniosła kelnerka, i wystawiła ramiona do uścisku. Renata patrzyła na jej radosną twarz i pomyślała, że dawno już nie rzucała się tak radośnie na Mateusza. *Trzeba to nadrobić* – pomyślała jeszcze, zanim się odwróciła i popatrzyła w oczy swojego męża.

– Poznajcie się – powiedziała Joanna. – Mateusz, Renata.

Renata wstała. – My się znamy, Joasiu. Czekam przy samochodzie – powiedziała do Mateusza.

Joanna usiadła. – Mówiłeś, że się rozwodzisz?

– Nie. Ty pytałaś, czy się rozwodzę.

– A ty nie zaprzeczałaś.

– Muszę iść do żony.

– Zbrzydła przy tobie – powiedziała Joanna ze złością.

Mateusz zacisnął szczęki i wybiegł. Joanna też zaczęła się zbierać.

– Proszę pani, rachunek! – krzyknęła kelnerka. Joanna znów usiadła przy stoliku, wyciągnęła pieniądze. Patrzyła ze wstrętem na parującą kanapkę i talerz pachnącego spaghetti. *Niech będzie moja strata* – pomyślała.



– Renata, to nie tak jak myślisz – powiedział Mateusz.

– Powinnam się teraz uśmiechnąć – odparła.
– Uśmiechnąć... tak.
– Zawieź mnie do szpitala.
– Nic nie zjadałaś.
– Tam będzie kolacja.
– Renata, wróćmy, zjedz coś porządnego.
Pokręciła głową. – Do szpitala.
– Renata, to naprawdę nie tak.
– Podobno się rozwodzisz. I twoja żona nie ten tego.
– Renata!
– Nie mogłeś wiedzieć, że to moja najlepsza przyjaciółka ze szkoły. Siedziałyśmy w jednej ławce. Spędzałyśmy ze sobą cały wolny czas. I niewolny też. Nie mogłeś tego wiedzieć.
– Ja nawet nie wiedziałem, że ona jest z Lipna.
– Bo nie jest. Mieszkała w sąsiedniej wsi. Ale mogłeś wiedzieć, że... Zresztą, co za różnica. – Renata wzruszyła ramionami. – Wieź mnie do szpitala. Tylko już nic nie mów – dodała, zanim Mateusz wziął oddech.

Nie dała mu już nic powiedzieć ani w samochodzie, ani na szpitalnym korytarzu, ani w szpitalnej sali. – Najważniejsze teraz jest moje zdrowie, prawda? – powiedziała.

Kuchenna rozwożąca kolację wygoniła Mateusza.

– Co pan tu, tu szpital, nie wolno tu!

Do tego jednoznacznie machnęła ręką w stronę wyjścia.

– Ale ja tu z żoną...

– Pan chory czy żona? Jak żeńska sala jest, pan stąd wychodzi, już!

Mateusza zwyczajnie zatkało. Na wsparcie Renaty nie mógł liczyć. *Nikt mnie tu nie chce. Idę – pomyślał, odczuwając cień buntu. – Może i jestem podły. Pewnie jestem. Zdradziłem żonę. Nie ja jeden. To żadne usprawiedliwienie, ale nie chciałem jej zostawiać. Że też ta głupia Joanna się napatoczyła. No, nie jest głupia. Co ja poradzę, że się zakochałem? Renata zajmuje się wyłącznie dziećmi. Domem i dziećmi. Na zmianę. Mnie nie ma. A Joanna... – Westchnął i wszedł do samochodu. – Renata nie miała dla mnie czasu. Nie rozmawiamy, nigdzie razem nie wychodzimy... jestem głupi. Tu dzieci i rodzina...*

poniosło mnie. Przecież chciałem zostawić Joannę! – Walnął pięścią w kierownicę. – Widocznie za późno. Jak zwykle – problem z decyzją. Co za diabeł we mnie siedzi. Kurwa, kurwa, kurwa!

Przeklinanie nic mi nie pomoże. I tak muszę być rano w szpitalu. Kwiaty nie zaszkodzą, ale czy coś zmienią? Czy ja chciałbym dostać prezent od Renaty, gdybym dowiedział się, że chce mnie rzucić? Czego bym wtedy chciał? Chciałbym, żeby została. Tego bym chciał, i chyba tylko tego. Nie wiem. Chyba tylko. A co potem? Jak nie pamiętać? Nie myśleć o tym, co robiła z tym kimś? Z tym innym? Jak ona ma nie pamiętać?

Rozmyślał ze dwadzieścia minut. W końcu zrobiło mu się zimno. Odpalił silnik i ruszył w stronę domu.



Renata patrzyła na talerz, nie okazując emocji. Nie zamierzała tego jeść. Nie wyglądało na jadalne. Mielonka ukrojona z bloku, z postrzępionymi brzegami, i dwie grube pajdy pszennego chleba plus kosteczka masła. Talerzyk z wyszczerbionym brzegiem, kubek bez ucha z lurowatą słodką herbatą.

– Przepraszam, czy mogłabym dostać niesłodkiej herbaty?

Kobieta popatrzyła na nią niechętnie. – Tu nie koncert życzeń. Dieta taka jest.

Renata nie odezwała się więcej. Odstawiła talerzyk na szafkę, położyła się. Było jej zimno, więc sięgnęła po koc, opatuliła się dokładnie. Kuchenna przyjechała ponownie, zabrała bez słowa pełny talerz i pomyślała: *Królewny takie. Pierwszego dnia żadna nie chce jeść. Potem, jak w żopie przetęchnie, to i pasztetową będzie wsuwać.*

Kuchenna lubiła takie pacjentki. Ich nietknięte posiłki starannie składała do pudełek i wносиła do domu. Dzięki temu odkarmiona była cała rodzina, a i sąsiedzi spod dwójki często mieli ucztę. Albo na kanapki dla dzieci do szkoły starczało. *Przy kuchni dobrze pracować – powtarzała jej matka. Mądra była kobieta.*

Odgłosy szpitala powoli cichły. Gdzieś z daleka szumiało jakieś urządzenie, na korytarzu brzęczały jarzeniówki. Od czasu do czasu słychać było odgłos kroków. Wszyscy tu chodzili w chodakach, które nawet na gumowym linoleum stukały ciężko, niosąc się echem po długich korytarzach. Pacjentki na łóżkach spod okna szeptały chwilę, wieczorna toaleta była dyskretna. Jedna wyszła do łazienki, drugiej przyniesiono kaczkę, trzecia po prostu leżała. Wyłączono światła.

Renata nie mogła spać.

Chciałabym zasnąć – myślała. – Zasnąć i spać bez przerwy, bez snów. Joanna... – Renata nieświadomie wykrzywiła twarz. – Moja Joanna. Kochałam ją. Tak, kochałam, ale zapomniałam. A ona o sobie przypominała. Skąd mogła wiedzieć? A skąd ja mogłam wiedzieć?

Jak ja jej nienawidzę. Nieprawda. Nienawidzę Mateusza. Nieprawda. Wcale nie. Jestem wściekła, zła i wkurzona. Ale kocham Mateusza. Nie wiem, czy kocham. A może powinien do niej odejść? Odejść i dać mi spokój? A dzieci? Będzie się z nimi spotykał, a ja przynajmniej nie będę musiała patrzeć na niego. Czy wytrzymałabym bez patrzenia na niego? Jak długo to trwa? Skoro Aśka miała tak dalekosiężne plany, to pewnie długo. Musieli się często spotykać. – Renata poczuła napływające łzy. – O nie, żadnych takich. Nie będę ryczeć. Nie mogę, jutro muszę wyjść ze szpitala. Muszę się zająć dziećmi. I pilnować rodziny. Rodzina jest najważniejsza.

Około drugiej w nocy szpitalny szmer przerwał sygnał karetek. Pacjentki pod oknem się obudziły, zaczęły rozmawiać, Renata nie włączyła się w ich dialog.

– Ktoś ma ostry stan – powiedziała pierwsza.

– Na sygnale tutaj wiozą takich, co to już prawie truposze – potwierdziła druga.

– E tam, dali pojechała – dodała po chwili pierwsza.

– Wypadek chyba. Albo co. – Druga zakończyła wymianę zdań.

Truposze? Renata zamrugła oczami. Panie spod okna zasnęły, Renata dalej nie spała.

Jak on mógł – rozmyślała nad ranem, po krótkiej, niespokojnej drzemce. – Oddałam mu wszystko, wszystko, wszystko!

Przewróciła się na niewygodnym łóżku. Zajęczało, jakby leżała na

nim słońca. Bolało ją biodro i krzyż. Materac był cienki i twardy jak kamień, poduszka jak trochę grubsze prześcieradło, duża i licha. Nie dawała oparcia pod głową. Można było unieść górną część łóżka, ale wtedy Renata zsuwała się z niego i opierała na tyłku, który na twardym materacu bolał coraz bardziej.

Jakie tam wszystko – podsunął głos w myślach. – Tylko zrezygnowałaś z kariery i zostałaś potulnie w domu. Ale co ty potrafisz? Gdzie by cię chcieli? Co, na tyżwach byś jeździła po korporacyjnych korytarzach? – Zacisnęła wargi. – *Nic nie jesteś warta* – dialogowała dalej sama ze sobą. – *Poszłaś na łatwiznę, to teraz masz. Siedzisz w domu, tylko gdakać potrafisz. Wyszłabyś do ludzi, zadbała o siebie. A ty tylko obiadki gotujesz i sprzątasz.*

I zdążam po dzieci – dodała po chwili półgłosem. Zreflektowała się, bo najbliższej leżąca pacjentka poruszyła się niespokojnie.

I kocham Mateusza, i dbam o niego. Widocznie za mało. Nie jestem dla niego dość atrakcyjna.

Znów próbowała się przekręcić. – *Jak one mogą tu spać?* – pomyślała o pozostałych pacjentkach. – *Może to kwestia czasu. Po trzech czy czterech nocach pewnie nic już nie przeszkadza. Całe szczęście, że ja już jutro, nie, dzisiaj wychodzę. Nie wytrzymam tu dłużej. Nie wytrzymam.* – Nieświadomie uderzyła pięściami o materac. Łóżko zatrzeszczało. Sąsiednia pacjentka spojrzała na nią zdziwiona, Renata nawet nie zauważyła, że już nie śpi.

– *Przepraszam. Za dużo myślę.*

– *Każdy tak ma na początku* – odparła zagadnięta. – *Potem się przestaje.*

Przed siódmą rozwożono śniadanie. Wyglądało dokładnie tak samo jak kolacja. Tylko zamiast herbaty było mleko zabarwione, jak przypuszczała Renata, kawą z cykorii. Jako urozmaicenie występowały trzy plastry kwaszonego ogórka.

Renata nawet nie przyjrzała się talerzykowi. Odwróciła się twarzą do ściany, łóżko zatrzeszczało. Potem kuchenna zabrała talerzyk, Renata nie drgnęła. Przysypiała, budząc się co chwilę z dziwnych majaków, przed każdym obudzeniem wydawało jej się, że spada. Rzuciła wtedy gwałtownie nogą, za każdym razem wzbudzając zainteresowanie

pozostałych pacjentek. Na dobre obudziła się, gdy pielęgniarki przygotowywały obchód. Przy jej łóżku lekarz przystanął, popatrzył na zegarek i powiedział:

– Panią o dziesiątej zabieramy na punkcję.

Gdy lekarz wyszedł, jedna z pań się odezwała:

– To pani dopiero teraz na punkcję?

Renata kiwnęła głową.

– Masz pani fart. Jeszcze wyroku ni ma. Kto wi, może sie pani przysztymuje.

Renata nie odpowiedziała. Kwadrans później przyszedł Mateusz. Kiwnęła głową na powitanie, ale odsunęła twarz, gdy chciał ją cmoknąć w policzek.

– Pani sie nie wzbrania – wtrąciła ta sama sąsiadka. – Paniny małżonek nie winien, że pani tutaj, chociaż człowieka ślag jasny trafia, że rodzinka na wolności, a my tutaj. Ale co tam, póki żyjem, póty słoneczko na niebie.

Renata zastanowiła się nad ostatnim zdaniem.

Oryginalnie powiedziane – pomyślała.

– Nie winien – odpowiedziała głośno i spojrzała Mateuszowi w oczy. Grdyka mu podskoczyła, ale wytrzymał spojrzenie.

– Może zjedziemy do kantyny? – powiedział.

– Czekam na punkcję. A potem chcę do domu.

– Wtedy porozmawiamy?

Kiwnęła głową.

– Pani, po punkcji to musowo pani nie puszczo, tak od razu rzecz jasna. Jutro najwcześni.

– Jak to jutro. Lekarz powiedział, że dzisiaj.

– I pani takaś łatwowierna? Łapserdaki, zawsze tak mówio, żeby sie nie chandryczyć. Mądralujcie sie i farmazon tylko wstawiajcie. Pani se tu planujesz, jutro to, tamto, a rano przychodzi i mówio, że nie dziś, tylko jutro. A jutro będzie kolejne jutro i futro. Bo to puc legularny jest. Pani, każdy tu myśli, że jak niedobra wiadomość, to niech może kto inny ją powi. Bajerkie posunie. A że nikt nie lubi w szpitalu siedzieć, to nie mówio po prawdzie. Po trochu człowiek sie dowiaduje.

– I pani tak już długo?

– Ja to wim, dłużej tu pobędę, bo ja to sama jedna. Ślubny pomarł, będzie ze dwa roki temu, dzieciaki daleko. Przyjeżdżają czasami, kochane, ale daleko mają. Wnuki to ja, pani, raz na ruski rok mam. Albo i rzadziej czasami. Na święta, a jak wyjadą gdzieś dali, to i na święta nawet nie. Wie pani, oni po ludzku żyją, i w ciepłe kraje jeżdżą. Dobrze ich wychowała, bo ich stać teraz na wszystko. Tylko mnie ten gad sakramencki dopadł, i trzyma. Somsiad czasami pomoże i somsiadka, ale one też stare, to nie wszystko dają rade. A tu i co ofutrować dadzą, ciepło i ciuch upioro. Więc ja wole tu zostać.

– Rozumiem – odpowiedziała Renata.

– Spokojna panina główka. Zrobio badania, wszystko będzie jak trza.

Renata się uśmiechnęła.

– O której przyjadą po ciebie? – zapytał Mateusz.

– O dziesiątej.

– To już niedługo. – Spojrzał na zegarek.

Czas się dłużył, przerywany wyłącznie zagadywaniem samotnej pani z sąsiedniego łóżka.

– Siedzicie jak na skazanie. Na sikora pan zerkasz co i moment. To badania tylko.

Uśmiechnęli się.

– Nie martwcie się. Przyjdzie kit i będzie git.

Mateuszowi bardzo zależało na szybkiej rozmowie z żoną, dlatego poszedł szukać lekarza. Żadnego nie znalazł. Zagadnął pielęgniarkę.

– Po punkcji musi poleżeć. Jutro.

– Ale miała wyjść dzisiaj! – Mateusz podniósł głos. Pielęgniarka popatrzyła na niego z niechęcią.

– Pan rozmawia z lekarzem.

– Ale tu żadnego nie ma – powiedział po cichu do pleców pielęgniarki.

Zobaczywszy na korytarzu lekarza, zaczął ponownie dopytywać, dlaczego żona nie może wyjść do domu.

– Musi mieć punkcję, zleciliśmy badanie na cito, jutro będą wyniki.

– Jutro? Panie doktorze, ja...

– To i tak bardzo szybko. Bardzo. – Podkreślił i uśmiechnął się.

Faktycznie. Sympatycznie wygląda, jak się uśmiecha – pomyślał Mateusz.

– Ale jutro już na pewno?

– Na pewno, proszę pana, to nas dopadnie urząd skarbowy. Ale postaramy się. I proszę nie siadać na łóżku. Wszystko widziałem.

Mateusz wrócił do Renaty i usiadł na brzegu niewygodnego krzesła. – Zanim wezmą cię na badanie, pójdźmy porozmawiać.

Renata milczała. Patrzyła w okno, na szare niebo, prawie białe. Dzień był mglisty, zanosiło się na śnieg.

Rozmowa – pomyślała. – *Rozmowa to kiedyś było coś przyjemnego.*

– Jeśli chcesz – odpowiedziała mężowi. – Mnie nie bardzo chce się mówić.

Kiwnął głową i podał jej rękę, pomagając zejść z łóżka.

Zjechali windą wyłożoną wypaczonymi panelami. Kiedyś były drewnopodobne, zapewne w czasach wyrobów czekoladopodobnych. Renata miała wrażenie, że obserwuje świat trzecim okiem, zewnętrznym. *Przecież szpital, ohydna winda i te wszystkie inne równie obrzydliwe sprawy nie mogą mnie dotyczyć* – myślała.

Na burym linoleum stało kilka stalowych krzeseł z siedzeniami obitymi kiedyś brązowym skajem. Obicia były przetarte, spod nich wyłaziło brudnoszare wypełnienie. Nogi krzeseł odrapane z błyszczącego chromu wyglądały jak pokaleczone.

A jakie miałyby być w szpitalu – pomyślała Renata. – *Tutaj wszystko jest pokaleczone.*

Za barkiem urzędowała młoda dziewczyna. Ścierała właśnie blat pod elektrycznym piecykiem. Uśmiechnęła się na widok klientów.

– Co podać? – zapytała życzliwie.

– Eeee – powiedział inteligentnie Mateusz, spodziewający się tutaj raczej zrędlivej emerytki.

– Poproszę herbatę – odpowiedziała Renata. – Bez cukru.

– Nie da się pić tego syropu, co tu przynoszą, prawda? – powiedziała ze śmiechem dziewczyna. – A dla pana?

– Też herbatę. I może... jakąś grzankę? – Popatrzył pytająco na Renatę.

– I grzankę. – Potwierdziła. – Z serem.

Usiedli przy stoliku najbardziej wsuniętym w kąt. Dziewczyna starła przed nimi blat, chociaż był czysty.

Renata się nie odzywała. Mateusz nie wiedział, jak zacząć.

– Renata, ja... – powiedział, a ona popatrzyła na niego beznamiętnie. – Nie patrz tak na mnie. – Spuścił głowę.

– Jak? – odparła.

– Jakbym nie istniał.

– Ale istniejesz. Na pewno – odpowiedziała chłodno.

– Ja nie chciałem.

Podniosła brwi.

– Nie chciałem nikogo ranić. I chciałem to skończyć.

– To chciałeś czy nie chciałeś?

– Nie pomagasz mi.

– A dlaczego bym miała?

– Bo cię kocham.

– Miło, że sobie o tym przypomniałeś.

– Renata!

Znów popatrzyła na niego ironicznie, ale nic nie mówiła.

– To ciągnie się od kilku miesięcy. Najpierw było niewinne i nic nieznaczące. Nie przerywaj mi – powiedział, widząc, że Renata bierze oddech. – Zupełnie nieznaczące. A potem zacząłem tonąć. Kocham cię, kocham dzieci, a chciałem być z nią. To bez sensu, wiem, i postanowiłem, że zakończę tamten... – zająknął się – tamtą relację. Nie mogę zakończyć znajomości, bo pracujemy razem. Musiałbym zmienić pracę, co pewnie zrobię, ale nie od razu. Nie można zmienić pracy w miesiąc. To wymaga poszukiwań i... – Przerwał. Zdał sobie sprawę, że zaczyna przemawiać jak na zebraniu pracowniczym. – Ja po prostu cię kocham i nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Z kimś innym. Nie.

– Szkoda, że nie myślałeś o tym przez ostatnie miesiące.

– Myślałem w ostatnich tygodniach. Bardzo. Pogubiłem się.

– Jak malutki chłopiec – dopowiedziała Renata chłodno.

Mateusz westchnął. – Nic więcej nie mogę powiedzieć. Kocham cię.

Dziewczyna z barku przyniosła tosty i napoje.

– Dziękuję – powiedziała Renata. – Jakbym wiedziała, że to tosty,

a nie grzanki, takie prawdziwe, to bym zamówiła dwa.

Dziewczyna się uśmiechnęła. – Zawsze mogę dorobić.

– Na razie dziękuję – odparła Renata.

Dziewczyna odeszła dwa kroki, ale odwróciła się do nich.

– Nie martwcie się państwo, to dobry szpital. Tutaj naprawdę leczą.

Wszystko będzie dobrze.

Renata przygryzła wargę. – Dziękuję – powiedziała ze łzami w oczach. Dziewczyna odeszła. Renata zamrugła oczami. *Żadnej beksy* – pomyślała.

– Cokolwiek zrobisz, i tak będę cię kochał – powiedział Mateusz, gdy już zjedli tosty.

– A co ty zamierzasz zrobić?

– Nic. Zamierzam przy tobie być.

– A co zrobisz z...

– Nic. Nie spotkamy się więcej poza pracą. I nic więcej.

Renata spuściła wzrok.

Nic! To takie proste – nic. Jakby nigdy nic.

– Chodźmy na górę. Prawie zapomnieliśmy o mojej punkcji, a zaraz po mnie przyjadą.

Następne zdanie wypowiedziała, siedząc już na szpitalnym łóżku. – Jedź do domu. Do dzieci. Albo do pracy. Najlepiej do domu. Zluzuj trochę mamę. Przyjedzie do mnie, niech wie, że się zaopiekujesz dziećmi.

Mateusz chciał cmoknąć ją w policzek, uchyliła głowę. Wyszedł, czując się skurczony. *I co ja narobiłem?* – pomyślał.

Nie pamiętał, jak dojechał do domu. Wysiadał z samochodu tak powoli, aż Krystyna zapytała:

– Co tam? Idziesz?

– Idę, idę, mamó. – Mateusz się ocknął. – Dzieci jeszcze nie ma?

– Jadę po nie teraz. Chyba że ty...? – Z nadzieją zawiesiła głos.

Mateusz marzył wyłącznie o ciszy, najlepiej o guziku „off” na trzy dni albo dłużej, ale kiwnął głową i powiedział:

– Pewnie, mamó. Już jadę.

– To ja od razu pojedę do Renaty. Zawiozę jej coś do jedzenia.

– Nie trzeba, mamó. Zjedliśmy coś w barku, a ona ostatnio tak

mało je, że pewnie nic więcej nie wciśnie.

– A co ty tam mówisz – prychnęła Krystyna. – Będziesz ją karmił szpitalnym wiktem.

– Szpitalnym to się nie da – mruknął Mateusz do siebie.



Po wykonanej punkcji Renata drzemała i spała na zmianę niemal przez dobę. Następnego dnia obudziły ją na dobre dopiero rozmowy pacjentek, kiedy przyjechał obiad. Za lekko uchylonym oknem szumiało miasto.

– Co się panie tak wentylujecie?! – Kobieta, która przyjechała zebrać talerze, energicznie zamknęła okno. – Gdyby lekarz widział, to by się zdenerwował.

– Duszno tu – powiedziała najmłodsza z pań.

– Co tam duszno. Od duchoty nikt jeszcze nie umarł, a od zimnego tak.

Zabierając talerz Renaty, pomyślała: *Twarda. Ciekawe, kiedy zacznie jeść. Oby jak najpóźniej. Dzisiaj to i małych od sąsiadów ciepłą kolacją nakarmię.*

Po wyjściu kuchennej zapadła cisza. Pacjentki drzemały. Renata sięgnęła po telefon i opuściła stopy.

Gdzie te cholerne kapcie? – myślała zdenerwowana. Musiała przyklęknąć i wsunąć rękę głęboko pod łóżko. Leżały niemal przy samej ścianie. Wstała zdyszana.

Jeden skłon i jakbym kilometr przebiegła – pomyślała. – *No, czas umierać. Co ja gadam!* – zreflektowała się natychmiast. – *Czas wrócić do codziennych ćwiczeń aerobowych. Tak, jak tylko stąd wyjdę, zabieram się za codzienne ćwiczenia.*

W końcu wsunęła stopy w welurowe pantofle i wyszła na korytarz. Usiadła na samym końcu, pod oknem, i wybrała numer Darii.

Przyjaciółka odebrała po siedmiu sygnałach.

– Już miałam się rozłączać – powiedziała Renata w odpowiedzi na

zdyszane „halo?”

– Trzeba było – odpowiedziała Daria. – Kto mówi?

– Daria, co jest? Renata.

– A, Renata... Cześć.

– Co się stało?

– Co się miało stać. Stało się to, co musiało się stać –
odpowiedziała Daria niewyraźnie.

– Daria, piłaś?

– Piję z esencji życia. Teraz już bez ograniczeń.

– O co chodzi?

– A ty gdzie jesteś, co? Jak właśnie teraz cię potrzebuję, to ciebie
nie ma.

– Daria, ja jestem w szpitalu.

– W szpitalu, w szpitalu. Też sobie znalazłaś wymówkę. W szpitalu
to miałaś być pół dnia. A nie ma cię już... Ile dni cię nie ma?

Renata chciała odpowiedzieć, ale Daria kontynuowała:

– Zresztą, jakie to ma znaczenie. Nie ma cię, to nie... Nikogo nie
ma.

Rozłączyła się. Renata wybrała ponownie numer. Daria nie
odebrała. Wybrała ponownie, i ponownie. Za czwartym razem Daria
odebrała.

– Odczep się, dobra?

– Daria, co jest, odpowiedz, do cholery!

– Co mi tu przeklinać będziesz. Co jest i co jest. Ja jestem. I nikogo
nie ma. Dzieci są u mamy. A mnie tam nie ma. Ja jestem tutaj,
a Klemensa też nie ma! – Daria wyraźnie czknęła.

– Zadzwoń do niego, niech przyjeżdża do ciebie. Zresztą, zaraz
zadzwoń do Mateusza. Niech do ciebie jedzie. Daria, coś ty
nawywijała?

– Klemensa nie ma, bo się wyprowadził. Do Moniki. Znasz taką?
Bo ja nie znam. Tak mi się przynajmniej wydaje, ale ona zna mnie,
a raczej mojego męża to ona zna.

Renata wzięła głęboki oddech i zaczęła się śmiać.

– Co to, śmieszne jakieś czy co? – Daria poczuła się urażona.

– Nie, nie, Daria, nie śmieszne, tylko... Pamiętasz, miałyśmy się

wybrać do galerii, na zakupy.

– No pamiętam, i co. Byłyśmy na jednych, ładne tam znalazłaś, tylko za chuda jesteś. I co?

– Za chuda. Kobieta nigdy nie jest za chuda. No i byłam tam z Mateuszem. Prawie tam.

– No i? – Daria nie słuchała uważnie.

– I tam właśnie spotkałam swoją przyjaciółkę ze szkoły.

– To miło – odparła pogodnie Daria.

– A obecną kochankę mojego męża.

– Oooo. To chyba mniej miło. – W głosie Darii słysząc było zastanowienie. – Wiesz co, muszę się położyć, bo coś mi się widzi, że się czymś zatrzymałam chyba. – Ponownie się rozłączyła.

Renata odłożyła telefon na kolana, oparła ręce na parapecie i położyła na nich głowę. I śmiała się, długo się śmiała, przytulona do zimnego lastriko, aż poczuła, że zabrakło jej łez.

Śmiałam się czy płakałam? Co za różnica. Wychodzi na to samo – pomyślała.

Wróciła do łóżka kwadrans przed przyjazdem matki.



– Ile cię tu jeszcze będą trzymali?! – powiedziała Krystyna zamiast dzień dobry.

– Oby jak najkrócej, mamó – odpowiedziała Renata.

– Coś ty taka wesoła? Głupio pytam, wiem. Dobrze chociaż, że ci to zapalenie płuc już wyleczyli.

Renata przyglądała się matce. *Przeżyła z ojcem tyle lat. Byli szczęśliwi. Byli? Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawiałyśmy. Kiedyś płakała. Przez tatę? A może coś innego?*

– Mamó, czy ty kiedyś płakałaś przez tatę? – zapytała.

Krystyna odwróciła twarz w stronę córki. Zajęta była wypakowywaniem obiadu z wielkiej kolorowej torby. – Co cię tak naszło? Ojej! – krzyknęła, bo zupa z niedokręconego słoika poląła jej się

po nadgarstku. – Do licha, spódnica z wełny, jak ja to usunę? – Popatrzyła na smutny, tłusty ślad.

– No tak po prostu. Myślę.

– To po co pytasz, jak myślisz. – Krystyna wciąż z troską oglądała spódnicę. – Jak żyjesz z kimś tyle lat, to na pewno byłaś z nim szczęśliwa, kochałaś go i nienawidziłaś na przemian, i byłaś też nieszczęśliwa przez niego. I śmiałaś się, i płakałaś. Normalnie.

– Normalnie... No tak, masz rację. Głupie pytanie. Co przywiozłaś?

– Zupę koperkową na rosółku domowym i kotleta z ziemniakami. Zjesz?

– Później może.

Pozostałe pacjentki odwróciły głowy w stronę zapachu.

– Myślałam, że jak pytasz, to jesteś zainteresowana.

– Tak mi się wydawało. Ale nie jestem głodna.

– Coś jadłaś dzisiaj?

– Śniadanie, i w ogóle.

– Nic nie wtrącała. – Gadatliwa sąsiadka się wtrąciła.

– No właśnie. Matkę próbujesz oszukać?

Renata spojrzała na starszą panią z wyrzutem.

– Mamo, w żadnym razie. Naprawdę nie jestem głodna. I nie, nie chcę cię martwić.

– No wymyśliłaś. W szpitalu leżysz i nie chcesz mnie martwić.

– Na szpital nie poradzę, a na twoje samopoczucie tak. – Renata się uśmiechnęła.

Krystyna usiadła na łóżku. *Oby nie przyszedł ten czepialski lekarz* – pomyślała Renata.

– Coś cię trapi, córciu?

Kiedy ostatnio słyszałam to słowo? – Renata poczuła, jakby w niej coś zatrzepotało. Córciu. Relikt czasów, gdy ze wszystkim można było udać się do matki i uzyskać rozwiązanie najbardziej skomplikowanego problemu. Ukoić ból kolana, dostać dziesięć złotych na składkową zabawę u koleżanki i usłyszeć niezbędne odpowiedzi. Córciu.

– Pewnie. Leżę tu i nie wiem, co będzie. Wszystko mnie boli. Po antybiotyku jestem tak słaba, że ledwo mogę chodzić. I to dzisiejsze

badanie, też nie bardzo mi po nim.

Krystyna popatrzyła na córkę. – I tylko to?

– A co jeszcze ma być?

Matka wzruszyła ramionami. – Zjedz teraz – powiedziała, podając córce łyżkę i słoik owinięty w kraciastą ściereczkę.

Trzydzieści lat wcześniej

Renata bawi się w kuchni na pomalowanej zieloną farbą drewnianej podłodze. Matka gotuje kapustę. Dziewczynka nie lubi tego zapachu.

– Mamusiu, kiedy skończysz? – pyta.

– Bigos? Jutro – mówi ze śmiechem matka. – Czemu pytasz?

– Brzydko pachnie. Chodź, mamusiu, na podwórko.

– Bigos brzydko pachnie? Popatrz, jakie to dziwne – mówi do siebie kobieta, chociaż zwraca się do dziecka. – Dla mnie bigos i ten zapach to świadomość pełnego żołądka. A tobie śmierdzi. – Z trudem ukrywa złość. – Idź się pobaw sama, wyjdę do ciebie za chwilę.

Dziewczynka idzie na ganek, siada na schodku. Podchodzi do niej kot, miękko manewrując tułowiem pomiędzy wyrosniętymi kwiatami. Renata bierze futrzaka na kolana, głaszcze. Kot układa się obok niej, mruży. Dziecko nie chce bawić się samo. Siostra pojechała z ojcem, Renata już nie pamięta dokąd. Dziewczynka wystawia twarz do słońca, mruży oczy. Zza rzęs kwiaty przy wjeździe na podwórko są zniekształcone, przykryte woalem, niewyraźne. Takie podobają jej się bardziej. Renata lubi mrużyć oczy i wybierać to, na co patrzy. Czasem jeszcze staje na środku pokoju i z takimi zmrużonymi oczami kręci się, kręci się w kółko. Taniec-urwaniec, tak to nazywa, bo urywa się wtedy świat dookoła, a zostaje zaszumiony obraz kolorów, prawie pozbawionych kształtów.

Teraz jednak dziewczynka nie tańczy. Wstydzi się tańczyć na podwórku, bo a nuż ktoś zobaczy? Wraca do domu, gdzie matka ciągle stoi nad parującym garnkiem.

– Jesteś już? – pyta.
– Bez ciebie jest nudno, mamó. Długo czekam.
– Nie tak długo. Chodź, posiedź tutaj. Nie mogę kuchni teraz zostawić. Siadaj tu. – Palec matki wskazuje wytartą podłogę obok kuchenki. Zanim dziewczynka przykuca we wskazanym miejscu, matka chwyta ją pod ramiona i przytula, a potem zakręca wokół siebie. Stoją w wejściu do kuchni, daleko od gorących garnków, bezpiecznie, jednak miejsca jest tutaj mniej. Dlatego matka nie może kręcić dzieckiem mocno, tak jak ono lubi najbardziej. Potem dziewczynka siada na podłodze. Wtula policzek w ściereczkę wiszącą na uchwycie piekarnika. Jest twarda i pachnąca, wykrochmalona, dopiero wyjęta z szafki. Dziewczynka wtula w nią twarz i wacha – zapach mydła, krochmalu, żelazka. Zapach rąk matki. Ściąga ścierekę z drzwiczek i układa sobie na kolanach. Koniuszek wkłada do buzi. Jest ciepło, matka zajęta gotowaniem od czasu do czasu tylko spogląda na córkę. Pomiedzy spojrzeniami dziewczynka układa się na podłodze, zakrywa twarz ściereczką i zasypia.

Teraz

– Ciągłe krochmalisz ściereki? – zapytała Renata.
– Nie chłoną brudu dzięki temu. Czemu pytasz?
– To dużo pracy.
Krystyna kiwnęła głową. – Jak ze wszystkim. W domu zawsze jest dużo pracy.
– Dobra ta zupa. Dziękuję.
– Zjadłaś tylko dwie łyżki.
– I jeszcze zjem dwie. Więcej nie dam rady.
– Ja mam jeszcze drugie. – Krystyna otworzyła pudełko.
– Mamó, to dla pułku wojska!
– Potowarzyszę ci, co będziesz sama jadła.
Chmury niespodziewanie się rozsunały i przez okno wpadło trochę słonecznego światła.

- Jak miło. Aż chce się jeść. – Renata spojrzała przez szybę.
- To słońce dla ciebie – powiedziała Krystyna. – Dobra wróżba.

Renata uśmiechnęła się do matki. Zmusiła się do zjedzenia jak największej porcji. Krystyna posiedziała jeszcze chwilę na łóżku, już po sprząnięciu obiadowych resztek. Poglaskała córkę po głowie i powiedziała: – Pojadę już. Dziećmi się trzeba zająć.

Renata kiwnęła głową.

Po wyjściu Krystyny chwyciła za telefon.

- Mateusz, musisz pójść do Darii.

– ...

– Nie dyskutuj. Jak tylko mama wróci, musisz natychmiast pójść do Darii. Klemens się wyprowadził.

– ...

- Tak, chyba serio.

– ...

– To dobrze, że chociaż ty. Teraz się nie rozczulaj. Dzwoniłam do Darii, była pijana. Chyba rzygała. Sprawdź, co u niej.

To dobrze, że nie zamierza się wyprowadzać. A może szkoda. Nie wiem. Skąd mam wiedzieć – pomyślała po zakończeniu rozmowy. Potem zasnęła, niespokojnym, ale długim snem. Obudził ją Mateusz.

- Kwiaty? Tutaj chyba nie wolno? – zdziwiła się.

– Nie wolno. Ale ukryłem. Przemyciłem. – Zaśmiał się nerwowo. – Nieważne, że będą tu tylko chwilę, że zaraz je piguła wyrzuci, chcę żebyś wiedziała, że tak o tobie myślę. Jesteś dla mnie kwiatem. Nieważne, kto i co... – zająknął się.

Jedna z pacjentek cichutko gwizdnęła, ta najmłodsza, która do tej pory mało się odzywała. Starsza kilka razy klasnęła w dłonie.

- No, tak chorować to każdy by chciał – podsumowała trzecia.

- Tak... każdy – odpowiedziała Renata, patrząc na Mateusza. –

Opowiedz o Darii.

Czemu dał mi chryzantemy? – pomyślała Renata.

Mateusz przysunął krzesło i usiadł obok żony. Kwiaty położył na stoliku, bukiet z białych margerytek, przełożony ciemnymi, herbacianymi różami i liśćmi paproci. Zakup kwiatów był impulsem, bukiet stał na wystawie kwiaciarni, Mateusz zobaczył go z daleka.

Pomarańczowe kwiaty świeciły na białym tle.

– Daria spała, drzwi nie były zamknięte. Wszedłem jak do siebie. Spała na dywanie, zwinięta obok kanapy. Dom śmierdział rzygami. Nie sprzątałem, spuściłem tylko wodę w sedesach. Obudziłem Darię, nie nadawała się do rozmowy. Zaczęła płakać, tak na pół trzeźwo. Próbowałem jej tłumaczyć, jak to dobrze, że Klemens wreszcie odszedł. On już dawno był poza domem – i myślami, i czym innym, dziwne, że tego nie widziała.

– Lepiej dla niego czy dla niej? – zapytała Renata sarkastycznie.

– Dla nich.

– Dla bliźniaczek też?

– Tego nie wiem. Pewnie będzie sownie na niełożył. Ma wyrzuty sumienia.

– I pieniędzmi załatwi sprawę?

– Nie, ale Daria nie ma źródła utrzymania, prawda?

– Wiedziałaś wcześniej? – zapytała Renata po chwili ciszy.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Wyrzuty sumienia. Skąd wiesz?

Mateusz westchnął. – Wiedziałem. Spotkałem kiedyś Klemensa z tą jego Moniką. Taka sobie babeczka. Wylaszczona, ale poza tym nic specjalnego. Ona tylko... – Podniósł głowę, spojrzał Renacie w oczy. – Ona po prostu miała dla niego czas. Zresztą Klemens nie jest typem domatora.

– Wylaszczona?

– No wiesz, obcasy, buty do kolan, krótkie spódniczki. Niewysoka, szczupła. Długie włosy, kręcone. Etap łowów.

– Etap łowów?

– Renata, no co ty.

– Nie rozumiem, naprawdę.

– W korporacyjnym światku to czas, kiedy odbija się faceta innej babce. I tyle. Nic szczególnego.

– Nic szczególnego?

– Nic. W tamtym świecie to nic. Związki są jednotygodniowe.

Jednorazowe czasami. Wyrzuca się je jak... jak opakowanie po prezerwatywie. Tyle są warte. Ważny jest miesięczny wynik sprzedaży,

a nie zadowolenie partnera.

– I ty... też?

– Nie, ja nie. Niestety, ja nie.

– Niestety... I dlatego dałeś mi chryzantemy?

– To margerytki. Podobno stoją najdłużej ze wszystkich kwiatów.

Dałem ci je, bo... myślę, że są, mogą być symbolem trwałości.



Następnego ranka Renata zbudziła się wyspana. Wieczorem pomyślała, że chciałaby być jak Scarlett O'Hara. „Pomyślę o tym jutro” – chodziło jej po głowie cały czas. Teraz było już jutro i należało pomyśleć, ale Renata dalej nie miała na to najmniejszej ochoty. Kolacji poprzedniego dnia nie zjadła, wyglądała tak samo jak wszystkie inne kolacje i śniadania w ciągu ostatnich kilku dni. Śniadania też nie ruszyła. Ciągle pamiętała nieprzyjemne rozepchanie żołądka po obiedzie zaserwowanym przez Krystynę. Po standardowym obchodzie zajrzał do niej lekarz.

– Zapraszam do gabinetu. Mam wyniki badań, chciałbym porozmawiać. – Uśmiechnął się.

– Doktorze. – Renata zerknęła na plakietkę. *Konrad, jakie ładne imię* – pomyślała. – Doktorze, ja nie mam siły na rozmowę.

– Hm... – Lekarz się zafrasował.

– Może z mężem pan porozmawia – powiedziała Renata odruchowo.

– A kiedy będzie mąż?

Miała ochotę odpowiedzieć: „Kiedy się ożeni”, ale powstrzymała się i powiedziała: – Zapewne około południa.

– Dobrze. – Lekarz spojrział na swoje ręce. – Proszę mnie znaleźć, kiedy przyjedzie – powiedział i wyszedł.

– Pani doktorze... – Renata bezskutecznie próbowała go zatrzymać.

– Pani nie woła. Nie przyjdzie. Take one so, te łapiduchi –

poradziła pacjentka spod okna.

– Ale dlaczego takie są? Tacy są? – poprawiła się.

– Bo co im tam. Człowiek się przejmuję, a dla nich to tylko kartka. Numerek, wie pani. W księdze takej.

Lekarz słyszał wołanie Renaty i zatrzymał się za drzwiami. Zastanawiał się, czy wrócić. Potem usłyszał rozmowę i już nie miał zamiaru wracać. *Tak, kartka, numer* – pomyślał. – *To dlaczego tak się przejmuję?*

Właściwie co mi tam. Niech rozmawia z mężem. Z Mateuszem. I tak nic nie może być gorsze od tego, co już wiem. Mam to gdzieś – pomyślała Renata i odwróciła się w stronę ściany.

Mateusz przyjechał dwadzieścia po dwunastej. Renata się przespała i nawet humor jej wrócił.

– Byłem w pracy – powiedział Renacie, usprawiedliwiając się. – Masz jeszcze kwiaty?

– Schowałam na czas obchodu. Jeszcze nie wyczały. – Uśmiechnęła się jak psotna dziewczynka.

Mateusz westchnął. – Kilka dni, a natłok spraw przywalił mi biurko. Musiałem ugasić kilka pożarów, resztę spraw oddelegować i odwołać spotkanie z klientem. Mógłbym tam siedzieć dwie doby. – Skrzywił się.

– Czy... – Renata przygryzła wargę.

– Nie, nie widziałem się – odparł. – Dostałem jakieś maile, ale nie odpowiedziałem, nawet ich nie przeczytałem. Będę musiał zrobić porządek. – Spuścił wzrok.

Nienawidzę robienia takich porządków – pomyślał.

– Domyślam się... – Renata z kolei podniosła wzrok. – Lekarz prosił, żebyś do niego zajrzał.

– Aha, jak go znajdę – mruknął Mateusz, ale od razu zebrał się do wyjścia. – Pójdę z nim pogadać. – Uśmiechnął się już w drzwiach.

Doktor czekał na Mateusza w pokoju lekarskim. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, udawał, że przegląda dokumentację, ale tylko tępo przesuwał wzorkiem po zadrukowanych liniach. Był młody, w ubiegłym roku skończył staż. Był też wrażliwy, empatyczny, lubił pacjentów, i w ogóle lubił ludzi. Miał wszelkie cechy, które utrudniały mu pracę

w szpitalu. Pacjenci go lubili, każdy, którym się opiekował, polecał go kolejnym. Doktor, jak każdy człowiek, chciał od czasu do czasu wyjść ze szpitala i zająć się innymi sprawami. Życiem, nie chorobą. Rodziną. A tu pacjenci pytali ciągle o niego.

Czasami czuł, że jego osobiste granice zostają naruszone, i wtedy przestawał być miły. Tylko na chwilę. Potem wracał do równowagi i znów chcieli z nim rozmawiać wszyscy pacjenci. Najlepiej tylko z nim.

Doktor Konrad. Jak doktor Judym – myślał czasami o sobie z sarkazmem.

– Zapraszam pana do gabinetu – powiedział, gdy zobaczył Mateusza.

– Czy są już wyniki? – dopytywał się Mateusz.

Lekarz tylko kiwnął głową i powtórzył:

– Zapraszam do gabinetu.

Weszli do małej celki, międzyoddziałowej salki, która często stała pusta. Była wszystkich, więc jakby niczyja. Niektórzy lekarze korzystali z niej, by spokojnie porozmawiać z pacjentem, inni – by zażyć chwili ciszy. W nocy czasami relaksowali się tam razem z pielęgniarkami. Zwyczajowo drzwi zostawały otwarte. Gdy były zamknięte – nie należało tam wchodzić, a najlepiej nawet nie pukać. Wprawdzie pomieszczenie zasłonięte było białym płóciennym parawanem, ale po co się stresować... Na niewielkiej przestrzeni stało biedne odrapane biurko, leżanka przykryta papierowym ręcznikiem i dwa twarde krzesła. Ścianę podpieraa metalowa przeszklona szafka na lekarstwa. Była pusta, farba łuszczyła się z niej płatami. Pachniało silnie odkażającymi środkami. Lekarz nie czuł tego zapachu, Mateusz przez kilka chwil miał problemy z oddychaniem. Lekarz wskazał mu krzesło, sam przeszedł na drugą stronę biurka, plecami do okna. Po chwili przesunął się na środek pomieszczenia. Mateusz usiadł na brzegu krzesła, mocno oparł stopy na podłodze.

– Może poprosimy moją żonę? – zapytał.

Lekarz pokręcił głową.

– Nie chciała ze mną rano rozmawiać. Dlatego najpierw rozmawiam z panem.

– Co znaleźliście? – Mateusz potarł dłoń o dłoń. Miał suchą skórę,

szeleszczący dźwięk wypełnił pomieszczenie.

– Pana żona ma białaczkę. To białaczka szpikowa przewlekła. Na ogół formy przewlekłe przebiegają łagodnie, ale w przypadku pana żony choroba jest już zaawansowana, właściwie weszła w tak zwaną fazę ostrą. Każdy dzień jest dla niej bezcenny. W ratowaniu zdrowia. I życia. Mamy dziś coraz skuteczniejsze leki, interferon, kortykosterydy, ale leki to może być dopiero następny etap. Teraz naszym celem musi być zmniejszenie ilości komórek białaczkowych i odblokowanie produkcji prawidłowych krwinek. Zaraz po wyleczeniu zapalenia płuc, oczywiście.

Mistrzostwo w nieudolności przekazywania paskudnych wiadomości – pomyślał lekarz, gdy skończył.

– To znaczy? – zapytał Mateusz, patrząc na lekarza ze zdziwieniem.

Co on mi tu belkocze? Leki? Przecież Renata cały czas bierze leki, dopiero ją wyciągnęli z zapalenia płuc! – pomyślał.

– Proponuję panu chemioterapię. To znaczy, pana żonie.

– Chemio... będzie bez włosów?

Boże, o co ja pytam?

– Cóż, to najczęstsze skojarzenie. Ale wie pan, jakie teraz robią peruki? Niektóre pacjentki nie chcą ich zdejmować nawet wtedy, kiedy im już włosy odrastają. Muszę też uprzedzić, że mogą być i inne objawy uboczne. Może nawet gorsze.

– To dlaczego proponuje pan takie złe rozwiązanie?

– Bo nie mam lepszego. Bo ta terapia leczy. A ja chcę wyleczyć pana żonę.

Mateusz patrzył na lekarza jak dzieciak na zielonego psa. Zdjął okulary, pomasażował nasadę nosa, nałożył, znów zdjął. Poklepał się po torsie, szukał w marynarce chusteczki do okularów. Nie miał na sobie marynarki. Nie miał chusteczki. Chuchnął na szkła okularów, nie miał ich czym przetrzeć. Patrzył bezradnie na zaparowane szkła.

Lekarz przeszkodził mu w tym bezładnym pląsie.

– Proszę pana, musimy teraz zrobić wszystko, żeby pana żona jak najszybciej stanęła na nogi po zapaleniu płuc. A zaraz potem wszystko, żeby wyleczyć białaczkę. I będę potrzebował pana pomocy. To ważne.

– Mojej pomocy? – Mateusz zdziwił się naiwnie.

– Leczeniem zajmą się lekarze. Jesteście w najlepszej placówce onkologicznej w Polsce. A pan musi przy żonie trwać i ją wspierać.

– Wspierać? – zapytał Mateusz i nagle zaczął zmieniać się na twarzy.

Renata ma białaczkę. Ma raka. Renata jest chora. Renata! – myślał.

Zerwał się z krzesła. – Muszę iść do żony. Muszę... – Nie dokończył, wybiegł z gabinetu.

Nie wszedł jednak na oddział, skierował się w drugą stronę. Zbiegł na parter, wpadł do barku. Popatrzył wokół nierozumiejącym wzrokiem.

– Coś panu podać? – zapytała dziewczyna za barem.

– Słucham? Nie. Tak. Nie wiem.

– Może herbaty?

– Tak, proszę.

Usiadł przy okrągłym stoliku. Dziewczyna przyniosła szklanekę z gorącą wodą, torebka z herbatą leżała na szklanym spodeczku. Patrzył na parującą wodę, potem pił parzący napój. Torebka herbaty została na spodeczku.

Wyszedł stanowczym krokiem z barku, ponownie poszedł do pokoju lekarskiego. Ten sam lekarz czekał na niego. Bez słowa wyszedł na korytarz, gdy tylko w otwierających się drzwiach zobaczył Mateusza. Znow usiadł na twardych krzesłach. Tym razem Mateusz usiadł ciężko na całym krześle.

– Panie doktorze, jeszcze raz. Co to wszystko znaczy?

– To znaczy, że pana żona jest chora. Białaczka jest już dzisiaj często uleczalna, ale komórki rakowe bywają nieprzewidywalne i nigdy nie wiemy na pewno, jak będzie przebiegała terapia. Możemy tylko przypuszczać. Na podstawie doświadczeń i obecnego stanu wiedzy uważamy, że chemioterapia w przypadku pana żony powinna zostać zastosowana jak najszybciej.

– W przypadku mojej żony... Ale ja nie wiem, panie doktorze, jak jej to powiedzieć. Mamy trójkę dzieci. One codziennie potrzebują matki. W domu i w szkole, nie w szpitalu.

– Chemioterapię najczęściej podajemy dożylnie. Pacjent przyjeżdża do szpitala tylko na podanie leku. Potem wraca do domu.

Czasami nawet pacjenci po chemii sami prowadzą samochód, chociaż nie zalecamy tego. Czasem trzeba zostać w szpitalu dłużej, ale zakładamy, że pacjenci wracają do domu. Niemniej, najpierw pana żona musi zostać wyleczona do końca z zapalenia płuc. Wtedy będziemy się umawiać na kolejne sesje chemii. Skoro, zgodnie z prośbą pani Renaty, rozmawiam najpierw z panem – lekarz popatrzył Mateuszowi w oczy – to mam pytanie. Czy ma pan jakieś życzenia co do sposobu przekazania wiadomości pana żonie?

– Nie wiem – wyszeptał Mateusz, rozglądając się bezradnie.

– To chodźmy do niej od razu.

Mateusz po prostu wstał i podszedł do drzwi. Ruszył korytarzem, nie oglądając się na lekarza. Doktor wyszedł z sali, zostawiając otwarte drzwi.

– Panie doktorze, jakie mamy szanse? – zapytał Mateusz, nagle zatrzymując się na korytarzu. Lekarz wpadł na niego ramieniem.

– Każde. Jak już mówiłem, białaczka staje się coraz częściej wyleczalna. Szczególnie we wczesnym stadium. Statystyki mówią, że około sześćdziesięciu procent pacjentów przez co najmniej pięć lat nie ma reemisji, czyli zdrowieje.

– Statystyki – powtórzył Mateusz.



Renata drzemała. Jedna z jej towarzyszek z pokoju została wypisana do domu, łóżko stało puste. Dwie pozostałe pacjentki cicho rozmawiały ze sobą. Za oknem padał deszcz ze śniegiem. Widok był depresyjny – nieprzejrzyste powietrze, szara marznąca zasłona. Rozmowa ucichła, gdy Mateusz z lekarzem weszli do sali.

Renata usiadła, drżała jej broda. Patrzyła na męża szeroko otwartymi oczami. Nie mrugała. Mateusz starał się hamować, żona jednak czytała w nim bez przeszkód. Wiedziała, zanim cokolwiek zostało powiedziane.

Lekarz przysunął krzesło, Mateusz stanął nad nim.

– Mamy wyniki badań.

Kiwnęła głową.

– Może wyjdziemy?

Pokręciła głową. Pozostałe pacjentki ucichły, nasłuchując nowin.

W nudnym szpitalnym życiu każdy news był lepszy od żadnego.

Lekarz popatrzył na Mateusza. Takie rozmowy prowadził już wiele razy i za każdym razem czuł to samo – najpierw lodowaty chłód na karku, potem stróżkę potu na plecach. Następnie pot między nogami. Zawsze po takiej rozmowie musiał się przebierać, przede wszystkim zmieniał slipy. *Dobrze, że to już koniec dyżuru* – pomyślał. – *Wykąpię się jak człowiek.*

– Wyniki badań wskazują... – zebrał się w sobie – ma pani białaczkę. Prawdopodobnie przewlekłą, taką często można wyleczyć.

Renata w końcu zaczęła mrugać. Szybko, długo. Uspokoila się, kręcąc głową szybko, jakby budziła się z hipnozy.

– Jak najszybciej potrzebuje pani leczenia.

– Leczenia. Tak. Koniecznie – odpowiedziała Renata. Uśmiechnęła się.

Lekarz zacisnął wargi. Czekał.

– To znaczy? – zapytała po chwili.

– To znaczy, że w pani krwi znajdują się groźne komórki. One mutują. Szkodzą pani.

– Zabijają mnie, prawda?

– Leczenie białaczki jest dzisiaj...

– Prawda? – przerwała lekarzowi Renata.

– Są groźne. Trochę zlekceważyła pani pierwsze objawy... Ale nie możemy się poddawać. Potrzebuje pani leczenia.

– Mam być łysa i przypominać szkielet?

– Nie, ma pani być zdrowa – odpowiedział spokojnie lekarz.

Uśmiechnął się. Na plecach czuł już nie strumyczek, a potop.

– Panie doktorze. Ja mam trzydzieści pięć lat. Ja mam trójkę dzieci. Ja nie mogę być chora. Muszę wracać do domu, i to najlepiej już, od razu. Za dużo czasu tu zabałagałam. Muszę się zająć ważnymi sprawami, nie mogę lenić się w łóżku – mówiła coraz szybciej. – Wie pan, w prawdziwym życiu to tak nie działa. Nie można sobie wziąć

zwolnienia od życia, o nie, panie doktorze. Pan tutaj opowiada jakieś historie, to świetna sprawa, ale dla mnie to nieważne. Ważne są dzieci. – Renata odepchnęła się od lekarza na kraniec łóżka i spuściła nogi na podłogę. – Mateusz, pomóż mi znaleźć pantofle, zimna ta podłoga – zakomenderowała. Mateusz posłusznie przeszedł do wezgowia, schylił się i podniósł kapcie.

– Nie może pani wyjść teraz ze szpitala – powiedział lekarz.

Mateusz przeszedł na kraniec łóżka, podał żonie kapcie.

– Jak to nie mogę. Właśnie się stąd zbieram, panie doktorze. –

Renata popatrzyła lekarzowi prosto w oczy. Miała zaciśnięte wargi. – Zbieram się i wychodzę stąd. Zatrzymujecie mnie na siłę, chociaż miałam przyjechać tylko na badania. Mam rodzinę, która na mnie czeka. Jestem tu już któryś dzień, i w ogóle nie jest mi lepiej. Co to za szpital! – Wzruszyła ramionami.

– Po tym zapaleniu płuc nie mogę wypisać pani ze szpitala. Musi pani do końca wyzdrowieć – powiedział pojednawczo lekarz.

– Tak, tak, tak – odpowiedziała Renata. – Wydobrzeję w domu.

– Dobrze, niech będzie. Proszę tylko pozwolić, przed wyjściem podamy pani jeszcze jedną kroplówkę.

– Dobrze, jedna może być. – Renata zgodziła się łaskawie.

Lekarz wyszedł, Renata siedziała na skraju łóżka, wyczerpana rozmową.

Medyk szybkim krokiem poszedł do dyżurki pielęgniarek. – Do trzynastki, na cito. – Nabazgrał na świstku nazwę leku uspokajającego i nasennego. – Na cito – powtórzył.

Potem, nie rozmawiając już z nikim, udał się do pokoju lekarzy i zdjął fartuch. Dyżur skończył godzinę temu, dokumentację zdążył uzupełnić. Potrzebne było pełne konsylium. Teraz myślał tylko o prysznicu.



– Bardzo pięknie się zaróżowiłaś – powiedział Mateusz do Renaty.

– To z emocji. Tak trzeba z tymi konowalami rozmawiać. Sam słyszałeś, chcą mnie zatrzymać w szpitalu. No też. Ile można. Pomóż mi.

– Wyciągnęła rękę do Mateusza. Podał jej łokieć, wsparła się na nim całym ciężarem. Gdy Mateusz odsunął rękę, Renata zachwiała się i ponownie usiadła.

– Co też szpital robi z człowiekiem – powiedziała w stronę milczących pacjentek pod oknem.

– Dla kogo witaminki? – zapytała śpiewnie pielęgniarka z butlą w ręce. – Chyba dla pani. – Skierowała się w stronę Renaty. – Ależ pani ładnie wygląda. Kolorki takie na twarzy, cała choroba pani odeszła – gadała. – Ten nasz doktor to cuda robi.

– Ten wasz doktor to mnie próbuje do grobu wpędzić.

– Co też pani, on najlepszy z najlepszych. Ja pani powiem – pochyliła się konspiracyjnie – oni tu cuda robią. Pani słucha doktora, dobrze będzie. – Uśmiechnęła się.

Renata leżała spokojnie, pozwalając kroplom wpływać do żył. – Nie będę go słuchać – odpowiedziała butnie.

– To nie. – Pielęgniarka rozłożyła ręce i wyszła.

Renata zasnęła po dwudziestu minutach. Mateusz siedział obok łóżka ze spuszczoną głową. Jego telefon wibrował wściekle w kieszeni, aż go po prostu wyłączył.

Potem wyszedł na korytarz. Podeszła do niego pielęgniarka. – Będzie spała przez kilka godzin – powiedziała. – W nocy też jej podamy. Nie wyjdzie ze szpitala jeszcze przez kilka dni.

– Rozumiem – odpowiedział, nie unosząc głowy.

Pielęgniarka miała niewiele do emerytury. Współczuła, ale nauczyła się tego nie okazywać. I nie przyzwyczajając do pacjentów. Odchodząc korytarzem, odepchnęła od siebie myśl o pocieszeniu. Skupiła się na prezencie urodzinowym, którego zażyczył sobie jej wnuk. Nie bardzo było ją stać na najnowszą konsolę, ale młodego też nie bardzo to obchodziło. Rodzice o niego dbali, jego zdaniem, niewystarczająco. Miał własny pokój, dobrą szkołę, czyste i co sezon nowe ubrania. A chciał mieć markowe ubrania, pokój w domu, a nie w kamienicy, i być codziennie odwożony luksusowym autem. Nie toyotą. Teraz każdego ranka rozstawał się z ojcem dwie przecznice przed

szkolą. – Wiesz, tato, spieszysz się – tłumaczył. Kolegom mówił, że chodzi do szkoły piechotą, dla kondycji.

Sami sobie narobili tego kłopotu – myślała pielęgniarka o córce i zięciu. – *Gdyby chodził do normalnej szkoły, a nie jakiegoś prywatnego widzimi się, to by nie było takich dziwactw. I kolegów z tygodniówką w wysokości mojej pensji. I urodzinowych marzeń, na które muszę odkładać przez kilka miesięcy.*

Mateusz siedział u Renaty dwie godziny. Trzymał ją za rękę, siedząc niemal bez ruchu. Pacjentki szeptały między sobą, trochę mu współczując, ale tylko trochę. Widziały już kilka rodzin w takiej sytuacji. Czasem żona, czasem mąż. Czasem żyli długo, kto wie czy szczęśliwie, czasem nie udawało się uratować chorego.

– Pan się nie martwi, z tego dzisiaj leczy – powiedziała pani spod okna. Mateusz popatrzył na nią, odwracając głowę, sprawiał wrażenie, że nie rozumie. Panie zajęły się sobą, nie próbując już nawiązywać kontaktu z mężczyzną.

Bez żadnych komentarzy Mateusz w pewnym momencie wstał, pogłaskał Renatę po twarzy, zabrał z wieszaka kurtkę i wyszedł. Wrócił jeszcze, stanął w drzwiach i popatrzył na śpiącą żonę. Potem wyszedł, rzucając tylko suche „do widzenia”. Na korytarzu od razu włączył telefon. Jeszcze zanim opuścił szpital, przeprowadził dwie rozmowy telefoniczne. Załatwiał sprawy biznesowe, umówił się na spotkanie z szefem.

Muszę żyć – pomyślał jeszcze w szpitalu. – *Muszę żyć i zająć się życiem, wyręczyć Renatę we wszystkich sprawach, w których to potrzebne. Ona nie potrzebuje teraz śliniącego się memłaka. Potrzebuje mężczyzny, który udźwignie wszystkie sprawy za nią i za siebie.*

Ze szpitala pojechał prosto do biura. Prawie nikogo już tam nie było. W recepcji rozsiadł się starszawy pan z ochrony, oderwał się gwałtownie od telewizji, gdy zobaczył Mateusza. Ten jednak tylko machnął mu z daleka i używając swojej chipowej karty, wjechał na piętro. Jakiś zapóźniony marketingowiec nadrabiał projekt, pusty *open space* rozświetlała wątła poświata z jego boksu. Mateusz przeszedł przez wyludnione biuro do swojego gabinetu. Za żaluzjami widać było pasy światła w gabinecie naczelnego. Mateusz odłożył teczkę na skórzane

krzesło przy biurku i zapukał do szefa.

– Proszę.

– To tylko ja – powiedział Mateusz, a zwierzchnik uśmiechnął się do niego. Lubił, kiedy pracownicy przychodzili do biura wieczorami.

– Proszę, proszę – powtórzył, wskazując jednocześnie krzesło. Sam usiadł za biurkiem.

– Muszę z tobą porozmawiać... – Mateusz zawiesił głos, szef czekał, milczenie się przedłużało. – Moja żona ma białaczkę. Jest ciężko. – Mateusz patrzył na fornirowany bok mebla. Muszę... – Przerwał. – Właściwie sam nie wiem, co muszę. Pewnie coś muszę. Chyba nie będę mógł pracować tak dużo. Byłbym wdzięczny, gdybyś mnie z tego powodu nie zwolnił.

Dlaczego to powiedziałem? Nie mówi się takich rzeczy! – pomyślał nagle w ataku paniki.

Po co on mówi takie rzeczy? – pomyślał równocześnie szef.

– Postaram się być dostępny i nic nie zawalić, ale muszę trochę spraw oddelegować. – Grymas na twarzy Mateusza nadawał mu wygląd rozkapryszzonego dziecka.

Co on mi tu, rozplacze się zaraz? – pomyślał przełożony.

– Mateusz, nie wiem, co powiedzieć. – Szef wstał i wyszedł zza biurka. Chwycił obydwie dłonie Mateusza w ręce. Ten po prostu na to pozwolił. – Wiesz, jak bardzo jesteś tu ceniony.

Mateusz kiwnął głową.

– Dla ciebie zawsze jest tu miejsce.

– Pozwól mi się zastanowić, jak to rozplanować w szczegółach, dam znać jutro albo pojutrze. Jutro rano normalnie będę w biurze, pewnie będę musiał wyjść wcześniej.

– Jasne, nic się nie przejmuj – powiedział dyrektor, myśląc jednocześnie: *Kim ja go zastąpię?*

Panowie rozstali się uściskiem dłoni, bez dodatkowych słów. Wchodząc do swojego gabinetu, Mateusz pomyślał: *Ciekawe, czy uda mi się zatrzymać tę robotę.*

Usiadł za biurkiem, otworzył pocztę. Czterdzieści osiem maili, z tego piętnaście mało istotnych. Dwadzieścia wymagało przeczytania, na większość odpisał krótkimi zdaniem, część wymagała wpisania

terminów do kalendarza. Nad trzema należało się zastanowić, nad dziewięcioma pracował przez kolejne dwie godziny. Jeden, ostatni, omijał wzrokiem. Patrzył na nazwisko nadawcy przez kilka minut, zanim otworzył list.

Joanna pisała:

Mateusz, nie wiedziałam, nie chciałam. Renata to była moja najlepsza przyjaciółka. Bardzo trudno jest pisać w czasie przeszłym.

Idę na kilka dni urlopu, bo nie potrafię poukładać sobie w głowie całego tego... bałaganu.

W niczym nie zmienia to faktu, że cię pokochałam.

Wybacz.

J.

Mateusz nie mógł wstać. *Powinienem już dawno jechać do domu – pomyślał. Zerknął na wyświetlacz komórki. Wyciszył ją, wchodząc do gabinetu szefa, i zapomniał włączyć głos po wyjściu. Miał osiem nieodebranych połączeń od Krystyny.*

Nigdy nie przestanę być egoistą – pomyślał i walnął pięścią w biurko. W szparze pomiędzy żaluzjami pojawiła się twarz sprzątaczk. – Pokiwał dłonią, wstał i otworzył drzwi.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Spadł mi segregator.

Kobieta kiwnęła głową i odeszła do swoich zajęć.

Mateusz wrócił do biurka. Zadzwoił do teściowej. Nie odebrała. Wciąż nie włączył dzwiku w telefonie, więc po kilku minutach w ostatniej chwili zauważył i odebrał rozmowę od oddzwaniającej Krystyny.

– Co się dzieje? – Starsza pani zarzuciła zięcia pytaniami bez żadnych wstępów. – Nie odbierasz, Renata też nie odbiera. Jest późno! Dzieci umyte, Krzyś śpi, Krysia na ciebie czeka.

– Mamo, jestem w pracy. – Mateusz wszedł jej w słowo. – Muszę nadrobić kilka spraw. Jadę zaraz do domu, to porozmawiamy.

– Wszystko w porządku? Co u Renaty?

– Mamo, porozmawiamy jak wrócę.

– Powiedz mi tylko, czy wszystko w porządku.
– Porozmawiamy jak wrócę. Daj mi się, mamó, spakować, szybciej przyjadę.

Powinienem jej chociaż powiedzieć, że wszystko w porządku. Nie niepokoiłaby się tak bardzo – pomyślał. – Jestem podły, że tego nie zrobiłem.

Kiedy Mateusz dojechał do domu, Krysia wciąż nie spała. Czekwała na ojca. Zdenerwowana Krystyna nie potrafiła jej uśpić. Gdy Mateusz pogłaskał dziewczynkę po głowie, usnęła w ciągu kilku minut. Eryk zamknął się w swoim pokoju.

Krystyna czekała na dole przy pustym stole. Stały na nim tylko dwa kubki z herbatą.

– Zjesz coś? – zapytała odruchowo.

Mateusz pokręcił głową. Usiadł u szczytu stołu.

– Mamó, są wyniki badań Renaty.

Krystyna uniosła brwi. Mateusz milczał.

– Renata ma białaczkę.

Krystyna zacisnęła szczękę.

– Nie wiemy jeszcze, jak będzie wyglądało leczenie.

Prawdopodobnie chemioterapia.

Krystyna opuściła głowę, ukryła twarz w dłoniach. Siedziała tak, skulona, przez prawie kwadrans. Mateusz też milczał.

– To co zamierzasz? Trzeba znaleźć najlepszych lekarzy.

Chociażbym miała dom sprzedać, cokolwiek, pieniądze nie grają roli. Musi mieć to, co najlepsze. Ona musi żyć. Co ja mówię, ona będzie żyła.

– Popatrzyła wyzywająco na Mateusza.

– Mamó, dostanie wszystko, co najlepsze. Białaczka jest dzisiaj w dużym stopniu wyleczalna. Tylko...

– Co tylko? – powiedziała Krystyna zaczepnie.

– Tylko jej białaczka jest bardzo zaawansowana. Teoretycznie to jedna z tych przewlekłych, które rozwijają się długo i powoli, i szanse na wyleczenie są bardzo duże. Ale niekiedy gwałtownie przyspieszają i trudno je zatrzymać. W tej fazie jest teraz Renata. Poza tym... – Mateusz zamilkł i podniósł głowę. Popatrzył Krystynie w oczy. – Ona musi chcieć żyć.

- Co ty gadasz?! Ona chce żyć. Ma dla kogo. Ma rodzinę, która jej potrzebuje. Dzieci, ciebie. Ona chce żyć.
- Tak, mamo – odpowiedział Mateusz.



- Z samego rana, jak tylko Mateusz zabrał dzieci do szkoły, Krystyna zadzwoniła do męża.
- I co? Białaczka? Jak to białaczka?
 - Tak mówi Mateusz. A on pewnie powtarza to, co usłyszał w szpitalu.
 - Ty lepiej zabierz Renatę z tego szpitala, niech tam głupot nie wygadują.
 - No słuchaj, w szpitalu to chyba leczą? Znają się pewnie... Nie będziemy jej tak zabierać chyba...
 - Ile tych badań porobili? Co, w trzy dni zdiagnozowali? – Ojciec Renaty zaczął krzyczeć.
 - No w trzy, chyba wystarczy... nie wiem, nie znam się. Ale mówią że białaczka i że przewlekła, ale w stanie ostrym.
 - Słuchaj, to głupoty jakieś. Jak może być przewlekła i ostra jednocześnie? Oni się tam znają?
 - No bo podobno przewlekła, ale już tak długo jest w Renacie, że się stała ostra. Zresztą, ja tylko powtarzam, co mówił Mateusz. Chcesz, to przyjeźdź, sam pogadasz z lekarzami.
 - Tu nie trzeba gadać, tu trzeba ją z tego szpitala wyciągnąć! Ty jedź po nią, przywieź ją do domu. Tylko szybko, nie ma na co czekać.
 - Mateusz mówi, że najpierw to zapalenie płuc muszą jej wyleczyć.
 - To ona ma zapalenie płuc czy białaczkę? Oni w ogóle wiedzą, co leczą?
 - Nie krzycz na mnie.
 - Dobra, dobra, przyjadę jutro. Niech tylko ona już będzie w domu. Krystyna odłożyła słuchawkę z poczuciem, że w ogóle nie jest jej

lżej. Usiadła przy stole, zabałaganionym jeszcze po śniadaniu dzieci. *Ile ta Renata będzie w szpitalu? – myślała. – Przecież nie mogę tak dzieciaków zostawić. Mateusz to wiecznie zapracowany, biznesy swoje robi, jeździ ciągle, on to się dziećmi nie zajmie. A Renata? Jak wyjdzie ze szpitala, to będzie miała siłę? Chyba trzeba dom w Lipnie na cztery spusty zamknąć i tu przyjechać.*

Westchnęła ciężko i zaczęła znosić naczynia ze stołu.



Mateusz po odwiezieniu dzieci pojechał prosto do biura. Nikomu nie powiedział słowa. Biuro trochę plotkowało. Bo najpierw nie było Mateusza, a teraz nie ma Joanny, a przecież „oni się bardzo lubią”.

Do Mateusza plotki nie dotarły, szybko zresztą ucichły. Tak zarzucił pracowników robotą, że nie bardzo mieli czas na wymienianie poglądów. Mateusz się po prostu śpieszył. Starał się nadrobić ostatnie dni i od razu przewidywać sprawy kolejne. Wyprzedzić. Delegował wszystkie możliwe zadania, założył, że na bieżące obowiązki ma mniej czasu niż zwykle.

Zwykle... – pomyślał. – Zwykle to ja przesiadywałem w biurze po godzinach. I wydawało mi się, że z niczym nie zdążę. A teraz mam pięć godzin zamiast ośmiu i wszystko będzie zrobione.

Wyszedł z biura o wpół do trzeciej. Kilka minut po trzeciej był u Renaty.

Przywitała go skinięciem głowy.

– Nic nie przyniosłem – powiedział. – Nie wiem, co potrzebne.

– Zdrowie – odpowiedziała bez uśmiechu.

– Poczekaj, skoczę do kiosku, to kupię porcyjkę – odpowiedział tak samo bez uśmiechu.

– Czy ty byłeś ostatnio u Darii?

– Tak, opowiadałem ci przecież.

– Ale czy potem byłeś?

– Nie miałem kiedy.

– Bo dzwoniła do mnie dzisiaj. W ogóle nie pamiętała, że mi opowiedziała o Klemensie, o Monice, o tym, jaki z niego skur... – zakryła dłonią usta i przepraszająco spojrzała na panią spod okna. Ta tylko machnęła ręką:

– Nie przejmuj się, dziecino, gorsze znam. – I wróciła do kontemplowania widoku za oknem.

Awansowałam na dziecinę? – zdziwiła się Renata w duchu.

– I nawet chyba nie pamiętała, że u niej byłś – dokończyła Renata.

– Mogła nie pamiętać.

– Wypomniała mi też, że w ogóle mnie nie widuje przez tę chorobę i że powinnam już wyzdrowieć i zacząć chodzić na spacer. Ona nie wie, że jestem w szpitalu?

– Może nie wiedzieć. – Mateusz się zastanowił.

– To może warto jej powiedzieć? Jak myślisz?

Mateusz wzruszył ramionami. – Najbardziej warto, żebyś stąd już wyszła. Zjadłaś coś?

Spojrzała na niego ironicznie.

– A ty chciałbyś to jeść?

– To przyniosę ci może obiad z bufetu? Albo razem pójdziemy?

I będziemy patrzeć w stolik? – pomyślała Renata. Głośno powiedziała: – Nie jestem głodna. Dzięki. Może...

– Tak? – Mateusz aż podskoczył na krześle.

– Może byś mi poczytał? Męczą mi się oczy, ciężko mi trzymać książkę... a nudno tu trochę.

– Jasne. – Mateusz sięgnął po tom oprawiony w biały papier. – *W pustyni i w puszczy? Żartujesz?*

– Nie. – Renata uśmiechnęła się leciutko. – To odwraca uwagę od rzeczywistości.

Mateusz czytał żonie przez prawie półtorej godziny. Wokół panowała względna cisza, słychać było tylko szpitalne odgłosy. Gdzieś w innej sali zadzwonił telefon, w ciężkich chodakach przeszedł przez korytarz ordynator, tylko on tupał tak głośno, pielęgniarki biegały bezszelestnie w swoich podgumowanych pepegach.

Mateuszowi zaschło w gardle.

– Pójdę po coś do picia.

Renata tylko kiwnęła głową.

Gdy Mateusz wrócił, rozmawiała przez telefon.

– Nie dałaś mi dojść do słowa!

– ...

– Tak, powinnam niedługo wyjść. Pewnie pojutrze, tak dzisiaj mówił lekarz na obchodzie.

– ...

– Wyleczą mi to zapalenie płuc i do domu.

– ...

– Daria, przestań. Nie musisz tu przyjeżdżać. Szpital to nic miłego. Pojutrze będę w domu.



– Ale maruda – powiedziała Renata, gdy już zakończyła rozmowę.

– Ale nie powiedziałaś jej, że leżysz na onkologii?

– Co ją będę martwić. – Renata wzruszyła ramionami.

– A ty tak byś chciała? Żeby ci Daria nie powiedziała?

Renata zacisnęła szczęki. – Poczytasz jeszcze? – spytała.

Mateusz czytał jeszcze prawie czterdzieści minut, aż wyrzuciła go pielęgniarka.

– Ale pani ma męża – powiedziała jedna z pacjentek.

– Jakiego? – odruchowo zapytała Renata.

– Wspaniały taki. Siedzi przy pani, czyta, troszczy się. Nie każdy facet tak by chciał.

– Nie każdy – odpowiedziała Renata bez uśmiechu, po czym poprosiła salową szykującą puste łóżko na przyjęcie nowej pacjentki o coś nasennego.

Zanim jednak pielęgniarka przyniosła kroplówkę, Renata już spała. Obudził ją telefon.

– Halo? – powiedziała zaspana.

– Renata? Jak ty mogłaś?

– Co? O co chodzi...

– Nie powiedziałaś mi! Ty leżysz na onkologii!
– Tak, ale... Daria, to ty? Spałam, przepraszam.
– Ja bym cię przeprosiła, gdybym nie była taka wściekła!
– To nie bądź. Nic nie pomożesz. Masz inne problemy.
– No niby mam. Ale co to ma za znaczenie, że Klemens się wyprowadził. Dawno go już tu nie było, to znaczy w domu. Teraz to ważne jest, żebyś ty się z powrotem wprowadziła, to znaczy, żebyś wróciła do domu. Dzisiaj to ja już nie dam rady, ale jutro do ciebie przyjadę i...

– Daria, daj spokój, mam tu dobrą opiekę. Matka przyjeżdża, Mateusz jest codziennie...

– Oni są ważni, ale ja też nie od krowy. Przyjadę do ciebie jutro i przywiozę mamę, bo dzisiaj narzekała, że nie mogła dzieciaków samych zostawić, Mateusza w domu nie było, nie miała jak do ciebie przyjechać. Ale już dzisiaj przyjechał twój ojciec, więc jutro zabieram mamę i przyjedziemy obydwie.

– Ojciec przyjechał? – Renata się zdziwiła.

– Ojciec, ojciec. A mama i ja będziemy jutro u ciebie – powtórzyła przyjaciółka. – To trzymaj się! – Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

Renata szybko znowu zasnęła. Przespała kolację, którą kuchenna zapomniała potem zabrać. Rankiem zeszkłe na wiór plastry mortadeli przyprawiły Renatę o nudności.

Daria z Krystyną przyjechały około jedenastej. Poprzedniego wieczoru na wolnym łóżku pojawiła się nowa pacjentka. Pojękiwała cicho, uporczywie, Renatę denerwował ten stały, regularny dźwięk. Kobieta się praktycznie nie odzywała, tylko jęczała chrapliwie.

Renata z ulgą przyjęła wizytę. *Oderwę myśli od tej jęczącej duszy* – pomyślała.

– No ty tutaj, korzenie zapuściłaś? – Daria przywitała chorą.

– Nie zamierzam, coś ty. Jutro wychodzę.

– Mhm, od czterech dni tak mówisz. – Sarkastycznie wykrzywiła usta Krystyna.

– Mamo, ty nie mąć, tylko wspieraj.

– Wspieram, wspieram – odpowiedziała Krystyna, wyciągając

wałówkę.

– Mamo!

– A jadłaś coś dzisiaj?

– Chleba zjadłam – odpowiedziała Renata.

– No, pół kromki?

Renata machnęła ręką. Rosół pachniał tak, że poczuła się głodna. Był ciepły, matka przelała go prosto z garnka i zawinęła grubo w gazety. Renata bez marudzenia sięgnęła po łyżkę. Krystyna usiadła na krześle, Daria przyniosła drugie z korytarza, po czym rozejrzała się po sali.

– Ty naprawdę musisz stąd wychodzić.

– Co?

– Brzydko tu – odpowiedziała Daria. Pacjentka pod oknem obruszyła się.

– My tu leżymy całe tygodnie, pani! – powiedziała.

– Przepraszam, ja tak tylko... – Daria się zmytygowała. – Wie pani, dla kogoś z zewnątrz to szok trochę.

Pacjentka wzruszyła ramionami.

– Mów, co ci jest. – Daria zwróciła się do Renaty. Ta wzruszyła ramionami.

– Mówią, że to białaczka.

Daria przełknęła ślinę.

– No, to moje problemy pikuś. – Przygryzła policzek. – Jak cię będą leczyć?

– Kto to wie. Chemia pewnie. Będę łysa. – Renata zaśmiała się gorzko.

– Myślę, że włosy to najmniejszy problem – wtrąciła Krystyna.

– Najmniejszy, nie najmniejszy. Marzyłam o długich, a nie będę miała żadnych.

– Włosy odrosną.

– Nie wiadomo, czy zdążą.

– Renata, przestań. – Daria podniosła się z krzesła. – Nie wolno tak myśleć.

– Mówią, że białaczka jest wyleczalna. Popatrzyłam w Googlach.

– A jak tyś się do komputera dorwała? – zapytała Daria.

– W czym? – równocześnie zapytała Krystyna.

- W komórce mam – odpowiedziała Renata Darii. – W internecie.
- Spojrzała na matkę.
- Skoro wyleczalna, to się lecz i wracaj do dzieci – powiedziała Krystyna.
- Jest wyleczalna, jak się ją wcześniej wykryje. Moja jest w fazie ostrej, najgorszej.
- A Mateusz mówił, że przewlekła.
- Tak, ale długo się wlokła. Aż w końcu się wyostrzyła.
- To co z tego. I tak musisz wyzdrowieć – powiedziała Daria.
- Tak, muszę. Jak dzieci? – zapytała Krystynę.
- Tęsknią. Pytają o ciebie. Wiedzą, że jesteś w szpitalu i że zdrowiejesz. Daję radę.
- Ja pomogę w razie potrzeby – zadeklarowała Daria.
- Tata przyjechał. – Krystyna zwróciła się do Renaty. – Będzie mi trochę lżej. Pomóc to on nie pomoże, ale przynajmniej martwić się o niego nie będę.
- Mamo, tata nie jest dzieckiem, poradzi sobie.
- Tak, na kanapkach i w trzydniowej koszuli. Już ja go tam znam.
- A prace domowe? Nie mają zaległości?
- Eryka to nie ogarniam, nie pytaj. Z Krysią i Krzysiem nie ma problemu, on to w ogóle nic nie ma zadawane, czasem tylko. – Krystyna machnęła ręką.
- Renata, dajemy radę, tylko wracaj – powiedziała Daria.
- Tyle jest tematów, a nie ma o czym rozmawiać* – pomyślała Renata.
- No, dziewczynki, pójdę ja na chwilę, herbatę jakąś kupię – powiedziała Krystyna.
- Daria przysunęła się bliżej łóżka.
- Przepraszam cię, zawracałam ci głowę jakimiś pierdołami. – Daria pokręciła głową.
- To nie takie pierdoły, nasi mężowie mają wiele wspólnego. Mateusz też skoczył w bok.
- Pacjentka pod oknem nadstawiła ucha.
- Przejdźmy się, muszę się poruszać. Chociaż kilka kroków po korytarzu, bo zrobią mi się odleżyny, zanim zaczną mnie leczyć.
- Renata ostrożnie spuściła nogi z łóżka, oparła stopy na podłodze.

Nim się podniosła, siedziała chwilę, jakby zbierając siły. Daria podała jej rękę, dopiero wtedy Renata wstała, podpierając się o łokieć przyjaciółki. Ruszyły powoli do drzwi, potem korytarzem, aż pod okno. Renata usiadła na tym samym krześle, na którym siedziała, rozmawiając z Darią przez telefon. Druga z przyjaciółek usiadła na parapecie.

– Mateusz też mnie zdradził. Z najserdeczniejszą kumpelą ze szkoły podstawowej.

Daria się wykrzywiła.

– Moją. – Renata uściśliła. Nie wiedziałam nawet, że jest w Warszawie, straciłyśmy kontakt. Może więc to nie była przyjaciółka... Chociaż wiele nas łączyło. Czasami wracałam do niej myślą. Nie szukałam jej, bo się bałam... Bałam się, że już nie będzie tak jak dawniej. No i popatrz, nie jest. – Zakończyła sarkastycznie.

– Taaaa... niewiele można dodać. – Daria westchnęła.

– A tymczasem muszę liczyć na niego, bo choroba wybrała sobie mnie. Akurat teraz! – Renata dostała wypieków.

– Choroba nie jest niczym szczególnym. Pokonasz ją i uporządkujesz sprawy z Mateuszem.

– Tak po prostu. – Renata pokiwała głową.

– Tak po prostu. Właśnie tak.

– Wracajmy. Trochę mi zimno.

Krystyna czekała na nie. Słoik po rosole był spakowany, na stoliku stał pojemnik z ziemniakami i kawałkiem mięsa.

– Mamo, najadłam się już, dziękuję – powiedziała Renata ciepło.

– Jedz dziecko, jedz. W jedzeniu siła.

Renata położyła się z ulgą. Była zmęczona.

– Zapakuję, to nie wystygnie – powiedziała matka przed wyjściem.

– Ale o panią dbają – szepnęła nowa pacjentka. – Ja to się najbardziej boję, że zostanę tu sama.

– Dlaczego sama? – odruchowo odpowiedziała Renata.

Po co ja takie pytania zadaję – pomyślała poniewczasie.

– Dzieci przyjadą, na pewno. Ale porzuciła je po świetle. Raz może przyjadą, i tyle. A jak będę tu musiała spędzić dużo czasu? Tego się boję. Nie choroby, bo kostucha w końcu i tak nas dopadnie. Każdego. Tylko żeby nie umierać w samotności.

– Proszę pani, tu się przychodzi, żeby wyzdrowieć, a nie umierać – odpowiedziała Renata.

– Mało jeszcze pani widziałaś – wtrąciła pani spod okna. – Tutaj leczo, ale nie zawsze. Do parku sztywnych też wysyłają.

– Wie pani, na pewno to nas urząd skarbowy dopadnie. A poza tym to trzeba mieć nadzieję – powiedziała Renata.

Popołudnie mijało spokojnie. Pielęgniarki dostarczały kolejne partie leków, Renata dużo spała. Gdy kuchenna przywiozła obiad, ona rozpakowała zawiniątko od mamy. Pachniało pięknie, ale nie była w stanie wiele zjeść. Widelec ziemniaków, odrobina mięsa. Trochę czytała, ale od małych liter kręciło jej się w głowie. Dopiero około piątej, tuż przed kolacją, siadła na łóżku, zapaliła metalową lampkę i odrobinę poczytała. Wkrótce potem do sali wparowała Krystyna, za nią Mateusz i dzieci.

– Mamo, niedobrze! – Krzyś od wejścia zgłaszał pretensje.

– Ale co niedobrze, synku? – Renata się uśmiechnęła.

– Niedobrze, że tu jesteś. Wracaj do domu. Najlepiej od razu się ubieraj. I wracaj do domu. Bez ciebie nie jest dobrze.

– Jesteś chyba jeszcze bledsza niż wczoraj – powiedział Mateusz, cmokając Renatę w policzek.

– Mamo, brzydko tu pachnie. W domu jest lepiej. Pojedziesz dzisiaj z nami? – zapytała Krysia.

– Dzisiaj chyba nie. Może jutro przyjadę do domu.

Krzyś z Krysią zaczęli przepychać się między łózkami.

– Dzieciaki, spokojnie, bo nas stąd wyrzucą.

Eryk oparł się o parapet, stanął tuż obok gadatliwej pacjentki. Przyglądała mu się z ciekawością. Nastolatek był wpatrzony w ekran swojego telefonu. Cały czas esemesował.

– Siadajcie. – Renata gestem pokazała Krzysiowi i Krysi miejsce koło siebie. Odsuniemy kołdrę, żeby się pan doktor nie denerwował, bo on nie lubi, jak się siada na łóżku. Ale chyba nie mam tu dla was innego miejsca, prawda?

– Nie bardzo – odpowiedziała rezolutnie Krysia, rozglądając się uważnie. – W domu jest więcej miejsca. I nie pachnie tak brzydko.

– W szpitalu musi tak być. Tutaj musi być bardzo, bardzo czysto.

Dlatego macie ochraniacze na nogach i dlatego nie mogliście wejść tutaj w kurtkach.

– Tak pachnie czystość? – Dziewczynka się zdziwiła.

– Nie, tak pachną środki odkażające. – Renata wyjaśniła z uśmiechem.

– Mamo, zrobiłem dla ciebie rysunek – powiedział Krzyś, rozglądając się. – I chciałbym zrobić jeszcze jeden. Ale tu nie ma kredki. – Zasmucił się.

– A ja widziałam tutaj kredki. Przy wejściu jest taki stolik, na nim są kartki i kredki. Może pójdziesz tam porysować?

Krzyś zeskoczył z łóżka i poprosił babcię:

– Zabierz mnie do tego stolika, proszę.

– Ja też chcę! – zadeklarowała Krysia.

– Idziemy! – komenderowała Krystyna, a Renata odwróciła twarz w stronę pochmurnego nastolatka stojącego na tle pochmurnego nieba.

– Co u ciebie? – zapytała, a ten niechętnie odłożył komórkę.

– Nic – odburknął.

– Pójdę po coś do picia – powiedział Mateusz i gestem wskazał synowi krzesło obok łóżka matki. Młody usiadł z ociąganiem. Renata chwyciła go za rękę, nie wycofał jej.

– A w szkole? – drążyła.

– W ogóle nic.

– Nic a nic. Ani prac domowych, ani nic. No kompletnie. Po prostu pustynia. Nic. – Prowokowała.

Chłopak uśmiechnął się nieznacznie.

– A masz już wyniki testu z angielskiego?

Rozpromienił się.

– Mamo, to było proste! Mam najlepszą ocenę w klasie. W całej klasie. Pierwszą szóstkę w tym semestrze! – Zrobił minę „jestem zwycięzcą”.

– Widzisz, mówiłam ci, ten obóz w Anglii to był dobry pomysł. Teraz procentuje.

– Ale było tam ciężko... przynajmniej na początku.

– A potem?

– Potem już lżej. – Przyznał nastolatek. – Poznałem tam

koleżankę... Dobra, wiem, nic nie mówiłem. – Zaczął się usprawiedliwiać, widząc minę Renaty. – Ona chce przyjechać do mnie. Mamo, czy ona może do mnie przyjechać?

Ostatniemu zdaniu towarzyszyło szybkie poderwanie głowy i błagalny ton.

Aż tak mu zależy? – zdziwiła się w duchu Renata.

– Dlaczego masz wątpliwości?

– Bo... sama zobacz.

Chłopak chwycił komórkę i kilkoma ruchami otworzył zdjęcie. Dziewczyna miała kolczyk w nosie, wardze i osiem małych kółek w uchu.

– Hmm... – mruknęła Renata. – A ma gdzieś tatuaże? W jakichś fajnych miejscach?

– Mamo – odburknął zniesmaczony.

– Żartowałam. Nie przejmuj się. Starzy też czasami żartują.

Rozumiem, że dobrze ci się z nią rozmawia?

– Czy dobrze? – Chłopak się ożywił. – Z nią wszystko jest dobrze!

– Wnioskuje, że mózgu nie ma przekłutego. To kiedy przyjeżdża?

– Naprawdę? Mogę?

– Miałeś wątpliwości?

– Tak naprawdę to chyba nie. – Młody zawiesił głos. Impulsywnie przytulił się do matki.

– Nie zgnieć mnie – powiedziała Renata.

– Wiesz, ty naprawdę śmierdzisz szpitalem – stwierdził, przyglądając się matce. Wciąż trzymał ją za ramiona.

Renata palcem pokazała mu, żeby przybliżył twarz.

– Wiem. Ale nikomu o tym nie mów – szepnęła mu w samo ucho.

Śmiali się, wciąż przytuleni, gdy wrócił Mateusz z maluchami.

– No wiecie co? Co za karesy? Ja też chcę! – Stanął w drzwiach, podpierając boki.

– I ja! Ja też! – Krzys i Krysia się przepychali. Dopadli do łóżka, wdrapali się na nie jak małpki i obsiedli matkę. Obłapiali i całowali. Eryk się odsunął, a Mateusz widział tylko przestraszone oczy żony.

– Dobra, dobra, nie zadusić mi tu mamy, proszę państwa – wykrzyknął.

Dzieci niechętnie odkleiły się od matki, Renata z trudem łapała oddech, ale uśmiechała się, chociaż blado.

– Moje skarby – powiedziała, głaszcząc dzieci. – Moje maleństwa.

– Nie jestem już mały! – powiedział z oburzeniem Krzyś.

– Przepraszam, oczywiście. Ale wiesz, babcia Marysia też czasami tak mówi do taty, a on już wcale nie jest mały, prawda? Nawet nie jest dzieckiem.

– Niestety – skomentował Mateusz.

Krzyś zastanowił się chwilę i kiwnął głową, ale nic nie powiedział. Zsunął się z łóżka i w podskokach podbiegł do ojca. Pociągnął go za rękaw, a gdy Mateusz się schylił, szepnął mu coś do ucha. Mateusz klepnął się w czoło i sięgnął do torby. Krzyś przechwycił kartkę i stanął z boku, za drzwiami. Był prawie niewidoczny.

– Kochani, wychodzimy! – zakomenderował Mateusz. – Mama jest zmęczona, musi odpocząć. Jutro wielki dzień, mama wraca do domu!

Krystyna podeszła do córki, przytuliła ją i podała paczkę z domowym ciastem oraz czerwoną miękką kulę. Mateusz jak kwoka zaganiał dzieciaki. Eryk wyszedł pierwszy, Krystyna za nim, Mateusz trzymał Krysię za rękę i wzrokiem szukał Krzysia. Gdy wszyscy wyszli, chłopiec wychylił się zza drzwi i podszedł do mamy. Zza pleców wyciągnął kartkę.

– To ja? – Renata się ucieszyła, odwracając rysunek w różne strony.

– Tutaj, mamo. – Krzyś skarcił ją. – To ty i tata, a to my.

Dwie centralne postacie trzymały się za ręce, stały w wielkim zielonym sercu. Pozostałe trzy rozstawione były wokół, wyciągając ręce do tych środkowych.

– I słoneczko?

– Tak, bo ja lubię słońce.

– Dobrze, że się wszyscy uśmiechamy – skomentowała Renata.

– A ja gdzie jestem? – dopytywała się Krystyna, która wróciła w poszukiwaniu wnuka.

– Chyba będziesz musiał dorysować babcię – stwierdziła Renata.

– Mamo, ten rysunek to dla ciebie, żeby ci nie było tutaj tak smutno. Bo masz tu strasznie ponuro. Ściany białe i w ogóle.

– Synku, a dlaczego to serce jest zielone?

– Bo idzie wiosna. – Chłopiec wzruszył ramionami. – Babcia tak mówiła. I w sercach też czekamy na wiosnę.

Matka go przytuliła. Mały wybiegł, zza drzwi Renata usłyszała reprimendę.

– Gdzieś ty był! Krzysiu, ja cię tu szukam! Byłem pewien, że wyszedłeś przed babcią, a ciebie nie ma! Kochanie, zdenerwowałem się.

– Ostatnie słowa Mateusz wypowiedział miękko, łagodnym tonem. – Krysia, a ty dokąd?

Dziewczynka z impetem otworzyła drzwi i wskoczyła na łóżko matki.

– Ja też chcę cię jeszcze poprzytulić – powiedziała cicho.

– Chyba nie możemy wyjść – powiedział Mateusz. Podszedł do żony i ją pocałował. Renata nie odwróciła twarzy. – Trzymaj się, kochanie.

– Postaram się nie puszczać – odpowiedziała Renata.



– Ależ fajne te pani dzieciaki – powiedziała jedna z pacjentek, ta, która mówiła najmniej. Nowa pokiwała głową.

– Małe te pani brzdące, nie rozumieją jeszcze za wiele.

– Ten najstarszy to już chyba rozumi – wtrąciła ta pod oknem.

– Ma już swoje sprawy – odpowiedziała Renata.

– A ja to pani zazdroszczę – powiedziała nowa. – Jak moje były takie małe, to też były fajne. Małe dzieci są dobre. Potem wyrastają, wychodzą z domu i tyle je widzieliśmy.

– Wychowujemy dzieci po to, żeby poszły w świat, prawda? – rzuciła Renata.

– Pani to chyba nie ma co narzekać. Mama jest z panią, to chyba tak daleko pani nie uciekła.

– To prawda.

– Tak to już jest, matka w potrzebie zawsze pomoże, ale w drugą

stronę? Jak by to było, jakby matka się znalazła w szpitalu. Też by pani u niej codziennie była? – zapytała ta najmniej mówiąca.

Renata się zastanowiła.

– Pewnie ściągnęłabym mamę do szpitala tutaj... Nie wiem, co będę gdybać. Najpierw muszę stąd wyjść, żeby się nad tym zastanawiać. Zapadła cisza.

Renata znów była zmęczona. Nie mogła jednak zasnąć.

Podciągnęła poduszkę, usiadła, opierając się o ramę łóżka. Przez ciekłą warstwę wyczuwała chłód metalowych rurek. Położyła rysunek Krzysia na kolanach. *Wiosna. W sercach wiosna* – rozmyślała. Popatrzyła za okno. Chwilę wcześniej przestał padać śnieg z deszczem. Niebo było już ciemne, wieczorne, ale pogodne. – *Chciałabym, żeby była już zielona wiosna. Co to zmieni? Dalej będę zdradzaną żoną, chorą i słabą, i pewnie bez włosów. Co to za żona. Wcale się Mateuszowi nie dziwię.*

Co ja wymyślam. Oczywiście, że się dziwię i go nie rozumiem. Jest świnią, i już. Nie wiedział o mojej chorobie, a nawet jakby wiedział to co, to niby mógł zdradzić, bo jak chora, to bezużyteczna? Żyję jeszcze. Póki co.

Nie wiem jak długo, ale żyję.

A tam, nie wiem. Wyleczą mnie i dalej będę żyć. Jak do tej pory. A może nie jak do tej pory? Czy ja chcę być z Mateuszem? I dlaczego, do ciężkiej cholery, to musiała być akurat Joanna?

Renata przysnęła w końcu, półsiedząc. Obudziła się, gdy pozostałe pacjentki już spały. Miała poczucie, że o czymś ważnym zapomniała. Wstała, założyła pantofle i szlafrok, poszła do łazienki. Wracając, zatrzymała się w połowie korytarza.

– Gdzie ja mam głowę? – powiedziała do siebie, po czym ruszyła jak najszybciej do sali numer trzystaście. Chwyciła komórkę i wyszła ponownie na korytarz, pod okno.

– Mateusz? – powiedziała do słuchawki po kilku sygnałach. – Zapomniałam. Jutro jest piątek! Krysia ma wycieczkę. Zadbaj o to, żeby była dobrze ubrana. Jadą do leśniczówki, rozpoznawać wiosnę i wiosenne obyczaje zwierząt. Ubierz ją na cebulkę. To znaczy, wiesz, wiele warstw. Kilka różnych ubrań jedno na drugim. W słońcu może być ciepło, ale w lesie, w cieniu, to wiesz, może być zupełnie zimno. Wiesz,

żeby...

– Renata? – Mateusz próbował jej przerwać.

– ... się nie zgrzała ani nie zmarzła. I daj jej koniecznie większe śniadanie. Coś słodkiego do śniadaniówki i dwie butelki picia. A Krzyś ma w sobotę...

– Renata!

– ...urodziny kolegi. Nie ma prezentu. Rozmawiałam z jego mamą, już ze dwa tygodnie temu, on lubi samochody, najlepiej zielone. Kup mu jakieś lego i ubierz go...

– Re-na-ta!

– Tak? – W końcu usłyszała męża.

– Dam radę. Uwierz mi, chociaż w tym. Pamiętam o wycieczce. Nie jadą do lasu, tylko do Wilanowa. Do parku. A kolega ma na imię Kuba. Mieszkają w Chylicach. Urodziny zaczynają się o siedemnastej.

– Mateusz?

– Tak, kochanie?

– Chciałabym teraz z tobą być. – Cisza. – Chciałabym, żebyś nie musiał radzić sobie sam.



– Renata?

Obok metalowej szafki chybotliwy stółek i krzesło ze sklejki. Na ścianie kawałkiem plastra przyklejony rysunek – pięć postaci, duże zielone serce. Daria usiadła na twardym krześle, oparła przedramię o blat szafki, do rękawa przykleiły się okruszki.

– Dobrze, że mam marynarkę – powiedziała do siebie. – Biała bluzka byłaby załatwiona.

– A coś ty taka wystrojona? – spytała wybudzona Renata.

– A dzień dobry, śpiąca królewno. Mam spotkanie z Klemensem.

– Co się krzywisz. Przecież ci zależy.

– Co ty opowiadasz. Musimy po prostu załatwić sprawy.

– Aha, i dlatego masz na sobie ołówkową spódnicę i białą

kopertową bluzkę. I marynarkę, której nie zakładasz nawet od wielkiego dzwonu.

– Czepiasz się – burknęła Daria.

– Tak. I po to tu przyszłaś. Żeby usłyszeć trochę prawdy.

– No wal tę swoją prawdę.

– Zależy ci, bo masz z tym gnojem dwójkę dzieci i nie chcesz ich wychowywać sama. Zależy ci, bo nie chcesz zostać nie tylko bez męża, ale także bez środków do życia. Zależy ci wreszcie dlatego, że po prostu go kochasz, i tyle.

– Cóż, zawsze można na ciebie liczyć – odpowiedziała Daria, oglądając plamę na rękawie. – Co robisz?

– Muszę skończyć szalik dla Krzysia. Mama mi wczoraj podrzuciła.

– Szalik? Coś on wąski. A jak... – Daria przyłożyła robótkę do nosa. – To jakieś perfumy?

– Krzyś wylał całą butelkę.

– To to tak pachnie od razu po wejściu. Nie mogłam zrozumieć. Wiesz, to jest piorunujące połączenie. Perfumy i zapach szpitala.

– Zapach? Chyba smród. – Renata westchnęła. – Przyzwyczajam się do tego.

– Do szpitala?

Renata wzruszyła ramionami.

– Masz rację – powiedziała Daria.

– Co do czego mam rację?

– Zależy mi. Jestem wściekła, mam ochotę rozbijać szyby i tłuc naczynia, ale zależy mi.

– To po prostu z nim porozmawiaj.

– Obawiam się, że jemu nie.

– Nie zapytałaś.

– Nie wiem, czy będę miała odwagę.

– Spróbuj.

– Zobaczę.

Daria wstała i nerwowo przechadzała się po sali.

– Wyjdźmy – powiedziała Renata, wyciągając rękę do przyjaciółki.
– Przeszkadzasz innym pacjentkom.

– Renata, to może głupie pytanie, ale... Jak ci z tym wszystkim?
Co zamierzasz?

– Daria, mam białaczkę, mam raka. Jak mi może być?

– Ja... – Daria się zająknęła.

– Nic nie musisz mówić. Będę walczyć. O wszystko. O zdrowie.

Z chorobą. O życie.

Zapadło milczenie.

– O życie dla moich dzieci – dodała jeszcze Renata.

– A ja się przejmuję takimi duperelami... – Daria westchnęła.

– Rozwód to nie duperela.

– Żaden rozwód! Klemens ma tylko romans! Oprzytomnieje
i wróci.

– Ale mówiłaś, że się wyprowadził?

– No i co, wyprowadził, to się może i wprowadzić. Mati i Nonna
już pytają o tatę.

– Co im powiedziałaś?

– Że tata wyjechał. Co mam powiedzieć kilkuletnim
dziewczynkom?

Przyjaciółki patrzyły na siebie, każda w swojej trosce, każda
w pewnym stopniu pocieszona. *Problemy mają wszyscy* – myślały
obydwie.

– Idę dzisiaj na spotkanie z Klemensem.

– Mówiłaś. To dlatego ta spódniczka?

– Za krótka? – zaniepokoiła się Daria.

– Skąd! Idealna do twoich nóg.

– Trochę się boję.

Renata kiwnęła głową.

– Boję się – kontynuowała Daria – bo wykrzyczałam mu w twarz,
że jest świnią. Że ja dla niego zostawiłam karierę, i dla dzieci też, bo o to
prosił, bo obiecywał. I nie zmieniłam się w żadną kurę domową, dbam
o siebie, ubieram i maluję, i czytam, i się staram... Jestem głupia, wiem.
Prosił, to prosił, a ja powinnam wiedzieć, że nie wolno z siebie
rezygnować. Powinnam była zostać w pracy i mieć swoje spotkania
integracyjne, klientów, wyniki, swoje raporty, nieznośnego szefa
i leniwych pracowników. Miało być tak pięknie, domowe ognisko,

domowy obiad... A teraz...

Daria odwróciła twarz. Renata patrzyła przez okno, które słyszało już tyle rozmów.

– Ja też się boję – powiedziała półgłosem.

– Różnica polega na tym, że ty masz powód, a ja tylko histeryzuję. Nie patrzyły na siebie.

– I na tym, że ty wyzdrowiejesz, a ja tak naprawdę nie wierzę, że Klemens wróci i wszystko będzie dobrze. Nie będzie dobrze, bo ja mu już pewnie nie zaufam, i razem zgotujemy sobie piekło. Więc nie wiem, po co się tak stroiłam i właściwie po co jadę na to spotkanie.

– Po to, żeby ustawić swoje życie na najbliższe lata. Żeby zapewnić utrzymanie dzieciom i sobie, przynajmniej zanim nie staniesz na własnych nogach. Żeby ustalić priorytety rodzicielskie i pozałatwiać inne małżeńskie sprawy.

Daria popatrzyła z niedowierzaniem.

– No dobra, trochę się zapędziłam. Pewnie nic nie pozałatwiasz, ale chociaż zasygnalizujesz. Spróbuj tylko na niego nie krzyczeć.

– Prosiłam moją adwokatkę, żeby mnie w razie czego pohamowała.

– Jedziesz z prawniczką?

– Jasne. Inaczej bym go zabiła.

– W sumie słusznie...

– Poszłabym do więzienia...

– Nie to słusznie, że byś go zabiła, tylko to, że z adwokatką.

Chociaż należałoby mu się.

– Ty to masz dar rozśmieszania.

– Prawda? Jak na trzydziestopięcioletnią matkę trójki małych dzieci z zaawansowanym rakiem krwi to mam się całkiem nieźle, co?

Daria opuściła ramiona i westchnęła głęboko.

– Przestań.

– Co przestań. Takie są fakty. Dociera to do mnie. Będzie leczenie. Będą mnie szpikować jakąś trucizną z nadzieją, że ten jad zabije chorobę, a nie mnie. Ale lekarze mają nietęgę miny. Wszyscy powtarzają „zaawansowane stadium” takim głosem, jakby pytali: „Jaki kolor trumny pani wybiera?”.

– Nie wolno ci.

– Co nie wolno. Już teraz wszystko mi wolno.

– Gówno prawda. Właśnie prawie nic ci nie wolno. Nie wolno ci źle myśleć, nie wolno nie odżywiać się zdrowo. Musisz jeść i pić samo najlepsze, i do tego jeszcze myśleć pozytywnie. Nie wolno ci nawet myśleć w niewłaściwym kierunku. Wolno ci tylko patrzeć w przyszłość, i to tylko w tę słoneczną stronę. Tak bardzo ci nie wolno, że aż...

– Ja nie widzę teraz żadnej słonecznej strony. – Renata przerwała przyjaciółce. – Daria – złapała ją za rękę – ja muszę zapewnić dzieciom opiekę. Muszę im zapewnić jakąś matkę, w razie czego.

– Nie będę ci niczego obiecywać. Po pierwsze, nie musisz niczego dzieciom zapewniać. Nikogo. – Poprawiła się. – Po drugie, ja pewnie wyjadę. Nie utrzymam sama takiego wielkiego domu. Zresztą, co ze mnie za matka. Swojej rodziny nie potrafię utrzymać, co się będę w cudzej zaczepiać. Poza tym, wyobrażasz sobie, Mateusz i ja?

– Wszystko sobie teraz wyobrażam.

– To tego nie rób. Tego też ci nie wolno. Muszę już iść. – Daria zdecydowanym ruchem sięgnęła po torebkę i nie odwracając się, ruszyła przez korytarz. Jej wysokie obcasy stuknęły pomimo niebieskich foliowych ochraniaczy.

Renata siedziała jeszcze w korytarzu, gdy podszedł do niej lekarz.

– Nie zmarznie pani?

– Tu jest kaloryfer. – Gestem wskazała na ścianę za krzesłem. – Czy ja już wyjadę? Dzisiaj? Panie doktorze. – Spojrzała błagalnie.

– Dzisiaj jeszcze nie. Ale niedługo. Czy podjęli państwo jakąś decyzję dotyczącą terapii?

– Decyzję? Już?

– Jak najszybciej.

– Aż tak?

– Najszybciej to najszybciej. – Lekarz westchnął. – Najlepiej, żeby decyzja zapadła jeszcze zanim wyjdzie pani ze szpitala. Od razu umówimy termin.

Renata spojrzała bezradnie. – Boję się – powiedziała.

– To zrozumiałe.

– Będę łysa, prawda?

– To jest najważniejsze? – Uśmiechnął się. Szybko spoważniał

i kiwnął głową: – Tak, będzie pani łyśa, ale proponuję myśleć, że dzięki temu prawdopodobnie będzie pani zdrowa.

– Prawdopodobnie...

– Chce pani porozmawiać?

– Ja muszę żyć – powiedziała stanowczo Renata. – Ja mam trójkę dzieci.

– Czy to jest decyzja?

– Tak panie doktorze. Chodźmy.



Po wyjściu z gabinetu lekarza Renata zadzwoniła do matki.

– Mamo, nie wyjdę dzisiaj.

– Ile cię tam jeszcze będą trzymać! – W głosie starszej pani słychać było irytację.

– Nie wiem. Tyle, ile będzie trzeba. Zdecydowałam się na chemię.

– Tak od razu? Ale jak to? Ale...

– Nie od razu. Wyjdę ze szpitala, jak mnie podleczą, a potem będę przyjeżdżać na chemię.

– A Mateusz?

– Co Mateusz? – zdziwiła się Renata.

– Nie powinien być z tobą? Razem? Wspólna decyzja? – Krystynie plątały się myśli.

– Mamo, ja muszę żyć.

– Oczywiście. Przecież będziesz żyć. Masz trójkę dzieci, nie możesz ich zostawić.

– Właśnie, mamo. Dlatego poddam się chemioterapii.

Krystyna wyszła z kuchni, wyłączając palniki. Obiad był prawie skończony. Usiadła na kanapie, rozmyślając patrzyła w okno.

Dlaczego tak? Co ja takiego zrobiłam? Matka, siostra, teraz córka? Widocznie jestem przeklęta. Geny mam przeklęte. Że też nikogo z rodziny ojca nie trafiło, tylko u mnie, zawsze u mnie. Rak, rak. Nowotwór, białaczka. Niech to! Może zawiniłam czymś? Czym

zawiniłam? Boże, czym ja zawiniłam? Moje dziecko, moje dziecko...

Ocknęła się, gdy Eryk wpadł do domu, zatraskując za sobą drzwi. Kurtkę upchnął w szafie byle jak, butów nawet nie schował. Plecakiem walnął o podłogę. Zawsze Renata dbała o takie drobiazgi jak porządek w przedpokoju, więc nikt nie zwrócił mu uwagi. Przyjechał szkolnym autobusem.

– Nic nie będę jadł! – wykrzyknął, zanim Krystyna zdążyła się odezwać.

– Dzień dobry – odpowiedziała starsza pani do pleców wnuka.

Zapadła cisza. Krystyna stała chwilę pod schodami, nasłuchując. Nie było żadnych hałasów, zwyczajna cisza. Zastanowiła się chwilę. *Co się będę młodemu narzucać* – pomyślała i poszła do kuchni.

– Co to za hałasy? – Zenon zszedł na dół.

– Eryk wrócił, zdenerwowany chyba. Zupę zjesz?

– A daj, to zjem i pójdę się położyć. Źle dziś spałem, zmęczony jestem.

– A teraz co robiłeś?

– Teraz? Czytałem. – Wzruszył ramionami.

– Renata dzisiaj nie wróci do domu.

– Wiadomo.

– Jak to wiadomo? – Zirytowała się.

– Jakby miała być, to już rano by ją wypisali. A tak to wiadomo, że dziś nie wyjdzie.



Gdy godzinę później Krystyna wróciła do domu z młodszymi dziećmi, Eryk cały czas siedział w pokoju. Krystyna nie przeszkadzała najstarszemu wnukowi. *Niech sobie poukłada swoje sprawy* – myślała. Powiesiła porządnie jego kurtkę, ułożyła buty. Pod jej nieobecność chłopak zabrał plecak. Dzieciaki zaczęły głośno się bawić, dokazywały na całego. Krystyna już po dziesięciu minutach przerwała im wołaniem na obiad.

– Nie chcę zupy! – Krzyś marudził przy stole.

– Faj, kremowa! – Krysia wybrzydzała.

– Zupa musi być – stanowczo stwierdziła babcia. – Możemy zrobić mniejsze porcje drugiego, albo nawet w ogóle. – Obiecująco się uśmiechnęła. – Ale zupa – konieczność! Szczególnie zimą.

– Babciu, a dlaczego szczególnie zimą? – zapytał Krzyś, któremu babcia zdążyła już wepchnąć łyżkę do ust.

– Bo zupa to płyn, a nasze ciało składa się głównie z wody. Dlatego ważne jest, żeby dużo pić i jeść zupy, bo też są mokre. A zimą dlatego, że rozgrzewają. Ciepło jest przyjemne, kiedy jest tak zimno, prawda?

– Ja lubię ciepło – oznajmiła Krysia i zaczęła jeść.

– A Eryk? Eryk nie będzie jadł? – wykrzyknął Krzyś.

– Eryk jest zajęty – odpowiedziała babcia, nie podnosząc głowy. –

A wy macie dużo prac domowych?

– Ja nie mam – oznajmił Krzyś.

– A ja mam, troszeczkę – powiedziała Krysia.

– To po obiedzie od razu odrabiamy.

– A ja mogę porysować?

– Możesz. Uważaj! – wykrzyknęła, bo mały trącił łokciem talerz.

Odrobina zupy wylała się na stół.

– Nie szkodzi. – Babka machnęła ręką, wstając po ściereczkę.

– Ja, babciu, ja! – Krysia ją wyprzedziła. Dziewczynka chwyciła mokrą ściereczkę, po chwili na stole została roztarta kałuża brudnawej wody.

– Super, dziękuję – powiedziała babcia.

– Mama mnie nauczyła – powiedziała dziewczynka z dumą.

– Ja też kiedyś nauczyłam tego twoją mamę.

– Moja mama to twoja córka, prawda?

– Nieprawda! – Krzyś się zdenerwował. – Mama to moja mama!

– Masz rację. Które kredki?

– Kiedy będzie mama? – zapytał Krzyś, marszcząc czoło.

– Miała być dzisiaj, ale chyba się nie uda. Niedługo – powiedziała starsza pani, głaszcząc wnuka. – Które kredki?

Dzieciaki zajęły się pisaniem i rysowaniem. Krystyna doglądała je

z boku, co chwilę podchodząc i szczególnie kontrolując literki wnuczki.

– Krysia, pisz starannie. Pani nie będzie zadowolona, gdy zobaczy takie literki. I w tym rysunku, zobacz – nie można wychodzić za linię, a tutaj... – Pokazywała wnuczce palcem. – Zmażemy to i narysujesz jeszcze raz.

– Ja nie chcę jeszcze raz – marudziła Krysia.

– To maluj starannie od pierwszego razu. – Starsza pani się zirytowała. Sprzątnęła kuchnię i usiadła przed telewizorem.

– Babciu, ja też! – Dzieci oderwały się od pracy. – Ja też będę oglądać! – krzyczeli oboje.

I tyle mojego serialu – pomyślała Krystyna, przełączając kanał na bajkę.

– Przynieście może jakieś gry – powiedziała po czwartej bajce.

– Zagrasz z nami? Babciu, zagraj z nami!

– I obudźcie dziadka, niech też z nami posiedzi – zawołała za wnukami.

Cała trójka zeszła na dół, gubiąc po drodze pudełka z grami. Jedna rozsypała się po podłodze, części poleciały daleko, zbierali drobne elementy, zmuszając dziadka do klęczenia i zagładania pod kredens.

Niech się Zenon trochę wysili – pomyślała Krystyna.

– Witam państwa – powiedział zmęczonym głosem Mateusz.

– Już tak późno? – Krystyna się zerwała. Dzieci z dziadkiem bawiły się planszówkami, czas zleciał błyskawicznie. – Już stawiam kolację!

– Gdzie Eryk? – zapytał Mateusz, gdy już się przebrał, umył ręce i siadał do stołu.

– Eryk... – Krystyna się zawahała. – Na... gorze.

– Jak to na gorze?

– Eryk ma jakiś problem. Wpadł do domu z hukiem, zamknął się w swoim pokoju i nie wyściubił nosa do tej pory. Dzwoniła do ciebie Renata?

– Byłem u niej, mamo.

– Zgadzasz się?

– Na co się zgadzam?

– No... – ponownie zająknęła się Krystyna. – Na leczenie.

– Jak mam się zgodzić lub nie? Renata podjęła decyzję, a ja ją będę wspierał.

– Ona się denerwuje, że będzie łyśa.

– Ja też się denerwuję, głównie tym, że ona się denerwuje. – Opuścił ramiona. – Mamo, nikt z nas nie wie, co będzie... Wszyscy to przeżywamy, nie warto drażyć.

– Jak to nie wiemy? – Ojciec się wtrącił, podchodząc do stołu. – Oczywiście, że wszystko wiemy. Renata wyzdrowieje i będzie jak dawniej. Normalnie. W porządku. Tyle wiemy, a teraz siadajmy do kolacji.

– Tak, tato – odpowiedział Mateusz, pozostając pod wrażeniem wypowiedzi teścia.

Rzadko się odzywa, ale jak już powie, to z sensem – pomyślał.

– Jeszcze tylko pójdę po Eryka, kolacja jest dla wszystkich – dodał Mateusz, wstając od stołu.

– Teraz młody dostanie za swoje – skomentowała Krystyna, gdy Mateusz znikł na górze. – Co to jest, żeby takie niewyrośnięte tak się zachowywało. Ani be, ani me, ani kukuryku przy wejściu do domu, wiesz, to tak nie może być – trajkotała do męża. – Od zawsze mówię, że za luźno te dzieci są dzisiaj chowane, za luźno – ostatnie słowa wypowiedziała, dzieląc je na sylaby. – No rozumiem, że jakieś tam problemy to on może mieć, ale co to za problemy są? No dziecięce, no jakie mogą być inne! Niech się za niego ojciec weźmie, porządek z chłopakiem zrobi, bo Renata to sobie po prostu nie radzi.

– Cicho bądź – powiedział Zenon, odwracając się w stronę wciąż włączonego telewizora. Młodsze dzieciaki bawiły się jeszcze na dywanie. – Krysia, Krzyś – zawołał do dzieci – kończcie już. Tata z Erykiem zaraz zejda, kolacja będzie.

– Dziadziusiu, tylko dokończymy. Bo zobacz, jakie tu są fajne... – odpowiedział Krzyś, nie podnosząc główki.

Mateusz z Erykiem długo nie schodzili. Herbata wystygła, starsi państwo wciąż siedzieli przy stole. Wreszcie zesli z góry w najlepszej komitywie. Krystyna popatrzyła pytająco na Mateusza, jednak ojciec z synem bez słowa komentarsza usiedli przy stole.

– Babciu, co dzisiaj na kolację? – zapytał Eryk. – Frykasy jakieś,

jak zawsze u ciebie. – Uśmiechnął się i nałożył sobie pełny talerz.

– Pycha! – Mateusz poparł syna.

Dziadek przyprowadził do stołu Krysę i Krzysia, dziewczynka wepchnęła się ojcu na kolana, Krzyś usiadł koło babci.

Zapadła pełna szczerkania sztucców cisza, w której Krystyna kręciła z dezaprobatą głową.

Dwadzieścia minut wcześniej

– Co słyszeć? – pyta Mateusz Eryka. Młody siedzi przy biurku, przy zapalanej tylko bocznej lampce. Panuje półmrok, ale i tak ojciec widzi zaciśniętą szczękę chłopaka.

– Nic – odburkuje Eryk.

– To tak jak u mnie – odpowiada Mateusz. – No prawie. Miałem dzisiaj strasznie dużo zawracania głowy w biurze. Wiesz, kilka dni mnie nie było i od razu kłopoty. Mam takiego kolegę, wyjątkowy... – Mateusz się waha.

– Chuj? – podpowiada chłopak.

– Hm... to już lepiej powiedzmy, fagas. Albo coś w tym stylu.

– Coś w tym stylu. – Chłopak przytakuje.

– Mamy teraz w biurze drobny wyścig. Odchodzi nasz szef i jeden z nas ma awansować na jego miejsce. Muszę strasznie uważać na wszystko, co robię, a nawet mówię. A nawet z kim rozmawiam. Facet okropnie mi dokopał przez ostatnie trzy dni. Na szczęście byłem wcześniej u prezesa. Wie, że muszę teraz bywać w szpitalu, i zgasił tamtego. Na kilka dni pewnie wystarczy, ale muszę teraz pracować podwójnie.

– Do kitu.

– No. – Mateusz potwierdza, nie patrząc na syna.

Milczą chwilę.

– Widziałem dzisiaj tatę tego, jak mu tam – Mateusz się waha – tego, co jeździ takim nowym wypasionym audi. Ale bryka! – Mateusz wzdycha z uznaniem. – Czarna i wypucowana do ostatniego kłaczka na

felgach.

– Tatę Tymka?

– Właśnie. – Mateusz klepie się w czoło. – Przypomniałem sobie, że go znam. To znaczy, uświadomiłem sobie, gdzie go spotkałem.

Młody wzrusza ramionami.

– Pracuje razem z Klemensem.

– Mężem cioci Darii?

– Jaka ona tam dla ciebie ciocia – sarka Mateusz. – Tak, poznałem go kiedyś na jakiejś bibie, jakieś imieniny Klemensa czy coś takiego.

– No i? – Młody nie wyraża wielkiego zainteresowania.

– Lubisz Tymka?

– Co ty ojciec, z księżycy spadłeś? – Eryk wykazuje wreszcie oznaki ożywienia. – Jest podły i zarozumiały.

– To masz na niego haka – mówi Mateusz z półuśmiechem.

Młody odpowiada zmrużeniem oczu.

– Jego ojca wywalili z roboty. Podobno robił jakieś przekręty.

– Mhm.

– To ten, co ci dokuczał, prawda? – Mateusz patrzy teraz prosto na syna.

– Mhm. – Nastolatek znów nie popisuje się elokwencją.

– Ten od markowych butów i wieśniackiego plecaka? – dopytuje ojciec.

Syn spogląda na plecak rzucony koło krzesła. Wysypują się z niego zeszyty.

– Aha. – Chłopak nie bardzo wie, jak zareagować. – Jesteś pewien, tato?

– Znam jego szefa. Potwierdzone. Nie będzie więcej koszulek od Armaniego. Przynajmniej na razie.

– Tato... – odzywa się chłopak po chwili milczenia. Przetrawia informacje od ojca, chodząc po pokoju. Teraz zatrzymuje się przed Mateuszem i patrzy na niego poważnie.

– Tak?

– To podłe.

Mateusz stoi osłupiały. – Co jest podłe? Przecież nie ja go zwolniłem!

– Podle jest to, że ja się z tego cieszę. – Eryk uśmiecha się szeroko. Mateusz wstaje i poklepuje go po plecach. Ma ochotę objąć syna, obawia się jednak, że ten się odsunie.

– Nie wiem, czy to jest podle. Może. Może nie. Ale ludzkie na pewno.

– Głodny jestem, tato.

– Ja właściwie też.

– Nie zjadłem dzisiaj kanapki w szkole.

– A to dlaczego? – Mateusz kierował się już do drzwi, ale odwraca się do syna z ręką na klamce.

– Dałem ją Zośce. Nie byłem głodny. A właściwie... ona nie miała kanapki. Często nie ma kanapki.

– No to super. Dobry uczynek. – Mateusz znów odwraca się w stronę drzwi.

– Nie.

– Nie? – Ponowny zwrot. Tym razem Mateusz zostawia klamkę i wraca na środek pokoju.

– Wyrzuciła ją.

– Słucham? – Mateusz nie kryje zdumienia.

– Tymek wszystko obśmiał. Kpił, że kto to by taką gównianą kanapkę jadł. Co ma muchy zamiast mięsa, i w ogóle. No to Zośka ją wyrzuciła. Chciałem mu przywalić.

Mateusz znów siada. – Chciałeś, ale...

– Było już po dzwonku i wszedł do klasy nauczyciel. A potem go olałem.

– I bardzo słusznie. On nie zasługuje na to, żebyś pakował się w kłopoty. Za to teraz będziesz mógł mu odszczeknąć. Że teraz to on nawet muchy w kanapce nie będzie miał, jak mu tatusia z roboty wywalili.

– Za przekręty. – Chłopak się upewnia.

– Normalni ludzie mówią na to złodziejstwo – potwierdza Mateusz.

– Taaa... – Eryk odwraca się w stronę okna, odsłania firankę i opiera dłonie o parapet. Trwa tak długą chwilę.

– Lubisz tę Zośkę, prawda? – Mateusz przerywa milczenie.

– Już nie.

Ojciec kiwa głową. – To i dobrze. Mądrzejszą znajdziesz.
– Idziesz tata? – Nastolatek energicznie odsuwa się od okna i rusza do drzwi.
– Gdzie? – Mateusz się dziwi.
– Na kolację! – Młody wzrusza ramionami. – A gdzie by – bardziej stwierdza niż pyta.
Mateusz rusza za synem.

Teraz

– Krysia, siedź spokojnie. Nie mogę cię karmić, kiedy się wiercisz.
– Mateusz uspokajał małą.
– Co to w ogóle jest, taka duża dziewczynka – wtrąciła Krystyna.
Mateusz nie zwracał na nią uwagi.
Dziadek pomagał Krzysiowi. – Buzia – komenderował – i widelczyk ląduje w buźce. Tak... Połykamy. Krzysiu, połykamy.
I następny...
– Eryk, masz jakieś prace domowe? – zapytał Mateusz.
Młody wywrócił oczami. – Bez liku.
– Siedziałeś na górze tak długo, mogłeś odrobić – odezwała się Krystyna.
– Część zrobiłem. Ale za dużo mam, jeszcze nie zdążyłem ze wszystkim.
– Przecież zaraz pójdzie dalej odrabiać. – Mateusz bronił syna.
– Tato, a co u mamy? – zmienił temat Eryk.
Mateusz westchnął. – Nie najlepiej. Antybiotyk pomógł, zapalenie płuc już wyleczone. Ale mama jest ciągle bardzo chora. Będzie się długo leczyć.
– Dlaczego mama jest chora? – zapytał Krzyś.
– Nie wiemy, Krzysiu. – Mateusz westchnął. – Po prostu, musi się wyleczyć. Będziemy musieli jej we wszystkim pomagać. Będzie nas teraz bardzo potrzebowała.
– Ja będę pomagać mamie! Ja! – Krysia się wyprężyła.

– Właśnie że ja! – od razu dodał Krzyś.

– Wszyscy będziemy. – Ojciec próbował łagodzić konflikt rodzeństwa.

Rozmowę przerwał dzwonek.

– O tej porze? Kto to może być? – Mateusz się zdziwił.

– Do was nikt prawie nie przychodzi. Co dopiero ktoś niezapowiedziany, i to wieczorem – powiedziała Krystyna, wstając.

Wyprzedziła Mateusza, u którego na kolanach wciąż siedziała Krysia.

– Dzień dobry, dobry wieczór. Jest Mateusz? – Usłyszeli od drzwi.

– Proszę. Niech pan poczeka, zawołam go.

Mateusz zdjął z siebie Krysię, dzieci od razu na dywanie zaczęły się bawić. Wyszedł do przedpokoju.

– Gabriel?

– Mogę? Przeszkadzam pewnie...

– Chodź, chodź. Napijesz się czegoś? – zapytał, gdy już weszli do salonu.

– Nie... ja tylko...

Krystyna sprzątnęła szybko ze stołu, dziadek zajął się dziećmi.

Eryk po cichu zmył się do swojego pokoju.

– Stary, o co chodzi? – zapytał Mateusz, gdy już usiedli.

– Nie chcę przeszkadzać... – powiedział Gabriel, a Mateusz wywrócił oczami. – To kawy, jeśli można.

– Zawsze można. Nawet o – Mateusz zerknął na zegarek – dwudziestej trzydzieści.

– Wiem, że jest późno. Kawa i tak nie działa na mnie pobudzająco.

– Jasne – odpowiedział Mateusz. Krystyna włączyła ekspres, przy stole zapadła cisza. Mateusz czekał.

– Słuchaj... – Gabriel zaczął niepewnie. – Co się dzieje z Renatą? W ogóle nie widuję jej w szkole, Daria jakieś dziwne rzeczy opowiada.

– Dziwne, niedziwne – odparł Mateusz. – Jest w szpitalu. Ma podejrzenie o białaczkę. – Zamilkł. – W gruncie rzeczy, po prostu ma białaczkę. Oficjalnie czekamy jeszcze na potwierdzenie biopsji szpiku, ale... właściwie już wiadomo.

– Czy... – Gabriel próbował delikatnie dobierać słowa. – Czy mógłbym coś zrobić? Jakoś pomóc?

- Możesz ją odwiedzić. Reszta – to medycyna, lekarze i Bóg.
- Bóg?
- Bóg.



- Jest pani bardzo popularną osobą.
- Ja? – Renatę zdziwiły słowa pielęgniarki.
- Codziennie ktoś do pani przychodzi, i to codziennie ktoś inny. Tylko niech pani powie, żeby kwiatów więcej nie przynosili.
- Ja lubię kwiaty.
- Ale w szpitalu są niewskazane. Niektórym szkodzą. – Pielęgniarka przygotowywała kroplówkę. – Zresztą, po chemii każdy zapach może pani przeszkadzać. Nawet taki, którego pani wcześniej nie czuła. I z jedzeniem może być krucho. Pacjenci często mają odruch wymiotny.
- Po chemii, powiada pani...
- Ano, po chemii – bez konsternacji odpowiedziała pielęgniarka. – Wie pani, chemia to teraz najlepsza na takie choróbka. Człowiek łyсы, chudy i brzydki – ale żyjący. A włosy to odrosną, gęstsze nawet. I często robią się kręcone. Dobrze będzie, pani się nie martwi. Ta chemia to takie święństwo, że w trzy butelki pakują, bo jedną to by przeżarła. No i przez kroplówkę dają, bo tak to skórę poparzy. Bo ta chemia to trucizna, ale chorobę wyżera. A podawać to będzie się tak samo, jak teraz. Tylko co innego w żyłę wpłynie.
- To ja będę miała chemię? – zapytała Renata.
- Pielęgniarka była młoda, mało doświadczona. Nic nie powiedziała, szybko wyszła spłoszona z sali.
- Przecież dopiero wczoraj wieczorem rozmawiałam o tym z lekarzem. Skoro pielęgniarki o tym mówią, to pewnie jest już ostateczna diagnoza. Lekarz mnie wczoraj nastawiał, przygotowywał... i jest* – myślała Renata. Patrzyła na spokojnie wpływającą do jej żył ciecz. – *Co będę myśleć, kiedy będą mi tak wlewać truciznę? Też będę*

tak leżeć... i patrzeć...

Rozmyślenia przerwało wejście lekarza.

– Mamy ostateczne wyniki pani badań. – W rękę trzymał teczkę z dokumentacją. Nie zaglądał do niej jednak.

Renata się uśmiechnęła

– Niech zgadnę. Białaczka?

– Cóż, nie będziemy się przekomarzać – odparł lekarz bez uśmiechu. – W pani przypadku to nie była intuicja.

– Nie, pielęgniarza.

– Słucham? – Lekarz zmrużył oczy.

– Opowiedziała mi dokładnie o chemii, o tym, jaka to trucizna. Od razu wiedziałam, że są wyniki badań.

– Która to? – Lekarz wyglądał na zirytowanego.

– Nie wiem. – Renata wzruszyła ramionami. Nie zamierzała na nikogo donosić. – Co to ma za znaczenie.

– Zawsze ma. Ale skoro pani nie chce... Mam dla pani propozycję terminu. Zapalenie płuc jest wyleczone, ale jest pani bardzo słaba. Proponuję zostać w szpitalu.

– Jakiego terminu?

– Terminu pierwszej chemii. Przecież wyraziła pani wczoraj zgodę?

– Tak, jasne, ale ja muszę do dzieci. Nie zostanę w szpitalu. Przecież mówił pan, że można na kroplówkę przyjeżdżać z domu.

– Tak, ale....

– Panie doktorze! – Renata prawie krzyknęła.

– Rozumiem. – Lekarz uspokoił ją gestem. Zastanawiał się chwilę.

– Zobaczymy, nie przesądzajmy – powiedział łagodnie. – Jeśli będzie pani miała siłę, to wyjdzie pani chociażby jutro. Proponowałbym jednak zostać w szpitalu do pierwszej chemii. Za tydzień.

– Jeszcze tydzień? – Renata usiadła na łóżku. Do tej pory słuchała lekarza, półleżąc.

– Ostrożnie, bo naruszy pani wenflon. Jeszcze tydzień.

– Nie, panie doktorze. Nie chcę.

– Rozumiem. To może decyzję podejmiemy jutro. W każdym razie plan jest taki: za tydzień pierwsza dawka. W sumie cztery wlewy co dwa

lub trzy dni. Potem trzy tygodnie przerwy.

– Chciałabym, żeby był tutaj mój mąż.

– Tak...

Chciałbym, żeby nikogo tu nie było. Żeby szpitale onkologiczne nie były potrzebne – pomyślał lekarz.

– Rozumiem panią – powiedział głośno. – Proszę pomyśleć, zastanowić się, zadzwonić do męża. Jestem dzisiaj na dyżurze całą noc, w razie potrzeby proszę mnie znaleźć.



– Był u mnie lekarz – powiedziała Renata do Mateusza. Dzwoniła do niego z korytarza, z miejsca przy oknie. Godzina nie była odpowiednia. Wiedziała, że Mateusz jest w pracy, i wiedziała, jakie ma tam problemy. A jednak zadzwoniła, więc Mateusz odebrał.

– Mam przyjechać? – odparł, zanim się zastanowił.

– Nie... Wiem, że nie możesz. Po prostu chciałam komuś o tym powiedzieć. Przyjedź po południu.

– Co powiedział?

– Dokładnie to, czego się spodziewaliśmy. Tylko podał więcej szczegółów. Cztery chemie, co dwa lub trzy dni. Pierwsza za tydzień. Chce, żebym do czasu pierwszego – Renata zawahała się – wlewu została w szpitalu. A ja chciałabym do domu. Do dzieci.

– Przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

– Wiem – odpowiedziała, zastanawiając się, skąd w niej ta pewność.

– I zadzwonię do Krystyny, niech jak najszybciej przyjedzie dziś z dziećmi. Prosto ze szkoły. Będzie pewnie szybciej niż ja.

– Dziękuję – odpowiedziała Renata. Rozłączyła się, a potem rozplakała.

– Pani nie ryczy – powiedziała sąsiadka spod okna. – Każden tak ma. Ja też nie mogłam się zgodzić. Makówka mnie aż bolało. No bo co to, człowiekowi bedo truciznę w żyłę zapuszczać, a ty się jeszcze z tego

raduj. Że będziesz wyglądać jak kościotrup. Ale pani, jak ja przetrzymała, i pani przetrzymasz. I jeszcze na fest balety pójdziesz. Tylko teraz w wyrku trzeba ciągiem być, cichobiegi zamiast obcasów nosić, to i smutek.

– Ciężko było? – zapytała Renata.

– Oj pani, ciężko. Ja to nie miała tak dobrze jak pani. Kwiatuszki, rosołki. Siedziała tu tygodniami, w domu nie było komu nawet i szklanki wody podać, a ja była słabiutka bardzo. Nikt koło mnie takiego rabanu nie robił. Mdląła tu co i rusz. To mnie zatrzymały... Zamiarowały do hospicjum dać, ale nie dała. Co to, do umieralni, jak do mamra, jeszcze nie pójde. Na szlus jeszcze poczekam.

– Ale teraz już dobrze?

Kobieta machnęła ręką. – Co tam dobrze, pani. Bywało lepi. Włosy odrosły, prawdę gada ta strzykawa, nawet grubsze. Chodziła ja po zakupy, i na słońce patrzyła. I wszyscy na bazarku do mnie zagadywały. Cieszyła się, że żyje, i nawet w kopnym śniegu dawała rade chodzić.

– To czemu pani tu jest?

– Pani, bo dobrze to było dwa lata temu. A tera nie jest.

– To znaczy?

– Znowu świństwo mam.

– Ale nie dostaje pani chemii?

Kobieta popatrzyła ze złością. – Na chemie to trza mieć dość dobre wyniki. Ja pani tej chemii to zazdroszcze, pani. – Odwróciła się do okna.

Renata miała zamiar powiedzieć „przepraszam”, ale w sumie nic nie powiedziała. Odwróciła się do ściany. Wcale nie chciała płakać, samo wyszło.

Po dwóch godzinach względnego spokoju do sali wpadła Krysia.

– Mamo, tęsknię za tobą – oznajmiła głośno.

– A ja chcę częściej do ciebie przychodzić – zapiszczał Krzyś.

– Dzieciaki, spokojnie. Nie hałasujcie tak. – Krystyna wpadła za nimi zdyszana.

– Zobaczcie szalik. – Renata się uśmiechnęła.

Krzyś chwycił robótkę i przytulił ją do buźki.

– Mamo, on pachnie ładniej.

– Ładniej?

– Bo tu brzydko pachnie.
– To szpital, kochanie.
– I dlatego musi tak... śmierdzieć? – Krysia wtrąciła się nagle.
Dopiero teraz wszedł Eryk.

– Synku, ty tutaj? Nie w szkole?
– Dzisiaj krótko mam – odparł chłopak bez uśmiechu.
– Coś taki ponury? Jak koleżanka? – dopytywała się Renata,

jednocześnie moszcząc na łóżku dwójkę młodszych dzieci.

– Nie przyjedzie. – Nastolatek wzruszył ramionami.
– Co się stało? – zapytała matka, głaszcząc Krzysia po główce.

Eryk wzruszył ramionami i zamilkł. Ustawił się w pobliżu okna i wyciągnął komórkę. Renata zajęła się młodszymi dziećmi. *Może kiedyś mi powie* – pomyślała. Dzieciaki przytulały się, Krystyna wyciągnęła z wielkiej siatki zupę.

– Zjedz, dziecko, zjedz. – Podsuwała Renacie przysmaki.

– Mamo, nie mam jak! – odpowiedziała, wskazując na przyklepione dzieci.

– A tam, Krysia, Krzyś – schodźcie! Eryk – zabierz dzieci na korytarz na chwilę, niech mama zje spokojnie! – zakomenderowała babcia. Renata chciała zaprotestować, ale Krystyna nie dała jej dojść do słowa. Wygoniła dzieci, dając im kilka monet. – Kupcie sobie soczek – powiedziała.

– Dziecko, i co teraz będzie – rozpoczęła lament od razu po wyjściu dzieci.

– Mamo, co ma być. To po prostu leczenie.

– Leczenie? Leczenie trucizną! – wykrzyknęła teatralnie.

– Nie ma innej terapii. Przynajmniej my jej nie znamy.

– Ale oni ci... – zająknęła się Krystyna.

– Oni mnie będą leczyć, mamo! – Renata przerwała jej stanowczo.

– Córeczko, co to za leczenie... – Krystyna zaczęła chlipać.

– Mamo, weź się w garść. Nie mam siły cię pocieszać, nie teraz.

Teraz to ja potrzebuję wsparcia.

– Nie po to cię chowałam...

– Chowałaś mnie do życia. – Renata znów przerwała matce. –

Uspokój się i zawołaj dzieci. Nie mogą same błąkać się po szpitalu.

Krystyna posłusznie wstała i wyszła na korytarz.

– Co pani tak, na matkę? – odezwała się nagle pani spod okna.

– No właśnie, co ty tak na mnie? – Krystyna, która tylko uchyliła drzwi, by zawołać dzieci, od razu wróciła na krzesło przy łóżku Renaty i podchwyciła słowa starszej pani.

Renata spojrzała na sąsiadkę lodowatym wzrokiem.

– Mamo, dajesz radę z dziećmi? – zapytała łagodniej.

– Daję, daję. Po prawdzie, to nie bardzo mogę liczyć teraz na panią Darię. Ona jakaś taka... – zawahała się – nieużyta się zrobiła. Ale już mi się prawie wszystko samej udaje.

– A tata gdzie?

– Wieczorem przyjedzie.

– Nie mów, że serial ogląda.

– A kto go tam wie. – Krystyna machnęła ręką.

– Mamo, postaram się wieczorem porozmawiać z Mateuszem. Coś zdecydujemy.

– On mówił, że ty już zdecydowałaś. Sama – powiedziała z pretensją Krystyna.

– Cóż, w zasadzie... To było wstępnie, jeszcze przed ostateczną diagnozą... Ale tak. Nie mam wyjścia. Wolę robić coś, niż po prostu czekać na śmierć.

– Co też ty, córeczko...

– Mamo, to jest rak. Od tego się umiera.

– Że też ty tak matkę własną, bez litości.

– Przepraszam, mamo. Ta choroba nie ma litości.

Krystyna pogłaskała córkę po głowie.

– Jeszcze są, prawda? – zapytała Renata. Krystyna gwałtownie cofnęła rękę.

– Córkuś, co ty...

– Nie płacz, mamo, to nie pomoże. Proszę, nie płacz, przynajmniej nie przy mnie.

– Babciu, dlaczego płaczesz? – zapytała Krysia.

– Mamo, czy ty byłaś niegrzeczna? – dopytywał się Krzyś.

– Niegrzeczna? – Renata się zdziwiła.

– No bo babcia płacze. A babcia płacze, gdy ktoś jest niegrzeczny.

- Na przykład dziadek – dodała Krysia.
- Aha – powiedziała Renata, a Krystyna natychmiast przestała płakać.
- Idziemy! – zakomenderowała.
- Mamo, ja do ciebie jutro przyjadę – powiedział Krzyś.
- Jutro to ja zamierzam przyjechać do was – odpowiedziała Renata.
- Już tak mówiłaś – odrzekła smutnie Krysia.
- Ale jutro postaram się bardziej.
- To cześć – powiedział Eryk od drzwi. Jakby dawał hasło do wyjścia. Wszyscy po prostu ucałowali Renatę, pomachali i wyszli. Znów zrobiło się cicho.
- Pani to chyba nie jest dobra córka – odezwał się głos spod okna.
- Moja córka nigdy mi tak nie powiedziała.
- Ale pewnie pani jej powiedziała. Bo to pani jest chora, nie córka.
- Ci młodzi to dzisiaj nie majo serducha.
- Renata nic nie odpowiedziała.



Przez czterdzieści minut panowała cisza. Renata ledwo zdążyła przysnąć, gdy drzwi otworzyły się cicho. Daria zobaczyła Renatę i zdecydowanym krokiem weszła do szpitalnej sali. Szeleściły ochraniacze na jej butach, tym razem płaskich i – jak wydawało się Renacie – brudnych.

- Czy ty wiesz, że on przyjechał ze swoją flamą? – Zaczęła bez żadnego wstępu.
- Nie, nie wiem.
- Z tą swoją brudną, zaflegmioną dziwą!
- Hej, uspokój się. – Renata chwyciła przyjaciółkę za przedramię.
- Wyobrażasz sobie? – Daria kontynuowała, a Renata miała wrażenie, że prowadzi dialog ze ścianą.
- Poczekaj, proszę. – Przerwała przyjaciółce.
- Co? – Daria się zdziwiła.

– Poczekaj, o co chodzi? Domyślam się, że Klemens, ale gdzie przyszedł?

– No jak to gdzie? Do nas. Do domu! Do dzieci!

– Byliście umówieni?

– No tak, miał przyjechać do dzieci.

– Może chciał ci coś pokazać? Że to na poważnie?

– Jak to na poważnie? Nie może na poważnie być laska z biustem DD i sześćdziesięciocentymetrową talią!

– Słuchaj, może ona nie tylko wygląda...

– Nie tylko wygląda? – Daria znów podniosła głos. – Już ja mu to powiedziałam! Ta długonoga owłosiona kura nie ma prawa samodzielnie chodzić po ulicy, bo może pomylić płytę chodnikową z winylową i się położyć, żeby posłuchać muzyki...

– I powiedziałaś mu to? – Renata zainteresowała się niewinnie.

Daria się zachnęła.

– Oczywiście. To i jeszcze wiele, wiele więcej.

Renata zaczęła się śmiać.

– Co rechoczesz?! – Daria była urażona.

– Domyślam się, że obydwójce byli zachwyceni spotkaniem z dziećmi. I z tobą.

– No raczej nie.

– Ulżyłaś sobie, prawda?

– Nie wiesz nawet, jak mi to było potrzebne. Po prostu... Jakbym się spłukała pod prysznicem.

Obydwie pokiwały głowami.

– Jaka ona jest? – zapytała Renata.

– Ładna, niestety. Chuda, zgrabna... i nie przypomina kury. Ładne włosy, miękko się kręca. Gładka cera. Jest śliczna, co tu dużo gadać. I jeszcze niegłupia. Myślałam, że to po prostu jakaś sekretarka, ale ma tytuł doktora, tylko nie wiem, z jakiej uczelni.

– Gdzie on ją wyrwał? Opisujesz jakiś cud, nie żywą kobietę.

– W pracy, ale nie w biurze. Prowadziła jakieś szkolenie czy konferencję... Jestem przy niej głupia.

– Aha, zaczynamy się dołować.

– Nie muszę zaczynać. – Daria spojrzała z ukosa. – Od dłuższego

czasu już czuję się kompletnie, absolutnie do kitu. Nawet z Gabrielem nie chcę się spotykać. Wiesz, jak się z nim wtedy widziałam, trochę zaiskrzyło... Ale przerwałam. Pomyślałam, że dla kilku miłych chwil nie będę sobie życia od nowa układać, dzieciakom przewracać świata, i tak dalej. A teraz myślę... Właściwie to nie wiem, co myślę.

– Gdyby nie to, że jestem tutaj – Renata przesunęła ręką po ścianie – to pewnie razem teraz piłybyśmy wódkę i zalewały się łzami. Ty dopiero poznałaś tę, jak to powiedziałaś?, flamę... Ja znam tę, która rozbija moje małżeństwo, dłużej niż Mateusza. My razem spędziłyśmy więcej czasu niż... Nawet nie wiem, z czym to porównać. A teraz... – Renata westchnęła. – A może jednak zadzwoń do Gabriela?

– Rozmawiamy od czasu do czasu. Tylko nie chciałabym, żeby to był wet za wet. Wiesz, na zasadzie, że ja ci pokażę. Fajny facet, ale nie wiem, czy to coś więcej, i na razie raczej nie chcę wiedzieć. Po co mi to teraz.

– Wiesz, uświadomiłam sobie, leżąc na tym upierdliwie niewygodnym łóżku, że przez te wszystkie lata w pewnym sensie tęskniłam za Joanną. Myślałam o niej czasami, zawsze jako o osobie, która po prostu była jak druga połówka. Myśli mogłyśmy przekazywać sobie w pół zdania. Wszystko razem, wszystko w zgodzie...

– To dlaczego jej nie poszukałaś?

– Bałam się.

Daria uniosła brwi.

– Tak, bałam się. Że to już nie będzie to. Nie ta sama osoba, nie takie porozumienie, w ogóle nie to.

– No i?

– No i trochę mi przeszedł wściek. To znaczy... Sama nie wiem. Przeszedł i nie, ale zatęskniłam za Joanną. A ta Klemensowa dama, jak jej tam?

– Monika.

– To jest z kimś związana?

– Nie. To znaczy tak, z Klemensem.

– A on się nie pochwalił żoną i córeczkami?

– Dopiero teraz. I ona chciała przyjechać, porozmawiać.

– Ale nie dałaś jej szansy.

– Nie, nie dałam. – Daria znów weszła w warczący ton. Renata czekała. – Nic nie mów. – Daria przerwała ciszę.

Renata tylko pokręciła głową i wykonała gest obronny, uniosła rękę wewnętrzną częścią dłoni skierowaną do Darii.

– Wiesz co, pójdę już. Nie dajesz mi spokoju.

Renata niemo zadała pytanie. Uniosła brwi, skierowała rękę w stronę swojej piersi. Ale nic nie powiedziała.

– Wkurzasz mnie! – denerwowała się Daria.

Renata powtórzyła gest.

– Dobra. Niech ci będzie, jestem głupia i muszę to przemyśleć.

– Głupia nie jesteś, ale przemyśleć musisz – potwierdziła Renata.

Daria nerwowo sięgnęła po torebkę. – To cześć – rzuciła od drzwi.

– To cześć – odpowiedziała Renata szeptem, uśmiechając się.

Jest cudowna – pomyślała. – Uśmiechnęłam się, to mi się ostatnio nie zdarza. Swoją drogą, co za pomysł, przychodzić ze swoją nową kobietą do starego domu? To okrutne. A może właśnie nie? Może tak potrzeba... Czy ja bym tak chciała? Czy chciałabym zobaczyć znów Joannę? To straszne, chyba bałabym się... Pewnie nie potrafiłabym zobaczyć Joaśki, tylko konkurentkę. A jest, skubana, ładna. Co tego Mateusza naszło? Nie jestem wystarczająco dobra? A może jestem, tylko po prostu gdzieś wpadł, zapomniał się...

Po co ja go tłumaczę? To chyba on się powinien tłumaczyć. No, może i powinien, ale skoro go zwyczajnie kocham, to potrzebuję wytłumaczenia teraz. Żeby nie zwariować. Żeby nie oszaleć w myśleniu, jaka to jestem kompletnie i totalnie do dupy. To on jest do dupy.

Nie, on też nie jest do dupy. Nikt nie jest do dupy, tylko życie się parszywie układa. A może wcale nie parszywie. Może właśnie dzięki temu będę mogła znów spotkać się z Aśką.

Rozmyślając tak, Renata zasnęła.



Gabriel tego dnia wykonał dwa telefony. Jeden, ten poranny, był

prawie bezużyteczny. Odebrała żona kolegi, który wyjechał do Afryki. Poza incydentalnym kontaktem telefonicznym właściwie pozostawał tylko mail, do którego i tak małżonek miał rzadki dostęp. Tylko on dzwonił – wtedy, kiedy miał możliwość. Jednak żona kolegi знаła środowisko lekarskie, pracowała dokładnie tam, gdzie potrzeba, i udostępniła Gabrielowi kopię odpowiednich dokumentów. Nielegalnie i po znajomości. Gabriel odebrał je podczas wizyty w szpitalu – dokładnie tej, po której sąsiadka wypominała Renacie kwiaty i odwiedzających. Nie rozmawiali o niczym szczególnym. Kurtuazyjna rozmowa, po której Gabriel wyszedł zmęczony i napięty.

Drugim telefonem Gabriel dopiął celu. Częstkowo. Całościowy cel miał zostać osiągnięty po spotkaniu, na które właśnie się spieszył.

– Stary. Kopę lat! – Przywitał sztafpowo kolegę z liceum.

– Kopę, kopę, a ty coraz młodszy – odpowiedział kumpel, obecnie znany lekarz specjalizujący się w nowotworach kości.

– E tam, ty to dopiero. – Spojrzał z uznaniem na lekarza. – Szpakowaty, szczupły, wysoki, i jeszcze do tego dobrze ubrany.

– Na wysokość nic nie poradzę, na siwe włosy też nie – odparł tamten. – Na resztę trzeba zasłużyć. A i ty wyraźnie zasługujesz.

Chwilę komplementowali się i wymieniali uwagi o rzeczywistości, omijając zgrabnie politykę. Dawno temu mieli sprzeczne poglądy i kilka pobieżnie rzuconych teraz zdań dowiodło, że to się nie zmieniło.

– Mów, stary, w czym mogę pomóc, bo niestety, spieszę się. Nie odwołam wizyt, każdy z pacjentów czeka.

– Jasne. Mam przyjaciół. Ona ma białaczkę. Leży na Roentgena, nie wiadomo, co dalej...

– Niewiele ci powiem, dopóki nie zobaczę wyników badań.

Gabriel wyciągnął teczkę ze skserowanymi dokumentami. Kolega sięgnął i zaczął w skupieniu je przeglądać. Przestał spoglądać na zegarek.

– To nie moja specjalizacja, ale nie wygląda to dobrze. Jak dla mnie jedyne wyjście to chemia. Tak tu zresztą napisali lekarze, nie jestem oryginalny. Tylko...

– Tylko? – Gabriel podchwycił.

– Tylko sugerowałbym jak najszybciej. Ta pacjentka nie ma za

dużo czasu. Nie wiem, czy już nie będzie za późno.

– Za późno?

– To jest zaawansowany stan. Poważna sprawa. Nigdy nie mów nigdy, cuda się zdarzają, i trzeba wierzyć, jednak statystyka... Statystyka mówi, że sześćdziesiąt procent białaczek można wyleczyć. Nie upierałbym się, że akurat ten przypadek znajduje się po tej dobrej statystycznie stronie.

– Chcesz powiedzieć, że ona umiera?

– Niezupełnie... Nie, nie mogę tego powiedzieć. Póki co, żyje. A póki żyje, jest nadzieja, i trzeba walczyć.

– Twoje oczy mówią coś innego.

– Moje oczy są zmęczone udawaniem, że jest coś, czego nie ma. Nie zważaj na to. Słuchaj, muszę lecieć. Mam poumawiane wizyty... – Lekarz zaczął szukać portfela.

– Daj spokój stary. Załatwię rachunek, leć już.

– Trzymaj się – odpowiedział lekarz, chwycił płaszcz i wybiegł, ręce wsuwając w rękawy już w drodze.

Chyba nie mam powodu opowiadać o tej rozmowie Mateuszowi. Ani Renacie – pomyślał Gabriel. Zamierzał pojechać do szpitala, odwiedzić Renatę, ale zrezygnował z pomysłu. – Nie mam siły spojrzeć jej w oczy – pomyślał.



Mateusz przyjechał do szpitala ciut później niż zwykle.

– Jestem zawalony robotą – jęknął. – Nie zdążyłem wcześniej.

– Spokojnie, ja tutaj miałam dzisiaj promenadę spacerową.

– Co, babcia cię zaszczyciła?

– Nie tylko. Babcia, cała trójka dzieciaków, rano Gabriel i Daria.

– To się nie nudziłaś.

– I to jeszcze jak się nie nudziłam. Krysia i Krzyś obsiedli mnie jak muchy zgniłe mięso.

– Ale porównanie.

– Chyba by im pasowało, narzekają na brzydki zapach. Eryk był pochmurny jak młody Werter.

– A co mu znowu?

– Przyjaciółka z Anglii miała przyjechać, ale coś się rypło. Nie przyjeżdża. Nie powiedział, o co chodzi.

– Wczoraj miałem z nim przeprawę.

– Coś zmajstrował?

– Eryk? Coś ty. Po prostu był... – Mateusz zastanowił się – przybity, to chyba najlepsze słowo. Dokuczali mu w szkole. Ten wymuskany goguś z ojcem z audi.

Renata machnęła ręką. – Wyjątkowy palant.

– Ale młody się przejął. Załatwiliśmy sprawę. Ku niezadowoleniu Krystyny.

– A mamusia jątrzy, jątrzy. Kocham ją, ale czasami...

– Nie kończ, co będziesz język strzępiła.

– Gabriel był przed południem, właściwie nic nie powiedział szczególnego. Gadka szmatka. Za to Daria! Ta przyjechała z koszykiem pełnym wrażeń. Klemens podobno wpadł do domu, w odwiedzinach do dzieci, ale nie sam.

Mateusz nie skomentował.

– Daria nawtykała i jemu, i jego nowej towarzyszce – kontynuowała Renata. – Była tak wkurzona, że chyba nie do końca pamięta, co mówiła. Było czego posłuchać.

– To chyba nie był najlepszy pomysł Klemensa – ostrożnie powiedział Mateusz.

– Nie jestem pewna. Ja chciałabym spotkać się z Joanną.

Mateusz raptownie podniósł głowę. – Będzie raczej trudno. Nie mam z nią kontaktu. Wyjechała na urlop, ja się nie odzywam, ona też nie. Poza tym sytuacja jest... nie jest porównywalna. Ona nie jest moją towarzyszką.

– Nie denerwuj się. Chciałabym ją spotkać. To była kiedyś... moja przyjaciółka. Może to błąd, może się zawiodę, pewnie tak, ale chciałabym. Po prostu przekonać się, co w niej było takiego, że się przyjaźniłyśmy.

– Daj spokój. Mamy teraz ważniejsze sprawy.

– To też jest ważne. Ale może teraz pilniejsze jest to, żeby mnie jutro wypisali.

– Powiedz dokładnie, co mówił lekarz.

– Że zapalenie płuc wyleczone, ale powinnam zostać w szpitalu, bo jestem słaba. No jestem. Tylko że ja chcę do domu. Wszyscy mówili, lekarze, pielęgniarki, że na chemię można przyjeżdżać z domu. Ja chcę przyjeżdżać z domu.

– Spróbuję znaleźć lekarza. Odpocznij chwilę.

Mateusz wyszedł, pani spod okna, obrażona, nie odzywała się.

Czy dobrze zrobiłam? Naprawdę tego chcę? – rozmyślała Renata. *Raczej tak. Tego chcę* – upewniała się w myślach. Odpaliła komórkę, weszła na Facebooka. Poszukała profilu Joanny. Jej zdjęcia oglądała aż do powrotu Mateusza.



– Panie doktorze, ale żona koniecznie chce wyjść do domu. – Mateusz dopadł lekarza tuż przed końcem dyżuru. – Twierdzi, że może po prostu przyjeżdżać na chemię.

Lekarz zaprosił Mateusza do tej samej salki, w której rozmawiali wcześniej.

– Proszę pana, teoretycznie jest to możliwe, odradzam jednak ten pomysł w przypadku pana małżonki. Chemia osłabia, a ona już jest bardzo słaba. Normalnie poczekalibyśmy z terapią, aż pacjentka odzyska siły, ale... – pokręcił głową – nie mamy czasu.

– Zależy nam – upierał się Mateusz.

– To będzie ciężka chemia – ostrzegął lekarz.

– Chyba każda jest ciężka.

– Pod warunkiem, że w razie jakichkolwiek komplikacji żona natychmiast znajdzie się na oddziale.

– Oczywiście.

Lekarz wciąż się zastanawiał.

– Każę przygotować na jutro wypis – powiedział w końcu

niechętnie. – I bardzo proszę, w przypadku pogorszenia, od razu kierować się tutaj. Macie państwo niedaleko, przyjeżdżajcie natychmiast.

Mateusz wyszedł od lekarza z obietnicą, po którą przyszedł, jednak z ciężkim sercem. Słowa „nie mamy czasu” paliły go bardziej niż zgaga.

– Udało się. – Do sali Renaty wszedł z uśmiechem. – Jutro do domku.

– Jesteś cudotwórcą – powiedziała.

– Ty teraz musisz być cudotwórczynią. Po prostu musisz wyzdrowieć – odpowiedział.

Dzieci mają rację. Dziwnie pachnie – pomyślał, gdy przytulał żonę.



Następnego dnia rano Mateusz nie pojechał do pracy. Ruszył prosto do szpitala. Renata czekała na niego już z wypisem w ręku.

– Muszę tu być znowu za pięć dni.

– Pięć dni to prawie cały tydzień. Mamy wakacje – odpowiedział.

Uśmiechnęli się.

– Pielęgniarka nie patrzyła mi w oczy – powiedziała Renata już w samochodzie.

– Pielęgniarki nie zawsze są miłe – odpowiedział.

Marzec

Dzieci potraktowały hasło „wakacje” dosłownie. Nie chciały chodzić do szkoły, Renata z trudem zapanowała nad organizacją domu. Krystyna nie pomagała, raczej tylko podgrzewała atmosferę.

Mateusz wracał do domu późno, ale dzwonił często i pokazywał, że bardzo się interesuje domowymi sprawami.

Dwa dni po przyjeździe do domu Renata czekała na Mateusza w łóżku.

– Dzisiaj jestem rozgrzana kotka.

Mateusz zaczął się śmiać.

– To nie tak było.

– Ale tu nigdzie nie ma rozgrzanego dachu.

Cmoknął żonę i zniknął w łazience. Wrócił pachnący.

– Hmm... – mruknęła Renata.

– Hmm... – odpowiedział znacząco.

– Poczekaj. Musimy porozmawiać.

– Nie denerwuj mnie. – Pogroził placem.

– Naprawdę chcę spotkać się z Joanną. Zamierzam ją do nas zaprosić.

Odsunął się gwałtownie.

– Nie dręcz mnie, proszę.

– Nie zamierzam. To nie tak... Pamiętaj, ja znam Joasię...

znacznie dłużej niż ty.

- Czuję się okropnie.
- Ja też. Ale chcę się z nią spotkać. Taki kaprys chorej na raka.
- To jest szantaż.
- Nie. Nie o to chodzi. Ja... tęsknię za nią, rozumiesz?
- Nie, nie rozumiem. Ja unikam spotkania z nią. Bo się boję.
- A ja chcę się z nią spotkać, chociaż się boję.

Mateusz przygryzł wargi. – Czy możesz chociaż... Czy mogę nie uczestniczyć w tym spotkaniu?

- Aż tak ci na niej zależało... – Renata nie zapytała, stwierdziła raczej.
- Jezu, Renata, nie tak, to wszystko nie tak.
- Wiem. Wszystko nie tak. Romans nie tak, rak nie tak, i kolega Eryka nie tak. I musimy sobie z tym radzić.
- Chciałbym mieć twoją siłę.
- Nie możesz jej chcieć. Musisz mieć większą. Musisz przejść z całą rodziną przez moją chorobę. Bez względu na jej wynik.
- Wynik choroby?
- Nie czepiaj się słów – odpowiedziała Renata, tuląc się do męża. Kochali się delikatnie, jakby Renata była z porcelany.



Już następnego dnia wieczorem powiedziała Mateuszowi:

- Joanna przyjedzie do nas jutro.
- Słucham? – Zdejmował właśnie garnitur, upuścił wieszak.
- Nie chcę czekać. Chcę się z nią spotkać przed chemią.
- Renata, po co...
- Nie wiem.
- Jak sobie życzysz – odpowiedział pojednawczo.



– Mamo, mamo! – Krystyna przywiozła dzieci ze szkoły, Krysia wpadła do kuchni, potrącając Renatę. Dziewczynka zatrzymała się, wystawiając buźkę. – Co tak ładnie pachnie?

– Ciasto – odpowiedziała Renata. – Upiekłam z samego rana.

– Super, daj spróbować! – wtrącił się Krzyś. Obydwoje nie zdjęli butów i pozostawiali na posadzce mokre ślady.

– Dziewczyny i chłopaki! Co to za porządki! Kto to będzie sprzątał, co? – Renata przytuliła oboje. – Ciasta spróbujemy po południu. Przyjedźcie do nas jedna pani.

– Super, a miła?

– Chyba miła.

– A kogo się spodziewasz? – zapytała Krystyna. – Rozbierać się, ale już! – zwróciła uwagę dzieciom.

– Joanny.

– Jakiej Joanny? – Krystyna nie wyraziła zainteresowania.

– Tej Joanny – odpowiedziała Renata.

– Jakiej tej – warknęła Krystyna, po czym uniosła dłoń do ust. – Tej Joanny? Jak tyś ją znalazła? Tyle lat? Co u niej? Fantastycznie!

– Nie wiem, czy fantastycznie. Okaze się. – Renata wzruszyła ramionami. – Nie widziałyśmy się mnóstwo lat. Nie mam siły jechać do miasta, więc zaprosiłam ją tutaj. Lekarz sugerował, żebym się raczej nigdzie nie szlajała. Mamo, muszę się położyć. Ciasto jest na blacie, daj dzieciom, jeśli będą miały ochotę, tylko niech nie zjedzą całego.

– Znowu mnie z nimi zostawiasz – odpowiedziała Krystyna.

– Z czym cię zostawia? – Ojciec, który dopiero wszedł do domu, wtrącił się do rozmowy. Razem z Krystyną przed odebraniem dzieci byli na zakupach. Zenon wypakowywał je teraz z samochodu.

– A nic, nic – odburknęła starsza pani. – Idź już – powiedziała do Renaty, która i tak już powoli szła na górę. Zdjęła dres, wsunęła się pod kołdrę i po kilkadziesiąt sekund spała. Nie słyszała ani powrotu Eryka, ani harmidru związanego z odrabianiem lekcji. Krystyna obudziła ją dopiero na późny obiad.

– Ojej, tak późno? A Joanna będzie o szóstej. – Renata się

zaniepokoiła.

– Ty się na razie nie przejmuj Joanną, ty coś zjedz. – Krystyna upomniała córkę.

Renata posłusznie zjadła kilka kęsów, ale szybko odłożyła sztućce.

– Nie mogę, mam. Nic mi się nie mieści.

– Chuda jesteś przeokropnie, z czego ty masz wyzdrowieć?

– Mam, zdrowieć idę od poniedziałku. A dzisiaj muszę sobie jeszcze zostawić miejsce na ciasto. W końcu nie wypada, żeby gość sam jadł.

Krystyna krzątała się po kuchni, Renata usiadła na kanapie. Krzyś od razu skwapliwie podsunął jej szalik i szydełko, usiadł obok, a pomiędzy sobą i matką ustawił grę planszową. Czas mijał powoli, Renata zerknęła co chwilę na zegarek. Była już ubrana i umalowana. *Kilka warstw cieni i kredek i od razu czuję się prawie jak człowiek* – pomyślała.

Joanna pojawiła się z wybiciem szóstej.

– Jak zawsze punktualna. – Krystyna wyskoczyła przed dom, zanim Renata zdążyła zareagować.

– Dzień dobry – odpowiedziała Joanna, patrząc jednak nie na starszą panią, a na drzwi wejściowe do domu. Stała w nich Renata.

– Witaj – powiedziała gospodyni.

– Witaj. – Joanna przełknęła ślinę.

– Co wy takie dziwne. – Krystyna pchnęła Joannę do wejścia.

– Dawno się nie widziałyśmy – odpowiedziała Joanna.

– Dawno. – Renata kiwnęła głową.

Ojciec Renaty wyszedł do przedsionka, odebrał od Joanny płaszcz. Paczkę z ciastem podała Renacie.

– Upiekłam dzisiaj ciasto – powiedziała Renata.

– Nie miałam kiedy dzisiaj piec – powiedziała Joanna. – Wróciłam wczoraj z urlopu, jadę prosto z pracy.

– Jasne. Wejdz, chodź. – Renata zaprosiła ją niezgrabnym gestem.

Krystyna już wstawiała wodę.

– A może kawy? Mam dobry ekspres – zapytała Renata.

– Dziękuję. Mam dość adrenaliny.

– Co wy takie niemrawe? – Krystyna usiadła u szczytu stołu.

Dziewczyny siedziały naprzeciw siebie, oglądając paznokcie i nieśmiało na siebie zerkając.

Jak dwie pensjonarki – przemknęło przez głowę Renacie.

– Opowiadaj, co u ciebie. – Krystyna przejęła inicjatywę.

– Nic szczególnego. Pracuję, spłacam kredyt na mieszkanie.

– Męża masz? Dzieci?

– Nie, nie ułożyło się. Jakoś.

– A u rodziców co?

– Nic szczególnego. Mieszkają, gdzie mieszkali, rzadko się widzimy. Pewnie pani widuje ich częściej niż ja.

– No racja. Ale ciebie to nie widziałam już... ile to?

– Dużo. – Joanna się uśmiechnęła.

– Dobrze się prezentujesz – skomentowała bez pardonowo

Krystyna. Wstała na dźwięk brzęczyka czajnika.

– No, dziewczynki, chyba chcecie pogadać. Wezmę dzieci i pójdziemy na górę.

Dzieci do tej pory udawały nieobecne. Otulone kocem, siedziały jak dwie myszki na kanapie i wpatrywały w tablet. Eryk nawet nie zszedł na dół.

– Super, mam, dziękujemy – odpowiedziała Renata.

Może i chcę pogadać, tylko jak zacząć? – pomyślała Renata, kiedy tylko na górze zamknęły się drzwi do pokoju dzieci. Milczały, Joanna oglądała łyżeczkę do herbaty, Renata wodziła palcem po kolorowym obrusie.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwała się Joanna.

– To tak jak ja.

– Nie wiedziałam, że to ty.

– A czy to by coś zmieniło?

– Nie wiem. Nic nie wiem na pewno, ale chyba tak.

Renata pohamowała złość. – Pomogłoby, gdyby mój mąż nie szukał okazji.

– Obydwoje jesteśmy winni – odpowiedziała Joanna.

– Wszyscy jesteśmy winni – zripostowała Renata. – Ja nic nie widziałam albo udawałam, że nic nie widzę.

– Poczucie winy... czy to coś zmieni? – Joanna mówiła ze

spuszczoną głową.

– Pewnie nie. Ale może jest potrzebne.

– Może.

Znów milczały.

– To idiotyczne, ale tęskniłam za tobą. – Renata przerwała milczenie.

– Może to trudne do zrozumienia, ale to tak samo jak ja za tobą.

– To czemu się nie szukałyśmy?

Znów milczały.

– Pamiętasz łąkę za kościołem w Karnkowie?

– Łąkę? – Renata pokręciła głową. – Nie. Pamiętam wielkie drzewo koło kościoła i to, jak zakopywałyśmy tam sekrety.

– To też. – Joanna się uśmiechnęła. – Ale na łące składałyśmy sobie przysięgę. Wierności. Przysięgłyśmy między innymi, że tam zanocujemy pod namiotem.

– Pamiętam! – odpowiedziała Renata. – Nigdy nam się to nie udało.

– Z tą wiernością też tak nie do końca – mruknęła Joanna.

Renata udała, że nie słyszy.

– Za to udało się wtedy przed dyskoteką...

Dwadzieścia lat wcześniej

– Nie, skądże, nie będziemy się bały.

– Ależ proszę pani, absolutnie. Mamy latarkę. – Joanna świeci Krystynie w oczy.

– A nie potrzebujecie czegoś?

– Mamy tutaj picie. I herbatniki. – Joanna pokazuje w głąb namiotu.

– I zapniemy mocno zamek. Żaden skorek się nie przedostanie – dodaje Renata.

– Przyjdę do was za jakąś godzinę. Sprawdzę, czy wszystko dobrze. – Krystyna wzdycha i odchodzi w stronę domu. Trzy razy ogląda

się na stojące pod czereśnią dziewczynki.

– Nic im nie będzie – mówi Zenon. – Przecież są w naszym ogrodzie.

– No nie wiem, nie wiem. – Krystyna cały czas wzdycha.

– Naprawdę się nie boisz? – Renata rozgląda się po ogrodzie.

Zapadła już noc. Ogrodzenie ogrodu zniknęło w ciemności. Nikła poświata z okna sypialni rodziców nie rozświetla podwórza. – Może wejdźmy do namiotu.

– A tam. Co się bać. – Joanna wzrusza ramionami. – No, może trochę. – Uśmiecha się do przyjaciółki już w namiocie. – Może trochę się boję.

– I naprawdę chcesz iść?

– Pewnie! Kiedy ostatnio była tu dyskoteka?

– Nie wiem. Nigdy nie chodziłam.

– To tak samo jak ja. Nie chcesz zobaczyć?

– Jasne. Chcę... tylko... jak coś się stanie?

– A co ma się stać?

Dziewczyny rozmawiają przytulone. Jest ciepła sierpniowa noc. Krystyna zgodnie z obietnicą zagląda do nich po godzinie, potem za kolejną godzinę.

– Spać już, dziewczyny! – pogania je.

Światło latarki się wyczerpuje, dziewczyny kładą się w śpiworach.

Krystyna wychodzi jeszcze na dwór, ale ciemność i cisza w namiocie każą jej nie przeszkadzać.

Śpią już na pewno – myśli.

– Poszła?

– Mhm. Zbieraj się.

– Kurczę, jak to się zakłada? – szepczą między sobą.

– Nie zakładaj teraz ciuchów!

– No co ty! Chcę zmienić baterie. Nie będziemy tam szły zupełnie po ciemku.

W końcu na palcach wychodzą za ogrodzenie. Furtka, naoliwiona ostatnio przez Zenona, na szczęście nie skrzypi. Idą polną drogą, dopiero za zakrętem odważają się włączyć latarkę. Szybko przestaje być potrzebna. Okolice remizy są rzęsiście oświetlone.

It's a beautiful life – wali z głośników. Pod remizą stoją grupki młodzieży, większość nastolatków jest im znana. Ich sąsiedzi i ciut starsi koledzy ze szkoły. A nawet dwie koleżanki z klasy. Dziewczyny są przestraszone, zaczynają szeptać na widok Joanny i Renaty. Szybko zrozumiały, że cała czwórka to uciekinierki. Machnęły sobie z daleka.

– I co teraz? – pyta Renata.

– Idziemy potańczyć.

Wchodzą w tłum ciał. Jest gorąco i ciemno. Kolorowe reflektory nie dają światła, oblewają tylko trupim poblaskiem tańczących.

Joanna znika w tłumie. Renata też zaczyna tańczyć. Nie zna chłopaka, choć bawią się świetnie. Od czasu do czasu z daleka miga jej Joanna.

– Aśka, wracamy! – Renata przekrzykuje tłum, gdy w końcu z trudem udaje jej się odkleić od chłopaka. Szybko znalazł pocieszenie, zanim znalazła przyjaciółkę, już obłapiał inną.

– Coś ty! – krzyczy rozbawiona Joanna.

– Ja chcę do domu!

– Nie żartuj! – odkrzykuje i znów znika.

Renata siada na zewnątrz.

Dochodzi druga w nocy. O tej porze jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się nie spać. Nawet w Sylwestra. Teraz nie da się słuchać nocy. Powinna być nabrzmiała oczekiwaniem na przebudzenie ptaków, a jest przepełniona szeptaniem, westchnieniami i mlaskaniem.

Kto się tak głośno całuje? – myśli Renata.

– Co tak samotnie? – Przysiada się do niej chłopak, którego zna z widzenia. Nie ma dobrej opinii we wsi.

– Wracam już – odpowiada Renata i wchodzi z powrotem do remizy. Joanna wraz z nowym znajomym wirują tuż przy wejściu.

– Aśka! Wracamy! – krzyczy.

Koleżanka wzrusza ramionami. Tańczący z nią chłopak uderza Renatę łokciem.

Zatrzymują się. – Przepraszam, przepraszam! Nic ci nie jest? Siadaj, odpocznij!

– Nie chcę siadać i nie chcę odpoczywać. Wracamy do domu! – żąda Renata.

Joanna niechętnie żegna się z chłopakiem.

– Odprowadzę was – deklaruje.

Renata kategorycznie protestuje. Joanna miałaby ochotę pobyć jeszcze z nowo poznanym, ale Renata nie daje jej dojść do słowa.

Teraz

– Miałam złamany łuk brwiowy. Wyszło dopiero na prześwietleniu piętnaście lat później. Wtedy bolał mnie jak cholera.

– Czemu nic nie powiedziałaś?

– A komu? Matce?

Milczały.

– I co teraz? – powiedziała Joanna bezradnie.

– Teraz trzeba będzie nadrobić wszystkie lata. I uporządkować sprawy – stanowczo powiedziała Renata.

– Mówisz to tak lekko.

– Aż tak się zmieniłaś? Skąd takie lęki?

– O nie, z obaw to ja się już wyleczyłam. Jeśli mogło mi się przytrafić coś niedobrego, to już się przytrafiło.

Renata uniosła brwi. Joanna teatralnie westchnęła.

– Myślisz, że jestem sama, bo tak mi się podoba? Mam trzydzieści pięć lat, niewielkie mieszkanie w samodzielnie spłacanym kredycie i niezłe wykształcenie. Reszty nie mam. Nie mam partnera, nie mam własnej rodziny. Na święta jeżdżę do mamusi.

– Masz jeszcze dobrą pracę, niezły tyłek i potrzebę bliskości.

– Toś mnie zdiagnozowała.

Wypiły herbatę, zjadły ciasto postawione przez Krystynę. Renata popatrzyła na okruszki i powiedziała:

– Chodźmy do salonu. Może będzie wygodniej.

Joanna tylko kiwnęła głową. Usiadły na sąsiednich kanapach, popatrzyły bokiem na siebie. Joanna odruchowo chwyciła poduszkę, przygarnęła ją do siebie, objęła rękami.

Jakby się chowała – pomyślała Renata.

– Pewnie, że miałam faceta. – Joanna zaczęła mówić bez zachęty. – Kogoś bardzo bliskiego. Mieliśmy plany, to miał być ktoś na dłużej. Na długo, na zawsze. Rozumieliśmy się. Chyba.

Zrobiła przerwę, patrząc za okno. Chmury wisiały nisko przez cały dzień, teraz zrobił się już wieczór, pozostało jednak wrażenie przytłoczenia wilgocią. Pojawiła się mgła.

– Byłam w ciąży – kontynuowała Joanna. – Nie mieliśmy ślubu, dla mojej mamy to było jak przekleństwo. Miał być welon za wszelką cenę, nawet z brzuchem. Śmialiśmy się z tego, nie zamierzałam ulegać. Mama się obraziła, pokłóciłyśmy się. Zanim brzuch zdążył porządnie urosnąć, zaczęłam krwawić. Ciąża była pozamaciczna, zabieg coś tam uszkodził. Nie mogę mieć więcej dzieci, więc teraz dzieci unikam. Każde małe dziecko mnie rozkleja.

Cieszyłam się, że mam mojego... – zawahała się – przyjaciela. Faceta, partnera. Wspierał mnie. A potem... – Wzruszyła ramionami. – Nie wydarzyło się właściwie nic szczególnego. Dostał propozycję pracy w innym kraju. Plan był taki, że on wyjedzie, urządzi się, a ja do niego dojadę za kilka miesięcy. Tęskniliśmy bardzo. Przeokrutnie. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, chodziłam od ściany do ściany, męcząc się i płacąc bająnskie pieniądze za rachunki. Najczęściej rozmawialiśmy na Skypie, ale czasami nachodziło mnie tak bardzo, że musiałam zadzwonić... Po kilku tygodniach poukładałam sobie w głowie, przestałam kręcić się w kółko. Miałam więcej czasu, pracowałam więcej. Zaczęłam wychodzić, jakieś koncerty, wystawy. Dostałam awans. Dzwoniliśmy do siebie coraz rzadziej. Już nie dziesięć, a dwa razy dziennie, potem co drugi dzień. Aż któregoś dnia poczułam, że już nie muszę do niego dzwonić. Nie potrzebuję tego. Że potrafię bez tego żyć. To było straszne odkrycie.

– Przyniosę jeszcze herbaty. – Renata odchrząknęła. Joanna została na kanapie, teraz już skulona, z podwiniętymi nogami. Poduszka wystarczała jej za całe przykrycie.

Renata przyniosła tacę z dwoma kubkami i talerzykami zapełnionymi ciastem.

– Nie dam rady tyle. – Joanna uśmiechnęła się gorzko.

– Czymś sobie trzeba życie osłodzić. Każda z nas musi osłodzić co

innego.

– Zniosę wszystkie przytyki. Po pierwsze, czuję się winna, po drugie, wreszcie, od nie wiem jak dawna, czuję, że ktoś mnie słucha. Więc czuję się jeszcze bardziej winna. W każdym razie masz w pigułce żaloszny los robiącej smętną karierę singielki.

– Oj przestań. Jaką smętną. Poczytałam trochę o tobie. Mateusz oczywiście nic nie powiedział. – Wzruszyła ramionami. – Właściwie to powiedział tylko, że jesteś sekretarką. Ale Internet to potęga. Poza tym życie singielki nie może być takie złe. Nie jest. – Renata poprawiła się szybko.

– Myślę, że nie jest. – Joanna się zgodziła. – Lepiej być samą niż z byle kim, niemniej... Wiesz przecież, od zawsze marzyłam o dużej rodzinie. Takie wiejskie marzenie wychuchanej jedynaczki. W planach był tylko mąż i kilkoro dzieci, gromadka. Wszystkie miały być krzyczące i śmiejące się. I jeszcze brudne, bo szczęśliwe dzieci to brudne dzieci.

– A tego to mogę ci chwilowo zapewnić dostatek. Zawołam tylko moje słodkie maleństwa i nie będziemy mogły usłyszeć własnych myśli.

– Renata, ja...

– Nic nie mów. Nie chcę. Wracając do poprzedniego tematu... Ja do niedawna czasami zazdrościłam takim singielkom jak ty. Idą do pracy, zarabiają godziwe pieniądze, realizują się. Mają kontakt z ludźmi. Muszą pracować dużo, ale kiedy już wychodzą z biura, mogą odpocząć. Wracają do domu takiego, jakim go zostawiały. Nie jadą na porzuconym samochodzie przez cały korytarz, usiłując w panice złapać równowagę. Nie potykają się o buty, nie zbierają kurtek, nie odkurzają na każdym kroku. Wracają, jest czysto i cicho. A może nie wracają, bo właśnie postanowiły iść do kina albo umówiły się do teatru. Albo na kawę. Jest im bosko, bo gdy już wrócą z tego teatru, to kładą się w czystej, niewygniecionej, chłodnej pościeli i zasypiają w błogości.

– Trawa jest zawsze bardziej zielona po drugiej stronie ulicy.

Milczały, popijając herbatę.

– Renata...

– Przestań – odpowiedziała stanowczo.

– Ja nie o tym. W firmie huczy, że jesteś chora.

Renata przygryzła wargę. Kiwnęła tylko głową.

– Nie chcę być wścibska, ale...

– Tak. Jestem chora. Mam białaczkę. W przyszłym tygodniu zaczynam chemię. Dlatego zależało mi, żeby spotkać się z tobą teraz. Dzisiejsze popołudnie okazało się odpowiednie, bo Mateusz wraca później z pracy. Swoją drogą, jeśli nie chcesz się z nim spotkać, musisz wyjść za dwadzieścia minut. I w przyszłym tygodniu mogę być już bez włosów i nie być w stanie się z tobą spotkać.

– Wypadną ci włosy, bo Mateusz wraca wcześniej z pracy? –
Joanna zrobiła głupią minę.

Renata parsknęła.

– Cały czas umiesz mnie rozśmieszyć.

– Dobrze jest umieć się śmiać.

– Nie bardzo chyba umiem.

Joanna wstała.

– Pójdę już.

W przedpokoju Joanna się ubrała i nieśmiało wyciągnęła rękę. Renata chwyciła ją, wytrzymały tak chwilę, po czym po prostu się uściskały.

– Nie jest to jeszcze ten miś, co w dzieciństwie... ale zawsze to misiek – powiedziała Renata.

– Może i nie ten, co w dzieciństwie, ale jakiś na pewno.

Stały tak dłuższą chwilę, wreszcie Joanna wysunęła się z objęć przyjaciółki:

– Och, przestańmy już. Idę.

I wyszła do auta. Odjeżdżając, nie obejrzała się. Była smutna, chociaż szczęśliwa. *Dziwne uczucie* – pomyślała, gdy już wjechała do Warszawy. – *Szczęście nie musi wykluczać smutku, nie wiedziałam.*



Renata długo jeszcze siedziała sama. Mateusz przyjechał mocno spóźniony, dzieci zbiegły na dół dopiero, gdy usłyszały głos ojca. Przy

kolacji Krysia pochwaliła się, że była fajna ciocia, która przyniosła dużo czekolady.

– Ciocia? – zapytał bez zainteresowania.

– Wyobraź sobie – wtrąciła Krystyna – Renata odszukała swoją najlepszą przyjaciółkę z dzieciństwa, Joannę. Nie widziały się – ile to już lat? – Zwróciła się do Renaty.

– Prawie piętnaście. No, czternaście.

– Właśnie. Szmat czasu. I tak pięknie sobie rozmawiały. – Starsza pani się rozczuliła.

– Pięknie? – Mateusz uniósł brwi.

Renata z miną niewiniątka uniosła lekko ramiona i kiwnęła głową.

– Rozumiem. – Mateusz spuwentował, sięgając po kolejną kanapkę.

Śpieszył się z kąpaniem dzieci. Renata czekała na niego w łóżku.

– Potrzebowałam tego. – Od razu nawiązała do wizyty Joanny.

– Potrzebowałaś się umartwić?

– A uważasz, że tak łatwo przegrywam w tej konkurencji?

– Przestań – jęknął.

– Zatęskniłam za tym uczuciem, że mam kogoś bliskiego...

– Słucham? – Przerwał żonie okrzykiem.

– Nie rozumiesz. To jest inna bliskość... Miałeś kiedyś przyjaciela?

– W przedszkolu – odpowiedział.

– To nie rozumiesz.

– To mi wytłumacz.

– Nie do wytłumaczenia.

Bezradnie rozłożył ręce.

– Nie było to nic, co mogłoby być przeciwko tobie. Właściwie... Właściwie nie było cię w naszej rozmowie. Na razie wycięłyśmy twoją obecność w naszym życiu. Byłyśmy my i dawne lata. Plus kilka straconych, kiedy nie miałyśmy z sobą kontaktu.

– Nie rozumiem.

– Wiem. Nie musisz. Tylko zaakceptuj.

– Dla ciebie wszystko – odpowiedział z westchnieniem.

Uśmiechnęła się.



Rano Renata obudziła się z przekonaniem, że o czymś zapomniała. Właściwie nad ranem. Dom był cichy. Wstała i starając się nie szurać, poszła do łazienki. Umyła się i stojąc przed lustrem, uświadomiła sobie: Wielkanoc! Zaraz będzie Wielkanoc!

Renata od co najmniej dwóch tygodni nie wychodziła na zewnątrz. Najpierw szpital, teraz dom. *A w sklepach pewnie już się rozpoczęło zajęczkowo-jajeczkowe szaleństwo* – pomyślała. – *Jeszcze kilka tygodni, ale na pewno już przyleciały puchate kurczaczki i koszyczki z koronkowymi serwetkami. Muszę to zobaczyć.*

Wróciła do łóżka. Czytając książkę, czekała, aż Mateusz się przebudzi.

– Wiesz co, chciałabym dzisiaj gdzieś wyjść. Do jakiejś galerii.

– A jest jakaś dobra wystawa? – zapytał zachrypniętym jeszcze głosem.

– Do galerii handlowej.

– Po co? To niewskazane. Jesteś słaba, dopiero po chorobie, niepotrzebny ci kontakt z zarazkami.

– Nie można żyć pod kloszem. A ja nie jestem po chorobie, tylko w trakcie. Czekają mnie miesiące izolacji. Zwariuję, jeśli choć na chwilę nie wyjdę do ludzi.

– Ale musi być dzisiaj? Chciałem posiedzieć dłużej w biurze, trochę papierów zutilizować.

– Musi.

– To może z mamą pojedź?

– I z dziećmi?

– No dobra, będę po ciebie koło szóstej. Tylko bez pretensji, jeśli się trochę spóźnię.

– Dobrze, bez pretensji. Ale bądź punktualnie. – Uśmiechnęła się.

– Idę robić śniadanie. Budź dzieci.



Dzień mijał spokojnie. Renata trochę spała, trochę kręciła się po kuchni, skąd przeganiała ją matka. Po południu Krystyna przywiozła dzieci i przypilnowała odrabiania lekcji. Renata nie miała na to siły. Siedziała i dziergała szalik. Gdy przyjechał Mateusz, była ubrana w jego ulubioną sukienkę, krótką, seksowną, ale zdecydowanie teraz za szeroką.

- Ależ ty zeszczuplałaś! – wykrzyknął Mateusz, przytulając żonę.
- Chyba muszę kupić sobie coś nowego – odpowiedziała.
- Chyba koniecznie.

W Galerii Mokotów Renata rozkoszowała się widokiem szczypiorkowo-żółtych wystaw, sztucznych kwiatów forsycji, plastikowych jajek w jaskrawych kolorach, kurczaczków, króliczków i baranków. Niektóre kiczowate i tandetne, inne pretensjonalnie snobistyczne, wszystkie wystawy krzyczały, że ludzie, także i tutaj, wśród tego plastikowego zbytku, czekają na wiosnę.

Chodzili razem z Mateuszem po alejkach, Renata wybrała nawet sobie jakąś sukienkę, rozmiar trzydzieści cztery, wypili kawę. Ominęli szerokim łukiem restaurację przy fontannie, w której byli ostatnio. Mateusz kupił jej kwiaty, niewielki bukiet w cenie wieńca.

- Musimy jeszcze coś kupić dzieciakom – powiedziała Renata.
- Nie musimy – odparł Mateusz. – Ale możemy, jeśli chcesz.

Wybrali parę czekoladowych drobiazgów. Opakowane w luksusowy papier, wyglądały jak cenne figurki. Kupili także kilka świątecznych ozdób.

– Jestem bardzo zmęczona – powiedziała Renata.
– To wracajmy do domu. – Mateusz od razu lekko pociągnął żonę za łokieć, kierując się w stronę parkingu.

- Nie. – Pokręciła głową.
- Nie?
- Usiądźmy jeszcze.

Posłał jej pytające spojrzenie.

- Nie wiem, kiedy znów będę mogła tu przyjechać.
- Kiedy będziesz chciała.

Nic nie odpowiedziała.

– Przyjedziesz tu, kiedy tylko będziesz chciała – odparł Mateusz z przekonaniem.



Przez cały weekend Renata się denerwowała. *To ma być tylko wklucie* – myślała, ale jej to nie uspokajało. – *A jak coś pójdzie nie tak? Ale co ma pójść nie tak? Przecież pielęgniarka trafi w żyłę. A jak mój organizm źle zniesie chemię? Pewnie, że źle zniesie. Ale mi się potem poprawi. A jak mi się nie poprawi? Musi się poprawić, przecież po to mi dadzą tę truciznę. Żeby było dobrze. Wszystko. Przecież będzie dobrze. Musi być dobrze* – powtarzała sobie w kółko. Dopiero w niedzielę wieczorem przyznała się Mateuszowi, jak bardzo się boi.

– Renata, daj spokój. Nie ty pierwsza, nie ostatnia. Kiedyś ludzie nie mieli tej możliwości. Nie mieli jak się leczyć. Po prostu umierali. A tobie coś tam wstrzykną, będziesz się słabiej czuła, potem wyrzucisz z siebie chorobę i wszystko będzie dobrze. I przez lata będziemy razem wychowywać nasze dzieci, a potem się zestarzejemy, zramolejemy i będziemy wspólnie zrzędzić.

Renata wtuliła się mocno w męża.

– Mam nadzieję.

Pięćdziesiąt lat później

Dziennikarka: Nie lubi pan udzielać wywiadów.

Pisarz – *wzruszenie ramion*.

D: Tym bardziej dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.

P: Przejdźmy do rzeczy.

D: Dlaczego jest pan niemiły?

P: Właśnie dlatego nie lubię udzielać wywiadów. Dużo wstępu,

mało treści i jeszcze konwenanse.

D: Przecież pisarze lubią słowo. Lubią mówić.

P: Lubię pisać.

D: To też słowo.

P: Ale pozbawione ekshibicjonizmu.

D: Twierdzi pan, że nie pisze o sobie?

Wreszcie uśmiech pisarza.

P: Każdy pisze o sobie. Pani to wie i ja to wiem. Proszę o oryginalniejsze pytania.

D: Skoro pan pisze o sobie, dlaczego pisze pan o tylu osobach?

P: Bo wyobraźnia ma niepokorną moc przekraczania wszelkich barier.

Uniesione brwi dziennikarki.

P: Niech będzie. Odrzućmy banały, stańmy na ziemi. Pisanie o sobie oznacza w praktyce pisanie przez swój pryzmat. To ja zebrałem pewną sumę doświadczeń, które pozwoliły mi na stworzenie bohaterów. To ja usłyszałem, albo i podsłuchałem dość, żeby wymyślić historię. To wszystko ja. Więc piszę o sobie, chociaż tworzę dziesiątki bohaterów, którzy zachowują się zupełnie inaczej niż ja, a sposób ich myślenia czasami przyprawia mnie o dreszcze.

D: W ostatnich swoich książkach wraca pan do tematu śmierci. Odchodzenie jest dla pana inspiracją?

P: A czym ma być w moim wieku, młoda damo?

D: Niczym więcej niż dla mnie. Umierają młodzi, umierają starzy. Dzisiaj, po wyjściu z pana gościnnych progów, mogę zostać potrącona przez samochód. To byłaby niepowetowana strata, bo wtedy ten wywiad nie zostałby opracowany, a przy liczbie wywiadów, których pan udzielił, każdy jest bezcenny. Nie jest pan stary, co z tym umieraniem?

P: Wszyscy młodzi dzisiaj tacy bezczelni?

D: Pewnie nie.

P: Tak... Nie wszyscy są dziennikarzami poczytnego pisemka. Droga pani, drogie zarozumiałe dziecko, z czasem zmienia się nasza percepcja śmierci. Ona jest, ale jej nieodwołalność w którymś momencie zaczyna być głośna jak bicie w dzwony. W moim życiu pojawiła się w momencie, w którym nie powinna się zdarzyć. W bardzo wczesnej

młodości. Odsunąłem ją i chciałem zapomnieć. A teraz przyszła znowu i już nie mogę udawać, że mnie nie dotyczy. Chociaż chciałbym.

D: Mówi pan o śmierci ojca? Kondolencje, tak przy okazji.

P: Przy okazji, co za tupet. Nie, nie tylko.

D: Więc?

P: Zdania nie zaczyna się od więc.

D: O czyjej śmierci zatem pan mówi?

P: Kto może być najważniejszy dla dziecka?

D: Matka.

P: Dobra, chociaż automatyczna odpowiedź. Matka. Śmierć matki może zamknąć na całe lata.

D: Pan przecież nie był zamknięty. Stworzył pan trzydzieści powieści.

P: Trzydzieści dwie, precyzyjnie rzecz biorąc.

D: Trudno zatem nazwać to zamknięciem. To raczej płodność.

P: Płodna to jest zapewne pani w odpowiednich momentach. Ewentualnie ziemia może być płodna. Ja jestem twórczy. Chociaż pewnie bardziej byłem, bo już w moim wieku na wiele liczyć nie należy. W każdym razie zamknąłem się kompletnie.

Długie milczenie.

*Najpierw róża, co różą żadnego nie jest ogrodu
– do którego nie wiedzie nawet boczne wejście.
Dalej, bezkrwista jak leukemia, jest
krew – i życie, które spóźniło się na śmierć.*

*I głos, co języka nie ma wspólnego z mową.
Usta, na zawsze niepewne swoich warg,
na których nigdy nie usiądzie nawet
płatek cienia, kryjomy pocałunek dnia.*

*– Czasem o rzęsę zaczepi się ćma
– matka zmarła – i zaraz w ognisko oka spadnie.*

I jeszcze ptak, co nigdy do nieba nie doleci

*bo nie ma ziemi, z której mógłby wzlecieć.
I głód, co już nie zazna żadnego owocu
i w dłoni ziarnkom, co jest mogiłą owocu[2].*

D: Piękny wiersz, ale ciągle nie wiemy, dlaczego pan zamilkł.

P: Myśli pani, że starcza demencja mi już tak pomieszała w głowie, że nie wiem, co mówię? Przy pierwszym spotkaniu na pewno się pani tego nie dowie.

Ciche pukanie.

– Jesteś tutaj? – Bardzo chuda postać wsuwa się do eleganckiego salonu. – Och, przepraszam. – Zatrzymuje się i unosi dłoń do ust, widząc gościa.

– Joanno, coś się stało? – Gospodarz z troską spogląda na starszą kobietę.

– Nic, nic, nie będę przeszkadzać. Dokończcie tu sobie, ja poczekam.

– Joasiu, czas na lekarstwa, prawda?

Starsza pani, tak szczupła, że aż przeźroczysta, kiwa głową z ciepłym uśmiechem.

– Poczekam, nie martw się. Cmoka delikatnie mężczyznę w policzek i powoli przesuwając się w stronę drzwi. Chwytnąjąc za klamkę, odwraca się i jeszcze raz uśmiecha.

Mężczyzna staje nad dziennikarką.

P: Przykro mi, musimy kończyć.

D: Jak na cynika, na którego pan pozuje, ma pan w sobie wyjątkowe pokłady empatii.

P: Cóż pani może o tym wiedzieć.

D: Widziałam przed chwilą, z jaką czułością potraktował pan matkę.

P: Niech pani już idzie.

Teraz

Rano Renata przygotowała dzieci i zrobiła im ekstraśne – jak uznała Krysia – śniadanie. Poza kanapkami każde dostało do szkoły po czekoladce, kawałku kabanosa i po pół obranego jabłka. Krystyna zawiozła dzieci do szkoły. Renata już poprzedniego dnia spakowała torbę.

– Jedziemy? – zapytała, stojąc przy drzwiach.

– Jedziemy – odparł Mateusz.

– Wcale nie chcę.

– A ja chcę. Chcę, żeby cię wyleczyli.

Milczeli w czasie jazdy samochodem.

Na izbie przyjęć poszło szybko, na korytarzu spotkali lekarza, który opiekował się wcześniej Renatą. Uśmiechnął się.

– To co, od dzisiaj walczymy? – powiedział do niej, a Renata poczuła się, jakby ktoś podłączył ją do kroplówki z nadzieją. Kiwnęła głową.

Pielęgniarka zaprowadziła ją do pojedynczej sali. – Założę wenflon, zrobimy szybkie badania.

– Jeszcze badania? – Renata się zdziwiła.

Pielęgniarka tylko kiwnęła głową, już upuszczając krew do próbek. Wyniki będą szybko, na cito, i przyjedziemy z wielką butlą.

Renata i Mateusz czekali. Sala była nieduża, ale było w niej więcej miejsca niż w tej, do której Renata trafiła po przewiezieniu z kliniki doktora Affentowicza. W tamtej cztery łóżka ledwie pozwalały się obrócić. Tutaj Mateusz, rozśmieszając Renatę, kręcił kółka na środku, niebieskie ochraniacze szeleściły, aż w końcu się przedarły i gumowe podeszwy śmiesznie piszczały na niebieskawym linoleum. Łóżko było nowocześniejsze, ale pościel tak samo sztywna i pachnąca chlorem.

– Gorąco tu – powiedziała Renata. – Otworzysz okno?

Mateusz zaczął szarpać klamkę. Okna nie udało się otworzyć, klamka została mu w ręce. Z głupią miną, wpatzonego w okienny uchwyt, zastał go lekarz. Nie patrzył jednak na Mateusza, tylko pod nogi, i nie uśmiechał się. Przysunął krzesło, usiadł blisko Renaty, pochylając się w jej stronę, tyłem do Mateusza. Ten przesunął się tak,

żeby chociaż słyszeć, co mówi lekarz.

– Nie możemy podać pani dzisiaj chemii.

– Nie możecie? – Renata zamrugła.

– Pani wyniki na to nie pozwalają. Jest pani zbyt osłabiona po ostatniej antybiotykoterapii. W tej chwili pani organizm nie udźwignie chemii. Podamy pani zestaw leków wzmacniających i uodparniających. Musi pani dużo i dobrze jeść. Dużo spać. I zażywać to, co pani zapiszę. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, z chemią będziemy mogli ruszyć za dwa tygodnie. Ale za tydzień chciałbym się z panią znów tutaj spotkać.

– Panie doktorze, to źle, prawda? – spytała.

– Nie najlepiej. Lepiej byłoby już zacząć terapię. Ale zaczniemy ją, gdy tylko będzie można, i też będzie dobrze – odpowiedział.

Renata i Mateusz wrócili do domu. Niewiele rozmawiali. Renata była przybita, Mateusz rozkojarzony. W domu nie wypił nawet herbaty, po prostu cmoknął Renatę, rzucił do widzenia Krystynie i Zenonowi i pojechał do pracy. Był zmartwiony. Nie tylko rozmową z lekarzem, ale także sytuacją w pracy. Wymykała mu się spod kontroli. Kolega, który nie miał rodzinnych zobowiązań, był w pracy ciągle. Wyłapywał wszystkie niuanse, pilnował dobrych relacji, chodził po korytarzach. Uśmiechał się, udzielał towarzysko, często wpadał niby przypadkiem do prezesa. Punktował, zdobywał sympatię. Robił wszystkie te rzeczy, na które Mateusz nie miał teraz czasu. Merytorycznie mieli zbliżony poziom, podobną wiedzę i wykształcenie, może Mateusz przewyższał rywala doświadczeniem, ale tylko odrobinę. *W korporacjach nie wygrywa się kwalifikacjami* – myślał smętnie Mateusz. – *W tym świecie wygrywa się koneksjami.*

Starął się pracować najefektywniej jak to możliwe. Sprawy niewymagające współpracy z innymi wykonywał wieczorami. Odpisywał na maile, podpisywał dokumenty. W dzień starał się prezentować jako obecny, aktywny i uśmiechnięty. Jednak nie bywał na wszystkich zebraniach i *ad hoc* zwoływanych spotkaniach.

Wieczorem podzielił się swoimi obawami z Renatą.

– Teraz przez dwa tygodnie skup się na pracy – powiedziała. – Ja sobie w domu poradzę. Będę grzecznie brać lekarstwa, jeść rosółki i spać. Nie martw się, po prostu walcz o swoje. Właściwie o nasze.

- Nie wiem, co mi odbiło – powiedział cicho. – Jesteś... jesteś moją podporą, oparciem... Nie wiem.
- Opoką – zażartowała. – Przeżywałeś drugą młodość.
- Chyba głupiość.
- Dobrze, że tak mówisz.
- Kocham cię – powiedział po prostu, po czym do ich sypialni wpadły dzieci i rozmowa musiała zostać zakończona.



– Wzięłaś tabletki? – zapytał Mateusz przez telefon, jak pytał codziennie około dziesiątej. On był w pracy od ósmej, dzieciaki zawoziła Krystyna na ósmą. Zenon pomagał, jak umiał.

- Wzięłam. – Renata ziewnęła.
- Jeszcze śpisz?
- Nie, ale lenię się.
- To dobrze. Leń się, wypocznij, nabierz sił.

Ostatnio to jest zdanie, które słyszę najczęściej. Wypocznij, musisz nabrać sił. No muszę, wiem. Muszę nabrać sił, żeby zażyć truciznę. Ej, co to się w tym życiu porobiło – mruczała, wstając i szurając kapciami w drodze do łazienki. – Do licha, nawet chodzić normalnie mi się już nie chce. Człapię jak siedemdziesięciolatka. Renata stanęła przed lustrem, spoglądając na wychudzoną twarz. Na modelkę bym się teraz nadawała. Tylko musiałabym być ładniejsza. A właściwie to nie. Modelka to dzisiaj musi być tylko chuda, a co jedna to brzydsza. Mogę nawet i jeszcze zbrzydnąć, bylebym nie przytyła, to już gwiazdą mogłabym zostać. Gwiazdą może nie, ale celebrytką na pewno.

- Ubrała się w dres, narzuciła polarową bluzę i zeszła na dół.
- Tabletki weź – powiedziała Krystyna.
 - Wzięłam na górze. Leżą koło mojego łóżka i krzyczą: weź mnie!, więc biorę rano i wieczorem. Ale gdybym łykała jedną zawsze, gdy ktoś mi o tym przypomina, to w jeden dzień zeżarłabym całe opakowanie.
 - Nie grymaś, tylko się ciesz, że dbamy o ciebie.

– Kto tu krzyczy na moją córeczkę? – Zenon zszedł po schodach. Przeciągnął się. Po odprawieniu dzieci zawsze kładł się jeszcze, Krystyna za to dowodziła kuchnią bez odpoczynku.

– Nikt tu nie krzyczy, nikt nie krzyczy – zrzędziła trochę Krystyna.
– Siadajcie do śniadania.

Tak mijały dni. Dla Renaty bardzo leniwie. Spała, do której chciała, jadła, o której chciała, co chciała. Spała w dzień, odpoczywała w dzień, odpoczywała w nocy. Czytała i nie zajmowała się żadną pracą. Dom był na głowie Krystyny, która była już tym zmęczona, a przez to zrzędziła i gderliwa. Sytuację starał się łagodzić ojciec, który nie zamierzał się przepracowywać, za to dobrym słowem i poczuciem humoru zawsze jakoś udobruchał żonę. Dzieciaki odczuwały brak matki, szczególnie te najmłodsze, więc od czasu do czasu wpadały do sypialni, układały się na Renacie i tarmosiły ją za włosy, za ubranie, za wszystko. Mogły tak leżeć i godzinę, jeśli nie widziała tego Krystyna. Jeśli dopadły matkę na dole, na kanapie, natychmiast zjawiała się babka i rozganiała towarzystwo kwokliwym „dajcie odpocząć matce!”. Eryk zamykał się w swoim pokoju, od czasu do czasu tylko przychodził do sypialni Renaty, ale i wtedy nie mówił za wiele, raczej słuchał, po prostu był. Mateusz żył chyba najintensywniej. Nadrabiał nieobecność, była i przyszła, bo spodziewał się, że gdy Renata trafi ponownie do szpitala, znów nie będzie mógł być w pracy tak aktywny, jak wymagała tego sytuacja. Wyjeżdżał z domu przed siódmą, kiedy dzieciaki dopiero były budzone, a Renata mruczając przewracała się na drugi bok. Wracał wieczorami, czasem po dwunastu godzinach pracy, nieprzytomnie zmęczony i z poczuciem, że powinien pracować jeszcze więcej.

Pewnego popołudnia Renatę obudził telefon. Powitanie było pełne rezerwy.

– Czy miałabyś siłę na spotkanie?

– Nie wiem, czy siłę. Miałabym ochotę.

– Może wyjdiesz do kawiarni?

– Wolałabym u mnie. Każde wyjście to jakieś tam ryzyko...

W przyszłym tygodniu jadę do szpitala...

– Nie tłumacz. Mogę przyjechać?

– Pewnie, kiedy chcesz.

- Chciałabym dzisiaj.
- To po prostu przyjedź. O której chcesz.

Joanna przyjechała o szesnastej. Renata nie uprzedziła matki, więc Krystyna przywitała gościa ze zdziwieniem.

- Idę obudzić Renatkę. Śpi właśnie. Ona dużo śpi teraz.
- Proszę się nie przejmować, poczekam. Tak się umówiliśmy, że przyjadę, o której mi wyjdzie, i tak wyszło...

– Renata! – krzyknęła Krystyna spod schodów.

– Ubieram się – odkrzyknęła. Słyszała dzwonek i od razu ruszyła do łazienki. Zeszła na dół po kilku dosłownie minutach.

– No, dziewczynki, dobrze, że tak wam się przyjaźń odnowiła. Dobrze mieć takie korzenie, wszystko dobrze. Herbatka już jest, i ciasteczko. Częstuj się, Joasiu, częstuj.

– Dziękuję. Prawie zapomniałam, ja też przyniosłam ciasto. – Joanna podskoczyła na krześle i w pośpiechu ruszyła do przedpokoju. Przyniosła pięknie zapakowaną paczkę z czekoladowym tortem. – Musiałam dzisiaj trochę osłodzić rzeczywistość.

– Niepotrzebnie, Joasiu! – zareagowała Krystyna. – U nas ciasto prawie zawsze jest, domowe. Dbam o to, żeby dzieci miały coś dobrego do zjedzenia.

– Właśnie, mamo, dzieci jeszcze nie wróciły?

– Pani Daria zabrała je do siebie. Pewnie jeszcze posiedzą. A Eryk to wrócił i poleciał do jakiegoś kolegi. O szóstej ma być. To pójdę już, dziewczynki, porozmawiajcie sobie.

– Genialne – powiedziała Renata, oblizując widelczyk. – Fenomenalne. Słodkie aż do mdłości. Dawno nie jadłam tak dobrego. Mama piecze ciasta, które mają być zdrowe, więc są prawie niesłodkie – dodała szeptem.

– Coś ty, dobre. Ja tam tęsknię za takimi domowymi specjałami. Chciałabym, żeby mi ktoś tak czasem coś ugotował.

– Twoja mama nie przyjeżdża do ciebie?

– Rzadko. – Joanna wzruszyła ramionami. – A do ciebie zawsze przyjeżdżała?

– Fakt, dopiero teraz. Szpital wymusił na nich mieszkanie u nas. Mateusz nie znosi tego najlepiej. Wiesz, byliśmy u siebie, teraz nie do

końca. Ale przynajmniej nie jesteśmy sami. Mama uważa, że do wszystkiego ma prawo się wtrącić. Pomaga, ale...

– Mogę sobie wyobrazić... chyba. – Joanna się uśmiechnęła. – Nie mam doświadczeń.

Rozmowa nie bardzo się kleiła.

– Chciałam z tobą porozmawiać... – Joanna oglądała swoje paznokcie. – Złożyłam dziś wypowiedzenie. Dlatego wyszłam z firmy wcześniej.

– Masz coś fajnego na oku?

– Spokój.

– To znaczy?

– Złożyłam wypowiedzenie, bo nie chcę pracować z Mateuszem. Popełniłam błąd, zakochałam się. A teraz nie potrafię odnaleźć się w nowej sytuacji. I dlatego wolę poszukać innej pracy.

– Nic nie masz?

– Kilka wysłanych aplikacji.

– Żartujesz? Złożyłaś wypowiedzenie ot tak sobie?

– Utrzymuję się sama, więc uwierz mi, było trudno... Ale nie chcę oszaleć, a jestem blisko. Zajmę się szukaniem pracy. – Joasia ponownie wzruszyła ramionami. Dopiero teraz popatrzyła Renacie w oczy.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic. Zjedzmy ciasto.

Milczenie przerwało trzaśnięcie drzwiami.

– Dzieciaki pewnie wracają. Tylko Krysia zamyka drzwi z takim impetem – powiedziała Renata.

– Mama! – Krzyś wpadł do salonu. Zatrzymał się nagle, widząc Joannę.

– Pamiętasz panią Joasię? Była u nas niedawno.

– Pamiętam. Ciastko? Daj, mamó, ciastko!

– Ja też chcę ciastko! – Krysia usłyszała ostatnie słowa i tak samo jak Krzyś wpadła do domu, zatrzymała się jednak dopiero przed stołem. Od razu wyciągając rękę po talerzyk. Dzieci zajęły się tortem, szybko sięgając po kolejny kawałek.

– Mam coś dla was. – Joanna się zreflektowała. Z wielkiej skórzanej torby, która miała udawać torebkę, a była torbą na notatnik,

zakupy, czasami laptopa, a tylko przy okazji na pieniądze i dokumenty, wyciągnęła trzy niewielkie paczki. Dzieciaki chwyciły je w pośpiechu.

– Co się mówi! – Renata upomniała dzieci.

– Ja zaniosę Erykowi, dobrze? – Krysia się przymilała.

– Nie wiedziałam, co im sprawi przyjemność. – Joanna zaczęła się usprawiedliwiać.

– I kupiłaś pewnie słodczyce – bardziej stwierdziła, niż zapytała Renata.

– A nie, skądże. Dostali po grze edukacyjnej, planszowej.

Największy problem miałam z Erykiem... Potrafię sobie wyobrazić potrzeby kilkulatka, ale takiego dryblasa nie bardzo.

– I co mu kupiłaś?

– *Hobbita*. Książkę.

– Jakbyś czytała w jego myślach. To miał być dla niego prezent na najbliższą okazję. Zabrałaś mi pomysł.

– Cieszę się.

– Co teraz zrobisz?

Joanna wzruszyła ramionami.

– Będę biegać po wszystkich możliwych headhunterach. Wysłać aplikację we wszelkie znane miejsca. Mam spory okres wypowiedzenia, muszę sobie poradzić. I okropnie ci zazdroszczę.

– Szpitala?

– Przepraszam, nie to chciałam powiedzieć.

– Wiem. – Renata westchnęła. – Powiadają, że kto nie ma z przodu, ten ma z tyłu. Dzieciaki mam świetne, z Mateuszem... sama wiesz. Nie układa się źle. Wręcz nawet powiedziałabym, że po... – zawahała się – waszym wyskoku nawet bardzo dobrze. A jednak nie da się tak po prostu zapomnieć. Czasami ogarnia mnie furia... Gdybym w takim momencie cię spotkała, to pewnie bym drapała. A potem przychodzi refleksja, że nic nie dzieje się bez przyczyny.

– I jeszcze ten szpital – kontynuowała Renata po dłuższym milczeniu. – Boję się.

– Jak to było? Nie ma róży bez ognia.

– Taki film był.

– Właśnie. Widzisz, ja naprawdę byłam przekonana, że jeśli facet

szuka kogoś, to musi mieć w domu źle...

– Nie chcę. Aśka, nie chcę o tym rozmawiać. Nie potrafię. Może kiedyś.

– Masz w każdym razie kogoś, kto mimo pokus jednak wspiera cię i chce z tobą być, nawet kiedy jest ciężko. Po prostu masz kogoś na dobre i na złe. I masz dzieci.

– Które hałasują, rozrabiają i robią inne świetne rzeczy, od których boli głowa.

– Ale je masz.

– Bardzo się boję.

– Domyślam się. Nie powiem, że rozumiem, bo nie potrafię sobie wyobrazić.

– Pojadę do szpitala w poniedziałek. Zakładam, że już będzie na tyle dobrze, że będę mogła się położyć i nadstawić żyłę. To jest okej. Boję się tego, co nastąpi potem. Za dwa tygodnie święta. Będę miała siłę usiąść do stołu? Bo przygotować Wielkanocy na pewno nie dam rady. Gdyby nie mama, dom by zarósł, a dzieciaki chodziły głodne i obdarte. One potrzebują opieki, potrzebują matki, a ja...

– Jesteś teraz skupiona na sobie, i tak musi być.

– Ja jestem wydmuszką. Nie mam siły na nic, całymi dniami śpię lub po prostu leżę. Czasem jestem zmęczona nawet wejściem po schodach. Muszę odpocząć w połowie. Wyobrażasz sobie?

– Wyobrażam. I widzę cię, jak kręcisz piruety.

Renata się ożywiła.

– Wiesz, byłam niedawno z dziećmi na lodowisku. Niedawno – zreflektowała się – to znaczy przed chorobą. No, przed diagnozą, bo chora to pewnie już byłam. I razem z nimi jeździłam. Jakbym wróciła do ciała tamtej chudej dziewczynki, która wybija się prawą nogą do skoku, obraca w powietrzu... Najśmieszniejsze było to, że facet, który wydaje tam łyżwy i parzy ohydną lurę w kartonowym kubeczku, mnie podrywał. Wyobrażasz sobie?

– To też sobie wyobrażam – odpowiedziała Joanna, uśmiechając się. – Nawet znakomicie go rozumiem.

– No weź.

– Ha, ha – odparła Joanna.

– Ciociu, super! – Krysia i Krzyś zbiegli ze schodów. – Pobawisz się z nami? – Krzyś się przymilał.

– Nie przeszkadzajcie, kochani. – Renata mitygowała dzieci.

– A mogę?

– Jeśli chcesz.

– Na dywanie, ciociu! – Krysia przejęła inicjatywę i doprecyzowała. – Tu rozłożymy grę, ty siedzisz tu, a ja tu.

– A ja, a ja? – dopytywał się Krzyś.

– Ty tutaj. – Krysia machnęła w nieokreślonym kierunku.

Renata patrzyła na trzy głowy pochylone nad planszą. Trochę się śmiali, odrobinę dyskutowali. Dzieci kłóciły się od czasu do czasu, Joanna szybko je pacyfikowała.

Dlaczego to musiała być ona? – myślała Renata.

– A co wy tutaj Joasię tak męczycie? – Krystyna zeszła z góry, pokrzykując na dzieci.

– Nie męczą mnie, dobrze się bawimy. Tylko – Joanna spojrzała na zegarek – pójdę już. Muszę jeszcze wpaść do sklepu, trochę w domu ładu zrobić. Jutro mam dwa spotkania, muszę się też do nich przygotować.

Przyjaciółki pożegnały się z wahaniem. Obydwie miały ochotę się wyściskać, ale brakowało im odwagi.

– Co wy, sztywne takie. – Krystyna podśmiewała się z nich.

– A wiesz, mamo, tyle lat trudno nadrobić przez dwa tygodnie.

– Co wy tam wiecie o życiu, dziewczyny. Skoro już tyle lat straciłyście, to teraz powinnyście nadrabiać, najszybciej jak się da.



– Znowu? – Mateusz zdziwił się, gdy Renata wieczorem opowiedziała mu o wizycie Joanny.

– Złożyła wypowiedzenie.

– Słucham? – Zamarł z ręką na kłamce. – Nic nie wiedziałem.

– Przeze mnie.

– Raczej przeze mnie. – Westchnął i wszedł do łazienki. Gdy wyszedł, przebrany już w dres i wyciągniętą koszulkę, powiedział: – Unikamy się, nie rozmawiamy. Jutro pewnie będzie o tym głośno w biurze. Mam nadzieję, że wie, co robi.

– Nie ma żadnej nagranej pracy, jeśli o to pytasz.

– No to chyba głupio zrobiła.

– Może tak, może nie. Któż to zrozumie kobietę – odpowiedziała Renata. – W poniedziałek dasz radę mnie zawieźć?

– Cały dzień mam dla ciebie. Wziąłem wolne, chociaż muszę mieć ze sobą laptopa i w razie czego trochę nad nim posiedzieć. Ale do biura nie jadę.

– Nie wiem, jak to ze świętami będzie. Nie mam siły nic przygotować.

– Zamówię co będzie trzeba, resztę przygotuje mama. Poradzimy sobie, nie martw się. Bylebyś wyzdrowiała jak najszybciej.



W poniedziałek było mokro i chłodno, ale był to rześki chłód poranka, a nie mróz chwytający za kostki.

– Czuć już wiosnę – powiedziała Renata.

– Idealny moment na wyzdrowienie – odpowiedział Mateusz, spoglądając na żonę.

– Na to każdy jest dobry. – Uśmiechnęła się. – Skup się lepiej na prowadzeniu.

Parking szpitala był zapelniony. Długo szukali miejsca. Mateusz zaczął się denerwować.

– Mamy czas, spokojnie. Byłam grzeczną pacjentką, odpoczywałam, leniłam się i żarłam ponad miarę, więc nie ma czym się denerwować. Zdążymy, i wszystko będzie dobrze.

Mateusz rozluźnił się. Wcisnął samochód pomiędzy rozsypującego się malucha w najmodniejszym kolorze PRL-u *yellow bahama* a białą furgonetkę z dosztukowanymi drzwiami.

– Wsiądź może, zanim zaparkuję – powiedział z troską. – Muszę stanąć blisko tego pomarańczowego zabytku, będzie ci ciężko wyjść.

Renata wysiadła i ruszyła powoli w stronę wejścia do szpitala. Mżawka była przyjemna, osiadała na czapce i kołnierzu efektowną mgiełką, jakby obsypywała Renatę brokatem. Mateusz podszedł do żony i popatrzył z podziwem. Weszli do szpitala, winda jak zawsze była szarobura i śmierdziało w niej fajkami. Zakaz palenia dotyczył wszystkich, ale pacjentów bardziej. Personel zjeżdżał do podziemi i tam wypalało się fajeczkę pokoju, przy zablokowanych drzwiach. Nikt nie mógł nadejść niepostrzeżenie. Rytuał dopełniał się w godzinach późnonocnych, aromat pozostawał zawsze.

Pielęgniarka zaprowadziła Renatę do pojedynczej sali.

– Nigdy tu jeszcze nie byłam – powiedziała.

– To duży szpital. Pewnie w wielu miejscach jeszcze pani nie była – odpowiedziała kobieta, nie siląc się na grzeczność. – Zaraz przyjdę pobrać krew.

– Luksus! – Mateusz stanął na środku. – Mogę bezkarnie całować moją żonę. I mam bajerancki fotel.

– Jakbyś w domu nie mógł. Przestań. Zaraz przyjdzie ta sztywniacha w białym i będzie obciach.

– Co tam obciach. Nie mam się czego wstydzić. – Uśmiechnął się.

Karesy przerwała pielęgniarka. – Pan nie siada na łóżku – powiedziała obojętnie. Pobrała krew i wyszła bez słowa.

– Dziękujemy pani bardzo. – Nie wiedzieć czemu, sytuacja niesłychanie rozbawiła Renatę. – Jakbym nie wiedziała, co dalej, to teraz właśnie umierałabym z nerwów. Głupia cipa – powiedziała.

– Skąd ty znasz takie słowa?

– Dzieciaki mnie nauczyły.

– Ehe, Krysia czy Krzyś? – zapytał niewinnie Mateusz.

– Ech, podaj mi torbę, proszę. Mam tam książkę, przeczytam trochę.

– Wyjdę na zewnątrz, wykonam kilka telefonów. Potem pewnie rozłożę notebooka – odparł Mateusz, podając Renacie czytno.

– Pani się tak nie rozkłada na tym łóżku, mówiłam już. Dla pani dzisiaj ten fotel. – Wskazała ręką pod okno. A teraz pani się zważy... – Pielęgniarka wykonywała rutynowo swoje czynności. Potem wyszła, nic

nie mówiąc. Mateusz westchnął i wyszedł, Renata próbowała wygodnie rozsiaść się w fotelu.

Już po półgodzinie energicznym krokiem wszedł lekarz. Mateusz szedł tuż za nim.

– Wyniki – marzenie! – powiedział głośno.

– Dzień dobry panie doktorze – odpowiedziała Renata.

– A dobry, dobry. Tak dobry, że możemy od razu zacząć. Gotowa?

– Na co?

– Na kroplówkę. – Lekarz się zdziwił.

– Już? Tak od razu?

– A na co czekać? Wyniki badań poprawiły się nawet ponad moje oczekiwania. Terapia jest zalecona, czas zaczynać.

– Od razu? – Renata powtórzyła pytanie i popatrzyła przestraszona na Mateusza.

– Kochanie, nie ma na co czekać.

– Dobrze, od razu – odpowiedziała lekarzowi, patrząc mężowi w oczy.

– Proszę się nie denerwować. Zna pani objawy, brzmią strasznie, ale wie pani także, że można je przetrzymać. Można przetrwać, a nawet trzeba to zrobić. Dzięki temu się zdrowieje.

– Wiem, panie doktorze, ale... Nie ma ale. – Uśmiechnęła się.

Lekarz poklepał ją po dłoni i wyszedł. Zawołał pielęgniarkę, która dała Renacie stosik papierów do podpisu. Podpisała bez czytania. Kwadrans później Renata patrzyła w skupieniu na wolno spływającą do jej żyły ciecz i modliła się.

Nie modliłam się przez wiele lat. Jak trwoga, to do Boga – pomyślała. Mateusz siedział koło niej, telefon wibrował mu w kieszeni.

– Odbierz, przecież jeszcze nie umieram.

– Ha, ha, bardzo śmieszne – odpowiedział, ale wziął telefon do ręki i wyszedł.

Nie wiem, czy śmieszne, ale pewnie łatwiej się śmiać. Chwilowo nie potrafię. Tylko chwilowo. Właściwie nic się nie dzieje. Hermetycznie zamknięta butelka, zapakowana jak bomba atomowa, giętka rurka i kroplami odmierzana trucizna. Może powiem Mateuszowi, żeby jednak pojechał do biura. Nie będzie tu ze mną siedział do wieczora. Niech

zapyta, do której to potrwa... – Nie mogła czytać, odłożyła książkę. – Ostatnio wszystko się dzieje w bezruchu. Ja się prawie nie ruszam, oszczędzam siły na wszystkim. Na wszystko. Śpię, jem i wydalam. Niech już to cholera leci szybciej, niech zatruje tego pieprzonego raka, niech wreszcie mam siłę żyć. Taka wegetacja mnie wykańcza. Człowiek niby wie, że szpital to kiepskie miejsce, ale dopiero w środku można dostrzec, że to zwyczajna chujnia. Odkąd to zaczęłam przeklinać? Może wreszcie zbiera się we mnie jakaś energia, bo ostatnio to tylko ciągle użalałam się nad sobą. Tak nie można żyć. A ja chcę żyć. Dla dzieci, z Mateuszem, chcę żyć. Jakie to zabawne, cholernie zabawne, jeszcze nie tak dawno wyrzekałam na niego i jego zdradę, jeszcze niedawno chciałam, żeby się wyprowadził, zostawił mnie samą i dał mi spokój. A teraz nie wyobrażam sobie, że mogłabym bez niego funkcjonować. Tylko co mu mogę zaoferować? Chorobę, słabość, joleczenie i marudzenie. Żadnej pomocy z mojej strony, nic. Co to za żona. Do licha, co to za żona.

Renata przysnęła. Mateusz zerknął przez drzwi, przebudziła się.

– Sprawdź, do której to potrwa, i pojedź do firmy. Ja tutaj muszę tylko siedzieć. Siedzieć i patrzeć, jak to gówno się we mnie wlewa. Nie trać tu czasu, pojedź do firmy.

Mateusz zmarszczył brwi.

– Strasznie dzisiaj przeklinasz.

– Boję się.

– To zostanę z tobą.

Pokręciła głową.

– Po prostu przyjedź po mnie wieczorem. Zostaw mnie samą, proszę. Muszę się z tym oswoić.

– Rozmawialiśmy o tym tak długo, tyle razy. Wszystko wiemy, wszystko wiesz. Będzie ciężko, będzie fatalnie, ale przejdziemy przez to. Razem. Będziemy się kochać aż po starość.

– Kiedy to trzęsącymi dłońmi będę chwytać twojego skurczonego penisa, a ty będziesz szukał moich piersi w okolicy kolan.

Mateusz ponownie westchnął.

– Naprawdę chcesz zostać sama?

Kiwnęła głową.

– Ale odbieraj telefon. Słyszysz? Nie wyciszaj go. Odbieraj telefon.

– Dobrze – odpowiedziała.

Po wyjściu Mateusza zadzwoniła do matki.

– Właśnie zaczęłam terapię – powiedziała, udając radość.

– Tak? Super – odpowiedziała odruchowo Krystyna. – To znaczy... to znaczy, że już masz chemię?

– Tak, zaczęła się druga godzina pierwszego wlewu.

– I jak się czujesz?

Renata roześmiała się mimo woli. – Na razie bez zmian. To świństwo dopiero zaczyna mnie zatruwać. Planuję dzisiaj wrócić do domu. Czekać na mnie, tylko nie szykuj niczego do jedzenia. Nie będę teraz mogła... wiesz zresztą. Maślanka będzie super.

– Przyjadę do ciebie, jak tylko odbiorę dzieci – stanowczo powiedziała Krystyna.

– Ani mi się waż. Dzieci nie potrzebują tego oglądać. Ty też nie. Masz ważniejsze sprawy. Dopilnuj, żeby Krysia miała na jutro wyprasowany strój. Szykują przedstawienie wielkanocne, nie wiem, co to za zwyczaj, jasełka na Wielkanoc. Niech im będzie. W każdym razie ma białą sukienkę, taką błyszczącą, wisi w szafie, ale pewnie się pogniotła. Do tego w pudle w jej szafie znajdziesz koronę. Taki właściwie grzebień ze świecidełkami. Ona ma być jakimś aniołkiem, więc pewnie się nada. Nie mamy skrzydeł, pani mówiła, że się obejdzie, ale możecie pojechać kupić. Albo wypożyczyć, wiesz, tam gdzie ostatnio byliśmy, w takiej małej uliczce jest wypożyczalnia...

– Renata! – Krystyna przerwała córce. – Coś ty, słowotoku dostałaś?

Renata zastanowiła się. – A wiesz, chyba tak. Chyba muszę wszystkim zarządzić, na wypadek, gdybym musiała spędzić tu więcej czasu.

Gdy się rozłączyła, pomyślała: *Więcej czasu... tutaj więcej czasu...*

Pielęgniarka zaglądała co jakąś godzinę, obiad ominął Renatę, na szczęście miała ze sobą jedzenie. Filet z kurczaka z ziemniakami, opakowanie twarożku, gotowane jabłko. Krystyna przestudiowała wszystkie zalecenia dotyczące diety w czasie chemioterapii i Renata była

przekonana, że odżywiona będzie znakomicie.

Zadzwoiła do Mateusza, był zajęty, ale wyszedł ze spotkania, żeby odebrać telefon.

Renata trochę czytała, trochę patrzyła w okno, za którym dzień nastał nie bardzo słoneczny. Próbowwała się przespać, ale fotel był niewygodny.

Przydałaby się poduszka następnym razem. I koc – pomyślała.

Wieczorem, gdy przyjechał Mateusz, Renata była zmęczona. Życzliwy lekarz skończył już dyżur, kolejna pielęgniarka obojętnie sprawdziła dokumentację i wydała papiery.

– Widzimy się za trzy dni – powiedziała, nie podnosząc głowy znad małego biurka.

– Do widzenia – odpowiedzieli zgodnie małżonkowie.

– Jak się czujesz? – dopytywał Mateusz w drodze na parking.

– Normalnie – powiedziała Renata. – Jestem głodna.

– Oj, to nienormalnie – powiedział Mateusz.

– Zjadłam wszystko, co mama dziś przygotowała.

– Wierzyć się nie chce.

– Prawda? Poza tym przeokropnie chce mi się spać. Ten fotel był strasznie niewygodny. Bolał mnie wszystkie mięśnie.

– To połóż siedzenie i prześpij się w aucie.

– No coś ty, nie aż tak. – Zaśmiała się, jednak rozłożyła siedzenie, i na chwilę zapadła w płytki sen.

W domu dzieciaki z niecierpliwością czekały na matkę.

– Mama mamamamama! – Maluchy przekrzykiwały się wzajemnie. Eryk też zszedł z góry.

– Jak się czujesz? – dopytywali wszyscy.

– Dobrze – odpowiedziała Renata. Miała podkrążone oczy, usiadła, by zdjąć buty. – Ale słaba jestem ciągle i chwilowo nie będzie lepiej. Przynajmniej pod tym względem. I jestem okropnie, straszliwie, głodna. Tak, że mogę zjeść na przystawkę małą dziewczynkę, a na deser małego chłopca!

– Nie jestem już mały – powiedział Krzyś.

Krystyna od razu ruszyła do kuchni, Zenon stał w drzwiach i patrzył, jak Renata łaskocze rozchichotane dzieciaki. Szybko przenieśli

się na kanapę, i równie szybko zakończyli zabawę. Renata była zdyszana.



Wymioty zaczęły się następnego dnia około południa.

Mateusz był w pracy, Krystyna w kuchni, ojciec oglądał telewizję. Nie słyszeli z dołu torsji Renaty.

To już? – pomyślała Renata. – Wygodniej byłoby uznać, że się wczoraj przejadłam. I że to nic takiego.

Do powrotu dzieci ze szkoły wymiotowała jeszcze cztery razy.

– Obiad! – krzyknęła Krystyna.

– O Jezu! – Renata westchnęła, bo na samą myśl o jedzeniu zrobiło jej się niedobrze. – Mamo, ja nie będę jadła...

– Nie marudź, dziecko, musisz siły mieć. Kurczaczka dla ciebie zrobiłam.

Renata popatrzyła na talerz i poleciała do toalety.

– Chyba już się zaczęło – powiedziała, gdy wróciła do stołu. – Nie zmuszaj mnie do jedzenia.

Krystyna przygryzła wargę.

– Ale siły musisz mieć.

– Postaram się jeść, ile się da. Ale raczej nie dziś.

Renata przesiadła się na kanapę w salonie. Przykryła się kocem, zaraz dołączył do niej Krzyś, potem Krysia. Eryk pomógł babci przy poobiednim sprzątaniu, a potem usiadł koło matki na podłodze. Oglądali popularnonaukowy program o astronautach.

– Jak ja bym kiedyś chciał tak polecieć w kosmos. – Krzyś westchnął.

– Ty to masz pomysły – mruknął Eryk.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała Renata. – Każdy może mieć marzenia.

– Tak? To ja bym chciał polecieć do Japonii. I chodzić w stroju samuraja.

– I najlepiej pojechać tam rowerem – dodała Krysia.
– Ja nie umiem jeździć na rowerze – ze smutkiem stwierdził Krzyś.
– No to, kochani, jaki mamy plan? Uczymy się japońskiego i japońskiej sztuki walki oraz jazdy na rowerze. Kto jest za? – Renata rozejrzała się po twarzach dzieci. – Postanowione.

– Mamo, jaka to niby ma być sztuka walki? Karate?
– Aikido? – powiedziała Renata.
– Sumo! – zaśmiał się Eryk.
– Judo – dopowiedział Zenon.
– Zostańmy przy karate – po chwili zastanowienia powiedział Eryk.

– Super. A od jutra uczymy się jeździć na rowerze.
– Pogoda ma być ładna – powiedziała Krystyna, niosąc Renacie dwie tabletki. – Atossa – zwróciła się do córki.

Renata łyknęła pastylki bez mrugnięcia. – Muszę chyba wstać wreszcie – stwierdziła. – Jeść nie bardzo mogę, ale chodzić pomalutku się postaram. Sprawdzimy to karate.

– Mamo, nie wstawaj. Przyniosę tabletki i sprawdzimy tutaj. – Eryk powstrzymał ją z troską w głosie.

Renata usiadła i kiwnęła głową, jednocześnie przytulając młodsze dzieci. Tak spędzili popołudnie. Na siedzeniu, nicnierobieniu i szydełkowaniu szalika.

– A ja to bym chciała jeździć na łyżwach tak jak ty, mamo – powiedziała niespodziewanie Krysia.

– Skarbie, tak dawno nie jeździłam, nie bardzo już umiem...

– Ja widziałam, mamo. Widziałam, jak jeździłaś na lodowisku. Było pięknie. Ja też tak chcę.

– Dobrze, kochanie. To mamy cel trzeci. Szkołka łyżwiarska.

Usłyszał to schodzący z góry Eryk, wrzucił w wyszukiwarce.

– Wygląda na to, że Krzyś będzie najbardziej ekonomiczny – zawyrokował po chwili.

– Pokaż. – Renata wyciągnęła ręce po tabletki.

– Ta szkoła mi się nie podoba – powiedziała. – Nie znam tych łyżwiarzy, zresztą to lodowisko jest kiepskie. Kiedyś tam jeździłam. Lepiej tutaj – pokazała palcem – znam tych ludzi.

Eryk otworzył wskazaną przez mamę stronę.

– Mamo, ale to daleko! Kto będzie Kryškę tam woził?

– Ja – wtrącił dziadek.

– Jesteś tu od czasu do czasu – mruknął Eryk, ale dziadek usłyszał.

– Widocznie będę musiał być częściej.

Oglądali strony, Krysia podskakiwała z radości, kiedy matka pokazała kilka filmów z trenerami wybranej szkoły.

– Dziś już za późno, jutro tam zadzwonię.

– A tu jest formularz zgłoszeniowy. – Eryk był już na stronie klubu karate.

Renata policzyła szybko ceny obydwu szkół.

– Ja mogę sam tam dojeżdżać. Nawet rowerem. To niedaleko – powiedział Eryk.

– To się zapisujemy – odpowiedziała matka.

– My? – zdziwił się chłopak.

– Pewnie, że my. Wszyscy razem będziemy jeździć na zawody łyżwiarskie i walki karate. I ścigać się na rowerze też będziemy wszyscy – dodała, widząc minę Krzysia.

Wieczorem dzieci opowiedziały ojcu o popołudniowych postanowieniach.

– Jak zamierzasz się z tego wywiązać? – zapytał Mateusz Renatę, gdy dzieci już leżały w łózkach. – Nie damy rady ich tam dowozić, szczególnie Kryški.

– Nie wiem. Pewnie muszę ruszyć cztery litery. Wyzdrowieć i ją tam wozić.

Mateusz tylko pokiwał głową.



– Mamo, wstawaj! – Krzyś wpadł do sypialni o wpół do ósmej.

– Jezu, jest sobota, dajcie pospać – mruknęła Renata. Mateusz odwrócił się na drugi bok.

– Mamo, jedziemy na rower!

- Jaki rower? – jęknął Mateusz.
- Mama obiecała mi rower!
- Obiecałaś rower?
- No co tak się dziwisz. Dziecko ma prawo nauczyć się jeździć na rowerze, prawda?
- Ale musi o siódmej w sobotę?
- Jest prawie ósma.
- Oczywiście. Już wstaję – powiedział Mateusz, przeciągając się.
- Mama! Mama mi obiecała.
- Ale mama nie da rady.
- Mama! – Krzyś się zdenerwował.

Wyszli całą rodziną. Zjedli szybko śniadanie, które podstawiała im pod nosy Krystyna, i poszli uczyć Krzysia jazdy na rowerze. Dziadek też.

– Brawo! Krzyś, super! – krzyczeli na przemian, pomijając milczeniem niezliczone wywrotki i wielką dziurę na kolanie.

Renata stanęła z boku, dowodzenie przejął Mateusz. Oparła się o pień drzewa. *Wielkanoc zbliża się wielkimi krokami* – pomyślała. – *A jeszcze tak smutno i szaro.* Słońce ledwo wyglądało zza chmur, wciąż było zimno i wilgotno.

– Przejdę się do Darii – powiedziała do Mateusza, gdy robili kolejną rowerową rundę. Krzyś kołysał się na dwóch kółkach, Krystia biegła za nim, Mateusz równo z Krzysiem.

- Dasz radę? – Zaniepokoił się.
- Chyba tak.

Przerwał im wrzask małego. Leżał w kałuży i krzyczał:

- Tata, pomóż, muszę dalej jechać!

Renata powoli ruszyła wzdłuż ulicy. Leki pomogły. Świeże, ostre powietrze trochę szczypało w nos, ubrała się jednak ciepło, włącznie z czapką nasuniętą głęboko na czoło. Spacer był powolny.

Kiedy tak sobie pochodziłam? Nie warto się zastanawiać. Kiedyś muszę się ruszyć. To dopiero pierwsza chemia. Ludzie normalnie pracują i się nad sobą nie rozczulają. Jeżdżą samochodem. Też muszę dojść do siebie. Rzygnę czasami, a może i nie. Może mi przejdzie. Teraz jest dobrze. Bardzo dobrze. I tak ma być.

Rozmyślając, dotarła do domu przyjaciółki. Daria była jeszcze w szlafroku, miała zarumienione policzki i włosy wysypujące się z kucyka.

– Sorry, jeszcze się nie ubrałam. Robimy z młodymi ciasto. Chodź.
– Wciągnęła Renatę do wnętrza.

Renata zdjęła kurtkę i ostrożnie ruszyła w głąb korytarza. Jęknęła na widok kuchni.

– To tylko mąka. – Daria machnęła ręką. – Ale zobacz, jakie wypieki! – Kiwnięciem wskazała na blachę podrumienionych ciastek. – Teraz lepimy zajaczki.

– Jeśli przeszkadzam, to kiedy indziej...

– Siadaj. – Daria przerwała jej obcesowo. – To już końcówka ciasta. Zaraz pakuję do pieca.

Renata przyglądała się, jak dwie dziewczynki z zapamiętaniem używały foremek. Daria ogarniała już trochę nieład.

Fajnie takim małym – pomyślała Renata. – *Dobrze jest mieć pasję, taką pasję. Nawet w wycinaniu ciastek. Kiedy uleciała moja pasja?*

Ostatnie pytanie nieświadomie zadała głośno. Daria spojrzała zdziwiona.

– Wcale nie uleciała.

– Słucham?

– Nie uleciała twoja pasja.

Renata uśmiechnęła się.

– Rozmyślałam o zapamiętaniu, z jakim małe wycinały ciastka.

Daria ustawiła na stole filiżanki i usiadała.

– Ciągłe mamy w sobie tę pasję. Nic się nie zmieniło.

– Wszystko się zmieniło. – Renata pokręciła głową. – Klemens cię zmienił, a czerwona butelka z chemią mnie zmieniła.

– To tylko zewnętrzne okoliczności. – Daria się upierała.

– Łatwo ci powiedzieć.

Milczały.

– Widzisz, nawet milczenie się nie zmieniło. Ciągłe daje nam siłę. Mnie teraz daje siłę, żeby jednak przygotować na święta coś więcej niż tylko ciasteczka.

– Może wpadniecie na święta do nas? Mama już pichci, cały dom

pachnie. Co będziesz sama w domu siedziała.

– Sama, nie sama... – Daria się zastanowiła. – Ale to chyba byłby dobry pomysł... A uzgodniłaś to z Mateuszem? I z mamą?

– Kurczę, nie mam chyba dwunastu lat? Nie muszę mamusi pytać o zgodę?

Daria milczała, patrząc z uniesionymi brwiami na przyjaciółkę.

– Dobra, nie uzgodniłam i nie pytałam. Ale myślę, że to byłby dobry pomysł.

– To zapytaj i potwierdź.

– To zapytam i potwierdzę. Swoją drogą, chciałabym mieć dwanaście lat.

– A ja nie.

– Serio?

– Serio. Mieć znowu za długie ręce i piersi, z którymi nie wiadomo co zrobić. Już stanik czy ciągle tylko koszulka. Martwić się pierwszą ciotką i nie spać przez klasówkę z matmy. O nie. Mieć przed sobą te wszystkie dziwne sprawy damsko-męskie... Nie.

– Dziwne?

– Oj, nie czepiaj się. Jak się czujesz? Nic nie mówisz.

– Dzisiaj lepiej. Leki pomogły, bo wczoraj... – Renata machnęła ręką. – Następna chemia za dwa tygodnie. Teraz muszę nauczyć się żyć z trucizną w żyłach.

– Całe szczęście, że już zaczęłaś terapię. Znaczą się, już zdrowiejesz. O, tutaj odzyskujesz kolory. – Daria prawie wepchnęła Renacie palec w policzek. – Bierz ciasteczko, dobrze ci zrobi.

Renata się skrzywiła.

– Słodkie i mączne... Będę rzygać, zanim dolecę do łazienki. Lepiej nie. Herbata wystarczy, chociaż ziołowa byłaby lepsza.

– Dziewczyny, spokój tam! – Daria krzyknęła w głąb domu. – Pójdę się przebrać. Głupio mi tak przyjmować gościa w szlafroku.

– Co ja za gość. – Renata wzruszyła ramionami, ale gospodyni już była na schodach.

Renata rozglądała się chwilę po kuchni. Była kwadratowa, z dwoma dużymi oknami i szerokim przejściem do jadalni. Utrzymana w miodowych kolorach, oświetlona niezliczoną ilością małych

halogenów. Dawały mnóstwo zimnego światła, które trochę łagodziło żółte ściany i karmelowe w odcieniu meble. Wszystkie dodatki utrzymane były w jednym kolorze. Także poduszki na ławie, na której siedziała teraz Renata.

Chciałabym być konsekwentna w życiu tak, jak Daria w urzędowaniu wnętrza – pomyślała Renata. – *Chociaż nie chciałabym tak mieszkać. Niby ciepło, ale... jakoś pusto.* Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że dom Darii był całkowicie pozbawiony bibelotów. Każdy przedmiot miał jakieś funkcjonalne znaczenie. Żadnych figurek, ozdóbek. Jeśli wazon, to z kwiatami. Jeśli misa, to raczej z kamionki niż kryształu, i zawsze czymś wypełniona.

– Tak sobie myślę, że pragmatyzm to twoja główna cecha – powiedziała do Darii, gdy ta wróciła do kuchni.

– Co ty! Znasz mnie przecież. Jestem beznadziejnie roztrzepana.

– Nie widać tego po twojej kuchni.

– Dawno tu nie byłaś, prawda?

Renata kiwnęła głową.

– Po wyprowadzce Klemensa potrzebowałam... powietrza.

Wyrzuciłam wszystko, co nie jest przydatne. Albo chociaż pochowałam. Klemens lubi się pokazać. Na komodzie drogi wazon, a jeszcze lepiej w kącie pokoju duża rzeźba. Koniecznie droga. Poupychałam wszystko. Część do szafek, większość do kartonów. Stoją w garażu. Tylko kolorystyka... nie podoba mi się.

Renata nie przerywała.

– Jest... monotonna – kontynuowała Daria. – W wakacje pewnie zrobię malowanie. Wprowadzę trochę koloru, potrzebuję barw. Także w życiu. Jedna ściana będzie niebieska.

– Taka chłodna?

– Taka. Moja głowa potrzebuje zimnego prysznica. Ale będzie też inna, pomarańczowa, nie wiem jeszcze gdzie. Potrzebuję tego.

Różności... Potrzebuję czegoś innego.

Po długiej ciszy dodała:

– Czegoś innego niż do tej pory.

– A ja potrzebuję pieniędzy.

– Kto nie potrzebuje! – parsknęła Daria. – Coś konkretnego?

– Eryk mi powiedział, że chciałby lecieć do Japonii. Że marzy o wycieczce do Japonii. Sprawdziłam ceny biletów. Masakra. Nie mógłby przecież lecieć sam, poza tym Kryśka i Krzysiek też powinni... Nie stać nas. A Eryk tak bardzo chciałby jechać, że nawet zaproponował, że zacznie chodzić na karate. On! Ten klasyczny nieruchawiec.

Daria się zamyśliła. – A ty mogłabyś jechać?

– Teraz nie, ale jak skończę kurację...

– To trzeba zacząć oszczędzać! Chcesz jeszcze herbaty?

– Nie, dzięki, powoli będę wracać. Wiesz, dla mnie teraz ten kawałek jest jak długa podróż. Prawie do Japonii.

Daria zamyśliła się. – Jest taki portal... Polak potrafi czy jakoś tak. Tam można zbierać pieniądze na ustalony cel. Tylko musi być konkretny, związany z jakimś działaniem. Nie może to być sama podróż. Ktoś zbierał na wydanie książki, ktoś inny – płyty.

– No to nie dla nas. Nie planujemy wydania niczego poza świątecznym obiadem. – Renata wybuchnęła śmiechem.

– Do którego zamierzam się dołożyć, żeby była jasność – oznajmiła Daria.

– Zapytam matkę, co ona na to. Czy zniesie na stole coś, czego nie przygotowała samodzielnie.

– Może nie będzie miała wyjścia. Jeśli mnie zaprosicie.

– Zadzwonię.

Przyjaciółki się uściskały. Renata ruszyła w powolną drogę powrotną. Przed bramą spotkała Mateusza, który wyprowadzał samochód z garażu.

– Właśnie po ciebie jechałem. – Cmoknął żonę w policzek.

– Właśnie do ciebie wróciłam. – Odwzajemniła się. – Masz coś przeciwko, żeby Daria z bliźniaczkami wpadły do nas na świąteczny obiad?

– Śniadanie chyba?

Renata przytaknęła.

– Nie mam.

Gdy weszli do domu, Renata oddała mężowi kurtkę i od razu podeszła do matki. – Mamo, masz coś przeciwko temu, żeby Daria z dziewczynkami spędziły z nami święta? Śniadanie znaczy się?

Krystyna odwróciła się:

– Oczywiście, że nie mam. Święta to święta. Im nas więcej, tym weselej.

Renata zamierzała oddzwonić do Darii natychmiast, ale Krzyś przybiegł do niej ze swoim rysunkiem, Krysia ciągnęła w stronę budowli z klocków, a Eryk zapytał o książkę, której potrzebował na lekcję biologii. Zajął się dziećmi, do Darii zadzwoniła dopiero po trzech godzinach.

– Super! – Przyjaciółka się ucieszyła. – Też miałam do ciebie dzwonić.

– Nie nagadałyśmy się, co? – parsknęła Renata.

– Ha, ha. Myślałam o tej Japonii.

– I?

– Wyślę ci link. Dobrze pamiętam, że Eryk lubi pisać?

– Lubi. I co z tego?

– Wyślę ci link.

– Nie ściemniaj, tylko powiedz.

– Znalazłam konkurs na opowiadanie. Długie, takie około pięćdziesięciu stron. Musi być o kulturze Japonii, i takie tam. Nagrodą jest wyjazd do Japonii. Tylko nie ma za wiele czasu.

– Wysyłaj – powiedziała Renata.

Zaraz po obiedzie ściągnęła maila. Zawołała Eryka.

– Mamo, z czym ja do ludzi. Pięćdziesiąt stron? W życiu nic takiego nie napisałem!

– Przecież polonista cię chwali.

– Polonista. – Chłopak wzruszył ramionami. – Polonista to nam każe od czasu do czasu jakąś rozprawkę napisać. W przerwie pomiędzy rozwiązywaniem testów. Poza tym, mamo, to dla dorosłych. Byłbym tam najmłodszy. – Eryk wskazał punkt z regulaminowym wiekiem uczestników. – No i za mało wiem o Japonii. Kilka obrazków samurajów nie wystarczy.

– Wymyśl historię – powtórzyła Renata już po raz trzeci.

– Mamo, daj spokój. – Eryk się opędział, jednak chciwie czytał regulamin.

– To ja daję spokój, a ty wymyśl historię – powiedziała Renata,

zostawiając syna przed komputerem.



- Mamo, Daria pyta, co ma przygotować na święta.
- A co to, ja niby nie dam rady?
- Mamo...
- A niech przygotuje co chce.
- Mamo...
- Daj mi się zastanowić.



– Słuchaj, mama trochę urażona, że na stole pojawi się coś nie jej produkcji, ale generalnie jest okej. Tylko musisz z nią porozmawiać, bo nie chciała powiedzieć, co mogłabyś zrobić.

– Bardzo się cieszę, że możemy z wami pobyć... Wiesz, czasem samej trochę smutno.

– Ta... – W słuchawce zapadła cisza. – A może nie tylko śniadanie? Potem pójdziemy na spacer, i może obiad zjemy razem...

– Jeśli tylko twoja rodzina będzie miała na to ochotę, to my jesteśmy chętne. Jezus Maria, co one wyprawiają! – Daria odsunęła słuchawkę od ucha i krzyknęła na dziewczynki. – Muszę kończyć, inaczej one mnie wykończą.

Renata znów czuła się bardzo zmęczona. *Dawno nie miałam tak intensywnego dnia* – pomyślała. Dopiero osiemnasta, ale tyle się dzisiaj rzeczy wydarzyło... Cóż za odmiana w porównaniu z całodziennym wylegiwaniem się w łóżku.

– Mamo, ja już pójdę się położyć.

Krystyna tylko machnęła ręką.

Renata umyła się i założyła flanelową piżamę. W łóżku leżała

przykryta kołdrą i kocem, czytała książkę. *Jestem w zdumiewającej kondycji* – pomyślała. Lektura tak ją wciągnęła, że nie usłyszała szelestu otwierających się drzwi.

– Eryk?

– Przeszkadzam? – Chłopak stanął niepewnie przy łóżku matki.

– Coś ty, siadaj. – Uśmiechnęła się.

– Wiesz, mamó... Przyszło mi na myśl, no... tak mi się przypomniało, że jak byłem w Anglii, to poznałem taką jedną Japonkę. No i...

– Mnie się już podoba.

– Ona była bardzo miła, może by mi trochę pomogła.

– Napisz do niej. Ale może warto wcześniej chociaż jakiś konspekt? Pomyśl na to opowiadanie?

– Już mam...

– Dawaj.

Chłopak opowiedział o perypetiach dwojga nastolatków, którzy wsiadają w niewłaściwy pociąg. Wyjeżdżają z dworca w Tokio, chcąc trafić na południe, do Osaki. Przez przypadek jednak znajdują się w Fukushima. Tam idą śladami katastrofy, odkrywając straszliwy spisek, w wyniku którego radioaktywne opary uwalniają się do atmosfery.

– Ona to będzie Hiroko, a on Eryk. – Zaczerwienił się. – Tak mi chyba będzie łatwiej pisać.

– A twoja koleżanka to Hiroko?

Chłopak kiwnął głową.

– Fajny pomysł. Pamiętaj tylko, że Japończycy to naród bardzo wrażliwy. Nie uraż jej jakimś zachowaniem bohaterki.

– Może to i racja.

– Poza tym, dlaczego jadą na północ zamiast na południe? Skoro ona jest Japonką, to raczej potrafi sprawnie się poruszać po dworcach, przeczytać wszystkie znaki. Może jednak weź Europejkę? A Hiroko niech dwoje bohaterów pozna już w Fukushima, w jakimś barze na przykład. Albo gdzie tam się poznaje Japończyków, musisz ją o to zapytać. I ona właśnie, oprowadzając ich po mieście, opowiada im o tych niejasnościach w elektrowni, więc ta dwójka zajmuje się tematem.

– A ojciec chłopaka jest dziennikarzem i nagłaśnia sprawę.
– I ratują świat przez katastrofą. – Renata się roześmiała.
Chłopak patrzył w okno dłuższą chwilę.
– Dobrze jest czasem pogadać. Muszę zapytać Hiroko, czy zechce mi pomóc.

Renata odłożyła książkę. *Jak on wyrósł* – pomyślała. – *Zaraz mi wyfrunie, mój mały syneczek.*



– Ja wiem, to głupie, ale się boję – powiedziała Renata.
Mateusz przytulił żonę. Siedział na jej łóżku, jeszcze w ubraniu.
Wrócił z dziećmi z długiej rowerowej wycieczki.
– A ja się cieszę. Kolejna porcja zabójcy raka trafi w twoje żyły.
– Jestem ostatnio ciągle głodna. Zjadłabym konia z kopytami, ale na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze. Wszystko smakuje... ohydnie. Metalem.
– To jesteś głodna czy nie możesz jeść?
– Zapytaj mojego raka.
– Nie denerwuj się. No dobra, wiem – podniósł dłonie w obronnym geście – łatwo powiedzieć. Zawiozę cię jutro, wieczorem przywiozę do domu, a za trzy dni będą święta. W piątek odpoczniesz, w sobotę pójdziemy poświęcić baranka, a w niedzielę będziemy jeść białą kielbasę i mięso w cieście.
– Co poświęcić?
– No baranka... Mama wyciągnęła taką formę, w kształcie baranka... to nie od tego? Nie na ciasto do święconki?
Renata wzruszyła ramionami.
– Może. Nie bardzo jej mogę pomóc. Stoję w tej kuchni i tylko bałaganu przysparzam.
– Myślę, że Krystyna po prostu nie lubi, gdy ktoś jej przeszkadza.
– Pomaga?
– Dla niej to to samo. Chodźmy już spać. Późno. Połóż się. Ja też

już przychodzi.

Mateusz rzeczywiście przyszedł szybko. Zgasił światło, przygarnął żonę do siebie zaborczym ruchem. Renata lubiła tę pozycję. Na łyżeczkę. Czuła się wtedy bezpiecznie. Długo nie mogła zasnąć. Około pierwszej wysunęła się z łóżka, zabrała książkę i zeszła na dół. Ułożyła się na kanapie, okryła kocem. Do drugiej czytała. *Czemu mi się nie chce spać?* – zastanawiała się. – *Powinnam być zmęczona. Próbowалаm dzisiaj pomóc mamie w kuchni i choć byłam dość nieudolna, to jednak się napracowałam. Jestem zmęczona.*

Uniosła roletę, patrząc na niebo. Od strony Warszawy nie było widać żadnych gwiazd. Miasto nawet w nocy tak rozświetlało okolicę, że niebo nigdy nie było ciemne.

Fajnie byłoby pojechać gdzieś, gdzie są gwiazdy. Chciałabym pokazać dzieciom gwiazdy. Tylko gdzie? Czy nasze dzieci widziały kiedyś gwiazdy?

Czy ja też wyląduję na jakiejś gwiazdzie? Może powinnam opowiedzieć Krysi o tym, że tam odchodzą ludzie. I Krzysiovi. Tak na wszelki wypadek. Żeby wiedzieli, że nic się nie kończy. Nie na zawsze. Wolę chyba gwiazdę niż bezosobowe niebo. A może nie wolę. Wolę zostać z moimi dziećmi do późnej starości.

Dopiero przed trzecią wróciła do łóżka. Mateusz się nie przebudził.

Rano Renata obudziła się przed budzikiem. Nie czuła zmęczenia. Jedynie... znużenie. Chwilowo strach się ulotnił, była tylko troska. Czy zdążymy? Czy nie będzie korka przy autostradzie? Czy mama poradzi sobie z dowiezieniem dzieci? Czy nie będę za długo czekała na Mateusza po wlewie?

Zdawała sobie sprawę, że to są pytania zastępcze. Nic się nie stanie, jeśli będzie korek przy wiadukcie. Nic się nie stanie, jeśli się spóźnią. Ich wizyta jest wyznaczona na dzisiejszy poranek, konkretna godzina nie ma nic do rzeczy. Krystyna daje sobie radę od kilku tygodni, dzisiejszy dzień niczego nie zmieni. W szpitalu często pacjenci oczekują na kogoś, kto ich odbiera po kropłówce... Albo jadą sami. Nie ma to znaczenia, nic jej się tam nie stanie, książki ma spakowane, MP3 też.

Nie denerwuję się – zaklinała w myślach. – I nie będę się denerwować. Przede mną przeszły to tysiące osób. I tysiące zostały

uratowane. W sumie to nie wiem, ile. Nigdy tego nie sprawdzałam. Bo nie chcę sprawdzać. Nie chcę wiedzieć. Tysiące przeżyły, wyzdrowiały i już. A ja będę kolejną cyferką w statystykach. Dobrą, pozytywną cyferką. Będę punktem obliczeniowym po to, aby być całym światem dla siebie. I dla dzieci. I może dla Mateusza. Nie wiem. Może.

Teraz jest mi bardzo bliski. I pewnie ja też jestem mu bliska. Pewnie tak. Okazał się... jak to mama kiedyś mówiła? Znalazł się. Tak, znalazł się w sytuacji. Wolalabym wiedzieć, że został dla mnie, nie dla choroby. To bez sensu. Cieszę się, że facet jest ze mną i mnie wspiera w chorobie. To egoistyczne. Jestem głupia. Nie został ze mną, bo mnie kocha, tylko został, bo nie można zostawić umierającej żony. Nie mógłby spojrzeć sobie w oczy. Sobie, szefowi, pracownikom, dzieciom. Inaczej miałby mnie pewnie gdzieś. W dupie. Albo głębiej może. Czemu ja się oszukuję? Jak można kochać kogoś, kto czuje się i wygląda jak ja? Kto ciągle wymaga opieki? Uwagi? Kto nic nie robi, tylko leży i pojękuje? Żeby chociaż leżała i pachniała... ale nie. Ja tylko marudzę. Jęczę i źle się czuję. To moje główne zajęcie. Złe samopoczucie to moje główne zajęcie. – Renata przez dłuższą chwilę smakowała ostatnie zdanie. Brzmiało dziwnie, ale prawdziwie.

Rozmyślenia przerwał dźwięk budzika. Mateusz otworzył nagle oczy. Mrugał przez chwilę. Miał minę rozkapryszonego dziecka, któremu ktoś zabrał ciastko sprzed nosa.

Pewnie śniła mu się kochanka – pomyślała Renata.

– Cześć, kochanie – powiedział ciepło, gdy spojrzał na żonę. – Jak spałaś?

– Z przerwami – odpowiedziała, uśmiechając się.

– Może pośpisz chwilę w szpitalu.

– Pewnie tak – odparła, nie patrząc już na niego. Powoli przesunęła ciało na skraj łóżka, usiadła, opuściła stopy. Kapcie jakby na nią czekały. Od lat ustawiane w tym samym miejscu, teraz nabrały symbolicznego znaczenia. Kapcie oznaczały, że można przejść z sypialni do łazienki, nie ślizgając się, bez potrzeby przytrzymywania się ściany. Kapcie oznaczały bezpieczeństwo.

Co za banał – myślała czasami Renata. – Kapcie.

Któregoś dnia dzieci, bawiąc się przy łóżku Renaty, wsunęły je

głęboko pod mebel. Renata zapamiętała moment, w którym nie znalazła kapci w wyznaczonym miejscu. Chwila paniki, niezrozumienia, obłądnego poczucia zagubienia. To było tylko okamgnienie, roześmiała się zaraz, kaptcie to nie wszechświat, ale... *Samo „b”* – pomyślała wówczas. *Bezdenne, beznadziejne, bezgraniczne, bezbrzeżne, bezmierne. Zagubienie.*

Kapcie stanowią o moim jestestwie, o tym, gdzie doszłam. – Przypomniała sobie tamto zdarzenie. W łazience umyła się i odruchowo umalowała. Wróciła do sypialni, ubrała się, zerknęła w wielkie lustro przy wyjściu z garderoby i ponownie poszła do łazienki. Zmyła makijaż. *Przecież nie przyjmą mnie wypacykowanej na oddział* – pomyślała, kręcąc głową. – *Chociaż wolalabym się mierzyć z chorobą umalowana. Zawsze to lepiej mieć jakąś twarz, chociażby namalowaną.*

Gdy wyszła z łazienki, w kuchni parowała już gorąca herbata i pachniał boczek.

– Zjesz jajecznicę? – zapytał Mateusz.

Renata wywróciła oczami.

– Wypiję herbatę. Nie muszę tego wachać, prawda?

Mateusz się skonfundował.

– Nie chciałem.

– Żartowałam, jedz. Nie jest aż tak źle.

Ale było tak źle. Sam zapach boczku, nie mówiąc już o smażonych jajkach, powodował u niej mdłości. Usiadła w salonie, z obawą wróciła do jadalni, dopiero gdy Mateusz skończył śniadanie.

– Chciałabym wypić z tobą chociaż herbatę – powiedziała.

– Powinnaś coś zjeść.

– Wiem.

– Zrobię ci grzanki. Zwykle. Takie z masłem.

Kiwnęła głową. Nie była pewna, czy ten zapach zniesie, ale chciała zrobić mężowi przyjemność. Okazało się, że grzanki nie były inwazyjne. Jedną zjadła.

– Objadłam się – powiedziała. Mateusz parsknął.

– Od ostatniej chemii prawie nie jadam – powiedziała z oburzeniem. Spoważniał. Zrobił minę zbitego psa. Teraz ona wybuchnęła śmiechem.

– Ha, ha, nabrałaś mnie – powiedział, ale nie był obrażony.

Do samochodu wsiedli w wyśmienitych humorach. Dwoje wciąż młodych ludzi, którzy wybierali się na wycieczkę.

W szpitalu Renatę usadowiono w salce, gdzie spotkała jedną ze swoich szpitalnych sąsiadek.

– Pani! – ucieszyła się kobieta, niegdyś spod okna. – Coś pani!

– A nic. Ja tylko przyszłam napić się trucizny.

– Coś pani.

Rozmowę przerwała pielęgniarka.

– Lekarz jest zaniepokojony.

– Niedobre wyniki? – Renata zamarła.

– Krew dopiero pobiorę, nie może być jeszcze wyników. Ale bardzo pani schudła.

– Prawie nic nie jem. Nie mogę, od wszystkiego mi niedobrze.

– Ma pani biegunkę? – zapytała profesjonalnie pielęgniarka.

– Nie, wymioty.

– Szkoda, że pani nie powiedziała tego wcześniej. Dostałaby pani odpowiednie leki.

– Rzecz w tym, że powiedziałam – odparła Renata. – Dostałam odpowiednie leki i je zażywam, zgodnie z zaleceniami. Dzięki temu nie rzygam cały czas, tylko po jedzeniu.

Pielęgniarka się nie odezwała. Założyła wenflon, pobrała krew i wyszła, cały czas w milczeniu.

– Pani se mniodem osłodzi – powiedziała sąsiadka. Siedziała w takim samym wielkim fotelu, w jakim usadzono Renatę. Pod głową miała poduszkę w przybrudzonej powłoczce, spod koca wystawała spuchnięta łydka. W jej żyły wlewał się żrący płyn.

– Nigdy nie słodziłam – odparła Renata, kręcąc głową.

– A tera musowo – skwitowała starsza pani. – Gorąco tu jak w piecyku.

Renata kiwnęła głową.

– Gorąco, a ja muszem się przykryć. Pani też się będzie przyoblekać?

– Nie wiem, pewnie nie.

– A będzie, będzie i pani. Gryzące te koce tu dają, ale jak człowiek

podłączony do tego tu, to zimno i gorąco. W tył, na lewo i do przodu.
Wie pani, jak to jest?

– Chyba wiem. – Renata się zastanowiła. – Chociaż nie. Właściwie nie wiem. Ostatnio z nerwów nie pamiętam nic zupełnie, a jak się uspokoiłam, to zasnęłam. Zobaczę, jak będzie dzisiaj.

– Dobrze będzie – podsumowała starsza pani.

Renata wyciągnęła z torby książkę i kubek z pićciem.

– Bedzie czytać?

– Tak, chciałabym, to tyle godzin...

– To nie pogada. Szkoda. – Staruszka patrzyła w okno.

– Ależ skąd, możemy rozmawiać, jak najbardziej. – Renata zapewniła ją odruchowo, zanim ugryzła się w język. Chciała poczytać, podrzemać, pomyśleć trochę. Nastawiła się duchowo na słuchanie plotek, wyjęła jednak z torby książkę, trzy gazety i notatnik oraz własną poduszkę. Uśmiechnęła się do staruszki, wyszła po szpitalny koc i ułożyła się na rozkładanym fotelu. Podwinęła koc pod siebie – skajowe obicie fotela wydawało nieprzyjemny odgłos przy każdym ruchu, jakby ciało Renaty piszczało.

– Bo pani wie, to nie jest dobrze, jak kto jest sam.

– Nie jest – odruchowo potwierdziła Renata.

– No. I ja też nie jestem sama, bo wie pani, ja mam dzieci. Ale one daleko.

Renata milczała.

– Córka to przyjechała ostatnio. Ale sama. I smutno było, bo ona od razu chciała abarot wracać.

– Przepraszam, nie pamiętam... Córka pani w Anglii, prawda?

– A skąd, w Angly, pani! – Starsza kobieta się oburzyła. – Jake tam w Angly. Córka to na Bielanach mieszka.

– Na Bielanach?

– Tak, pani. Duży dom ma, i dzieci do dobrej szkoły chodzo. Ale nie widuje ich, nie widuje.

– Ale przecież z Bielan tu można dojechać w czterdzieści minut, godzinę może?

– Ale ona nie może, bo zajęta jest.

– Pracuje? – Renata próbowała wykrzesać z siebie współczucie.

– Pani, ona się domem zajmuje! Mąż pracuje, a ona dba, oj dba. Take on koszule ma, że wyglądają jak spod igły. Fernefiksy odprasowane zawsze. Aligancki taki. I posprzątane, i ogród zadbane, i ugotowane... ale pani, toć wszystko trza dopilnować, i ogrodnika, i sprzątaczkę... Toć samo się nie robi. A nic na patataja u niej ni mo.

– A pani to często u córki bywa?

– A tak ze dwa razy się zdarzyło.

Rozmowę przerwało wejście pielęgniarki. Ciągnęła za sobą stojak z kroplówką. Do sali wszedł też lekarz, zapytał zdawkowo o samopoczucie, przepisał leki.

– Objawy zna pani? – Stwierdził raczej, niż zapytał.

Renata kiwnęła tylko głową.

– Dobrze – odpowiedział lekarz, zostawił recepty i wyszedł. Renata przełknęła ślinę.

Znów rzyganie, zawroty głowy. Znów leżenie całymi dniami – pomyślała.

Przestań – odezwała się natychmiast Renata antagonistka. – Wyrzucasz całego raka, a potem będziesz spędzać czas na spacerach z dziećmi. W święta szczególnie.

Super. W święta szczególnie będę zwracać, zamiast jeść smakołyki matki. Do dupy z takim życiem – nie dawała za wygraną ta pierwsza.

Do dupy z taką chorobą, dlatego musisz teraz grzecznie podać rączkę i pozwolić, aby czerwony płyn wypełnił twoje żyły. O tak – myślała, nieświadomie napinając szczękę.

Starsza pani patrzyła w okno. Gdy pielęgniarka wyszła, odezwała się.

– Nie trza się tak nerwować.

– Ależ ja się nie denerwowałam – odparła Renata.

Starsza pani odwróciła się i popatrzyła na Renatę, mrużąc oczy.

– Pani, ja jestem już stara. Ja mam szósty krzyżyk. Dzieci odchowane, wnuki mają się cacy, ja już nie muszem. Nic nie muszem. A i tak chce żyć. Na myśl o truposzczakach i innych tych sztywnych to mnie się, pani, niedobrze robi. To nic, że mnie dzieci zostawili i że tylko sąsiad od czasu do czasu zagada. To nic, że ubieram się na wyjście na bazar jak do tryjaturu, ja zawsze chodziła tylko na bazar. Nie miała ja

czasu na balety i strojenie się, oj nie miała, ale trwałe ondulacje zawsze miała. Stary dobry był facet, ale nieobrotny, alpaga, jagodzianka i dulce go w sosnowe jesionkę pchneli. Ja sama dzieciaki wychowałam i zarobiłam na nie, jak się dało. Trochę kurek hodowałam, to i dla dzieci jajeczka byli, i na handelek jak znalazł. Trochę marchewki wyhodowałam, a trochę posyłałam w zakładzie niedaleko, na czarno, żeby zasiłku nie tracić. Kapoty my szyli. Powiązałam ją koniec z końcem i wychowałam, chociaż i bida bywała. Nie było ani jak, ani za co, ani z kim iść... do kina na ten przykład nie było za co iść, a i sama nie mogłam, bo nie wypadało. A stary mój nie chciał. Siedziała ja w domu, i dbałam o niego. A teraz co. Teraz mam czas i nic już mnie nie obchodzi, że nie wypada, ale nie pójdę do kina. Ani nie mam za co, ani nie mam sił. Leżę w wyrku szpitalnym, kimam ciągle, kukam... Moje kino tyle, co za oknem.

Renata trzymała książkę na kolanach, otwartą i odłożoną do góry grzbietem. Chciała coś powiedzieć, nie bardzo wiedziała co, i starsza pani wcale tego nie potrzebowała.

– Ja mieszkała na Woly. Wie pani? – Spojrzała pytająco. Renata nie wiedziała, ale kiwnęła głową. – Mortus był, znaczy się bida. Ale dałam rade. To i teraz też dam.

– Ale córka... mogłaby czasem coś pomóc pani?

– A co tam, one swoje ma. Wiesz pani, ona w pałacu mieszka, narzeka czasem, ale troszkie to jej sodówka odbiła. No, wie pani, taka woda ze sodem.

– Sodowa?

– Właśnie. I jej się wydaje, że teraz stara matka, co to mówi jak córka syreniego grodu, to nie bardzo. I ja wiem, tak musi być. Młode to muszo iść swojo drogo, tak jest dobrze. Ale wiesz pani, one żyje dobrze, ale nie so za szczęśliwe, nie tak zupełnie. No... – zastanowiła się starsza pani – ta moja córka, to nic nie robi, a ciągle zajęta pod sufit. Nie pracuje, a do dzieci potrzebuje niani. Ja to była bidna, i musiała przypichcić, lepić kluseczki i pierożki, bo na mięso to nie stykało, i co? I zawsze z dzieciami była. Wyedukowała. Studia pokończyły, obydwie. Nianki nie potrzebowała. I ta moja córka, co jej się wydaje, że taka wspaniała, bogata, pierwsza klasa ostatni przedział, to ona bidna jest, samotna. Mąż jej to ciągle gdzie gna po świecie. Jeździ i co on tam robi,

to tylko Pan Bóg ma w rozeznaniu. A ona samotna jest, tak, samotna. – Pokiwała głową trzykrotnie. – Na zycher, fest samotna.

Renata milczała, mrugając tylko od czasu do czasu.

– I ja też jestem samotna – kontynuowała starsza pani. – Bardzo jestem sama. I co z tego. Ni mam już o czym z córko gadać. Wnuków tylko szkoda. Jak wyjde ze szpitala, to już ja o to zadbam. Bede ich do siebie brać, choćbym i co drugi dzień autobusem miała po nie śmigać.

– Autobusem? – Renata się nie powstrzymała.

– No dzyndzajem tam nie dojedzie. Na gabłote brak fundusza.

A przecie mi ich nie przywiezie. Zreszto, kiedy one miałyby autobusiakiem pojechać, te moje wnuki? Tylko ze mno.

– No tak, ale to długo, i ciężko dla pani.

– Długo, niedługo. Niedługo to ja pożyje pewnie, to z wnukami troszkie pobede. One sie muszo nauczyć, bo one tera to tylko złote klamki majo. Pierogów nie umio ulepić, a może i ledwo wiedzo, co to je. A wiedzieć muszo. I pójde z nimi na grób.

– Na grób... – Renata mrugała coraz częściej.

– Na grób dziadka. Rodzinny. Na Woly jest. Tam i jego rodzice, znaczy sie starego mojego, ślubnego, i on sam. One to dziadka nie znajo, te moje wnuki. Zdjęcia im pokazuje i opowiadam, jak sie spotkamy, ale co my sie tam spotykamy, złociutka. Jak wyjde ze szpitala, to od razu zadzwonie, żeby mi te wnuki przywiozła. I bedzie jak talala.

Renata popatrzyła na książkę, pogłaskała okładkę. Milczała.

– Bo może pani i masz rację. Na pekaesiaka to sił mało, niech przywiezie.

– Może zadzwonimy. – Renata zaproponowała, gdy starsza pani umilkła na dłużej.

– Gdzie zadzwonimy?

– No... do córki pani.

– A co tam, pani! – oburzyła się sąsiadka. – Ja sama.

– A syn pani?

– Co syn?

– Wspomniała pani, że ma syna.

– A syn, tak. On to daleko jest. – Wykonała gest obejmujący przestrzeń daleko poza szpitalnym łóżkiem.

– Za granicą gdzieś. – Renata potaknęła z udawanym zrozumieniem.

– No. – Starsza pani potwierdziła. – Pod Radomiem on mieszka.

– Pod Radomiem?

– Tak. Dom ma, i firme ma. Warsztat prowadzi. Wykształciła go, to i warsztat prowadzi. Zawodówkę skończył, na mechanika się uczył, i się wyuczył, chociaż to wałkoń był. Płaciła ja nauczycielowi, żeby słupki wszystkie pozalyczał, bo słabo było, oj słabo... a z polskiego to somsiad szrajbował mu co tam trzeba, ja pierogi całej ich rodzinie lepiła za te wypracowania. A co tam, ja gotować zawsze lubiała, to i pierogi dobrze mi szli, to i z polskiego byli dobre oceny. Chojrak i nygus to on musowo był... Nie tam żeby szemrane sprawy od razu. Ale samochodowo szkołę on skończył, warsztat ma, ustawiony na fest.

– Warsztat...

– No. Żony rodzice to mu trochę dołożyły, bo ja to tam nie miała z czego.

– A ma syn dzieci?

– Coby miał nie mieć? Najpierw to te teście to go wcale nie chciały. Dopiero jak córeczka zaciążyła, to z brzuchem do kościoła poszła, i tak się wzenił w warsztat i insze. No te insze to on już se zapracował.

– A dużo ma dzieci?

– A czwórkie ma, andrusy, urwipołcie. Trzech chłopaczków i dziewczuskie. Ta mała, co najmłodsza jest, to już miało jej nie być. Pomyśl pani, synowa poszła do lekarza, tego od wie pani, tych babskich spraw, no i powiedziała, że dzieci mieć więcej nie chce. I że ma jej założyć, tą, no wie pani. I ten lekarz powiedział, że on chętnie, tylko nie tera. A wiesz pani, dlaczego? Bo ona już zaciążyła, i z najmłodszo przy nadziei była. Mówiła jej, Pan Bóg tak chciał, ale ta głupia to się złościła i ryczała. I narzekała, że ona to tylko w ciąży i w ciąży, i życia nie ma, bo ciągle z brzuchem. Głupia taka. Co to złego, że brzuch? A tera to się cieszy, bo ta mała to słodka jak legumina. Delykatna, chorowita, ale kochana taka. I uczy się dobrze, i grzeczna jest, i śpiewa pięknie, i rysuje, i nawet na muzykie chodzi. Na pianinku się edukuje.

– Odwiedzają panią?

– Co mają nie odwiedzać? – Starsza pani posmutniała. –
Odwiedzają... ino rzadko.

Renata pokiwała.

– Syn to nie dba o to... ale synowa, to tak. Przywozi mi dzieci tak raz w miesiącu. Idziemy wtedy na bazar, na cmentarz, a nawet i do kina, jak synowa pieniądze zostawi, bo ja to niby z czego, gołe płótno w karmanie. Dzieciaki radość mają, bo to kino, i ta kukurydza, i jakieś coś zawsze jeszcze oblecom. To i zadowolone som. Ale tera to nie, tera to ja nie mam siły... Nie przyjeżdżają tera, już długo nie.

– A synowa pracuje?

– A skąd! Gdzieżby ona! Pani, ona jest jak moja córca.

– Pani... – Renata się zastanowiła – przepraszam, ale nie wiem, jak mam do pani mówić.

– Henryka jestem, od krztu samego.

– Pani Heniu, ma pani dobre dzieci, tylko pewnie pogubiły się trochę.

– Troszkie... tak. Tera musze sie kimnąć, take gadane to mnie umęczy.

Renata uśmiechnęła się. Pani Henia ułożyła się wygodniej w fotelu i po kilku minutach delikatnie pochrapywała.

Renata podniosła książkę. Przeczytała kilka zdań, ale znów ją odłożyła, popatrzyła na czerwony płyn skapujący do jej żył z regularnością strzałów cekaemu i też przymknęła oczy. Zasnęła na prawie godzinę.

Potem pani Henryka już niewiele mówiła. Patrzyła raczej w okno, drzemała, jej wlew kończył się wcześniej niż Renaty. Zdążyła jeszcze powiedzieć:

– Ja to dziś jade do domu. Bedzie u mnie synowa, przyjechała do Warsiawy coś załatwić, i przenocuje u mnie. Ja to sama bym tera pitra mniała. Ide do domu na przepustkie, dlatego mnie tutaj dziś położyły, coby futrunku już nie dać. Bo jakbym była na sali, to obiad musiałyby dać, legularnie.

– Jest pani głodna?

– Głodna? Ja? Jakżesz to!

Renata wyciągnęła kanapkę.

– Proszę, ja to raczej nie mam ostatnio apetytu.

Henryka sięgnęła po kanapkę po chwili wahania.

– Bo musisz sobie osłodzić, dziecko. Wszystko mniodem słódź, i będzie jak w raj, mniód malyna.

Do wieczora Renata była sama. Czytała, trochę słuchała muzyki. Gdy przyjechał Mateusz, kroplówka była odpięta, a Renata czytała kolorowy tygodnik, polegując wygodnie.

– Teraz do domu szykować święta! – powiedział wesoło Mateusz.

– Drugą porcję raka masz już zatrutą, trzeba świętować.

– Niedobrze mi – odezwała się Renata już w samochodzie.

– Nie dali ci leków przeciwwymiotnych?

– Dali, ale może mało. Jedź powoli.

Jechali długo, zatrzymując się kilkakrotnie. Renata chciała wziąć kilka głębokich wdechów zimnego powietrza. Wielkanoc była tuż tuż, ale wiosna nie bardzo chciała się pokazać. Ciągłe było zimno, a każdy haust powietrza zostawiał odczucie wilgoci w ustach. Renata łykała to powietrze, jakby chciała się nim najeść. Potem wsiadała do auta i znów przejeżdżali kilka kilometrów. I znów postój. Mateusz był jednak spokojny. Cieszył się, że żona jest koło niego, że drugą turę mają już za sobą. Po pierwszym wlewie cała rodzina była przepełniona nadzieją – wszystko będzie dobrze, powtarzali sobie, wierząc w to, co mówią. Wydarzenia ostatnich tygodni nauczyły go pokory: nie denerwował się opóźnieniem na drodze, akceptował sytuację, tak jak musiał zaakceptować chorobę.

Gdy dojechali do domu, Krystyna wyjęła z piekarnika kolację, a dzieciaki obsiadły matkę. Renata była blada, ale przytuliła dzieci, nawet Eryk przyszedł na chwilę. Krysia usiadła na oparciu kanapy, nad głową Renaty, i ułożyła nóżki wokół jej szyi. Całym ciałem położyła się matce na głowie. Krzyś dokazywał na kolanach Renaty.

– Kolacja! – Krystyna pokrzykiwała. – Macie przyjść na kolację!

– Idziemy, idziemy, nie denerwuj się, mamo – odpowiedziała Renata, czując mdłości na myśl o jedzeniu. Usiadła jednak ze wszystkimi przy stole i nawet skubnęła trochę pieczonego drobiowego mięsa. Do herbaty dodała łyżeczkę miodu, bardzo jej zasmakowała.

– Kurczak też mógłby być trochę słodszy – powiedziała,

a Krystyna uniosła brwi.

Mięso słodkie? Ten rak to już się mojej córce na mózg rzuca – pomyślała.

Następne dni minęły na przygotowaniach. Renata z Mateuszem i dziećmi pojechali do kościoła ze święconką, potem Mateusz włączył się w przedświąteczne sprzątanie. Krystyna szalała w kuchni, ojciec Renaty zajmował dzieci wszystkim, co mu przyszło do głowy. Rower. Gry planszowe. Rysowanie – byle tylko dały trochę spokoju Renacie.

Niedzielne śniadanie było bardzo uroczyste. Daria przyniosła sporo wiktuałów, Krystyna przygotowała obłędną ilość potraw, ucztą szykowałą się na kilka dni. Renata wiedziała, że w spiżarni czeka jeszcze tort, pascha, sernik i dwa inne ciasta.

Chora nie mogła jeść. Skubała trochę, choć Krystyna przygotowała część dań specjalnie dla niej. Gotowane warzywa, bez majonezu. Łosoś zawinięty w lekkiego omleta. Renata czekała tylko na tort – słodki, a teraz potrzebne jej było słodkie. Święta to było lenistwo, spacer po śniadaniu, obiad, i znów ciasta. I znów spacer. Czytanie, zabawy, rozmowa. Spokój.

Raj. Po prostu raj – myślała Renata. – Nie chciałabym go stracić.

Następny dzień też taki miał być. Cała rodzina spała długo, poza Krystyną, która już po siódmej zaczęła przygotowania w kuchni. Dopiero po dziewiątej Renata weszła do pokoju dzieci, budząc je delikatnie. Potem poszła do łazienki, z której chwilę wcześniej wyszedł Mateusz. Weszła pod prysznic, potem wytarła się, nasmarowała całe ciało balsamem.

Jestem chuda jak szczapa – pomyślała. – Niedługo będę biegać pod prysznicem, pomiędzy strumykami wody.

Nałożyła odżywkę na włosy i sięgnęła po grzebień.

Dobry czas, te święta. Chciałabym tak zawsze. Nawet bliźniaczki Darii nie przeszkadzały. Tak było spokojnie – myślała przed lustrem. Popatrzyła na swoją dłoń. Patrzyła dość długo, zanim zrozumiała. Wtedy przeniosła wzrok na swoje odbicie.

W ręku miała pęk włosów. W jednym miejscu skóra na głowie była łyśa. Renata zamrugnęła, odłożyła grzebień, włosy wrzuciła do umywalki. Obiema rękami chwyciła się za włosy. Z każdym zaciśnięciem dłoni

z głowy wychodził kolejny wiecheć. Wrzucała je do umywalki, aż zappełniła ją w połowie.

Teraz tego nie spluczę – pomyślała. – Tak jakby to miał być teraz mój największy problem – zachichotała nerwowo.

Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo siedziała w łazience. Słyszała, że matka wołała ją na śniadanie. Wołał także Mateusz. Krzyś przybiegł ją zawołać, ale nie zauważył matki siedzącej w kącie za łazienkową szafką. Renata wcisnęła się tam, żeby być daleko od lustra. Do łazienki wszedł także Mateusz. Wszedł i wyszedł, a gdy nie znalazł Renaty, zaczął obchodzić dom jeszcze raz. Dopiero za drugim razem zauważył jej stopę, podszedł i stał bez ruchu.

– Zmarzniesz – powiedział z lekkim uśmiechem do żony.

Renata trzęsła się z zimna. Podłoga i ściana, o którą się opierała, były wyłożone kafelkami, a ona się nie ubrała, ciągle była zawinięta tylko w ręcznik.

Mateusz kucnął przed nią, patrzył jej w oczy. Potem usiadł po turecku i oznajmił z wyraźnym zadowoleniem:

– Wreszcie!

Renata popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Jakby próbowała powiedzieć „Mój mąż zwariował”.

– Wreszcie widzę, jaki masz piękny kształt głowy. Zawsze go ukrywałaś pod włosami.

Renata patrzyła na niego przez chwilę, a potem rozpląkała się histerycznym spazmem. Przysunął się do niej, objął ją, i po prostu nic nie mówił. Do łazienki zajrzała Krysia.

– Tato, babcia się denerwuje – powiedziała dziewczynka, stając z wahaniem w drzwiach.

– Powiedz babuni, że przyjdziemy za jakiś czas. Nie możemy teraz – odpowiedział najspokojniej, jak umiał. Ciągle obejmował Renatę.

– Ja...

– Krysiu, idź do babci i powiedz, że nie możemy na razie zejść – powiedział Mateusz bardziej stanowczo.

Mała wyszła z łazienki z ociąganiem. Mateusz pogłaskał żonę, po czym wyplątał się z jej objęć. Wyszedł z łazienki. Renata przyjęła to obojętnie. Wrócił po chwili z kocem i kolorową chustą.

– Czekaliśmy na to. Wiedzieliśmy, że tak będzie – powiedział, podając jej tęczową tkaninę. Renata przełknęła ślinę, wyciągnęła rękę po materiał.

– Jestem wstrętna – powiedziała.

– Jesteś moją piękną, ukochaną żoną. Chwilowo odkryłaś się przede mną bardziej niż zwykle, ale to przejdzie, niestety. – Teatralnie westchnął.

Rozśmieszył Renatę. Rozłożyła chustę.

– Dobrze, że ją wcześniej kupiłam.

– Dobrze – odpowiedział. – Jest piękna, i ty będziesz w niej piękna.

Kiwnęła głową, przykładając materiał do głowy. – Ćwiczyłam to, ale nie wiem, czy dam radę dobrze się zawinąć...

– To zawiniesz źle – odparł.

Renata mocowała się z materiałem. W końcu udało jej się uformować niezgrabną bułę.

– Bez tej chusty wyglądasz lepiej – powiedział z zawodem Mateusz.

– Bez tej chusty na razie nie jestem w stanie podejść do lustra – powiedziała.

– Na razie – odparł.

Renata się ubrała, Mateusz stał oparty o ścianę i przyglądał się jej z uśmiechem.

– Jesteś szczupła jak modelka.

– Jestem chuda jak kościotrup.

Skrzywił się.

– Nie podoba mi się to porównanie.

– Mnie właściwie też nie. – Uśmiechnęła się blado.

Zeszli powoli, Renata pod rękę z Mateuszem, jak para młoda.

– Przedstawiam wam moją nową żonę – powiedział Mateusz.

Renata parsknęła.

– Proszę mi się tu nie chichrać. – Mateusz był poważny. – Moja nowa żona, w nowym twarzowym nakryciu głowy, do tej pory była tylko chora. Od dzisiaj walczy z chorobą. Chemia zaczęła naprawdę działać! Zwalcza te niedobre komórki w fazie wzrostu, i od dzisiaj z każdym dniem Renata będzie zdrowsza! Renatko – zwrócił się do żony –

przepiękny prezent świąteczny. Dziękuję.

Renata stała, przygryzając wargę. Krystyna właśnie szła z kuchni, niosąc na stół kolejny półmisek, gdy Mateusz rozpoczął swoją przemowę. Stała tak, patrząc na córkę, a kiedy ojciec podszedł i ją uściskał, ona wróciła do kuchni. Młodsze dzieci podskoczyły do matki, obłapiając ją z dwóch stron, Eryk ucałował matkę w oba policzki.

– Trzymaj się, mamó – wyszeptał. Uścisnęła rękę syna.



– Sama rozumiesz, że nie mogłam się mazgać.

– Jasne. – Daria słuchała nieuważnie. – To chyba wreszcie muszę cię namówić na te moje babskie spotkania. W przyszłym tygodniu jest malowanie na batik, w sam raz dla ciebie.

– Co jest? – zapytała Renata pozornie bez związku.

– Jak ty mnie znasz. Wszystko wysłyszysz. – Daria westchnęła. – Dostałam dzisiaj pozew rozwodowy.

– A to nie ty miałaś go złożyć?

– Nie zdążyłam. Zamierzałam się wybrać do prawnika w przyszłym tygodniu... Właściwie to w przyszłym tygodniu od miesiąc temu. Po prostu Klemens był szybszy... Chociaż niby się zarzekał... Zresztą, co tu gadać. Wszystko ostatnio robię na zasadzie „wreszcie muszę”. – Daria znów westchnęła.

– Będę u ciebie dziś po południu. Właściwie to za dwie godziny. Nie, za godzinę. Masz być zebrana, umalowana i ładnie ubrana. Czekać na mnie przy kawie, a wszystkie prace domowe mają być zepchnięte w ką. Najdalszy z możliwych.

– Łatwo ci mówić. Masz pomoc w domu.

– Łatwo mi mówić. Ledwo się ruszam i rzygam co dwa kroki, ale do ciebie przyjdę – warknęła Renata.

– Dobra, dobra. Czekam.

Żeby to ja musiała pocieszać zdrową! – pomyślała Renata, po czym przystanąła w drodze do łazienki. – *A właściwie to co to takiego.*

Zdrowa, chora, w końcu nie jestem jeszcze umierająca.

Już w drzwiach pachniało kawą, Renatę od razu zemdliło.

– Zapomniałam... – Westchnęła. – Kawa to dla mnie chwilowo tylko symbol. Ja ziołową herbatkę poproszę. I usiądę daleko od tego pachnącego. – Wskazała ręką czajnik z kawą.

– Obawiam się, że u mnie nie uświadczysz ziołowej herbatki. Może być ewentualnie mięta lub rumianek, bo czasami dziewczynki tym poję. – Daria zerknęła do szuflady. – A nie, może być tylko rumianek.

– Okej, rumianek.

– A ciastko zjesz?

– Drożdżówka może być. – Renata kiwnęła głową, obejrzawszy zawartość talerza. – Czego ty się tak pieścisz? – Od razu przeszła do rzeczy.

– Wiem, że przy twoich kłopotach to pikuś, ale... – Daria spojrzała w okno. – Wszystko mi tutaj przypomina Klemensa. Razem urządzaliśmy, razem kupowaliśmy meble, razem planowaliśmy ogród. Wszystko było razem, teraz się... oddzieliło.

– Dzieci też robiliście razem – powiedziała cicho Renata.

– Co? A tak! – Daria się uśmiechnęła.

– Więc teraz musisz pomyśleć, że on cię z tymi dziećmi zostawił.

– No właśnie... Obawiam się, że i tu mogą być kłopoty. On w pozwie chce opieki nad dziećmi. Twierdzi, że nie dam rady sama ich utrzymać.

– Zażądaj alimentów.

– A pewnie. Ale będzie wojna. A mnie się nie chce.

– Nie chce ci się walczyć o dzieci?

– Oj, czepiasz się. – Daria się naburmuszyła.

– Czepiam, czepiam. Mam prawo. Wiesz, jak mi się nie chce iść na kolejną chemię?

– O której jedziesz po dziewczynki? – zapytała Renata po kilku minutach ciszy.

– Koło czwartej.

– A co robisz do tego czasu?

– Siedzę z tobą.

– A jak mnie nie ma? – Renata nie ustawała.

– Dobra, tu mnie masz. Siedzę w domu i płaczę w poduszkę. Nie sprzątam, nie porządkuję szaf. Nie biegam po sklepach ani nie odnawiam się u kosmetyczki. Nie maluję na płótnie ani nie uczę się makramy. Co mam ci powiedzieć?

– Wszystko już powiedziałaś. A z Gabrielem się widziałaś?

– Nie mam czasu – odburknęła Daria.

Renata parsknęła śmiechem. Daria też się uśmiechnęła.

– Zawsze potrafisz mnie rozluźnić.

Renata tylko patrzyła na przyjaciółkę.

– Dobra! Rozumiem! Spotkam się! Tylko już nie kręć paszczą.

– No – powiedziała Renata z zadowoleniem. – A teraz muszę się zbierać. Wyjście z domu i taka dyscyplinująca rozmowa zżera strasznie dużo energii.



W domu Renata się położyła. *Zdrzemnę się przed przyjściem dzieci. Może pójdziemy na rower. Wprawdzie ciągle zimno, ale Krzyś będzie miał radość.*

Nie dane jej jednak było zasnąć.

– Halo? – powiedziała lekko zachrypniętym głosem.

– Witaj, tu Joanna. Wszystkiego dobrego po świętach.

– A... – Renata się zająknęła. – Witaj Joasiu, co słyhać?

– U mnie wszystko dobrze, a jak u ciebie? Jak się czujesz?

Nie rozmawiały od ostatniego spotkania. W pierwszej chwili Renata miała ochotę powiedzieć: „Daj mi spokój. Zamieszalaś mi w życiu, potem uświadomiłaś mi, że poza tobą nie miałam żadnej przyjaciółki”... Ale się pohamowała. Szczerze ucieszona z telefonu Joanny, zaprosiła ją na sobotni obiad.

– Na obiad? – Mateusz nie ukrywał zdziwienia, kiedy wieczorem dowiedział się od żony o tym zaproszeniu. – Ale dlaczego?

– Bo nigdy nie miałam nikogo bliższego w życiu. Poza tobą, oczywiście. – Renata przytuliła się do męża.

To tak jak ja – pomyślał Mateusz.



– Wyjeżdżamy – powiedziała Krystyna w czwartek po południu.

– Jak to, wyjeżdżacie? – Renata zamrugła nerwowo oczami i popatrzyła na matkę.

– Nie byliśmy w domu od kilku tygodni. Wyjedziemy jutro, wrócimy we wtorek. Poradzicie sobie przez weekend. Mój dom też woła o opiekę.

– Mamo, a tata nie mógłby sam pojechać?

– A ty chciałabyś jeździć gdzieś bez Mateusza? Wszystko przygotowane, pomrożone. Z głodu nie pomrzecie.

– Ale w sobotę...

– Wiem, Mateusz mi mówił. Szkoda, że ty mi o takich rzeczach nie mówisz. – Krystyna zaatakowała.

– Mamo, o czym ci nie mówię? – jęknęła Renata.

– Że spodziewacie się gości i trzeba w domu nagotować i naszykować.

– Nie sądziłam...

– Niewiele sądzisz ostatecznie, dziecko.

– Mamo, ja...

– Już dobrze, dobrze. – Krystyna podeszła do Renaty siedzącej na kanapie. – Zrozum, ja też jestem trochę zmęczona. I chcę chwilę pobyc u siebie. Dzieci są cudowne, ale... chcę odpocząć chociaż dwa dni.

– Rozumiem, mamo.

– Wszystko jest przygotowane – powtórzyła starsza kobieta. – Albo w lodówce, albo w zamrażarce. Musisz wstać, pokażę ci.

Mama się naprawdę stara – pomyślała Renata, stojąc przed lodówką napakowaną jedzeniem. – Jestem taka niewdzięczna.

Przytuliła matkę, Krystyna objęła córkę, ale stały tak tylko chwilę.

– Czas jechać po dzieci – powiedziała Krystyna.

– Może ja tym razem pojedę?

Krystyna popatrzyła powątpiewająco.

– Mamo, jestem wprawdzie łysa, ale wszystkich komórek mózgowych jeszcze mi nie wyżarło.

Krystyna machnęła ręką.

– To ja podgrzeję zupę. Będzie ciepła, jak wrócisz z dziećmi.



W szkole jak zawsze panował rozgardiasz. Dzieci biegały, rodzice przepychali się między nimi, nauczyciele pokrzykiwali.

– Mama! – krzyknęła Krystyna. Dobiegła do matki, popychając ją na ścianę.

Renata nie bardzo mogła odpowiedzieć, w tym hałasie i tak nie byłoby jej słychać.

– Idziemy jeszcze po Krzysia – powiedziała już w szatni. Krystyna długo się ubierała, jakby przedłużała czas tylko z mamą.

W przedszkolu scena się powtórzyła.

– Dzisiaj jestem nieustająco popychana. Moje dwie popychaczki. – Uśmiechając się, Renata pomagała Krzysiu. – Jeszcze Eryk. Autobus odjeżdża za dwadzieścia minut, powinniśmy zdążyć.

Eryk wprawdzie nie próbował wskoczyć na Renatę, ale też wyraźnie się ucieszył.

– Pokazałem panu od polskiego to opowiadanie – powiedział w samochodzie od razu, jak tylko pozamykali drzwi.

– To o Japonii? To już je skończyłeś?

– Na razie pierwszą wersję.

– Nie pokazałeś mi?

– Chcę ci pokazać, gdy będzie gotowe.

– I co powiedział polonista?

– Naniósł sporo poprawek. Ale...

Renata uniosła brwi, czekając z odpalonym silnikiem na ciąg dalszy.

– Ale dodał, że warto nad tym pracować. Że ma potencjał. Mamo,

on mnie jeszcze nigdy tak nie pochwalił!

– Jestem dumna. – Uśmiechnęła się.

– A ze mnie, mamó, ze mnie też jesteś dumna? – Krzyś natychmiast się zaniepokoił.

– Oczywiście! Ze wszystkich jestem dumna! – odpowiedziała Renata, zerkając na Eryka. Chłopak siedział zadowolony.

– Krzysiu, dumnym jest się wtedy, jak ktoś zrobi coś fajnego – wtrąciła Krysia.

– A ja nie robię nic fajnego? – Chłopczyk się zmartwił.

– Oczywiście, że robisz. Wszyscy robicie. Codziennie powodujecie, że jestem z was dumna, bo jesteście mądrzy i dobrzy – powiedziała Renata.

– No widzisz! – Krzyś triumfował.

– Ze mnie też? – dopytywała Krysia.

– Ze wszystkich!

Krysia się zastanowiła. Zanim jednak wymyśliła komentarz, Eryk pokazał palcem:

– Jaki fajny samochód! Zobaczcie, dawno takiego nie widziałem.

Dzieciaki zajęły się samochodem, a Renata nie miała ochoty zwracać Erykowi uwagi, że nie pokazuje się palcem.



– Widziałam się!

– Nie drzyj się tak. – Renata odsunęła telefon od ucha. Pół wsi cię słyszy.

– I co z tego! Widziałam się, i było świetnie.

– To dobrze. Tylko się nie afiszuj.

– Słucham?

– Lepiej, żeby to nie dotarło do Klemensa, prawda? Nie przed rozwodem.

– Jesteś nudną realistką – powiedziała Daria.

– Dzięki której spotkałaś się z tym wcale nie nudnym facetem.

– To tylko tyle chciałam – powiedziała Daria. – Teraz idę śpiewać do lustra, a potem jadę po dziewczynki.

Renata odebrała telefon w łazience. Dzięki lekom wymiotowała mniej, ale dokuczały jej żołądkowe dolegliwości.

Porozmawiam o tym w poniedziałek z lekarzem – postanowiła.

Sobotni obiad był udany. Renata wyciągnęła z lodówki wszystko, co przygotowała Krystyna. Joanna rozpływała się w zachwytach.

Mateusz był trochę skrępowany, ale trzymał fason.

– Co u ciebie? – dopytywała Renata.

– Radzę sobie. Zaczynam pracę od przyszłego miesiąca.

– Błyskawicznie.

– Nie wiem. To raczej nie będzie praca marzeń, ale pozwoli mi się utrzymać. W sumie dobrze mi w domu. Wreszcie mam czas żyć.

Dzieci świetnie bawiły się z Joanną. Trochę na dywanie, trochę na dworze.

– To sukces Krzysia. Dopiero niedawno nauczył się jeździć na dwóch kółkach – komentowała Renata na spacerze, na który przyjaciółki wybrały się razem z młodszymi dziećmi.

– Ciociu, kiedy do nas przyjedziesz znowu? – dopytywała się Krysia, gdy Joanna zbierała się do wyjścia.

– Jak najprędzej – wyszeptała jej Joanna do ucha, ale tak, żeby słyszała Renata. – Jak tylko mama mi pozwoli.

– Mama szybko pozwoli – również szeptem odpowiedziała na uszko dziewczynce Renata, ale tak, żeby słyszała Joanna.

Po wyjściu gościa Renata położyła się na kanapie.

– Trochę tylko odpocznę – powiedziała i zasnęła. Mateusz w tym czasie pozmywał, pomagał mu Eryk.

– Dziwna ta Joanna – powiedział chłopak.

– Dlaczego? – zapytał ojciec, udając skupienie na układanych talerzach. Nie odwrócił twarzy w stronę syna.

– Mama niby ją zna tak długo, i takie przyjaciółki, a przez lata jej u nas nie było. – Chłopak wzruszył ramionami.

– Mama długo się z nią nie widziała, bo obie opuściły rodzinne miasto i straciły kontakt. Odnalazły się dopiero, gdy się okazało, że

Joanna i ja pracujemy w tym samym biurze.

– Ona teraz zmienia pracę? Coś takiego mówiła chyba?

– Nie pracowało jej się najlepiej, to zmienia. Uważaj, bo strącisz półmisek.

– Ale w sumie jest fajna. Niegłupia – podsumował chłopak.

Mateusz nie skomentował. Usiadł w salonie przed telewizorem i popatrzył na śpiącą żonę. Nie przypominała Renaty, którą podrywał wiele lat temu.

Szesnaście lat wcześniej

– Wysoko mierzysz, stary! Nie twoje progi.

– A niby dlaczego?

– Ona już niejednemu w nos się zaśmiała. Taka jakaś dziwna.

Pogadać można, ale już imprezka to się nie uda.

– Próbowaleś?

Wyższy z chłopaków krzywi się.

– Ze trzy razy. Ni w cholere.

– To może nie trzeba w cholere? – mówi do siebie Mateusz i rusza za Renatą.

Wchodzi za nią do sklepu. Ustawia się w kolejce. Trąca dziewczynę łokciem z nadzieją, że ta zwróci na niego uwagę. Jest zamyślona, podskakuje i wypuszcza z ręki jogurt. Kubek się roztrzaskuje, ochlapuje jej nogi i sukienkę.

– Przepraszam! – Przestraszony Mateusz już widzi smutny finał zalotów. – Nie chciałem. Przepraszam, przepraszam – powtarza.

– Tak myślę, że nie chciałeś – odpowiada dziewczyna. – Chociaż lepiej podejść i zagadnąć niż koniecznie szturchać – uśmiecha się.

– Ko-o-ojarysz mnie? – Chłopak się jąka. Pierwszy raz od dzieciństwa.

– Pewnie. Chodzisz za mną od trzech tygodni. Chociaż zajęcia masz zupełnie gdzie indziej.

– Ja...

– Pójdę po nowy jogurt – mówi dziewczyna.
– Nie, poczekaj. – Chłopak się reflektuje. – Ja pójdę. I zapłacę oczywiście. I zapraszam na kawę.
– Nie pijam.
– Na jogurt. Tak, zapraszam cię na jogurt.
Renata śmieje się w głos.
– Wiesz co, jeszcze nikt nigdy nie podrywał mnie na jogurt.
Chodźmy.

Teraz

Renata leżała na kanapie wychudzona, chustka na głowie przesunęła się, ukazując fragment łysej skóry. Mateusza ogarnęło znużenie. Zniechęcenie. Jednocześnie zalała go fala ciepła.

– Mateusz – odezwała się Renata zachrypniętym głosem.
Wybudziła się, jakby czuła wzrok męża.
– Mhm? – mruknął czule.
– Trochę źle się czuję. Przyniósłbyś mi leki z góry?
– Co ci jest? – Przyklęknął przy żonie.
– Boli mnie żołądek. Już od wczoraj... Nie wymiotuję, ale... ciężko mi tak jakoś. I jak zboli, to... no kiepsko jest.

– Zadzwoń do lekarza?
– Nie, zostaw. W poniedziałek zadzwonię.
Renata zażyła lekarstwa. Poleżała jeszcze chwilę, a potem wstała gwałtownie i dosłownie pobiegła do łazienki.

– Co jest? – dopytywał się Mateusz.
– Mam biegunkę.
– To coś nowego? – Zaniepokoił się.
Tylko kiwnęła głową i znów pobiegła do łazienki. Wieczór spędziła, wychodząc z niej tylko na krótkie chwile. W nocy spała źle, budząc się wiele razy. Leki nieco pomogły, ale brzuch bolał ją ciągle. Dopiero po czwartej rano zasnęła spokojnym snem.

– Proszę nie budzić mamy. – Mateusz rano szeptem mówił do

dzieci. – Musi się wyspać.

– My spaliśmy w nocy, czemu mama nie? – zainteresował się Krzyś.

– Bo mama źle się czuła.

– Nie spała, bo ma raka? – podpytywała Krysia.

– Tak, kochanie – odpowiedział Mateusz.

Zrobił dzieciom śniadanie, potem posadził je przed telewizorem.

Sam usiadł przed komputerem, odpowiadając na służbowe maile.

Renata zeszła na dół około jedenastej.

– No ładnie – powiedziała, uśmiechając się.

– Ładnie – odpowiedział ciepło.

– Lepiej już?

– Pewnie. Przynajmniej pospałam. Może coś zjadłam nieświeżego.

Prawdę mówiąc, teraz bym coś zjadła. Nie czułam takiego głodu od tygodni.

Mateusz zamknął komputer i podszedł do żony. Razem poszli do kuchni, po drodze dzieciaki uściskały mamę, wróciły jednak szybko do kreskówki.

– Eryk gdzie? – zapytała.

– U siebie.

Śniadanie zjadła malutkie, choć i tak większe niż ostatnio zwykła jadać.

– Pycha – powiedziała.

– Sam robiłem – odpowiedział Mateusz.

Usiedli w salonie.

– Kto zagra ze mną w planszówkę? – zapytała Renata maluchy.

Dzieci od razu wyłączyły telewizor, trochę spierały się przy ustalaniu, w co mają zagrać. Ostatecznie ojciec zdecydował, że zagrają w trzy różne gry, ale najpierw w tę, którą on sam wybierze.

Mateusz z dziećmi rozłożył się na dywanie, Renata dowodziła, pólżąc na kanapie. Tak spędzili czas do obiadu, na który składały się głównie pozostałości wczorajszej uczyty.

– Tego jedzenia zostanie jeszcze na kilka dni. Mama jak zwykle przygotowała za dużo. – Renata westchnęła.

Po obiedzie się położyła, Mateusz z Krzysiem i Krysią poszli na

rower, Eryk usiadł koło matki.

– Mogę ci przeczytać?

– Pewnie. – Zachęciła go uśmiechem.

– Pan od polskiego powiedział, żeby pogłębić wątek znajomości z Japonką.

– Chyba słusznie. W końcu ma to być opowiadanie o Japonii...

Dyskutowali dość długo, w końcu Eryk poszedł do swojego pokoju, Renata przysnęła na kanapie. Obudził ją ból brzucha. Pognęła do toalety i nie ruszyła się stamtąd aż do powrotu Mateusza z dziećmi.

– Znowu? – Mateusz stanął w drzwiach łazienki zaniepokojony.

Renata nie odpowiedziała. Błada siedziała na sedesie.

– Dzwonię do lekarza.

– Mateusz, nie... Zawieź mnie do szpitala.

– Ubieraj się – odpowiedział energicznie.

Renata powoli się pozbierała, słyszała komenderującego Mateusza.

– Szybko, szybko – pokrzykiwał.

– Gdzie zabierasz dzieci?

– Do Darii. Eryk zostanie w domu. Daria siedzi sama z bliźniaczkami, zajmie się maluchami.

– Może daj Krzysiu rower.

– Wrócę za kilka minut, bądź gotowa.

Renata kiwnęła głową. Była gotowa, siedziała apatycznie w przedpokoju. *Obym tylko nie musiała nagle za potrzebą. Nie w samochodzie* – myślała.

Dojechali do szpitala szybko. Niedzielny ruch był niewielki, chociaż parking pod szpitalem – pełny. Na izbie przyjęć czekali prawie godzinę. Renata spędziła ten czas bądź w toalecie, bądź skulona na krześle.

– Zimno mi – skarżyła się Mateuszowi.

Opatulał ją płaszczem, obejmował.

Na oddział przyjęto Renatę do tej samej sali, w której leżała wcześniej. Nawet sąsiadka pod oknem była ta sama.

– O, pani... – Przywitała ją bez emocji.

– Dzień dobry – odpowiedziała Renata, przykrywając się szczelnie kołdrą.

Po dziesięciu minutach pielęgniarka założyła Renacie wenflon, pobrała krew. Mateusz przyniósł dodatkowy koc. Siedział obok żony, głaszcząc ją po twarzy. Nie mógł po ręce – przykryła się po uszy. Znad szpitalnego koca w kratkę widać było tylko błyszczące zapadnięte oczy.

Po godzinie pielęgniarka zajrzała do nich, gestem przywołała Mateusza. Renata spała.

– Lekarz chciał z panem rozmawiać.

Mateusz ruszył za nią korytarzem. Spotkał się z lekarzem w tej samej salce, w której po raz pierwszy usłyszał diagnozę. Nic się w niej nie zmieniło, tylko Mateusz miał wrażenie, że była jeszcze mniejsza.

– Wyniki się pogorszyły – powiedział lekarz bez wstępu.

Mateusz milczał.

– Żona musi pozostać na oddziale – kontynuował doktor.

– Jak długo?

– Nie wiemy. – Lekarz rozłożył ręce. – Zastanowimy się, czy podamy następną chemię i kiedy. Musimy mieć ją stale pod opieką.

– Panie doktorze, jest bardzo źle?

– Proszę pana, to jest choroba, w której przede wszystkim leczy nadzieja. I wiara. Trzeba mieć obie.

Mateusz wrócił do Renaty, ciągle spała. Gdy się obudziła, był już wieczór.

– Jedź do dzieci – powiedziała, przerywając Mateuszowi rozmyślania.

– Nie możesz pojechać ze mną – odpowiedział.

– Nie jest ci potrzebny taki ciężar. Spakuj dzieciom tornistry. Krysię trzeba sprawdzić, nie zawsze o wszystkim pamięta. Zobacz w dzienniczku, co się dzieje w tym tygodniu. Chyba nic szczególnego, ale mogę nie pamiętać. Jutro będzie mama, ona cię wyręczy, ale dzisiaj sprawdź, i zerknij na plan, wisi na kredensie...

– Renata – przerwał jej stanowczo – poradzę sobie. Uwierz mi, poradzę sobie. Ty musisz poradzić sobie tutaj.

– Tak. Ja muszę poradzić sobie tutaj.



– Nie dostanę teraz chemii. – Mateusz nie był w stanie zrozumieć wypowiedzianych przez Renatę słów.

– Co mówisz? Kochanie, co mówisz?

Renata była w stanie hysterii.

– Jest tak źle, że nie dostanę teraz chemii! Jestem jedną wielką, chodzącą kroplówką. Nawet nie chodzącą. Nawet chodzić nie mam siły!

– Jadę do ciebie. – Mateusz pokiwał Krystynie ręką i ruszył do przedpokoju. Ubierał się z telefonem przy uchu.

Renata się rozłączyła.

– Pani nie ryczy – powiedziała sąsiadka. Chwilowo leżały same.

– No nie ryczy! – huknęła starsza pani po kolejnych kilku minutach spazmu.

Renata zaczęła się uspokajać.

– I po co to tak. Zapuchnięta, zaryczana. Chude to i jeszcze take rozmemłane. Pani siedzi cicho na tym łóżeczku. To rak pani nie zauważy i pójdzie dali w krótkich abcugach.

– Już mnie zauważył. Raczej.

– To da mu pani odejść. W spokoju.

Wpadł Mateusz. Wieczorem dojechał do szpitala w rekordowym tempie.

– Renata! – krzyknął od progu.

– A mówiła? Mówiła? Nie ryczeć. Tera mąż przyjechał i będzie patrzeć na take czarowne oczenta.

Renata tylko wygięła wargi. Jak mała dziewczynka. Mateusz po prostu usiadł na łóżku i objął ją mocno.

– Zgnieciesz mnie – powiedziała szeptem.

– Wycisnę z ciebie choróbsko.

Uśmiechnęła się blado.

– Muszę tu zostać.

– Wiem. – Mateusz wzruszył ramionami. – Jakbyś nie musiała, już byś była w domu.

– Długo.

– Będziesz tak długo, jak będziesz tego potrzebować.

– Był lekarz na wieczornym obchodzie. Powiedział, że są złe wyniki. Odwodnienie i coś tam jeszcze. Źle się czuję i jest źle.

– A teraz tu zostaniesz i będzie dobrze. Z każdym dniem coraz lepiej.

Nie rozmawiali więcej. Mateusz długo przytulał Renatę, aż do zaśnięcia. W międzyczasie przyszła pielęgniarka, zmarszczyła się na widok gościa siedzącego na szpitalnym łóżku. Mateusz spojrzał na nią i pokazał palcem – ciii. Pokręciła niezadowolona głową, sprawdziła kroplówki, zostawiła leki obydwu pacjentkom. Wychodząc, odwróciła głowę w stronę Mateusza i gestem pokazała łóżko.

– Nie wolno! – powiedziała scenicznym szeptem.

– Zaraz wychodzę – odpowiedział Mateusz samym ruchem warg.

Dziesięć minut później wyszedł ze szpitala.

Kolejne dni były podobne do siebie, jakby odbite na wielkiej kopiarce. Krystyna troszczyła się o dzieci, odrabiała z nimi lekcje. Mateusz odwoził dzieciaki rano do szkoły, potem zostawiał dom na głowie teściowej. Sam spędzał całe dnie w biurze, wieczorami wpadając do szpitala. Około południa Krystyna przyjeżdżała do szpitala, przywoziła Renacie jedzenie, czasem przyjeżdżała drugi raz, po południu, z dziećmi. Przywiozła Renacie szalik, który – zarzucony w domu, tutaj, w szpitalnej sali szybko się wydłużał. Renata robiła go machinalnie. Czytanie prędko ją męczyło, szydełko pozwalało odpocząć oczom i głowie.

Pewnego dnia przyjechał Eryk. Sam, bez babci, autobusem.

– Mamo, mam gotowe opowiadanie.

Uśmiechnęła się.

– Ale ten szalik ciągle wali. – Nastolatek się skrzywił.

– Nie wali, tylko cudnie pachnie. Moimi ukochanymi perfumami.

I już wiesz, dlaczego są moje ukochane.

Eryk popatrzył na matkę, unosząc brwi.

– Bo pachną długo. Długo i pięknie.

Eryk wzruszył ramionami. – Przeczytasz? – zapytał, podając matce teczkę.

Renata sięgnęła po wydruk, chłopak wyszedł z sali pod pretekstem kupienia napoju w automacie. W rzeczywistości nie był w stanie patrzeć

na mimikę matki. Obawiał się jej reakcji. Bał się, że tekst jej się nie spodoba. A przecież pisał to opowiadanie dla niej, chociaż nikomu się do tego nie przyznał.

Renata odłożyła kartki po kwadransie. Czytała uważnie, powtarzając niektóre zdania. Pewne fragmenty przeczytała głośno. Sąsiadka nie miała nic przeciwko.

– Ładnie pisze ten syn pani.

– Ładnie – odpowiedziała Renata.

Wszedł Eryk, usiadł na krześle.

– Wysyłasz już? – powiedziała do Eryka.

– Termin mija za dwa tygodnie.

– Znalazłam jeszcze kilka literówek.

Chłopak kiwnął głową. – A poza tym?

– A poza tym jestem zachwycona. Sprawdziłeś wszystko z Hiroko? Przytaknął.

– A nie zaprosisz jej do nas?

– Już zaprosiłem.

– Zuch chłopak – uśmiechnęła się do syna.

– Lecę, mam, dużo lekcji mam.

– Ten syn pani, to dobry – powiedziała szpitalna sąsiadka.

Renata uśmiechnęła się. – Bardzo.

– Moje dzieci też dobre.

– Dobrze. – Renata potwierdziła, przygryzając wargę.

– Przyjado jutro.

– Świetnie!

Renata nie poznała jeszcze dzieci pani Heni.

– Córka przyjedzie.

– Z wnukami pewnie?

Starsza pani pokiwała głową.

– A pani to sie musi bardzo kochać. No, z tem swoim mężem i w ogóle.

– Wie pani, to trudne sprawy.

– Chiński też jest trudny. Albo sie kogoś kocha, albo nie.

– A można kochać z przerwami? – zapytała Renata.

– Można, pewnie że można – odpowiedziała pani Henryka bez

zdziwienia. Moje dzieci to mnie na ten przykład kochają, jak czegoś potrzebują.

– Proszę tak nie mówić, pani Heniu. Może tylko nie zawsze potrafią to wyrazić. Trudno jest mówić komuś bliskiemu, że się kocha... trudno czasami coś takiego powiedzieć. Ale to przecież nie znaczy, że się nie kocha. – Renata poczuła się głupio, jak niedorobiony psycholog.

– Jutro pani zobaczysz. – Henryka westchnęła. – Pewnie potrzebna im chawira. Przyjeżdża ktoś, kogo u siebie nie chcę, to do mnie go wrzucę. I tak klucze to one mają, ale chociaż tyle, że bez pytania nikogo nie wprowadzą. To musi być ktoś drobny detal, żadna persona, bo inaczej na swoje salony by wzięły. Nie do mojej budy.

Renatę przytknęło.

– Zobacz pani, jutro przyjadę. Tak będzie. – Starsza pani westchnęła i przekręciła się na drugi bok. – Pośpie troszkie, bo mi coś ciężko na serduchu.

Renata sięgnęła po książkę. Dni były już znacznie dłuższe, ale do szpitalnej sali niewiele wpadało światła nawet w ciągu dnia. Teraz zrobiła się już szarówka, jarzeniowe światło szybko zmęczyło jej oczy. Sięgnęła po szalik.

Niedługo Krzys będzie się mógł nim cały owinąć – pomyślała. – Taki chciał, taki będzie miał. Żeby tylko nie pachniał tak intensywnie – skrzywiła się. – No nie, znowu się zaczyna.

Renata oddychała głęboko. Poczuła mdłości, wstała i szybkim krokiem poszła do toalety. Od dwóch dni nie wymiotowała i nie miała biegunki. Wracając, zajrzała do pokoju pielęgniarek.

– Mogłabym dostać coś na wymioty?

– Znowu? – Zdziwiła się pielęgniarka, jedna z życzliwszych.

Renata tylko kiwnęła głową.

– Zaraz przyjdzie lekarz.

Po końskiej dawce leków przepisanych przez lekarza Renata zasnęła, obudziła ją wizyta Mateusza.

– Tak pięknie spałaś – powiedział. – Jak się czujesz?

– Dobrze. – Skłamała i uśmiechnęła się. – Był u mnie Eryk. Mam do ciebie prośbę. Kiedy już będzie miał ostateczną wersję tego opowiadania o Japonii, pomóż mu je wydrukować na jakimś porządnym

papierze. Niech to wygląda odpowiednio. I może pojedźcie razem na pocztę, wyślijcie razem. Nie sądzę, żeby coś z tego konkursu wyszło, ale co tam. Niech czuje, że to dla nas wszystkich ważne.

– Wyślemy we troje. Zdążysz wrócić do domu, zanim wydrukujemy ostateczną wersję.

Rozmawiali jeszcze chwilę o niczym. Renata wstała, odprowadzając Mateusza do drzwi oddziału. Potem stanęła we wnęce, którą w myślach nazwała telefoniczną, i zadzwoniła do matki.

– Wszystko dobrze, nic się nie denerwuj – odpowiedziała na nerwowe przywitanie Krystyny.

– Tak. A co u was?

– Mamo, czy mogłabyś jutro przywieźć trochę więcej rosołu? W ogóle więcej?

– Nie – roześmiała się – nie spodziewaj się, że więcej zjem. Chciałabym tylko kogoś poczęstować.

W sali było ciemno. Sąsiadka patrzyła w okno. Renata położyła się, opatulila szczelnie kołdrą i kocem, bo przemarzła na korytarzu, chociaż była tam tylko kilka minut. Ułożyła się od razu do snu.



Krystyna przyjechała około dziesiątej, z ogromną ilością jedzenia.

– Drogie panie, tylko bez ociągania. Nie będę tego zabierać z powrotem.

– Ale... – Henryka próbowała się krygować.

– Proszę pani, ja znam szpitalny wikt. Kiepskie to jest jedzenie. I tak przywożę posiłki córce, co się ma marnować moje gotowanie. Pani je. – Podsunęła starszej pani talerz z jedzeniem.

Henryka wyraźnie była głodna.

– Ja miła pani chemii tera nie mam, to i apetyt mi dopisuje. Coś mi tam leczy, ale ja to i tak wole tu być niż w domu. Tu opieke mam.

– A mnie wszystko smakuje, jakbym lizała framugę okienną – wtrąciła Renata. – I przegryzała dziewiętnastowiecznymi groszówkami.

– Dlaczego akurat dziewiętnastowiecznymi? – Krystyna się zdziwiła.

– A tak, żeby wydawać się samej sobie cenniejszą. Współczesne pewnie mają tyle samo wyrafinowanego smaku.

– To jedz, co ci przynoszę.

– Mamo... – jęknęła chora.

– No właśnie. – Krystyna pokręciła głową. Kiedy pakowała opłukane w łazience talerze, przyjechała córka pani Henryki.

– Mamo – powiedziała od drzwi elegancka trzydziestoletnia kobieta. Miała na sobie beżowy kostium z ołówkową spódnicą i żółtą jedwabną bluzkę. Z włosów zebranych w kok nie wysuwał się ani jeden kosmyk. A buty miały ośmiocentymetrowy obcas i złote logo po zewnętrznej stronie.

– Mamo, jak się czujesz? – zapytała, przysiadając na krześle obok łóżka.

Krystyna patrzyła na nią ciekawie.

– Dobrze, córuś, dobrze.

– To dobrze, mamo – odpowiedziała przybyła, jakby recytowała z miernym aktorskim talentem wyuczoną rolę.

– Córuś, ty mnie powiedz, jak dzieci. Przywiozłabyś je kedy.

– Mamo, do szpitala? Jeszcze zarazki jakie złapią i będą chorować. Nie mamy czasu na choroby. – Prychnęła.

– Nic tu raczej nie złapio. Raka to można złapać w kamnieniach na rzece, i to tylko jak czysty.

– Mamo, no wiesz przecież. Szkoła, zajęcia, obowiązki.

– A z babką się zobaczyć to nie obowiązek jest? – Henryka machnęła ręką. – Mów, córcia, jak one.

– Dobrze, mamo. Aldonka przeszła do gminnego etapu konkursu piosenki angielskiej. Muszę ją jeszcze zapisać na francuski, dziewczynka powinna umieć po francusku. A Dominik ma w tym tygodniu ważny mecz. Trener go chwali, że przejdzie do starszej grupy, jak się na tym meczu postara. Dla niego piłka jest bardzo ważna.

– To dobrze, córuś, to dobrze. A oni nie tęsknio za babcio, co, kochanieńka?

– Tęsknią, mamo, oczywiście.

– Pierogów by pojadły?

– Tak, mam. A jak ty się czujesz?

– Ja też by pierogów pojadła. Tylko mnie tu nie ma kto ich przyrządzić. Dzisiaj to ja zjadła po królewsku. – Henryka popatrzyła na Krystynę, która w międzyczasie przysiadła na skraju łóżka Renaty. – Pani sąsiadka mi obiad przyniosła.

Przybyła odwróciła się.

– Dziękuję – powiedziała sztywno.

– Nie ma za co. Panią też mogę poczęstować. Domowy rosół, gotowane mięso i warzywa na parze. Dietetycznie, bo panie nie mogą tutaj inaczej jeść. Ma pani ochotę?

– Dziękuję – odpowiedziała zdziwiona kobieta. – I dodała jeszcze raz po chwili, mniej oficjalnie: – Dziękuję.

– Bo wiesz, córuś, mało nam tu dają, i zupełnie bez smaku. Dzisiaj to uczta była.

– Rozumiem, mam. – Kobieta ponownie obejrzała się na Krystynę. Uśmiechnęła się.

– Potrzebujesz coś? – Bardziej stwierdziła niż zapytała Henryka.

– A... właśnie, mam. Gdybyś mogła... Chciałabym przenocować dwójkę znajomych u ciebie. Oni chcą położyć trochę po mieście, od ciebie im będzie bliżej do centrum i będą się swobodniej czuli.

– A nocuj, córuś, nocuj. – Potakiwała pani Henryka. – Niech se używają, kiedy ja nie mogę. Tylko przywieź dzieci, przywieź którego dnia...

– Przywiozę, mam, przywiozę – odpowiedziała kobieta, podnosząc się z krzesła. – Pójdę już, mam, sporo spraw mam jeszcze do załatwienia – powiedziała.

– A idź, córuś, idź. – Henryka pokiwała głową.

Kobieta wyszła ze szpitala, stukając obcasami. Nie mogła zrozumieć, jak obca osoba mogła chcieć częstować ją obiadem. Kto to wie, gdzie on i w jakich warunkach gotowany. Może nieświeży. Albo brudno tam w tej kuchni.

Właściwie to dlaczego tak myślę? – zastanawiała się, odpalając swojego SUV-a. – *Może dlatego, że to taka niespotykana... życzliwość.* – Zatrzymała się chwilę nad tym słowem. – *Kiedy ostatnio spotkałam*

bezinteresowną życzliwość? Znajomi Karola to sami biznesmeni. Z ich żonami łączy mnie jedynie profesja męża. To nasi faceci się spotykają, nie my. Swoich przyjaciółek... gdzie je mam? Ze szkoły nikt nie został. Wszyscy się porozjeżdżali.

Nie wszyscy. Ja zostałam. Może został ktoś jeszcze? Kto ze mną chodził do szkoły?

Przypominała sobie nastoletnie twarze, po chwili mruzczała nazwiska na głos. Zatrzymała auto.

To dwadzieścia dwa, ze mną dwadzieścia trzy... Wszyscy chyba? Nie, był jeszcze jeden chłopak... Jak on się nazywał? Tomek? Tobiasz? Coś na „t” w każdym razie. Poszukam dzisiaj. Poszukam na Naszej Klasie, na Facebooku, i gdzie się da. Może ktoś tu jeszcze mieszka? Może nie wszyscy wyemigrowali z warszawskiej Woli?

I o czym będę z nimi rozmawiać? Co za różnica. O czymś będę. Przynajmniej nie będę ciągle przeglądać się w błyszczącym manikiurze żonek biznesmenów. Co ja właściwie pośród nich robię? Nikogo swojego nie mam...

Nieprawda. Mam. Mam dzieci. I o czym z nimi rozmawiam? – Próbowała sobie przypomnieć, o czym ostatnio rozmawiała z synem i córką. Tematy dotyczyły wyłącznie odwiezienia na zajęcia, do koleżanki, przywiezienia do domu, przygotowania odpowiedniego stroju, ewentualnie odrobienia lekcji.

A może by tak pójść z nimi gdzieś? Gdzie by tu... do kina może... na lody potem. Wiem, pójdę z nimi na lody. Zabiorę im na ten czas komórki. Tylko na dwadzieścia minut. Może opowiedzą mi chociaż, jakie imiona mają ich najbliżsi koledzy. Nawet tego nie wiem. Znam tylko tych, których sama im podrzuciłam. Z którymi opłaca się kolegować. Nic nie wiem. Nic nie wiem ani o sobie, ani o moich dzieciach. A o Karolu coś wiem? Dostarcza kasę i wymaga porządku. Odprasowanych koszul i kantów na spodniach regularnie oddawanych do pralni chemicznej. Nawet krawaty kupuje sobie sam.

Albo kupuje mu kochanka – pomyślała, wzruszając ramionami. – Pewnie jakąś ma, bo jak można nie mieć, jak się jest poza domem przez dwa tygodnie w miesiącu.

Westchnęła. Podjechała pod centrum handlowe. Miała tam dzień

wypełniony po brzegi. Kosmetyczka, manikiurzystka, potem przymiarka kostiumu u krawcowej. Może jakieś drobne zakupy. Wróci do domu wieczorem, zmęczona.



- Mówiła – pani Henryka pokiwała głową w stronę Renaty.
- Mówiła pani, fakt.
- Ale co pani mówiła? – Krystyna się zainteresowała.
- A nic, złociutka moja. – Starsza pani wzruszyła ramionami i odwróciła się do okna.
- Odprowadzę cię, mamó – powiedziała Renata.
- Mówiła mi wczoraj – kontynuowała już na korytarzu – że córka się zapowiedziała z wizytą. I że będzie prosić o udostępnienie jej mieszkania.
- Smutne...
- Ale jakie prawdziwe – dodała Renata.



- Ledwo Renata wróciła do sali, drzwi otworzyły się ponownie. Najpierw pojawił się bukiet kwiatów.
- Cudowny jesteś, ale ja nie mogę kwiatów. Niedobrze mi od nich.
 - Renata uśmiechnęła się blado.
 - Wybrałem mało pachnące – konspiracyjnie odpowiedział Gabriel.
 - Dziękuję. Tylko... – rozejrzała się po sali.
 - Byłbym zapomniał! – Wyciągnął z torby wielki słoik. – Jak się masz? – zapytał, patrząc Renacie w oczy, gdy już uporał się z kwiatami.
 - Tak sobie. Powoli.
 - Przesadzasz trochę.

– Słucham?

– Przesadzasz z troską o urodę?

Renata uniosła brwi.

– Zawsze miałaś świetną figurę, ale teraz to już przesadzasz.

– Kochany jesteś.

– O nie, to ty jesteś kochana... Dziękuję, że mnie poznałaś z Darią.

– Oooooo... – Teatralnie westchnęła.

– Nie żadne tam o, tylko tak. Jest jeszcze w kiepskiej formie, ale już się zbiera. Wie mniej więcej, czego mąż będzie oczekiwał. Ma już prawnika, rozluźniła się. I jest w tym rozluźnieniu... – Uśmiechnął się.

– Nie za wcześnie?

– Nic na siłę i bez pośpiechu. Tak po prostu, jest jak jest. I tak jest dobrze. Jeszcze raz dziękuję.

– Wszystko w waszych rękach.

Gabriel popatrzył na zegarek.

– Musisz już iść.

– Słucham?

– Musisz już iść. Ty się śpieszysz, a ja jestem zmęczona.

Gabriel uśmiechnął się, ucałował ją w oba policzki i już machał ręką spod drzwi.

Renata przysnęła. Przebudziła się w czasie obiadu, ale nawet nie odwróciła się w stronę kobiety rozwożącej posiłek. Po obiedzie od mamy wciąż była najedzona.

Po południu Krystyna nie przyjechała z dziećmi. Renata czekała na ich odwiedzinę, chociaż wiedziała, że dzieci miały tego dnia sporo popołudniowych zajęć. Brak odwiedzin źle na nią wpłynął.

Ludzie trzymają mnie przy życiu – rozmyślała. – Jak ich teraz nie ma, to mam czas pomyśleć o chorobie. Pohołubić trochę mojego raka. A co, w końcu mój, kto mi zabroni. Tylko on chyba nie lubi mnie tak, jak ja jego. A właściwie to ja jego też nie lubię, co tam. Niech się na mnie obrazi, może sobie pójdzie.

– Co pani tak myślisz? – spytała pani Henryka.

– A nic, smutno mi trochę. Dzieci dzisiaj nie przyjadą.

– Pani, nie mogą codziennie w szpitalu być. One muszo żyć też dla siebie.

- Dziękuję. Ustawiła mnie pani do pionu.
- No – odpowiedziała pani Henryka. – Trzeba się cieszyć, pani.

Wiosna.

– Wiosna, tak. – Renata popatrzyła za okno. Szyba była brudna, zmierzchało. Widać było szare niebo. – Ale stąd nie widać.

- Nie widać, nie widać. Ale wiadomo.

Uśmiechnęły się.

Jednak Renacie nie poprawił się nastrój. Chwyciła książkę, potem szalik, czekała na Mateusza. Tak bardzo ucieszyła się, gdy przyszedł.

- Ciężki dzień?

– Nie pytaj nawet. Siedziałbym w tej robocie całą noc, gdyby nie ty.

- Rozumiem, że to nie jest wyrzut?

Popatrzył na nią z ukosa.

- Dobra, nie dąsaj się. Powiedz, jak wygląda nasz ogród?

- Ogród?

- No ogród. To zielone, co widać z balkonu.

Mateusz zastanowił się. – Dawno nie oglądałem. Wracaj do domu, bez ciebie nawet na ogród nie chce mi się patrzeć.

Zachnęła się.

- Wszystko jest już pewnie zielone?

- Nie zajmuję się nim, po prostu.

- A mama?

- Troszczy się o wszystko. O dzieci, dom i ogród.

- Mógłbyś mi zrobić kilka zdjęć?

- Po co? Wyjdiesz zaraz, to sama zobaczysz.

– Nie wyjdę aż do następnego wlewu. Dopiero jak się po nim będę dobrze czuła, to mnie wypuszczą. Zrób mi zdjęcia.

Mateusz kiwnął głową. – Mam tu kilka. Tak przez przypadek. – Wyciągnął w jej stronę komórkę.

– Aż ty! – Zamachnęła się na niego. Ruchem krótkim i niezbyt gwałtownym, a jednak zaniósła się kaszlem.

- Dawno już nie kasłałaś.

- I nie kaszlę. To tylko czasami, z wysiłku.

- Machnięcie ręką to wysiłek?

– Dla mnie tak. Pokaż. Cudne. Już wszystko aż tak kwitnie? Pięknie... Ale zaniedbane trochę.... Poproś Darię, nie, właściwie poproś Gabriela, on na pewno kogoś ma, kto zrobi trochę porządku. Ty nie masz czasu teraz, mamy tym nie obciążaj, zapłać komuś, niech zrobi w naszym ogrodzie porządek... Chcę wrócić do oazy zieleni.

– Dobrze, kochanie.

– Jutro mam kolejną chemię.

– Jutro? – Mateusz wyglądał na przestraszonego.

– Jutro. I od jutra daję sobie trzy dni na powrót do domu.

– To mam mało czasu na ten ogród.

– Nawet wcale.

– Kocham cię – powiedział Mateusz.

Trzymali się za ręce, gdy weszła pielęgniarka i wyprosiła Mateusza.

– Już dawno po godzinach odwiedzin, proszę pana – powiedziała karcąco.

– Nie przychodźcie jutro – wyszeptała Renata, gdy Mateusz pochylił się nad nią. Obejmowała go i mówiła. – Niech ten syf się wleje w spokój. Nie chcę, żeby dzieci mnie widziały.

Kiwnął głową, objął ją, a potem odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł.



– I jak dzisiaj?

Renata leżała pod kroplówką. Modliła się, chociaż tak dawno tego nie robiła. Głos Mateusza był jakby z innego świata.

– W porządku. Grzecznie się zatruwam.

– To dobrze. Na pewno nie przyjeżdżać?

– Na pewno. I tak mama przyjedzie z obiadem.

– A wieczorem?

– Daj dzisiaj spokój. Popracuj dłużej, zrób, co tam musisz.

Tak się stało. Przyjechała Krystyna z podwójnym obiadem, pani

Henryka mlasnęła ostentacyjnie na koniec. Wieczór wydawał się Renacie pusty.

Tak jest, kiedy się nikogo nie ma. Jesteś sam, jak pani Henia z dwójką dzieci i sześciorgiem wnucząt. Masz tylko szpitalną opiekę i pogawędkę z sąsiadką. Nie powinnam narzekać. Są dzieci, Mateusz, rodzice. Wszyscy razem. Muszę się trzymać.

Było jej ciężko. Smutna zadzwoniła do Joanny.

– Tak sobie, wiesz, odpoczywam w szpitalu.

– Czemu w szpitalu? Co się stało?

– No wiesz, trochę się stało. – Renata zaśmiała się ironicznie.

– Przecież wiem, ale miałaś nie być w szpitalu. Tylko na chemię przyjeżdżać.

– Pogorszyło mi się. Dziś dostałam kolejny wlew, może być jeszcze gorzej. Zobaczymy. Jeśli przez trzy najbliższe dni nie wypluję żołądka, to mnie wypuszczą.

– Mogłabym cię odwiedzić? Jeszcze nawet i dzisiaj? Wpuszczą mnie?

– Wpuścić wpuszczą, tolerancyjni są... Ale chce ci się? Do tego szpitalnego smrodu?

– Nie pytałabym, gdybym nie chciała.

Renata ucieszyła się. *Samotność to jednak smutna towarzyszka* – pomyślała.

Przyjaciółka przyjechała w ciągu czterdziestu minut.

– Jak sobie radzisz w nowej pracy? – zapytała Renata po powitaniu.

– No, nie jest źle. Na razie mam umowę na trzy miesiące... Ale mam pracę. Spokojną, jak sędzę. Pośrednictwo finansowe, ale pod szyldem banku, nie jakiegoś krzaka. Jak im się nie spodobam, to mnie zwolnią, a jak się spodobam – to pewnie awansuję. Jestem tam najstarsza – zaśmiała się – więc w sumie nie mam wyjścia. Albo awansuję, albo do pośredniaka.

– To znaczy, że awansujesz.

Joanna prychnęła.

– Już ja cię znam.

– Możesz nie pamiętać.

– Cóż, jesteś skuteczna we wszystkim, czego tylko zechcesz.

– Nie dogryzaj. Nie mogę cię całe życie przeproszać.

Milczały chwilę.

– Panie to sie długo znajo? – wtrąciła pani Henryka.

– Prawie całe życie – odpowiedziała Renata.

– Pani to jest szczęściara. Same blyske przy pani.

Młode kobiety wyszły na korytarz.

– Była tu wczoraj córka tej pani. Ale masakra. Kobietka miała na sobie więcej, niż jej matka ma emerytury, albo renty, nie wiem, co ona ma, pewnie przez dwa miesiące. Kapała bogactwem, ale u matki to ją wczoraj pierwszy raz widziałam. Więc nie mam tak źle...

– Oczywiście, że nie masz źle. Masz kochającą rodzinę. Pokonasz chorobę i wrócisz do normalnego, szczęśliwego życia. Zazdroszczę ci. – Joanna zakończyła cicho.

Renata zachnęła się.

– Jak możesz...

– Nie złość się – przerwała jej Joanna. – Zazdroszczę ci porządku, jaki masz w swoim życiu. Poukładałaś swoje sprawy we właściwej kolejności. A ja... Nie da się budować na czyimś nieszczęściu, cena zawsze jest zbyt wysoka. I tyle. – Joanna podniosła głowę.

– Przecież ty też możesz swoje sprawy poukładać.

– Pewnie mogę. Ale ja dopiero musiałabym to zrobić, a nie mam już tej siły, co dziesięć lat temu. I rynek kandydatów na szczęśliwy załążek rodziny mocno się zawężił. – Joanna się zamyśliła. – Ale co będę narzekać. Mama przywozi ci jedzenie? – zmieniła temat.

– Skąd wiesz? Jakbyś ją znała.

– Spotkałam ją kiedyś. – Joanna się uśmiechnęła. – A czegoś jeszcze potrzebujesz?

– Jakbyś mogła w aptece kupić jakieś wiaderko zdrowia, to podrzuć przy okazji.

– I coś jeszcze?

– Wiesz, jest taka rzecz. Chciałabym się z tobą spotykać. Nie wiem, czy możesz mi ofiarować swój czas, sama go pewnie nie masz za wiele... Ale chciałabym móc się z tobą spotykać.



Tego wieczoru Mateusz wracał z pracy bardzo późno. Nie spostrzegł, kiedy zaczął mówić do siebie.

To niemożliwe. Moja Renata. Moja, niemożliwe – szeptał.

Piętnaście lat wcześniej

Pierwsze spotkanie z jego matką. Wkrótce po śmierci ojca. Matka jest sztywna, nie dość że czarna, to jeszcze chuda jak patyk i ponura. Nie kochała ojca, kiedy żył. Nie kocha go i teraz. Pokazuje ból, bo tak wypada. Wita się sztywno z nową dziewczyną syna, wskazuje uroczyście miejsce przy stole. Na nim talerzyk z herbatnikami, a młodzi są głodni. Renata się śmieje.

– Ma pani coś do jedzenia? – pyta. – Jesteśmy z Mateuszem strasznie głodni.

Renata jest lekko wstawiona, w małej knajpce pili małe wino, zakładali, że u matki będzie kolacja. Gdyby nie małe wino, Renata w życiu nie odezwałaby się tak do obcej osoby. Matka zamiera, potem rusza bez słowa do kuchni.

– Pomogę pani – mówi Renata. Wstaje i idzie za nią, w kuchni kroi chleb, nakłada dżem do miseczki.

– Niewiele jadam – odzywa się Maria, matka Mateusza.

– Nie chcemy pani objeść. – Renata stoi nad talerzem skonfundowana.

– To nie to. – Matka Mateusza śmieje się wreszcie. – Tylko mało mam.

Wieczór kończy się inaczej, niż się zaczął. Dzięki Renacie.



Dzień jest słoneczny, chociaż chłodny. Październikowy. Mateusz niewiele pamięta. Tylko białe i puchate, pełno tego wokół niego. Woal tu, trochę tiulu tam. Sama suknia jest skromna, tylko ten welon. W sukni narzeczona, jego, wybrana. Renata.

Ślub w małym kościółku, prawie na końcu świata. Renata tak chce i jej matka tak chce. A jemu, Mateuszowi, to w ogóle nie przeszkadza. Bo jego matka od trzech lat nosi żałobę, i wcale nie chce jej zdjąć. Nawet na ślubie jedynego syna nie chce zdjąć czarnego. Jest jak kruk wśród kolorów.

A Renata nie wygląda jak Renata. Jest świetlista, tak ją Mateusz pamięta.



Wkrótce po ślubie. Mateusz wraca z pracy, stół nakryty, świece czekają. Kolacja „miesiąc po”, jak nazywa ją Renata. Obrus, talerze, zapach, tylko Renaty nie ma. Znajduje ją w łazience, w wannie. *Kosmita* – myśli w pierwszej chwili.

– Jesteś już – mruczy Renata. Ma na twarzy zieloną maseczkę, częściowo zaschniętą. – Tym się nie przejmuj – mówi. – To zaraz zmyję, a przed kolacją proponuję lekkie odświeżenie.

Kolacja potem smakuje wybornie, chociaż mięso jest trochę niedosolone.

Teraz

Moja Renata – powtarza w myślach Mateusz.

Nagle zahamował. *Właśnie, matka! Przecież ja jej nic nie powiedziałem. Najpierw nie chciałem martwić, a potem zapomniałem, że*

nie wie... Fakt, zainteresowana nami to ona nie jest... Ale niech tam. Muszę zadzwonić do matki.

Długo rozmawiali o niczym. Mateusz nie potrafił się przestawić na zasadniczy temat.

– Wiesz, mammo, Renata jest chora – duka w końcu cicho.

– Co ty mówisz?

– Renata jest chora.

– Każdy czasem jest chory. Wy młodzi, myślicie, że całe życie da się przejechać na gripeksie? Niech pójdzie do lekarza, może te dwie godziny z pucowania waszego ślicznego domku wygospodarować.

– Mammo, ona była u lekarza. Dużo razy.

– To już pewnie lepiej? – Matka wciąż nie sprawiała wrażenia zainteresowanej.

– Tak. Właściwie nie.

– To w końcu tak czy nie? – Zirytowała się.

– Niezupełnie. Jest w szpitalu.

– To niech się pośpieszy ze zdrowieniem.

– Mammo, ona ma białaczkę.

– Białaczkę – powiedziała ze świstem po dłuższej chwili milczenia.

– To ciężka choroba. Ale wiesz, że wyleczalna?

– Wiem, mammo.

– Dom to łśni u was, to prawda, ale niech ona zadba wreszcie o siebie, ta twoja Renata. Powinna być trochę mądrzejsza, musi być przecież zdrowa, jak nie dla siebie, to dla dzieci. Albo i dla ciebie. Chociażby dla ciebie. – Mateusz miał przed oczami sposób, w jaki matka pochyla głowę. – Czy ona w ogóle dba o ciebie? Myśli o tobie? Jak ona może tak?

– Mammo, Renata ma białaczkę – powtórzył bezradnie Mateusz.

– Tym bardziej powinna pójść do lekarza! Ta choroba sama nie przejdzie, to leczyć trzeba... Jeszcze raz, co ona ma?

– Białaczkę, mammo.

– Od kiedy wiadomo?

– Od miesiąca. – Mateusz przełknął ślinę.

– I dopiero teraz mi to mówisz?

– Teraz zaczęła działać terapia... Wiesz, nie miałem odwagi

powiedzieć ci wcześniej.

– No tak, ja się zawsze dowiaduję ostatnia.

– Nieprawda. Tomek też nie wie.

– Tomek... Czy opowiadałam ci o tym, jakie święta ostatnio zrobili? Jakie pasztety ta jego żona upiekła, a baby to jak jej się udały! Żebyś ty wiedział. I zajęca takiego przyszykowali. I jedwabną chustę od nich dostałam. Prawdziwy jedwab! Jak balsam na szyję. Łagodne, delikatne takie. A ta żona Tomka, to wiesz, jak ona te dzieciaki ubiera. Pod kolor wszystko, i markowe.

– Mamo, ona ma imię – powiedział Mateusz z rezygnacją.

– Co, jakie ma imię?

– Żona Tomka. Ma imię.

– Tak, ale co tam imię. Żona Tomka ona jest. To pa, synku.

Muszę zadzwonić do Tomka, podziękować mu, że wziął matkę na święta. Niezły syn ze mnie. A i matka niezła. Dobraliśmy się. Nawet mi nie powiedziała, że w święta była u nich.

– To co ty mówiłeś? O tej chorobie Renaty, o tej terapii – zapytała matka, dzwoniąc do niego raz jeszcze po dwóch minutach.

– Jest po drugiej serii chemii. Wypadły jej wszystkie włosy.

– Jest łysa?

– Tak.

– To co ona zakłada na głowę?

– Mamo, to nie ma znaczenia!

– Nie ma znaczenia? To, co masz na sobie, zawsze ma znaczenie.

– Dla mnie nie ma.

– Ale dla innych ma. Jest tak całkiem łysa? Wszystkie włosy?

– Tak, mamo, wszystkie. Tam też.

– No wiesz. – Obruszyła się. – Nie musisz mnie obrażać.

Rozłączyła się. Po kolejnych trzech minutach zadzwoniła znowu.

– Nie masz racji.

– W czym, mamo, nie mam racji – powiedział obojętnie.

– To ma znaczenie. Wytłumaczcie to dzieciom. I ich kolegom.

– Mamo...

– Nie gadaj głupio. Wytłumaczcie to.



Kolejne trzy dni minęły Renacie bardzo szybko. Czuła się dobrze, wyniki badań były nadspodziewanie dobre.

– Jak na ten stan – powiedział lekarz taktownie.

Krystyna dowoziła jedzenie, raz przyjechała z dziećmi po południu, Mateusz odwiedzał Renatę codziennie wieczorem. Daria dzwoniła, rozanielona. Nic szczególnego nie mówiła przez telefon, ale słysząc było radość w jej głosie.

Czwartego dnia po chemii Mateusz przyjechał po Renatę. Dom był udekorowany, Krysia kazała dziadkowi porozwieszać baloniki, a Krzysz przygotował serpentyny z bibuły.

– Bal karnawałowy! – wykrzyknęła Renata po wejściu do domu.

– Tańczymy mama, tańczymy! – trajkotała Krysia, ciągnąc matkę na dywan i kręcąc się wokół niej jak bąk.

Renata klaskała i śmiała się, szybko jednak usiadła.

– Dostałabym herbaty? – powiedziała do Krystyny.

Dzieciaki wpychały się jej na kolana, Eryk zszedł na dół i usiadł przy stole.

– Co za zaszczyt – mruknęła Krystyna, komentując pojawienie się najstarszego wnuka.

– Muszę się położyć. Szpital mnie rozleniwił. – Renata westchnęła.



Następnego dnia Renata uparła się, że pójdzie do szkoły odebrać dzieci.

– Pojadę z tobą – powiedziała Krystyna.

– Myślisz, że nie trafię?

– Myślę, że jesteś po szpitalu.

Renata uniosła ręce w geście poddania.

Przed wyjściem Renata starannie zawiązała turban na głowie. Materia układała się miękko, otulając jej twarz barwną poświatą. Przywykła już do łysej głowy.

– Jestem gotowa na wyzwanie! – oznajmiła, zakładając buty.

Łatwo było powiedzieć. Już po kilku minutach w szkole była zmęczona. Odwykła od hałasu i bieganiny dzieci. Nie przyznała się jednak do tego.

Porozmawiała z wychowawczyniami Krysi i Krzysia, podeszła także do klasy Eryka. Akurat młodzież wysypała się na korytarz. Pierwsi chłopcy niemal zderzyli się z podchodzącą pod drzwi Renatą, a gdy stanęła na korytarzu, omijali ją szerokim, coraz szerszym łukiem. Eryk rozmawiał z nauczycielem. Renata spoglądała przez drzwi, syn wyglądał poważnie. Pochylali się nad biurkiem nauczyciela, dyskutowali nad czymś. Na koniec nauczyciel wyciągnął rękę z kilkoma kartkami w dłoni, były pomazane. Obydwaj się uśmiechali. Eryk dopiero teraz odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył matkę. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Uchylił się od buziaka, więc Renata po prostu uścisnęła ramię syna i weszła do wychowawcy.

– Mogę zająć chwilę? – zapytała.

Nauczyciel wskazał gestem krzesło.

– Rzadko mogę ostatnio przychodzić do szkoły, szpital mnie polubił.

Facet przełknął ślinę. Widać było skrępowanie.

– Chciałabym chwilę porozmawiać o synu.

Nauczyciel się rozluźnił.

– Zrobił duże postępy. Rozwija się językowo. Zaskoczył mnie tym opowiadaniem... jest nadzwyczaj dojrzałe. To oryginalne, bo w tej klasie raczej nie ma parcia na robienie czegoś więcej, niż wymagają nauczyciele. Eryk jest wyjątkiem, co niekiedy naraża go na konflikty z rówieśnikami. Nie lubią wyróżniających się. Pracuję więc z nim trochę w ukryciu. Nie wie pani, skąd w ogóle pomysł na to opowiadanie?

– Wiem – odpowiedziała Renata. – Eryk chce pojechać do Japonii. Nie stać nas na to, a w tym konkursie nagrodą jest tygodniowy pobyt w Kraju Kwitnącej Wiśni.

– Wspaniały pomysł. Nie jestem nawet w stanie sprawdzić wszystkich szczegółów dotyczących japońskich obyczajów, które on uwzględnił.

– Skorzystał z wiedzy swojej koleżanki Japonki.

– Jeszcze dzisiaj trochę omawialiśmy to opowiadanie. Jakies ostatnie poprawki. Właściwie jest już gotowe.

– A poza tym? Jak pozostałe przedmioty?

– Nieźle. W ogóle ostatnio prawie bez problemów. Jesienią był pewien problem z zachowaniem Eryka, ale teraz jest okej.

Niewykluczone, że to opowiadanie ma w tym swój udział. Eryk po prostu zajął się swoimi sprawami i nie daje się prowokować.

Renata wyszła ze spotkania zadowolona. Krystyna czekała już z całą trójką wnuków na parkingu.

– Coś taki pochmurny, Eryk? – zapytała Renata.

Chłopak coś odburknął i wszedł do samochodu.

– Wychowawca cię chwalił.

– To dobrze.

Renata skupiła się na młodszych. Przypomniała sobie wrześnieowe popołudnia, gdy odbierała ich ze szkoły. Hałas, harmider, huk. Teraz było tak samo, ale Renacie wydawało się, że jest trzy razy bardziej. Gdy dojechali do domu, zostawiła dzieci pod opieką Krystyny, poszła się położyć.

– Taka ze mnie matka. Pół godzinki dla dzieci i od razu łóżeczko. Odpoczynek... niech już ten rak wylezie.

Po południu zadzwoniła Daria.

– Kiedy będziesz wreszcie? – zaszcebiotała.

– Jestem cały czas.

– To wiem, ale kiedy będziesz w domu?

– Jestem w domu od wczoraj.

– I nic nie mówisz? No weź!

– No biorę.

– To będę u ciebie za kwadrans.



– Nie wstawaj! – wykrzyknęła Daria na widok Renaty, która zeszła do niej w szlafroku.

– Już wstałam.

– No to super. To idź się położyć, a ja pójdę z tobą.

– Chcesz pogadać? – domyśliła się Renata.

– Pogadać? Kochana! Ja chcę cię wycałować, uściskać i wszystko inne. To mogłoby wyglądać dziwnie, więc chciałam zejść dzieciom z oczu.

Dokładnie w tej chwili otworzyły się drzwi i wpadli Krysia z Krzysiem.

– Ciocia! – darły się dzieciaki.

– No właśnie. – Zakończyła Daria, tuląc maluchy.

– Ale za co? – zapytała Renata, gdy dzieci już pobiegły dalej.

– Za Gabriela. Jest nam cudownie. No, cudownie po prostu!

– Aleś ty egzaltowana, daj żyć.

– Daję, ale to po prostu... Jakbym drugą młodość przeżywała.

– Świetnie, motyle w brzuchu i te sprawy?

– I te sprawy – potwierdziła poważnie Daria.

– To uważaj, to nie jest stan permanentny.

– Co mnie tutaj gasisz. Jest super.

– I niech tak zostanie. Zaprosisz na ślub? – zapytała niewinnie Renata.

Daria się zachnęła.

– Ty kpisz, a ja naprawdę się zakochałam – powiedziała żałośnie.

– Spoko. Zakochanie nie choroba... Chociaż też kiedyś przechodzi. Ciesz się i tyle.

– Ślub, jak tylko przejdzie twoja choroba – powiedziała trochę buńczucznie Daria. – Lepiej powiedz, jak się czujesz. Tylko mnie nie zbywaj.

– Sama widzisz. Właściwie lepiej...

Daria wywróciła oczami.

– Co tu opowiadać. Trochę mi niedobrze. Jestem słaba. Nie chce mi się jeść. Dostałam grzybicy, no wiesz gdzie. Schodzi mi paznokiec

u prawej stopy. U dużego palucha. Czekam na kolejne palce. Krwawię przy najmniejszej okazji. Mateusz nie może mnie dotknąć, bo od razu mam siniaka. Poza tym, wszystko w najlepszym porządku – wyrecytowała jednym tchem. – Sama chciałaś – dodała po bardzo długiej chwili, kiedy to obie wymownie milczały.

– I dostałam.

– Opowiedz jeszcze o Gabrielu.

– Fajny jest.

– Aleś rozmowna. To powiedz, co u Klemensa?

– Już tak nie boli, jeśli o to pytasz. Żyje ze swoją nową flamą, niech mu będzie. – Daria wzruszyła ramionami.

– Nie jesteś już wściekła?

– Jestem, na maksa. Jak tylko o tym pomyślę. Dlatego staram się myśleć o czymś innym.

– O Gabrielu na przykład.

– Dziewczynki tęsknią za tatą. – Westchnęła.

– I co planujesz?

– Nie wiem. Na razie się rozwodzimy. Nie chcę go widzieć. Kipię wtedy. Wzięłam prawniczkę. Nawet nie zamierzam iść na rozprawę.

– A warunki uzgodniliście? Czy na żywiol?

– Jego wina. Alimenty. Nie stawia się.

– A dom?

– Zapisany na dziewczynki. Ja mam prawo do opieki nad nimi.

– Nic mu nie zostawiasz? Ładnie tak?

– Ładnie? – Daria prychnęła. – Dziesięć lat życia dla romansu? To ładnie?

– Nie wkurzaj się. – Renata próbowała uspokoić przyjaciółkę.

– Jestem cały czas na niego wkurzona. Nic na to nie poradzę.

– Potrzebujesz czasu. Bo ciągle zależy ci na Klemensie.

Daria się zachnęła.

– Kiedy znowu idziesz do szpitala?

– Za tydzień. Kolejne badania. Może kolejna chemia. Muszę to przetrwać. Powtarzam to sobie wiele razy dziennie. Liczę na to, że kolejna trucizna wywali skorupiaka z mojej krwi. Pocieszam się tęczowymi chustami. Zimno mi bez włosów.



Następnego dnia około południa zadzwoniła komórka Renaty. Nie znała tego numeru.

– Dzień dobry – powiedział miękki męski głos. – Jestem wychowawcą Eryka, widzieliśmy się wczoraj.

– Dzień dobry, czy coś się stało?

– Nie – mężczyzna się zawahał – ale chciałabym porozmawiać.

– Coś z Erykiem?

– Może przyjedzie pani do szkoły?

Renata spojrzała na swój wyciągnięty dres.

– Będę za pół godziny.

Wychowawca zaprosił ją do pokoju nauczycielskiego. Trwała lekcja, byli więc sami.

– Eryk pobił dziś w szatni kolegę. Rozciął mu wargę i nabił sporego guza. Ten chłopiec ma dość przewrażliwionych rodziców, pojechali do szpitala. Prawdopodobnie oskarżą pani syna o pobicie, musimy liczyć się z interwencją policji.

– Eryk jest jeszcze małoletni.

– Tak, ale policja zgłoszenie przyjmie. Chciałem panią o tym uprzedzić. Eryk też trochę ucierpiał, jest u pielęgniarki, jeszcze nie zdążyłem z nim porozmawiać. Pewnie zaraz tu przyjdzie.

– On nie przejawia skłonności do przemocy – powiedziała Renata.

– Dlatego jestem zdziwiony. Kiedyś zdarzały się jakieś incydenty, ale raczej się bronił. Tym razem podobno zaatakował. Rozmawiali z kolegą w szatni, nawet się nie kłócili. Tak mówią koledzy. I raptem Eryk wpadł w szał. Chwycił chłopaka za kurtkę, uderzył jego głową o ścianę, potem okładał go pięściami. Pozostała część klasy już wyszła z szatni, szli na boisko. Kilku kolegów widziało zajście z daleka.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Renata westchnęła.

– Ja też nie bardzo. Nic nie chcę przesądzać... ale kiepsko to wygląda. Pójdę sprawdzić, co u Eryka.

– Poczekam na korytarzu.

Chłopak szedł ze spuszczoną głową obok wychowawcy. Renata z daleka patrzyła jak lekko się garbi.

Mój syn. Mój syn agresor? – pomyślała.

– Zaraz skończy się lekcja, nie możemy już skorzystać z pokoju nauczycielskiego. Wejźmy tutaj. – Wychowawca otworzył drzwi do pobliskiej sali.

– Eryk, przedstaw nam proszę swoją wersję wydarzeń.

Chłopak milczał.

– Nie możemy przedsięwziąć żadnych kroków, dopóki nie znamy twojej wersji. A jeśli jej nie poznamy, to zapewne zostaniesz obarczony całą winą.

Dalej milczał.

– Eryku, myślę, że zostałeś w jakiś sposób sprowokowany. Znam cię i nie przypominam sobie, żebyś zachowywał się agresywnie. Powiedz nam, co się stało.

Wychowawca jeszcze kilkakrotnie ponawiał prośbę. Chłopak był uparty. W końcu polonista rozłożył ręce.

– Nie ma chyba co przedłużać. Nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić – oznajmił nauczyciel. – Może pani porozmawia z synem.

– On obraził moją mamę – powiedział Eryk, gdy wychowawca już wstał i wyciągał rękę w stronę Renaty.

– Słucham?

– Obraził moją mamę.

Mężczyzna usiadł.

– Co zrobił?

– Powiedział, że tylko kretyńka może nosić na głowie takie kolorowe barachło.

Renata przełknęła ślinę.

– I stanąłeś w mojej obronie?

– Co taki chłystek może wiedzieć? Przywaliłem mu. – Wzruszył ramionami.

Wychowawca wstał.

– Porozmawiam z rodzicami tego chłopca.

Podał rękę Renacie. Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze.

– Właściwie to jeszcze jedno... Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej?

Eryk ponownie wzruszył ramionami.

– Pojedźcie też na obdukcję – poradził wychowawca.



Dwa dni później Mateusz nie zdziwił się, gdy po powrocie z pracy nie zastał Renaty w salonie. Starła się odbierać dzieci ze szkoły, wieczorami jednak wcześniej się kładła. Często polegiwała też w dzień. W ogóle dużo odpoczywała. Przywitał się z teściową, uścisnął dzieci i wszedł po schodach. W sypialni było ciemno. Po cichu wszedł do garderoby, mając nadzieję, że nie obudzi żony. Usłyszał jednak szelest, wszedł zatem do sypialni, zapalając boczne słabe światło.

– Czemu siedzisz po ciemku?

– Nie zapalaj! – Powstrzymała go Renata.

Usiadł na łóżku. Renata oddychała przez nos.

– Płakałaś? Co jest?

– Powinnam wrócić do szpitala.

– Źle się czujesz? Boli cię coś? – Nie zważając na protesty żony, zapalił światło.

Siedziała na łóżku, oparta o zwiniętą poduszkę. Nie płakała, ale była opuchnięta.

– Krysia zapytała mnie dzisiaj, czy muszę nosić te dziwne chusty na głowie. Że trochę jej to przeszkadza, bo dziewczynki się śmieją. Kiepsko, jak się ciebie wstydzą własne dzieci.

Mateusz przytulił ją, nic nie mówiąc. Siedzieli tak dość długo, w końcu Krzyś wpadł do pokoju, wołając: – Kolacja! Babcia się denerwuje. Mówi, że kolacja!

– Idziemy już. – Renata się uśmiechnęła.

– Pomóc ci?

Pokręciła głową.

– Poczekam tu – powiedział Mateusz.

Renata wyszła z łazienki z podniesioną głową. Ukryła opuchliznę pod makijażem. Tego wieczoru rozmawiali już tylko o mało istotnych sprawach.



– Jak się czujesz?

Renata miała już dość tego pytania. Zadawał je każdy. Ukryła irytację i grzecznie odpowiedziała Joannie.

– Nie najgorzej, jak na mój stan.

– Wybacz, mogłam przewidzieć. Głupie pytanie.

– Nie głupie. – Renata wzruszyła ramionami, czego Joanna nie mogła zobaczyć przez telefon. – Tylko banalne. Przyjedź po prostu.

Po godzinie siedziały już i rozmawiały przy upieczonym przez Krystynę cieście.

– Twoja mama zawsze świetnie piekła.

– Ona wszystko robi świetnie – powiedziała Renata cicho. – Tylko żeby nie usłyszała, bo się wścieknie... Wsuwaj, takiego nie kupisz.

– A ty?

– Daj spokój, ja nie mogę praktycznie jeść. Nie mam ochoty.

– A mama pewnie w ciebie wmusza, co?

– Jakbyś ją znała.

Milczały chwilę.

– Za to nie znasz mojej teściowej.

Joanna uniosła brwi.

– Jasne. Mateusz opowiedział mi o ich ostatniej rozmowie.

W sumie trochę tego nie rozumiem... On prawie nie utrzymuje z matką kontaktu. Z bratem praktycznie też. Zadzwoił z życzeniami na święta i do matki, i do brata. Żadne nie powiedziało, że spędzają święta razem. A na wieść o mojej chorobie mama stwierdziła, że powinnam iść do lekarza. A potem pouczyła go, żebym zawijała głowę w ładne materiały, bo trzeba uważać, co się nosi.

– Jaja se robisz.

– No raczej nie. Zresztą, to zawijanie głowy... – Renata westchnęła.

– Nie ty jedna.

– Nie ja jedna... Ale z moich dzieci się naśmiewają. Zastanawiam się, czy powinnam jeździć do szkoły.

– Zwariowałaś? Nie jeździć po dzieci?

– Też tak myślę. Tylko one...

– To może pójdź do nich do klasy i porozmawiaj o tym? Dzieci się śmieją, bo nie rozumieją. Bo się boją, wstydzą, bo coś jest dla nich obce. Są okrutne, bo nie rozumieją.

– I co, mam opowiadać o swojej chorobie? Odwinąć głowę? Zaświecić łysiną? To mam zrobić? – Renata zirytowała się.

– Tak, to powinnaś zrobić. Dla swoich dzieci.

– Nie rozumiesz.

– Nie – odparła Joanna. – Nie rozumiem.

– Przyszłaś tu po to, żeby mnie pouczać?

Joanna nic nie odpowiedziała tylko wstała i przytuliła koleżankę.

– Ciągłe jesteś moją przyjaciółką – oznajmiła. – I dlatego powiem ci to, co naprawdę myślę, a nie to, co wypada.

– Możemy już zmienić temat?

– Pyszne ciastko – powiedziała Joanna.

– Jesteś nieznośna.

– Wiem.



Renata nie mogła uwolnić się od rozmyślenia o rozmowie z Joanną. Wieczorem opowiedziała o tym Mateuszowi.

– Też o tym myślałem – powiedział ostrożnie. – To znaczy, nie chciałem cię do niczego nakłaniać, i wiesz, nic na siłę... ale przeszło mi przez myśl.

– Jesteś zdania, że powinnam?

Tylko kiwnął głową. Leżeli już w łóżku, przytuleni na łyżeczkę.

Renata miała na głowie lekką chustkę, chroniła ją przed zimnem.

– Pójdę jutro do szkoły. Spróbuję. Jeszcze zanim wrócę do szpitala
– powiedziała cicho. Mateusz już spał.



– To ryzykowany pomysł – stwierdził wychowawca Eryka. – Ta młodzież jest...

– Wiem. Dla mnie to chyba jeszcze trudniejsze. Rozmawiałam już z dyrektorem. Nie był specjalnie chętny, ale powiedział, że wyrazi zgodę, jeśli pan się zgodzi.

– Pójdę do niego dzisiaj. Zadzwonię do pani.

Takie same rozmowy Renata odbyła z wychowawczyniami Krysi i Krzysia. A już następnego dnia szła do szkoły z dwoma chustami. Jedną miała w torebce. Drugą na głowie.

– Wiem, że jesteście ciekawi, dlaczego ubieram się tak dziwnie. Noszę na głowie turban, to nie jest u nas normalne. – Zawahała się po słowie „normalne”, ale trudno. Powiedziała już. – Wiem też, że taka niewiedza bywa krępująca. I wiem, że Eryk nie potrafi wam tego wytłumaczyć. Pewnie trochę się wstydy, pewnie boi. Tak jak ja teraz. Boję się.

W klasie panowała krępująca cisza.

– Jestem chora. Mam raka. Białaczkę, w której nie da się przeszczepić szpiku. Nie wiem, dlaczego. Tak samo jak nie wiem, dlaczego akurat ja zachorowałam. Nie wiedzą też tego moje dzieci ani lekarze. Leczą mnie chemioterapią. To trucizna. Ma zatruć raka, ale przy okazji zatruwa też mnie. Nie wiadomo, co okaże się silniejsze – ja czy rak. Któreś na pewno pokona to drugie. Kiedyś. – Przerwała, patrząc na reakcje uczniów. Siedzieli w milczeniu. – Jest mnóstwo skutków ubocznych chemioterapii – kontynuowała. – Między innymi takie, że wypadają włosy. Miałam długie i gęste. Potem je skróciłam, ale dalej pozostały gęste. A teraz nie mam żadnych. Jest mi zimno w głowę, a przede wszystkim jest mi wstyd.

Renata wyciągnęła chustę z torebki.

– Noszę na głowie coś takiego. Kilka dni uczyłam się wiązać to na głowie tak, żeby nie spadało. To tylko jedno z wyzwania w tej chorobie.

Zaczęła odkręcać turban. Po minucie stała z łysą głową przed grupą milczącej młodzieży.

– Nie proszę was o nic wielkiego. Ani o akceptację, ani o uznanie. Nie podobam się sobie i pewnie wam też nie. Proszę tylko, byście spróbowali zrozumieć, że czasami nie wszystko zależy od nas. I czasami można po prostu komuś odpuścić.

Stała tak chwilę, patrząc na młode twarze. Część patrzyła z obrzydzeniem, część miała spuszczone oczy, większość była zaciekawiona. Zaczęła znów wiązać turban.

Wychowawca zaczął klaskać. Nastolatki podchwyciły. Kolega z rozciętą wargą też klaskał.

Renata wyszła, była umówiona jeszcze u młodszych dzieci, ale musiała odpocząć. Szła powoli korytarzem, wiedziała, że wychowawca będzie chciał porozmawiać, ale nie miała siły. Usiadła w samochodzie, popijając wodę mineralną. Po dwudziestu minutach poszła do klasy Krysi.

Młodsze dzieci przyjęły ją z uśmiechem. Na widok łysej głowy po prostu się roześmiały. Renata śmiała się razem z nimi. Dzieci podchodziły, obejmowały ją, chciały dotknąć gładkiej skóry.

– Niech pani szybko wyzdrowieje – powiedział jeden z chłopców.

Śmiech to zdrowie – pomyślała. Całą prezentację przeszła znacznie spokojniej niż u Eryka. Tak samo odbyło się to u Krzysia.

Gdy wróciła do domu, położyła się. Spała do wieczora.



– Zrobiłaś to? – Mateusz obudził Renatę po powrocie do domu. – Poszedłbym z tobą.

– Wystarczająco się denerwowałam.

– Podziwiam cię.

– Zrobiłam to dla dzieci. Może koledzy dadzą Erykowi spokój, a może nie. Może dziewczyny nie będą dokuczać Krysi... nie wiem. – Westchnęła. – Przynajmniej próbowałam.

Głaskał ją po rękę.

– Ale bardzo się zmęczyłam. Spałam aż do teraz.

Dalej ją głaskał.

– Po pierwszej wizycie, u Eryka, siedziałam w samochodzie prawie pół godziny. Chyba trochę zmarzłam, chociaż bardziej zmęczyły mnie nerwy niż samo działanie.

– Zmarzłaś? – zaniepokoił się.

– Trochę tylko. Siedziałam po prostu bez ruchu, może lekko przysnęłam.

– Żałuję, że mi nie powiedziałaś.

– Aha. Toczyłaby się długa dyskusja, a chciałam to załatwić przed kolejną wizytą w szpitalu. Nie wiem, kiedy następnym razem mogłabym tam pójść.

– Racja. Zejdiesz na kolację?

Renata kiwnęła głową, wystawiając stopy spod kołdry.

– Tylko sięgnę po mój tabletkowy posiłek. Bez tego nawet patrzenie na jedzenie wywołuje u mnie torsje.



– Zakładam, że dziś po południu po ciebie przyjadę. Nie zostawaj tu, słyszysz? – Mateusz spojrzał na Renatę uśmiechając się.

– Jasne. Jakbym dużo miała do gadania – odpowiedziała. – Rządzi mój prywatny skorupiak, który polubił mnie bardziej niż ja jego. Zobaczymy, co powiedzą lekarze.

– Odprowadzę cię na piętro – powiedział, gdy już zaparkowali pod szpitalem.

– Jezu, co ty masz w tej torbie?

– Książkę i piętnaście kilo jedzenia od mamy. Kurczę, szalika zapomniałam!

Mateusz pokręcił głową.

– Tak naprawdę chcę poczęstować panią Henię... No wiesz, tę z mojej sali. Jeśli akurat będzie. Sama nie zjadłabym tego do końca życia.

Mateusz drgnął na ostatnie słowa żony, ale nie skomentował.

Przyjęcie do szpitala odbyło się standardowo. Renata szybko została przypisana do sali numer trzynaście. Mateusz siedział obok. W sali krzątała się pielęgniarka.

– Chyba czas już na mnie – powiedział, widząc wyraźne niezadowolenie kobiety w białym fartuchu.

– Do wieczora – odpowiedziała Renata, a pielęgniarka tylko kiwnęła głową. Stała nad łóżkiem Renaty i sięgnęła po jej rękę.

– Ależ pani posiniaczona.

– Zawsze miałam skłonności do siniaków, a teraz to wystarczy, że się z dziećmi chwilę pobawię i już jestem fioletowa.

– A żyły jakie słabe. Jak ja się tu wkłuję? Pani trochę pozaciska rękę... – Macała zgięcie łokcia Renaty w poszukiwaniu żyły. – Może tu się uda – zamruczała do siebie.

Renata przymknęła oczy. Nie bała się, ale nie lubiła momentu przebijania skóry. Drobne ukłucie, przy którym wyobrażała sobie, że ktoś ją przecina na pół. Zamykała więc oczy, udając, że to naprawdę tylko komar. No, duża osa.

– Nic z tego – powiedziała pielęgniarka. – Kruchutkie te pani żyłki. Tu się nie uda. Spróbujemy z drugiej ręki.

Pomogła Renacie przekręcić się na łóżku. Renata już teraz cały czas leżała z zamkniętymi oczami. Operacja powtórzona na drugiej ręce przyniosła sukces.

– Damy to do badania na cito, oczywiście – mówiła do siebie pielęgniarka. Renata już przysypiała.

Po wyjściu pielęgniarki pozostałe pacjentki zaczęły rozmawiać. Renata przysłuchiwała się z zamkniętymi oczami.

– Pani, ale w dyżurce tak! Ja to kiedyś tam wchodzę, a oni rozpromienieni tacy, on czerwony cały, no na twarzy, a przecież żonaty jest! Co za siksa jedna!

– Pani, ja to słyszałam, że ona to w poprzednim szpitalu też tak!

Jednemu lekarzowi to prawie rodzinę rozbiła! A teraz tutaj. Stamtąd ją wyrzucili, to tutaj te diabelskie sztuczki próbuje!

– Przecież gdyby lekarz nie chciał, nie zadawałby się z nią. – Renata w końcu się wtrąciła.

– Coś pani? Młoda, to i jeszcze życia nie znasz. Kobieta, jeśli chce, to każdego weźmie na to, co ma między nogami. Żaden się nie uchowa. A potem wykorzysta i porzuci.

– Akurat! Porzuci, jak taka da się porzucić. A jak chce, to na gumce od majtek takiego będzie ciągnąć, jak pies za suką będzie laźł.

– Mówią panie? Tacy głupi ci faceci?

– Głupie jak buty, powiadam pani!

Rozmowę przerwało wejście lekarza. Starsze panie lekko zachichotały, Renata miała wrażenie, że jedna z nich, ta leżąca bliżej drzwi, nawet się zaczerwieniła.

Na stare lata też będę tak reagować? – pomyślała. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Przestała się uśmiechać, gdy lekarz, w ogromnym skupieniu, jakby wykonywał jakąś skomplikowaną operację, przysunął krzesło do jej łóżka. Mówił cicho, nie patrząc Renacie w oczy. Nie słuchała uważnie, zajęta obserwowaniem teatru gestów i spojrzeń starszych pań.

– Może więc pani wyjść do domu nie tylko dzisiaj, ale nawet zaraz.

– Jestem zdrowa? – Renata w końcu skupiła uwagę na lekarzu.

Lekarz przełknął ślinę. Powstrzymał się od westchnienia.

– Cóż... nie do końca. Musimy opracować inną kurację. Dzisiaj nie będziemy poddawać pani już żadnej procedurze medycznej, więc może pani wrócić do domu. Jutro o dziewiątej musi pani być znowu w szpitalu.

– Rozumiem... – powiedziała. – Nie rozumiem – dodała po chwili.

– Dotychczasowe leczenie nie działa. Musimy znaleźć inną metodę zwalczania komórek rakowych w pani organizmie. Potrzebujemy dodatkowych badań.

Renata skupiła się ponownie na ustach lekarza. *Ładnie wykrojone* – pomyślała. – *Chciałabym takie całować.*

Wyszła na korytarz. Zaglądała w przeszklone fragmenty kolejnych drzwi, ucieszyła się, gdy zobaczyła panią Henię. Weszła do jej sali,

przysunęła krzesło. Przy jednym z łóżek cicho posapywała aparatura.

– A, pani! – Henryka się ucieszyła.

– Jak się pani czuje? – zapytała Renata.

– A już lepi, znacznie lepi. Konowały mówio, że niedługo to ja już bede zdrowa na ziher. Całkiem tak. A pani jak?

– Nie wiadomo. Na razie nie bardzo wiadomo. Szukają metody leczenia. Chemia nie działa.

– A... – Starsza pani się zafrasowała.

– Ale za to do domu już mnie wypuszczą. Nie będę tu musiała leżeć. – Renata się uśmiechnęła. – Mam coś dla pani. Zaraz przyjdę.

Wróciła po chwili z siatką jedzenia.

– No coś pani! – z błyskiem w oku powiedziała pani Henryka. Wciągnęła powietrze, jakby zimny rosół mógł pachnieć.

– Kielbaskie czuje – stwierdziła.

Faktycznie! Mama kupiła wiejską kielbasę – przypomniała sobie Renata.

– Niech jej pani teraz nie wyjmuje – dodała. – Na samą myśl o takim zapachu czuję mdłości.

– Pani, a ja by mogła zadzwonić?

– Oczywiście. – Renata przytaknęła. – Zaraz pójde po telefon.

– Ja pójde z panią... Mnie to się wyładował.

– Nie ma sprawy.

Renata podała pani Henryce telefon i odeszła. Słyszała jeszcze początek rozmowy – No od tej takej klawej dzwonie, bo wiesz, mnie to się karta skończyła. Doładowałyby, córuś? I ona mi też futrunek przyniesła. Anioł nie kobita, no, córuś, tak...



Mateusz wszedł do gabinetu lekarza.

– Wyniki nie są dobre. – Doktor przeglądał dokumentację. To był inny lekarz. Uścisnął Mateuszowi dłoń mocno, zdecydowanie. Usiedli na tych samych krzesłach, które Mateusz znał już z poprzednich rozmów.

To miejsce nie kojarzyło mu się dobrze. Lekarz od czasu do czasu spoglądał na Mateusza.

Jak patrzy na mnie, to dobrze. To pewnie nie kłamie. Wszystko będzie dobrze – pomyślał Mateusz.

– Nie zmniejszyła się ilość blastów – kontynuował lekarz.

Co to są blasty, do cholery? Nie pamiętam, co to są blasty – myślał Mateusz.

– Blastów, czyli komórek białaczkowych. – Medyk sprecyzował, widząc minę Mateusza. – Mówiąc inaczej, nie ruszyła produkcja prawidłowych krwinek.

Kurwa! Ta chemia nie działa! Moja żona straciła wszystkie włosy, nie może jeść, rzyga jak kot, i nie zdrowieje?! – Gdy to dotarło do Mateusza, wybiegł z pokoiku.

Lekarz pokiwał głową i wyciągnął z innej teczki stertę papierów. *Dam mu się uspokoić. Zrobię w tym czasie trochę papierologii* – pomyślał.

Na korytarzu nikogo nie było.

Mateusz kopnął w automat z napojami. Potem zdzielił dwa krzesła. Przewróciły się z hałasem, uderzając o siebie z chrzęstem metalowych rurek. Automat zaskrzeczał i wypluł z siebie puszkę Coli light. Po chwili z brzękiem wysypała się garść monet. Mateusz sięgnął po puszkę, chwycił drobne, podniósł krzesło i usiadł ciężko, opierając łokcie na stoliku. Patrzył na garść monet w ręku.

Niewielka rekompensata za życie mojej żony – pomyślał.

Czekała na niego, czytając książkę.

– Rozmawiałeś już? – zapytała spokojnie.

Mateusz miał opuszczone ramiona. Kiwnął głową.

– Dzwonił do mnie do pracy. Żeby przyszedł do niego, zanim wejdziesz do ciebie.

– Jedźmy do domu – powiedziała. Wstała z krzesła, była już ubrana, torbę miała spakowaną.

Do domu dojechali w milczeniu.

– Mama! – Krysia wskoczyła na Renatę niemal w progu.

– Zamknij drzwi, zimno leci – powiedziała Krystyna do córki.

– Zaniesiesz rzeczy? Pobawię się z dziećmi – odezwała się Renata

do Mateusza.

– Nie powinnaś odpocząć?

– Będę miała dużo czasu na odpoczynek.

Mateusz popatrzył wilkiem. Potrącił go Krzyś.

– Zobacz, mam, dorobiłem trochę szalika!

– Jaki piękny! Taki... oryginalny ścieg.

– Mama, a ja dostałam W z matematyki! I D z polskiego!

I jedziemy na wycieczkę w przyszłym tygodniu! – Krysia się chwaliła.

– A dokąd? – dopytywała Renata.

– A do zamku jakiegoś... czy gdzieś.

– A co u ciebie? – zapytała Eryka, który właśnie wszedł do przedsionka. – Coś taki zasepiony?

Młody cmoknął matkę w policzek, zrobił minę „nic takiego” i poszedł w stronę schodów.

– Gdzie ja mam tę komórkę? – Renata zareagowała na dźwięk telefonu nerwowym przeszukiwaniem torebki.

– Leży na wierzchu. – Mateusz podał jej telefon.

– Słuchaj, nie bardzo – po powitaniach powiedziała do telefonu Renata. – Właśnie weszliśmy do domu, ale kiepsko się czuję. Wszystko niby w porządku... do usłyszenia.

Mateusz uniósł pytająco brew.

– Daria. Nie mam siły jej teraz gościć. A nawet rozmawiać.

Z przyjemnością usiądę przy stole, przy gorącej herbacie, znowu mam lodowate ręce. Byle tylko mama nie kazała mi jeść.



– Skarbie, jutro do szpitala odwiezie cię Gabriel. Muszę wyjechać, już trzy razy odkładałem to spotkanie – oznajmił Mateusz, kiedy wieczorem kładli się do snu.

– A Gabriel o tym wie?

– Pewnie. Rano jedzie do jakiegoś klienta, będzie mu po drodze.

A po południu przyjadę po ciebie.

- Myślisz, że będzie trzeba?
- Chcesz zostać w szpitalu?
- Nie wiem. Chciałabym wyzdrowieć.
- I dlatego pojedziesz jutro do szpitala, a ja cię stamtąd po południu zabiorę.
- A wiesz, że Daria wpadła Gabrielowi w oko? – zapytała Renata.
- To chyba dobrze? Idealnie może? Gabriel jest sam już ze dwa lata. Daria się miota... niech się spikną.
- Skąd ty go tak dobrze znasz?
- Sąsiad przecież. Dawno go znam, chociaż pobieżnie. Wiem tylko, że miał jakieś przejścia z kobietą, właśnie dwa lata temu mniej więcej.
- Nie wiem, czy dla Darii to nie za wcześnie. Jeszcze dobrze się nie rozstała z Klemensem, a tu już wpadła w tego Gabriela... po pas dosłownie. A może i wyżej. Motyle w brzuchu, wyobrażasz sobie?
- Hm... – mruknął Mateusz. – Gabriel pewnie na nią poczeka, jeśli będzie musiał. Pytanie tylko, czy warto.
- Czy warto czekać na Darię? Czy jest tego warta? O to ci chodzi? Mateusz się nie odezwał.
- Jest warta – kontynuowała Renata.
- Jako twoja przyjaciółka. Ale czy będzie dobra dla Gabriela? Wiesz to?
- Nikt tego nie wie – odpowiedziała.
- Wykonał nieokreślony ruch ręką, który miał oznaczać „no właśnie”.
- Mateusz, nie jest dobrze, prawda? – Renata nagle zmieniła temat.
- Jak to, przyjaciele schodzą się w pary, a ty mówisz, że niedobrze?
- Nie dali mi chemii.
- Chcą dodatkowych konsultacji. Twój organizm nie zareagował typowo. Powinno być mniej blastów. – Mateusz mówił bardzo spokojnie.
- Czyli nie jest dobrze.
- Renatko, jutro dostaniesz inną chemię. Po prostu. Ta zadziałała, ale niewystarczająco. Muszą znaleźć tę jedną, skuteczną dla ciebie

metodę.

– Że też Anka musiała zachorować!

– Dlaczego Anka? Przecież to ty jesteś chora? – Mateusz nie zrozumiał.

– Najlepszy byłby przeszczep szpiku, nie mówił ci lekarz?

I najlepiej od rodziny. Ale Anna miała wirusowe zapalenie wątroby, a to podobno przeciwwskazanie. Nie ma dawcy.

– I tak chyba lekarze uważali, że chemia będzie lepsza w twoim przypadku, ale... Zresztą, sam nie wiem.

Renata siedziała na łóżku, już w ciepłej flanelowej piżamie. Kostki wystawały z nogawek jak dwa patyki. Mateusz usiadł obok niej.

– Renatko, jest bardzo dobrze, jest najlepiej. Jesteś w rękach świetnych fachowców, najlepszych w Polsce. Kiedy tylko stwierdzili, że coś w twoim leczeniu nie zadziało, od razu szukają innego sposobu. Co mogłoby być lepszego?

– Myślisz, że jutro dostanę chemię?

– Jeśli tak zdecydują lekarze... Wybiorą to, co będzie najlepsze dla ciebie.

– A jeśli nie?

– To dostaniesz ją wtedy, gdy tak zdecydują. W każdym razie jutro jedziesz do szpitala.

– Rano jeszcze wyszykuję dzieci do szkoły. Nie wiem, ile jeszcze...

– Przestań!

Machnęła ręką.

– Zresztą, ja i tak nie mam szansy się wyspać. Spałabym do południa, potem dwugodzinna aktywność, i znów zmęczenie.

– Jesteś słaba, i tyle.

– Tak, kochanie, jestem słaba.



Z samego rana zadzwonił telefon. Mateusz był w łazience. Było

jeszcze szaro, przed świtem. Renata chwyciła komórkę, wyświetliło się jakieś nazwisko. Wstała, zaniósła komórkę Mateuszowi.

– Obudziła mnie – powiedziała, podając mu telefon. Ziewnęła.

Uniósł pytająco brwi.

– Komórka. Zadzwoiła i mnie obudziła.

Mateusz chwycił telefon. Rozmawiał chwilę.

– Tym razem nie ja przełożyłem spotkanie. Wyślę tylko esemesa do Gabriela. Jadę z tobą do szpitala.

– Nie będziesz miał kłopotów?

– Klient zadzwonił. Chociaż wolałbym mieć to już za sobą.

Podpisać tę umowę i mieć z głowy. Trudno. – Wzruszył ramionami. – Strasznie wcześnie jeszcze. Położysz się?

– Nie. – Renata pokręciła głową. – Napiałabym się tylko kawy.

– Kawy? Przecież ciebie mdli na samą myśl o kawie?

– Widocznie o tej porze jeszcze mój żołądek o tym nie wie.

– Jasne. Idę włączyć ekspres. I podjadę do sklepu, przyda się świeża bułka.

Zjedli śniadanie, Renata dwa kęsy suchej bułki. Kawę tylko powąchała, a wypiła ziołową herbatę z miodem.



Wszystko było jak zwykle. Parking, szpital. Nawet chmury wisiały nisko. Renata pomyślała, że zawsze jest dżdżysty dzień, kiedy jedzie do szpitala. Na oddział przyjmowała ją nieznana pielęgniarka.

Naburmuszona.

Mateusz popatrzył na żonę. *Co za bździągwa* – pomyślał o pielęgniarce. Jednak zapomniał o tym, jak tylko spojrział na Renatę. Drżała jej broda. *Jak dziecku, jak małemu dziecku* – pomyślał.

– Boję się – powiedziała cicho Renata, gdy tylko wyszyli na korytarz.

– Daj spokój. Jakbyś pierwszy raz miała dostać kroplówkę.

Renata tylko pokręciła głową.

Pielęgniarka zaprowadziła ich do izolatki.

– Nie mogłabym być w tej sali co zwykle? Z panią Henryką?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami.

– A o której kroplówka? – dopytywał się Mateusz.

– Ja tam nic nie wiem. Lekarz powie – burknęła.

– Ale masz luksusy – powiedział Mateusz. – Jednoosobowy apartament.

– Mhm – mruknęła Renata. Świeżo wyremontowana salka miała pastelowe kolory na ścianach i gumową miękką podłogę, powycinaną w kolorowe esy-floresy.

– Jakbym nie musiała tutaj chorować, to nawet by mi się podobał – dopowiedziała po chwili. Położyła się do łóżka. – Zimno mi – poskarżyła się Mateuszowi.

Mateusz sięgnął po koc, który leżał w nogach łóżka. Opatulił nim starannie żonę.

– Jestem teraz jak mumia – żartowała.

– Coś długo ten lekarz nie przychodzi – powiedział Mateusz.

Renata leżała na łóżku, z rękami schowanymi pod kołdrę, czytał jej na głos książkę. Nie lubił tego. – Pójdę po herbatę. Może trochę cię rozgrzeje.

Renata kiwnęła głową, przymknęła oczy.

Mateusz zabrał ze sobą portfel, zanim jednak ruszył w stronę automatu, poszedł do gabinetu lekarskiego.

Drzwi gabinetu były otwarte, lekarz siedział w nim sam.

– Dobrze, że pana widzę – powiedział lekarz znużonym tonem. – Miałem właśnie posłać po pana pielęgniarkę.

– Tak? – zapytał Mateusz, irytując się na siebie. *Inteligentniej już nie mogłem* – pomyślał.

– Dzisiaj z samego rana odbyliśmy konsylium w sprawie pana żony – kontynuował doktor, jakby nie słysząc przerywnika Mateusza. – Leczenie nie przyniosło oczekiwanego rezultatu.

Lekarz wskazał Mateuszowi drogę do znanego mu już pokoiku z metalowym biurkiem.

– Szukamy metody, która byłaby skuteczna w walce z chorobą pana żony. Dzisiaj rano doszliśmy do wniosku, że choroba jest w takim

stopniu zaawansowania, że warto by spróbować metody eksperymentalnej. Doświadczalnej. Nowatorskiej. Mieliśmy już trzy próby z tym nowym zestawem leków... z dobrym rezultatem.

U pacjentów następowała wyraźna poprawa. Jednak pana żona jest bardzo osłabiona. Nie mamy pewności, jak zareaguje na kolejny zestaw preparatów. Za mało mamy doświadczeń.

Mateusz słuchał wyjaśnień lekarza, mrugając. Jakby nagle spadł na niego deszcz słów w obcym języku. Zapomniał o herbatce, wrócił do Renaty. Spała. Siedział na krześle pod oknem, nie myślał o niczym.

Po kilku minutach Renata się obudziła.

– Co z tą herbatą? – ziewnęła.

– Herbatą? – zdziwił się. – Rozmawiałem z lekarzem.

Renata usiadła na łóżku.

– Nie dostaniesz chemii. Nie działa. Proponują nam... tobie... proponują nowatorską metodę leczenia. Z zupełnie nowym zestawem leków. Podobno pierwsze próby było obiecujące.

– Nie wiedzą, jak mnie leczyć, prawda? – Renata mu przerwała. Sięgnęła po szalik. – Uspokaja mnie to. Kolejny słupek, i kolejny. Powtarzalność. I to, że są takie same. Żaden nie jest zrakowaciały. Tylko ten zapach. Ten pieprzony zapach! – Rzuciła szalikiem z rozmachem. Szydełko upadło na podłogę, wydając stłumiony gumą dźwięk.

Mateusz wstał i podniósł robótkę. Odłożył na skraj łóżka.

– Właściwie, co mam do stracenia – odezwała się Renata, bardziej stwierdzając niż pytając. – Tylko życie, ale i tak już go za wiele we mnie nie ma. Tonący i brzytwy, prawda?

– Renata...

– Nie pocieszaj mnie.

– Nie zamierzam. – Mateusz odrobinę podniósł głos. – Mamy wiele do zyskania. Nic do stracenia. Nie ty masz, tylko my mamy. Ty, ja i nasze dzieci. My.

Renata wyciągnęła się znowu na łóżku, przykrywając się aż po brodę. – Tak – potwierdziła.

– Zawołam lekarza – powiedział Mateusz.

Gdy lekarz opowiadał o zagrożeniach, Renata nie słuchała uważnie. Mateusz siedział na twardym krześle, ze wzrokiem wbitym

w horyzont. Za oknem latały ptaki. Była wiosna, jeszcze pełna błota, ale już psie kupy przykryła nieśmiało trawa. Była już wiosna.

– Doktorze, takie rzeczy lepiej podpisywać bez czytania. Inaczej żaden pacjent nie zgodziłby się na chemioterapię, a pewnie i na tę terapię też. Niech pan przyniesie te papiery – powiedziała w pewnym momencie Renata. – I tak nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi. – Poparła słowa wzruszeniem ramion. – Rozumiem tylko, że nie zdrowieję i że szanse mam niewielkie. A tak może będę miała większe.

Lekarz wyciągnął rękę, jakby chciał Renatę pogłaskać po dłoni. Ten odruch został mu z młodości. Nie zawsze nad nim panował. Kiedyś, gdy dopiero zaczynał praktykę, opiekował się matką. Chorowała, nie chciała iść do szpitala...

– Mam lekarza w domu – mówiła. – Gdzie będę wrażeń szukać?

Nie potrafił jej pomóc, często tylko głaskał po ręce, mówiła, że to lubi. Wydawało mu się więc, że każdy pacjent też będzie to lubił.

Renata odwróciła wzrok. Lekarz wyszedł, po kilku minutach wrócił z dokumentacją.

– Zostawię, aby się pani zapoznała – powiedział.

– Nie trzeba, proszę pokazać, gdzie mam podpisać.

Lekarz wskazał palcem kilka miejsc.

– Zostawię kopię dla państwa – powiedział.

– Nie trzeba – odruchowo odpowiedziała Renata.

Mateusz wyciągnął dłoń po dokumenty.

– Dziękuję – powiedział.

Lekarz wyszedł z izolatki zadowolony. Gdy tylko dotarł do pokoju lekarzy, zadzwonił do kolegi.

– Zgodziła się – powiedział uradowany. – Tak, też jestem ciekawy. U tej spod Łodzi przyniosło dobry efekt. Pomoże czy nie pomoże, będziemy wiedzieć więcej.

Matusz krążył po pokoiku w kółko, objając się co chwila o krzesło.

– Jesteś pewna?

– Już podpisałam.

– Zawsze możesz zmienić zdanie.

– Przestań. Przestań chodzić. Jedź do pracy.

Westchnął.

– Umówiłem się z Gabrielem, odbierze cię po badaniach. Zostanę w pracy dłużej. Nadrobię kilka spraw. Nie pojechałem do klienta, przynajmniej w innych rzeczach będę na bieżąco. Jeśli się zgodzisz.

– Pewnie, że się zgodzę. Jeśli w ogóle będzie trzeba mnie dziś odbierać, to może to zrobić Gabriel. Jak najbardziej.

– Nie bądź kaśliwa.

– Nie staram się. Po prostu... – Machnęła ręką. – Jedź już, proszę.

– Ostatnie zdanie powiedziała miękko. – Jedź, daj mi pomyśleć.

Gabriel przyjechał około szesnastej.

– Rano się nastawiłem na randkę z tobą, a tu nici. Ale ten twój mąż jest zaborczy.

Renata się uśmiechnęła.

– Za to teraz zawracam ci głowę.

– Fakt, muszę ją skręcić w prawo, żeby cię zobaczyć.

Siedzieli już w samochodzie. Dni stały się dłuższe, było jeszcze chłodno, ale gałęzie drzew były już wyraźnie zielone.

– Trochę się niepokoję – powiedział Gabriel.

– A czymże to? – Renata odwróciła się w jego stronę. Wcześniej, przed światłami, przyglądała się przydrożnym krzewom.

– Ja nie mam dzieci.

– A ja mam. I co? – Renata nie zrozumiała.

– Tak. I Daria też.

Renata wciągnęła powietrze. – Myślisz, że nie podołasz? Przecież dzieci cię uwielbiają.

– Co innego bawić się z nimi w gry podczas kilkogodzinnej wizyty, co innego wychowywać. A bliźniaczki Darii... Cóż, są dosyć rozpieszczone. Chyba. O ile znam się na dzieciach.

– No, to znaczy znasz się na dzieciach. – Renata się roześmiała.

– Tobie śmiesznie, mnie nie bardzo – mruknął Gabriel.

– Ty masz same powody do śmiechu. Kroi ci się ciekawa przyszłość, z interesującą kobietą, i równie fascynujące doświadczenia z jej rozpuszczonymi dziećmi. Łatwo nie będzie – ale wesoło na pewno. Ja do śmiechu mam mniej.

Gabriel się nie odzywał.

– Boję się – powiedziała.

Kiwnął głową.

– I boję się nawet rozmawiać o tym z Mateuszem. To znaczy... rozmawiamy niby o wszystkim. Leczenie. Dzieci. Jego klienci. Nawet o jego dupie rozmawialiśmy.

Gabriel drgnął.

– Słucham?

– Tak, tak, różne rzeczy się w małżeństwie zdarzają. Właściwie... to krzywdzące, co powiedziałam. Sorry, uniosłam się. Nieważne. W każdym razie rozmawiamy. Ale o tym nie. Boję się, że zostanie sam. Taki zupełnie sam z trójką dzieci. Będzie musiał je utrzymać, wyedukować, dopilnować, pieścić i nakarmić.

Gabriel patrzył w skupieniu na drogę.

– No, może nie sam. Z rodzicami. Moimi, bo jego mama nie nadaje się do pomocy. Sama jej potrzebuje, i to w psychiatriku.

– Renata, co ty? Dlaczego? Jesteś... agresywna.

– Jestem. Pewnie niesprawiedliwa, okrutna... jestem. Boję się.

– Jak my wszyscy. Boimy się my wszyscy. O ciebie. O was.

O dzieci i o nas. Mateusz nie zostanie sam, nawet jeśli będziesz musiała spędzić w szpitalu miesiące. Wiesz, poza rodzicami jesteśmy także my. Nie miałem odwagi tego nikomu powiedzieć... ale ja już myślę o nas. Myślę „my”. Daria i ja. Wiem, za szybko, nierozsądnie, i w ogóle nie powinienem, i boję się. – Wzruszył ramionami. – Ale tak myślę. To głupie, ale co z tego.

– Nie, to piękne. – Renata wyciągnęła rękę i lekko dotknęła dłoni Gabriela. – Chociaż będzie trudne, ale to oczywiste.

– Dlaczego ma być trudne? Będzie proste jak metr sznurka w kieszeni. Łatwo i przyjemnie na co dzień.

– Jasne! – Renata znów się zaśmiała. – I niech tak się stanie. Zatrzymali się przed światłami.

– Zobacz, jakie auto. – Gabriel westchnął. – Kiedyś sobie takie kupię.

– Malutcy chłopcy nie mogą zakładać rodziny.

– E tam! – Machnął ręką. – Facet pozostaje chłopcem do końca życia, nawet gdy ma rodzinę. Szczególnie, kiedy w grę wchodzi taki

samochód.

– W sumie rozumiem – powiedziała Renata. – Ja też jestem dziewczynką w perfumerii. Właściwie to byłam, bo teraz najchętniej wszystkie zapachy bym wytępiła. Nawet zapach wiosny. Rzygać mi się ciągle chce, chociaż chemii już nie dostaję.

Gabriel skrzywił się.

– Brzydkie słowo, co?

– Nie o to chodzi. Po prostu... nie możesz tak myśleć. Nigdy nie byłem w takiej sytuacji, nie bardzo umiem rozmawiać o chorobie. Nawet nikt z moich bliskich nie miał w perspektywie tak długiego i ciężkiego leczenia. Ale nie możesz tak myśleć.

– Gabrielu, my nie rozmawiamy o chorobie. Ja już nawet nie bardzo o niej myślę. Muszę sobie poradzić. Ale nie z chorobą. Ja myślę o śmierci.

Zatkało go. Zatrzymał auto w najbliższej zatoczce.

– Renata...

– Gabriel – przerwała mu – wiem, że brakuje ci słów. Mnie też. Też nie umiem. Myślę, ale nie umiem rozmawiać. Z tym, że nie mam wyboru. Muszę. Muszę pozalać jeszcze wiele spraw. Nie da się tego zrobić bez zastanowienia. Jedźmy.

Gabriel siedział, trzymając ręce na kierownicy. Patrzył przed siebie.

– Jedźmy. Nie ma nic więcej do dodania.

Zostało im już tylko kilka minut drogi. Przejechali je w milczeniu. Dopiero przed bramą Gabriel powiedział:

– Wiesz, że jesteśmy z tobą.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się. – Nawet jakbyś się chciał wykpić, to ci nie pozwolę. – Mrugnęła okiem i chwyciła klamkę drzwi. – A właściwie to wam. Wam nie pozwolę.

– Mama! – zawołał Krzyś, gdy tylko usłyszał otwierające się drzwi. – Zobacz, co dla ciebie zbudowałem. To pistolet. Tu się wciska, a wtedy tutaj się wyciąga, i zobacz: paf paf! – Demonstrował konstrukcję z klocków.

– Kochanie, dziękuję. Na pewno piękny i świetnie działa, tylko wiesz, że ja nie przepadam za pistoletami i w ogóle za żadną bronią...

– Oj, mamó, przecież to nie jest prawdziwy pistolet. On jest z klocków, nie widzisz? – Chłopiec się skrzywił.

Renata klepnęła się głowę.

– Co za gapa ze mnie – powiedziała, całując syna w czoło.

– Zjesz coś? – zapytała Krystyna.

– Wiesz jak to u mnie z jedzeniem. – Próbowała się usprawiedliwić. – Herbaty bym się napiła.

Krystyna krzątała się wokół córki, dzieci dokazywały. Chciała porozmawiać, ale nie było ku temu warunków.

– Mamó, pójdę się położyć – powiedziała Renata szybko, tak żeby nie musieć rozmawiać z matką. Krystyna mogła tylko kiwnąć aprobująco głową.

– Joanna? – Renata wybrała numer przyjaciółki, gdy tylko zamknęła drzwi sypialni.

– Miło cię słyszeć.

– Joasiu, musimy się spotkać.

– Proponujesz jakiś termin?

– Jak najszybciej. Najlepiej jutro.

– Renata, coś się stało? Coś pilnego?

– Generalnie... tak. Ale nie przez telefon. I nie u mnie w domu. Możesz po mnie przyjechać? Jutro po pracy? Pojechałybyśmy do kawiarni jakiejś.

– Oczywiście, ale... Jasne, będę zaraz po pracy. Denerwuję się trochę.

– To ważne, ale nie straszne. Nie chcę przez telefon.

– Jasne, tak. To... do jutra.

– Trzymaj się – powiedziała Renata, leżąc już w łóżku.



Rano Renata wstała przed budzikiem.

– Co tobie? – ziewnął Mateusz.

– Chcę odwiedzić dzieci. Jak wrócę do szpitala, mogę tam zostać

dłużej. Chcę z nimi pobyc jak najwięcej.

– Pojadę z tobą.

– Nie ma potrzeby – powiedziała stanowczo. – Tyle to jeszcze dam radę. Pojechać pod szkołę trzy kilometry. Poradzę sobie.

– W porządku. – Uniósł ręce. Znów ziewnął. – Idę zrobić śniadanie.

– Super. – Kiwnęła z zadowoleniem głową.

Dzieci, jak zwykle rano, miały mnóstwo czasu. Renata je poganiała, Mateusz je poganiał, Krystyna także. A one jadły śniadanie, celebując każdy kęs, przepychając się między sobą, grymasząc.

– Z tym to ja nie będę jadł. – Krzyś pokazał plaster ogórka.

– A ja z tym. – Krysia wtórowała, wskazując na rzodkiewkę.

– A majonez gdzie? – zapytał Eryk.

– Za gorąca ta herbatka – powiedział Krzyś.

– Nie za gorąca, tylko za mało słodka – klóciła się Krysia.

I ja dawałam sobie z tym radę sama? – pomyślała Renata. Gdy w końcu zagoniła dzieci do samochodu, była spocona.

Mateusz spojrział na zegarek. *Jeśli nie wróci za kwadrans, jadę po nią* – pomyślał. Usiadł przy stole, pijąc herbatę. Krystyna sprzątała, zięć w milczeniu dojadał kanapki po dzieciach.

– Nic wczoraj nie powiedziała. Spać poszła. – Zagadnęła nagle nerwowo Krystyna. – Powiedz, co w szpitalu? Co będzie?

– Będą ją leczyć, mamó. Będą jej pomagać. Wszystko będzie dobrze – odpowiedział Mateusz.

Minął kwadrans. Renaty nie było.



W samochodzie było głośno. Bardzo głośno. Renata nie próbowała nawet uciszać dzieci. Zrezygnowała, gdy przekonała się, że jej krzyk przy tych decybelach był tylko szeptem.

Z Erykiem pożegnała się na parkingu. Krzyś i Krysia chwycili matkę za ręce.

– Najpierw Krysia – powiedziała Renata.
– Najpierw ja! – zaprotestował Krzyś.
– Krysia zaczyna lekcje o ósmej – powiedziała Renata. – To
znaczy, zaczęła osiem minut temu. A ty możesz być w przedszkolu
trochę później.

Krysia pokazała bratu język. Krzyś obrażony puścił rękę matki.
Gdy Renata odprowadziła dzieci, zadzwoniła jej komórka.

– Czy mógłbym zamienić z panią dwa słowa? – Renata
w pierwszej chwili nie poznała rozmówcy, chociaż przedstawił się
z imienia i nazwiska. Skądś znała ten głos. Tylko skąd? Zawahała się. –
Jestem wychowawcą Eryka.

– Jasne, oczywiście. Jestem przed szkołą, może od razu? Coś się
stało?

– Nie, nic się nie stało. Jeśliby pani mogła na mnie poczekać przy
sekretariacie. Zajmę pani dosłownie kilka minut.

– Nie mam wolnej sali, proszę wybaczyć, że tutaj – powiedział po
przywitaniu.

Renata kiwnęła głową.

– Chciałem podziękować pani za tę... – zawahał się – pogadankę.
Uczniowie byli pod wrażeniem. Niby udawali, że to nic takiego, ale
ciągle słyszę, jak o tym dyskutują. Rozmawiałem też z dyrektorem. Jest
taki pomysł, jeśli oczywiście to możliwe, żeby... zrobić coś podobnego
w innych klasach. To oczywiście tylko prośba, nie oczekuję też
odpowiedzi od razu...

– Jasne, oczywiście, rozumiem. – Renata przytakiwała. – Muszę się
zastanowić. Powiem panu, że było to dla mnie wyczerpujące
doświadczenie...

– Rozumiem, nic na siłę oczywiście. – Uśmiechnął się.

Pożegnali się. Nauczyciel spoglądał na nią w zamyśleniu. Nie
wszyscy uczniowie byli zadowoleni ze spotkania z Renatą. Były głosy,
że to ohydne. Że po co tak się pokazywać, a nawet że jak ktoś tak
wygląda, to powinien się schować, w mysiej dziurze najlepiej. I właśnie
te głosy skłoniły go do rozmowy z dyrektorem. Obaj wtedy doszli do
wniosku, że trzeba mówić o chorobach, o trudnościach, uczyć empatii.

Przynajmniej próbować – myślał nauczyciel.

Renata wsiadła do samochodu. Była zafrapowana. Jadąc do domu, minęła samochód Mateusza. Chwyła za komórkę.

– A ty dokąd?

– Jadę po bułki – odpowiedział z ulgą.



– Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam – powiedziała Daria, odwieszając kurtkę na wieszak.

– Nigdy. – Renata co prawda zamierzała się położyć, czuła się ociężała po śniadaniu, które wmusiła w nią matka. Mateusz ponad godzinę temu wyjechał do pracy. – Tylko obiecaj, że nie każesz mi jeść – wyszeptwała konfidencjonalnie.

– Słucham? – Daria się zdziwiła.

– Nic, nic, żartowałam. – Renata machnęła ręką.

Daria tylko uniosła brwi. Nie musiała wypowiadać głośno słowa „Czyżby?”, i tak obydwie je słyszały.

– Mama uważa, że jedzenie to antidotum na każdą chorobę. I nie może zaakceptować faktu, że ja zwyczajnie jeść nie mogę. Jak jem, to rzygam. Jak nie jem, funkcjonuję w miarę normalnie. – Otworzyła szeroko drzwi.

– Już szykuję kawę! – krzyknęła Krystyna z kuchni. Z okna widziała Darię wchodzącą przez bramę. Ciasto stało już na stole.

– Bardzo dziękuję. Z przyjemnością – powiedziała Daria, uśmiechając się szeroko do Renaty. – Zjem podwójną porcję.

– To zupełnie odwrotnie niż Renata – odpowiedziała poważnie Krystyna.

– Bo ja właśnie za nią zjem. Ona dla mnie zostawiła. – Daria uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Wy dziewczyny! – Machnęła ręką Krystyna. – Jak bliźniaczki?

– Nieznośne, jakby miało być inaczej. Dzisiaj tak długo dyskutowały przy ubieraniu, jedzeniu śniadania, przebieraniu, że dopiero teraz je dowiozłam do szkoły.

– Przebieraniu? – zapytała Renata.

– Po śniadaniu obie doszły do wniosku, że nie są stosownie ubrane. Od kiedy nie ma Klemensa, nie mam siły z nimi dyskutować. Wiem, że to błąd... ale pewnie muszę się najpierw sama pozbierać. No wiecie, boję się, że teraz to takie pólsieroty, i pewnie chcę im to za bardzo wynagrodzić. Więc pozwalam na wszystko. No, może nie na wszystko. Ale na dużo. I mam za swoje. – Daria upiła łyk kawy. – Gorąca – syknęła.

– Zimnej by ci mama nie podała... – powiedziała cicho Renata.

– No przecież zimnej bym pani nie podała – powiedziała Krystyna.

– To wy sobie, dziewczynki, tutaj porozmawiajcie, a ja pójde położyć się na chwilę.

– Przesiadźmy się. – Renata wskazała na kanapy w salonie. – Od tych krzeseł tyłek mnie boli.

– Jakbyś nie była taka chuda, to i krzesła by ci nie przeszkadzały.

– Ty nie bądź złośliwa, ja po prostu nie mogę jeść. Obiecuję sobie, że za kilka miesięcy będę się obżerać, będę żreć. Wszystko i w każdej ilości. Niech tylko wyzdrowieję. Opowiadaj.

– Najpierw ty. – Daria usadowiła się na kanapie. Chwyciła poduszkę, podkuliła nogi, oparła się wygodnie. Renata przyjęła taką samą pozycję.

– Bez zmian. Choruję. Walczę. Boję się, że mi się nie uda.

– Co ci się nie uda?

– Nie uda mi się wyzdrowieć – odpowiedziała Renata. – Dlatego nie chcę o tym rozmawiać. Opowiadaj, co u ciebie.

– Ale masz czas?

– Do szpitala idę dopiero pojutrze.

– Coraz mi lepiej z Gabrielem. Spędzamy razem coraz więcej czasu. Świetnie dogaduje się z dziewczynkami, one go po prostu uwielbiają. Czy wiesz, że kiedy jest Gabriel, to nigdy nie pytają o Klemensa? W ogóle to o tatę zapytały przez ostatnie tygodnie może ze cztery razy.

– Pytam o ciebie, nie o dziewczynki.

– Ale one są częścią mojego życia.

Renata wywróciła oczami.

– Nie można tak, nie mogę o nich nie myśleć. I wiesz, gdyby facet nie akceptował moich dzieci... One jeszcze wiele lat będą mnie potrzebowały...

– Daria, przecież ja to wszystko wiem! Opowiadaj o Gabrielu! Czy, no wiesz, no...

– Świntucho! – Daria zrobiła minę niewiniątka. – Pewnie, że tak. Bossssko!

– To przynajmniej konkret. – Z zadowoleniem rozłożyła ręce Renata. – I co?

– No szczegółów to ja ci opowiadać nie będę. Ma facet wyobraźnię... A ja ostatnio nawet wybrałam się na zakupy.

– Rozumiem. Nowe randki – nowe kiecki.

– Renata, pamiętasz ten butik? Ten od bordowej sukienki?

Renata kiwnęła głową.

– Ta babeczka dzwoni do mnie, jak dostaje nowy towar. Pokażę ci coś, tylko do samochodu skoczę.

– Wozisz ze sobą zakupy?

– Nie, dopiero co odebrałam od krawcowej, musiała mi trochę zwęzić.

– Czyli dziewczynki to tak znowu długo nie marudziły...

– Oj, nie czepiaj się, poczekaj chwilę.

Daria wyszła przed dom. Renata spojrzała za okno. Zieleń zalała ogród. *Życie szaleje* – pomyślała. – *To niesprawiedliwe.*

– Zobacz! – Daria wróciła z samochodu, trzymając w ręce szafirowy ciemny jedwab. Ręcznie malowaną bluzkę z prostymi rękawami do łokcia.

– Cudo! – jęknęła Renata.

– Układa się jak chmurka.

– Ależ to cieniutkie. – Renata się zachwyciła. – Co na dół?

– No właśnie mam problem. Coś czarnego chyba... Myślałam o takiej cytrynowej spódnicy, też jedwabnej, mierzyłam nawet, ale przyćmiłaby bluzkę.

Długo rozmawiały, o niczym. Daria dołała sobie kawy, odmówiła kolejnego kawałka sernika.

– Było mi to potrzebne. Nie mam z kim porozmawiać. – Daria

spoważniała. – Wspólni znajomi Klemensa i moi odpadają. W przedszkolu i z sąsiadami nie bardzo mogę na takie tematy. Rodzice uważają, że małżeństwo jest do końca życia. Z Gabrielem rozmawiam dużo, ale o czym innym. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Ty jesteś jedna jedyna.

– Bezcenna – powiedziała Renata.

– A żebyś wiedziała.

Natychmiast po wyjściu Darii Renata się położyła. Odebranie dzieci, obiad, lekcje. – Wszystkie sprawy zostały powierzone Krystynie. Jak co dzień.

Renata zeszła na dół dopiero po obiedzie.

– Dziękuję, że mnie nie obudziliście – powiedziała miękko.

– Pobaw się z nami, mamó – prosiła Krysia.

– Obiad zjedz – powiedziała Krystyna.

Renata zwlekała z zejściem do salonu ze względu na intensywny zapach obiadu, który doleciał do niej nawet zza zamkniętych drzwi.

– Mamó, może samego ziemniaka. Takiego. – Pokazała placem w garnku.

– Bez okrasz? – Krystyna prychnęła ze wstrętem.

– Mamó... – Renata spojrzała na matkę z uśmiechem.

– Ty musisz jeść, dziecko. Ty sił na zdrowienie nie będziesz miała.

– Wiem, mamó, z dobrego, najlepszego serca chcesz mnie nakarmić. Ale ja naprawdę nie dam rady. – Przytuliła matkę. Wdychała jej zapach – mieszankę kuchennych aromatów, ulubionych perfum matki, które pamiętała z dzieciństwa, i lekko zjełczalej woni cienkiej, postarzałej skóry. Zestawienie, które zawsze kojarzyło się z bezpieczeństwem, a teraz powodowało mdłości.

– Córku moja. – Krystyna odwzajemniła uścisk.

– Trochę pobawię się z dziećmi. Za półtorej godziny muszę wyjść.

Umówiłyśmy się z Joanną.

– Czemu nie w domu? Dam wam przecież porozmawiać. –

Krystyna się zdziwiła.

– Ale dzieci nie dadzą – odpowiedziała Renata.

Denerwowała się. Spoglądała na zegarek co kilka minut, czas płynął jak przed randką. *Umalować się? No chyba. Nie randka, ale*

wyglądać wypadaloby. A w co się ubrać? Po co ja się nad tym zastanawiam, przecież nie podrywam Joanny. Chociaż w sumie ją podrywam. Muszę ją tylko przekonać. Jak mam ją przekonać? Dobra, muszę się ubrać stanowczo. Tak, stanowczo. Żeby ją przekonać. Jeszcze pół godziny. Może wyjdę wcześniej?

– Źle się czujesz? – zapytała w końcu Krystyna. – Wiercisz się i wiercisz. Może odwołaj to spotkanie?

– Mamo, cieszę się na nie, tylko tyle. Zresztą, już czas wychodzić – odpowiedziała Renata, podnosząc się z kolan. Dzieci usadowiły ją na dywanie i zmusiły do rozegrania partii w nowej grze planszowej.



– Przepraszam! – Joanna kajała się od wejścia. – Nie tak łatwo się wyrwać, gdy szef akurat ma gadane. Nie mogę na razie podskakiwać, póki co mam okres próbny.

– Spokojnie, nic się nie stało. Nie śpieszę się – powiedziała Renata, chociaż pomyślała: *A właśnie, że się śpieszę. Jak nigdy dotąd.*

– Jak ci się pracuje?

Zadały sobie kilka banalnych pytań, rozmowa toczyła się gładko. Wokół spraw ważnych i mniej ważnych.

– Joasiu, chciałabym cię o coś prosić.

– Co tylko mogę – odpowiedziała z uśmiechem.

– Ze względu na twoją relację z Mateuszem...

Uśmiech natychmiast zszedł z twarzy Joanny.

– Nie ma już żadnej relacji! – Przerwała Renacie gwałtownie.

– Wiem, nie denerwuj się – odpowiedziała Renata spokojnie. –

Było ci z nim dobrze, prawda?

– Renata, po co to drążysz? Komu to potrzebne? – Joanna była coraz bardziej zdenerwowana.

– Widocznie potrzebne.

– Uprawiasz masochizm? – Ręka Joanny powędrowała w stronę torebki.

– Nie, Boże broń. Ani tobie, ani sobie nie zamierzam robić przykrości. Uwierz mi, nie o to chodzi. Ale było ci dobrze?

Joanna przełknęła ślinę. Rozejrzała się po kawiarni.

– Tak, było. – Wstała.

– W związku z tym chciałam cię o coś prosić.

Joanna stała nad nią gotowa do wyjścia.

– Chciałam cię prosić, abys po mojej śmierci zajęła się moimi dziećmi.

– Coś ty powiedziała? – Joanna usiadła, nie wypuszczając torebki z rąk.

– Leczenie nie działa. Zaproponowali mi jakąś nową terapię, eksperymentalną, jak to się ładnie doktor wyraził. Zaproponowali ją, bo nie mają pomysłu na mojego raka. Skorupiak mnie polubił. – Zaśmiała się cicho.

– Renata, co ty. Zaproponowali, bo starają się ciebie wyleczyć.

– Tak, starają się. Od dłuższego czasu. Trochę im nie wychodzi.

Więc muszę zająć się swoimi sprawami. Tylko nie wolno ci o tym mówić Mateuszowi. Jeszcze nie teraz. Najpierw ja z nim muszę porozmawiać.

– Renata, nawet jeśli rozumiem słowa, które do mnie wypowiadasz, to nie rozumiem całości. Albo ty nie rozumiesz mnie. Twój mąż i ja... fatalnie to brzmi, prawda? W każdym razie, byliśmy razem krótko. Bardzo intensywnie, ale krótko. Znacznie krócej, niż bym chciała. To był czas... oszałamiający. Nadzieje, motyle, kolory i kwiaty. To był ten czas. Dla mnie, oczywiście. Potem okazało się, że to tylko zniekształcające okulary. Zamiast nadziei – ból, cierpienie zamiast motyli. Kolory wyłącznie bure, a kwiaty to zmarznięte chryzantemy na cmentarzu. – Zdała sobie sprawę, co powiedziała.

– No właśnie, i zadbaj o to, żeby przynajmniej na początku na moim grobie były świeże kwiaty. Albo żadnych. Nienawidzę zwiędniętych. Znicze niech będą.

– Renata! – wykrzyknęła Joanna. – O co ty mnie prosisz? Mam budować na twoim grobie?

– Nie. Masz spełnić moją prośbę. Pomóc mi odejść w spokoju.

Joanna popatrzyła na nią wzburzona.

– Wychodzę. Nie mogę tego słuchać.

Rozważ to – pomyślała Renata, gdy za Joanną zamknęły się już drzwi.

Wieczorem Renata nie doczekała powrotu Mateusza z pracy. Zasnęła. Zupełnie nie był tym zdziwiony. *Dzień jak co dzień* – pomyślał.

Następnego dnia rano do Mateusza zadzwoniła Daria.

– Widziałam, jak wyjeżdżasz z naszej ulicy, chciałam chwilę pogadać.

– To może wpadniesz? Wieczorem? Albo po południu jakoś?

– Byłam wczoraj. Widziałam się z Renatą. Chciałam cię o nią zapytać.

– Ale o co? – Nie zrozumiał Mateusz.

– O Renatę.

– Przecież się z nią wczoraj widziałaś.

– Faceci to są nierozumni jacyś. – Daria się zirytowała. –

Widziałam się, i rozmawiałyśmy, nawet długo. I co z tego. O dupie Maryni rozmawiałyśmy. Nie miałam odwagi jej o nic spytać. Wygląda jak pół siebie, ubyło jej ze dwadzieścia kilo, za to przybyło dwadzieścia lat. Jak miałam zapytać ją o samopoczucie?

Mateusz westchnął ciężko. – Wygląda tak, jak się czuje. Ostatnia chemia nie przyniosła rezultatów. Jutro jedziemy na kolejne badania. Teoretycznie następne badania powinna mieć za dwa tygodnie, ale lekarze nie chcą czekać. Chyba nie ma na co czekać. Trzeba ją leczyć, jak najszybciej.

– Nie chcą czekać?

– My też nie chcemy. Jest... kiepsko. Jest źle. Renata podpisała zgodę na leczenie eksperymentalne. Wiesz, jak ci podają chemię, podpisujesz papiery – że zapoznałeś się ze skutkami ubocznymi, że jesteś świadomy et cetera. Większość pacjentów uważa, że lepiej tego nie czytać. Przy tym leczeniu papierów było kilka razy więcej. Renata podpisała, przerywając lekarzowi, który chciał jej opowiedzieć o skutkach ubocznych.

– To znaczy, że jest pomysł na dalsze leczenie. To dobrze. Jest nadzieja.

– Też tak uważam. Tylko... sama nadzieja jej nie wyleczy.

- Mateusz, czy mogę wam jakoś pomóc?
- Po prostu bądź. Wczoraj Renata przez telefon opowiadała mi, że jej pomogłaś.
- Dlaczego przez telefon?
- Bo jak wróciłem, to już spała. Często tak jest ostatnio. Jest słaba.
- Mateusz westchnął.
- W niczym jej wczoraj nie pomogłam. Paplałam tylko.
- Oderwała się trochę od codzienności. Stwierdziła, że dzisiaj będzie sprzątać.
- To też oderwanie. Nawet relaks. – Daria się zaśmiała.
- Nie rozumiesz. Renata chce zrobić porządek w swoich rzeczach. Porządkuje papiery, robi różne notatki.
- Czy ona... No weź, przestań, Mateusz! – Daria każde słowo wypowiadała coraz głośniej.
- Tak. Nie. To znaczy, nie żartuję. Więc wpadaj jak najczęściej i po prostu plotkuj. Gadaj o niczym. Po prostu bądź.

[2] Rafał Wojaczek, *Katalog*, z tomu *Trzeba było rozstrzelać poetę*, dz. cyt., s. 130.

Kwiecień

– Dziecko, nic nie mówisz. – Krystyna odwiozła dzieci, wyprawiła Mateusza do pracy, a teraz przyszła ze śniadaniem do sypialni. Renata nie spała, wstała nawet rano, pomogła ubrać dzieci, ale położyła się znów.

– Co tu jest do mówienia, mamó. Jestem słaba, jutro idę do szpitala.

– Nie mówisz wszystkiego.

– Mamó. – Renata spojrzała z wyrzutem na matkę. – Wiesz, jak reaguję na zapach jedzenia – powiedziała, spoglądając na tacę.

– Musisz jeść. Bez jedzenia nie wyzdrowiejesz. I chciałabym wiedzieć, co powiedział ostatnio lekarz.

– Wprowadzą nowe leczenie. Tamto przestało działać. Ale nie ja jedną miałabym coś do powiedzenia, mamó.

– Nie rozumiem. – Krystyna odstawiła tacę z kolan na podłogę.

– Daj, mamó, może herbaty się napiję.

– Kiedy ostatnio rozmawiałaś z Anną? – zapytała matkę, gdy wypila już kilka łyków.

– Kilka razy w tygodniu rozmawiamy. – Krystyna spojrzała na córkę zdziwiona.

– To wiesz, że ma problemy z Robertem?

– A po co ona takimi rzeczami ci głowę zawraca. Masz ważniejsze

sprawy niż jej swary z mężem.

– Mamo, tak zamiatasz, że nawet nie wiesz, co masz pod tym dywanem. Anna się rozwodzi.

– Co ty pleciesz? Rozmawiałam z nią – Krystyna się zawahała – przedwczoraj. Przedwczoraj! – Wykrzyknęła ostatnie słowo.

– A ja wczoraj. Nie mówiła ci, żeby cię nie martwić. Ale z kimś musi pogadać. Z siostrą chyba lepiej niż z sąsiadką pod sklepem.

– Co ty opowiadasz? – Krystyna przykryła usta dłonią.

Renata tylko pokiwała głową. – Ubiorę się, mamo, przepuść mnie – powiedziała, wystawiając nogi za łóżko. Gdy wyszła z łazienki, Krystyna czekała już w jadalni.

– Kawa! – jęknęła Renata.

– Co masz przeciwko kawie? – Krystyna się zdziwiła.

– Pachnie.

– Dobra kawa musi pachnieć – powiedziała Krystyna, wskazując Renacie miejsce obok siebie.

– Całe szczęście, że już mnie tak nie mdli. Jeszcze dwa tygodnie temu po takich kilku wachnięciach już bym leciała do łazienki.

– Mów! – Krystyna rozkazująco przerwała.

– Co tu mówić, mamo. Przecież tak naprawdę wiesz.

– Wiem, że się nie układa, że się chwilowo wyprowadził.

A rozwodów to w naszej rodzinie jeszcze nie było. I nie chcę, żeby były.

– Raka też nie było.

Krystyna prychnęła.

– Nie porównuj! Co innego odmienne poglądy w małżeństwie, a co innego choroba.

– W sumie, mamo, niemal na to samo wychodzi. I jedno, i drugie, przynosi pewien koniec.

– Przestań! – Matka denerwowała się coraz bardziej.

– Dobra, dobra, nie denerwuj się. Tak myślałam. Moja młodsza siostrzyczka zawsze na mnie zwała najtrudniejsze rozmowy.

Krystyna siedziała w milczeniu, spoglądając w okno.

– No tak to nie może być.

– Mamo, może być. Oni od dawna ze sobą nie rozmawiają. Anna wczoraj do mnie zadzwoniła. Dawno nie słyszałam jej tak... – Renata

zastanowiła się nad słowem – smutnej. Właściwie rozdygotanej. Długo gadała o niczym, zanim użyła słowa „rozwód”. To straszne, że jesteśmy tak zaściankowe.

– Zaściankowe? – Krystyna wyglądała na zbulwersowaną tym słowem.

– Mamo, a jak to inaczej nazwać? Nie układa się ludziom, źle im. Źle dziecku, co jest w tym najgorsze. A my udajemy, latami, że nic się nie dzieje. Że lepiej kiepski mąż, ale mąż. Mamo, co to za dulszczyzna? To przecież kompletny fałsz.

– Dziecko, ty nic nie rozumiesz. Anna będzie na językach.

– Na językach? I tym się przejmujesz? Nie córką? Anna zawsze może przyjechać tutaj. Do mnie na początek. Tu nikt jej palcami wytykał nie będzie.

Ale mnie będą, bo ja tu nie przyjadę na zawsze – pomyślała Krystyna, ale nic nie powiedziała.

Milczały. Krystyna popijała kawę, Renata grzała dłonie o kubek z herbatą.

– Mamo, trzeba pomóc Annie – odezwała się w końcu Renata.

– W rozwodzie? – Krystyna odcięła się sarkastycznie.

– Mamo... – Renata pokręciła głową. – Nie chce mi się wierzyć, że ważniejsze są dla ciebie plotki niż szczęście córki.

– Nie są. Oczywiście, że nie są. Tylko jak mogłybyśmy jej pomóc?

– Myślę, że przede wszystkim Anna potrzebuje teraz czasu. Czasu i spokoju. Więc dobrze byłoby zająć się trochę Miłozem.

– Miłosz! Właśnie, co z Miłozem! – Krystyna przewróciła filiżankę. Resztką kawy rozlała się na stole. Zanim Renata wstała, Krystyna już biegła w stronę kuchni. Starła ściereczką stół, wróciła do kuchni, przyniosła talerz z drożdżowym ciastem.

– Prawie nie pachnie – powiedziała z zadowoleniem Renata.

– Zjesz? – Krystyna podchwyciła.

Renata kiwnęła głową.

– Miłosz zostanie z Anną. Może i Robert będzie chciał robić jej na złość, ale raczej nie ma szans na przejęcie opieki nad małym.

Krystyna usiadła przy stole, mechanicznie nałożyła po kawałku ciasta.

– Mamo, a może by Miłosza na chwilę zabrać od Anny?
Przyjechałby do nas, ona miałaby więcej luzu. Tylko to dla ciebie kłopot, bo ja teraz mało użyteczna jestem.

Krystyna milczała. Renata skubnęła ciasta. Zjadła ponad pół kawałka, zanim matka się odezwała.

– Muszę pojechać do Anny.

Renata kiwnęła głową.

– I może przywiozę Miłosza.

Renata ponownie kiwnęła głową.

– Wrócę za parę dni. Porozmawiam z Darią, żeby cię wsparła w tym czasie. Kiedy ostatnio z nią rozmawiałam, mówiła, że zawsze chętnie pomoże. – Krystyna zakończyła.

– Wiesz, mamo, to trochę co innego. Odebrać dzieci i przechować przez dwie godziny, a wziąć sobie na głowę opiekę nad trójką na kilka dni.

– Na pewno pomoże – odpowiedziała Krystyna.

Dwanaście lat wcześniej

– Co to za imię?

– Święta taka była.

– Może i była. Ale w rodzinie mieli kogoś takiego?

– Ja tam nie wiem. Nie słyszałam.

– No ja też.

Sąsiadki stoją pod sklepem. Każda trzyma w ręku siatkę z zakupami.

– Pomidory kupiłaś? – Jedna z nich komentuje, zaglądając do siatki sąsiadki.

– Nie udały mi się. Susza w tym roku.

– Ja tam swoje podlewałam. Sporo mam. Przyjdź do mnie, to się podzielę – mówi Krystyna.

– A przyjdę, pewnie. Zawsze lepiej od swojego mieć niż takie kupne, ze sklepu.

– No, i ta nasza sklepowa to strasznie sobie liczy. Złote klamki chyba chce mieć.

– Też bym chciała. A nie tylko ciągle liczyć grosz i liczyć. Na przednówku to u nas zawsze bieda.

– To tak jak i u nas. Zenon niby pracuje, ale wiesz, jak to jest. Co swojego mam, to rodzinie dam. A kupne – sama wiesz.

– Wiem, wiem. Ale z tą Bernardą...

– Też nie rozumiem. Porządna matka, że też nie przypilnowała.

– Ja to zupełnie nie rozumiem. Tak pozwalała się z chłopakiem prowadzić, a teraz co. Do ołtarza bez wianka pójdzie. Z brzuchem.

– Nie żartuj, ona z wiankiem pójdzie. I jeszcze welon będzie mieć.

– A wstyd jaki. Na całą wieś.

– Ta Bernarda to myśli, że jak do innej wsi pójdzie, to jej tam nie wytkną.

– A nie wytkną? Wytkną, wytkną. Jak wszędzie. Jak kto niemoralny jest, to nigdzie mu nie przepuszczą.

– Trzeba było córki pilnować.

– Wpadnij po pomidory.

– Podejdę jutro może.

– Szczęść Boże!

Teraz

– Skąd wiedziałaś? – zapytała Renata, schodząc do kuchni. Mówiła do pleców matki. Krystyna wciąż siedziała na krześle przy stole, wpatrzona w zieleniejący ogród za oknem.

– Co wiedziałam?

– Że Daria się zgodzi?

Krystyna tylko wzruszyła ramionami.



Mateusz wrócił wieczorem do domu kompletnie wyczerpany.

– Ciężki dzień? – zapytała Renata, delikatnie masując go po plecach. Przywitała Mateusza w przedsionku. Po południu długo spała, teraz postanowiła poczekać na męża.

– Masakryczny – odpowiedział. – Nie wiem, w co ręce włożyć. Projekt za projektem. Tu klient, tam rada nadzorcza. Tu obiecują awanse, tam podwyżki. Od tych obietnic w biurze huczy, wyścig szczurów to mało powiedziane. Teraz to jest bieg po życie, z tym że biegniesz po linie rozciągniętej nad bagnem pełnym krokodyli.

– Bez asekuracji – dopowiedziała Renata.

– A za tobą po tej linie pędzą wygłodniałe tygrysy.

– Które pogania stado wściekłych słońi.

– Po linie? – Z powątpiewaniem popatrzył na żonę Mateusz.

– No wiesz, słońie to po brzegu pędzą... ale są wściekle, bo im krokodyle podgryzają kostki.

– Słońie mają kostki?

– Oj, czepiasz się – powiedziała Renata, wtulając się mocniej w męża.

– No to nakreśliliśmy idealny obraz idealnego korporacyjnego dnia.

– A ja ci jeszcze tyle kłopotów sprawiam. – Renata westchnęła.

Odsunął ją od siebie, trzymając za ramiona. – Kochanie, jakich kłopotów. Ty nie pozwalasz, bym zapomniał, co jest w życiu najważniejsze.

– To muszę ci opowiedzieć, że różne kłopoty pojawiają się także w innych okolicznościach przyrody – powiedziała Renata, otwierając drzwi do salonu. – Anna się rozwodzi.

– Co? – Mateusz rzucił żonie zdumione spojrzenie i podniósł Krzysia. Ucałował, postawił na ziemię, powtórzył operację z Krysią. – A Eryk gdzie? – zapytał.

– Na górze. Mama do niej jedzie.

– Jak to, mama jedzie? – Zatrzymał się w drodze do kuchni. – A ty? Dzieci?

– Ja jutro do szpitala. Z dziećmi będzie Daria. Myślę o tym, żeby

po prostu przeniosła się do nas na te kilka dni. Bliźniaczki się łatwiej u nas zadomowią niż nasze u Darii. Małe nie muszą jeszcze odrabiać lekcji. Zresztą, to jest tak blisko, że mogą być trochę tu, trochę u siebie. Na noc wracałyby do domu. Mama wróci pewnie za tydzień – półtora. Ja nie wiem, jak długo będę w szpitalu. A pewnie mama przywiezie ze sobą Miłosza... Nie ma dzieciak lekko. Będziemy mieli więc w domu równocześnie szpital, przedszkole, szkołę i przechowalnię dla dzieci. Jak to przeżyjemy, to wszystko przeżyjemy – powiedziała.

Po co wygaduję takie głupoty? – pomyślała.

– Kochanie, wszystko przetrwamy – powiedział Mateusz. –
Dostanę jakąś kolację?

– Wszystko przygotowane – odpowiedziała Renata, wyciągając jedzenie z lodówki.

Wypowiadając te słowa, nie miała na myśli tylko kolacji dla męża. Ostatnie dni upłynęły jej nie tylko na zabawie z dziećmi, odrabianiu lekcji, odbieraniu ich ze szkoły i spaniu. Prowadziła rozmowy, starała się poukładać sprawy – swoje, Anny, dzieci, rodziny. Mateusz też prowadził rozmowy. Poza załatwianiem służbowych spraw i negocjowaniem z klientami rozmawiał z lekarzami, szukał znajomych, kserował medyczną dokumentację i przekazywał ją znajomym i znajomym znajomych. Nikt nie powiedział nic nowego. Nikt nie zakwestionował planu eksperymentalnego leczenia i nikt nie miał innego pomysłu na chorobę Renaty. Mateusz był przybity tak bardzo, że nie podzielił się swoją wiedzą z rodziną. Nie powiedział o tym nawet żonie.



Przyjęcie do szpitala wydało się Renacie tym razem wyjątkowo przyjemne. Pielęgniarka się uśmiechnęła, nie było kolejki. Szybko, sprawnie, życzliwie. Może to sprawiła wiosna, zapach wilgotnej ziemi, który wyjątkowo nie przeszkadzał Renacie. Mateusz szybko pojechał do pracy.

– Postaram się przyjechać po południu – obiecał.

Renata ułożyła się w swojej izolatce, wyciągnęła książkę, na stoliku położyła szalik.

Jest mi lepiej. Zapachy przestają mi przeszkadzać – pomyślała.

Pielęgniarka pobrała krew. W oczekiwaniu na lekarza Renata trochę czytała, trochę patrzyła przez okno. Usiadła na twardym krześle, wyglądając przez przybrudzoną szybę. Na dole toczyło się życie. Kierowcy spieszyli się, przechodnie nieśli teczki z dokumentami lub siatki wypchane zakupami. Szpitalny parking zapełniał się, opróżniał, i znów zapełniał. Drzewa przestały przepuszczać światło, łapczywie łapiąc słoneczną jasność.

Dobrze na to patrzeć – pomyślała Renata.

Obejrzała się, gdy otworzyły się drzwi. Energicznie wszedł doktor. Ordynator.

– Jak się pani miewa? – zapytał jowialnie.

– Jak widać, panie doktorze. Bez zmian – odpowiedziała odruchowo.

Bez zmian? Co ja wygaduję! – pomyślała. – *Jestem jedną wielką zmianą. Jestem kościotrupem powleczonym pergaminową skórą, bez sił do życia. Ale przecież on to wie.*

– Dobrze, że podpisała pani zgodę – powiedział doktor, siadając na krześle. Znał już wyniki badań.

– Cóż, coś po mnie zostanie, prawda? – powiedziała pogodnie.

– Słucham? – nie zrozumiał lekarz.

– Zostaną wyniki badań. Po Renatce – króliczku, zostanie kilka karetek z wynikami badań. Może komuś pomogą.

– Pani Renato, medycyna to cudowna nauka. Gałąź wiedzy, która i poprawia jakość życia, i wydłuża je, i ratuje. Pomagamy ludziom...

Renata przestała słuchać lekarza. Patrzyła na niego, udając, że rozumie, co ten mówi, ale odpłynęła.

Przystojny ten doktor. I chyba wcale nie jest taki leciwy, jak mi się wydawało. Parę lat starszy zaledwie. Tylko tak się nosi, dystygowanie.

Ale przystojny. Bzyknęłabym go – pomyślała niespodziewanie dla siebie.

– *Nie mam ostatnio siły na seks z Mateuszem. A powinnam wykochać go na całą wieczność* – myślała.

– ...szukamy ciągle nowych metod. – Lekarz kontynuował. –

Uczymy się, lekarze to tylko ludzie, chcemy wiedzieć jak najwięcej...

– Właśnie dlatego mówię, że jestem doświadczalnym królikiem. –
Renata mu przerwała.

– Pani Renato, pani to tylko żarty w głowie. – Lekarz był zdegustowany jej bezpośrednią odpowiedzią. Pochylił się jednak szarmancko nad dłońią Renaty i ucałował jej kościste palce, po czym wymaszerował z sali.

Po dwudziestu minutach wszedł inny lekarz. W rękę trzymał kartę Renaty. Był młodszy i mniej przystojny.

– Jak samopoczucie? – zapytał w sposób, w którym słycać było brak zainteresowania.

– Coraz lepiej – odpowiedziała Renata.

– Świetnie. Mamy już pani wyniki badań.

– Wiem, nie wyszły dobrze.

– Nie może pani tego wiedzieć – powiedział mentorskim tonem.

– Taaak. – Renata popatrzyła z sarkazmem na lekarza. – Ma pan rację. Tylko się domyślał. Poza tym był u mnie ordynator.

– No i? – Lekarz uniósł głowę znad karty.

– No i pogratulował mi decyzji o podpisaniu zgody na leczenie, jak to mówicie, eksperymentalne.

– I bardzo słusznie – powiedział oficjalnie. – Pani Renato, chcielibyśmy rozpocząć leczenie jak najszybciej. Zaczęlibyśmy, powiedzmy, w poniedziałek.

– Już?

– Nie ma na co czekać, pani Renato – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

– Jest aż tak źle?

Lekarz westchnął.

– Pani Renato, pierwsza chemia podziałała na panią słabo. Druga prawie w ogóle. Trafiała pani na onkologiczne leczenie późno. – Przybrał mentorski ton. – Zastosowaliśmy polichemioterapię, chcąc uderzyć na komórki białaczkowe możliwie ze wszystkich stron. Nie udało się w stopniu, jaki zakładaliśmy.

– Panie doktorze, ile zostało mi czasu?

Pokręcił głową.

– Leczenie trwa i trwać będzie tak długo, jak będzie trzeba. Do końca choroby. Aż pani wyzdrowieje.
– Aż nie skończy się choroba albo ja.
– Nie wolno tak myśleć. Pokonamy chorobę, musimy ją pokonać.
– A jeśli nie?
– I to jest właśnie to, o czym nie myślimy – zakończył temat lekarz.

Po wyjściu od Renaty lekarz zerknął w kartę i zadzwonił do Mateusza. Gdy ten po południu przyjechał do szpitala, udał się najpierw do pokoju lekarskiego. Doktor kiwnął głową na jego widok, odstawił zimną już kawę i wyszedł do odosobnionego pokoju. Mateusz poszedł za nim.

Pokój złych wiadomości – tak nazwał go w myślach Mateusz.

– Pana żona traci chęć do walki z chorobą. A w leczeniu to jest najistotniejsze. Wola pacjenta – powiedział lekarz w drzwiach.

Mateusz wzruszył ramionami. Lekarz wskazał mu twarde krzeselko. Jak zawsze, sam usiadł za biurkiem. Wydał się Mateuszowi wielki za małym, odrapanym mebelkiem. Wydał mu się półbogiem, może olimpijskim bożkiem, złym, wrednym, egoistycznym.

– Proszę pana, uwielbiam swoją pracę. Zostałem lekarzem, bo chciałem leczyć ludzi, pomagać im. Wiem też z doświadczenia, i swojego, i starszych kolegów, że nie wolno tracić nadziei. Nigdy. Bardzo trudno to wypowiedzieć, ale stan pana żony jest ciężki. Niepokojący. Druga chemia nie zadziałała na komórki nowotworowe w ogóle. Osłabiła tylko i tak już słaby organizm. Dlatego chcemy spróbować z tym nowym leczeniem. Szybko, jak najszybciej.

– Ile mamy czasu, doktorze?

– Jak najwięcej, proszę pana. Zrobimy wszystko, aby było go jak najwięcej.

– Do końca życia – wyszeptał Mateusz.

– Ale musi pan zmotywować żonę do walki z chorobą.

Motywować ją codzienne. To pana udział w leczeniu, jest niezbędny.

Mateusz tylko kiwnął głową.

Zanim wszedł do Renaty, znów stał na korytarzu. *Tym razem cię nie pobiję* – pomyślał, patrząc na automat z kawą. – *Jestem zbyt słaby.*

Nie mam siły zmierzyć się z takim pudłem jak ty. Muszę zmierzyć się z własną żoną. Właściwie... czy z nią? Z jej demonem raczej. Okropnie religijne mam dziś porównania. Półbóg, demon. Czego mi jeszcze brakuje? Modlitwy? Pewnie brakuje mi modlitwy. Czy ja umiem się modlić? Kiedy się ostatnio modliłem? Czy w ogóle kiedyś się szczerze modliłem? Nie wiem. Nie pamiętam. Nic nie wiem.

Wszedł do Renaty uśmiechnięty.

– Rozmawiałem z lekarzem – powiedział.

– Zaczynamy w poniedziałek – odpowiedziała, zaciskając usta.

Była ubrana, stała przed oknem. Spakowana torba leżała na krześle.

– Jedźmy – dopowiedziała.

W samochodzie Mateusz starał się zachowywać normalnie. Zagaił rozmowę o wiośnie. Renata nie odpowiedziała. Zaczął opowiadać o pracy. Słuchała, ale nie pytała. Wspomniał, że mogliby wybrać się któregoś dnia do restauracji.

– Mama wyjeżdża, nie będziesz musiała stać przy garach.

Renata tylko kiwnęła głową.

– Czemu milczysz? – zapytał w końcu.

– Chcę cię o coś poprosić.

Rozłożył dłonie wciąż oparte na kierownicy gestem „co tylko chcesz”.

– Chciałabym, żebyś założył fundację.

– Fundację? – zapytał odruchowo.

– Tak. Chcę, żeby do młodzieży trafiała informacja o tym, jak radzić sobie z chorobą. Taką chorobą. Chcę, żeby to po mnie pozostało.

Mateusz zatrzymał samochód. Bez żadnych gwałtownych ruchów, lekko zwolnił, znalazł zatoczkę, wrzucił kierunkowskaz, delikatnie zahamował.

– Kierunkujesz swoje myślenie w niewłaściwą stronę – powiedział cicho i bez emocji.

Roześmiała się.

– Mateusz, to techniki dobre do negocjacji. Nie do rozmowy ze śmiertelnie chorą żoną. Po prostu zrób to dla mnie. Jak już umrę, załóż fundację. Może być mojego imienia, a może równie dobrze nazywać się „Promyczek”. Albo jakkolwiek. Ma zajmować się tym, żeby chorzy

ludzie odwiedzali szkoły. Podstawowe i gimnazja, może licea. Żeby pokazywali dzieciakom, że też są ludźmi, chociaż czasem są łysi albo mają zniekształcone kończyny. I żeby wracali do tych dzieci, jeśli wyzdrowieją.

– Renata, świetny pomysł, razem go zrealizujemy, kiedy wyzdrowiejesz.

– Jeśli wyzdrowieję, Mateusz. Jeśli wyzdrowieję, wtedy go zrealizujemy razem. A jeśli nie, zrobisz to sam.

– Renata...

– Obiecuj!

– Obiecuję! – Westchnął.

Ruszył powoli, tak delikatnie jak stanął. Nie rozmawiali już do samego domu.

Pięćdziesiąt dwa lata później

Pisarz: Sam nie wiem, czemu się na to zgadzam.

Dziennikarka: Może ma pan taką potrzebę.

P: Specjalistka od psychoanalizy.

D: Ostatnio rozmawialiśmy o śmierci. Jak już wiele razy. To może, dla odmiany, życie na tapetę?

P: Tapety wyszły z mody.

Dziennikarka czeka.

P: Jest nieodłączne.

D: Nieodłączne czemu?

P: Po co ja się w ogóle z panią spotykam? Nieodłączne śmierci. Nieodłączne nam, żywym. Bez niego, bez tego pieprzonego życia w ogóle byśmy nie rozmawiali.

D: Może się panu podobam?

P: Może ma pani rację. A może nie. Kokieteria to strata czasu.

D: I myśli pan, że to tylko tyle? Najpierw życie, potem śmierć? Nic więcej?

P: A co jeszcze by pani chciała?

D: Poszukiwania sensu. Bez odnajdywania.

P: Powinienem powiedzieć, że sensu nie ma, więc nie ma czego szukać. Ale swoim życiem temu zaprzeczałem. Wszystkie moje prace o tym są.

D: Właśnie. Każda pana książka jest o poszukiwaniu esencji. Mądrości, szczęścia. O czymś. O tym, jak się biegnie – za czymś. Jak na przykład Kris.

P: Tu mnie pani chce wyciągnąć. Tak, potwierdzam, to *alter ego* mojego brata, Krzysztofa. I tak, potwierdzam, to ten znakomity lekkoatleta, medalista olimpijski. I co z tego.

D: To wiem. Pytam nie o to, dlaczego pan o nim napisał. Pytam o to, jak to jest, że wasza trójka rodzeństwa zaszła tak daleko w tak odmiennych dziedzinach.

P: Niech pani nie przesadza. Co tam daleko. Kris, Krzysztof, tak. Ale moja siostra i ja? Niech pani nie żartuje.

D: Ani mi w głowie.

P: Co ma wspólnego pisarz, sportowiec i projektantka mody?

D: Tylko międzynarodową karierę, w państwa przypadku.

P: Przesadza pani.

D: A zechce pan skomentować swoją wypowiedź po otrzymaniu ostatniej nagrody?

P: Tej za prawdziwość?

D: Przypomnę: *Długo zastanawiałem się, czy w ogóle przyjąć tę nagrodę. Nie dlatego, że się kryguję – o nie, nie, nic z tych rzeczy. Nagrody są zawsze miłe i podbudowują ego. Zastanawiałem się nad przyjęciem tego wyróżnienia dlatego, że ta historia nie jest prawdziwa. Życie pisze znacznie ciekawsze i bogatsze scenariusze niż ta moja zmyślona historia. A skoro nie jest prawdziwa, jak mogę przyjąć nagrodę za jej prawdziwość?*

A jednak próżność wygrała i oto stoję tu, pełen wątpliwości. Może jednak, skoro już ta nagroda została przyznana, nikt już nie będzie przyglądał się zbyt uważnie temu, co napisałem. I w ten sposób nikt nie zauważy, że to zmyślenie.

P: Zapisała to pani sobie?

D: Zapamiętałam.

P: Nieprecyzyjnie. W drugim zdaniu „nie” było trzy razy. Pani zacytowała tylko dwa.

D: Po co pan to wygłaszał? Dostał pan nagrodę za wiarygodność historii.

P: Czy wiarygodność to nie prawdziwość?

D: Prawda nie ma tu nic do rzeczy.

P: Mylisz się, dziecko. Ale zrozumie to pani dopiero za wiele lat.

D: Po co kreuje się pan na starca?

P: Żeby uchodzić za mądrzejszego.

D: A na złośliwego?

P: Żeby nie dać się przyłapać na głupocie.

D: Myślę, że wystarczy.

P: No ja myślę. Mam już dość. Wymagłowałeś mnie jak ścierkę.

D: Maglowanie ścierki? Tylko wyobraźnia pisarza potrafi coś takiego wymyślić.

P: Wyobraźnia sama w sobie nie wymyśla.

D: Daj już spokój, zmęczona jestem. Głowa mi pęka. Tyle się znamy, a rozmowa z tobą wciąż strasznie dużo mnie kosztuje.

P: To chodź na kawę.

D: Dobry pomysł. A opowiesz mi kiedyś w końcu, jak to było z tą śmiercią? Z tą, co cię tak zamknęła?

P: Otworzyła może w sumie bardziej... Może kiedyś. Dwa lata to za krótka znajomość, żebym mógł ci o tym opowiedzieć.

Teraz

– Mamo, a babcia na długo wyjeżdża? – Krysia ułożyła się u Renaty na łóżku.

– Na trochę. Musi pobyc z ciocią Anią. Czemu nie możesz spać?

– Bo Krzyś powiedział, że będzie z nami teraz ciocia Daria i że ona mnie nie lubi, bo kocha tylko swoje bliźniaczki.

– A ty jak myślisz? Ciocia Daria cię lubi?

Mała zastanowiła się.

– Myślę, że tak.

– To czemu przejmujesz się tym, co mówi Krzyś?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Każdy lubi być lubiany, prawda?

– Prawda, kochanie. Porozmawiam jutro z Krzysiem, zapytam go, dlaczego tak powiedział. A ty się już przytul i śpij. Tata cię potem zanieśie do łóżka.

Gdy Mateusz skończył pracę przy komputerze i przyszedł do sypialni, obydwie już spały. Zaniósł córkę do łóżka, przebudziła się.

– Bardzo kocham mamę – wyszeptwała. – I ciebie też. I ciocię Darię. A Krzyś kłamie – powiedziała i spała dalej.



– No, kochani, żegnamy babcię! – wykrzykiwała Krystyna rano. – Uśmiechy, uściski, rozdajemy wszystkim!

– Ja chcę jechać z wami! – Krzyś marudził.

– Kiedy wracasz? – zapytał Eryk.

– Za półtora tygodnia. Tak przynajmniej planuję. Trochę porządku zrobię. Może i ojciec przyjedzie.

– Ale chcę jechać z wami! – Najmłodszy domagał się coraz głośniejsze.

– Może go weźmiemy? – zapytał Mateusz.

– I ja też chcę! – oznajmiła stanowczo Krysia.

– A czemu by nie – odpowiedziała Krystyna. – Zabierzmy ich. Renata odpocznie, a nam weselej będzie w aucie.

Gdy pojechali, Renata usiadła na chwilę przy stole. *Cisza jak w szpitalu* – pomyślała. – *Nie chcę ciszy. Wolę, jak szaleją i po mnie skaczą. To będzie cały dzień ciszy. Na dziś obiad mam, kolację tylko muszę im dać, jak wrócą z Lipna. Jutro gdzieś wyjdziemy, dam radę. Wyszukuję się, ubiorę porządnie, i będę z rodziną na sto dziesięć procent. Tylko dla nich.*

Gdy wieczorem Mateusz wrócił z dziećmi do domu, Renata była

znużona. Zasnęła, zanim Krysia i Krzyś zdążyli się wykąpać.

– Może na rower pójdziemy? – zapytał Krzyś następnego ranka.

– Właściwie... – odpowiedziała Renata i zanim zdążyła dokończyć, dzieciaki już były w przedpokoju.

– Jeszcze Eryk – powiedziała do Mateusza. Sama ruszyła za młodszymi dziećmi, pomogła im się ubrać, pokazała buty do założenia (nie, nie te lakierki, Krysio), podała lekkie kurtki. Eryk nie był pomysłem zachwycony, jednak dołączył do rodziny. Wprawdzie tylko na chwilę, bo po wyjściu z domu ruszył rowerem przed siebie, krzycząc: – Wrócę za pół godziny!

Młodsze dzieci wsiadły na rowery, Mateusz z Renatą towarzyszyli im piechotą. Krysia wywracała się kilkanaście razy, Renata lekkim skrzywieniem ust przyjęła pierwszą dziurę w spodniach. Krzyś hamował, wywracając rower i jednocześnie zręcznie z niego zeskakując. Nie potrafił jednak samodzielnie ruszyć i za każdym razem krzyczał rozziewającym głosem: – Niech mi ktoś pomoże!

Renata starała się za nimi nadążyć, ale dzieci obsługiwał głównie Mateusz.

Jestem zmęczony – pomyślał – ale to nic. Renacie na pewno jest ciężiej.

Było. Była wyczerpana, ale bardzo cieszyła się z tych wspólnych godzin. *Świeże powietrze. Pachnie. Nie chce mi się rzygać* – myślała. Usiadła na murku przy ogrodzeniu sąsiada. – *I słońce. Dziś i jutro tylko dla nas. A potem muszę załatwić resztę spraw.*

Krysia przewróciła się po raz kolejny. Z dziury prześwitywało pokrwawione kolano. Mateusz przyprowadził ją do mamy, usadowił na murku.

– Nie będę płakać – powiedziała dziewczynka. – Mama choruje bardziej, a nie płacze.

Renata przytuliła córkę. Mateusz z Krzysiem wrócili do domu, po kilku minutach przynieśli środek dezynfekujący. Renata wzięła od męża spray, kucnęła przed córką i odkaziła ranek. Wstając z kucek, przewróciła się.

– Renata! – Mateusz podskoczył.

Nie odpowiedziała.

– Renata! – krzyknął głośnie. Dzieci stały w milczeniu, bez ruchu. Otworzyła oczy, mrugnęła.

– Zakręciło mi się w głowie, przepraszam.

– Usiądź. – Pomógł żonie wstać.

Po kilku minutach Renata zmusiła rodzinę do dalszego spaceru.

– Chociaż chwilę jeszcze – powiedziała. – Jest tak pięknie. Poza tym chciałabym zajrzeć do Darii.

Zanim jednak dotarli do domu Darii, spotkali sąsiadów.

– Co za piękny dzień – powiedziała sąsiadka.

– Idealny na spacer. – Uśmiechnęła się Renata. – I na rower. –

Wskazała lekko kulejącą Krysę, prowadzącą swój rower jak trofeum.

– Cieszymy się, że lepiej się pani czuje – wtrącił sąsiad. – Dawno pani nie widzieliśmy na spacerze.

– Taaak... – odparła. – Dużo byłam w szpitalu. I jeszcze tam wrócę, ale taka chwila przerwy dobrze mi robi. Może nawet lepiej niż samo leczenie. – Uśmiechnęła się.

– Dzieci się tak świetnie razem bawią, może kiedyś by się spotkały? Nasze akurat wyjechały na weekend do babci, ale może w któryś następny?

– Świetny pomysł – odpowiedziała Renata. – W najbliższym tygodniu muszę być w szpitalu, ale potem umówimy się. Dzieciaki będą zadowolone.

– My też – odparli sąsiedzi.

– I my – dopowiedział Mateusz, który przed chwilą dołączył do rozmawiających.

– Wiosna jest wspaniała – dodała sąsiadka po chwili. – Nowe życie i nowy optymizm.

Renata kiwnęła głową.

– Trzymamy za panią kciuki – powiedział sąsiad na odchodne.

– Chodźmy do Darii – powiedziała Renata, gdy sąsiedzi się oddalili.

– Może do domu? Wyglądasz na zmęczoną.

– Do Darii mamy bliżej – odpowiedziała.

Bo jestem tak słaba, że nie dojdę do domu – pomyślała. – Musiałbyś mnie nieść.

– Mati! Nonna! – darła się Daria. Słysząc ją było przez otwarte okna.

– Niezły dym – powiedziała Renata lekko rozbawiona. Szli powoli gruntową ulicą wzdłuż domów, dorośli omijali niewielkie wiosenne kałuże, w przeciwieństwie do dzieci.

– Mamo, dlaczego ciocia krzyczy? – zapytała Krysia cicho.

– Bo ma wielki, wielki temperament – odpowiedziała Renata spokojnie. Szła już bardzo powoli.

– Trochę się boję, jak ktoś krzyczy – powiedziała dziewczynka.

Renata przypomniała sobie wczorajszą rozmowę. – Krzysiu, dlaczego powiedziałeś, że ciocia Daria nie lubi Krzysia?

Mały spojrzał zdziwiony.

– Ja? – I już patrzył w stronę domu Darii. – Ciocia krzyczy – powiedział.

– Jak to dobrze, że ty nie krzyczysz, mamusiu. – Krysia złapała Renatę za rękę. Mateusz prowadził już dwa dziecięce rowerki.

Dogonił ich Eryk, on też pierwszy dojechał do bramki, wcisnął dzwonek. Z kuchennego okna wychyliła się potargana głowa Darii.

– Wchodźcie! – krzyknęła. Równocześnie zabrzączał domofon. Eryk pchnął furtkę. Drzwi wejściowe do domu były już otwarte.

– Nie pchaj się – powiedział Eryk do Krzysia.

– To nie ja! To ona. – Chłopiec oskarżycielsko wyciągnął palec w stronę siostry.

– To wcale nie ja! – Krysia się denerwowała.

– Przestańcie! – Renata próbowała załagodzić. – Tu jest po prostu ciasno. Może poczekajmy chwilę. Rozbierze się Eryk, wejdzie do domu, potem wy, a na koniec tata i ja.

Tyle mojego, co sobie pogadam – pomyślała. Dzieciaki i tak jej nie słuchały. Eryk szybko wszedł, pozostała dwójka miała radość z przepychanek.

Gdy w końcu Renacie udało się przejść z przedsionka do domu, zobaczyła czwórkę dzieci pochyloną nad wielką stertą klocków rozrzuconych na środku dywanu.

Eryk ostrożnie stał z boku. Lego okazało się jednak kuszące nawet dla gimnazjalisty. Po chwili na dywanie bawiła się już piątka, czasem

wyrywając sobie jakiś element. Wtedy niezwykle pomocny okazał się Eryk, który nastoletnim autorytetem zażegnywał konflikty.

Renata weszła po cichu, usiadła na kanapie. Ciężko oddychała.

– Co tak dyszysz? – zapytała Daria, stawiając herbatę na stoliku.

– To jest strasznie daleko – odpowiedziała Renata.

– Skąd dokąd? – Daria się zaciekawiła.

– Od nas do ciebie.

Daria popatrzyła z niedowierzaniem na przyjaciółkę. Renata się uśmiechnęła.

– Do niedawna dla mnie to też był rzut beretem. A dla ciebie od jutra będzie przebieżką między kuchnią a salonem. Dasz radę? – zapytała Renata z troską.

– Pewnie, że dam. Założę trampki i poradzę. W średniej szkole miałam najlepszy wynik na setkę.

– Jasne. – Obie się uśmiechnęły.

– Od jutra jestem kurą domową na dwa etaty. Rano u siebie, ze szkoły odbieram piątkę dzieci, po południu gdaczę nad całą gromadką u ciebie, a wieczorem wraca Mateusz i przejmuje trójkę. Ja nieprzytomna, odrętwiała i zubożętniała ze zmęczenia apatycznie wracam do siebie z dwójką i wszyscy w ostatniej scenie padamy na pyski.

– To znaczy padasz ty, a dziewczynki po tobie skaczą.

– Przebrzydła realistka. – Daria się wykrzywiła.

– Pozostając w temacie chodzenia po ziemi. Sugeruję, żebyś Eryka wysyłała autobusem do domu. Nie dasz rady przywieźć piątki samochodem.

– Za samochodem może któreś pociągnę...

– Tylko zmieniaj je codziennie. Żeby się zadrapania zdążyły wygoić.

– Doświadczenie masz?

Zamilkły na chwilę, patrząc na dzieci. Mateusz przysłuchiwał się w milczeniu.

– Boisz się? – zapytała Renata.

– Ja nie. A ty?

Renata spojrzała na Mateusza. Spuściła wzrok.

- Jak cholera – powiedziała, cały czas oglądając spodek filiżanki.
- Dom i dzieci będą zadbane. Choćbym padła, tu będzie porządek, tym się nie przejmuj. Nawet jak będę musiała zdjąć wysokie obcasy.
- Tym nie będę.

Milczały. Daria przyniosła jeszcze ciastka, dzieci opróżniły talerzyk w dwie minuty.

– I tak nie mogę patrzeć na jedzenie – powiedziała Renata z uśmiechem. – Wracamy! – zakomenderowała.

Dzieci udawały, że nie słyszą.

– Wychodzimy – powtórzyła Renata.

Niechętnie podniosły głowy.

– Jeszcze chwilę, mamusi – powiedziała Krysia płaczliwie.

– Kochani, mama mówi, że wracamy do domku. Czas odpocząć.

– Jutro długo się pobawicie – dopowiedziała Daria.

Przekonywanie, ubieranie, powrót – wszystko miało swoje wolne tempo. Dzieci ubierały się powoli, Renata szła nieśpiesznie. Powoli zebrali się, mieli zarezerwowany stolik w restauracji. Potem wspólny relaks. Renata robiła frędzle do szalika, a dzieci przygotowały teatrzyk. Renata grała Śpiącą Królową, Mateusz księcia, a Eryk niespodziewanie włączył się jako narrator, który rymował opowieść.



- Lecimy, lecimy – mówiła Renata do Krysi, ubierając ją rano.
- Mamo, zmęczona. Spać – marudziła dziewczynka.
- Kochanie, mama dzisiaj idzie do szpitala, opowiadałam ci. Zostanę tam trochę. Dzisiaj razem z tatą odwozimy was do szkoły, nie chcielibyśmy się spóźnić.
- Przytul. – Krysia zażądała w odpowiedzi.
- Podjechali pod szkołę wcześniej.
- Odprowadź Krzysia, ja idę poszukać wychowawcy Eryka. Potem idę do wychowawczynie Krysi. Prosiła o rozmowę.
- Renata stanęła pod pokojem nauczycielskim. Wypatrzyła

nauczyciela bez problemu. Nie tylko był wysoki i rzucał się w oczy, ale też o tej godzinie pokój nauczycielski dopiero się zapełniał. Uśmiechnęła się. Wychowawca zrobił skwaszoną minę i wyszedł na korytarz, cały czas trzymając jednak drzwi.

– Mogłabym prosić o chwilę rozmowy? Chciałam tylko zapytać, jak ostatnio Eryk.

– Nie mogę w tej chwili spokojnie rozmawiać. – Wychowawca nie krył rozdrażnienia. – Nie byliśmy umówieni, mam teraz sporo zajęć. Umówmy się na konkretny termin.

– Prosto ze szkoły jadę do szpitala.

– To po szpitalu. – Mężczyzna się śpieszył. – Proszę się ze mną umówić, kiedy wyjdzie pani ze szpitala.

– Cieszę się, że tak szybko udało nam się spotkać – powiedziała z kolei wychowawczyni Krysi. – Jestem trochę zaniepokojona zachowaniem Krysi.

Renata przełknęła ślinę. – Dzieje się coś konkretnego?

Wychowawczyni westchnęła.

– Nie nalegałabym na rozmowę w innym przypadku. Krysia jest w ostatnich tygodniach złośliwa wobec rówieśników. Dokucza koleżankom i kolegom. Śmieje się z nich, właściwie wyśmiewa. Obrzydza dzieciom kanapki. Ciągnie za włosy. Szczypie i przedrzeźnia. Nigdy taka nie była, więc z niepokojem ją obserwuję. Myślę, że sytuacja wymaga szybkiej reakcji, żeby te niewłaściwe zachowania się nie utrwaliły.

Renata słuchała jak oniemiała.

– Nawet nie bardzo umiem się do tego odnieść – powiedziała w końcu. – Zupełnie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Myślę, że to jest jej reakcja na moją chorobę... Tak przypuszczam. W domu nie ukrywamy, że jestem chora, że muszę jeździć do szpitala. Krysię dotknęło także to, że dzieci się z niej naśmiewały. Że ma łysą mamę, która nosi tęczowe turbany. Może teraz po prostu odreagowuje?

– Tak przypuszczam. – Wychowawczyni poparła Renatę. – Niemniej, po pani wizycie i pogadance dzieci przestały dokuczać Krysi. Teraz to ona im dokucza.

– Czeka nas chyba poważna rozmowa w domu... Problem polega

na tym, że zaraz po wizycie w szkole jadę do szpitala, i nie bardzo wiem, kiedy z niego wyjdę. Nie wiem też, jak mąż poradzi sobie z taką rozmową.

Wychowawczynie kiwnęła głową.

– Rozumie pani jednak, że z takim sygnałem nie mogłam czekać.

– Tak. – Wstając, Renata zachwiała się lekko. – Rozumiem.

Dziękuję za rozmowę.

Idąc do samochodu, spotkała Mateusza.

– W przedszkolu na ciebie czekają z herbatą – powiedział.

– Słucham?

– Przedszkolanki czekają na ciebie. Przecież się umawiałaś?

– Tak, jasne – odpowiedziała nieuważnie Renata.

– Co jest?

– Wychowawczynie Krysi na nią narzeka. Mówi, że jest nieznośna, złośliwa, dokucza dzieciom.

– Dzieci też chyba były wobec niej złośliwe, prawda? Nic nie dzieje się bez przyczyny.

– Zawsze jej bronisz. Były, ale już nie są. Zresztą, to miałyby być usprawiedliwienie?

– Nie, obrona. Ona się broni.

– Poniewczasie.

– Tak jak umie.

– Mateusz, przestań. Nie atakuję małej. Mówię tylko, że musimy z nią porozmawiać. Może Krysia jest nadwrażliwa. Może moja choroba tak na nią wpłynęła.

– A teraz będziesz się obwiniać. Brawo.

– Musimy z nią po prostu porozmawiać...

– Nie, Renata. Ja muszę z nią porozmawiać. Ty musisz wyzdrowieć. Dziś jedziesz do szpitala i masz zdrowieć.

Weszli do przedszkolnego skrzydła. *Jak mam przeprowadzić rozmowę dyscyplinującą z ośmiolatką? Cholera, nie jestem psychologiem! Ciekawe, jak Renata sobie z tym radzi.*



Przedszkolanki były bardzo miłe. Serdeczne i życzliwe. Pytanie „Jak się pani czuje” zadawały nie dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że naprawdę były tym zainteresowane. Renata lubiła kolorowe sale, nieporadne rysunki na ścianach i atmosferę nieskrępowanej zabawy.

– Krzyś jest bardzo grzeczny. – Jedna z opiekunek pochwaliła małego, tak jak robiła to zawsze. Po chwili dodała jednak: – Ale ostatnio trochę łobuzuje.

Renata z Mateuszem spojrzeli na siebie.

– Dzieci wyczuwają nasze kłopoty. Denerwują się chorobą, leczeniem... Dzisiaj prosto ze szkoły jadę do szpitala, nie wiem, na jak długo. – Renata tłumaczyła syna.

– Właściwie to dobrze. – Mateusz jej przerwał. – Nareszcie. Często miałem wrażenie, że jest za grzeczny.

– Rozumiem sytuację – powiedziała spokojnie wychowawczyni. – Nie da się powiedzieć o Krzysiu, że jest niegrzeczny. On raczej... jest spokojny do czasu. Gdy jakaś granica zostaje przekroczona, walczy o swoje. Ostatnio podrapał jednego chłopca.

– Podrapał?

– Tak. Nie chciałabym jednak robić z tego wielkiego problemu. Po prostu sygnalizuję konieczność rozmowy z synkiem.

Renata westchnęła. – Postaramy się. Oczywiście.

Mateusz tylko kiwnął głową, uśmiechając się. *Czyli muszę być psychologiem już dla dwójki małych dzieci. Przydałoby się, żebym sam był w chwili rozmowy bardziej zrównoważony i pewny swego.*

W drodze na parking Renata się potknęła. Mateusz podtrzymał ją, objął, i tak objęci doszli do auta.

– Jesteś wiotka jak piórko – powiedział do żony, pomagając jej wsiąść do auta. – Moja mgiełka.

– Mgiełka? Cóż to za określenie? – Renata się zaśmiała.

– Lekka, zwiewna.

Uśmiechnęła się.

– Musimy coś zrobić.

– Co? – Mateusz się zdziwił.

– Porozmawiać z dziećmi. A wiesz, że wychowawca Eryka nie znalazł dla mnie czasu? Nie wiem, co mu się stało. Fakt, nie umówiłam się z nim tym razem, ale... był bardzo gburowaty.

– Nie przejmuj się. Ja porozmawiam z dziećmi. Nie mam wyjścia.
– Zaśmiał się sztucznie. – Porozmawiam z dzieciakami. Będzie dobrze. Wiesz, dla nich to wszystko jest szokiem. Nawet twoje wyłysienie. Dla nas było wstrząsem, chociaż przecież wiedzieliśmy, czego się spodziewać. A dla dzieci? Pomyśl, jak bardzo musiały być... zdeprymowane. Kiedy wyzdrowiejesz, wszystko się ułoży. Nie przejmuj się...

– Mateusz, przestań. – Przerwała mu obcesowo.

– Co? – zdziwił się.

– Przestań trajkotać. Ja też jestem zdenerwowana. Nie pomagasz w ten sposób.

– Ale pomagam sobie. Takim gadaniem – odpowiedział.

Renata się roześmiała.

– Teraz pomogłeś.

Pod szpital przyjechali rozbawieni. Pielęgniarka przyjmująca Renatę na oddział spoglądała zdziwiona.

Żywy trup, a jeszcze się śmieje – skomentowała w myślach. Ta refleksja musiała jej się odbić na twarzy, bo Renata powiedziała:

– Wie pani, co tu robić, trzeba się śmiać, dość smutku.

– Dość – odpowiedziała odruchowo pielęgniarka. Pomimo siedemnastoletniego stażu w zawodzie nie umiała pogodzić się z odchodzeniem pacjentów. Nie umiała się z tego śmiać.

Renata trafiła do tej samej sali, w której leżała ostatnio. Przebrała się w wygodny dres, wyciągnęła książkę i szalik.

– Dokończę Krzysiovi ten szalik. Już niedużo zostało.

– Jesteś głodna?

– Ja? Głodna? – Zaśmiała się. – Mam smaka na coś słodkiego.

Ewentualnie.

– Idę zapolować na słodkie – powiedział Mateusz.

W szpitalu jedyne słodkie to była czekolada z automatu. Mateusz przyniósł dwa kubeczki, Renata upiła łyk i się skrzywiła.

– Ohyda – powiedziała.

– Ohyda – potwierdził Mateusz.

Znowu się śmiali, pijąc małymi łykami gorący napój.

– Posiedzę z tobą chwilę – powiedział.

– Ale tylko chwilę. Wolę, jak jesteś w pracy. Przynajmniej wiem, że robisz coś konstruktywnego.

– Konstruktywnie podgryzam kolegów. Żeby zajęli się leczeniem swoich kostek, a nie podgryzaniem moich.

– Twórcze zajęcie.

– Tfu-rcze chyba.

– Ale przynajmniej konkretne. Siedząc tu ze mną, nie robisz nic.

– Dobra, dobra, już jadę. Nie przeszkadzam ci.

Pożegnali się buziakiem. Renata odłożyła frędzle, zaczęła czytać. Po mniej więcej dziesięciu minutach weszło czterech lekarzy.

Oho, kiepska sprawa – pomyślała Renata. – *Aż tylu naraz będzie mnie leczyć. Nie jest dobrze.*

– I jak się pani dzisiaj czuje? – zapytał jeden z lekarzy.

– Świetnie. Jak na umierającą – odpowiedziała.

– Ach, żarty takie paskudne się pani trzymają – powiedział sztywno. – Nie ma na co czekać, prawda? Wdrażamy leczenie od dziś.

Kiwnęła głową. *Po co ciągle pytać o to samo* – pomyślała.

– Gotowa na ukłucie? – powiedział doktor na widok pielęgniarki.

Renata kiwnęła głową.

– Na cito poprosimy te wyniki – powiedział inny lekarz.

Procesja lekarzy wyszła, by po czterdziestu minutach pojawić się ponownie. Z wynikami badań w karcie. Tuż za nimi pielęgniarka ciągnęła stojak, na nim trzy buteleczki z ciemnego szkła, ręcznie opisane na etykietach.

– Teraz jakieś trzy, może cztery godziny musi pani poleżeć – powiedział znany już Renacie lekarz. – Zobaczymy, jak się będzie pani czuła po południu. Zdecydujemy wtedy o dalszej terapii. Czy kolejne kroplówki jutro, czy musi pani zostać, czy też może pani pojechać do domu. Zobaczymy.

– Zobaczymy – powtórzyła Renata.

Na korytarzu jeden z lekarzy, najmłodszy, odważył się zadać pytanie.

– Czy przy takich wynikach warto jeszcze wdrażać leczenie?
Ordynator zatrzymał się, odwrócił twarzą do młodego lekarza i powiedział z naciskiem:

– Drogi kolego, warto. W tym przypadku ciągle jest nadzieja. Więc warto.

Procesja ruszyła dalej. *Muszę porozmawiać z tym młodzikiem na temat Hipokratesa* – pomyślał szef oddziału.

Lekarze rozeszli się do swoich zajęć. Powołany do opieki nad Renatą zespół składał się z ordynatora, dwóch doświadczonych onkologów oraz młodego lekarza, który nie był już wprawdzie stażystą, ale doświadczenie miał jeszcze niewielkie.

W pokoju lekarzy zostało dwóch najstarszych.

– Naprawdę uważasz, że warto?

– Warto – odpowiedział ordynator. – Przynajmniej spróbować, jak reaguje ludzki organizm na taką mieszankę. Warto to sprawdzić dla następnych.



Renata leżała na łóżku, chociaż wolała przyjmować kroplówki, siedząc w głębokim fotelu. Przysnęła, obudziła się po półgodzinie. Poziom płynu w pierwszej butelce zmniejszyła się powoli, nieubłaganie. Renata usiadła, sięgnęła po książkę. Zajrzała pielęgniarka. Sprawdziła umocowanie wenflona, popatrzyła na butelkę.

– Co jest w tych butelkach? – zapytała zniecierpliwiona Renata.

Pielęgniarka drgnęła.

– Byłam przekonana, że pani śpi.

Akurat – pomyślała Renata. – *Tymi chodakami umarłego byś obudziła.*

– Już nie – powiedziała głośno.

– O co pani pytała? – zagadnęła pielęgniarka po chwili ciszy.

– Pytałam, co jest w tych butelkach – powtórzyła Renata.

– Lepiej nie wiedzieć, proszę pani.

– To znaczy? – upierała się Renata.
– Nie do końca wiem – odpowiedziała pielęgniarka. – Wiem tyle, że to musi być w szklanych pojemnikach, bo plastik zostałby przeżarty. I że pod żadnym pozorem nie wolno tego wylać sobie na skórę. Poparzy.

Osiem lat wcześniej

– Co robisz? – Zenon wchodzi do ciemnej kuchni.
– Siedzę – odpowiada Krystyna.
Mężczyzna siada obok żony na twardym stołku. – Jesteś smutna – pyta retorycznie, bez znaku zapytania.
– Jestem – odpowiada Krystyna. – Nawet jestem zmartwiona.
– Dziewczyny? Ktoś coś naplotkował? Znowu się przejmujesz? – Zenon kręci głową i wzrusza ramionami na dokładkę.
– Ktoś inny. Coś innego.
Zenon czeka.
– Bernarda nie żyje.
– Kto? – Zenon nie kojarzy córki sąsiadki, nie po imieniu.
– Ta, co z brzuchem do ołtarza.
– No i? Smutne, młoda była. Ale coś ty winna?
– Rozwiodła się.
– No i? – Mężczyzna nadal nie rozumie.
– Nie lubię rozwodów.
– Ja też nie. A co nam do tego?
– Ona tu wróciła.
Zenon czeka. Nic nie rozumie.
– Wróciła, z dzieckiem, po rozwodzie. Nie lubiłam jej.
– Ale jej nie zabiłaś?
Krystyna podnosi głowę, ma zaciśnięte usta
– I inne też jej nie lubiły.
– No ale co, przejechałyście ją samochodem? Gardło podcięłyście?
Nie żyje, co masz z tym wspólnego? – Mężczyzna się denerwuje. Jest zmęczony. Chce usiąść przed telewizorem, a tu jakaś czarna rozpacz

panoszy się w kuchni.

– Popełniła samobójstwo. Nie było dla niej miejsca w naszej wiosce. Nie lubiliśmy jej.

– I ty to mówiłaś? – Domyśla się w końcu. – Że nie lubisz? Że niemoralne, a to przyzwoita wieś jest?

Krystyna kiwa głową.

Mężczyzna wychodzi bez słowa.

Milczenie jest złotem – myśli.

Teraz

Po godzinie zespół lekarzy znów się spotkał. Weszli do pokoju Renaty. Leżała blada, oddychała płytko. Popatrzyła na lekarzy, uśmiechnęła się, i zemdląła.

Bardzo adekwatny czas – pomyślała pielęgniarka.

W pokoju raptem zaroilo się od personelu.

– Musimy zdecydować – powiedział ordynator, kiedy chwilę później konsylium spotkało się w pokoju lekarskim.

– Spróbujmy jeszcze dwa dni – powiedział najstarszy onkolog. – Może choć trochę zahamujemy te blasty.

– Ja już widzę leczenie paliatywne – powiedział młodszy. Najmłodszy lekarz się nie odzywał.

– Po to wdrażamy to eksperymentalne, żeby je sprawdzić. Po jednym wlewie nic nie wiemy. Sugeruję jeszcze dwa, trzy dni. Badanie krwi trzy razy dziennie. Przed, w trakcie wlewu i wieczorem. Przynajmniej będziemy mieli jakiś materiał do badań.



– Nie skończyłam szalika – powiedziała Renata Mateuszowi wieczorem. – Nie miałam siły.

- Chyba szalikiem się nie będziesz przejmować.
- Co gorsza, nie zawiadomiłam dzieci, że nie wracam do domu.
- Tym też się nie przejmuj. Wszystko im wytłumaczę.
- A ja nie. A popatrz, w tym szaliku zostały już tylko frędzle.

I tylko z jednej strony.

Przytulił żonę. *Co ona się tak czepia tego szalika?* – pomyślał.

– Jedź do nich. Jedź do dzieci. Potrzebują cię.

– Nas potrzebują.

– Ale dzisiaj tylko ty z nimi będziesz.

Mateusz starał się nie rozmyślać podczas jazdy do domu. Sytuacja w firmie była napięta. Chciałby wrócić do domu, dostać na stół kolację i wyłożyć się przed telewizorem z pilotem w ręce. Miał na szczęście na koncie dwa duże kontrakty, które ciągle przynosiły firmie spory zysk. Nikt nie znał szczegółów tak jak on, nikt nie mógł go zastąpić. Póki co. Dlatego walczył o kolejny kontrakt, negocjacje trwały już osiem miesięcy, finał wydawał się bliski. Mateusz starał się także dbać o swoje relacje wewnątrz firmy, utrzymywał stały kontakt z szefem. Tego dnia w trakcie omawiania jakiegoś projektu szef zapytał go:

– A co tam u pańskiej uroczej małżonki?

Mateusz poczuł się bezbronny. Mógł walczyć o pozycję, kłócić się o meritum, dyskutować o dochodowości kontraktu. Nie mógł jednak spokojnie opowiedzieć o Renacie. Zaciął się.

– Przepraszam, chyba niewłaściwe pytanie – dopowiedział szef.

No, to następną podwyżkę mam z głowy – pomyślał Mateusz.

Musi być naprawdę kiepsko, skoro nie potrafi skłamać – pomyślał szef.

W samochodzie wspominał tę z rozmową ze złością. *Jestem świetny zawodowo, dlaczego choroba żony ma tu mieć wpływ? To nie było w porządku!* – myślał.

Nie przyszło mu do głowy, że szef zadał to pytanie ze zwykłej ludzkiej życzliwości.

Kiedy Mateusz dojechał do domu, dzieci razem z Darią oglądały telewizję. Krzys i Krysia, już wykąpani, w piżamach, tulili się pod lewym ramieniem kobiety. Z drugiej strony przywarły do niej Matylda i Natalia. Obie bliźniaczki przysypiały.

– Dobry wieczór! – powiedział w wejściu.

Krzyś i Krysia zerwali się z kanapy.

– Tato, czemu nie ma mamy? Kiedy będzie mama? – dopytywali się.

– Jak najszybciej. – Uśmiechnął się sztucznie. – Musi wyzdrowieć.

Eryk gdzie? – rzucił w stronę Darii.

– Na górze. Siedzi przy komputerze.

Jakby wywołany do odpowiedzi, nastolatek zbiegł na dół.

– Chcę mamę – marudził Krzyś.

– Ja też. Mama. – Krysia dołączyła do brata.

– Mama będzie pewnie za trzy dni. Pan doktor takie jej przepisał leczenie. – Kucnął przed dziećmi.

Matylda i Natalia, rozbudzone, nie wiedząc, o co chodzi, też dołączyły do płaczu. Eryk chwycił na ręce Krzysia, wyszeptał mu coś do ucha, i zaniósł brata do łóżka. Mateusz podniósł Krysę.

– To my będziemy uciekać – powiedziała Daria.

– Nawet nie wiem, jak ci dziękować – stwierdził Mateusz.

Wzruszyła ramionami.

– Nie masz dziękować. Masz zająć się dziećmi.

– Tato, dlaczego nie zadzwoniłeś? Nie powiedziałeś nawet, że mamy nie będzie. Dzieciaki czekały – zapytał Eryk, gdy młodsze dzieci już usnęły.

– Przepraszam. Mama... – Siedzieli w salonie, telewizor mrucał cicho, nie słuchali ani nie oglądali. – Eryk, ja...

Mateusz się rozpląkał. Zawstydzził się swoich łez i jednocześnie poczuł ulgę. Wtulił się w syna jak w dorosłego, który daje oparcie i dobrą radę.

– Przepraszam, synu, przepraszam – powtarzał.

Siedzieli do późna, bez kolacji, rozmawiając o wszystkim.

Mój syn jest prawie dorosły – dotarło do Mateusza późnym wieczorem.

Mój ojciec czasem myśli o czymś więcej niż tylko o pracy – doszedł do wniosku nastolatek.

– Właśnie wysłałem esemesa do szefa, że jutro nie będzie mnie w pracy – powiedział w pewnym momencie Mateusz.

Młody gwizdnął.

– Odważna decyzja – powiedział trochę złośliwie. – Mnie też zwolnisz z lekcji?

Mateusz spojrział na syna spod zmrużonych powiek.

– Zwolnię cię. Po szesnastej.

– Ha, ha – odpowiedział chłopak.

Siedzieli jeszcze w milczeniu.

– Właściwie... Odwiózłbyś ze mną dzieciaki. Pojechalibyśmy po zakupy. Kupić mamie perfumy – takie, jakie jej się ostatnio stłukły. Pojedziemy do perfumerii. Chyba, że masz jutro jakąś klasówkę, albo coś. – Mateusz spojrział niepewnie na syna.

– Wszystko mam zaliczone, tato – powiedział chłopak spokojnie. – Tylko musisz mnie zwolnić.



Z samego rana Mateusz zadzwonił do Darii.

– Przepraszam, wczoraj nawet ci nie podziękowałem porządnie.

– Przestań. Umówiliśmy się.

– Słuchaj, dzisiaj biorę wolne, ale... Może nocowałabyś u nas przez dwa lub trzy dni? Renaty nie wypiszą teraz ze szpitala. Patrzyłem wczoraj na bliźniaczki i było mi głupio, że tak się dziewczynki męczą. Nie wiem, ile czasu spędzę dziś w szpitalu, o której wrócę, więc po prostu połóż dziewczynki tam, gdzie normalnie śpi teściowa. Przygotuję pościel, chyba wiem, gdzie jest.

– Dziewczynki dały mi wczoraj trochę w kość. – Daria się zaśmiała. – Rozbudzone, nie mogły zasnąć. Tylko nie wiem, co na to Renata...

– Nie miałyby nic przeciwko. Uwodzić cię nie będę.

– O, toś teraz palnął! Może i tak zrobmy. Wprowadzę się do was na kilka dni.

– I dziękuję za posprzątaną dom. Nie mam teraz do tego głowy – powiedział jeszcze na zakończenie.

Organizacja dnia nie była łatwa. Krysia nie chciała założyć przygotowanych ubrań, Krzyś zażyczył sobie inny rodzaj płatków.

Jak Renata to wszystko ogarnia? – myślał Mateusz. – *Albo Krystyna?*

W centrum handlowym Eryk zatrzymał się przed wystawą.

– Ale kurtka, tato! – jęknął.

Mateusz zatrzymał się przed wystawą. *Ależ on wyrósł* – pomyślał o synu. Dopiero wtedy spojrzał na manekin.

– Wejdźmy – powiedział.

W sklepie Mateusz podszedł prosto do sprzedawczynie. Pokazał gestem na wystawę, a potem na chłopaka, który skierował się w stronę półek. Chwilę później podszedł do syna z kurtką w rękach.

– Przymierz.

Eryk bez słowa udał się w stronę lustra. Przeglądał się z zadowoleniem, po czym powiedział:

– Daj spokój tata, jesienią będzie za mała. – I oddał kurtkę sprzedawczynie.

Mateusz zamrugał tylko i ruszył za synem do wyjścia.

Perfumeria była tuż obok. Odnaleźli ulubiony zapach Renaty, spędzili też kilkanaście minut w dziale męskim. Mateusz sięgnął po te, które – jak mu się wydawało – najbardziej spodobały się chłopakowi.

– Proszę zapakować na prezent jedno i drugie – poprosił sprzedawczynię.

Przed sklepem podał mniejszą paczkę synowi – To dla ciebie – powiedział.

– Wow! – Chłopak gwizdnął. – Ekstra! – Uśmiechnął się do ojca.

– Cóż, dorosłeś – mruknął Mateusz. Chłopak nie usłyszał.

– Mogę pojechać z tobą do mamy? – zapytał.

– Jedziemy – oznajmił Mateusz.

Po to między innymi zwoleńłem cię ze szkoły, synu – pomyślał.

Renata cały czas leżała w pojedynczej sali.

– Kroplówka to już mój przyjaciel – powiedziała, widząc spojrzenie Mateusza. – Dlaczego nie jesteś w szkole? – W pytaniu miała być pretensja, ale była przede wszystkim radość, że widzi syna. Wcale się nie kryła z wielkim uśmiechem, który na jej wychudzonej twarzy

wyglądał tak, jakby ktoś wstawił jej zbyt wielką sztuczną szczękę.

– Tata mnie dzisiaj zwolnił. – Syn odwzajemnił uśmiech.

– No ładnie. – Pogroziła Mateuszowi palcem.

– Pewnie, że ładnie – odparł. – I Eryk, i ja mamy dzisiaj wagary.

– Nie idziesz do pracy?

– Praca nie zajęc. Poczeka.

Renata się skrzywiła.

– Wiesz, co robisz.

– Jak tu dzisiaj gorąco – powiedziała po chwili. Leżała okryta samym kocem, kołdrę zepchnęła na kraniec łóżka. Jej rąbek zwisał aż do podłogi, chłopak schylił się i ułożył matce porządnie kołdrę na łóżku.

– Przynieśliśmy ci coś – powiedział Eryk, wyciągając rękę z pakunkiem z perfumerii.

Renata ostrożnie zdjęła opakowanie, otworzyła pudełko.

Promieniała. – Jak cudownie! – Ucieszyła się. – Tak je lubię! Ale dużo wydaliście...

Wąchała perfumy z wyraźną przyjemnością, uśmiechając się.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, rysy jej twarzy stężały. Upuściła flakon, szczęśliwie tym razem na koc. Nie stłukły się.

Gwałtowne torsje wstrząsały nią przez kilka minut. Eryk wybiegł z sali, krzycząc. Sam nie wiedział, co krzyczał.

Mateusz stał obok żony, przytrzymywał jej głowę. Spodnie i koszulę miał ubrudzone wymiocinami.

Zaalarmowana krzykiem Eryka, przybiegła pielęgniarka. Za chwilę następna.

– Leć po lekarza – poleciała pierwsza, chyba starsza stażem.

Gdy szybkim krokiem wszedł lekarz, wyproszono Mateusza i Eryka.

Czekali na korytarzu w ulubionym kąciku telefonicznym Renaty. Mateusz siedział na twardym krześle, Eryk na parapecie. Dopiero po dziesięciu minutach wyszedł do nich lekarz.

– Możecie panowie wejść do pacjentki. Ale ostrożnie. Proszę jej niczym nie denerwować. Jest bardzo słaba.

Zapach wymiocin był bardzo silny. Ostry, jakby pikantny. Jedna z pielęgniarek jeszcze kręciła się wokół Renaty.

– Niech pan otworzy na chwilę okno – powiedziała do Mateusza. Zdjęła kołdrę, uniosła koc. Butelka perfum poturlała się na skraj łóżka.

– Ładny drobiazg – mruknęła. Pomyślała zaś: *Na takie to mnie będzie stać w innym życiu.*

Pomogła zejść Renacie z łóżka, zdjęła prześcieradło, wytrzepała poduszkę. Spojrzała na buteleczkę odstawioną na szpitalną szafkę.

– To od tego zapachu? – zapytała.

Renata kiwnęła głową. Raptem wybuchła niepowstrzymanym, gwałtownym szlochem.

– Nic już nie mam! Nic nie mam! Nie mam włosów, nic, nic, nic! Nawet zapachu już mieć nie mogę!

Mateusz głaskał ją po głowie, aż się uspokoiła. Eryk siedział na krańcu łóżka, pielęgniarka próbowała powiedzieć, że szpitalne łóżko nie jest do siedzenia. Ale machnęła ręką. Krzątała się jeszcze, pościel była już zmieniona. Wychodząc, poprosiła salową o umycie podłogi.

Długie minuty milczeli. Mateusz głaskał, Eryk trzymał za rękę. W końcu chłopak zaproponował:

– Może coś poczytam?

Mateusz przytaknął.

„– Zezwłoka była poniewierana – oświadczył z wyraźną naganą. – Zabito poza wrota, na kuluary. Morderca stoił tu. – To mówiąc, ustawił się obok maszyny do szycia. – A nadspodziewana osoba, która go naskacze, spozierała od tu” – czytał chłopak.

Renata uniosła głowę.

– Skąd to masz?

Eryk wzruszył ramionami.

– Z biblioteki. Naszej, domowej – dodał po chwili.

– Wiedziałaś, że będziesz mi czytał, czy jak? – dopytywała się

Renata.

– No... – jęknął chłopak. – Coś nie tak zrobiłem?

– Nie tak? Rewelacyjnie! Uwielbiam Chmielewską, a najbardziej *Wszystko czerwone*. Nie czytałam tego od wieków! Czytaj dalej. – Zażądała.

– To czytajcie sobie, ja muszę zadzwonić – powiedział Mateusz.

Renata tylko kiwnęła głową.

Mateusz stanął w telefonicznej wężce.

– Nici z wolności – powiedział.

– Doprawdy? – Lekko ironizował damski głos.

– O przenikliwaś, musisz jednak pojechać po dzieci.

– Mateusz, spójrz na zegarek. Dzieci są już w domu. To było oczywiste, że jeśli wybierzesz się gdzieś z Erykiem, to z całą pewnością zapomnicie o maluchach.

– Jesteś nieoceniona.

– Wiem. Oczywiście, że tak. To trzymaj się. Tylko wróćcie na noc.

– Haha. – Mateusz wypowiedział to jak jedno słowo. – Jesteśmy u Renaty.

– A gdzie mielibyście być? Maluchy też powinny pojechać, chociaż może już nie dziś.

– Dziś to może i dobrze, że nie przyjechały. – Mateusz westchnął.

– Tak źle?

– Bywało lepiej. – Zamilkł. – To do wieczora.

– Trzymajcie się – odpowiedziała Daria.

Gdy wrócił do salki, Renata zaśmiewała się z tekstu czytanego przez Eryka. – Uwielbiam inspektora Muldgaarda – jęknęła. – Aż mnie brzuch boli ze śmiechu.

– Mnie boli z głodu – wtrącił chłopak, też rozbawiony.

– Nie mówcie przy mnie o jedzeniu.

– Taaa. – Mateusz westchnął.

– Co w szkole? – zapytała matka Eryka.

Chłopak się zastanowił.

– Bez zmian. Trochę trudno bez ciebie. Wiesz, śniadania robisz najlepsze. – Uśmiechnął się.

– To już wiem, do czego ci jestem potrzebna. – Renata skrzywiła się teatralnie.

– Pewnie by się jeszcze coś znalazło. – Przekomarzał się. – Poza tym w porzo. Fizyk się trochę czepia. Ale nie jest źle, on to lubi dziewczyny przede wszystkim.

– Jak to, lubi dziewczyny? – Renata zmarszczyła brwi.

– No czasem lubi tak niby dotknąć, w ramię albo coś. I ich się czepia, żeby musiały przyjść do niego albo zostać po lekcjach. Dla mnie

to on tam jest nieszkodliwy.

Renata słuchała syna z gasnącym zainteresowaniem. Chciała słuchać, bardzo chciała, ale zasypiała. Wbrew sobie, wbrew woli. Po prostu musiała spać i już.

– Ciiii... – powiedział Mateusz do syna, kładąc palce na ustach i wskazując głową śpiącą Renatę. Oddychała spokojnie, blada na białej poduszce. *Piękna* – pomyślał Mateusz.

– *Piękna* – powiedział w tym samym momencie Eryk. Wiesz, tato, jak mama przysłała do szkoły – rozpoczął nagle – to było mi okropnie głupio. No wiesz, obciach trochę to mógł być... Ale w sumie dobrze wyszło. Nie obciach. Dziewczyny się trochę wzruszyły, no a...

Mateusz uniósł brwi.

– No a Patrycja to...

Ojciec pokiwał głową.

– Tato, kiedy pierwszy raz byłeś... no wiesz...

Mateusz nie pomagał synowi.

– No z dziewczyną.

– Pytasz o seks?

Chłopak się zawstydził.

– Tato, powiedz mi, jak to jest... się zakochać... Czy ty wiedziałeś...

– To się zawsze wie – odparł ojciec.

– Czy to była mama?

– No nie... Z mamą poznałem się trochę później. Ale z mamą to było coś innego. Wyjątkowego. Tak jak ona jest wyjątkowa.

– Ale skąd wiedziałeś, że to jest to? Że kochasz?

– To się okazuje w trakcie. Kiedy z każdym dniem coraz bardziej chcesz z kimś być. I trwa to nie miesiąc ani dwa, tylko rok, dwa i kochasz coraz więcej, i coraz mocniej... Nie ma definicji. Po jakimś czasie to po prostu wiesz. A jak masz wątpliwości, to raczej nie to.

Renata westchnęła. Potarła dłońią twarz.

– To co, mam, odpoczęłaś? Teraz obiad? – zapytał chłopak. – Mnie już okropnie burczy w brzuchu.

– Na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze.

– Musisz coś jeść.

– Mogę sobie wyobrazić, że jem. Tak mi bardziej smakuje. Jem kroplówki.

– Tato, to może my pójdziemy na obiad...

– To może ty idź, a ja pójdę potem. Żeby mama nie była sama.

Barek jest na dole.

Chłopak wyszedł. Mateusz zapatrzył się na żonę.

– Kiedy wczoraj wracałem samochodem do domu, przypomniało mi się, jak byliśmy na plaży... Który to był rok?

– Nieważne, lepiej nie przywoływać dat. Dawno. – Uśmiechnęła się.

– Dawno. – Przytaknął. – A ja to pamiętam, jak by to było wczoraj.

– Mhm, piasek sobie wybierałam przez trzy dni, nie powiem skąd.

– Nie mów. – Mężczyzna się zaśmiał.

– Ale to było miłe. Dzisiaj chyba już wydmy nigdzie nie są tak puste.

– Przynajmniej przy publicznych plażach. Dzisiaj zresztą nie wolno chodzić po wydmach.

– Wtedy też nie wolno było – powiedziała.

– Tylko wtedy nikt tego nie pilnował. Piasek niemal parzył.

Szczęście, że wziąłem ręcznik.

– To ja wzięłam!

– Skąd, ja! Był granatowy z czerwoną kotwicą.

– Co ty mówisz, był brązowy w białe statki.

– To było za drugim razem... – Mateusz się uśmiechnął.

Renata się zastanowiła.

– Chyba masz rację. Jesteśmy świntuchy – dodała po chwili.

– My? Kiedy zasnęłaś, nasz syn mnie pytał, kiedy się zakochałem, i w ogóle.

– I w ogóle? – Zaśmiała się. – I co odpowiedziałeś?

– Że jesteś najcudowniejszą istotą, jaką w życiu spotkałem.

– Przynajmniej raz powiedziałeś prawdę.

– On chyba coś ma do jakiejś Patrycji. Kojarzysz dziewczynę?

– Pewnie. Wysoka, szczupła. Długie blond włosy. Klasowa ślicznotka. Wygląda na sprytną, takim sprytem, co to się zawsze dzięki niemu ustawi. Już wołałam jego wykolczykowaną dziewczynę

z Londynu. Albo Japonkę.

– Ten to ma temperament. – Mateusz westchnął.

– Ha! Odezwał się – mruknęła Renata.

Mateusz udał, że nie usłyszał.

– Lepiej przypomnij sobie, jak to było w samochodzie...

Przestaniemy na syna narzekać.

– W samochodzie? – zapytała niewinnie. – Za którym razem?

Machnął ręką.

– Pamiętam za to jak dziś, jak mi powiedziałaś, że jesteś w ciąży z Erykiem.

– Ja ci tego nie powiedziałam. Ja ci pokazałam białe dziecięce buciki. Nie miałam odwagi powiedzieć.

– No to powiedziałaś. Tylko bez słów.

– Chyba byłeś szczęśliwy.

– Byłem. A ty nie?

– Chyba byliśmy szczęśliwi. – Poprawiła się.

– Na pewno byliśmy szczęśliwi. Teraz też jesteśmy. – Chwycił żonę za rękę.

Uśmiechnęła się.

– Mamy tyle dobrych wspomnień. Układają się jak karty w talii, prawda? Może limit dobrych już się wyczerpał?

– Co ty opowiadasz! – Zirytował się.

– Podaj mi szalik, dorobię wreszcie te frędzle. Całe szczęście, że już tak mocno nie pachnie.

– Masz siłę na dzierganie?

– Nie przesadzaj, to tylko kilka ruchów palcami. Potnij mi tylko włóczkę, jest w woreczku. Nożyczki też powinny być.

Mateusz grzebał chwilę we wskazanym przez Renatę miejscu.

– Nie ma.

– Co ty mówisz, cały motek włóczki powinien tam być. Poszukaj dobrze.

Mateusz wyciągał z torby po kolei wszystkie przedmioty. Po chwili trzymał w ręku czerwony kłęb, nieprzypominający niczego.

– Krzyś mi chyba chciał trochę pomóc... – Renata się uśmiechnęła.

– Tym bardziej będę teraz potrzebowała twojej pomocy. Poszukaj

kawałków takiej długości – pokazała mu palcami – lub dłuższych. Na jeden frędzel potrzebuję takich około dziesięciu. Powinny mieć dokładnie taką samą długość, niektóre trzeba będzie przyciąć.

Mateusz skupił się na robótce.

– Co za robota. Że też masz cierpliwość!

– Ty też teraz masz.

– Nie, ja mam miłość do ciebie, a nie cierpliwość do włóczki – powiedział cicho. Uparcie jednak wybierał kawałki i podawał Renacie.

– Zaraz skończymy – powiedziała. – Jeszcze ze trzy frędzle.

– Trzy frędzle, trzy frędzle – narzekał pod nosem.

Byli w trakcie pracy, gdy weszła kuchenna, z impetem otworzywszy drzwi.

– Obiadek! – oznajmiła.

– Fuj – mruknęła cicho Renata.

– Wiem, wiem. – Kobieta uśmiechała się szeroko. – Ale dla pani mam coś specjalnego. Bezwonny i bezsmakowy kleik ryżowy. Pychota!

Renata się wykrzywiła.

– Trochę chociaż – prosząco powiedział Mateusz.

Renata sięgnęła po jedzenie, już po trzech łyżeczkach pokazała, że ma odruch wymiotny.

– Lepiej nie jedz, jak masz mieć znowu sensacje – stwierdził Mateusz.

W trakcie posiłku wrócił Eryk.

– Coś dobrego jadłeś? – zapytał chłopaka ojciec, patrząc ze wstrętem na pulpę odstawioną przez Renatę.

– Kopytka z pieczenią rzymską. W tej kolejności, ale niezłe. Spory wybór tu mają.

– Może ja teraz pójdę? – Mateusz spojrzał na żonę.

– Idź, tato, zostanę z mamą – powiedział chłopak. Usiadł obok matki, popatrzył na włóczkę. Bez słowa zaczął ciąć kolejne kawałki.

– Eryk, zdecydowałeś ostatecznie, które liceum wybierzesz? – Renata zagadnęła syna, gdy Mateusz już wyszedł.

– Sam nie wiem. – Chłopak wzruszył ramionami. – Obydwa są fajne.

– To może wybierz po prostu lepsze? Przecież dostaniesz się, gdzie

będziesz chciał.

- Lepsze jest dalej, ciężiej dojeżdżać, mniej czasu na naukę.
- Ale potem łatwiej o dobre studia. – Renata nie odpuszczała. –

A może po prostu jeszcze raz tam pojedź.

- Przecież byłem. Na dniach otwartych.

– Dni otwarte są przygotowane. Szkoła wypucowana, a dzieci na korytarzach miłe. Może pojedź tak po prostu, usiądź na korytarzu, popatrz na uczniów. Jak się zachowują, co robią. Czy się śmieją, czy się biją, może porozmawiaj z jakimiś...

- Nie wpuszczą mnie.

– Jak weźmiesz ze sobą potwierdzenie, że chcesz tam zdawać, to może wpuszczą.

Chłopak milczał. Przestał już ciąć, Renata wiązała ostatni frędzel.

- Może masz rację, mamo. Tak zrobię. Wysłałem opowiadanie.

- Super. Trzymam kciuki.

- I tak nie wygram.

– Może nie, może tak. Kto wie. Nie wiedziałbyś, gdybyś nie wysłał.

Nastolatek kiwnął głową.

- Ale warto było je pisać.

Renata uniosła brwi.

– Pisanie jest fajne. I wcale nie jest takie łatwe. Jak już się zacznie, to trzeba wszystkiego pilnować. Żeby składnie było, logicznie, i ortografy, i gramatyka, i jeszcze żeby się kupy wszystko trzymało. I musiałem posprawdzać te wszystkie ciekawostki z Hiroko. Dobrze się bawiłem.

Milczeli. Renata odłożyła szalik na szafkę.

- Mamo, a czy ciocia Daria i pan Gabriel...? – Eryk zawiesił głos.

- Hmm... Jak się domyśliłeś?

– Widziałem ich kiedyś pod szkołą. A pan Gabriel przecież nie ma dzieci w szkole.

– Ale jego firma dba o tereny zielone wokół szkoły. Konserwuje boisko i tak dalej. Ale masz rację. Możesz chyba do niego mówić per wujku. Albo może lepiej najpierw zapytaj. Sądzę, że się nie obrazi.

- A wujek Klemens?

- Wyprowadził się. – Renata starała się powiedzieć to z prostotą.
- On nigdy nie lubił swoich dzieci – powiedział chłopak.
- Słucham?
- Nigdy nie bawił się z bliźniaczkami, nie spędzał z nimi czasu.

Kiedy do nas przychodzili, to nawet się nie interesował, co razem robimy.

– Cóż... niech mu będzie jak najlepiej. – Renata chciała zakończyć ten temat.

– To świństwo! – Chłopak się uniósł. – Zostawić dzieci. One teraz będą jak półsieroty.

– Nie mów tak. – Renata uważnie popatrzyła na syna. – Klemens żyje, dzięki Bogu, a Gabriel pewnie dobrze zajmie się dziewczynkami. Może stworzą lepszą rodzinę, kto wie.

– Mamo, a co u cioci Ani?

– Niewiele wiem. Babcia dzisiaj dzwoniła, jest z nią i ją wspiera. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Mhm. Babcia wspiera – mruknął Eryk.

Młodość jest bezkompromisowa – pomyślała Renata. Głośno powiedziała:

– To może zadzwoń do cioci Ani?

– Może zadzwonię – odpowiedział chłopak.

– Nie masz nas już dość? – zapytał Mateusz, wchodząc do sali.

– Pachniesz smażeniną – odpowiedziała Renata.

– Chyba masz.

– Nigdy nie mam was dość. – Gorliwie zaprzeczyła. – Ale chciałabym się chwilę przespać.

Do sali wszedł lekarz. Niewiele mówił. Zbadał jej puls, obejrzał gardło, dotknął węzłów chłonnych. – Za chwilę przyjdzie pielęgniarka, pobierze krew – powiedział.

– To my już polecimy, mamo – powiedział Eryk.

– Lećcie kochani. Wieczorem się zadzwonimy.



– Mamo, Miłoz jest okropnie rozgoryczony, że nie był u Renaty wiosną. Bardzo na to liczył. To też mu nie pomaga w tym całym rozgardiaszu.

– Nie zwalaj swoich kłopotów na Renatę. Nie ona się z mężem rozwodzi.

– Przestań, mamo. Nie pomagasz. Narzekasz na Miłoz, rozumiem, jest ostatnio dokuczliwy, ale...

– Dokuczliwy! – Krystyna przerwała Annie. – Jest nieznośny! Nie słucha, krzyczy, zawsze musi mieć ostatnie zdanie. To przedszkolak, a pyskuje, jakby miał trzynaście lat!

– Mamo, on wyczuwa, że źle się dzieje. Tęskni za Robertem, chociaż to marny ojciec. Nie rozumie świata, jak to dzieciak. Miałaś mnie wspierać! Nie widzisz, jak bardzo jest nam źle? Miłozowi i mnie?

Krystyna machnęła ręką.

– Jadę do przedszkola, mamo.

– Wróćcie szybko na obiad.

Mama zawsze wyrażała miłość jedzeniem – pomyślała Anna.

Kiedy wrócili z przedszkola, mały wpadł do domu z impetem.

– Babcia! – krzyczał od progu.

Krystyna wyszła na korytarz. Uśmiechnęła się.

– Daj buziaka.

Miłoz złapał ją za szyję.

– Będą kopytka, babciu?

– No pewnie, woda już się grzeje. – Nie wylej! – krzyknęła, gdy mały zbyt szybko zbliżył się do garnka z parującą wodą. Miłoz przestraszył się krzyku. Akurat Anna weszła do kuchni i zobaczyła podkówkę na buzi dziecka.

– Mamo...

Krystyna znów machnęła ręką. Nie chciało jej się tłumaczyć.

– W przyszłym tygodniu chciałbym pojechać do Renaty – oznajmił przy obiedzie Zenon.

– Ja też bym się wybrała – powiedziała Anna.

– I ja, i ja, i ja! – Miłoz tak podskoczył, że potrącił talerz, zupa rozlała się na obrus. Krystyna westchnęła teatralnie.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Anna z naciskiem. Po czym dodała: – Ty też pojedziesz do cioci Renaty.

– Bo ja miałem pojechać już dawno – powiedział mały z pretensją. Bo ciocia obiecała. A Krzyś to się miał ze mną bawić! W zachowajka!

– W zachowajka? – Zenon się zdziwił. – Co to jest?

– W chowaj i szukaj – wyjaśniła Anna.

– Ale ciocia jest chora. I dlatego nie mogłeś do niej pojechać. – Krystyna wtrąciła się do rozmowy.

– Ale ja chcę się bawić z Krzysiem i Krysią!

– Pojedziemy, będzie dobrze – powiedział Zenon. – Drugie zjemy potem. – Spojrzał na Krystynę. – Teraz razem z Miłozsem idziemy do drugiego pokoju. Musisz mi pokazać, jak się bawi w zachowajka. Bo ja nie umiem.

Mały zeskoczył zwinnie z krzesła i chwycił dziadka za rękę.

– Dziadek – powiedział poważnie – dorośli to nie wszystko wiedzą. – Pokręcił głową. – Taki duży, a nie rozumiesz? Zachowajek to jest... – Ich głosy ucichły za zamkniętymi drzwiami.

– Pojedźmy do Renaty, to dobry pomysł. Ją oderwiemy od myślenia o chorobie, a i tobie przyda się trochę innego świata. Pomyślisz o czym innym, spojrzysz z nowej perspektywy. I mały będzie zadowolony. – Krystyna użyła ostatecznego argumentu, próbując zaczarować rzeczywistość.

– Mamo, ale my się i tak rozwiedziemy – powiedziała cicho Anna. Krystyna podniosła głowę znad talerza.

– Co ty znowu?

– Przecież wiesz, że to już od dawna jest fikcja. Nie ma już tej rodziny. Od dawna Miłozs i ja jesteśmy sami. Chcę to wreszcie załatwić.

– Rozwieść się? Słyszałam, Renata mówiła – powiedziała sztywno Krystyna.

– Wiem, nie popierasz rozwodów. Nie lubisz, nie uznajesz. Wiem. Nic jednak z mojego małżeństwa dobrego nie wynika. Jestem przybita, załamana, przygnębiona. Jestem samotna.

– Ale nie musisz się od razu rozwodzić. – Krystyna ożywiła się odrobinę.

Anna zakryła dłonią usta. Był to gest, który dla niej był symbolem

zastanowienia. Często odczytywany przez otoczenie jako chęć ukrycia czegoś, niedopowiedzenia, w rzeczywistości znaczył: „Muszę pomyśleć”. Krystyna potrafiła ten gest dobrze odczytać.

– Mamo, na którą mamy być?

Krystyna lekko uderzyła się w czoło.

– O mało nie zapomniałam!

– Akurat. – Anna zaśmiała się życzliwie. – Nie wierzę, żebyś kiedykolwiek zapomniała o wizycie u sąsiadki.

Krystyna pogroziła jej palcem.

– Za godzinę. No, niecałą – dodała, spoglądając na zegarek.

– To trzeba się przygotować.

– A co tu przygotowywać? – Krystyna udała oburzenie.

Anna uśmiechnęła się. Znała mamę.

– Idziemy? – zapytała, wstając już od stołu. Krystyna jak marionetka poszła za nią.

Weszły do sypialni Krystyny.

Dwadzieścia pięć lat wcześniej

Skrzypi podłoga z malowanych na zielono desek.

– Nie bądź strachajło. Mama nie wróci prędko. Poszła do Hrychowej. Mamy czas.

– A jak wróci? Będzie zła.

– No i co. – Starsza siostra wzrusza ramionami. – Pozłóści się i tyle.

– Jak taty nie będzie, to karę dostaniemy.

– Ale może tata będzie. Nie chcesz obejrzeć?

Młodsza od razu szerzej uchyla drzwi szafy. Skrzypią tak samo jak podłoga. – Ja to lubię najbardziej te tutaj. – Anna pokazuje stłamszone na drzwiach szafy apaszkę. To przez nie szafa nie chce się domknąć.

– Śliczne. – Renata wzdycha. Tak samo jak młodsza siostra, uwielbia dotyk jedwabiu.

– Zobacz, ta jaka ładna.

– A ta! – Przekrzykują się.

Renata nie spostrzega, że Anna ukrywa w kieszeni szerokiej bluzy niewielką apaszkę w czerwone i granatowe koła.

– Może już posprzątajmy. Żeby mama się nie złościła – mówi Renata.

Teraz

– To byłoby dobre, mamó? – powiedziała Anna, sięgając po pierwszy z brzegu wieszak. Doskonale wiedziała, że cokolwiek zostałyby wyciągnięte, i tak zostanie odrzucone. Krystyna nigdy nie brała na poważnie pierwszej propozycji.

Drzwi szafy się nie domykały – jak zawsze, odkąd pamiętała. Teraz też szafa sprawiała wrażenie spuchniętej, przepełnionej.

Apaszki! – pomyślała Anna. Uśmiechnęła się.

Krystyna prychnęła. Anna wyjęła naręcze wieszaków, ułożyła ubrania na łóżku.

– Co dzisiaj, spódnica, sukienka?

– A zimno jest? – zapytała Krystyna pozornie bez związku.

– Nie bardzo. Nie musisz wybierać tej wełnianej, najcieplejszej. – Zrozumiała podtekst pytania Anna.

– To może takie – zawahała się Krystyna – szare? – powiedziała, wskazując na burą spódnicę za kolano.

– Mamó. To jest coś, co już dawno powinnaś wyrzucić. Może ta?

– Za jaskrawa – stwierdziła Krystyna.

– Mamy wiosnę! Czas na kolory – powiedziała Anna dobitnie.

– Ale do takiej spódnicy to co ja założę? No co? – zapytała bezradnie Krystyna.

– Właśnie do takiej to nie ma problemu. Po prostu biała bluzka i już. – Anna wyciągnęła koszulową bluzkę, którą sprezentowała matce na ostatnie Boże Narodzenie. Starsza pani nie mogła się przekonać do klasycznego kroju.

– A może tę moją, z żabotem?

– Mamo.... – powiedziała z wyrzutem Anna.
– Będzie ładnie? – Krystyna szukała potwierdzenia, stojąc przed lustrem przytwierdzonym do boku wielkiego mebla.
– Pięknie, mamo.
– Co pięknie? – zapytał Miłosz, który wbiegł do sypialni, objijając drzwi o ścianę.
Krystyna wzięła oddech, Anna ją uprzedziła:
– Synku, przecież można wolniej, prawda? Będziemy musieli babci dom remontować.
Właśnie! – pomyślała zirytowana Krystyna.
– Ale co pięknie? – dopytywał się Miłosz.
– Pięknie? A! – Dopiero zrozumiała Anna. – Babcia pięknie!
Zobacz, jak pięknie wygląda babcia!
Miłosz popatrzył na szczupłą starszą panią stojącą przed nim w stalowoszarej spódnicy, na której układały się czerwone i amarantowe kwiaty. – Babcia zawsze jest piękna. – Wzruszył ramionami. – Kiedy idziemy?
– Za chwilę. Napijemy się jeszcze czegoś przed wyjściem, mamo?
– Gdzie tam. Musimy pójść głodne i spragnione, inaczej suchej nitki na nas nie zostawią – odpowiedziała Krystyna. – Masz jeść i pić, i zachwalać – zażądała.
– Dobrze, mamo – odpowiedziała Anna.
Ale nitki i tak na nas nie zostawią – dodała w myślach.
Odwróciła się do łóżka, sięgając po resztę ubrań. Paskiem od zegarka zaczepiła o jakiś wystający z szafy przedmiot. Cmoknęła, niezadowolona.
– Ależ tego masz, mamo. Powinnaś w końcu zrobić z tym porządek. – Machnęła wolną ręką w stronę wysypujących się z szafy chustek. Odczepiła zegarek. – Co to jest? Jejku, ale zabytek! – wykrzyknęła.
Miłosz podszedł do matki zainteresowany.
– Nosiałaś go w podstawówce, pamiętasz?
– Czy pamiętam? Nie sposób zapomnieć! Całe tygodnie prosiłam ciocię Elżbietę, żeby zrobiła mi ten pasek! Zobacz, jak to się trzyma. – Anna z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Ciocia specjalnie sznurek zamawiała z Niemiec, znajomy jej przywoził, żeby ci to utkać.

– Jak to się nazywało? Makatka? – Anna usiłowała sobie przypomnieć.

– Makrama – odpowiedziała pouczająco Krystyna. – Makrama, moja droga.

– I kiedyś uciekłyśmy z tym paskiem na dyskotekę. – Anna się uśmiechnęła. – Prawie się pokłóciłyśmy, która ma go założyć. Ostatecznie uparłam się i nie oddałam go Renacie, ale to i tak nic nie pomogło. Chłopak był jej.

– Co zrobiłyście? – Krystyna wyglądała na przerażoną. – Jaki chłopak?

– Nie denerwuj się, mamó, wróciłyśmy całe i zdrowe, bez traum, jak widać.

– Kiedy to było? – Krystyna pokręciła głową z niezadowoleniem.

– Pamiętasz tę noc, kiedy spałyśmy w namiocie. U cioci Eli właśnie? Było bardzo ciepło. Czerwiec albo lipiec.

– Było kiedyś coś takiego – ostrożnie odpowiedziała Krystyna.

– No to właśnie wtedy.

– Same? W nocy?

– A tam same. Mnóstwo ludzi tam było. – Anna odwróciła się od matki, żeby ukryć rozbawienie. – Ja zresztą tylko raz...

– Jak to raz?

– Jeden jedyny.

– Ale...

– Mamó, daj spokój.

– Jaki spokój? Jaki raz?

– No, Renacie się jeszcze zdarzyło. Z Joanną. Nic się nie martw. Wszystko w porządku, prawda?

– Jakie w porządku? To wtedy, co mi się sąsiadki tak dziwnie przyglądały. To tego lata było! – Starsza pani wzięła się pod boki.

– Mamó, pokażę ci coś. – Anna sięgnęła za szafę. O ile jeszcze tutaj jest...

Grzebała chwilę przy tylnej ścianie. – Widzisz, stare meble mają mnóstwo szpar. – Zaśmiała się. W ręku trzymała apaszkę w czerwone

i granatowe koła.

– A ja jej szukałam całe lata! – Krystyna się ucieszyła. – Co to?

Chustka miała powycinane koła. Dwa na środku, pięć na brzegach.

– Wycinałam tylko te, które mi pasowały rozmiarem. Tylko nie pamiętam, do czego. A potem się bałam przyznać. Więc ją schowałam. Zobacz, jak skutecznie.

Krystyna usiadła ciężko.

– Co ja się mam z tymi dziewczynami.

– Nie narzekaj. Takie najgorsze to nie jesteśmy – powiedziała

Anna.

– No nie. – Krystyna znów westchnęła.

Tyle tylko, że się rozwodzę, prawda, mamo? – pomyślała Anna.

– Ile jeszcze mi nie powiedziałyście?

– Wszystko ci zawsze mówiłyśmy. No, prawie wszystko. Jeden chłopak z dyskoteki potem latał za Renatą. Był cholernie przystojny. Do dzisiaj pamiętam. Miał czarne oczy, bezdenne po prostu, i grube, szerokie czarne brwi. Wysoki i umięśniony. Wymachiwaliśmy w tańcu aż huczało. A potem zobaczył Renatę i już go nie było. Może ona pamięta, jak ten chłopak miał na imię?

– I ciocia Elżunia się nie zorientowała?

– O drugiej byliśmy w namiocie. Do rana spałyśmy już grzecznie.

– Nikt mi nic nie powiedział! – Krystyna się denerwowała.

– No i po co mówić. Nic się nie stało. A pamiętasz mama tego Szymona, co to potem się z tą topielicą ożenił?

– Topielica to ona była później. Jak mam niby nie pamiętać?

W głowie ci zawrócił, prawie żenić się chciał – odparła kwaśno

Krystyna.

– Kto to topielica? – dopytywał się Miłosz.

– Okrutnie za mną latał, fakt – powiedziała Anna do matki. – Potem ci wytłumaczę. – Pogłaskała Miłosza po głowie.

– No masz. Za moją córką każdy latał – powiedziała Krystyna, unosząc głowę. Uśmiechała się blado.

– Ale krótko latał. Bo kiedyś odprowadzał mnie wieczorem do domu i koniecznie chciał się obściskać. Język mi w ucho włożył i uważał, że tak jest fajnie.

Krystynie z ręki wypadł grzebień.
– Co zrobił? Dlatego go odesłałaś?
– A po co język do ucha? – Miłosz się zainteresował.
– Dla żartu – odpowiedziała Anna. – Może pójdź jeszcze do dziadka? – zaproponowała. Mały tylko pokręcił głową.
– No coś ty? A nie było fajnie? – zapytała Krystyna, kręcąc głową.
– Mama! – krzyknęła Anna, udając oburzenie. – Do dziś nie cierpię, jak mnie ktoś liże za bardzo.
– Mamo, a ja?
– Ty nigdy nie jesteś za bardzo. Ciebie jest zawsze za mało! – odpowiedziała Anna, schylając się do synka i czochrając mu włosy.
– Czas iść – powiedziała Krystyna. Zakończyła toaletę, czuła się elegancka i świeża, chociaż kolory na spódnicy wydawały jej się ciut za dużo krzykliwe. Ale co tam, raz od wiosny można. *Od kogo ja mam tę spódnicę?* – zastanawiała się, ale nie mogła sobie przypomnieć. – Dawno mnie nie było, to sąsiadki są ciekawe, co tam u nas. I w wielkim świecie.
– Weź jeszcze to, mamo. – Anna podała Krystynie szary sweter z cienkiej wełny. – Niby nie jest zimno, ale jednak jeszcze wiosna. Potrafi przewiać. Miłoszku, kurtka! – zakomenderowała.
– Ty też coś nałóż. – Krystyna się zatroszczyła.
Czasem się nie rozumiemy. Czasem myślimy inaczej. Ale jednak dbamy o siebie. To jest ważne. Bardzo ważne – pomyślała Anna.
Dobrze mieć dziecko, co to na stare lata się zaopiekuje człowiekiem. Chyba nie tak źle je wychowałam – pomyślała Krystyna.
– Jakie ładne popołudnie. Aż chce się żyć – powiedziała Anna. Szły skrajem jezdni, prosto w wiosenne słońce. Miłosza trzymała za rękę. Samochodów wprawdzie było tutaj mało, ale jednak jezdnia.
– I nawet ten sweterek niepotrzebny – powiedziała Krystyna.
– Może być chłodno, jak będziemy wracać – odpowiedziała Anna, trzymając w rękach kurtkę Miłosza.
Sąsiadkę zobaczyły już z daleka. Kręciła się po warzywniaku z boku domu. Raczej oglądała rośliny, niż przy nich pracowała. Gdy zobaczyła nadciągających gości, wyciągnęła z rabaty dwa okazałe buraki i cebulę, po czym uniosła głowę, udając zaskoczenie.
– Jesteście! To dobrze! – przywitała je krótko. Wskazała ręką

drzwi małej werandy. Na zewnątrz pachniało wiosną. Wokół domu były pola, gospodarstwo stało w pewnym oddaleniu od pozostałych zabudowań. Ziemia była miękka, wilgotna, maszyny zapadały się w niej po osie. W domu jednak zamiast zapachu wiosny dominował zapach odświeżacza powietrza. Było duszno, zamknięte okna nie wpuszczały wiosny.

Sąsiadka słynęła z pedanterii. Było idealnie czysto, kurz zebrany z każdej listwy, kryształki umyte, dywany wytrzepane. Test białej rękawiczki u niej zawsze wypadłby bezbłędnie.

– U ciebie jak zawsze świeżo i przyjemnie – powiedziała Krystyna, zdejmując buty.

– Ach tam! – Machnęła sąsiadka niby niedbale. W rzeczywistości była łasa na wszelkie przejawy uznania.

Rozsiadły się. Miłosz usiadł nieśmiało koło matki. Anna podała mu telefon z włączoną grą. Generalnie starała się tego nie robić, jednak obawiała się, że w tym domu każde dotknięcie wypolerowanego szkła, mebla, jakiegokolwiek powierzchni mogłoby być traumą dla właścicielki. *I odbić się źle na mamie – pomyślała. – Przecież sąsiadka nie omieszka skomentować naszej wizyty. Zachowanie małego jest bacznie obserwowane.*

– Może byśmy okno uchyliły? – zapytała Anna. Było duszno.

– Kurzy się z dworu – odpowiedziała gospodyni.

Miłosz chwycił telefon, rozglądając się nieśmiało. Wtulał się w matkę, telefonem zainteresował się dopiero po chwili. Kiedy gra go wciągnęła, szybko przestał być obecny.

Pachnące ciasto na dużym talerzu ze złotym brzegiem stanęło na środku okrągłego stolika. Z praktycznych względów sąsiadka najczęściej piekła drożdżowe. Długo świeże, nie pleśniało, a i przeschnięte nadawało się do jedzenia. Nic się nie marnowało.

Anna dostała herbatę w szklance w metalowym koszyczku, z uszkiem, Krystyna kawę z fusami, też w szklance. Ale w koszyczku plecionym. Nie wiadomo dlaczego, zawsze tak było w tym domu.

– Dawno was u nas nie było – zagaiła sąsiadka, gdy pierwsze kęsy ciasta zostały już pochwalone.

– Dawno, dawno, i znowu mnie nie będzie – odpowiedziała

Krystyna, z powagą kiwając głową.

– A czemuż to?

Annie zawsze wydawało się, że wypowiedź sąsiadki jest niedokończona. Odruchowo czekała, aż doda na końcu zdania „kumo?”, ale nigdy go nie usłyszała.

– A, daj spokój, sąsiadko! – wykrzyknęła dramatycznie Krystyna. – Toż wszyscy wiedzą i ja ukrywać nie będę. Renata jest chora, w szpitalu leży, włosy wszystkie straciła. Dzieci tęsknią za nią, i mąż tęskni, i ja się martwię. To i muszę być tam, pomóc coś, dzieci dopilnować, ugotować co. A i Anna – obrzuciła córkę karcącym spojrzeniem – problemy z chłopem ma, jak to z chłopem, co tu gadać. Ciężko u nas ostatnio jest.

Jak mama z nią rozmawia, to się zmienia w dziewiętnastowieczną chłopkę. Zmienia akcent, szyk zdania, gramatykę... wszystko zmienia. Tak się liczy z tą kobietą? I dlaczego opowiedziała jej o kłopotach z Robertem? Uprzedza fakty chyba...

Anna siedziała ze wzrokiem wbitym w talerzyk. Od czasu do czasu sięgała po ozdobny widelczyk i zjadała kawałek, kawałeczek ciasta. Popijała małym łykiem herbaty.

Jako dziecko lubiła tu przychodzić.

Dwadzieścia pięć lat wcześniej

Ciasto jest zawsze, drożdżowe. Uwielbia łapać je w garść i wybiegać na podwórze, krusząc po drodze. Bawi się z trzema synami sąsiadki, jeden jest trochę starszy, pozostali ciut od niej młodszy. Latają po podwórzu, często z Renatą, czasem dołącza inna dzieciarnia. Anna jest najczęściej. Ganiają z psami, wpadają czasem do chlewu sąsiadów, czasami straszą kury. Unikają tylko okolic gołębnika, bo mąż sąsiadki goni ich za to straszliwie. Gołębie są jego miłością, otacza je troską większą niż synów. Od gołębi – wara! Więc biegają po polach, czasem zagłębiają się w las, ale niedaleko, i właściwie tylko w lipcu. Wracają wtedy z ustami sinymi od jagód, a w późniejszych latach – z kankami pełnymi jagód.

Któregoś dnia Anna z garścią pełną ciasta stoi pod oknem. Nie rusza się, zanim pobiegnie do chłopaków, chce napęlić brzuch puchatą słodyczą. Słyszy, stojąc ciągle pod oknem, jak sąsiadka rozmawia z kimś, nawet Anna nie wie, że ktoś jest w domu.

– Jakie to niewychowane takie.

– Ale że co? – odpowiada nieznany Annie głos.

– Lata po cudzym domu, z chłopakami jak jaka chłopczyca.

Ciastem mi nakruszy, butów nawet nie zdejmie.

– To nie pozwól.

– A co mam tam nie pozwolić. Nie będę sąsiadce przykrości robić.

Anna stoi jeszcze chwilę pod oknem, bez ruchu. Przetyka ostatnie kęsy, okruszki wytrząsa bezgłośnie z dłoni. Rusza wolnym krokiem w stronę innych dzieci, bawią się do wieczora.

Anna nigdy już nie wbiega po kawałek drożdżowego ciasta. Czasem któryś z chłopaków przyniesie, to zje chętnie. Z daleka kłania się sąsiadce, zawsze grzecznie.

– Co ona taka się zrobiła? – pyta sąsiadka pewnego dnia inną sąsiadkę. – Jakby co w nią wstąpiło. Nie widać jej prawie.

– A pani, biega ta dzieciarnia po polach, to i w domach jej nie widać – słyszy odpowiedź.

Sąsiadka kręci głową.

Teraz

Anna siedzi i słucha, zerkając od czasu do czasu na małego.

– A toć i dawno mówiłam, ten Robert to nie jest dobry chłop.

Anna uniosła głowę, nie odezwała się jednak.

– Co niedobry, zresztą co to gadać, tyle lat po ślubie. – Krystyna wyręczyła ją w odpowiedzi.

– Mówiłam ci przed ślubem jeszcze, ale teraz to już się nie odkręci. Widziałam go ostatnio w sklepie. Zakupy robił wielkie, ale tylko płynne. Pełen koszyk, aż dźwięczało.

– Przy Annie tak pić nie mógł, i przy dziecku głupio, a teraz to

może bez przeszkód – odparła Krystyna, mierząc się z plotkami o wyprowadzce Roberta z domu.

– Częstujcie się – powiedziała sąsiadka, wskazując głową na talerz z ciastem. – Do kościoła może pójdziemy? – zapytała po chwili, gdy kolejny kawałek ciasta u każdej zmalął znacząco na talerzu.

– Może do Karnkowa? – zaproponowała Anna.

Sąsiadka wyraziła zgodę kiwnięciem głowy.

– Przebiorę się – powiedziała.

Wróciła po kilkunastu minutach, w eleganckiej sukience, z wełnianą narzutką na ramionach.

Anna jęknęła w duchu. *Jakbym widziała panią z międzywojnia. Tylko zapachu naftaliny brak.*

Odetchnęła głębiej. Uśmiechnęła się.

Brak? Wcale nie.

Miłosz się skrzywił. Anna przykucnęła koło niego, niby poprawiając kołnierzyk.

– Tylko nic nie mów, proszę – szepnęła mu prosto do ucha. – Ta pani tak pachnie, bo musi.

Dziecko tylko kiwnęło głową.

Sąsiadka trzymała w ręku czerwoną torbę z ceraty. Zupełnie nie licowała z jej strojem.

A to do czego? – zakpiła w myśli Anna.

W samochodzie, starym fordzie escorcie, co tydzień pucowanym przez męża sąsiadki, Anna usiadła za kierownicą. Wcześniej przypięła małego starannie pasem. *Bez fotelika trochę kiepsko* – myślała z niepokojem.

– Młoda, to niech nam dobry uczynek zrobi – powiedziała sąsiadka, która sama prawa jazdy nie miała, a nie miała ochoty prosić męża o podwiezienie. Przeczuwała, że wcale nie chciałby ruszać z podwórza ukochanego samochodu. Przewidywała też jego niezadowolenie, że samochód bez jego wiedzy wyjechał na drogę. A jak się dowie, kto prowadził! Taka młoda osoba. No, dziewczynka prawie. Trzydziestoletnia. Co tam, mąż ostatnio sąsiadce podpadł. *Niech ma za swoje* – myślała.

Milczały w czasie jazdy. Anna zaparkowała niemal w tym samym

miejscu, w którym ostatnio zostawiła samochód Renata.

Ruszyły wolno schodkami. Anna trzymała dziecko za rękę. Zimą było tu ponuro. Teraz zielone gałęzie poruszane przez wiatr zachęcały do wejścia. Ocieniona ławka, trawa. Zakwitły stokrotki i kilka rabat, zadbanych przez wierne parafianki. Wychyliły się przebiśniegi i krokusy, rozchylały pąki hiacynty.

– Ten Robert to od zawsze był niedobry – kontynuowała sąsiadka.

– Ale Ania w nim zakochana. – Krystyna westchnęła.

– Młode, to i naiwne. A w życiu to trzeba mądrym być, przed szkodą, a nie po. Przemyśleć, zanim się co zrobi.

– A gdzie to tam, młode takie, myśli. Akurat.

– Mamo, mówicie o mnie i o Robercie, jakby mnie tu nie było! Co myślicie, że ja tak chciałam? To moje wymarzone życie? Dzieci chciałam mieć trójkę, jak Renata. Tylko jej wszystko się udaje, ot tak, po prostu. Mąż, dom i dzieci. A mój chłop dla wódki mnie rzucił! Myślicie, że mi dobrze tak?

Miłosz patrzył na mamę z rozchylonymi wargami.

– Dziecko, ty tu nie pyskuj, on zawsze lubił dno kieliszka oglądać. Przed ślubem jeszcze zniknąć potrafił na picie z koleżkami. A pępkowe pamiętasz? Na trzy dni go wywiało! A jak wrócił, to nie pamiętał, że syna ma! – Krystyna się wkurzyła.

– I myślisz, mamó, że to teraz coś pomoże? Pępkowe było już po ślubie. Wtedy miałam się rozwodzić? Jak Miłosz się urodził?

– A co to w ogóle o rozwodach opowiadać, dajcie spokój, sąsiadko. Przed domem bożym jesteśmy...

Krystyna się opanowała. Zacisnęła zęby. Anna zatrzymała je na schodach przed wejściem na kościelny teren. Teraz Krystyna pokonała ostatnie trzy schodki, jakby miała piętnaście lat. W podskokach. Przebiegła kilka kroków do kościoła, z furią otworzyła drzwi.

– Matka się denerwuje, po co takie rzeczy opowiadasz?

– Źle mi, pani sąsiadko. Co mam opowiadać, że dobrze.

– Ale o rozwodach to się tu nie mówi. Rozwodzić to się mogą ładacznice, do kościoła to one nie chodzą – powiedziała sąsiadka.

Anna spojrzała na nią w milczeniu, wskazała otwartą furtkę i popchnęła delikatnie Miłosza na następny schodek.

Sąsiadka też ruszyła. Wcześniej bacznie przyglądała się Annie, teraz po prostu szła do świątyni.

Będzie chryja – myślała Anna. – Nie rozwodzą się, akurat. Co za świat. Zaścianek zapyziały. – Anna zaciskała pięści, wciąż zdenerwowana. Klęknęła w ławce, oparła głowę na rękach. Nie modliła się jednak. Nie bardzo potrafiła ubrać swoje obawy w słowa. Nie umiała sobie nawet wyobrazić, co to będzie, jak to będzie. Po prostu się bała. Podniosła głowę, spoglądając w ołtarz. Głaskała odruchowo główkę siedzącego obok dziecka.

Coś nieładnie w tym domu, nieładnie – uśmiechała się pod nosem sąsiadka. – To dopiero będzie!

Krystyna próbowała zdusić w sobie wściekłość. *Jak Anna mogła? – rozmyślała. – Takie brudy, publicznie! I to przy kim? Jutro cała wieś będzie wiedziała. A tam jutro. Dzisiaj! Wstyd, co to będzie za wstyd.*

I matka, i córka były na siebie rozżalone. Nie pomógł nawet Chrystus wiszący na drewnianym krzyżu. Cierpiący, zbolący, obojętny na ziemskie sprawy.

Wiosna wiosną, ale w kościele było zimno. Anna ze zgrabiłymi rękami podniosła się z klęczek. Wzdrygnęła się. Pod spodniami czuła gęsią skórę na łydkach.

– Wychodzę – szepnęła do matki.

– Poczekaj, ja też idę – odpowiedziała.

– Ja też. – Sąsiadka dołączyła.

Przed kościołem Anna rozcierała ręce.

– Mogłabyś przynieść tę torbę z samochodu? Czerwoną taką? – Sąsiadka poprosiła Annę.

Tę paskudę? – pomyślała Anna.

– Oczywiście – odpowiedziała.

Starsze panie rozsiadły się na ławce. Anna ruszyła kamienną ścieżką. Miłosz podskakiwał przed nią. Słońce rozgrzewało jej twarz. *Wystawię też ręce* – pomyślała. – *Jak tylko usiądę.*

Torba była ciężka. Anna pochyliła się, niosąc ją po schodkach. Sąsiadka przyskoczyła do niej, otwierając pośpiesznie zamek. Zapachniało czosnkiem.

– Kocyk, zabezpieczy nas przed wilkiem i innym złym –

powiedziała, rozkładając kraciasty pled.

Starsze panie się przesunęły. We trzy usiadły na ławce, sąsiadka trzymała torbę cały czas na kolanach. Z uśmiechem wyciągnęła pęto kiełbasy i płócienny worek z grubo krojonym chlebem.

– Człowiek głodnieje na wyprawie. Swojska, domowa, jedzcie – powiedziała.

– A to z tego świniaka, coście go bili ostatnio?

– Z tego, i jeszcze cielaka stary dodał trochę.

– Jakby majeranku mniej – stwierdziła Krystyna.

– Ano, za to czosnku nie pożałował.

Anna odpłynęła myślami. Kielbasę wolała kupić w sklepie, masarskie doświadczenia jej nie interesowały. Ułożyła dłonie na kolanach, słońce grzało i rozleniwiwało. Starsze panie rozprawiały o codziennych sprawach. Anna się rozluźniła.

Co się będę złościć na matkę. Nie zmienię jej. I naprawdę tak myślę o Renacie? Że jej się wszystko udaje?

Jedenaście lat wcześniej

Życie jest piękne – myśli dziewczyna. Ma dziewiętnaście lat. Wiatr targa jej włosy i jest jej z tym dobrze.

– Jesteś, kochana – mówi chłopak, podchodząc od tyłu. Obejmuje ją. Dotyka przez cienką sukienkę sutków.

Dziewczyna się odwraca.

– Jestem. – Śmieje się. – Idziemy?

Wchodzą do domu chłopaka. Znają się od lat, od zawsze. Ale stół nakryty, talerze ze wzorkiem wystawione.

– Narzeczoną nam Szymon prowadzi – mówią rodzice do siebie.

Lubią dziewczynę. Ona lubi ich. Krystyna i Zenon lubią Szymona. On lubi ich. Wszystko się układa.



- No jak tak. Przed ślubem nie można. Szymon, nie.
- Już ja cię rozpalę, zobaczysz. Nie doczekam do ślubu!
- Doczekasz – mówi Anna. – Oboje doczekamy.
- Ty to życia nie znasz w ogóle.
- Szymon, co robisz? Nie wkładaj mi języka do ucha! Fuj! To

ohydne.

– Ohydne? Ohydne? Jestem ci ohydny? To zobaczysz! – Chłopak odskakuje, zostawia dziewczynę na środku drogi.

Jest blisko swojego domu, więc chociaż jest noc, nie boi się. To jej wieś. Zna tu wszystkich i wszyscy ją znają. Krzywdy nikt nie robi.

Anna wraca do domu, kładzie się rozdygotana. *Przejdzie mu. Do jutra mu przejdzie* – uspokaja się w końcu i zasypia.

Następnego dnia chłopak w ogóle do niej nie zagląda. I dwa dni później też nie. Anna idzie do domu jego rodziców, przyjmują ją jakby nigdy nic.

– Nie wiesz, gdzie Szymek? My też nie wiemy. – Uśmiechają się. – Młody jest, wyszumi się.

Anna wraca do domu. Szymon po pięciu dniach zachodzi do niej, wchodzi do pokoju, ale mówi niewiele. Układa sweter na oparciu krzesła.

- Zostawiłaś, jak ostatnio byłaś – mówi.
- Szymon! – wykrzykuje dziewczyna. – Szymon!
- Teraz to Szymon, tak? A jak ja coś chciałem, to co?
- Tak się nie godzi, Szymon.

– Inne to dowód miłości potrafią dać. Tylko tyś taka... nieużyta. – Ostatnio słowo wypowiada, jakby splotał. – Nie to nie. Lepszą znajdę. Fajniejszą. Co się o mnie zatroszczyć potrafi.

– Na zapowiedzi jeszcze nie daliśmy, całe szczęście – mówi Krystyna, gdy dowiaduje się dwa miesiące później, że Szymon żeni się z inną.

– Z brzuchem do kościoła pójdzie, bój się Boga! – Lamentuje. – A czegoś ty nic nie mówiła, córeczko? – dopytuje się uważnie.

- A bo ja wiem, mamó.

Teraz

Anna odwiozła sąsiadkę, zaparkowała escorta dokładnie w tym miejscu, skąd wyruszyły. Sąsiad obserwował manewr zza firanki.

– Nie, kochanieńka, późno już, nie będziemy zachodzić. – Krystyna dziękowała za zaproszenie. – Miły dzień, wycieczka piękna, ale my już wracać musimy.

– Co ty, gówniarze kierownicę dałaś? – Sąsiad się wydarł, jak tylko zobaczył, że Krystyna z Anną oddaliły się na odpowiednią odległość.

– Gówniara, nie gówniara, przynajmniej mnie zawiozła. Nie musiałam się prosić.

– Co ty mi tu! – Zdenerwował się.

– Co ja, co ja? – Podparła się pod boki. – Ilem razy prosiła, żebyś do Włocławka mnie zawiózł? A? Ile?

– Do Włocławka daleko! – Mężczyzna się bronił.

– Daleko czy nie, potrzebne mi było pojechać. A teraz to se już sama poradzę! – Odwróciła się i weszła do kuchni.



– Muszę wracać do Renaty. Dzieci mnie potrzebują. One tam same – powiedziała Krystyna. Weszły akurat na główną drogę.

– Mamo, nie same, tylko z Mateuszem.

– I Daria. I niech lepiej ta Daria się za bardzo ich domem nie zajmuje.

– Mamo! – Anna wywróciła oczami.

– Ona się rozwodzi! – wykrzyknęła Krystyna.

Ja też – pomyślała Anna.

– Mamo, chętnie pojedę z tobą. Razem pojedziemy. Prawda, Miłoszku? – Zwróciła się do dziecka. – Miłosza weźmiemy

i pojedziemy. On tęskni za dziećmi, a i ja potrzebuję odmiany. Wezmę kilka dni urlopu i pojedę. Za dwa dni, mamó, może być za dwa dni?

Krystyna tylko kiwnęła głową.



Wieczorne konsylium w szpitalu było burzliwe.

– To są złe wyniki – powiedział lekarz prowadzący Renatę. Podał kolegom kartę.

– Ona umiera – stwierdził najmłodszy, wzruszając ramionami. – Nie ma sensu prowadzić tej terapii.

– Ona umrze i tak – potwierdził stary doktor, który specjalnie przyjechał do szpitala na to spotkanie. – Jak pan i ja – dodał, patrząc na młodego lekarza przenikliwie. – Umrze, ale może wcześniej jej pomożemy. A może dowiemy się czegoś więcej o tej chorobie.

– Nie każdy pacjent zgadza się na taką terapię – dorzucił jeden z onkologów. – Trzeba próbować do końca.



– Nie miałbyś nic przeciwko, żeby wpadał tu czasami Gabriel? – zapytała Daria Mateusza. – Z piątką dzieci jest ciut trudniej niż z dwójką, chociaż wydawało mi się, że po moich bliźniaczkach nigdy czegoś takiego nie powiem.

Rzeczony bliźniaczki właśnie podbiegły do matki i zaczęły ją ciągnąć, każda w swoją stronę. Luźna spódnica na gumce, którą dla wygody założyła Daria, kiedyś w odcieniu głębokiej butelkowej zieleni, teraz w wypłowiałe smugi, zsunęła jej się do połowy pupy.

– Dziewczynki, przestańcie – powiedziała, usiłując jednocześnie trzymać spódnice, nie przewrócić się i złapać córki. I zachować spokój.

– Dwie ręce to przy nich za mało. – Westchnęła.

– Pewnie, że może – odpowiedział Mateusz. Stał w przedpokoju, szykując się do pracy. – Jak na dotkliwie przeziębione, mają mnóstwo energii – zauważył.

– Chora to będę zaraz ja. Na głowę – odpowiedziała Daria. – Myślę, że jeszcze chwila i znudzi im się w domu. Pojedziemy do przedszkola.

I to ma zależeć od humoru dzieci? – pomyślał Mateusz.

– Podziwiam cię, że z nimi wszystkimi wytrzymujesz. I ciągle nie wiem, jak ci dziękować.

– Myślę, że zrobilibyście tak samo. – Daria wzruszyła ramionami.

Teraz już na pewno tak. Ale czy przed chorobą Renaty? – zastanowił się w duchu Mateusz.

– Dzisiaj będę w domu późnym wieczorem. Przepraszam. Mam ważne spotkanie, muszę się do niego przygotować. Skończymy pewnie późno, potem jeszcze podjadę do Renaty. Przepraszam, zostaniesz dzisiaj z całą hałastrą długo sama.

– Nie sama, tylko z Gabrielem. – Uśmiechnęła się.

– Jasne. – Odwzajemnił uśmiech.

– To może my pojedziemy? Gabriel i ja? Odstawimy bliźniaczki, zrobimy jakieś zakupy i pojedziemy do Renaty. Jeszcze przed powrotem dzieciarni ze szkoły.

– Moglibyście? Świetny pomysł. Ucieszy się. Tylko... – Mateusz się zawahał. – Renata jest bardzo słaba.

– Nie będziemy jej męczyć. Zawiozę jej coś do jedzenia, tam pewnie ohydztwo dają w tym szpitalu.

Mateusz uśmiechnął się blado

– No...

Daria spojrzała ze zdziwieniem.

– Renata wymiotuje na samo słowo „jedzenie”. Nawet wyobrażenie zapachu wywołuje u niej torsje. Aromatyczne, pachnące jedzenie... to nie najlepsze teraz dla niej. Kupiłem ostatnio perfumy. Jej ulubione. Musiałem zabrać butelkę ze szpitala, nie mogła na nią patrzeć. Nawet na szalik wieczorem narzekała.

– Na szalik?

– Ten czerwony. Robiła go dla Krzysia. To znaczy, teoretycznie

Krzyś robił. Potem wszyscy robili. Krysia, nawet Eryk machnął rządek. Któregoś dnia te ulubione perfumy Renaty rozlały się na szalik. I on pachnie, skądinąd jej ukochanym zapachem.

Mateusz usiadł. Odetchnął głęboko.

– Te perfumy się wtedy stłukły – kontynuował. – Chciałem jej zrobić przyjemność. Kupiliśmy z Erykiem nowy flakonik i zawieźliśmy do szpitala. Rzygała tak, że musiał interweniować lekarz. Więc, jeśli możesz, ogranicz zapachy.

Mateusz wyciągnął z teczki czerwony szalik. Trzymał go w ręku jak zużytego pampersa.

Daria wyciągnęła rękę.

– Daj, złożę i schowam w szafie. Ładny kolor. A pachnie – przyłożyła włóczkę do twarzy – przepięknie.

– Tak, kolor z daleka widoczny. Czerwony to ulubiony kolor Krzysia. To lecę do roboty.

– Mamo, chcę kakao – zawołała jedna z bliźniaczek.

– A ja chcę czekoladę – krzyknęła druga.

– Ja też – powiedziała Daria do Mateusza.

Maj

– Ciocia, mama to robi inne kanapki. Z majonezem – powiedział Krzyś.

– Tak, dużo majonezu daje – dodała Krysia.

– Bardzo dużo! – Krzyś podchwycił.

– Dzieciaki, przestańcie! – Daria powoli traciła cierpliwość. – Eryk, no daj przykład!

– Nie jesteśmy dzieciaki. – Dzieci się obraziły.

– Jak się tak zachowujecie, to jesteście. Do stołu, ale już! – komenderowała Daria.

Dzieci, lekko obrażone, wróciły do stołu. Wcześniej usiłowały udawać, że wciąż jedzą śniadanie, tylko chwilowo na dywanie w salonie.

– Ciocia robi jak ciocia. A kiedy wróci mama, to będzie po maminemu. Teraz próbujemy nowości.

– To my jemy teraz nowości? – Krzyś się zainteresował.

– Oczywiście, że nowości – z powagą odpowiedziała Daria.

– Głupi jesteś – prychnęła Krysia. Sięgnęła jednak po kanapkę i popiła owocową herbatą.

– Mamo, a dlaczego nie ma kakao? – wtrąciła się jedna z bliźniaczek.

– I czekolady? – dodała druga.

– A czy na kolację może być omlet? – zapytała Natalia.

– Omlet? – Krysia podchwyciła. – Omlety są fajne.
– A z czym chcielibyście omlety?
– Z dżemem i serem, mama tak robi.
– To może my zrobimy inne? Takie robi mama, kiedy wróci ze szpitala.
– Nie! Z serem i dżemem – zażądała Krysia.
– Truskawkowym – dodał Krzyś.
Eryk kiwnął głową.
– Dobrze, na kolację będą omlety, a teraz zbierajcie się. Późno już.
Eryk, po ciebie za chwilę przyjedzie Gabriel.
Chłopak kiwnął głową.
– Buty! Zakładajcie buty! – komenderowała Daria w przedpokoju.
– Krysia, gdzie twój drugi but?
– Ja nie wieeeem – zająknęła się dziewczynka. Daria westchnęła.
Krysia za chwilę się rozplacze – stwierdziła w duchu.
– Tu jest! – powiedział Eryk, przynosząc but. – Był pod stołem.
Dlaczego chowasz trampki pod stołem? – zapytał siostrę.
– Nie chowam pod stołem! – Krysia się zdenerwowała.
– Dobra, spokojnie! – Daria starała się opanować sytuację. –
Wszystko spakowane? Tornistry w dłoń, i ruszamy!
Do samochodu pierwsza wsiadała Natalia, za nią Krzyś i Matylda.
Krysia usiadła z przodu.
Nie powinnam ich tak wozić – pomyślała Daria.
– Najpierw Krysia, kochani. Krysia nie może spóźnić się do szkoły.
– Dziewczynka wyprostowała się na siedzeniu. – Dlatego najpierw wszyscy odprowadzimy Krysę do szkolnej szatni.
– A czy ja też kiedyś będę chodził do szkolnej szatni? – zapytał Krzyś.
– Będiesz kiedyś chodził do szkoły – sprostowała Natalia.
– A ja będę chodzić do szatni – odpowiedziała Matylda.
– Wszyscy będziecie chodzić do szkoły. – Daria zakończyła rozmowę.



Daria z bliźniaczkami i Krzysiem stała przed siatką ograniczającą szatnię.

– Jesteś głupia! – krzyknęła w pewnym momencie Krysia do jednej z koleżanek.

– A twoja mama jest łysa! – Odwdzięczyła się koleżanka i uciekła z szatni.

Krysia zacisnęła zęby, uniosła głowę i wolnym krokiem wyszła z szatni. Nawet nie spojrzała na Darię. Sama weszła na piętro, do klasy, wyjęła piórniki i książki. Nie odezwała się do nikogo.

Daria obserwowała dziewczynkę z daleka. *Bycie dzieckiem to ciężka życiowa przeprawa* – pomyślała.

– Teraz do przedszkola! – Odwróciła się do maluchów.

Kiedy już zamknęła drzwi przedszkola, westchnęła jak po ciężkim dniu pracy w kamieniołomach. Na parkingu spotkała Gabriela i Eryka.

– Eryk, spóźnisz się! – wykrzyknęła głośniejszym głosem niż zamierzała.

Dwoje przechodzących rodziców obejrzało się za nią.

– Trudno – odpowiedział spokojnie Gabriel. – Bardzo dobrze nam się rozmawia.

– Gabriel obiecał, że pokaże mi wielki elektryczny aerator.

– I dlatego zamierzasz się spóźnić do szkoły? – zapytała.

– Dzisiaj wjeżdżamy na teren wokół boiska – powiedział Gabriel, jakby jej nie słyszał.

– I będę mógł na nim pojeździć! – Eryk się ekscytował.

– Tylko nie chwal się kolegom, bo będzie kolejka. – Gabriel się zaśmiał.

– Musimy jutro inaczej podzielić dzieci. – Daria wtrąciła się do rozmowy. – Nie mogę wozić Krysi z przodu. Ty obsłużysz szkołę, ja przedszkole – wyciągnęła palec w stronę Gabriela.

– Dobrze, dobrze, moja piękna. – Gabriel objął Darię i pocałował ją w usta.

– Tata też tak często robi mamie – zauważył Eryk.

Daria wsiadła do samochodu z wrażeniem wewnętrznego ciepła. Przez chwilę zastanawiała się, czy wrócić do siebie, przypomniała sobie

jednak o stercie brudnych talerzy. Kilkanaście minut po niej przyjechał Gabriel. Kończyła układanie naczyń w zmywarce. Objął ją od tyłu, odgarnął włosy, całował szyję.

Zdejmowali z siebie ubrania na schodach, namiętnie kochali w łazience.

– Trochę mi głupio – powiedziała Daria, gdy leżeli na podłodze, na rozłożonym ręczniku. Lekko jeszcze zdyszani.

– Myślisz, że Renata miałaby coś przeciwko? – zapytał.

– Masz rację. – Uśmiechnęła się. – Pewnie nie. Ale jednak wolę uprawiać seks we własnej łazience.

– Zjedzmy coś i jedźmy.

– W sumie nie wiem, co jej zawieźć – powiedziała Daria, dopinając spodnie. – Jedzenia nie można. Kwiatów też nie.

– Może po prostu dobrej herbaty? W termosie? – podpowiedział Gabriel.

Daria uniosła palec. – Racja – powiedziała.



Renata ciągle leżała w pojedynczej sali.

– Jak tu duszno! – powiedziała Daria zaraz po przywitaniu. – Otworzę ci okno.

Renata leżała blada, po twarzy spływały jej strużki potu, który kroplił się też na skroniach. Podniosła lekko rękę. – Nie – powiedziała cicho. – Zimno mi.

Daria i Gabriel usiedli na twardych krzesłach.

– Dobrze was widzieć. – Renata uśmiechnęła się do przyjaciół. – Smutno mi tu trochę. Prawie zupełnie sama tu jestem. Tylko to. – Wskazała głową na stojak z kroplówką. I raz wpadła pani Henryka.

– Kto to jest? – zapytał Gabriel.

Renata się uśmiechnęła.

– To chyba najbardziej kolorowa warszawianka, jaką znam. Z wolską polszczyzną sprzed drugiej wojny. Nieprawdopodobna,

z sercem na dłoni, wykorzystywana przez rodzinę. Taki klimacik.

– Przywieźliśmy ci herbatę – powiedziała Daria, wyciągając termos.

– Chętnie. Tylko pomóż mi usiąść.

Gabriel podtrzymał Renatę, Daria podciągnęła poduszkę. Renata oparła się i chwyciła kubek z herbatą. Otuliła go dłońmi, jakby chciała je ogrzać.

– Pycha – mruknęła. – Tylko czemu taka gorzka?

– Przecież ty nie słodzisz? – Daria się zdziwiła.

– Nie słodzę od zawsze, a słodzę od chemii. Wszystko ma taki gorzki, metaliczny posmak. Poza tym rzygam jak kot – oznajmiła Renata. Zaśmiała się. Gorzko.

– To normalne po chemii. – Gabriel poczuł, że powinien coś powiedzieć.

– Rzygam od jedzenia, od zapachu i od myślenia o jedzeniu nawet.

– Minie chemia, będziesz jeść normalnie – powiedział pocieszająco Gabriel.

– Ja już chemii nie dostaję. Nie pomaga. Teraz dostaję jakieś nowe leki. Jestem króliczkiem. Eksperymentalne leczenie, tak to się nazywa. A wiecie, że takie leki to trzeba brać przez kilka miesięcy co najmniej? Rok? A nie wiem, czy mi będą je podawać. – Renata się rozkaszała. – Zobaczymy, jak to nowe leczenie ma się do mojego skorupiaka.

Upiła kilka małych łyków.

– Dość narzekania. Mówcie o dzieciach – zażądała chora.

– Rano dzieciaki chciały zbudować teatr, ale nie mieliśmy za bardzo czasu – zaczęła opowiadać Daria. – Mateusz śpieszył się do pracy, wyrobiłam się ze wszystkim, ale łatwo nie było. Musimy opracować z Gabrielem inne sposoby odwożenia dzieci do szkoły. Z piątką to jest dosyć trudno, wiesz? – Zagadywała Renatę. – Ale nic to, jeszcze tylko jutro i wraca twoja mama, podzielimy się obowiązkami. Bylebyś ty szybko wróciła, bo wiesz, wszyscy o ciebie pytają. Krzyś to szczególnie. Wieczorem muszę go długo głaskać, nie może spać dzieciak bez ciebie. Zasnąć nie może, bo śpi to dobrze. Ma potrzebę pogadania przed snem.

– Zawsze miał – powiedziała cicho Renata.

– Wczoraj mu czytałam bajkę, a potem długo pytał. A co on zrobił, a dlaczego, i tak w kółko. W końcu zapytał, tak słodko, a dlaczego mama nie wróciła jeszcze tu? Może przyjedziemy jutro z dziećmi? Chciałabyś?

– Pewnie. – Renata uśmiechnęła się słabo.

– Mateusz będzie pod wieczór u ciebie.

– Dobry ten mój Mateusz.

– No fakt, chłopca to sobie świetnego znalazłaś. – Daria mrugnęła.

– Co tu tak karetki szaleją? – Gabriel im przerwał.

– To szpital. – Daria prychnęła.

– W tym szpitalu karetki to raczej rzadko. – Renata się skrzywiła. –

Tu trafiają przewlekłe przypadki.

Gabriel podszedł do okna.

– Wypadek – powiedział.

Daria też wstała.

– Rozcinają auta... korek po horyzont... Kurczę, Daria, spóźnimy się po dzieci!

– Coś ty, dużo czasu jeszcze.

– Patrz, co się dzieje na ulicy!

– Pójdą do świetlicy – wtrąciła Renata. – Pokażcie.

Gabriel odwrócił się od okna, pomógł Renacie wstać.

Podprowadził ją do okna.

– Wiecie, spędzam w tym pomieszczeniu całe dnie, a przy oknie nie byłam od... od dawna. Tylko leżę. Od czasu do czasu pielęgniarka, rzadziej lekarz. Przyniosą mi czasem jakiś obrzydliwy bezzapachowy i bezsmakowy kleik, od którego wprawdzie nie rzygam, ale nie potrafię go przełknąć. Nie wiedziałam, że przejście kilku kroków do okna może być daleką wycieczką.

– Renata, musisz coś jeść. Jesteś... nawet nie jesteś chuda. Jesteś wychudzona.

– Daria, ja bym chciała jeść. – Renacie głowa zakołysała się jak na sprężynie. – Chudnę, choć już nie mam z czego, jest mi zimno, trzęsę się. Nie jestem w stanie ustać samodzielnie. Chciałabym zjeść coś pysznego. Aromatyczną pieczeń z indyka. Czekoladowy suflet. Świeżą bułkę z masłem. I już mi niedobrze.

– Suflet? – Daria się zdziwiła.

Renata wzruszyła ramionami.

– W życiu nie jadłam. Ale brzmi nieźle, prawda?

– Zmęczona jestem – dodała po chwili, gdy Gabriel pomógł jej usiąść na łóżku.

– Pojedziemy już – powiedział Gabriel. – Może uda się zdążyć po dzieciaki. Poza tym obiecałem Erykowi przejażdżkę na aeratorze. Pewnie moje chłopaki już kończą tam robotę, więc musimy się śpieszyć.

– Na czym? – Renata się zdziwiła.

– Na aeratorze – powtórzył Gabriel. – Wiesz, to takie urządzenie...

– Wiem. – Renata przerwała. – Ale dlaczego Eryk ma na nim jeździć?

– To tylko żart. Moja firma dzisiaj pracuje wokół boiska przy szkole, i Eryk chciał zobaczyć maszyny.

– Tylko nie pozwól mu na zbyt wiele. Żeby sobie palców nie uciął.

– W tonie Renaty zabrzmiała nuta hysterii.

– Oczywiście, nie denerwuj się – powiedział uspokajająco Gabriel.

– Dopilnuję tego.

– Idźcie już – powiedziała Renata i przymknęła oczy.

– Muszę jeszcze zajrzeć do lekarza – stwierdziła Daria już na korytarzu. Szli ramię w ramię wzdłuż korytarza. Wokół piszczało sztuczne życie. Kroplówki, elektrokardiograf, szum lamp. Korytarz był pusty, nie było słycać ludzi.

– Co się stało Renacie? – zapytał Gabriel. – Nie widziałem jej jeszcze tak rozdrażnionej.

– Ale tylko pod koniec, prawda? – Daria broniła przyjaciółki.

– Tak, pod koniec wizyty.

– Nie wiem. Może była zmęczona. Pewnie w jej stanie nawet rozmowa jest wysiłkiem.

– Pewnie tak – odparł Gabriel bez przekonania.

– Panie doktorze! – Daria podbiegła do lekarza, który wyszedł z jednej z sal. Lekarz odwrócił się do niej.

– Panie doktorze, chciałam zapytać, czy możemy jutro do pani Renaty, tej z ostatniej sali, przyprowadzić dzieci? Bo ona się łatwo męczy, i nie wiemy, czy jej to nie zaszkodzi...

– Dzieci? – Lekarz zawiesił wzrok na twarzy Darii. – Tak, proszę

pani. Proszę koniecznie przyprowadzić dzieci.

– Koniecznie? – Daria się zdziwiła, a lekarz już szedł dalej. Po chwili zatrzymał się jeszcze i dodał: – Dzieci na pewno dobrze wpłyną na samopoczucie pacjentki.



Gdy późnym popołudniem Mateusz wchodził do szpitala, szarzało. *Dni coraz dłuższe, jak się zrobi ciepło, to Renata będzie już w domu. Będziemy długo w noc siedzieć na tarasie. Przykryję ją kocem. Napijemy się wina. Albo ja się napiję. Czy ona będzie mogła pić wino? Nieważne. Będziemy razem siedzieć i patrzeć na zapadającą noc. Jak to dobrze, że już robi się cieplej* – myślał.

Renata spała. Zbudziła się, jak tylko Mateusz uchylił drzwi.

– Dzień dobry, kochanie – powiedział do żony.

Kiwnęła głową.

– Dzień dobry.

– Obudziłem cię?

– Bardzo lekko śpię. Byle hałas mnie budzi od razu. A wrzawa tu w tym szpitalu okropna, wiesz?

– Hałas? – Mateusz się zdziwił.

– Ciągle coś brzęczy, piszczy. Lekarze w chodakach. Głośno.

Wytrzymać się nie da.

– A zjadłaś coś? – Mateusz postanowił zmienić temat.

– Nie chce mi się.

– Popij chociaż.

– Daria przyniosła mi dziś herbatę. Gorzką. Ohyda.

Mateusz milczał.

– I lekko śpię. Wszystko mnie budzi – powtórzyła Renata. – Nie mogę się wyspać. Siadaj – dopowiedziała rozkazująco.

Mateusz usiadł na krześle.

– Siadaj na łóżku – rozkazała.

– Nie pozwala...

– Siadaj. – Przerwała mu.

Sama też usiadła, oparta o poduszki. Chwyciła go za rękę. –
Posłuchaj mnie uważnie.

– Zawsze cię...

– Nie przerywaj. Masz zatroszczyć się o dzieci.

– Renata...

– Nie przerywaj! – wykrzyknęła. – Masz zapewnić im opiekę. I nic
nie mów. A właściwie mów. Kochasz Joannę, prawda? Pokochałeś ją?

– Renata, przestań – powiedział stanowczo.

– Nie mityguj mnie, tylko odpowiedz.

– Kocham ciebie. Nic więcej nie mam do dodania.

– Nie piernicz. To oczywiste, ale mnie nie będzie. Niedługo.

– Przestań! – teraz on krzyknął.

– Co mam przestać? Chorować? Chętnie – powiedziała z ironią. –
Bardzo chętnie. Ale nie potrafię. I nikt nie potrafi mnie wyleczyć.
Umieram. Mateusz, zwyczajnie i po prostu umieram, chociaż bardzo
chciałabym żyć. Patrząc, jak się starzejesz. Widzieć w twoich oczach, że
podobam ci się pomimo zmarszczek. Użerać się codziennie z naszymi
dziećmi. Denerwować się na nie i przyglądać się, jak dorastają.
Obserwować Eryka, kiedy pisze. Kibicować mu. Pomóc Krysi
i Krzysiovi znaleźć ich pasję, czekać na wnuki. Tego wszystkiego bym
chciała.

Zamilkła. Mateusz płakał.

– Ale nie będę mogła – powiedziała spokojniej. – Nie będę mogła
i dlatego musisz znaleźć kogoś, kto zrobi to za mnie i będzie dobry dla
ciebie. Pokochałeś Joannę, więc ją zaprosz do swojego życia. Może
pokocha nasze dzieci, tak jak ciebie i jak my kochałyśmy się
w dzieciństwie.

Mateusz wysunął rękę z jej dłoni. Bez słowa zabrał marynarkę,
popatrzył żonie w oczy i wyszedł.



Wieczorem w gabinecie lekarskim oświetlonym ostrym jarzeniowym światłem lekarze dyskutowali o Renacie.

- Żadnej poprawy. – Westchnął jeden.
- Wręcz przeciwnie – dodał drugi.
- Leczenie nie przynosi skutków – powiedział najstarszy.
- Fiasko, panowie. Ponieśliśmy fiasko. Zostaje tylko paliatywne.
- I czekanie na cud – dodał ordynator. – Odstawiamy eksperymentalne leczenie, zostawiamy tylko paliatywne.
- Dzisiaj mnie zapytano, czy do tej pacjentki mogą przyjść dzieci. Pozostali lekarze pokiwali tylko głowami.



– Zanim tata przyjedzie, lekcje mają być zrobione! – Daria pogroziła palcem. Nikomu konkretnemu, tak w powietrze. Mówiła do wszystkich.

- Ja nic nie mam – powiedział Krzyś.
- Ty to nigdy nic nie masz! – Krysia się skrzywiła. – Ciociu, to niesprawiedliwie, on nic nie ma zadane!
- Ty nie miałeś w ubiegłym roku. Teraz też nie masz dużo. – Daria wyciągnęła książki i zeszyty z plecaka Krysi. – Tylko dwa zadania i czytanekę.
- To jest dużo ciociu! Długa czytanko!
- Szybko zrobimy. – Daria uspokajała małą. – A Eryk? – Zerknęła na chłopaka.
- Ja mam w cho... – Zawahał się. – Dużo mam. Idę na górę.
- Zejdź na kolację. Zawołam.
- Kiwnął głową. Daria usiadła przy stole obok Krysi. Krzyś rysował na końcu stołu.
- Opowiedz, jak to było – powiedziała spokojnie Daria. Mała zacisnęła wargi i pokręciła głową.
- Dokuczała ci?
- Mała kiwnęła głową.

– Kochanie, lepiej pójść do pani.
– Nie będę skarżyć. – Krysia nie patrzyła na Darię.
– Lepiej poskarżyć, poprosić dorosłego o pomoc. Na pewno lepiej niż bić i drapać.

– Zabrała mi plastelinę.
– I dlatego ją podrapałaś?
– I podarłam jej sukienkę – dodała.
– Co zrobiłaś?

Krysia spojrzała wreszcie na Darię. Odsunęła sweterek. Daria zobaczyła oderwany rękaw sukienki.

– Koleżanka się odwdzięczyła? – Domyśliła się. Dziewczynka pokręciła głową.

– Ja się odwdzięczyłam.

Krysia otworzyła książkę i wyciągnęła ołówek.

Daria westchnęła. Gabriel wziął bliźniaczki na spacer, była chwila spokoju przed kolacją.

– Ciociu, naprawisz? – zapytała Krysia, zerkając na Darię z ukosa.

– Może jutro – odpowiedziała.

– Dzisiaj. – Krysia się upierała.

– Jeszcze dużo pracy przede mną. Nie zdążę. – Daria już szykowała kolację.

– Dzisiaj – powtórzyła Krysia.

– Dlaczego? – Daria podeszła do stołu.

– Bo jutro do mamusi chcę w niej pojechać. To moja najfajniejsza sukienka.

Daria pogłaskała małą po głowie.

– Naprawię – powiedziała.



– Miłosz, nie marudź! – Anna była już poirytowana.
– Lepiej kup mu jakiś aviomarin. Albo coś tam. Nie narzekaj na dzieciaka – powiedziała Krystyna. – Prowadzisz za szybko, dlatego mu

niedobrze.

– Coś tam! Mamo, kup mi coś tam! – zażądał Miłosz.

– Mamo, ja prowadzę za szybko? Jedziemy godzinę, a oddaliśmy się od domu o sześćdziesiąt kilometrów! I on nigdy nie potrzebował aviomarinu.

– Takie sprawy się zmieniają – odparła Krystyna. – On jest zielony.

Anna posłusznie zatrzymała się przy przydrożnej Biedronce.

Parking był niemal pusty. Cherlawe drzewko na drugim końcu wyasfaltowanej powierzchni wypuściło tylko kilka listków.

Nie bardzo to zachęcająca okolica – pomyślała Krystyna.

Anna weszła do apteki stojącej z boku sklepu. Krystyna z Miłoszem podeszli do krawężnika. *Niech dziecko pooddycha świeżym powietrzem* – pomyślała babka.

Na skraju parkingu stały wielkie pojemniki na segregowane odpady. Były zaniedbane, nieopróżniane od dawna. Śmieci wysypywały się z nich, wiele toreb stało bezładnie wokół. Zajmowały prawie dwa miejsca parkingowe. Krystyna podeszła do marnej trawy rosnącej wokół krawężnika.

Dziurawiec, kto by pomyślał. Kucnęła przy kilku niewielkich krzewinkach. Puściła rękę malca.

Miłosz odwrócił się w stronę pojemników. Torby były kolorowe. Niektóre z napisami, inne gładkie, tworzyły kolorowy patchwork. Miłosz podszedł, kopnął jedną. W głębi stał czarny worek z czerwonym napisem. Zainteresował chłopca. Wszedł między śmieci i wyciągnął dwustulitrową siatkę. Położył równo na asfalcie i wskoczył na wór. Nic się nie stało. Krystyna, zajęta dziurawcem, nic nie usłyszała. Miłosz wskoczył kolejny raz. I kolejny.

– Patrz babciu, jak fajnie! – zawołał.

Krystyna odwróciła głowę, podniosła się z kucek, równocześnie rozpoczynając zdanie:

– Miłosz, nie wolno!

W tej samej chwili torba pękła, a na Miłosza chlusnął zepsuty jogurt. Po spodniach chłopca spływały białe gluty, na bluzie kwitło trochę zielonej pleśni.

Mały nawet nie krzyknął. Z zainteresowaniem patrzył na

spływające po jego ubraniu wydzielinę.

Krzyknęła dopiero Anna, zaraz po wyjściu z apteki. Odwróciła się na pięcie i weszła do sklepu, wychodząc po chwili z czterema butelkami niegazowanej wody.

– Zamyśliłam się – powiedziała Krystyna do córki.

– Nawet dzieciaka nie umiesz przypilnować! – krzyknęła Anna. – Na chwilę was zostawić nie można!

Nakręcała się, jakby puściła w niej jakaś tama. Krystyna słuchała w spokoju, nawet nie próbowała przerywać córce.

– Wykrzycz się – powiedziała właściwie do siebie.

W końcu Anna usiadła na krawężniku. Do rozsypanych śmieci zdążyły już przylecieć muchy, mnóstwo ich włąziło pod rozerwaną folię.

– Głośno bzyczą – powiedziała Anna.

– Co? – zapytała Krystyna.

– Muchy. Wlatują tam i brzęczą. Ciekawe, jak to jest, że tak szybko dowiedziały się o wyzerce. Wolę nie wiedzieć, co tam jest.

Przez chwilę obydwie patrzyły na rozerwane opakowanie. Miłosz usiadł pomiędzy nimi.

– Nie dotknij mnie tylko tymi plamami. – Anna się zreflektowała. – Trzeba cię umyć.

Mały poddał się zabiegom matki bez słowa. Chował ręce za siebie, w końcu Anna zapytała:

– Masz tam coś?

Chłopiec pokręcił głową.

– Daj ręce, trzeba też umyć.

Chłopiec znów pokręcił głową.

Anna stanęła przed nim ze srogą miną. Chłopiec w końcu wyciągnął ręce, miał w nich połamane zabawki. Zieloną żabkę bez jednej łapy i czerwony samochód z jedną osią.

– No przecież śmieci nie będziesz do samochodu wnosił! – Anna się zdenerwowała.

Mały wygiął usta w podkówkę.

– Zostaw dzieciaka. – Krystyna się wtrąciła. – Chodź, Miłoszku, na spacer pójdziemy.

Anna usiadła na krawężniku i spoglądała na przejeżdżające

samochody. *Wszyscy mają swój cel – myślała. – Jadą, robią coś. Gdzieś po coś. Tylko ja. Jadę, bo każą. Robię, bo muszę. Kocham, chociaż nie powinnam. Kocham, bo chcę. Do dupy z takim życiem.*

– Uzgodniliśmy, że kupimy nowe zabawki. Te stare Miłoszek wyrzucił. – Krystyna po jakimś czasie przerwała jej rozmyślenia. Usiadła obok córki. Miłosz odszedł, tym razem wszedł na trawę.

– Ciągle bym tylko płakała i płakała.

– Tak to jest z tymi chłopami – stwierdziła sentencjonalnie starsza pani.

– Mamo, rozsypuję się. A nie mogę. Mam Miłosza. Miałam mieć dużo dzieci, mam tylko jego. Muszę o niego dbać, kochać go. A nie mam siły.

– Córuś, ty się nie zacinaj. Miłosz to dziecko, a dzieci idą z domu. Wychodzą, tak po prostu. – Wzruszyła ramionami. – Wtedy to się dopiero człowiek rozsypuje. Ciężko jest sprawy poukładać, ciężko. Uwierz mi. – Zaśmiała się. – Ty jesteś jeszcze młoda, dasz radę. Znajdziesz kogoś, będzie dobrze.

– Banały prawisz, mamuś. – Odwdzięczyła się zdrobieniem, jakiego nie stosowała od dzieciństwa.

– Prawdę mówię.

– Prawdę, prawdę. Idę kupić mokre chusteczki. Mogą się jeszcze przydać. – Obejrzała się na małego.

– Anna – powiedziała Krystyna, ni to pytająco, ni stwierdzająco.

– Mhm?

– Nie możesz się teraz rozsypać. Teraz musimy być zwarte, przynajmniej u Renaty.

– Tak, mamo – odpowiedziała młoda kobieta, kierując się ponownie w stronę sklepu.

Krystyna wyjęła z samochodu termos i kanapki. Mały usiadł koło babci i popijał ciepły napój. Anna stanęła nad matką.

– Zastanawiałaś się, jak to będzie?

– Co jak będzie? – nieuważnie odpowiedziała Krystyna. Karmiła małego bułką.

– Z Renatą. Przecież czeka ją długa droga. Miesiące, może rok leczenia. Co w tym czasie? Z dziećmi, z domem? Mateusz musi

pracować. Reszty zawsze pilnowała Renata. A teraz?

– Będzie trzeba im pomóc.

– Czyli będziesz u Renaty. Zostanę sama – stwierdziła chłodno młoda kobieta.

– Córeczko... – Krystyna podniosła wreszcie głowę.

– Mamo, ja się nie denerwuję ani nie złościę. Ja to rozumiem.

I traktuję jako... jako... Sama nie wiem. Jako jeszcze jeden dopust boży.

Robert, kłopoty w pracy, teraz Renata i jeszcze zostanę sama.

Zastanawiam się, co takiego zrobiłam? Los mnie chce ukarać czy co?

Może w poprzednim życiu zawiniłam.

– Nie ma poprzedniego życia – odparła odruchowo Krystyna. – Co ty wygadujesz, dziecko? Nie możesz tak myśleć.

– Nie mogę. – Wzruszyła ramionami Anna. – Samo się myśli.

– Zjedz kanapkę.

– Leczenie poprzez jedzenie. Kanapka nie pomoże, mamo. Nawet rosół nie pomoże na wszystkie kłopoty. Tata sobie sam poradzi w domu?

– Co ma nie poradzić. Dzieckiem nie jest. Nie chciał jechać, niech siedzi.

– Mnie się wydaje, że tata nie wytrzyma.

– Czego to on niby nie wytrzyma? – Krystyna powiedziała to ze złością.

– Napięcia. Przeraza go szpital, przerasta choroba... Jak wszystkich chyba.

– Jego matka, jak zapewne pamiętasz, umarła na raka.

– Nie pamiętam babci.

– Nie było wtedy lekarstw, nikt nie wiedział, jak się to świństwo leczy. Zgasła w trzy miesiące. Był przy niej cały czas, czasem budzi się w nocy z krzykiem. Woła ją. Udaję wtedy, że nie widzę jego mokrej twarzy.

– I to jest powód, żeby zostawić córkę w chorobie?

– Nie zostawia jej. Obwinia się.

– Obwinia?

– Za geny. Uważa, że to on dał Renacie to coś, co wcześniej zabiło jego matkę.

Milczały. Mały dokończył bułkę i znów pobiegł się bawić.

– Tylko nie w stronę śmieci. – Anna go pouczyła.
Obserwowały, jak kucnął przy jakimś krzaczku.
– Nie wiedziałam o raku babci. – Anna przerwała milczenie. –
Nigdy mi o nim nie mówiłaś. Znałam wersję ze słabym sercem.
– Nie mówiłam? – Udała Krystyna, cały czas stojąc tyłem do córki
i obserwując wnuka. Po chwili jednak postanowiła się usprawiedliwić: –
Ojciec sobie nie życzył.
– Mamo, nie odjechałyśmy daleko, może po niego wrócimy?
Krystyna spojrzała na córkę ze zdumieniem.
– A wiesz co... Może i tak – powiedziała.
– Miłosz, wsiadamy! – zawołała Anna. Mały cały czas kucał nad
krzaczkiem. – Co robisz, synku? – Anna podeszła i kucnęła obok niego.
– Mamo, dżdżownice gryzą?
Anna pokręciła głową.
– Dżdżownice nie gryzą i są bardzo pożyteczne. Nie dokuczaj im.
– Nie dokuczam, tylko oglądam – powiedział chłopiec. – Mogę to
zabrać? – Wskazał na kij, który trzymał w rączce. Grzebał nim w trawie.
– To brudne, wyrzucić – powiedziała matka.
Mały popatrzył prosząco.
– A zresztą. – Anna machnęła ręką.



– Tato! Szykuj się! Jedziesz z nami!
– Wróciłyśmy po ciebie! – dodała Krystyna.
Zenon oglądał powtórkę meczu.
– Co wy tam! Ciszej! – odkrzyknął.
– Przecież widziałeś go już, to tylko powtórka – powiedziała
Krystyna, wchodząc do pokoju.
– Dobrze dwa gole tu są. Nie przeszkadzaj – odpowiedział, nie
patrzając na żonę.
– Pakujemy cię i jedziemy.
– A jedźcie, jedźcie. Już miałyście dawno wyjechać –

odpowiedział.

– Miłosz, popij tabletkę ciepłą wodą – powiedziała Anna w kuchni.

– Wolę zimną. – Upierał się.

– Nie marudź. Masz ciepłą. Mamo, pomoc ci? – krzyknęła w stronę sypialni rodziców.

– Na kilka dni to jeszcze potrafię ojca spakować! – odkrzyknęła Krystyna.

– Ale dlaczego niby? – Ojciec pojawił się w korytarzu. – Ja chciałem tu sam sobie odpocząć.

– Nie ma odpoczywania. Jedziemy! Wszyscy to wszyscy.

Rodzinka w komplecie – powiedziała Anna, przekrzywiając głowę.

– Dobra, dobra, zbieram się.

– Anna, a jakie ty masz problemy w pracy? – krzyknęła Krystyna.

– Słucham?

– No mówiłaś, że masz!

– Nie krzycz, mamo – powiedziała Anna, stając na progu sypialni.

– Mają zamknąć moją komórkę. Reorganizacja – dodała, krzywiąc się.

– Może do innej cię wezmą?

– Może. Nie wiem. Mieszka się tam wszystko, ja już nie nadążam.

Nikom nie powiedziałam, że Robert mnie zostawił, ale i tak wszyscy wiedzą. Nienawidzę tych litościwych spojrzeń, współczujących i ironicznym jednocześnie. Tych pokątnych uśmiezków... Nienawidzę.

– Co to za problemy masz mieć? – zapytał ojciec. Usłyszał tylko pierwsze pytanie Krystyny. – Dziwną masz minę – dodał jeszcze.

Anna rozluźniła pięści. *Nawet nie czułam, że je zaciskam* – pomyślała.

– Nic, tato, takie tam. Nic szczególnego.

– W sumie to się nawet cieszę, że wróciłyście – powiedział ojciec, pomagając Krystynie dopiąć torbę. – Samemu to byłoby mi nudno.



Mateusz już poprzedniego dnia poinformował w pracy kogo trzeba,

że będzie później. Przyjechał do Renaty zaraz po odwiezieniu dzieci do szkoły.

– Może okno otworzę? – zapytał.

Renata kiwnęła głową.

– Duszno. Chociaż zimno cały czas.

– Ciepło zaczyna się robić, może będzie lepiej, jak trochę słońca wpadnie przez okno – powiedział.

Kiwnęła głową jeszcze raz.

Mateusz starannie, z każdej strony, otulił żonę kołdrą.

– Po południu przyjadą dzieci. Krysia wczoraj godzinę stała przed lustrem. Wybierała kreację na wizytę u mamy – opowiadał. Renata się uśmiechała.

Do szpitalnej sali zamiast ciepła i słońca wpadł uliczny hałas.

– Dzieci tęsknią za tobą.

– I ja za nimi. Chciałabym już stąd wyjść.

Z gwałtownym stuknięciem drzwi weszła pielęgniarka.

– I jak się dzisiaj czujemy? Co tam? – trajkotała, nie patrząc na Renatę. – Ręka coś tutaj zsiniała. Muszę się wkluć w drugą. Tu też ciężko. – Skrzywiona popatrzyła na zgięcie łokcia Renaty.

Ślady kolejnych wkłuć rozlewały się po rękach Renaty jak kolorowe kwiaty. Żółte i fioletowe kielichy, zielone liście, sine, podgniłe łodygi.

– Tu chyba będzie najlepiej – powiedziała bardziej do siebie pielęgniarka. – Właściwie to dlaczego pani ten wenflon wyjęli? – zapytała.

– Puchła mi ręka – odpowiedziała Renata.

Pielęgniarka sprawnie się wkluła, pobrała krew.

– Jeszcze ciśnienie... – znów mówiła nie wiadomo do kogo. –

W normie jest. I temperatura... – Wszystkie wyniki zapisywała w karcie.

– To teraz czekamy na wyniki krwi i przyjdzie lekarz.

– A czy ja mogę pójść do lekarza? – zapytał Mateusz.

– Ma teraz godziny przyjęć pacjentów, ale może jest na oddziale.

Pan pójdzie sprawdzić, może się uda.

– Niech pani zamknie jeszcze okno, proszę – powiedziała Renata już po wyjściu Mateusza. – Hałas mi przeszkadza.



Mateusz przeszedł szpitalnym korytarzem. Wokół panowała cisza. A raczej nie cisza, tylko znany mu już dobrze szpitalny szmer, który po pewnym czasie stawał się niesłyszalny. Zauważył lekarza przez przeszklone okienko w drzwiach, rozmawiał z pacjentem w jednej z sal. Czekał na niego w korytarzu, piszcząc podszewkami przy każdym kroku.

– Ochraniajcie pan założy. – Przechodząca salowa pouczyła Mateusza.

– Tak, oczywiście – odpowiedział, kontynuując spacer wzdłuż korytarza. *Nie ruszę się stąd, dopóki nie porozmawiam z lekarzem* – pomyślał.

Czekał prawie dziesięć minut. Lekarz zawahał się w drzwiach. Kiwnął Mateuszowi głową na powitanie i od razu wskazał na drzwi do małej salki, w której rozmawiali już kilka razy.

Nic się w niej nie zmieniło. Była tak samo smutna jak zawsze, tylko słońce teraz było wyżej. Bardziej wiosenne, świeciło mocniej. W jego promieniach wirowały drobiny kurzu. W tej dziwnej szpitalnej ciszy brzęczała mucha.

Jak głośno – pomyślał Mateusz.

– Wczoraj wieczorem podjęliśmy decyzję o wyłączeniu eksperymentalnej terapii. Nie pomaga pana żonie. Być może została podana za późno, być może w ogóle nie jest dla niej właściwa... Nie wiemy.

Mateusz głośno przełknął ślinę. Mucha na chwilę zamilkła. Po chwili zaczęła tłuc się o szybę. Mateusz wstał i przycisnął ją palcem do szyby. Popatrzył ze wstrętem na swój palec, wytarł go o spodnie.

– Skupiamy się w tej chwili na leczeniu paliatywnym – odezwał się znów lekarz.

– Na czym? – Mateusz usiadł ponownie.

– Czy jesteście państwo wierzący?

– Słucham? – Mateusz zamrugał kilkakrotnie. – Tak, jesteśmy.

– To może dobrze byłoby, gdyby pana małżonkę odwiedził kapłan. *Małżonkę. Cóż za oficjalne słowo* – pomyślał Mateusz.

– Przecież moja żona nie umiera – odpowiedział Mateusz, kręcąc głową. Uśmiechał się. Nie potrafił powstrzymać uśmiešku.

– Nie o to chodzi – odpowiedział lekarz. – Kapelan może przynieść otuchę, poprawić samopoczucie. To jest teraz bardzo ważne dla pana żony.

– Panie doktorze, a jak ją przekonać, żeby coś jadła? Jest chuda jak patyk.

– Tak, ma kacheksję.

– Co ma?

– Przepraszam. To medyczny termin. Chodzi o to, że nie przyjmuje pokarmów, jest niedożywiona. Możecie państwo przynosić jej do jedzenia, co tylko zechce. Z tego, co wiem, szpitalnego jedzenia nie chce nawet widzieć.

– Panie doktorze, a co dalej z leczeniem?

– Stosujemy leczenie paliatywne.

– To już pan mówił. – Mateusz zamilkł. – Palia...

– Tak – odpowiedział lekarz.

– To znaczy...

– Tak? – powtórzył lekarz.

– Ile? – zapytał Mateusz. Wciąż nie mógł przestać się uśmiechać.

– Trzeba modlić się o cud.

Mateusz wyszedł z gabinetu i usiadł na twardym krześle ze sklejki. Stało w korytarzu w rzędzie innych, obok automatu. Każde z krzeseł było uszkodzone. Sklejka pokruszona na brzegach, pooblupywana niecierpliwymi palcami pacjentów. Albo ich rodzin. Rzadko siadały na nich kobiety w cienkich rajstopach, widok głębokich dziur skutecznie je odstraszał. W kilku krzesłach urwała się śruba mocująca oparcie, zwisały jak strzęp materiału w niemodnej sukience. Większość miała obtłuczone nogi, spod szarej farby prześwitywał goły metal.

Mateusz kontemplował uważnie pomieszczenie. Nie potrafił skupić się na niczym innym.

Linoleum nachodzi na ściany, niby zgodnie ze standardami, ale od tej ściany odłazi – myślał. – *Czy ktoś w ogóle o to dba? Ładny niebieski*

kolor. W kropki. Zdał sobie sprawę z absurdu. – Myślę o konserwacji korytarza. Dlaczego o tym myślę?

Korytarz był jasny. Nie miał okien, za to mnóstwo jarzeniówek w rastrach. Żarówki mruczały cicho.

Gdzieś trzasnęły drzwi. Korytarzem przeszło dwóch studentów. Mówili cicho, śmiali się. Lekarz wyszedł z gabinetu, stanął na chwilę przed Mateuszem i powiedział:

– Proszę wracać do żony. – Po czym poszedł do innych chorych.

Mateusz chciał iść od razu, ale nogi nie chciały go słuchać. Siedział i patrzył bezmyślnie. Mucha przeleciała blisko, bardzo blisko jego ucha.

Znowu mucha? – pomyślał i potarł palcem spodnie na wspomnienie tej poprzedniej, machinalnie zabitej na szybie. Wstrząsnął nim dreszcz.

Co ja wyprawiam? – pomyślał. Wstał, jakby obudzony z letargu, zrobił pierwszy krok. Czuł się tak, jakby to był pierwszy krok w jego życiu. Jakby czymś nowym był fakt, że może wyprostować nogę, zgiąć, przesunąć. Minął jedne drzwi, potem kolejne. Uśmiech wypełził na jego twarz, nieświadomy, przyklejony, nie do zdarcia.

Gdy doszedł do sali, Renata się obudziła. Słońce rozświetlało wnętrze, jakby ktoś ustawił reflektory. Radośnie podświetlało kropkowane linoleum, metalową ramę łóżka i obitą szafkę.

– Przespałam się – odpowiedziała ochryple Renata.

– To dobrze – powiedział Mateusz, wciąż uśmiechnięty. – Dzisiaj przyjeżdża mama i przywiezie niespodziankę. Swoją drogą, strasznie mi marudzi, że nie prowadzam dzieci do kościoła.

– A nie prowadzasz?

– Ostatnio razem byliśmy na mszy.

– To było trzy tygodnie temu.

– A... widzisz. – Mateusz się zafrasował. – Uleciało jakoś. Tobie też potem się nie chciało.

– Nie zwalaj na mnie. – Renata pogroziła mu palcem. – Ja nie miałam siły.

– Dobry wykręt. – Mateusz pocałował żonę w policzek.

– Ale wiesz, poszłabym do kościoła...

– E tam. – Machnął ręką. – Chyba że... A może poproszę

szpitalnego kapelana? Żeby przyszedł do ciebie?

– A jest taki?

– Nie wiem, zapytam. Ale to za chwilę. Najpierw – herbatka.

Z miodem! Specjalnie dla mojej królowej, najlepszy miód lawendowy!

– Skąd ty go wytrzasnąłeś?

– Ze sklepu, oczywiście.

– Dobrze. – Renata siorbnęła.

– No bo z serca. Pójdę sprawdzić, co z tym kapelanem.

Pielęgniarka wskazała Mateuszowi kierunek.

– Ksiądz jest do jedenastej, niech pan się pośpieszy – powiedziała.

Mateusz zastał duchownego w szpitalnej kaplicy. Czytał brewiarz.

– Ostatnie namaszczenie? – zapytał po wysłuchaniu Mateusza.

– Nie... raczej pociecha. – Mateusz się zająknął.

– Czy to chora sobie życzy?

– Tak. Nie tylko. Lekarz też proponował.

Ksiądz kiwnął głową.

– Wezmę jednak oleje święte.

Z kaplicy na oddział Renaty było niedaleko. Mateusz wyszedł, gdy ksiądz namaszczał Rentę. Stał przy telefonicznym oknie oparty o parapet i starał się nie myśleć.

– Przyjdę jeszcze po południu – powiedział ksiądz, zamykając za sobą drzwi. – Takie jest życzenie chorej.

Mateusz wszedł do sali. Renata siedziała na łóżku.

– Prześpię się – powiedziała do Mateusza. – Dobrze mi to zrobiło.

Ksiądz przyniósł trochę pogody ducha.

– Dobrze – odpowiedział Mateusz. – Wrócę pod wieczór.

Muszę włączyć tryb niemyślenia – stwierdził, jadąc do pracy.



Było już późne popołudnie, gdy do szpitala przyjechała Krystyna z Anną i Miłozsem. Weszli do sali akurat w momencie, w którym kapelan po raz drugi odwiedzał Renatę.

Miłosz krzyknął z radości na widok ciotki.

– Miałaś mnie wziąć, ciociu! Miałaś mnie wziąć na Wielkanoc, i co? I co, ciociu? A dlaczego ty nie masz włosów?

Dzieciak ledwie zauważył obecność innej osoby. Krystyna jednak zamarła na widok sutanny. Westchnęła głęboko. Anna zatrzymała się w drzwiach, ale szybko skupiła uwagę na dziecku.

– Miłoszku, nie skacz po cioci, nie można tak.

Miłosz przytulił się do Renaty.

– Można, przecież się stęskniliśmy – powiedziała Renata.

– Pójdę już – powiedział ciepło ksiądz. – Pobądźcie razem.

– Dziwnie pachniesz, ciociu. Zagraj ze mną – zażądał mały, wyciągając z siatki „Bitwę morską”.

– Miłosz, ciocia nie ma siły grać, musi odpoczywać, żeby szybko wyzdrowieć.

– Mam siłę, mam. – Renata zareagowała. – Tyle to jeszcze mam.

Mały rozłożył planszę na kołdrze. Anna przyniosła matce krzesło, sama usiadła obok twarzy siostry.

– Anna, czym pachniesz? – zapytała po chwili Renata.

– Tym, co zawsze. – Młodsza siostra wzruszyła ramionami.

– Nie znoszę teraz żadnych zapachów. Otwórz okno, proszę.

– Usiądę dalej – powiedziała Anna, wstając i otwierając okno. – Przepraszam – dopowiedziała jeszcze, odsuwając krzesło.

Renata się rozkaszała.

– Pójdźcie coś zjeść może. Z drogi chyba jesteście prosto.

– Poczekamy na ojca. Parkuje – powiedziała Krystyna.

– Bo ja nie potrafiłam – dodała Anna z przekąsem. – Całą drogę mogłam prowadzić, ale zaparkować nie potrafię.

– Ciocia, a kiedy ty będziesz miała znowu włosy? Brzydko tak wyglądasz.

– Odrosną niedługo.

– A po co je tak krótko obcięłaś? Mama jak usłyszała od babci, że się na całkiem łyso obcięłaś, to się popłakała.

– Ze śmiechu może, że takie głupie pomysły mam.

– Ej, nie chyba. Mama to często płacze ostatnio – powiedział Miłosz, przesuwając pionek.

– A po co mama płacze? – zapytała Renata, spoglądając na siostrę.
– Nie wiem. Tak sobie. Ale ostatnio to prawie codziennie.
– A ty? Wesoły jesteś? – Renata wyjęła małemu kostkę z rączki.
– No... trochę tęsknię, ale trochę tylko. Bo tata to się denerwuje szybko i czasem to nawet nie wiem, o co się denerwuje.

– Ale na ciebie się denerwuje? Przecież ty grzeczny chłopczyk jesteś.

– Na mnie też, ale na wszystko, tak w ogóle. Kiedyś to się na mecz zdenerwowałam. I nawet stłukłam miskę, szklaną taką. Aż się obudziłam wtedy. I jak go nie ma, to nie bije też. Nie lubię, jak tata bije.

– Tata cię bił?

– No, ale już nie, bo się wyprowadził – powiedział mały, przesuając pionek o jedno pole za daleko. – Uważaj, ciocia, twój ruch.

– Chodź, Miłoszku, siusiu jeszcze nie robiłeś po powrocie. – Anna postanowiła się wtrącić. – I ja pójdę, trochę się opłuczę z tych perfum. Chciałam się odstawić na spotkanie siostry.

Renata się uśmiechnęła.

– Przepraszam. To te leki. Wszystko jest teraz dla mnie za mocne, nawet własnych perfum nie znoszę.

– Wiedziałaś? – zapytała Renata Krystynę zaraz po wyjściu Anny i małego.

Matka wzruszyła ramionami.

– Co tu wiedzieć. Przecież ty też wiedziałaś.

– Ale nie o tym! Robert bił małego? Na co Anka tak długo czekała? Niech rozwodzi się w te pędy.

– Rozwodzi, rozwodzi... To tak łatwo powiedzieć – mruknęła Krystyna.

– Mamo! – Renata usiadła na łóżku.

– Młoda jesteś dziecko, i mało wiedziałaś.

– Jasne. W życiu nie widziałam, żeby ojciec moich dzieci je bił.

– Za mojej młodości to mawiano, że przez tylek mądrości też trzeba uczyć.

– Ciśnienie mi podnosisz, mamo.

– O, jesteś! – Krystyna odwróciła się w stronę drzwi. Ojciec wszedł z bukietem kwiatów.

– Tato! – wykrzyknęła Renata, krzywiąc się.
– To dlatego tak długo to trwało – skwitowała Krystyna.
– Córeczko, chorym do szpitala kwiaty albo rosół. To dla ciebie.
– Dziękuję...
– Nawet słoik załatwiłem.
– Jakbyś mógł, tato, tam, pod ścianą.
– Nie chcesz ich bliżej, córeczko?
– Może później, tato... Wiesz, Miłosz może słoik przewrócić.
– To kiedy wychodzisz? – zapytał, siadając na krześle.
– To chyba trudne pytanie, tato. Kiedy mnie wypuszczą.
– Już ja z nimi porozmawiam. Przyjechałem do ciebie, to co będziesz w szpitalu gnić. Do domu jak najszybciej!

Renata uśmiechnęła się.
– Pewnie prędko stąd wyjdę, tato.
– To i dobrze. O, jest i wnusio – powiedział, gdy Miłosz wpadł do sali. Za nim weszła Anna.
– Ciocia, a to, co tu masz?
– Zapomniałam wyjąć. – Renata machnęła ręką. – Szalik. Szalik dla Krzysia. Robiłam go w szpitalu, nie wyjęłam z torby, chociaż już skończony. Muszę mu go oddać.
– A dzisiaj pojedziesz do domu, ciocia?
– Dzisiaj to jeszcze nie... Ale niedługo.
– Miłoszku, pójdziemy po coś do picia – powiedziała Krystyna. – Ty też. – Wydała polecenie mężowi.
– Mały za dużo powiedział? – Renata spojrzała wymownie na siostrę.
Anna stała przy oknie, ręce założyła na piersi. Przygryzała wargę.
– Czy on cię bił?
Anna gwałtownie podniosła głowę.
– Mama nawet nie wie. Nigdy jej nie mówiłam. A i od Miłosza nic nie wyciągnęła, bo ona z nim raczej ciučka, niż rozmawia. A Robert... – Opuściła ręce. – To, że Robert ma romans z wódką, to wszyscy wiedzą, mama też. Ale... Długo nosiłam bluzki z długim rękawem i spódnice do kostek, wiesz, taki styl, lekko cygański niby. Ale jak już zaczął na małego ręce podnosić, to wywaliłam.

– Wróci pewnie...

– A wróci, wróci. Skruszony, jak mu kasy zabraknie. – Głos Anny był pełen złości. – A wiesz, co jest najgorsze? Takie naj, naj?

Renata milczała.

– Że tęsknię za nim jak wariatka. Jak ostatnia głupia. Mówię do niego w łazience i szukam w nocy w łóżku.

– Może przestanie, kocha przecież – i ciebie, i małego...

– Nie wierzę już. – Anna przerwała siostrze. – Próbowałam już chyba wszystkiego. Wiesz, jak trudno było to ukrywać przed matką? Coś tam pewnie zwąchała, ale nie chciałam jej martwić, byłam dzielna i silna. I nic z tego. Koniec.

– Nic mi mama nie mówiła. To ja jej powiedziałam ostatnio...

– To nie znaczy, że nie wiedziała. Zresztą, to bez znaczenia. Już wie.

– Każdy ma swój garb – powiedziała cicho Renata. – U mnie z Mateuszem super, tylko ja w szpitalu zamiast w domu. A on z dziećmiakami, pracą, domem jest sam.

– Nie sądzę, żeby to był jego największy kłopot. On się martwi o ciebie, i tylko o ciebie. Jak wariat cię kocha. Zazdrościłam ci zawsze tej miłości.

– Zazdrościłaś? Przecież faceci za tobą jak muchy ganiali.

– Ganiali. – Anna wzruszyła ramionami. – Ale żaden nie był tak wpatrzony jak Mateusz w ciebie. Za Roberta wyszłam ze złości.

– Ze złości?

– Że ty już wszystko masz. Że jesteś dorosła, wszystko możesz i wszystko ci wolno. A ja ciągle u mamuni. Robert przynosił kwiatki, czekoladki, dwa razy na targ zabrał i bluzkę kupił. To był świat – zawahała się – jak marzenie. Mieszkanie miał służbowe, małe i wilgotne, ale miałam być u siebie. I byłam.

– Nie żałujesz?

– Od razu żałowałam. Jeszcze na weselu. Kochałam i żałowałam. Mateusz tobie nadskakiwał, z tobą tańczył, za tobą tylko oczami wodził, a Robert nawet nie zauważył, jak mi welon urwał. Od razu powinnam była... – Machnęła ręką.

– I co teraz?

– Nic. Chcę się przeprowadzić. Od razu po ślubie Robert mi zrobił brzuch, sam pił. Wtedy jeszcze po kryjomu, ostrożnie, ale już pił. Nie widziałam, nie chciałam widzieć, chociaż fakt, matka przed ślubem jeszcze mi mówiła, żebym za niego nie szła. Chciałam mieć dużo dzieci, trójkę przynajmniej, ale jak zobaczyłam, co on wyprawia, to założyłam wkładkę. Tylko matce nic nie mów, bo mi każe do spowiedzi iść. Rodziłam sama, ze szpitala zapomniał nas odebrać. Taksówką z becikiem na ręku wracałam. A tam... syf po prostu. Co będę za dużo gadać. Roberta nie zmienię, dobry moment na inne zmiany. Prawda? – Popatrzyła na siostrę błagalnie.

– Pewnie. Zawsze jest dobry moment na taką zmianę. Może wesprzesz trochę Mateusza? Będiesz miała gdzie mieszkać. U nas dużo miejsca. Spokojnie i sucho. Nikt nie pije i nie bije.

– Jasne. Ale to i tak tylko na chwilę. Póki nie wyzdrowiejesz. Potem będę musiała coś wymyślić.

– Tak... – Teraz Renata przygryzła wargę. – Może na dłużej...

– Zamierzasz długo tak chorować? Nie ma mowy! Zbieraj się, dzieci czekają.

– Wiesz, jakby co...

– Jakby co? – Głos Anny stwardniał.

– Jakby przedłużała się moja kuracja.

– Pomogę, pewnie. Pomogę, ile się tylko da. Ale nie rozleniwiaj się tu, zdrowiej szybko, bo ja też swoje sprawy mam i muszę je uporządkować.

Młode kobiety uśmiechnęły się do siebie.

– Ty, a ten ksiądz to co tu?

– Chciałam porozmawiać z kimś, kto by mi wytłumaczył, dlaczego. Bo ja nie rozumiem. Co ja takiego zrobiłam?

– Wytłumaczył? – Anna spojrzała trochę ironicznie.

Renata pokręciła głową.

– Nie. Ale lepiej mi się zrobiło po rozmowie z nim. Więc poprosiłam, żeby przychodził codziennie. Niech pogada.

– Coś długo ich nie ma – powiedziała Anna po kilku minutach ciszy. Siostry umiały ze sobą milczeć, zupełnie im to nie przeszkadzało.

– Pewnie przyjdą niedługo. Ja będę musiała się chyba przespać –

odpowiedziała cicho Renata.

Renata przysnęła, Anna oparła się o ścianę obok okna. *Po co ja jej głowę zawracam. Dość ma swoich zmartwień. Teraz Renata powinna dostawać od nas tylko same dobre wiadomości. Niepotrzebne jej żadne zmartwienia, a ja jej takie kwiatki wrzucam. Dobra siostra jestem, nie ma co.*

Dwanaście lat wcześniej

Stoi z matką przed wejściem na wielki bazar we Włocławku. Ogrodzenie z siatki wymaga naprawy, zawieszana wieczorem kłódka pełni symboliczną rolę.

– Tylko opłaty za stragan są na serio – grzmi Krystyna i wchodzi na targ.

Anna drepcze za nią przez niemal godzinę. Bez protestu pakuje do wielkich siat zakupy i nosi je za matką.

– Jeszcze mięso – mówi Krystyna. – Dobry rzeźnik tu jest. Skorzystam, skoro już jesteśmy.

Anna jęczy.

– Znowu pół świniaka?

– Nie narzekaj. Jeść trzeba, a byle czego rodzinie nie podam. Tu mają najlepsze. Nie będę co tydzień do Włocławka jeździć.

– Ale mnie już ręce odpadają.

– Ciesz się, że ziemniaków nie musisz nosić.

Pewnie. Wór dwudziestokilowy na plecy bym sobie założyła i cwalem przez targ, a co!

– Może do samochodu chociaż zaniosę? – Anna unosi cztery wypchane siaty.

– Tylko szybko. Czekam tutaj – odpowiada Krystyna.

– Długo jeszcze? – pyta córkę Zenon siedzący w samochodzie.

Obok leży przeczytana już gazeta.

– A bo ja wiem. Jeszcze mięso.

– Dobrze, że skrzynkę z narzędziami wyjąłem – mruczy pod nosem

ojciec.

– Tato, ty musisz to zapakować, ja to muszę przynieść.

– Nie marudź, pomóż matce!

Wracając, Anna zatrzymuje się przy straganie. Szmataki, skrawki, tęczą. Z zachwytem sięga po bluzkę.

– Pięknie paniusi, jak złoto! – komentuje sprzedawczyni.

Anna przyciąga do straganu Krystynę.

– Mamo, zobacz! – Młodej kobiecie błyszczą oczy.

Bluzka jest z cienkiej bawełny, wiązana w pasie. Kolorowe nadruki są jaskrawe, błyszczą się i mienią odcieniami pomarańczy.

– Mamo, proszę – mówi Anna. Składa ręce jak do modlitwy.

– Ty mnie tu nie umodlaj. Żadnego dekoltu do pasa nosić nie będziesz. I wydawania fortuny za zwykłą szmatę też nie będzie.

– Mamo, to osiemnastka! Wszystkie dziewczyny będą ubrane jak należy. Modnie. A teraz modne to jest błyszczące, mamo – błaga dziewczyna.

Krystyna zaciska wargi. Anna idzie za matką od straganu do straganu. Prawie nie mruga. Zaciska pięści, aż dłonie jej się pocą. *Żeby tylko coś ładnego* – zaklina w myślach rzeczywistość.

– Mamo, to może takie! – Anna uśmiecha się na widok srebrnej bluzki z lureksu. – Do tego założę czarną spódnicę, tę długą, co mi u krawcowej zeszłego roku szyłaś. – Próbuje przekonać matkę.

– Takie fiu bździu? Toż to przezroczyście jest. – Krystyna kręci głową nieprzekonana. – Ile to? – pyta sprzedawcę, po czym rzuca bluzkę jak oparzona. – Za taki kawałeczek szmatki!

– Mamo, proszę! – Dziewczyna przełyka ślinę. Ma oczy psa oczekującego łaski.

Krystyna nawet się nie odwraca. Po chwili znów przepychają się obie pomiędzy straganami.

– A ty na urodziny pójdziesz ubrana jak normalna dziewczyna, nie lafirynda. Dam ci swoją błyszczącą bluzkę. Będziesz wyglądała jak królowa.

Jak królowa powojennego lumpeksu – myśli dziewczyna.

Anna rusza w ślad za matką, gdy czuje szturchnięcie.

– Poproszę. – Widzi męską rękę, która podaje sprzedawczyni

przedmiot jej pożądanía.

No, to po ptakach. Już sprzedana – myśli z żalem.

– To dla ciebie – mówi mężczyzna.

Anna odwraca się. Chłopak.

– Robert? – Dziwi się na widok starszego kolegi ze szkoły.

– To dla ciebie – powtarza chłopak. – Może zechcesz pójść ze mną na tę osiemnastkę.

Patrzy na nią ciepłymi, miodowymi oczami. Anna nie potrafi nic powiedzieć. Nawet podziękować. Chłopak po prostu odchodzi.

Dziewczyna spogląda za nim chwilę, aż jego postać wtapia się w gęsty bazarowy tłum. Robert. Robert? Rusza za matką, chowając bluzkę do torby.

Muszę pamiętać, żeby nic ciężkiego tutaj nie kłaść, bo się pogniecie – myśli.

Teraz

– Ciocia, a czy ty wiesz, co to jest korek? – Miłosz z impetem otworzył drzwi. Renata aż podskoczyła. Mały nie zwrócił na to uwagi, wgramolił się od razu na łóżko. W ręku trzymał butelkę z oranżadą.

– Nie wylej, Miłoszku – nerwowo powiedziała Krystyna.

– No to pościel będzie zalana, mamó. – Wzruszyła ramionami Renata. – Korek coś zamyka. Butelkę na przykład.

– Nie, ciociu. – Mały był zdegustowany odpowiedzią. –
W samochodzie!

– A, pewnie. – Renata się zreflektowała. – Na przykład bak zamyka się korkiem, żeby paliwo się nie wylało. Albo jakieś inne płyny.

– Ciociu! – Chłopiec się zdenerwował. – Na ulicy!

– Na ulicy? – Renata uniosła brwi.

– Mówiłem, że ciocia nie wie! – powiedział Miłosz, z triumfem patrząc na dziadka i babcię. – Korek to jest, jak jest dużo samochodów i one nie mogą jechać.

– Rozumiem. – Renata pacnęła się w czoło. – A skąd wiesz?

– Bo mi babcia opowiadała. I dzisiaj, jak jechaliśmy do ciebie, to widziałem.

– A teraz gdzie byłeś?

– Picie mi dziadek kupił. Bo babcia to nie chciała. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Babcia mówi, że to sam cukier, popatrz ciocia. A to przecież czerwona oranżada jest!

– Dobrze, dobrze. – Krystyna postanowiła przerwać wnukowi. – Idziemy. Jedziemy do domu, bo ciocia jest zmęczona, a i my musimy trochę odpocząć. Obiad jakiś zrobić, ogarnąć pewnie w domu. Co ci przywieźć jutro?

– Nic nie przywoź. Po prostu przyjedźcie. Bądźcie.

– Rosółu ci przywiozę. Rosół dobrze robi.



Na rosół Renata nie musiała czekać do następnego dnia.

– No, jeszcze dwie łyżki – namawiał żonę Mateusz wieczorem. – Jedną chociaż.

– Nie mogę już – pojękiwała.

– Jesteś przeraźliwie chuda – stwierdził, wykrzywiając usta. – Jak ja cię wyobracam?

– Co? – Renata parsknęła. – Naruszasz dostojeństwo mojej choroby – powiedziała z powagą. – Ale jeść już nie będę – dodała po chwili.

Mateusz zakręcił słoik.

– Opowiedz, co u ciebie w firmie – poprosiła. – Ciągłe ktoś u mnie jest. Tylko ciebie mi mało.

– Niedługo mam konferencję. Ważną. Od ośmiu miesięcy w branży się o niej mówi. Mam na niej wygłosić referat.

– A ja cię odciągam.

– Słucham?

– Odciągam cię od przygotowań. Zajmujesz się mną, zamiast szlifować wystąpienie.

– Nigdy praca nie była ważniejsza niż ty.

– Tym smutniej, prawda?

– Smutniej?

Że zostaniesz z pracą, ale beze mnie – pomyślała Renata.

– Że nie daję ci spokojnie pracować – powiedziała głośno. – A jak referat? Gotowy?

– Większość materiałów tak. To duża rzecz, ale zostało mi już tylko zebranie ich w całość, uporządkowanie, zrobienie jakiejś dobrej prezentacji. I wygłoszenie. Cała firma tym żyje, konferencja jest międzynarodowa. Popatrz, z inżyniera robię się naukowcem.

– Dla mnie zawsze byłeś naukowcem. – Uśmiechnęła się. – Może odpaliłbyś notebooka i popisał u mnie? Jeśli masz materiały. Właściwie co za różnica, gdzie pracujesz. Tu jest cicho, nie będę ci przeszkadzać.

– Może to jest myśl? – Mateusz się zastanowił. – Materiały mam na dysku, obrabiać je mogę wszędzie. Tylko dzieci nie uśpię.

– Swoją drogą, Krysia robi się dość nieznośna, prawda?

– Dlaczego tak uważasz? – Mateusz się zdziwił.

– Byli dzisiaj u mnie z Darią i Gabrielem.

– Mieli być. Kryśka pół wieczoru kreację przygotowywała.

– Kłóciła się z Krzysiem. Pyskowała babci. Podobno pobiła się z koleżanką. Łobuzica.

– Po co ci o takich rzeczach wiedzieć. Nie tyle pobiła, co za sukienkę szarpnęła. Ciuch się podarł, wielkie mecyje. – Mateusz wzruszył ramionami.

– Próbujesz mnie chronić, wiem. – Renata złapała męża za rękę. – Tyle mojego, co się dowiem o dzieciach. O was. W szpitalu nie mam innych zajęć, jak tylko rozmyślać i spać.

Mateusz cmoknął ją w policzek.

– Krzyś za to położył się koło mnie na łóżku i nie chciał zejść.

– Dzieci tęsknią. Daria jest super, ale one potrzebują mamy. Swoją drogą, Darii i Gabriela nie sposób ostatnio spotkać oddzielnie.

– To chyba dobrze. Niech sobie układają własne sprawy.

Drzwi otworzyły się cicho.

– No, co wy, gołąbeczki, gruchacie tak? – powiedział cicho ojciec Renaty. – Nie znudziło się wam, tyle lat po ślubie?

– Tato, super że jesteś. Posiedź chwilę z Renatą. Skoczę do domu, przebiorę się. Wezmę trochę notatek i przyjadę tutaj. Chociaż dzieci ucałuję na dobranoc.

– To ty nie byłeś w domu? Skąd rosół? – Renata się zdziwiła.

– Ha! – Mateusz się uśmiechnął. – Gabriel mi przywiózł. Wiedział, że do ciebie jadę, więc zabrał słoik od mamy, jechał do miasta, spotkaliśmy się. Z ręki do ręki, i rosół u ciebie.

– Ale logistyka – powiedziała Renata z podziwem. – A ja, niewdzięcznica, nie zjadłam.

– Mało. – Mateusz potwierdził. – Tato, zostaniesz?

Starszy pan kiwnął głową, rozsiadając się na zwolnionym przez Mateusza krześle.

– A jedź, jak ci pasuje – powiedział.

Mateusz zapakował słoik, zdjął granatową marynarkę z oparcia krzesła. Cienka wełna w biały prążek była tak dobra gatunkowo, że się nie wygniotła.

– Przyniosę ci jeszcze wody – powiedział do żony. – I kawę? – pytająco spojrzał na teścia.

Wrócił po chwili. Przez ten czas Renata z ojcem wymienili kilka uwag o pogodzie, wiośnie i zieleniejącym ogrodzie.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się starszy pan, odbierając od zięcia plastikowy kubek z ciemną ciecżą.

– Jezu, co to jest? – jęknęła Renata. – Przecież to śmierdzi!

– Co? – zdziwił się ojciec.

– Kawa, tato – powiedział Mateusz.

Renata kiwnęła głową.

– To ja wyjdę i wypiję na zewnątrz.

Wrócił po kilku minutach, Mateusz się pożegnał.

– Co tam, córuś? – zapytał niezręcznie.

– Tato, wciąż pachniesz kawą – szepnęła Renata matowym głosem.

– Usiądę dalej – powiedział zgodnie. – To jak ci?

– Co ma być. Takie tam. – Wzruszyła ramionami. – Nie bardzo chce wyzdrowieć moje ciało.

– Bo jeść nie chcesz. Mama takiego dobrego rosółu nagotowała.

– Tato, jedzenie to nie jest mój największy problem.

– Córeczko, jak się je, to ma się siłę na wyzdrowienie.
– Nie mogę jeść. Nie mam siły chodzić, mówić, siedzieć nawet.
Wszystko jest mi za ciężko.
– Coś chyba nie po polsku.
– Gramatyka to nie jest teraz moje zmartwienie. Mój największy problem to dzieci, tato.
– Dzieci są zaopiekowane. Ty się o nic nie martw. Dobrze im będzie z babcią.
– Ja to wiem, tato.
– No to się nie martw. Czym się martwisz?
Renata nie odpowiedziała. Ojciec patrzył na nią uważnie, po czym pokręcił zdecydowanie głową.
– Mam cię nie męczyć? Iść już?
– Nie... Mógłbyś mi poczytać? Jak kiedyś? Książkę jeszcze utrzymam, ale wzrok mi się szybko męczy. Mam tu jakieś opowiadania, proszę.
Ojciec sięgnął po okulary.
– Tato, ty masz je od dwudziestu lat! Razem je kupowaliśmy, we Włocławku, pamiętam.
Starszy pan spojrzął na trzymany w ręku przedmiot.

Piętnaście lat wcześniej

– Tato, przecież ty prawie nie widzisz – mówi Renata.
– A tam, zaraz nie widzę.
– Pojedźmy do Włocławka. Kupimy ci okulary.
– Mama będzie zła. Na paliwo szkoda.
– Tato. – Dziewczyna przybiera proszący ton.
– Mów, córuś.
– Butów nie mam. – Renata wzdycha.
Zenon się śmieje.
– Bosa chodzić nie możesz.
Jeszcze tego samego popołudnia jadą do Włocławka. Buty Renata

ma upatrzone, Zenon płaci. Szczęśliwa dziewczyna nie chce oddać siatki z pudełkiem.

Znacznie więcej czasu spędzają u optyka.

– Tak, z badaniami. Tata nie ma recepty, a przez te stare szkła to nic prawie nie widzi.

– Ależ widzę jeszcze, widzę.

– Przy zakupie okularów badanie będzie gratis. – Sprzedawca zachęca.

Zenon się poddaje. Badanie trwa krótko, znacznie dłużej wybierają oprawki.

– Za trzy dni będą do odbioru – mówi optyk.

– Za trzy dni? Muszę jeszcze raz przyjechać? – Zenon się upewnia.

– To specjalne szkła... Nie mamy takich na składzie. Muszę zamówić dla pana.

Zenon zrezygnowany kiwa głową.

– Idziemy na lody – zarządza Renata.

Zenon ze smutkiem myśli o komentarzu żony, jaki bez wątpienia usłyszy po powrocie.

– Wiesz co, tato, za trzy dni zabierzemy też Annę i mamę. Nie będą miały powodu narzekać – mówi Renata, jakby słyszała myśli ojca. Zamawiają lody. Jedzą je z przyjemnością.

Teraz

– Może czas je wymienić? – Renata wytrąciła ojca z rozmyślań.

– Ej, co tam, córuś, dobre są. Że etui trochę otarte. To było piętnaście lat temu, nie dwadzieścia. – Starszy pan wzruszył ramionami.

– Trochę? Tato, pierwotnego koloru nie widać!

– I co? – Starszy pan rozłożył ręce. – Nie widać. Ale okulary ciągle się w nim mieszczą.

Wziął do ręki książkę i z ulgą zaczął czytać.

Tata zawsze wolał być niż mówić – pomyślała Renata. – Cichy, czasem niedostrzegalny. Ile razy miałam żal, że nie zajął stanowiska, nie

powiedział, nie zrobił... A przecież zawsze był. Opatrzył kolano, kiedy mama denerwowała się o podarte rajstopy. Ukochał za piątkę z minusem, kiedy mama miała pretensje o minus. Włożył w dłoń dwa złote, kiedy matka nie chciała dać na lody w upalny dzień.

– Tato? – powiedziała, przerywając mu.

Uniósł wzrok.

– Kocham cię – powiedziała.

Spłoszył się. Kiwnął głową.

– Dawno mi nie czytałeś – stwierdziła.

Ponownie kiwnął głową.

– Mama zawsze mówiła, że czytała nam na dobranoc. Ale to nieprawda. Mama tylko wpadała i zaczynała czytać. A kiedy robiło się najciekawiej, gasiła światło. Jak już byłam starsza, to je zapalałam i czytałam dalej sama. Anna też strasznie chciała, żeby jej czytać. Ale najczęściej to ty nam czytałeś. Długo. Anna zasypiała, ja słuchałam. Lubiłam. – Uśmiechnęła się.

Starszy pan zdjął okulary, otarł flanelową koszulą zaparowane szkła. Nic nie powiedział. Kontynuował czytanie.

Renata słuchała, trochę rozmyślała, zapadając chwilami w lekki sen. Ojciec, skupiony na kolejnych słowach, nie zauważał zaśnięć i przebudzeń córki.

– Nie ta! – powiedziała w pewnym momencie głośno Renata.

– Słucham? – Ojciec podniósł głowę znad książki.

– Przepraszam, tato. Przyśniło mi się chyba, jak kłóciłam się z Anną o wybór książki.

Wrócił do czytania.

Renata stała z Anną przed szafą w swoim panińskim pokoju i kłóciła się z siostrą o to, że ta podkradła jej najmodniejszą gniecioną bluzkę. Pamiętała uczucie wściekłości, gdy zobaczyła siostrę wychodzącą ze szkolnej toalety w jej najnowszej, wymarzonej, wyblaganej u matki bluzce! Nie mogła przecież donaszać po młodszej siostrze. Od tamtego momentu nowe ubrania chowała w najróżniejszych miejscach – nigdy w szafie. Prześcigały się z Anną w wymyślaniu najdziwniejszych kryjówek.

– Oddawaj! – krzyknęła znów Renata, a starszy pan podskoczył na

krześle.

– Przepraszam, tato, coś mi się przyśniło. Zapadam w takie krótkie drzemki, sama nie wiem kiedy. Już powinno być dobrze.

Ojciec, nie komentując, wrócił do czytania.

Renata znów odpłynęła. Tym razem czytała Mateuszowi świńskie fragmenty różnych książek. To często był wstęp do ich miłości. Teraz śniła, że czyta na głos, a Mateusz liże ją pomiędzy udami. Jęknęła, obudziła się podniecona. *W chorobie zapomniałam o miłości z Mateuszem* – pomyślała. – *Nie wolno mi zapominać o Mateuszu.*

Ojciec czytał nieprzerwanie aż do przyjazdu zięcia.

Pożegnał się z ulgą. Czuł się niezręcznie i chciał jechać do domu.

Mateusz postawił pod ścianą torbę z notebookiem. Przebrał się w dzinsy i miękki sweter.

– Wyglądasz jak golfista przed meczem – powiedziała Renata.

– A jak wygląda golfista przed meczem?

– Wypoczęty. Elastyczny. Klasyczny.

– Elastyczny?

– Nie rozluźniony, bo przed nim wysiłek, ale i nie spięty, bo to w tym wysiłku nie pomoże.

– Wysiłek?

– Masz przecież zrobić prezentację.

– Zobacz, co ci przywiozłem. – Wyciągnął lekko zatłuszczoną papierową torebkę.

Renata uniosła pytająco brwi.

– Zdążyłem do cukierni przed samym zamknięciem. Twoje ulubione francuskie...

– Ciastko ze śliwką – dokończyła Renata. Rozpieszczasz mnie.

Nie smakowało jej. *Zazwyczaj ten smak bywał dla mnie idealny. Zawsze taki był* – pomyślała. – *Teraz ma smak przemrożonej gumy do żucia. Kruszy się w ustach. Śliwki są za kwaśne i mają metaliczny posmak.*

Ugryzła dwa razy, z trudem powstrzymując odruch wymiotny. Odłożyła ciastko na stolik.

– *À propos* rozpieszczania...

Mateusz właśnie przysuwał do łóżka stolik przytuszczony

z korytarza. – W nocy i tak nikt nie będzie z niego korzystał, a potem odstawię na miejsce. – Wytłumaczył pielęgniarce. Zamierzał na nim postawić komputer. Mężczyzna stał tyłem do Renaty, szczupły w biodrach, lekko siwiejący na karku. Gdy się odwrócił, widać było też szpakowate skronie i nieznacznie zarysowany brzusek.

– Czego potrzebuje jeszcze moja królewna?

Rozmowę przerwał im wieczorny obchód. Karta, gorączka, nic szczególnego. Lekarz skinął lekko głową w kierunku Mateusza i wyszedł. Mężczyzna poszedł za nim.

– Niech pan pobędzie z żoną jak najdłużej.

– Prawdę mówiąc, zamierzam... zostać na noc – powiedział Mateusz pytająco.

– Dobry pomysł. Ona tego teraz potrzebuje. Proszę nie robić problemów. – Zwrócił się do pielęgniarce.

Mateusz wrócił do Renaty i powtórzył pytanie:

– Czego potrzebuje teraz moja księżniczka?

Renata poklepała miejsce koło siebie.

Mateusz zdjął sweter, ułożył się koło żony i odchylił lekko kołdrę. Kochali się nieśpiesznie, delikatnie. Mateusz bał się, że żona jest zbyt krucha na gwałtowną miłość, spowalniał każdy gest, łagodził dotknięcia. Renata była mu wdzięczna za delikatność. Pielęgniarka otworzyła drzwi, chwilę na nich patrzyła. Nie miała poczucia podglądania. W szpitalu fizjologia jest zwyczajna, nieemocjonująca. Renata i Mateusz nawet nie wiedzieli, że ktoś oglądał ich nieśpieszną miłość.

Właściwie trudno powiedzieć, że się kochali. Aktywność Renaty ograniczała się do gładzenia pleców męża i obejmowania go nogami. Mateusz za to nie próżnował. Całował każdy skrawek jej skóry, dotykał części suchych i wilgotnych. Masował palce u stóp i łaskotał żonę, licząc jej wystające żebra. Kochał ją całą, na zewnątrz i w środku. Chował się pod kołdrą, nie wiedząc czemu. Pewnie z obawy, że ktoś wejdzie.

Byli przekonani, że zachowują się cicho. Około dwudziestej drugiej gwałtownie otworzyły się drzwi.

– Tu leżą poważnie chorzy ludzie! Co wy sobie myślicie!

Smarkacze jedni – krzyczał nieznany im starszek w szlafroku. – Schadzki jakieś sobie urządają. Darmowe łóżko!

Zaalarmowana hałasem, przybiegła pielęgniarka. Uspokoila pacjenta, pogroziła im palcem. W drzwiach mignęła też twarz pani Henryki.

– Pan da spokój, panie Zenobiusz. Młode to to, niech se poużywa. Co im pan żałować będziesz. Ona też chora – tłumaczyła.

– Ona chora? Ona chora? I takie... tfu – staruszek wypowiedział to z obrzydzeniem – tutaj wyprawia?

– Chora, chora, ja panu mówię. Kto to wie, komu to więcej czasu zostało, niech se użyją młode. Idziemy, panie Zenobiusz, idziemy. – Uspokajała.

Mateusz i Renata zasnęli przytuleni. Nie było im wygodnie. Łóżko było wąskie, Renata zwinęła poduszkę pod głowę, wplątując w nią prawą rękę. Dla Mateusza poduszki już nie starczyło. Zdrzemnął się niespokojnie.

Około drugiej zsunął się z łóżka, wydawało mu się – bezgłośnie. Renata jednak się przebudziła.

– Miałem pracować – powiedział mąż.

– Miałeś.

– To ty śpij, a ja będę pracował.

Renata jednak nie mogła zasnąć. Patrzyła na męża spod zmrużonych powiek, nie przeszkadzał jej nawet zapach ich seksu – lekko kwaśny, trochę słony. Zapach, który od lat kojarzył się jej z bezpieczeństwem. Leżała bez ruchu. Mateusz stukał w klawisze, szurał myszką po chropowatym blacie. Zapomniał podkładki pod mysz, więc pracowało mu się ciężko i czasami przenosił dłonie na touchpada.

Rozprostował się. W szybie dostrzegł twarz żony wpatrującej się w jego plecy.

– Nie śpisz? – odwrócił się do niej.

– Nie mogę. Już się zrelaksowałam – powiedziała, uśmiechając się.

– Prosto od ciebie pojedę do pracy. Nawet wziąłem ręcznik.

Ubranie mam w samochodzie.

– Uważaj w kąpieli na sąsiadkę. Założę się, że pójdzie za tobą do łazienki. Zamknij się od środka.

– A fajna? – zainteresował się Mateusz.

– Będę taka za czterdzieści lat.

– To może nie dam się zgwałcić. Poczekam na ciebie za czterdzieści lat. A teraz śpij, popracuję jeszcze.

Renacie udało się zasnąć. Mateusz rano miał prawie skończoną prezentację i przygotowany tekst wystąpienia. Pojechał do pracy zmęczony, ale zadowolony. Rano jeszcze spotkał się z lekarzem, ten poklepał go po plecach i poszedł na obchód.

Mateusz był już w drodze do pracy, gdy lekarz dotarł do pokoju Renaty.

– Jak się pani dziś czuje?

– Wspaniale. Zrelaksowana jak nigdy. Tylko nie bardzo mam siłę wstać.

– Osłabienie jest normalne. Cóż, zrobimy dzisiaj badania. Jak zawsze, na cito. Proszę mnie powiadomić, gdy będą wyniki. – Spojrzał na pielęgniarkę. – Gorączka, ciśnienie? Zapisał podane mu wartości. – Coś panią boli?

– Nie... – zawahała się. – Tylko mam dreszcze. Nie miałam jeszcze takich. Te dreszcze mnie boją.

Lekarz, który już wychodził, wrócił do jej łóżka.

– Proszę otworzyć usta. „Niebiesko-żółty nalot na języku i błonach śluzowych” – zapisał w karcie, nic nie mówiąc. – Czy coś jeszcze?

Renata pokręciła głową.

– Nie więcej niż do tej pory.

– W takim razie standardowy zestaw leków. Spodziewa się pani dzisiaj odwiedzin?

– Codziennie mam tu pielgrzymki.

– I dobrze. Niech przyjaciele będą z panią, to poprawia nastrój.

– Panie doktorze? – Lekarz skończył pisanie, pstryknął długopisem i włożył go do kieszeni rozpiętego fartucha. Wyhaftowane inicjały puściły farbę w praniu i kieszeń była cieniowana. – Panie doktorze, kiedy wyjdę do domu?

– To kwestia kilku dni – odpowiedział lekarz, patrząc Renacie w oczy.

Czerwiec

Nie jest za dobrze, gdy wokół tych samych czynności kręci się zbyt wielu ludzi. W domu Krystyna z Darią szykowały dzieci do szkoły. Wpadały na siebie co chwilę, przeszkadzając sobie wzajemnie.

– Nie bardzo pomagam – powiedziała w pewnym momencie Daria.
– Pojedziemy jeszcze razem do szkoły, pokażę pani, co tam się zmieniło, i znikam.

– Ależ pani Dario, co pani – odruchowo zaprotestowała Krystyna.

– Oj tam, oj tam. – Daria się uśmiechnęła. – Wie pani, gdzie kucharek sześć, i tak dalej. Zaraz przyjedzie Gabriel, odwieziemy dzieci do szkoły i przedszkola. A potem uciekam.

– Kurczę, no nie zaliczę – mrucał Eryk nad miską z płatkami. Wpatrywał się w rozłożoną przed nim książkę.

– Co znowu? Czytanie przy jedzeniu? – Oburzona Krystyna zabrała wnukowi książkę.

– Babciu, ja mam dzisiaj klasówkę! Nic nie umiem.

– To trzeba się było uczyć, kiedy był na to czas.

– Ale ja się uczyłem. W tym tygodniu to już trzeci duży test.

– Eryk dużo pracuje. – Daria stanęła w jego obronie.

– Ale nie musi przy śniadaniu. – Krystyna ucięła ostro.

– No co tutaj? Jeszcze w proszku? – powiedział Gabriel, wchodząc do domu.

W przedpokoju Krysia dwa razy zmieniała buty.

– Te są już stare – oznajmiła przy pierwszych. – Te nie pasują do sukienki – powiedziała przy drugich. Trzecie założył jej Gabriel. Zupełnie nie pasowały do sukienki, ale Krysia była szczęśliwa, że ktoś zainteresował się nią na tyle, żeby się przed nią schylić i założyć jej buty.

– Po kim ona to ma? – powiedziała Daria, wywracając oczami.

– Po imiennicze – z powagą odpowiedziała Anna, uchylając się przed szturchnięciem przez matkę.

Do szkoły dojechali spóźnieni. Eryk wbiegł po dwa stopnie, drzwi klasy dopadł równocześnie z nauczycielem. Krysia weszła do klasy po dzwonku, dzieci kończyły już rozpakowywać książki. Nauczycielka, widząc Darię, zatrzymała ją gestem.

– Kiedy będzie mama Krysi?

– Nie wiemy, ciągle jest w szpitalu.

– Chciałabym z nią porozmawiać. Krysia...

– Może ja zastąpię córkę. – Krystyna się wtrąciła.

– Nie, nie. Mogę poczekać – odpowiedziała stanowczo wychowawczyni. – Nie dzieje się nic strasznego. Przepraszam, muszę wracać do klasy.

W domu Daria spisała jeszcze wszystkie szkolne aktualności na kartce. W najbliższy czwartek – wycieczka, Krysia musi być wcześniej. Zmieniły się godziny zajęć korekcyjnych. W środy świetlica jest w innej sali. We wtorki ostatnia lekcja to WF, trzeba poczekać chwilę, aż dzieci się ubiorą. No i u Krzysia są znów zajęcia z rytmiki, we wtorki, trzeba przyjechać trochę później, dopiero przed trzecią, on te zajęcia bardzo lubi. Eryk, jak wiadomo, radzi sobie sam, jedzie szkolnym autobusem, ale ostatnio powiedział, że lubi, jak się po niego przyjeżdża. Tylko trzeba do niego zadzwonić, żeby nie jechał autobusem. Albo umówić to rano. A, tylko on w czasie lekcji nie odbiera telefonu, więc albo esemes, albo trzeba poczekać, aż oddzwoni.

– Co by tu jeszcze... – Zawahała się.

– Już daj spokój. Zostaw jeszcze mój numer telefonu, bo twój pani Krystyna już ma, tak na wszelki wypadek, i uciekamy. – Gabriel był już gotowy do wyjścia.

– Ładna z nich para – powiedziała Anna, gdy Daria z Gabrielem wyjechali.

– Daria jest w trakcie rozwodu – stwierdziła kwaśno Krystyna.

– A ty to oczywiście potępiasz?

– Nie pochwalam. Ma dwójkę dzieci.

– Ale przecież to mąż ją zostawił.

– Mężowie zawsze tak mieli. Zostawiali i wracali.

– Ale jego nowa kobieta jest z nim w ciąży!

– To będzie miała bękarta. Żona jest tylko jedna.

– Chyba, że jest druga. – Anna się upierała.

Krystyna machnęła ręką i odeszła w stronę kuchni.

– Jedzenie trzeba przygotować, nie o głupotach opowiadać. Dzieci wrócą ze szkoły i muszą szybko dostać jeść, żeby do szpitala od razu pojechać. I dla Renaty trzeba coś zabrać.

– Każdy mąż jest dobry, mamó? – Anna przyczłapała do kuchni za matką. Miłosz został w salonie ze stertą klocków.

– Mąż to mąż.

– Ale widziałaś moje siniaki, prawda? Tylko wygodniej nie mówić? Widziałaś. – Młoda kobieta pokiwała głową. – Prawda?! – krzyknęła.

– Mąż to mąż – powtórzyła Krystyna. – Kiedyś wróci.

– Do mnie nie. Ja już tam nie wrócę. Nie wrócę, rozumiesz? Nie chcę więcej widzieć tej zapyziałej dziury, za ciasnych korytarzy w urzędzie i zagrzybionego archiwum. Nie chcę być na każdym zakręcie niby niechcący potrącana przez kolegów, którzy uważają, że każdą urzędniczkę można podszczypać, pomacać niechcący, bo przecież ciemno i ciasno w korytarzu, kto to wie, gdzie przypadkowo ręka zawędruje. Chcę rozpocząć nowe życie.

– A co ty możesz mieć za życie? – Krystyna w końcu odwróciła się do córki. – Masz dziecko, hamuj się.

– Dziecko doskonale rozumie, że tata bije i krzyczy bez powodu. Że krzywdzi. Dokładnie to opowiedział Renacie.

– I co tu będziesz robić? – zapytała z ironią matka.

– To samo, co tam. Znajdę jakąś pracę. Poproszę Renatę, żeby pozwoliła mi trochę u nich pomieszkać. Dom duży, może się zgodzą.

Znajdę sobie z czasem jakieś mieszkanie. I więcej tam nie wrócę!

– Tam? Tam?! – Krystyna patrzyła na córkę ze złością. – To dziwne. Tam, to jest mój dom. I twój. Tam, to ty się urodziłaś, ty i twoja siostra. Tam ja przeżyłam życie i tam, właśnie tam ja chcę wrócić. Tam są korzenie.

Kobiety patrzyły na siebie w napięciu. Miłosz podbiegł do matki, chwycił ją za kolana. Anna odruchowo wzięła synka na ręce.

Wycalowała mu szyjkę, napięcie opadło.

– Pomogę ci to zapakować – powiedziała do matki, stawiając małego na podłodze.

Po dzieci pojechała Anna. Ściśle według instrukcji. Najpierw Krysia. Anna trafiła w niewłaściwy korytarz i zaczęła się denerwować. W końcu woźna wskazała jej klasę. Stała pod drzwiami równo z dźwiękiem dzwonka. Krysia wybiegła jako jedna z pierwszych, obłapiła Annę i siłą, z pośpiechem zaciągnęła do szatni. Bardzo sprawnie się ubrała. Dosłownie wybiegła ze szkoły, ciągnąc za sobą Annę.

– Bo wiesz, ciociu, ja nie lubię tych dziewczyn z klasy – powiedziała dziewczynka, gdy stanęły już przy samochodzie.

– Dlaczego? Dokuczają ci? Nie rozumiecie się?

– Nie. Tylko... One ciągle opowiadają o tym, że mama to, mama tamto, a ja... Ja nie mogę. Nie mam się czym pochwalić.

– To jest poważna sprawa, masz rację. Jakoś temu zaradzimy.

– Ja już zaradziłam – powiedziała dziewczynka z prostotą.

– Słucham?

– Poradziłam sobie. Walnęłam jedną butelką w głowę.

– Co proszę?

– Była tylko w połowie pełna. – Krysia odwróciła się, udając, że nic się nie stało.

– O nie, moja panno, uderzyłaś koleżankę, może ją zraniłaś, i teraz uciekasz? Tak się nie robi. Wracamy. Poza tym musimy odebrać Krzysia.

– Ciociu, ale...

– Jutro pochwalisz się koleżankom tym, co ci kupiła siostra twojej mamy. Ale teraz idziemy przeprosić koleżankę.

Krysia opierała się chwilę. Anna stanowczym gestem wskazywała

szkołę, tłumacząc półgłosem. Schowały plecak do bagażnika, w końcu mała ruszyła za ciotką.

– Idziesz do świetlicy! – zakomenderowała Anna. Odwróciła się w poszukiwaniu wychowawczynie. Nauczycielka wychodziła już z pokoju nauczycielskiego.

– Pani...? – Wychowawczynie nie poznała Anny.

– Tak, są ostatnio problemy z Krysią – powiedziała, gdy Anna jej się przedstawiła. – Sygnalizowałam już, że muszę porozmawiać z jej mamą. Dzisiejszy wybryk nie jest pierwszy.

– Krysia poszła przeprosić koleżankę.

– To dobrze. Butelka była plastikowa i prawie pusta, ale niech dziewczynki załatwią sprawę między sobą. I koniecznie będę musiała porozmawiać z panią Renatą, kiedy wróci ze szpitala.

Sęk w tym, że nie wiemy, kiedy wróci – pomyślała Anna, oglądając już plecy wychowawczynie.

– Załatwiłaś sprawę? – zapytała Krysię. Mała podbiegła do niej natychmiast, jak tylko pojawiła się w drzwiach świetlicy. Kiwnęła głową.

– Proszę pani... – Podeszła jakaś dziewczynka, ubrana w pomarańczową bluzę, krótką spódniczkę z zielonego aksamitu i markowe trampki.

– Tak? – Anna się uśmiechnęła, czując, że za chwilę eksploduje z gorąca w ciepłej kurtce.

– A dlaczego mama Krysi jest łysa? Bo ona nam nie chce powiedzieć. – Ośmiolatka patrzyła wprost na Annę, wystawiając ciekawską twarzyczkę.

Ależ bym ci ją obila – pomyślała Anna. – *Zresztą, nie muszę. Sama sobie ją niedługo wypacykujesz, będziesz znikać na całe noce, szybko zaciągniesz, a potem będziesz maskować kolejne siniaki.*

– A ty nie byłaś na lekcji? Jak mama Krysi o tym opowiadała? Bo jest ciężko chora – odpowiedziała dziewczynce. – I powiem ci, kochanie, że to jest dosyć niegrzeczne, a wręcz nawet bezczelne zachowanie, pytać o czyjś kłopot. Musisz się chyba nauczyć mieć trochę więcej taktu.

Delikatności, jeśli nie znasz słowa takt.

– Co pani, będzie mi tu dziecko pouczać. – W drzwiach popchnęła

lekko Annę laska na wysokich szpilkach, z bardzo długimi nogami, bardzo chudymi, i w bardzo kusej spódniczce wystającej spod krótkiego futerka. Makijaż był gustowny, za to usta napęczniałe.

Jezus Maria, kto jej to zrobił – pomyślała Anna. – *Pewnie najdroższy chirurg plastyczny w okolicy.*

– Będę, proszę pani, bo obraża moją siostrzenicę zadawaniem bezczelnych pytań. Jeśli pani nie wie, to osoby poddane chemioterapii, chore na raka, ciężko chore, cierpią między innymi na wypadanie włosów. Są łyse, mówiąc inaczej. Drażnienie tego tematu, szczególnie publiczne, może zostać uznane za bezczelne przez osoby chore i ich otoczenie. I tak się właśnie dzieje w tym przypadku. Więc może wytłumaczy pani swojej córce, że warto zastanowić się, zanim wejdzie się komuś z butami w jego delikatne sprawy.

Kobieta prychnęła.

– Chodź, kochanie – powiedziała do dziewczynki w zielonej spódniczce.

Anna myślała, że mała pokaże jej język przy wyjściu. Ale nie. Mała popatrzyła na nią uważnie, zatrzymała się. Wyrwała rękę matce i podeszła do Krysi.

– Trzymaj się – powiedziała, wystawiając rękę. Krysia ją uścisnęła.

Dlaczego tak oceniłam tę małą? To tylko dziecko. Czego ja wymagam, do licha? Ma matkę, jaką ma, pewnych rzeczy może nie wiedzieć. Byłam okrutna.

Anna była okrutna, ale się myliła. Dziewczynka w zielonej spódniczce tak bardzo napatrzyła się na to, jakich sztuk bliskich charakteryzacji dokonuje jej matka, aby ukryć siniaki, że nigdy nikomu nie dała sobą pomiatać.

– Ciociu, ale nic nie mów. – Krysia spuściła głowę. – W domu. I w przedszkolu też nie.

Mała aktoreczka – pomyślała z uśmiechem Anna. Kiwnęła jednak potakująco.

Krzyś nawet nie zauważył, że jego siostra była bez plecaka.

– Babcia! – Pobiegnął do Krystyny zaraz po przyjeździe do domu.

– Ręce myjemy, obiad!

– Ja jadłem – odpowiedział Krzyś.

– I ja! – dodała Krysia.

Anna spojrzała na nią i mała od razu ruszyła do łazienki. Obiad zjadła bez słowa protestu. Pomiędzy zupą a drugim Anna powiedziała:

– Po obiedzie jedziemy z Krysią do sklepu. Jeszcze zanim pojedziemy do mamy.

– Do jakiego sklepu? Wszystko w domu mamy – odpowiedziała sucho Krystyna.

– Do specjalnego. Z Krysią.

Krystyna wzięła głęboki oddech.

– To nasza tajemnica. – Anna uprzedziła jej wypowiedź. Mrugnęła do dziewczynki.

– Jedziemy wszyscy – powiedziała stanowczo Krystyna. Najwyżej my poczekamy przed sklepem, ale jedziemy wszyscy.

W samochodzie Krysia bez prośzenia usiadła, zapięła pas i czekała, aż ciocia ruszy. Chłopcy rozrabiali.

– Chyba wiem, gdzie jest sklep, którego szukamy – powiedziała Anna.

Zaparkowała przy najbliższym centrum handlowym. Nie знаła jego rozkładu, wiedziała tylko, że jest tam ten sklep. Błądzili chwilę. W końcu, już trochę zmęczeni, znaleźli.

Krysia aż podskoczyła. Anna się uśmiechnęła. Pozwoliła dziewczynce wybierać do woli. W końcu mała zdecydowała się na szeroką, srebrną, całą oklejoną brokatem opaskę do włosów. Ozdabiały ją srebrne kwiatki i liczne dzęty.

Najwysmienitszy okaz dostępnego kiczu – pomyślała Anna, płacąc.

– A Krzyś i Miłosz? – zapytała.

– Ja już wybrałem. – Krzyś pokazał halloweenową figurkę z wyprzedaży.

Annę zatkało.

– Krzysiu, może wybierz coś innego. To jest... – Szukała odpowiedniego słowa.

– To jest ohydne. – Krystyna wyręczyła córkę.

– Ja chcę to! – Krzyś skrzywił się i schował figurkę za siebie.

– Dobrze, kupimy to – powiedziała Anna uspokajająco. –

A Miłosz?

Miłosz wybrał oczywiście taką samą figurkę. Anna westchnęła.

– Ciociu... – Krysia popatrzyła prosząco.

– Tak? – Anna w pierwszym momencie się nie zorientowała. Mała wskazała palcem za siebie.

– Jasne. Ale na krótko – powiedziała ciotka, prowadząc gromadkę w stronę małej kawiarni.

Solidarnie zamówili wodę.

– Okropność – powiedział z powagą Krzyś.

– Słucham? – jednocześnie odpowiedziały Anna i Krystyna.

– Ta słomka ma ohydny kolor.

– Wymienimy? – zapytała Anna, tłumiąc uśmiech.

– A ja bym chciała ciastko.

Anna spojrzała na wywieszony cennik. Za jeden kawałek marchewkowego ciasta w domu upiekłaby całą blachę.

– Kysiu, elegancka kobieta musi być szczupła. Nie objada się ciastkami.

– A babcia to jadła ostatnio ciastko! – powiedziała mała z pretensją.

– No wiesz, zdradziłaś mnie! – Krystyna się oburzyła. – To miała być nasza tajemnica!

Chwilową ciszę zakłócał tylko szum klimatyzacji. Anna potarła ramiona.

– Dziwne to – powiedziała Krysia.

– Co jest dziwne? – równocześnie zapytały Anna z Krystyną.

– Dziwne jest to, że wszyscy dorośli chcą mieć swoje tajemnice.

Nie wiem, czy chcę być dorosła.

– O Jezu – jęknęła Krystyna, kiedy całą rodziną wychodzili już z centrum handlowego.

– Gorąco. – Uśmiechnęła się Anna.

– Gorąco? To jest ukrop! – Krystyna się skrzywiła.

– A ja lubię ciepło – powiedziała przekornie Krysia.

– Ja też, ale nie wiem, czy aż takie – powiedziała Anna, otwierając drzwi samochodu. Parking był ogromny, niezadaszony, bez jednego drzewa.

Mała zatrzymała się przed autem.

– Może otworzymy drzwi na oścież, niech się trochę przewietrzy –
dopowiedziała Anna.

Gdy wsiedli, wszyscy byli skwaszeni.

– Ciągłe coś, ciągle coś – marudziła Krystyna.

– Mamo, co znowu?

– Klimatyzacja u ciebie nie działa! – odburknęła starsza pani.

– Działa, tylko poczekaj chwilę.

– U Mateusza działa od razu!

– Mateusz to jeździ nową służbową bryką, a ja mam
dwunastoletnie punto. – Anna się zirytowała.

– Babciu, to ten wiadukt mi pokazywałaś z okna w szpitalu? Ten,
ten? – Miłosz im przerwał.

– Tak, już blisko – wydyszała ostentacyjnie Krystyna.

– Do mamy, do mamy. – Krzyś podskakiwał w foteliku.

– Siedź grzecznie, nie wolno się wiercić! Pas jest po to, żeby cię
dobrze trzymał. – Krystyna strofowała wnuka.

– Ale my wszyscy się cieszymy, że jedziemy do mamy. – Krysia
wzięła brata w obronę.

– Wszyscy, oczywiście. Ja też. Ale podskakiwanie w czasie jazdy
nie pomaga. Zresztą, zaraz będziemy na miejscu.

I ja chciałam mieć trójkę dzieci? – pomyślała Anna na parkingu
przed szpitalem.

– Krysia! Miłosz! Krzyś! – wołała Krystyna naprzemiennie.
Dzieciaki ganiały się wokół samochodu, ignorując babcię.

– Mamo, chodźmy. Pójdą za nami – powiedziała Anna.

– Kto to widział! Żeby do dzieci mówić po pięć razy! To jakieś
niewychowanie zupełne jest! Muszę się wziąć za te dzieciaki, bo na kogo
to one wyrosną! – Krystyna mamrotała tak jeszcze po wejściu do
budynku. Dopiero w windzie przycichła.

Anna się wyłączyła.

– Mama! – Krzyś wpadł po chwili do pokoju Renaty jak torpeda.
Od razu wpackował się na łóżko.

– Posuń się! – Zażądała zdyszana Krysia. Nie mogła dogonić brata
na korytarzu i wbiegła kilka sekund za nim. Zajął jej zdaniem
najwygodniejsze miejsce na łóżku mamy.

– Kochani, doktor nie pozwala tu siadać – powiedziała Renata, uśmiechając się. – Pomóżcie mi usiąść – poprosiła Annę.

Oparła się o podsuniętą przez siostrę poduszkę. Była blada i spocona.

– Kochane moje. – Chora przytuliła dzieciaki. – I Miłoszek! Jak dobrze, że jesteście. I mama, dziękuję.

– Nie dziękuję, dziecko, tylko idź, ręce umyj, zupę ci przywiozłam.

– Czyste mam – odpowiedziała Renata. – Nie mogę tak często do łazienki biegać, w głowie mi się kręci.

– Ty to pomysły masz. Albo jeść nie możesz, albo w głowie ci się kręci. No już, dzieciaki, schodzić, mama będzie jadła.

– Mamo, nie będę jadła. Nie mogę. Strasznie tu gorąco.

– Okno jej otwórz. – Krystyna poleciła Annie.

– Mamo, a ciocia zobacz jakie ładne mi kupiła – powiedziała Krysia, zdejmując opaskę z włosów.

– Ciocia ci takie kupiła? – Renata się zdziwiła. – Takie – spojrzała na siostrę – świąteczne?

– Krysia wybierała. – Anna się usprawiedliwiała.

– A nie mogłaś wybrać czegoś bardziej gustownego? A w ogóle, zamknijcie to okno. Nie czujecie, jak tu okropnie wieje? Chcecie, żebym na przeziębienie umarła?! – Renata zakończyła zdanie, krzycząc.

Krysia zrobiła podkówkę. Krzyś patrzył na matkę wytrzeszczonymi oczami.

– Już zamykam, nie denerwuj się – powiedziała zdziwiona Anna.

– Co ty tak krzyczysz? Zupę lepiej zjedz. I na dzieci mi tu nie krzycz – stanowczo powiedziała Krystyna.

– Co wy mi tu! Nikt nie wie, jak to jest. Jak to jest być chorym, nic nie móc, i tylko leżeć jak głupek jakiś. Jak ostatnia, nikomu niepotrzebna debilka. Jestem już prawie trupem, wiecie? Jestem tylko rozkładającym się mięsem. Beznadzieja, wiecie to? Chujnia z grzybnią! – Zakończyła z satysfakcją.

– Coś ty powiedziała? – zapytała, cedząc słowa Krystyna. Przerwała w ten sposób klejące jak budyń milczenie.

– Że jesteście ślepi. Że nic nie rozumiecie. Złaźcie stąd. – Machnęła w stronę dzieci. – Ciężko mi, zajmujecie mi łóżko. To już

ostatnie, co mam, łóżko. – Zaśmiała się chrapliwie. – Łóżko, kurwa, łóżko! – krzyczała Renata.

Anna wypadła z pokoju, ciągnąc za sobą dzieci. – Poczekaście tu – powiedziała do maluchów, zostawiając je we wnętrzu. Popędziła w stronę dyżurki. – Siostró! Siostró! – krzyczała z daleka.

Z pokoiku wyjrzała pielęgniarka. Nie lubiła przerywania południowej kawy. Jej świętego momentu spokoju. Wyraźne niezadowolenie ulotniło się z jej twarzy, gdy zdała sobie sprawę, z której sali wybiegła Anna. Ruszyła korytarzem. Po drodze zajrzała do jeden z sal.

– Olka! Do dwójki! – krzyknęła tylko od drzwi, a zakładającej właśnie wenflon pielęgniarce zadrżała ręka.

– Zaraz będziemy kłuli jeszcze raz – powiedziała spokojnie, wstając. Zabrała igły i wyszła spokojnym krokiem. Za drzwiami ruszyła szybciej. W dyżurce zostawiła wszystkie akcesoria i pobiegła za koleżanką.

– Natychmiast! Natychmiast!

W życiu nie słyszałam mojej siostry tak wrzeszczącej – pomyślała. Zadzwoiła do Mateusza. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Ograniczyła się do „Przyjeżdżaj natychmiast. Chyba coś jest źle”. W zamierzeniu miał to być komunikat wyważony, w praktyce wyszedł panicznie.

– Wejść tam – powiedziała Krystyna, wskazując drzwi. Siedziała z dziećmi we wnętrzu. Ona na jedynym krześle, maluchy tłoczyły się na parapecie.

– Spokojnie, zaraz zrobimy wypis – uspokajająco mówiła pielęgniarka. Na tyle cicho, że Anna usłyszała ją dopiero po otwarciu drzwi. – Przyjdzie lekarz, wszystko załatwimy.

– Właśnie. Lekarza! Anka, załatw tu lekarza! Te piguły to kretyнки. Nic nie wiedzą. Tylko lekarz i lekarz. Niech tu przyjdzie wreszcie ten konował!

Anna bezradnie popatrzyła na pielęgniarki. Nie okazywały emocji. Wyprosiły Annę, gdy wszedł lekarz.

Wszedł, jak wszedł. Bez słowa. Anna złapała jedną z pielęgniarek za rękaw. Zanim zadała pytanie, pielęgniarka spojrzała chłodno na jej

rękę. Anna puściła biały materiał.

– Proponuję – powiedziała kobieta bezosobowo – abyście państwo pożegnali się obecnie z chorą i pojechali do domu. To chwilowe pogorszenie. Pacjentka dostała leki i teraz musi odpoczywać.

– Chwilowe – wyszeptała Anna – pogorszenie.

Pielęgniarka strzepnęła z siebie niewidoczny pyłek w miejscu, w którym wcześniej dotykała jej Anna. – Tak – potwierdziła.

W samochodzie Krzyś zasnął. Krysia zamknęła oczy i chociaż nie spała, milczała. Stan niezwykły dla tej dziewięciolatki. Miłosz wprawdzie nie spał, ale również w milczeniu kontemplował gęsty warszawski ruch uliczny. Anna, zamyślona, zgubiła drogę.

– No co ty. Nie tędy! – zasyczała Krystyna.

– Przepraszam – powiedziała Anna, spoglądając na matkę z wyrzutem. – Tak się tylko zamyśliłam. O siostrze. Własnej. Rodzonej, jedynej.

– A ja o swojej córce – powiedziała chłodno Krystyna. – Nie jedynej. I chcę, żebyśmy dojechali szczęśliwie do domu, żebyśmy mogli porozmawiać o tym, jak tej starszej pomóc.

– Mamo, możemy z dziadkiem pograć w karty? Pozwól, proszę, pograć w karty! – powiedział Miłosz, gdy dojechali na miejsce.

– Karty? – zapytała Anna ze zdziwieniem. – Tak. Oczywiście – odpowiedziała odruchowo.

Weszła do kuchni za Krystyną. – Mamo, przestań się na mnie wyżywać.

– O co ci chodzi? – Krystyna odwróciła się do córki znad zlewu. Myła mięso.

– O to, że jestem ułomna. Nie wyobrażałam sobie, że Renata może tak wyglądać. Jak ćwiartka siebie. Że może się tak zachowywać. Ja wiem, to choroba, ale nie pojmuję tego. Nie jestem w stanie zrozumieć. Nie jestem tak perfekcyjna jak ty. Jeszcze nie zdążyłam wejść do domu, ty już jesteś w połowie przygotowywania obiadu.

– Idź, zajmij się dziećmi. – Krystyna westchnęła.

Anna się odwróciła i bez słowa wróciła do przedpokoju. Odłożyła wciąż trzymaną kurtkę. Poszła umyć rękę.

– Ty się zajmij dziećmi, a ja będę pracować – powiedziała w tym

czasie Krystyna do siebie.

– Co wy robicie? – Dobiegł do niej po chwili krzyk Anny.

– Przecież się zgodziłaś. – Krystyna usłyszała z kuchni zdziwiony głos małżonka.

– Na co się zgodziłam! Na granie w karty? Czego ty uczysz dzieciaka, tato!

– Nam się podoba – wtrąciła nieśmiało Krysia.

– No w życiu! – powiedziała Anna stanowczo, wrywając dzieciom karty z rąk. – Tato, oddaj. – Stała przed ojcem w dziwacznej pozie, z prawą nogą wysuniętą do przodu.

Ojciec machnął ręką.

– Oddawajcie karty. Mama ma rację – powiedział.

– To nie mama, to ciocia – odparowała Krysia.

– Właśnie, że mama! – zaprotestował Miłosz.

– Ciocia!

– Mama!

– A może zagramy w chińczyka? – wtrącił dziadek, kończąc spór.

– A ręce to chociaż umyłście? – dopytywała Anna.

Miłosz bez słowa wstał i skierował się do łazienki. Krysia założyła ręce na piersi. Krzyś nie usłyszał.

Co się będę z dzieciakiem klócić – pomyślała Anna. Wyciągnęła książkę z torby, usiadła na środku dywanu. Zanim Miłosz wrócił, rozpoczęła czytanie. Krysia wciąż siedziała naburmuszona na kanapie, odwrócona bokiem, prawie tyłem do Anny i jej czytania. Krzyś przysunął się do ciotki, żeby lepiej słyszeć. Miłosz wpadł na dywan z głośnym „mama czyta!” i przywarł do czytającej całym ciałem. Wtedy Krysia także zeszła z dywanu i cała trójka ciasnym wiankiem otoczyła Annę.

Ojciec wstał niepostrzeżenie z kanapy. Anna usłyszała z kuchni lakoniczne: „Żle”, wypowiedziane przez Krystynę pomiędzy stuknięciami szuflad.

– Od dawna jest źle – odpowiedział Zenon.

– Lekarz powiedział, że to pogorszenie.

Nie lekarz, tylko pielęgniarka. Lekarz to nawet nie raczył do nas ust otworzyć – pomyślała Anna.

- To kiedy wreszcie wyjdzie?
- Zapytaj lekarza – odpowiedziała Krystyna.
- Ten lekarz jest nieodpowiedzialny. To bez sensu – mówił Zenon.
- Komplikuje nam wszystkim życie, trzymając Renatę tak długo w szpitalu. To okropne. Ona ma rodzinę, dzieci, my też mamy swoje sprawy. Renata musi szybko wrócić i zająć się domem. Ile czasu można spędzać w szpitalu? To bez sensu.
- Nie wiem, pojedź do szpitala i wszystkiego się dowiedz – powtórzyła Krystyna.
- A pojedę. Żebyś wiedziała. – Uniósł się. – Jutro pojedę i rozmówię się z tym lekarzem. Tak nie może dalej być! Oni tam jakieś eksperymenty na niej robią, na mojej córce przeprowadzają, a tu dzieci czekają na matkę.
- Zenon wyszedł z kuchni, mamrocząc.
- Siadaj i jedz. – Krystyna przerwała mu siedzenie na kanapie, urozmaicone wpatrywaniem się w okno.
- Anna, zawołaj wszystkich na kolację.
- Rodzina schodziła się powoli. Dzieci były osowiałe, Anna skubała sałatkę. Eryk pił tylko herbatę. Większość jedzenia została na półmiskach. – To po to się narobiłam? Po to? – Krystyna stanęła nad dziećmi z rękami opartymi o biodra.
- Ja chcę, żeby mnie tata przytulił – zapiszczał Krzyś.
- Kiedy będzie tata? – Krysia dołączyła.
- Chodźcie, pobawimy się. Zagramy w coś – powiedział Eryk.
- W chińczyka? – z nadzieją zapytał Krzyś.



Mateusz odebrał telefon w przerwie spotkania. W firmie jak dotąd niewiele osób wiedziało o chorobie Renaty. Krążyły jakieś plotki, ale jak to z plotkami bywa – wszyscy słuchali, mało kto wierzył. Dlatego informacja o konieczności przerwania spotkania i przełożenia go na inny termin została przyjęta z niedowierzaniem, a wręcz niechęcią.

– Przecież nie rodzi? Ta jego żona? Nie była w ciąży? – pytali jedni.

– Nawet jakby była, to bez niego też urodzi. Spotkanie powinien skończyć i dopiero wyjechać z firmy.

– Nieodpowiedzialny, po prostu. – Jeszcze inni wzdychali.

– Jak to mało o człowieku wiadomo. Taki solidny się wydawał...

Konkurent do wymarzonego przez Mateusza stanowiska natychmiast ruszył do prezesa.

– Tyle przygotowań. Ludzie zarezerwowali czas. Czas przecież to dobro limitowane. Co byś zrobił, gdybym to ja tak nagle odwołał spotkanie? Na pewno obciąłbyś mi premię! Takie są konsekwencje niesubordynacji, prawda? – drażył.

Prezes wysłuchał go i powiedział:

– Podejmę decyzję.

Na jego miejscu mazałbyś się całymi dniami, a nie pracował – pomyślał prezes.

Mateusz wsiadł do samochodu. Siedział w klaustrofobicznym półmroku, rozświetlanym zepsutą jarzeniówką. Klik – jest trupie światło. Klik – półmrok. Najbliższa świetlówka osiem metrów dalej. Klik.

Życie jest, życia nie ma – myślał Mateusz. – *Szczęście jest, szczęścia nie ma.*

Potem pędził przez ulice Warszawy. To znaczy chciał pędzić. Ruch był gęsty, zakorkowane skrzyżowania nie pozwalały na łamanie przepisów.

Skrzydeł, dajcie mi skrzydeł.

Chciał wbiec do sali numer dwa, objąć żonę, przytulić. Zobaczyć w jej oczach miłość, ukojenie. Spokój. Ułożyć ją wygodnie na poduszkach i trzymać za rękę. Zatrzymał się w drzwiach.

Renata szarpała się z pielęgniarką. Zakładała spódnicę na lewą stronę. Miała na sobie bluzkę, krzywo zapiętą na dwa guziki. Spod spódnicy wystawały majtki i rajstopy. Właściwie jedna nogawka, po drugiej deptała. Mateusz się rozejrzył. Torba, w którą Renata zawsze tak starannie wkładała swoje rzeczy, była wywrócona, rozbebeszona. Pielęgniarka uspokajała chorą słowami, ciągnęła ją w stronę łóżka. Gdy zobaczyła Mateusza w drzwiach, powiedziała tylko:

– Ciężka przeprawa dzisiaj.

– Renatko, co jest? – powiedział spokojnie Mateusz, uśmiechając się.

– Ona mi nie pozwala wyjść do domu, wyobrażasz sobie? Już powiedziałam lekarzowi, że się wypisuję. Tabletki to ja mogę brać w domu. A tutaj co – raz dziennie mi pobiorą krew i dwa razy zmierzają temperaturę. W dupie mam takie leczenie, słyszy pani? W dupie! – krzyczała.

Mateusz podszedł do Renaty, rozłożył ramiona.

– Renatko, rajstopy ci niepotrzebne, za gorąco jest – powiedział.

Uspokoila się. Usiadła na łóżku, dała ściągnąć z siebie niepotrzebne rajstopy.

– Widzisz, nawet tego mi nie powiedziała, wiedźma. Że za ciepło jest! – Renata spojrzała na pielęgniarkę.

Siostra zbierała porozrzucane rzeczy. Podniosła kołdrę, przesunęła torbę, wkładała do niej ubrania, które Mateusz stopniowo zdejmował z żony. Renata już leżała, wyczerpana atakiem, trzask zasuwanego zamka ją wybudził.

– Niech się pani wynosi! Nie potrzebuję piguły, co to nawet nie potrafi pomóc się ubrać! Wynocha!

– Już dobrze, już dobrze. Poszła już – szeptał.

– Poszła, na pewno? – zapytała Renata podejrzliwie.

– Poszła, poszła. – Mateusz głaskał żonę po głowie, całował po rękach, po twarzy. Usiadł na łóżku.

– Zmęczyłam się – powiedziała Renata sennie.

– Odpocznij teraz. – Uśmiechnął się.

– Teraz muszę odpocząć – potwierdziła stanowczym skinieniem. – Ale ja już chcę do domu. – Miała głos rozkapryszonej księżniczki. – Już nie chcę być w tym szpitalu. To okropne miejsce, wiesz? Okropne. Ja już chcę odpocząć. Jak na tej łące, pamiętasz?

– Na jakiej łące?

Renata nie słuchała męża.

– Na tej łące, co tak kwitły mlecze. Cała była żółta. Robiłeś wtedy zdjęcia. Została ostatnia klatka. To ostatnie było z łąki z mleciami. Chcę tak odpocząć. Jak tam. Poleżeć na łące.

– Mleczce już nie kwitną, Renatko. Jest czerwiec.

– I żeby dzieci były. – Wciąż go nie słuchała. – Krzyś się przytuli, i Krysia, a Eryk będzie siedział obok i będzie nam czytał. On ładnie czyta. A ty będziesz robił zdjęcia. Tak będzie dobrze, tylko zabierz mnie z tego szpitala, proszę, ja już tu nie mogę. Męczę się. Okropnie się męczę. Zabierz mnie. Na łąkę. – Głos Renaty przycichł. Mateusz położył się obok. Objął ją mocno. Renata spała, a on tak leżał, chłonąc jej ciepło i szukając znajomego zapachu, przytłumionego przez zapach lekarstw.

Po czterdziestu minutach pielęgniarka otworzyła cicho drzwi. Za nią stał zdyszany ksiądz. Miał ze sobą torbę, na którą Mateusz nie zwrócił w pierwszej chwili uwagi.

Uśmiechnął się blado, wstając delikatnie z łóżka. Renata się przebudziła.

– O, ksiądz – powiedziała obojętnie.

– Niech będzie pochwalony – odrzekł kapłan.

– Na wieki wieków amen – odpowiedział odruchowo Mateusz.

Renata się nie odezwała.

Ksiądz bez słowa podszedł do małego stolika, postawił na nim torbę. Mateusz poczuł przerażenie, jakby miał uczestniczyć w egzorcyzmach.

– *Per istam sanctam unctionem* – szeptał kapłan, namaszczając czoło Renaty.

Mateusz stał obok, oddychał przez usta. W sali dominował zapach potu, nie pomagało nawet otwarte okno. Powietrze stało.

Renata spokojnie patrzyła w oczy kapłana, gdy odwracał jej dłonie i dotykał ich wnętrza. Oddychała szybko, zmarszczyła czoło.

– Co ksiądz? – wyszeptała, ale nie skończyła zdania. – Pić – powiedziała po chwili.

Mateusz podsunął jej plastikową butelkę z wodą, ksiądz stanął z boku, szepcząc cały czas modlitwy. Mateusz uniósł Renatę, oparł o poduszkę i wlał odrobinę wody do ust. Wypłynęła bokiem.

– Nie mogę – wyszeptała.

– Proszę zwilżać żonie usta. Co kilka minut. Ma problemy z przełykaniem – skomentowała pielęgniarka.

– Zimno mi – powiedziała chora wyraźnie.

– Już, kochanie, rozmasuję cię. – Mateusz wsunął dłonie pod kołdrę żony. Jej skóra była lodowata, ale spocona. Mateusz odsunął kołdrę i powiedział do pielęgniarki, przełykając ślinę po każdym wyrazie: – Ona... proszę... spojrzeć... sinieje.

– Proszę zwilżać żonie usta – powtórzyła pielęgniarka.

Do zapachu potu doszedł intensywny zapach amoniaku.

Renata wyszeptała imię Mateusza. Wargi miała wciąż spierzchnięte, popękane.

Mateusz się uśmiechał. Ponownie wziął chusteczkę, zwilżył jej wargi.

– Nic nie mów, kochanie, to cię męczy.

Renata z wysiłkiem pokręciła głową i znów coś wyszeptała. Pierś unosiła się jej ciężko, z trudem, coraz wolniej. Mateusz się pochylił.

– Dbaj o dzieci... – Usłyszał. – Masz się powtórnie ożenić...

– Renatko, co ty. – Uniósł głowę. Renata spoglądała na niego zapadniętymi oczami, jakby patrzyła z głębi czaszki.

Zamknęła oczy.

– Nie – powiedział Mateusz, kręcąc głową. Uśmiechał się, nie potrafił przestać się uśmiechać. Nie – powiedział głośnie. – Nie! – krzyczał po chwili. Odwrócił się, chwycił krzesło i rzucił nim w stronę okna. Szyba rozsypała się na tysiące błyszczących kamyków, nie budząc już Renaty.



Mateusz wrócił do domu około drugiej w nocy. Panowała cisza, zwykła wtedy, gdy domownicy śpią. Nie rozlegał się dźwięk telefonu, żaden niespodziewany odgłos nie zakłócał spokoju. Może tylko jakieś głośniejsze chrapnięcie, od czasu do czasu. Lub westchnienie dziecka śniącego o nowej zabawce. Tej nocy dzieciom śniły się prawie same przyjemne rzeczy. Krysia pławała się w zachwycie koleżanek, srebrna opaska lśniąca na włosach była atrybutem księżniczki. W tym śnie Krysia wprowadziła do szkoły nową, srebrną modę, i została jej

niekwestionowaną królową. Nosiła srebrną, odbijającą światło sukienkę i wcale nie wydawała się w niej za gruba, jak kiedyś twierdziła złośliwie koleżanka. Do kompletu miała srebrne buciki z paskiem, dokładnie takie same jak komunijne. Różniły się tylko kolorem. We śnie namawiała mamę na zakup srebrnych rajstopek. Mama nie chciała się zgodzić, zaczęła krzyczeć. To nie było przyjemne, Krysia przebudziła się na chwilę, rozejrzała i zasnęła znowu. I znów była królową srebrnego.

Krzyś, w odróżnieniu od innych sześciolatków, nie śnił o samochodach. Tej nocy ogrywał dziadka w karty, a ciocia z mamą przyglądały się temu przyjaźnie. Potem mama znikła, z daleka dochodził jej krzyk, ale ciocia uspokajała Krzysia we śnie.

Eryk zasnął z książką w ręku. Zsunęła się na podłogę, wybudzając chłopaka. Zamknął ją, zgasił światło i do rana spał niemal bez ruchu, przykryty samym prześcieradłem.

Krystyna od czasu do czasu pochrapywała przez sen, nic się jej nie śniło, za to śpiący obok Zenon budził się często. Wydawało mu się, że ktoś chodzi po domu. *To tylko niedomknięta moskitiera* – myślał i znów zapadał w dobry, spokojny, chociaż krótki sen.

Anna odruchowo przytulała Miłosza. Sama spała spokojnie, dziecko się rozpychało. W objęciach mamy było mu gorąco, ale odwracał buzię w stronę Anny, szukając nieświadomie jej zapachu. Mały śnił o huśtawce na placu zabaw, mama – śmiejąc się – wprawiała huśtawkę w ruch. Miłosz uwielbiał tę zabawę, przez sen śmiał się czasami, ale Anna się nie obudziła.

Mateusz siedział w salonie po cichu, bez ruchu. Niedomknięta moskitiera irytowała go, ale nie zamierzał jej zamykać. Było za daleko. Musiałby obejść stół, otworzyć okno, przyciągnąć siatkę naciągniętą na ramę. Za dużo ruchu. Było gorąco. Otwarte okno pomogłoby oddychać, ale nic z tym nie zrobił. Chciało mu się pić. Wody i wódki, wódki bardziej, ale nie wstał od stołu.

Mieliśmy wymienić te krzesła jesienią. Renacie się nie podobają – pomyślał. – Niewygodne, jak się na nich długo siedzi. Może i dobrze. Przynajmniej spędzamy czas w salonie, nie przy stole. Ładne nowe krzesła Renata wybrała. Czemu ich nie kupiliśmy?

Zapatrzył się w swoje odbicie w szybie. Smutny facet, w białej

wymiętej koszuli i garniturowych spodniach. Facet z ciekawością obserwujący otoczenie, bo takim go jeszcze nie widział.

Dziwnie wyglądam – rozmyślał. – Jakby coś się zmieniło. Zmieniło... Zmieniło. Nie poradzę... Renata...

Siedział wyprostowany na niewygodnym krześle. Raptem wydało mu się, że to krzesło jest jedynym dobrym miejscem do siedzenia. Do bycia. – *Nigdzie stąd nie idę* – pomyślał.

Rano Krystyna zastała go siedzącego na tym krześle. Ramiona przygarbione, głowa opadła na piersi. Nie chrapał, chociaż oddychał przez usta. Potem, po południu, wysuszone śluzówki zmieniły się w bolące gardło.

Krystyna obudziła zięcia o siódmej.

– Zaspałam – powiedziała. – Ciężki był wczoraj dzień. A ty tutaj co?

Nie odpowiedział. Popatrzył na nią nieprzytomnie i skierował się na górę, do sypialni. Położył się do łóżka, nie zdejmując ubrania. Chwycił poduszkę Renaty, objął obiema rękami i dalej spał.

Pił czy co? – pomyślała Krystyna, wstawiając wodę.

Anna zeszła po kilku minutach.

– Strasznie późno – powiedziała do matki. – Idź, dzieci przygotuj. Ja się obrobię ze śniadaniem.

Krzyś marudził przy śniadaniu, dziadek karmił go, tłumacząc zasady gry w brydża. Krysia poprosiła o dokładkę płatków, co chwilę macając srebrną opaskę na głowie. Eryk położył przy talerzu książkę do angielskiego, powtarzał słówka. Wprawdzie w szkole nie miał żadnych sprawdzianów, ale w przyszłym roku planował zdawać międzynarodowy egzamin. Chciał udowodnić tamtej Angielce, o której nie rozmawiał więcej z nikim, że jest kimś, i z nią czy bez niej sam sobie w Anglii poradzi.

– Przy jedzeniu się nie czyta. – Krystyna strofowała wnuka.

– Babciu, słówka powtarzam – odpowiedział.

– Zostaw chłopaka. – Zenon się wtrącił. – Niech się uczy.

Krystyna wzruszyła ramionami, niezadowolona.

Anna obudziła Miłosza dopiero wtedy, gdy już całe towarzystwo zostało rozwieszone. Według instrukcji Darii. Eryk do szatni, Krysia do

klasy, Krzyś do przedszkola. Wszystko zgodnie z planem, wszystko na czas.

Gdy o dziesiątej Mateusz ciągle spał, Krystyna postanowiła wkroczyć.

– Mateusz, wstawaj. Co to się dzieje dzisiaj z tobą. – Zapaliła światło w zaciemnionej sypialni.

Mężczyzna otworzył oczy. Nic nie powiedział.

– Do biura to ty dzisiaj nie idziesz? – mówiła dalej Krystyna, podnosząc rolety. Już późno.

Mateusz sięgnął po telefon. Była dziesiąta trzynaście. Kilkanaście nieodebranych połączeń. Odłożył telefon.

– Pić – powiedział cicho.

– Pić, pić. Zejdź na dół, to śniadanie dostaniesz.

Podeszła do niego. Zaniepokojona, dotknęła mu czoła.

– Ty masz gorączkę! Byłeś wczoraj u Renaty? Mam nadzieję, że jej nie zaraziłeś jakimś świństwem, dość się biedna musi naborykać z tym swoim rakiem. Zaraz przyniosę ci pić i jakiś ibum znajdę, albo coś. No to leż, odpoczywaj, tylko powiadom kogo tam trzeba u ciebie w firmie, żeś chory. Ja ci zaraz coś przyniosę, lekarza może wezwę, co? Rosółku przyniosę trochę, z wczoraj jeszcze został, Renata nie zjadła. W ogóle, to ona za mało je. Ale nic to, odpoczywaj, a ja...

– Renata nie żyje. – Mateusz w końcu jej przerwał.

– ...a ja przyniosę ci herbatę gorącą. – Krystyna skierowała się w stronę drzwi. Odwróciła się powoli. Stała chwilę, patrząc na Mateusza bez słowa.

– Moja żona nie żyje! – zawył Mateusz. – Nie żyje!

Krystyna się nie poruszyła. Przybiegła Anna, dołączył Zenon. Stali razem w drzwiach, zbici w grupę jak na obrazie flamandzkiego malarza. Mateusz siedział na łóżku, ubrany, spocony i blady.

– Nie żyje – powiedział już cicho i chłodno. Stanowczo, jakby sam siebie przekonywał.

Anna chwyciła rodziców za łokcie, sprowadziła na dół. Siedzieli na kanapie, ojciec podawał Krystynie chusteczki, których sterta rosła koło jej lewej nogi. Były mokre, oślizgłe, robiło mu się od nich niedobrze, ale nie próbował powiedzieć żonie: uspokój się. Tylko siedział i podawał

chusteczki.

Anna stanęła w kuchni. Patrzyła przez okno. Miłosz, zaniepokojony, trzymał się nogi matki. Odruchowo głaskała go po główce.

– Jadę po dzieci – powiedziała, chociaż nikt jej nie słuchał. Wzięła rączkę Miłosza, w samochodzie przypięła go staranniej niż zwykle, dwukrotnie sprawdzając mocowanie fotelika. Jakby dwie minuty jazdy miały o czymś stanowić. O życiu lub śmierci.

Śmierć nie była teraz słowem, które przychodziło jej na myśl. Śmierć była niczym, niczym powietrze. Anna nie przyjmowała jej do wiadomości. Było życie. Skraj lata. Jeszcze koniec wiosny. Zielono. Pachnąco. Uczulająco. Szkoła. Dzieci. Szalejące, biegające. Krzyczące. Życie. Życie. Życie we wszystkich odmianach.

Anna sprawdziła numer sali na wielkim planie wywieszonym przy drzwiach sekretariatu. Potem, trzymając Miłosza za rękę, wchodziła po schodach. Długo. Wszystko w tym momencie robiła długo. Jakby wolniej.

Krok Anny – krok Miłosza. Obcas – stuknięcie, mokasyn – plaśnięcie. Stuknięcie – plaśnięcie. *Dlaczego nie założyłam dziecku sandałów?*

Minęła kolejną tablicę z przyczepionymi tępych pinezkami pracami uczniów. O tym, że były tępe, Anna wiedziała od Renaty. Kiedyś Renata pomagała organizować szkolny kiermasz. Między innymi rozwieszała na szkolnych tablicach informacje – o zbiorce fantów, terminach, zaproszeniach, potem zdjęcia i podziękowania. Opowiadała Annie o tym, jak bolały ją palce i że nie powiesiła wszystkiego. Tępe pinezki nie wchodziły w twarde pilśniowe tablice i Renata nigdy więcej nie zgodziła się już pomagać w takich szkolnych sprawach.

Nigdy więcej – wyszeptała Anna.

Szła z synem, rejestrując każdy szczegół. Jak na zwolnionym filmie. *Slow motion*. Szaro-żółta lamperia, odpadająca farba w licznych miejscach uderzonych przez uczniów. Długi korytarz wyłożony kafelkami, część z nich popękała i odpadła, część była przyklejona szeroką, grubą taśmą klejącą. Na ścianach, po obu stronach, nad lamperią – galeria postaci. Kilkadziesiąt lat istnienia szkoły wyrażonych

niezliczonymi zdjęciami olimpijczyków. Mistrzostwa, konkursy. Na niektórych zdjęciach pryszczate twarze odwracały się wstydliwie w bok, jakby obawiając się wycelowanych paluchów rówieśników – kujon! Inni śmieszyli niezrozumiałymi fryzurami, minami. Geografia, historia, biologia, chemia. Polski, angielski, rosyjski. Szachy. Reszta sportów, z co bardziej efektownymi pucharami, wyeksponowana była przy gabinecie dyrektora. Anna widziała każdy utrwalony na zdjęciu dziwny nos. Nietypowe wykrzywienie warg, śmieszne nazwisko. Widziała też coraz większy, ogromny, przytłaczający numer dwadzieścia sześć, numer sali, do której zaraz miała wejść. Numer onieśmiał ją, żył i pulsował. Uśmiechał się przewrotnie, wrednie, zachęcał i odpychał. Numer dwadzieścia sześć z niej kpił.

Anna potrząsnęła głową. *Co mi jest?* – pomyślała i otworzyła drzwi. *Śmierć siostry mi jest* – przeleciało jej jeszcze przez głowę, gdy przekraczała próg.

Sala była duża, pamiętająca czasy jeszcze poprzedniej dyrekcji. Wprawdzie ściany zostały odmalowane na przyjemny, jasny i ciepły kolor, delikatnie wpadający w brzoskwinie, a okna wymienione podczas generalnego remontu elewacji trzy lata temu, ale klasa pozostała podzielona podwyższeniem, na którym stał potężny kloc. Dla większości nauczycieli pełnił funkcję po prostu biurka, ale powszechnie nazywany był katedrą. Z dawnych czasów pozostały archaiczne podłączenia do projektora, jakiś pulpit niby sterujący, ale nikt już nie pamiętał czym. Współcześnie wykorzystywane były wyłącznie gniazdka elektryczne.

– Tu trwa lekcja – odezwał się chrapliwym głosem chemik.

– Widzę – odparła Anna, pomagając Miłoszowi wspiąć się na stopień katedry.

Nauczyciel patrzył na nią wściekły. Anna się nie śpieszyła. Klasa czekała w napięciu.

– Proszę o zwolnienie i usprawiedliwienie Eryka.

– Kim pani jest? – Nauczyciel opanował wściekłość. Ograniczył się do wzruszenia ramionami.

Reszty rozmowy klasa nie słyszała. Anna podeszła bardzo blisko, szeptała. Mężczyzna pochylił głowę, niezadowolony, że musi ustąpić.

Nastolatki straciły zainteresowanie. Awantury nie będzie.

– Eryku, spakuj się – powiedział w pewnym momencie.

Ciekawość dorastających dzieciaków znów skierowała się na przybyłą.

Eryk był już spakowany. Zrobił to, gdy tylko zobaczył w drzwiach klasy Annę kurczowo trzymającą Miłosza. Jakby dziecko ją prowadziło. Chłopak wpatrzony w niesłyszalną konwersację – nie zamknął plecaka. Gdy wywołał go nauczyciel, podniósł się z krzesła z uczuciem suchości w gardle. Z plecaka wysypały się książki. Nikt mu nie pomógł, gdy niezgrabnie zbierał rozrzucone przedmioty.

Kolega od audi zrobił samolot z papieru. Puścił go w stronę Eryka. Trafił w ramię. Eryk się nie odwrócił. Na ogół denerwował się w sposób bardziej sprawiający koledze satysfakcję. Kolega był zawiedziony. Szturchnął więc linijką siedzącego przed nim kumpla.

– Czego? – warknął ten z przodu. Zrzynał akurat pracę domową na geografii.

– Ty, pa, ona ma za krótką kieckę, ta babka.

– Odwal się – odrzekł ten z przodu.

Wkurzony chłopak od audi wstał i powiedział głośno:

– Panie psorze, skoro Eryk wychodzi, to my wszyscy możemy?

Ktoś z trzeciej ławki od razu zamknął książkę.

– Siadać! – warknął chemik.

Anna wyszła, kiwając tylko nauczycielowi głową. *Po co mówić „do widzenia” człowiekowi, którego nie chce się nigdy więcej spotkać?* – pomyślała.

Anna z Erykiem wyszli w całkowitej ciszy, chociaż w głowach nastolatków wrzało. I ten nadmiar emocji nie przeszedł bez echa. Po południu chłopak od audi ukarał klasową oferme. Chłopaka, który nosił tenisówki z Auchan i bluzy z H&M. I uczył się dobrze. Rozkwasił mu nos i złamał łuk brwiowy. Nikt tego nie widział i nikt, pomimo dochodzenia, nie został w ostateczności ukarany.

Eryk zatrzymał się w korytarzu i poczekał, aż Anna zamknie drzwi klasy. Nie patrzyła mu w oczy. Kurczowo ścisnęła rękę Miłosza.

– Co się stało? – zapytał, a jego głos miał obce, chropowate brzmienie. Anna podniosła głowę, mrugała, ale nie otworzyła ust.

– Mama? – zapytał ponownie chłopak.

Anna kiwnęła głową.

Eryk ruszył przed siebie korytarzem.

Nie rozmawiali w samochodzie. Anna wysadziła chłopców pod domem, Eryk chwycił małego za rękę. Przez chwilę patrzyła, jak wchodzi do domu. Wyrośnięty chłopak, ze zbyt długimi rękami i chudymi nogami, w granatowo-czerwonych trampkach. Obok niego mały człowieczek, z rozczochraną blond czupryną i w trochę już ubrudzonym brązowym dresie.

Powinnam pójść z Miłoszem do fryzjera – pomyślała Anna.

Westchnęła i zawróciła.

Krysia przywitała ciocię z radością, Krzyś też. Po prostu cieszyli się, że już wracają do domu. Nauczycielki nie zadawały żadnych pytań, inne dzieci patrzyły na nie z zazdrością.

Anna prowadziła w milczeniu. Z naprzeciwka pomachał jej Gabriel.

Jadę dalej, nie mam ochoty na pogaduchy – pomyślała. Ale Gabriel zatrzymał się i cofnął. Nie wypadało jej jechać dalej. Wsiadła z auta.

Dzieci rozrabiały, nie słyszały rozmowy dorosłych. Ani nie zważały na ich poważne miny, na gest zasłonięcia ust, który bezwiednie wykonał Gabriel.

– Nie zdążyłam, wiesz... – zaczęła Anna. – Nie zdążyłam porozmawiać z siostrą. Chciałam jej różne rzeczy powiedzieć. I usłyszeć chciałam. Ale nie zdążyłam.

Anna nie patrzyła Gabrielowi w oczy.

– Chciałam jej powiedzieć, że zawsze wszystkiego jej zazdrościłam. Miała lepsze rzeczy, i miała je prędzej. Moje nigdy nie wyglądały tak pięknie jak jej. Wiesz, że nawet jej długopis pisał ładniej niż mój? – Anna spojrzała wreszcie na Gabriela. Przechyliła głowę w geście zdziwienia.

– Kiedyś miała lepsze ciuchy. I lepsze oceny. I fajniejszych przyjaciół. Teraz ma lepszego męża, więcej dzieci i fajniejszy dom. Lepsze życie.

Przerwała. Rozejrzała się.

– Miała – powiedziała i wsiadła do auta. Gabriel został na drodze,

patrzając na odjeżdżające auto.

– Mama! Mama przyjechała! – krzyknął Krzyś na widok torby, którą Mateusz przywiózł ze szpitala.

Krysia spojrzała na babcię i powiedziała:

– Płaczesz z radości? Bo mama przyjechała?

Krystyna pokręciła głową. Odpowiedział dziadek.

– Babcia płacze ze smutku. Bo mama odjechała. Odeszła na długo.

– Kiedy wróci? – zapytał Krzyś.

– Nie wróci, kochanie.

– Bo byłam niegrzeczna? – Krysia spuściła wzrok.

– Ależ skąd, kochanie – wtrąciła Anna. – Byłaś grzeczna. Jesteś grzeczna. I ty, i Krzyś, i Eryk, i my wszyscy. Dla nas mama chciała zostać, szczególnie dla ciebie, Krzysia i Eryka, ale nie mogła. Musiała pójść tam, gdzie już nic ją nie będzie bolało. Teraz nie będziemy jej widzieć, pożegnamy ją, jej ciało, ale jej myśli, dusza, to wszystko, co w niej najlepsze, będzie cały czas o was dbało. O nas.

– Czy mama umarła?

– Tak, kochanie.

– To znaczy, że poszła do Bozi? – uściślił Krzyś.

– Tak.

– Będzie jej tam dobrze?

– Tak.

– A, to dobrze – odpowiedział chłopiec.



Gabriel zawrócił, pojechał prosto do Darii.

– Renata nie żyje – powiedział w wejściu.

Daria stanęła w drzwiach do kuchni. Gabriel minął ją i usiadł na krześle. Na stole wciąż walały się okruchy po śniadaniu i wysychała plama rozlanego mleka. Patrzył przez okno bez firanki na uporządkowany ogród i świeżo posadzone drzewka.

– Klemens chce wrócić – powiedziała Daria.

- Klemens... – Gabriel zamilkł. Odwrócił się do niej. – A ja?
- Bo ja wiem. – Daria wciąż stała w drzwiach.
- Daria, ale... ja... się zaangażowałem.
- I to jest właśnie problem. – Podeszła do niego. – Bo ja też.

I dziewczynki też. Chociaż tęsknią do taty.

Gabriel objął ją w pasie. Głaskała go po głowie, łapiąc na palec kręcone kosmyki.

- Daria, mam wyjść? Wyjść i nie wracać?
- Nie, nie masz. Właśnie o to chodzi, że nie masz.
- Właśnie sobie uświadomiłem, że gdy wyobrażam sobie swoje przyszłe życie, widzę ciebie. Nie chcę już nikogo innego. Tylko... nie będzie łatwo.

– Dziewczynki, dziadkowie. – Daria przytaknęła. – Nie będzie łatwo.

- Ale chcesz?
- Ale chcę. – Uśmiechnęła się.
- No i teraz trzeba pomóc Mateuszowi – powiedział Gabriel.
- Jemu nie da się pomóc. Można odwozić dzieci, zrobić zakupy, dopilnować odrobienia lekcji. Ale nie da mu się pomóc. – Westchnęła, po czym się rozplakała.

– Muszę jechać – powiedział Gabriel po półgodzinie.

– Wiem – odpowiedziała, próbując się uśmiechnąć.

Wyszła z domu, jak tylko Gabriel wyjechał. Zadzwoiła do furtki, chociaż od jakiegoś czasu miała klucze. Mateusz otworzył i powiedział:

– Renata... – I wzruszył ramionami.

– Wiem – odpowiedziała Daria.

Sama powiesiła w szafie kurtkę, ustawiła równo buty. Nie powiedziała „dzień dobry”, tylko skierowała się prosto do kuchni i wstawiła wodę. Przygotowała wielki czajnik herbaty i drugi, z kawą. Wciąż bez słowa postawiła je na stole. Zabrała się za szykowanie obiadu.



– Co za różnica, jaki to będzie zakład pogrzebowy. – Wzruszył ramionami. Ten gest często towarzyszył mu w ostatnich kilku dniach.

– Nie możesz podchodzić do tego tak obojętnie. – Krystyna kłóciła się z zięciem.

– Mamo, wszystko teraz jest mi obojętne – odpowiedział Mateusz.

– Nie kłóćcie się. Ja już wszystko załatwiłam – powiedziała Anna.

– Jak to, załatwiłaś? – Krystyna się zdenerwowała. – A kogoś zapytałaś o zdanie?

– Mamo, załatwiła, to dobrze. Przestań. Nie ma znaczenia, jaki to będzie zakład. Ani jaka będzie trumna. Ani jak będzie ubrana. Nie ma – powiedział spokojnie Mateusz.

– Zjedzcie coś – wtrąciła Daria.

– Dziękuję – odpowiedział automatycznie Mateusz, sięgając po łyżkę.

– To pewnie Gabriel – powiedziała Daria, odstawiając ostatni półmisek na stół.

– Albo moja matka – odpowiedział Mateusz.

– W końcu powiedziała, kiedy przyjedzie? – W głosie Krystyny słychać było sarkazm.

– Nie – odpowiedział Mateusz. – Ale kiedyś przyjedzie. Być może dopiero na sam pogrzeb, nie wiem.

– Lepiej późno niż później. – Krystyna skomentowała cierpko.



Daria otworzyła drzwi w dresie. Kiwnęła głową na powitanie.

– Nie za późno? – zapytała Anna matowym głosem.

Daria pokręciła głową.

– Za późno to jest dla Renaty. Nie zdejmuj.

Anna ściągnęła jednak baleriny.

– Zmarzniesz – rzuciła Daria i weszła w głąb domu.

– Nie mam z kim pogadać – powiedziała Anna.

Usiadły przy stole.

– Ogarnę trochę. – Daria się zreflektowała. Starła blat, wstawiła wodę.

– Ja to bym się raczej tego napiła – powiedziała Anna, stawiając butelkę na stole. Daria się zastanowiła. – To będzie potrzebne inne szkło.

Wrzuciła ścierkę do zlewu, sięgnęła do szuflady. Długo grzebała, zanim wyciągnęła w stronę Anny korkociąg.

– W razie czego mam jeszcze kilka butelek. Mogą być? – Pokazała Annie dwie niezbyt głębokie szklanki. – Kieliszki mam wysoko.

– Spoko.

Wypiły w milczeniu pierwszą szklanę. Daria naląła następną.

– Tam tylko żałoba.

– Musi być żałoba.

– Matka siedziała na kanapie i chlipała. W porywach wyła.

Zawiozłam ją do lekarza, dał leki uspokajające, to teraz przywarła do kanapy jak katatoniczka. I od czasu do czasu chlipie, tylko rzadziej.

Dzieciaki chowają się po kątach, przestraszone. Podobno jest gdzieś życie. Oprócz żałoby.

– Nie dla Renaty.

– Ale dla jej dzieci. Dla Mateusza, dla mnie. Matka teraz ma w głowie tylko żałobę. Zawsze miałam pod górę, a teraz to już nigdy nie dorównam Renacie. Przesrane mam. – Anna westchnęła, wypijając kolejne pół szklanki.

– Zawsze musi być wygrany i ofiara.

Anna spojrzała na Darię wściekła.

– I to ja jestem ta ofiara?

Daria dopiła szklanę.

– Jestem już wstawiona. Prawie nie jadłam dzisiaj. Więc ci powiem. Wiesz, że Mateusz zdradził Renatę?

Anna popatrzyła niepewnie na Darię.

– To nie ma już znaczenia.

– Ależ ma. – Daria roześmiała się szyderczo. – Renata zobowiązała Mateusza, żeby po jej śmierci się ożenił ze swoją kochanką.

– Co ty pierniczysz.

– A ta kochanka to jej najlepsza przyjaciółka. Z dzieciństwa. Znasz

pewnie.

Anna odstawiła butelkę. Nalała właśnie po trzeciej szklaneczce.

– Joanna?

– Tak, tak, Joanna. Joasia. Asieńka. Przyjaciółeczka.

– Kurwa – powiedziała Anna.

– Nie przesadzaj. Ona nie wiedziała, że zdradzana żoneczka to jej przyjaciółeczka. A w ogóle to ci powiem, że beznadziejnie jest być zdradzaną.

– Ty przynajmniej wiesz z kim.

– Szkoda, że się tego dowiedziałam jako ostatnia.

– Może się cieszyć. Ja powinnam wiedzieć, że zostanę zdradzona z wódeczką, zanim wyszłam za mąż. A i tak kochałam i jeszcze udawałam, że wszystko jest w porządku. Ty przynajmniej nie możesz sobie zarzucić, że byłaś ślepa.

– No, trochę mogę.

– Trochę możesz. Ale mniej niż ja. A Renata będzie już zupełną świętą. Zdradzona i umarła. Już gorzej mi zrobić nie mogła, siostrunia jedna.

– I jeszcze święta, bo mężowi dała przyzwolenie.

– To ja powinnam umrzeć.

– Ty nie możesz, masz Miłosza.

– Ona miała trójkę.

– Ale Miłoszem nie będzie się mógł zająć tatuś.

Dopiły.

– Otworzę następną – powiedziała Daria.

– Upijemy się, prawda?

– W trupa – potwierdziła Daria.

Dwie godziny później Daria roztkliwiła się do słuchawki.

– Gabi? Gaaabryś...

– Nie szkodzi. Druga to też dobra godzina.

– Przyjedziesz?... Tak. Z Anną... Mógłbyś ją odprowadzić? Bo trochę mi zasnęła na stole.

– Chyba z tobą zostanę – powiedział Gabriel, gdy już odprowadził Annę i wrócił do domu Darii.

– Pewnie, że zostaniesz – powiedziała. Patrzyła na niego z głupim

półśmieszkiem, kiwając się. – Chyba muszę... – wstała powoli, a potem ruszyła biegiem do łazienki. Gabriel przytrzymał jej głowę na sedesem.



– No stary, czemuś nie mówił? Coś byśmy załatwili. Wiesz, lekarze jacyś lepsi, albo coś. – Koledzy w pracy rozmawiali z Mateuszem tylko wtedy, gdy nie mieli wyboru. Unikali z nim kontaktu, jakby można się było zarazić rakiem.

– Lekarze byli w porządku – odpowiedział Mateusz, odstawiając kubek po kawie do zmywarki. Unikał kuchni, bo właśnie tam nie można było uciec od takich rozmów. Ale od czasu do czasu musiał tu wejść. – To tylko rak był nie fair.

– Może byś, wiesz, w domu został? – W pytaniu nie brzmiała troska, tylko zdziwienie.

Pokręcił głową.

– Tutaj muszę się czymś zająć. Nie mogę siedzieć w domu.

Z trudem znosił poklepywanie po plecach.

– On to w ogóle kochał tę swoją żonę?

– Dziwne, nie? – komentowali koledzy i koleżanki. – Normalny mąż to by siedział w domu i wył do sufitu.

– Stary, on w przyszłym tygodniu chce jechać prezentację robić!

– No ty chyba żartujesz? Tę prezentację?

– No tę, tę. – Rozmówca pokiwał głową.

– Przecież to jest najważniejsze spotkanie w tym roku! Tego nie można zawalić! On nie jest w formie! – Na twarzy kolegi pojawił się grymas. *To ja powinienem tam pojechać!* – pomyślał.

– Przygotowywałem się do niej bardzo długo. Pomagała mi żona. – Mateusz wrócił znieczeka do kuchni. – Trzymała za mnie kciuki, kiedy siedziałem koło niej w szpitalu z laptopem na kolanach. I dalej je za mnie trzyma.

Mateusz wyszedł, koledzy rozeszli się do swoich boksów.

Szef wysłuchał argumentacji konkurenta Mateusza.

– Taaak... – Zastanowił się. – Rozumiem cię. Nie mogę jednak Mateuszowi odmówić. Nie nawalił, pomimo sytuacji. Przygotuj alternatywną prezentację. – Szef uśmiechnął się sztucznie. – Tak na wszelki wypadek.



– Taka trumna? Mowy nie ma! – denerwowała się Krystyna. – Moja córka nie będzie w takim byle czym chowana!

– Mamo, uspokój się. Renacie trumna już w niczym nie pomoże.

– Ale mi przeszkodzi! Elegancka ma być!

Pomimo otumaniających leków trudno było ją uspokoić.

– Najpierw dzieciaki do kina wysyłasz, dwa dni po śmierci matki, a teraz takie coś! Wstydu ty nie masz! Jak ja ciebie wychowałam!

No właśnie, jak? – pomyślała Anna. – Do kina dzieci nie poszły, jak pamiętasz. Dzięki twojej opatrnościowej interwencji.

– I trzeba jej jakieś porządne ubranie kupić! – Krystyna kontynuowała, łapiąc się za serce. – Moja córka w byle czym nie będzie leżała!

– Babciu, ta sukienka, ta! Tą mama lubi najbardziej. Ciociu, zawiesz mamie tą sukienkę? – wtrąciła Krysia.

– Tę, Krysiu. – Anna poprawiła odruchowo. – Mówi się tę, nie tą.

– Co za różnica – powiedział głośno Eryk. Anna spojrzała na chłopaka. Rękę miał wciąż przy ustach. Paznokcie obgryzione, niektóre do krwi.

– Jutro idę do szkoły – dodał po chwili.

– Jak to do szkoły? – Krystyna się uniosła. Twoja matka...

– A ja idę do szkoły – przerwał jej nastolatek. – Nie mogę tutaj wytrzymać.

Tylko cisza i pojękiwanie – myślał. – *Szlochanie i szeptanie. Boję się ich. Mam nadzieję, że mama gdzieś tu jest. A może wcale jej nie ma. Nie wiem, co bym wolał.*

Jeśli jest, jest jakimś dziwnym bytem. Czymś. Nie wiem, czy to coś będzie groźne czy dobre. Gdyby było mamą, to bym wiedział. Ale nie wiem, czym jest. A cała reszta... Boję się. Babci, która sama nie wie, co mówi. Wyje z rozpaczy, ale kontroluje kształt trumny. Tak rozpacza, a przejmuje się sukienką. Ojciec to chociaż ma odskocznię. Pojechał do roboty i ma wszystko gdzieś. Jemu przynajmniej lepiej. Dzieciaki latają jak opętane, bo może i są opętane. Na tle tych wszystkich pojękiwań ich zabawy brzmią jak wystrzały. Jakby strzelały srebrnymi kulami. Mam dość tego domu. Boję się. Ciotka też nie lepsza. Taka przejęta, a urąbała się jak świnia. A może to i dobrze. Może każdy z nas powinien się urąbać i mieć wszystko gdzieś.

– Pojadę do szkoły. Usprawiedliwię dzieci. – Anna westchnęła, przerywając lamentsy Krystyny.

– Wszyscy ciągle chcą gdzieś wychodzić i wychodzić. Ja tylko zostaję sama, z tą całą... żalobą. – Głos Krystyny wzbijał się na wyżyny. Bliskie hysterii.

Anna założyła kremowe czółenka i wyszła.



– Proszę przyjąć kondolencje. – Annę zaczepił wychowawca Eryka. – Bardzo mi niezręcznie. Nie miałem ostatnio czasu dla pani Renaty... – Westchnął.

– Dziękuję. Teraz już czas nie jest potrzebny. Ale miło będzie, jeśli zechce pan dołączyć do nas w ostatnim pożegnaniu mojej siostry.

– Będę na pogrzebie. Będzie delegacja ze szkoły. Kondolencje były ode mnie, nie od nauczyciela.

– Dziękuję.

Anna odwróciła się z mieszanymi uczuciami. Doskonale wiedziała, że w cierpieniu stajemy się przezroczyści dla otoczenia. Lepiej nas nie widzieć, nie trzeba wtedy przyglądać się nieszczęściu. Nie trzeba się nad nim zastanawiać ani przejmować. Pomagać. Tracić czasu.

Czy jednak wyrzut sumienia może zastąpić samo sumienie? –

pomyślała o wychowawcy.

– I ty w jasnych butach poszłaś? – Przywitał ją okrzyk Krystyny. – Jak ja nie pomyślę, to już nikt w tym domu nie pomyśli! Ja... ja... ja... – Krystyna dostała spazmów.

– Mamo, przepraszam, nie pomyślałam. Nie zwróciłam uwagi. Żałoba to nie kolor. Renatę mamy w pamięci. Będziemy mieli. Jest z nami... mamo. – Anna uspokajająco mówiła do starszej pani, prowadząc ją na kanapę. Ramiona Krystyny drżały.

Matka stała się mniejsza, czy mi się wydaje? – Anna się zastanawiała. – *Nigdy nie obejmowałam jej w ten sposób. Cóż, nigdy dotąd jeszcze nie umarła moja jedyna siostra.*

– Siadaj, mamo, przyniosę coś do picia.

– Nikt nie myśli. Tylko ja się troszczę. O wszystkim myślę. – Krystyna mówiła jakby sama do siebie.

– Tak, mamo. Bez ciebie nic by się nie udało – mówiła Anna.

Wszystko załatwiasz? – pomyślała.

– Mamo, a może pojedziemy do sklepu. Trzeba dzieciom ubrania na pogrzeb wybrać – powiedziała głośno.

Krystyna przestała łkać. Wstała i ruszyła do przedpokoju.

– Mamo, poczekaj! Dzieci muszą zebrać!

– To zbierz – odpowiedziała Krystyna, zakładając buty.

Czekała na nich ze ściśniętymi ustami, bez słowa. Wpatrzona w przestrzeń, gdzieś nad głowami dzieci, wydawała się nie słyszeć ich głosów. Dzieci kłóciły się, przepychały.

– Jak wy tak w ogóle możecie – powiedziała w pewnym momencie Krystyna, wychodząc na podjazd.

Anna westchnęła.

– Nie chcę tych! – marudziła Krysia. – Tylko te ładne – powiedziała, wskazując na buty z czerwonymi kwiatkami przy kostce.

– Wykluczone – powiedziała stanowczo Krystyna. – Na pogrzebie matki nie możesz chodzić w kwiatki. – Mrugnęła, gdy zdała sobie sprawę z rymu. – Nie wypada – dodała.

– Mamo, to jest dziecko. Nie wszystko rozumie. Nie wszystko musi rozumieć – powiedziała Anna, podając buty sprzedawczyni.

– Chyba nie zamierzasz ich kupić? – Krystyna się wykrzywiła.

- Owszem, mam, zamierzam.
 - Nikt jej teraz w strojach nie będzie rozpieszczał.
 - Dokładnie. Dlatego dwa kwiatki na butach nie zaszkodzą.
 - Nie wypada! – syknęła Krystyna.
 - Nie wypada to umierać i zostawiać trójki dzieci. Pretensje kieruj do swojej ukochanej starszej córki.
- Krystyna wyszła ze sklepu, obrażona.



– Wstajemy! – W założeniu miał to być radosny poranny okrzyk powitalny.

Prawie się udało. Tylko dzieci nie chciały zareagować.

- Kochani, Eryk już pojechał do szkoły. A wy, śpiochy?
- Ciociu, a właściwie dlaczego my nie chodzimy do szkoły?
- Chodźcie, tak w ogóle. Tylko teraz... Do pogrzebu mamy nie będziecie chodzić. A potem wróćcie do szkoły. Trzeba skończyć rok szkolny. Trzeba... żyć.

Dziewczynka kiwnęła głową. Krzyś tylko otworzył oczka, nie ruszył się. Leżał skulony, kołderkę ścisnął między kolanami. Ręce miał wsunięte pod poduszkę. Nie zareagował nawet na łaskotki.

– No chodź, kochany. – Anna chwyciła małego pod główką. Wyczuła coś dziwnego pod poduszką. – A co to...? – Wyciągnęła butelkę. – Przecież ci na tym twardo? Po co ci?

- To mamy – odpowiedział chłopczyk.
- Wiem. Ale po co ci pod poduszką?
- Stłukłem jej takie... I potem pachniał szalik. Ja lubię ten szalik. I ten zapach. I... przykro mi, że je stłukłem.

– Nie żałuj, zobacz, mama dostała następny flakon.

I nic jej z tego nie przyszło – dodała Anna w myślach.

– Może jednak odłożymy go na półkę? W łazience nic mu się nie stanie. Zawsze będziesz mógł tam wejść i go powąchać.

Chłopiec kiwnął głową bez słowa.



- Jezusie Maryja! – wykrzyknęła Krystyna na widok Eryka.
- Jezus nie miał z tym nic wspólnego – odpowiedział chłopak. –
Chociaż ryja to mam, fakt.
- Nie bluźnij! – Babka się zdenerwowała.
- A tobie co? – Anna zajrzała do przedpokoju, zaniepokojona
okrzykiem matki.
- Nieważne.
- Wracasz do domu ze spuchniętą twarzą i twierdzisz, że to
nieważne?
- Tylko połową twarzy – odpowiedział chłopak. – I ruszającym się
zębem – dodał, wchodząc po schodach.



- Wygląda jak śpiąca królewna – wyszeptał Zenon. Trzymał rączkę
Miłosza.
- Bo ona jest śpiąca – odpowiedziała głośniej Anna. Prowadziła
matkę za ramię po śliskiej posadzce domu pogrzebowego.
- Co ona ma za włosy? – wychrypiała Krystyna.
- Dokładnie takie, jak zawsze chciała mieć. Tak zdecydował
Mateusz.
- Wokół głowy Renaty pyszniły się długie, rude loki.
- Ona nigdy nie była ruda! – syknęła Krystyna. – Rude to
fałszywe!
- Mamo – powiedziała stanowczo Anna, gdy już posadziła matkę
na twardej ławce. – Nie czas na konwenanse. Nie przejmuj się tak bardzo
tym, co ludzie powiedzą. To jest nasza ostatnia chwila z Renatą. Więcej
jej nie będziemy mieć. Po prostu popatrz na nią i pomyśl, że jest

dokładnie taka, jaką chciała być. Nie jest ważne, co kto powie.

– Tobie tak łatwo mówić.

– Mnie łatwo. Tobie też nietrudno. Nie ma tu sąsiadek, nie ma złych gąb, co obmówią i wyśmieją. Daruj sobie. Po prostu skup się na niej.

Do trumny nieśmiało podeszła Kryisia. Wspięła się na stołeczek i pogłaskała nogę matki.

– Zawsze masz takie gładkie rajstopy, mamusiu – powiedziała. A potem zeszła ze stołka, przesunęła go w stronę twarzy zmarłej i ponownie stanęła na nim jak na stopniu. Przyglądała się jej długo, dookoła zapadła cisza. – Śpij, mamó – powiedziała w końcu dziewczynka, dotykając palcem jej zimnego policzka. – Śpij, aż wyzdrowiejesz.

Krystyna podeszła do trumny podtrzymywana przez Mateusza. Ramiona jej drżały, chusteczka w rękach była zmiętolona i mokra.

Cóż za nieestetyczny widok – pomyślał Mateusz. – Czy ja powinienem teraz myśleć o chusteczce do nosa? I o smarkach teściowej? – Omijał wzrokiem ciało żony. – Powinienem myśleć o czymś innym. Ale nie mam siły. A może mam. Muszę pewnie mieć. Tylko nie chcę. Nie chcę, żeby to była prawda. Nie chcę patrzeć, może to się okaże złym snem. Renata... – opadł na kolana. Krystyna stała obok, wyprostowana. Wyciągnęła dłoń, oparła ją na brzegu trumny. Drżąc, przeniosła rękę na nogę córki, potem na rękę. W końcu pogłaskała ją po twarzy. Odeszła, usiadła w ławce, obok tulącego się do Anny Krzysia.

Po cholerę jej takie włosy? Jest piękna nawet łysa – myślał dalej Mateusz. – I okropnie jest blada. Dziwne takie te rumieńce. A sukienka, zupełnie jej nie pasuje. Co to za łach jakiś? Moja żona ma piękną, seksowną figurę, w co ona się ubrała? Kto ją tak ubrał? Ona jest seksi.

Seksi, seksi, seksi.

Co ja wymyślam. Renata nie żyje. Nie żyje. Co to znaczy? Renata nie żyje? Co za bzdury. A rzeczywiście. Renata nie żyje.

I co teraz będzie? Nie wiem, co teraz będzie.

Jak ta mama brzydko płacze. Czy ja też powinienem płakać? Nie wypada. A może wypada. Nie wiem, czy wypada. Czy wypada płakać na pogrzebie własnej żony? Co mnie to obchodzi.

Jak to na pogrzebie? A tak. Renata nie żyje. Jakim prawem ona nie żyje? Jak mogła mnie tak zostawić? Co będzie z dziećmi? Co z dziećmi? Renata, wstawaj, dzieci! Właśnie, co z dziećmi? Gdzie są dzieci? – Mateusz odwrócił się w popłochu. Spojrzał na pierwszą ławkę. *Zwiastowanie. Wyglądają, jakby to było zwiastowanie. Tylko nic dobrego nam tu nie zwiastują.*

Przy skurczonej Krystynie siedziały skulone dzieci.

Są dzieci, Renata, nie martw się, są dzieci. Ale gdzie ty jesteś?

Mateusz rozglądał się bezradnie jak po poczekalni u dentysty.

Jakby chciał zapytać, kto ostatni. Czasem wypływał z niezrozumiałej magmy, pełnej przytłumionych dźwięków, zaśpiewów płaczek, szeptów wiernych. W chwilach przeblysków pomiędzy falami farmaceutycznego otępienia rozumiał tylko tyle – jakoś trzeba żyć dalej.

W tym samym czasie Krystyna namawiała wnuka:

– Krzysiu, podejdź do mamy.

Mały po raz trzeci pokręcił głową.

– Mama nie odpowiada – odparł. – Nie będę jej budzić. Pójdę kiedy indziej, kiedy mama będzie do mnie mówić.

– I może zdejmij ten szalik. Nie pasuje tutaj.

Mały złapał się obiema rękami za szyję i potrząsnął głową.

– Nie oddam – powiedział ze strachem.

– Mamo, zostaw go – wtrącił Mateusz.

– Ale kto to widział, w czerwonym szaliku. Latem. Na pogrzebie. Żeby chociaż czarny był.

– Mamo, wiesz przecież, że nie chodzi o sam szalik.

Krystyna pokręciła głową, przykładając chusteczkę do oczu.

Kościół był jeszcze prawie pusty, żałobnicy przybywali stopniowo. Powoli przechodzili z domu pogrzebowego, rozmawiając cicho i kręcąc głowami.

– Taka młoda! – Pojawiało się w każdej rozmowie.

– I te dzieci – dopowiadały za każdym razem przyciszone głosy. –

Co on teraz robi, ten ojciec?

W ławce po lewej stronie usiadł Mateusz z dziećmi. Eryk miał spuszczoną głowę, pęknięta warga ciągle była spuchnięta. Kryśka i Krzyś tulili się do ojca. Mateusz głaskał dzieci po główkach, łokcie zawisły mu

w powietrzu. Obiecał sobie, że będzie uważny. Staranny. Że zapamięta każdą minutę. Ale nie wytrzymał i wziął leki. Nie był w stanie wsiąść za kierownicę.

Renata wyglądała pięknie. Długie rzęsy na zamkniętych oczach. Włosy spływające prawie na piersi. Zgrabna grzywka, błyszczący na ustach, uróżowione policzki. Tylko uszczypnąć, poklepać. Powiedzieć – piękna ty moja. Taką ją widział Mateusz, gdy tylko zamknął oczy. Teraz leżała już w zamkniętej trumnie, a Mateusz chciał podbiec do katafalku, zerwać wieko i całować jej oczy, aż do obudzenia. Jego albo jej.

*Uspokój się, mój śnie, jej nie ma
Ale ona jest
aż serce ścisłe,
kryształ strachu
Ona jest, mój śnie
aż krew zbielała*

*Nie ma jej, ona w każdym płomyku
ostatnie serce,
śmiertelny wiersz*

*Nie ma jej, ona w każdym oddechu,
echo[3]*

Wiersz Rafała Wojaczka Mateusz kazał wydrukować na białej tablicy czarnymi literami o prostym kroju. Tablica stała teraz koło trumny.

Chciałbym to wykrzyczeć. Wszystkie te słowa, te i wiele innych – myślał Mateusz. – *Ale nie mam siły.*

Nabożeństwo było ciche. Mateusz odmówił organisty.

– Renata nie lubiła takiego brzdąkania – powiedział i nie słuchał protestów Krystyny.

Ksiądz przemawiał szybko, standardowo odwołując się do miłosierdzia bożego.

Miłosierdzie? To jest miłosierdzie, zabierać małym dzieciom

matkę? – myślał Mateusz, ale nic nie powiedział na głos.

Dopiero na cmentarzu Mateusz dostrzegł swoją matkę i brata z rodziną.

– Miło, że przyjechaliście – powiedział zdawkowo.

– Tak matkę witasz?

– Mamo, wybacz, nie teraz.

– A kiedy niby? Nigdy cię dla mnie nie ma. A ja idę do szpitala.

– Co ci jest?

– Muszę zrobić punkcję piersi.

– Mamo, po pogrzebie jest konsolacja. Stypa. Porozmawiamy potem. Chciałbym teraz po prostu pochować żonę.

– Nigdy nie ma czasu dla matki. – Westchnęła i skierowała spojrzenie na Tomasza, młodszego syna. – Idziemy.

Mateusz stał, obejmując dzieci. Nie uronił ani jednej łzy. Krystyna zawodziła jak zawodowa płaczka, Anna płakała po cichu. Mateusz chwycił garść ziemi i zawiesił dłoń nad trumną. Nie otworzył pięści. Przytulił ją do marynarki, włożył do kieszeni i pokręcił głową. Staął z boku. Krystyna rzuciła na trumnę dużą garść, Zenon podobnie. Eryk z niepokojem spojrzał na ojca. Nieśmiało chwycił ziemię, rozsypał ją, lekko otwierając dłoń. Żółta, gliniasta ziemia nie chciała sypać się cienkim strumieniem, wypuszczał z dłoni grudki. Krysia chwyciła szczyptę z piaszczystego boku kopczyka i rozsypała jak sól. Tak samo zrobił Krzyś.

Gdy zaczęli podchodzić żałobnicy, matka Mateusza stanęła obok niego, przyjmując kondolencje.

– To była dobra synowa – mówiła ze smutkiem.

Kolejne garście piasku, ziemi i gliny leciały na trumnę. Jako pierwszy klęknął wychowawca Eryka.

Nie mogę patrzeć na tego chłopaka – myślał. – Pewnie będzie mi głupio już do końca jego szkoły. Nie znalazłem dla niej czasu... Ciekawe, czy kiedykolwiek będę potrafił postawić chłopakowi ocenę niższą niż piątka.

W delegacji ze szkoły znalazł się wicedyrektor i dwóch nauczycieli. Przyszło także sporo rodziców z klas Eryka i Krysi, wychowawczyni Krzysia. Dużo smutnych, przejętych ludzi. Wszyscy

składali deklaracje pomocy, i zamierzali ich dotrzymać. Tylko potem nie było okazji.

Wśród żałobników było także wielu sąsiadów – tych bliższych i dalszych, nawet takich, z którymi kontakty ograniczały się do zdawkowego „dzień dobry”. Młodzi ludzie z domu cztery posesje dalej, szczerze przejęci losem trójki półsierot, jako jedyni dotrzymali obietnic. Sami byli rodzicami trójki rozrabiaków i nie chcieli wyobrażać sobie nawet, że któreś z nich odchodzi, zostawiając drugiego rodzica w poczwórnej żałobie, własnej i dziecięcej. Wielokrotnie zajmowali się Krzysiem lub Krysią, odbierali ze szkoły.

Na pogrzebie stawiał się także Klemens, który nie chciał przyjąć do wiadomości decyzji Darii. Uważał, że ojciec jest dzieciom zawsze potrzebny, więc Daria musi go z powrotem przyjąć.

– Ojciec jest potrzebny, jeśli jest – odpowiedziała Daria twardo.

Klemens postanowił walczyć i obecność na pogrzebie była jednym ze sposobów wyrażenia jego determinacji.

Byli koledzy z pracy, ludzie znani i mniej znani. Tłum.

A Mateusz pomyślał o czającej się w jego życiu samotności.

I wiem, że mnie nie opuścisz aż do śmierci.

Miał na sobie czarny garnitur i czarną muchę na śnieżnobiałej koszuli. I eleganckie, brudne buty. Kiedyś buty pastowała mu Renata.

Szef był zadowolony. Prezentacja poszła znakomicie. Kolega był wkurzony.

Narobiłem się na darmo – myślał.

Nie miałbyś do powiedzenia połowy tego, co Mateusz – myślał szef.

– Szefie, chciałbym kilka dni wolnego na początku lipca – powiedział Mateusz po prezentacji.

Szef uniósł brwi.

– Nie, nieplanowane. – Od razu uzupełnił Mateusz.

– Zastanowię się – odparł przełożony.



– Tato... – Krzyś stanął przed Mateuszem ze spuszoną głową. Ręce trzymał za plecami.

– Co tam? – Mateusz odłożył gazetę. *I tak nie mogę czytać. Litery jak robaki, same się poruszają. Co mnie zresztą to wszystko obchodzi* – pomyślał i uśmiechnął się do syna.

Od śmierci Renaty minęły dwa tygodnie. Życie chciało wrócić do normy, chociaż nigdy nie miało być już takie samo. Mateusz zaplanował urlop, wyjeżdżali za pięć dni.

Mały bez słowa wyciągnął przed siebie pustą butelkę.

– Skąd... – Mateusz zająknął się. – To dlatego ciągle czułem ten zapach. Lubisz go?

Mały pokiwał głową. – Mama... mama go miała.

– A teraz chcesz mieć ty?

Znów kiwnięcie. – Ale cały już zużyłem.

– I chciałbyś nowy?

Mateusz podniósł się z kanapy. – Zawołaj Krysię. Jedziemy do sklepu.

Mały poleciał bez słowa. Mateusz powoli wyszedł za nim.

– Eryk? – Chłopak ze słuchawkami na uszach siedział przed komputerem. Dopiero gdy Mateusz dotknął jego ramienia, zauważył ojca.

– Jedziemy z małymi do sklepu. Jedziesz z nami?

Młody pokręcił głową. – Uczę się słówek. Po japońsku. – Uśmiechnął się.

– Mama byłaby z ciebie dumna – powiedział Mateusz.

– Taaa. – Chłopak przygryzł wargę. – Nie spodziewałem się, że wygram.

– Ale mama w ciebie wierzyła.

– Dlatego nie mogę jej zawieść. I... – Zawahał się. Mateusz w tym czasie usiadł na tapczanie koło biurka. – I znalazłem następny konkurs. Może coś napiszę. Tylko tam nagrodą jest wydanie...

– Mama byłaby z ciebie dumna – powtórzył ojciec.

– Tęsknię za nią – odpowiedział nastolatek.

– A ja... złożyłem już papiery. Po powrocie zajmę się sprawą

mocniej.

– Fundacja? – Chłopak się upewnił.

Mateusz potwierdził skinieniem. Obiecałem.

Milczeli. Ekran komputera wygasł, pojawiło się zdjęcie roześmianej Renaty. Obydwaj się w nie wpatrywali.

– Taką ją pamiętam – powiedział Eryk.

– Ja pamiętam znacznie więcej.

– I cały czas wydaje mi się, że z nami jest.

– Bo jest. Jedziesz z nami?

– Nie...

Mateusz wstał i skierował się do drzwi.

– Tato... a... Joanna?

– Nie wiem. Mama życzyła sobie... ale ja nie wiem.

– Jest fajna – odpowiedział chłopak i założył słuchawki.



– Mateusz, chciałabym porozmawiać.

– O wszystkim, tylko nie o Renacie, proszę.

– Tak. Nie. Nie wiem, od czego zacząć. – Anna usiadła obok

Mateusza na kanapie.

– Od początku podobno najlepiej.

– Początek to był z Renatą... Wszystko w tej chwili kojarzy mi się z Renatą.

Mateusz milczał.

– Chodzi o to... – Anna westchnęła i się wyprostowała. – Trudno. Powiem, co mam powiedzieć. Wiesz, jakie mam problemy. Z Robertem nie mam już życia. Chciałabym nie tylko od niego się uwolnić, ale także, a może przede wszystkim, zmienić życie Miłosza. Renata proponowała... mówiła, że moglibyśmy przez chwilę u was pomieszkać... może byłabym pomocna w codziennych sprawach.

– Anna, ja sobie w ogóle nie wyobrażam, że mogłabyś wrócić do Lipna.

– Ale mama...

– Krystyna to Krystyna. Wiadomo, uparta jak teściowa. I wiadomo, że chciałyby, aby świat był idealny. Ty z Robertem znowu razem, najlepiej kolejna ciąża i żyli długo i szczęśliwie.

– Wszystko wiesz – powiedziała Anna bez ironii.

– Wyobrażam sobie. I myślę jak ty, że do Roberta nie masz po co wracać. A tutaj... – Głos mu się załamał. – Krystyna sama nie da rady. Trójka dzieci. Duży dom. Mnóstwo spraw do załatwienia. Ja tym bardziej nie dam rady. Jesteś nam potrzebna, Aniu.



Kilka dni po pogrzebie oglądali razem telewizję. Film z gatunku „dla wszystkich”. Animowane postacie dla dzieci, dialogi dla dorosłych.

– Gdzie jest Krzyś? – zapytał Zenon. – Dawno już poszedł na górę. Za długo nie wraca.

– Pójdę go poszukać.

– Krzysiu? Krzysiu? – Mateusz szedł po schodach, zastanawiając się, gdzie mały się schował. Dopiero trzecim pomieszczeniem, do którego wszedł, była łazienka przy ich sypialni. Krzyś siedział pod grzejnikiem, skulony, z podwiniętymi nogami. W rękę trzymał butelkę perfum.

– Można do ciebie trafić po zapachu – powiedział ojciec, siadając koło chłopca.

Cisza. Kontemplacja jasnych płytek podłogowych.

– Krzysiu?

Mały popatrzył na ojca.

– Powiesz coś?

Chłopiec pokręcił głową.

– Chcesz milczeć?

Kiwnięcie.

– To pomilczmy.

To milczenie utrwaliło się. Przez długie miesiące chłopiec

komunikował się tylko gestami. Nikt go nie poganiał.



– Tatotatotatototato! – trajkotała Krysia, wpadając do domu. Przywiozła ją ze szkoły Anna, Krzyś jeszcze gramolił się z samochodu.

Mateusz drgnął, słysząc huk drzwi walących o ścianę. Nie zdążył jednak nic odpowiedzieć.

– Tato! Za trzy dni jest koniec roku! – krzyczała dalej Krysia.

– Dzień dobry, Krzysiu – powiedział Mateusz, kierując wzrok w głąb przedpokoju. – Dzień dobry, córeczko. No jest. Chyba dobrze? Jedziemy na wakacje. Wziąłem dużo urlopu. Długo będziemy razem.

– Tatooooo, ja nie mam co na siebie włożyć!

[3] Rafał Wojaczek, *** (*Uspokój się mój śnie, jej nie ma*), z tomu *Śmiertelny wiersz*, dz. cyt., s. 108.

Podziękowania

Kiedyś wydawało mi się, że pisanie jest zajęciem dla samotników. Tylko autor – jego myśl i ręka – i tekst. Tak pisałam swoje pierwsze książki, i nie było to mądre. Książka potrzebuje wsparcia wielu osób, ich wiedzy i umiejętności, i autor – eremita jest dopiero początkiem długiej drogi tekstu. Winna więc jestem podziękowania.

Nade wszystko dziękuję moim Czytelnikom. Nie sposób opisać, jaką siłę i radość niosą wasze listy i maile. Jako autorka jestem wdzięczna, i to po wielokroć, że znajdujecie czas, by przeczytać to, co napisałam, i by wyrazić o przeczytanej historii opinię.

Ogromne podziękowania kieruję w stronę zespołu wydawnictwa Czwarta Strona – nie tylko za to, że cierpliwie odpowiadacie na wszystkie pytania i załatwiacie różne dziwne sprawy. Dziękuję przede wszystkim za wiarę w tę i w poprzednią powieść. Na szczególną wdzięczność zasługuje redaktor prowadząca, Monika Długa, która odbierała ode mnie najwięcej maili i ani razu się nie zirytowała! To wymagało anielskiej cierpliwości.

Za cenną lekcję pokory dziękuję Agnieszce Czapczyk. Pani Ago, dzięki pani nie tylko obecna, ale także i przyszłe książki – mam nadzieję – będą lepsze.

Dziękuję także pięknie mojej beta-readerce (wybaczcie, ale jak to powiedzieć po polsku? – nie znam równie esencjonalnego

odpowiednika, pozostaną więc przy tym określeniu), Ewie Jowik, której chciało się przeczytać surowy tekst, wnieść do niego poprawki i jeszcze nie mieć o to pretensji!

Za merytoryczną pomoc z całego serca dziękuję dwóm wspaniałym lekarzom: doktorowi Konradowi Komar-Czapskiemu oraz doktorowi Mirosławowi Rybałtowskiemu. Dzięki wam, panowie, nie tylko książkowy doktor otrzymał imię, ale także wszyscy lekarze okazali się mieć ludzką twarz, co wcześniej wcale nie było takie oczywiste. I dzięki wam uniknęłam wielu niezręczności i błędów wynikających z niezajomości szpitalnych realiów... A, jak wiadomo, niezajomość nie zwalnia od odpowiedzialności. Dziękuję zatem!

Za wsparcie językowe serdeczne podziękowania składam na ręce Janusza Dziano. Gwara warszawska wcale nie jest tak prosta, jak by się to mogło wydawać. Panie Januszu, sprawił pan, że Henryka wstała ze szpitalnego łóżka i stała się pełnokrwistą barwną postacią. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Na koniec zostało jeszcze coś... bardzo istotnego. Jakkolwiek infantylnie by to nie brzmiało, dziękuję mojej rodzinie. Za nieustanne przeszkadzanie, odrywanie mnie od pracy i różne inne działania, które powodują, że jestem szczęśliwym człowiekiem. Tak przy okazji – mężu, może dałoby się jednak ponegocjować kwestię obiadów? Ja będę pisać, ty gotować...

Spis treści

Styczeń

Luty

Marzec

Kwiecień

Maj

Czerwiec

Podziękowania

